

P.Dz. Cz. 22119/69
71
73

Cz. 2560/69, 72, 73

Potocki Wacław

... Moralia < 1688 >. Wydali Tadeusz Grabowski

i Jan Koś

Kraków 1915-1918 Nakł. Akad. Umiejętn. 8°

T. 1. 1915, s. IV, 629, 1nb.

2. 1916, s. 2nb., 658, 2nb.

3. 1917, s. XXIX, 706, 2nb.

Karta katalogowa wydawnictw zwart
PU-B-144 Zam. 1315, DW/On ZGG - 305

aglych.

Nr. 69.

WYDAWNICTWA AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.
BIBLIOTEKA PISARZÓW POLSKICH.

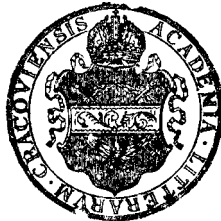
WACŁAWA POTOCKIEGO
MORALIA

(1688)

WYDALI

TADEUSZ GRABOWSKI I JAN ŁOŚ

TOM I.



KRAKÓW
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ
1915.



1055 a 1962

M 103/117

1055 a 1962

KRAKÓW. — DRUKARNIA UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem J. Filipowskiego.

Odkładając do trzeciego tomu omówienie „Moralionów“ Potockiego, które obecnie po raz pierwszy ukazują się w druku, ograniczamy się tylko do kilku uwag o sposobie wykonania wydawnictwa. Podajemy tekst według kopii z rękopisu, znajdującego się w Petersburskiej bibliotece publicznej, a noszącego tytuł: „Moralia, abo Rzeczy do Obyczajow, Nauk i Przestrog w każdym stanie Żywota ludzkiego z Łacińskich y z Polskich Przypowieści Oczystym krotko napisane wierszem. Część Pierwsza Xięgi Pierwszey. Przekładania z Greckiego Języka Erasma Roterodama. Przez Wacława Potockiego, Podczaszego Krak. Roku Pańskiego 1688“. Skolacyonował kopię z rękopisem Tad. Grabowski, modernizację pisowni przeprowadził Jan Łoś.

Wydając „Ogród fraszek“ Potockiego, prof. Brückner umieścił w tomie II „O Ogrodzie i o wydaniu jego słów kilka“, gdzie omawia system, którego się trzymał przy drukowaniu tekstu. Niniejsze wydanie „Moralionów“, z wyjątkiem drobnych szczegółów, na takimże samym systemie się opiera. I tutaj, jak i w „Ogrodzie“, Potocki według wyrażenia prof. Brücknera „szyk słów naturalny łamie bez litości, wsuwa zdania, a skąpi spójników, przez co gładki tok myśli psuje“. Czy jest to wynikiem naśladownictwa składni łacińskiej, czy stosowania się do

rytmu wiersza, dość, że nieraz trudno sens pochwycić, zwłaszcza że autor używa znaków przestankowych inaczej, niż to jest dziś we zwyczaju. Pod tym względem w druku przeprowadzono użycie tych znaków według wymagań dzisiejszych. Modernizując pisownię, zmieniliśmy sposób pisania końcowego *sz* zam. *ź* w takich formach, jak *cosz*, *ktosz*, *krzysz*, *mąsz*, nie zachowaliśmy dość częstego *qn* zam. *a*, *en* zam. *ę* zachowując *qn* zam. *an*, spolszczyliśmy łaciński sposób pisania imion i nazw obcych, usunęliśmy *x* zam. *ks*. natomiast zachowaliśmy inne sposoby pisania, jakie znaleźliśmy w rękopisie np. *lassa*, *wiissi*, *figora*, *natora*, *dziora*, *bot* i t. p., jak również nie zmienialiśmy tak zw. rymów dla oka, któremi lubił się posługiwać Potocki, zmieniając wskutek tego zwykłą pisownię np. *kłomstwa* (zam. *kłamstwa*) dla rymu do *potomstwa*.

W niektórych miejscach, zresztą rzadko, wierszom brak jednej zgłoski, oczywiście wskutek omyłki przepisywacza; dodane w takich wypadkach domyślne wyrazy ujęte zostały w klamry, zarówno jak i wszelkie inne dodatki, konieczne z powodu myłek trafiających się w tekście.

W rękopisie oddzielne przypowieści nie są numerowane, to też nie numerowaliśmy ich i w druku, natomiast w spisie rzeczy każdą przypowieść oznaczyliśmy numerem kolejnym. Również tamże umieściliśmy tytuły łacińskie, w rękopisie stojące obok polskich; opuściliśmy je w tekście dla oszczędzenia miejsca.

Przypowieści.

Pijaństwo bez wina.

Niechaj się nikt nie myli, żeby tylko winem,

Abo więc trunkiem ludzie upijali inem:

Żadnym masłokiem, który dla szaleństwa piją,

Ani tak drwią gorzałką, jako opinią.

Małoż w miłości? mało ich szaleje w gniewie?

I rozpuszczony język sam, co gada, nie wie,
A czegoż nie rozumie o sobie? nie broi?

Pycha naprzód, kiedy kto głowę nią opoi,
Lub imaginacya mocno przedsięwzięta:

Ten choroba, bywszy zdrów, ten się czartem pęta,
Prostak z mądrymi, chudy chce pacholek z pany

Równać, tego nie widząc, że kawi pijany.

Drugi się bojąc śmierci do gardła jej lezie,

Drugi omylony w swej wiesza się imprezie,
A cóż mówić o żalu i zbyt niem frasunku?

Żaden z najmocniejszego tak nie bredzi trunku,
Kiedy i Bogu bluźni. Pod tąż kładę wiecżą

Nagłą, a wielką serce pijane pociechą.

Drugi ledwie nadzieję, nie samę rzecz trzyma,

Nie wie, jako ma stąpić, i tak się odyma.

Tak się, przenosząc okiem równych swych, kokoszy,

Często skutek nadzieją skołozrywą spłoszy.

Tu łakomce, tu liczę nieuważne śmiałki:
Wszyscy bez wina, miodu drwią i bez gorzałki.
Ci już nie drwią, ale śpią sami, jako drzewa,
Których tu świecka swacha winem swym zalewa.
Cokolwiek drwią, co brydzą, żyjąc tu cielesnie,
Nie na jawi: wszystko to drwią i bredzą, we śnie.

Stary pies szczeka.

Darmo się drą szczenięta, ale kiedy pocznie
Stary szczekać, gospodarz niechaj nieodwłocznie
Dokoła dom ogląda: abo wilka w szopie
Zastanie, abo złodziej komorę mu kopie.
Chciejcie słuchać starego, młodzi ludzie, dziada:
Za laty doświadczenie, za tym chodzi rada.
Dziś kto głośniejsz zawoła, kto się w słowa sadzi,
Choć młody, niewiadomy, przecież lepiej radzi,
I starych — czegoż wino w gospodzie nie sprawi? —
Od publicznej funkcey przy domu zostawi.

Co głowa, to rozum.

Każdy człek głowę, każda głowa swe ma zdanie,
Skąd w Rzeczachpospolitych wielkie zamieszanie;
Łacniej bowiem zegarek z starym zgodzić nowy,
Niż uporne przy swoim rozumieniu głowy.
Pycha tego przyczyną, że choć z jawną szkodą,
Wprzód racyami, potym rogami się boda.
Cóż gdzie się o pieniądze cudze zgodzą zwajcy!
Bo nie niemasz trudnego złotej — mówią — szwajcy.
Lubo wadzą, lubo się zjedną panowie,
Trzeszczą ubogim kmieciom czupryny na głowie.

Ręce Chrystusowe

Kupując coś dziecięciu w aptece na glisty,
Przeczytam na ampule słowa: *Manus Christi*.
Wždy Pan Jezus z rękoma wszedł do nieba — rzekę —
Wieręby słuszną skarać o ten grzech aptekę.
Tu aptekarz: Nie ręka, lecz która pochodza,
W tym słoju leży z ręku Chrystusowych władza.
A ja: Czemuż się o niej dla Boga nie dowie
Józefowicz we Lwowie, Reynekier w Krakowie
Wprzód, niż mi tamten syna, ten córkę umorzy?
Żywot brali umarli, zdrowie wszyscy chorzy
Z rąk Chrystusowych; jeszcze mam syna, mam wnęki,
Nażyczcie mi choć jednej, przedajnali, ręki.
O straszna impostura! o powaga lekka,
Mocy Bożej się równać! Że kędys z daleka
Przywiószszy, nakłócili do swej woli ziela,
Przeto je zwać rękami świata Stworzyciela?
Nie znalazł pierwej ludzie, a dłużej sto razy
Żyli, niżli my dzisiaj, takowej zarazy,
Bo do natury żyjąc, jedli, pili miernie.
Wszystko dyabel na świecie, i to też przewernie.
Z rozpusty do nas weszła doktorska nauka,
Mając doma lekarstwa, za morzami szuka,
Przezwiska im, jakie się któremu zahaży,
I skutki przypisując dla droższej przedaży,
Że więcej poszły, które uważa, na czary,
Dziesięć ze sta uzdrowią, ostatek na mary.
A kiedy *manus Christi* żadnej nie ma mocy,
Wziąwszy doktor pieniądze choć i o północy,
Choć na ich konfuzyą siełu się wylega
Zwątpionych, mocą Bożą od chorego zbiega.

O sławę mu gra chodzi, żeby tym nie staniał,
Przeto nie wiem, słusznieli ktoś Turkom przyganiał,
Że zaraz na szubieńcę prowadzono, który
Obojął się go leczyć, skoro umarł chory.
Nie proszki, nie syropy nieznanne nam zgoła,
Miara, wczas przy dyecie i domowe ziola,
Które ubodzy naszy zagrodnicy jedzą,
Doktory i zamorskie brednie upośledzą.
Każdy kraj ma osobne liścia i korzenia
Do ludzkiego i inszych zwierzów przyrodzenia.
Kto je przywiozszy do nas nimi ubezpieczy,
Kłama, bo gorzej truje dla zysku, nie leczy.
I mojać już na cienkim włosie wisi przędza,
Proszę miasto doktora w chorobie o księdza,
Chyba żeby, jakiej się dzisiaj jęli mody,
Książdz oraz był doktorem dla większej wygody.

W duchu się cieszyć.

Cheeli kto, żeby zazdrość nie mogła mu wadzić?
Radzę głęboko w sercu pociechę osadzić.
Z tej przyczyny Poppeą żonę Otto zgubił,
Kiedy się przed Neronem z jej urody chlubił.
I krukby się lepiej miał, gdyby nie to licho,
Że zwabi kompanią, nie mogąc jeść cicho;
Często mu nie potknięty kęs wypadnie z pysku.
Niemasz z chwały żadnego krom zazdrości zysku.
Dał ci Bóg grzeczne dzieci? wolno ludziom chwalić,
Ty milez, nie chcej do zguby okazać galić.
Odbiera od chwaleckich swoje Boskie dary:
Przykład w Ezechiaszu ma testament stary,

Pokazując, jako go wielmożnie z bogacił,
Wszystkie skarby i z dziećmi do pogaństwa stracił.
Doznał tego i Dawid, choć oba kochani,
Jako Bóg zmierzłą sobie ludziom pychę gani.
W zanadrzu się ciesz! I tym swoje wiersze kończę:
Z łakomym, kiedy co je, skryj się pod oponę.

Rzadko łyż szczere, kiedy jawne.

I tę wadę miewają nieostrożni ludzie,
Ze się wydają jawnie, żałując w obłudzie,
Że przeto łyż nieszczyrych wywiesili wiechę,
Chcąc nią pokryć serdeczną w piersiach swych pociechę.
Jakoż dwojakię tylko łyż najszczerze leczą,
Co synów i pieniędzy zginionych się tyczą:
Pieniądze za fortuny mogą być faworem,
Synów trudno uchować ludziom starem, chorem.

Skromnie znoś nieboże, co cię minąć nie może.

Nie skwierceć, nie narzekać! Raczej skromnie znoś,
Czemu ani obronić, ani się wyprosić;
Co każdego, nie ciebie samego z osobna
Potkać może człowieka, minąć niepodobna.
Pod rejestrem szkód, chorób siedzimy na świecie,
Bez przywołania sprawy będzie po dekrecie
I nie wprzód nam zadzwonią w kościele u fary,
Aż po egzekucyjej położą na mary.
I to jeszcze sen, nie śmierć, nie grób, turma, z który,
Skoro wynidą czasu wymierzone sznory,
Nie do dzwonka, do trąby nową sądu modą
Ostatniego dekretu słuchać nas wywiadą.

Może uciec przed trąbą żołnierz, może uledez.
Ale tu każdy w nosie swój nosi hamulec.

Opak świat.

Że nie zaraz sodomskich gromów padną chmury,
Prawa Boże a czemuż depcemy natury,
Choć nam nic nie borguje ani czeka śmierci,
Ale w ciele cielesne wypłaca nam ówierci?
Nie dosć, że nam we wszystkim ujęła obroku,
Że w tym dziś zgrzybiał, w którym pierwej ssał człek
Kto bowiem wejźry w registr przed potopem stary, [roku;
Ledwie nas część dziesiąta dojdzie tamtej miary.
Uprzedzają rodziców synowie do grobu,
Inakszego dziś trzeba pisania sposobu:
Nie synów, jako było, do ojców śmierć rącza.
Ale ojców, niestetyż, do synów przyłącza.
Insze kinąwszy, swoim dowodzę przykładem,
Gdym z ojca trojga dzieci ledwo został dziadem
Jednego wnuka, kto wie, i tego przede mną
Jeśli nie weźmie sroga śmierć w przepaść podziemną.
Siedmdziesiąt lat ociec żyw pod serdeczną raną,
We dwudziestu dwu zdrowe dzieci żyć przestaną.

Miej się do mocniejszej ściany.

Kiedy się dwaj sąsiedzi przez trzeciego wadzą,
Do wojny go, choć o niej nie myśli, wprowadzają;
Oba proszą o pomoc, a niemasz sposobu,
Chyba pojednać, żeby posiłkować obu;
Choćbyś na obie stronie chciał uderzyć płazem,
Żebyś dwu nie miał na się nieprzyjaciół razem,

Gdyż i ten i ów na cię, byle skończył bitwę,
Żeś jego prośbę wzgardził, cicho ostrzy brzytwę.
Nie mozeszli ich zgodzić, nie czekaj wygranej:
Zawczasu się przychylaj do mocniejszej ściany;
Umykaj z tego boku, który bliższy wody,
Siedząc na środku łodzi, jeśli chcesz ujść szkody.

Dojutraszek.

Baleś mię w ten czas nie znał! baleś nie ratował,
Kiedym w toni kłopotów po uszy bobrował!
Z dalekaś patrzył, jako moja biera padnie;
Któż wie, jeśliś nie życzył pić mi wody na dnie?
Jeśliś nie mógł zdobyczą całego mieć bobra,
I deska z sąsiedzkiego rozbicia rzecz dobra.
Teraz, widząc na wierzchu z niebezpiecznej tonie,
Ofiarujesz swe chęci; wierę mniej dbam o nie.
Zawodzi się, kto takich przyjaciół sposobi;
Łacno o myszkę, łacno o ptaszka do zobi:
Dmuchi wiatr, aż oboje wraca do natury,
Ptak oknem leci na dwór, mysz się kryje w dziory.
Fortel na złego charta, co tylko do parzy,
W polu nie chce pościgać: wieśsić, gdzie się zdarzy.

Chceszli wziąć, daj.

Kto chce wziąć, trzeba wprzód dać: samo niebo świadkiem,
Że wzięte być inaczej nie chce, tylko datkiem.
Ktoby rzekł, że Bóg czego po nas, będąc Bogiem,
Potrzebuje? Bogu ten, kto daje ubogiem.
Starej to przypowieści argument niezbity:
Daję, żebyś dał; czynię, żebyś czynił i ty.

Sądy by tylko, w których sprawiedliwość płaci,
Wolne być darów miały: dziś kto nie da, traci.
A co gorsza, gdy wzięwszy od obojej strony.
Więcejli da krzywdzący. przegrał ukrzywdzony.

Lepiej najdrożej kupić, niż wyprosić.

Ciężkie słowo rzec: Proszę, umysłem wspaniałem,
Ale jeszcze daleko cięższe słyszeć: Dałem.
Wolę najdrożej kupić, wolę jeść jałowo.
Niż i mówić i słyszeć tak okropne słowo.
Aleć próżno: nie ma gwałt prawa, nie ma czoła,
Największy wstyd koniecznej potrzebie nie zdola,
Zwłaszcza gdzie gra o żywot. Choćbym mógł nazbierać
Przykładów, niż on prosić, że wolą umierać.
Wielu i dziś w obliżu żyć nie życzy sobie
Cudzej łaski, a tamci i leżeć z nim w grobie.
Tak to rzecz u poganów żywot była tania;
Dziś i prosi, i płaci, i doktorom kłania,
Zabierając obliży dożywotne ręczy
Dziećmi, przysięga, że mu tę łaskę zawdzięczy,
Bez pożytku ciskając wszystko troje w błoto.
Kędy indziej doktora sądzonoby o to.
Kiedyby ich w cieńsze trzewiki obuli,
Koło zdrowia ludzkiego chodziliby czuli.
Abo widząc, że miejsca już nie mają leki,
Nie pisałby recepty drogiej do apteki.
Prócz korzenia do kuchni, na lekarstwo wina
I w tych nie sprzedawano. Dziś czym ociec syna,
Abo syn ojca miał grześć, wprzód, niż mary ściela,
Doktor to z aptekarzem między się rozdziela.

Inaczej daje ubogi, inaczej bogaty.

Bogaty ubogiemu dawszy, nie nie bierze
W nagrodzie, jedne tylko nabożne pacierze;
Ubogi bogatemu dając upominek,
Wyzywa go na skryty z sobą pojedynek.
Da pan taler za strzałę, da czerwony złoty
Byle krymskiej za czapkę baranią roboty;
Puści kmiecia za konia, skrzypek mu zagędzie,
Sto złotych; czemuż dziada szelągami odbędzie?
Władę więcej w niebie jeden jego pacierz waży,
Niż wszystkie brednie, których ciału się zabaży?

Dymy przedajne.

Czytając tę przypowieść, długo myślę, gdzieby
I do jakiejby dym kto kupował potrzeby.
Między bowiem rzeczami dym rachują trzoma,
Dla których się osiedzieć człek nie może doma:
Dach dziorawy, zła żona, co się zawsze boczy,
Zawsze swarzy; trzeci dym, kiedy kasa w oczy.
Biedne pezoły, uchodząc dymowego smrodu,
Uciekają, odbiegszy w ulach swego miodu.
Potym czy go na wagę, czy łokciem, czy garcem
Z podgórskiem. robię głową, sprzedawają marcem.
Obchodzę wiechy, tasze; będąc już niemłodym,
Wszędy mię do piekarni odsyłają po dym.
Darmoć go tam dostanę, bez pieniędzy? — rzekę.
Że też na koniec wstąpię, mijając aptekę.
Ledwie spytam, odpowie aptekarz: Chybaby
Na świecie go nie było i między Arabi;
Z Indyi, z Ameryki jest. Liczy mi zatem
Kadzidła, co się rodzą gdzieś za nowym światem.

O dym pytam; ziela mi nie trzeba, mój panie!
Aż ów: Na ogień włożyć, z ziela się dym stanie.
Mam ci ja drwa bez tego; schowajcie się z china,
Jeszcze gdy z pieca kurzy, każę lepić glina.
Bale zdrowiu pomaga ten, a tamten wadzi.
Potym do szerokiego sklepu mnie prowadzi,
Gdzie pudło wedle pudła, słój stał wedle słoju,
Te proszków, drugie pełne różnego napoju,
Gałek, wódek, korzenia od wszelkiej napaści
Choroby, pod różnemi przezwiskami maści;
I radzi mi zażywać z nich prezerwatywy,
Chcieli być zdrów. A tyś to — rzekę — dyable dziwy,
Dymy ludziom sprzedajesz? Jeszcze koniec nie tu
Tego, który mi głowę mozoli sekretu.

Honory i tytuły świeckie.

Idę na dwór królewski, książęcy, biskupi,
Aż za drogie pieniądze jaki taki kupi
Jeden arkusz papieru; kilka wierszów na niem.
Tysiącby liber za to mojem kupił zdaniem.
Z osobna, że mu pieczęć na wosku przyciśnie,
Kilkanaście czerwonych złotych znowu błysnie.
Pytam: Co to? Przywilej — ktoś mi odpowiedział —
Zostawszy honoratem, będzie wyżej siedział.
A jeś co? rzekę, aż ów: Oboje to w kupie
Nie bywa; dość nań siedzieć w kasztelańskiej jupie;
Dosyć mu urzędnikiem być, abo prałatem,
Mieć głos przed równą szlachtą na sejmiku zatem.
A wież on — pytam znowu — co Rzeczpospolita?
Ani się król, ani się książę o to pyta.

Niechaj się on, co by jadł, coby mówił, stara,
Tego, co dał przywilej, najmniej nie ugara.
Jam rozumiał, że mu to — odpowiem szczerze —
Wszystko piszą w tak drogo kupionem papierze.
Anoż — rzekę — drugi dym gorszy, niż w aptece:
Wżdy tamten pachnąć będzie przytknąwszy do świece;
Zgore papier? niemasz nic, prócz dymu a smrodu,
Nie zgore? po twej śmierci pójdzie do wychodu.

Nabożeństwa do niektórych plebanów.

Aleć siłą kramarzów i krom tych widzimy,
Którzy ludziom sprzedają tym podobne dymy:
Tu kładę nieposłuszną Kościołowi księżą,
Co darmo wzięte drogo świętości pieniądze.
Gorsza, czego nie wzięli i nie mają — ktoby
Rzekł? — ziemię im powszechną sprzedają na groby.
Nie płacą ich domowi i zwierzowie dzieci,
Własną swą ziemię muszą płacić im dziedzicy.
Gnije bydłę z kośćcami w swym do końca świata.
Dość zgnić; człeczemu ciału precz kości wymiata.
Choćby lewici mieli po dziesięci łąnów,
Więcej trzy łokcie ziemię panoszy plebanów,
Nie orząc, ani siejąc, czegoby śród Krymu,
Nie znalazł. To ci nie są przekupniami dymu?
Insze rzeczy wyliczać długoby, jako są:
Pacierz czytany, świece z kropidlaną rosą.
Wszystko to dobre, wszystko w kościołach zwyczajne,
Jednak za pieniądze być nie może sprzedajne,
Jako dym czystych modlitw wdzięczna Bogu wonia,
Co go ściany nie zamkną, wiecher nie rozgonia,

Bo go anieli, wzięwszy z serc ludzkich ołtarzów,
Kładą przedni ofiary do turybularzów.
Inaczej niechaj wszyscy ci wiedzą, którzy mu
Pod nos kurzą, kramarze obłudnego dymu,
Że i on puści gniewu dym, co ich na wieki
Będzie dusił, w rzewnych łzach narzając powieki.
Czemuż nie sprzedał dymu, którym czarta płasza?
Ale wolał nauczyć anioł Tobiasza.
Jako z serca rybiego miał nim potym kadzić.
Żeby go wygnąć, żółcią ślepoście poradzić.
Jest — nie mówię o wszystkich — plebanów dziś wiele,
Co i do rytuarza i do rubrycele
Mieszając swych prywatnych konceptów ipsymy,
Przedawać się podobne domyślają dymy.

Figury astronomiczne.

Tych namieniwszy, jako mogło być najskromni,
Figur astronomicznych pióro nie zapomni.
Nie dymem, ale drwami nazwaćby je raczy
Jeszcze nie rąbanymi każdy mądry baczy.
Przecież je nazwę dymem, kiedy patrząc w górę
Erygują człeczego żywota figurę.
Lecz jako dym nad miarę wyżej się nie dźwignie,
Bo niedołączne skrzydła ledą wiatr przysrzygnie,
Tak bywszy starodawnych astrologów cieniem,
Nie daleko dosięgą i ci swym patrzeniem.
Ale niech dobrze znają, dobrze gwiazdy widzą,
Ledwie ich nie każdy dzień wydaje, że brydzą.
Więc temu, który codzień w swym się myli oku,
Wierzyć, kiedy o całym praktykuje roku!

A cóż o kilkudziesiąt ludzkiego żywota?
Kawy, drwa, dym, wymysły, chaldejska rhamota.
Przyznam: mogli poganie, czcząc dyabelskie bożki,
Prawdziwe przez zabobon opowiadać wrożki,
Ale nauka boża pod rządem Kościoła
Wszystko to, co do guseł podobno, wywoła.
Dość na nich bieg słoneczuy, dość miesięczne kwadry;
Nie drwić z ludzi, kładąc im swe plotki w zanadry.
Może z desperacyej umrzeć prostak jaki,
Uwierzywszy, że mu śmierć znaczą zodyaki.
Matematyc[y] mądrzy, ale każdy głupi,
Który sobie za swoje pieniądze dym kupi.
Bo jeśli temu wierzy, niechaj się spowieda,
Pokutuje. Nie wierzy? Pytam: Za cóż je da?

Dymem wszystko pod słońcem.

Wszystko, co jest na świecie, co się ciała tycze,
Prócz naturze potrzebnych rzeczy dymem licze,
Który choć na jeden targ pod piekielną wiechę
Różną wagą sprzedaje, różną dyabel cechą:
Tym korcem, drugim kuflem, tym szczyptą, tym miarką,
Choć i wszystkim za duszę: tym łyżką, tym czarką.
Kłamają — wierz mi — ludzie, pychę zowąc sławą,
Jakby też słońcem nazwał makuch kto pod ławą.
Nie ma prawdziwa sława nic w zbotwiałym ciebie,
W królestwie śmierci, ale w niebie gniazdo ściele;
Jest i na świecie, jednak dopiero się szerzy,
Skoro śmierć z obłud ziemskich to ciało wypierzy.
Dopiero cnota słynie, dopiero płomienia
Dym dostąpił, gdy wyszła na wolność z więzienia.

Bo póki ją grzechowe pęta w ciele gniotą,
Nie możemy zwać śmieie doskonałą cnotą.
Siłuz dziś słońcy zowie wzrok człowieczy miałki
Gorzej dymu przed Bogiem kurzące zbutniałki?
Dymem wszystkie cielesne grzesznych ludzi względy.
Nie będzie dym bez ognia, a ogień że kędy?
Spyta kto. W piekle — rzekę — stamtąd, jako z kuchnie,
Skoro się sadze zajmą, kominem wybuchnie.
Dyabeł miechami robi i już tego blisko,
Że obróci w żalodne świat pogorzeliisko.
To tylko, co odleje miłosierdzie boże
Krwią synowską, od ognia cało zostać może.

Ochota nierozmyślna wstydu przyczyną.

Nie radziwszy się pierwej zwyczajnie szafarza,
Ktoś w Rzymie na wieczera zaprosił cesarza.
Tuszył, że się wymówi, a skoro się stawi,
Kurę przedzeń, chleb i ser, więcej nie postawi.
Widząc w nim konfuzyą, rzecze cesarz skromnie:
Nie wiedziałem, żeś miał tę podufałość do mnie;
Za wieczera dziękuję. To w zysku odnoszę,
Że jutro smaczniej obiad zjem, na który proszę.

Wół do siodła, koń do pługu.

Wół gnuśny siodło, jarzmo wspaniały koń woli:
Chłopi teraz pilnują wojny, szlachta roli.
Powinien za odmianą stan chodzić natury:
Słuszna chłopów na szlachę, a tych postrzydz w gbury,
Którzy wojny nie służąc, na grzbiecie kirysu
Nie dźwigawszy, pilnują Gdańska, Wisły, flisu.

Co dwu abo trzech wie, już to nie sekret.

Tylkom to raz jednemu powiedział w sekrecie,
Aż o tym głośno prawią szragarki na trecie.
Uskarżał mi się samsiad. Rzekę: Mój kochany.
Kiedys sam nie mógł w sobie zatrzymać milezanej,
Jakożes się jej — pytam — spodziewać miał po kiem?
Choćby gęba milczała, wyporze się bokiem.
Już to nie sekret, co go dwaj abo trzej wiedzą:
Puściwszy ptaka, ujźrysz za dziesiątą miedzą.

Na toż drugi raz.

Nie darmo językowi dwa wały, dwa mury,
Wargi — mówię — i zęby dane od natury;
Nie darmo i rarodzy, i bystrzy sokoli
Noszą kapturki: zęby nie bujać po woli.
Próżno: jeśli języka rozum nie uskromi,
Wały i mury, wargi i zęby przełomi.

Wyuzdany język.

Mówią ludzie, krom wszelkiej że nad wodę przeczy
Nikt mocniejszej pod słońcem nie wymyśli rzeczy:
Ma wielką i petarda, ma i mina władzą,
Mury, wały wyrzuca, kędy ją podsadzą;
Wždy jest na minę woda, są na rzeki tamy,
Którymi je człek chętna. Myśli tylko samej
Drugiemu językowi, jeśli się rozpada,
Trudno hamulca, trudno przybierać wrzeciada.
Skoro iskra afektu, dopadszy go, wzburzy,
Choćby najgłębiej serca petardą wynurzy.
Nie zaleje: im więcej owszem pije wina,
Tym szalenie, tym wścieklej rzyga jego mina.

Stąd morzem zową człeka, tajemnice ktory,
Jako i morze trupa nie cierpi z natory.

Rozum ojcem, język synem, myśl córką.

Rozum ojcem, myśl córką, język synem, ale
Rzadko który posłusznym: częstokroć zuchwale,
Wydziera, abo ojcu z domu się wykrada,
Po karczmach, po zantuzach gdy leda co gada.
Kradnie kłamając, zbija, jako zbójca w boru,
Odzierając pokątnie cnotliwszych z honoru,
Jako zwykli bez roli, bez rzemiosła drabi.
Trafia się, że na włosy ojcu kupca zwabi.
Ale i córka druga prócz, że pokryjomu.
Nie tak jawnie, jako brat, wykradszy się z domu,
Jako mniszka z klasztoru, jeśli puści krata,
Zaśnie ociec, po miejscach nieprzystojnych lata.
Prawda, że siebie tylko, nikogo nie szpeci,
Ale się ociec sprawi, że źle ówcił dzieci.
Kiedyby się rozum czuł, aniby tak wiele
Kawił język, aniby wyszła myśl z swej cele.
I choć się wróci znowu, ale po kolana
Ciałem, światem, ba czasem wyżej uszargana.

Sila ma gotowy nad niegotowego.

Baran wilka, kur lisa, szlacheć pana zdole.
Jakoż to? Owych kiedy powiążą na dole:
I wilk, i lis, nie myśląc, że ukryta zdrada,
Ten dla kura, a tamten dla barana wpada.
Trafi li na szlachećca i pan rezoluta,
Przyplaci mu, mając czas i miejsce, koguta:

Abo z kontradykcyą na sejmiku stanie,
Abo bez apostołów samego zastanie.
Nie mogąc jawnie pomścić, napuża go z kąta,
Jako Dawid Saula, gdzieś, kiedy brzuch prząta.
To nie, kiedy się równe garce wzajem tłuką,
Chudemu panu ujdzie, jaką może, sztuką.

Nędza nędzę pojęła.

Pojął chudy pacholek dożywotną wdowę:
Pierwszego męża wioski trzymała połowę,
Nie nie wniosła swojego, tylko brzuch a ciało;
Dziatek nieboszczykowski kielkoro zostało.
Nagi orzechy zbiera, to będzie miał w zysku,
Stara przypowieść — rzekę — co wyniesie w pysku:
Żona umrze, drugich mu narodziwszy dziątek,
Więś wezmą, orzechów pasz, niemasz z czym do jatek,
Kiedy ani folwarku, ani będzie kmieci.
Nędza nędzę pojęła, spodziewaj się trzeciej.

Ludzi przybywa, ziemię nic.

Przybywa ludzi na świat: każdy sobie życzy
Co najwięcej mieć ziemię, którą ograniczy
Morzem Bóg, że jej przybyć nie może na stopę:
Azyą, Amerykę, Afrykę, Europę.
Rzecz kto: Umierają. Toć jest prawda szczerą,
Ale każdy dzieciom swym, co miał, odumiera.
Gdzieżby się ci, a jest ich liczba niezmierną,
Podzieli, co po ojciech nie wzięwszy zagona,
Kiedyć jeden tysiącem pługów sto wsi orze,
Musi drugi nosić swą substancją w worze?

Kiedyby Urowieskich nie byłoby panów,
Dawnoby się postrzygli wszyscy na cyganów.
Lecz stanie handel, stanie rzemiosło za rolę:
Znajdą się, co umiając, wszystko kradąc wola.
Temu się niech i słusznie każdy baczny dziwi,
Co się wbrew rozumowi zdrowemu przeciwi,
Że ledwie tysiączną część ziemie ludzie orzą,
Wždy się głodem na kilku jej kawałkach morzą.
Gdyby wszystkie orali, i często i tłusto
Jedliby, lecz żyźniejszej więcej leży pusto.
Nie mogąc się pożywić, nie mogąc nie wskorać,
Siłu musi za rolę wiosły wodę orać.
Nieszczęsna zazdrość wszystko wywraca na nice,
Trzeba między sąsiady na sto mil granice,
Ani mnie, ani tobie: o wodę się wadzą!
Cóż mają dać? żąć zboże? ryb łowić nie dadzą.
Wolą się chrześcijanie sami z swych kawalców
Spychać, niż na pogańskich obrócić zuchwalców,
Choć takich podkomorzych straszne boskie słowo,
Którzy kopce przenoszą, przeklina surowo.

Przepiórcze pole.

Przepiórczym polem sądy trybunalskie zową,
Gdzie szlachcic, odprawiwszy funkcją sądową,
Prostym wraca szlachcicem, i czym był w Lublinie,
Znowu na wsi nie będzie, skoro mu rok minie.
Orlemy je zwać raczy: nie przepiórki, bowiem
Przez niedziel sześć, lecz orły przez cały rok łowiem.
Przecież nie wszyscy, ani zawsze — mówię znowu,
Gdyż ich więcej dla enoty jeździ, niż dla łowu.

Dopieroż o dzisiejszych rzec to mogę szczerze:
Nie łowią, ale ronią swoje własne pierze.

Ośli cień.

Bronił obwinionego w pewnym trybunale
Wielki or krasomowca, Demostenes; ale,
Kiedy go nie słuchają, ten szepce, ów drzymie,
Wielec się ucieszycie — zawoła — jeśli mie
Choć krótko posłuchacie. Tak skoro ich ruszy,
Że wszyscy oczy, wszyscy wyciągną nań uszy,
Nie gadają, nie drzymią, chcąc go słuchać, a ten:
Najął — rzecze — ktoś osła z Krotonu do Aten,
Żeby mu króbkę¹⁾ zaniósł na jarmark z towarem;
Nastąpiło południe w drodze z słońcem jarem;
Drzewa niemasz, któreby było odpocznieniem,
Więc osła postawiwszy, siadł pod jego cieniem.
Broni najmit, mając tę racją po sobie:
Osłam ja, bracie, najął, nie cień osli tobie.
Po długich tedy swarach, co się trafia części,
Gdy nie mają sędziego, przyszło im do pięści.
To rzekszy, Demostenes nie chce dłużej siedzieć.
Proszą ci, żeby mogli koniec bajki wiedzieć.
Więc wam o cieniu oslim miło słuchać — rzecze —
A tam śpicie, o zdrowie kędy chodzi człeczce?
Dopowiem, kiedy niż sąd, wolicie zabawę,
Jednak wprzód skończcie, proszę, przedsięwziętą sprawę.
Naszym dzisiaj patronom służy ta przestroga,
U których żart i leda bajka tak jest droga:
Żeby się tylko mogli z swym konceptem chlubić,
Wolą sprawę, niżli żart, ile kształtny, zgubić.

¹⁾ Krupkę.

O sierć kozią hałas.

O sierć kozią, która się i na biedne baby
Nie zejdzie, klóćą ludzie, minawszy jedwab;
O rzeczy świeckie, ziemskie, co należą ciału,
Pieniąją się na każdy rok do trybunału;
Ale które się nieba, które tyczą dusze,
W odłóg, jakoby dosyć zbawieniu ratuże.
Cokolwiek, żyć przestawszy, człowiek z ciałem grzebie,
Wszystko to za sierć kozią, wszystko mam za zgrzebie.
Sławę, bogactwo, honor, z piekielnego kozła
Oskubszy, na świat pycha przeklęta przywiozła.
Jedwabiem, nie jedwabiem, złotem i bisiosem,
Cnota sławą, rozkoszą, cnota jest honorem.
Nie spada sukcesyą, ręka jej łakoma
Nie wydrze, każdy ją ma, byle sam chciał, doma.

Z okazyj kozi sierci.

Kazał Bóg, o czym czytam w Mojżeszowej księdze,
Złoto, srebro, gatunku wszelakiego przędze,
Jedwab, szarłat, karmazyn, żeby nowej fozy
Przybytek mu stawiano, nawet wełnę z kozy
Znosić, kogo na droższe fanty stać nie może,
Żeby z niej tkano koce, oponcze, rogoże,
Bo mieszkając pod niebem do czasu Dawida,
Wszystko się to na słotę i na rosę przyda.
Dziś, kiedy się z namiotu w miasto wyprowadzi,
Które i murów i bron dwunastą osadzi,
Miasto ze złota, bromy z pereł, mur z kamieni
Droższych, niż dzisia kładą ludzie do pierścieni,
Gdzie go deszcz nie dosięże, jako w tamtej szopie,
Cóż mu — pytam — po złocie, które ziemia kopie,

Po jedwabiu, szarłacie, co mu po bisiorach,
Po sierci kozi, co mu po baraniach skorach?
Wszystko to, co na świecie, co w królestwie śmierci
Rodzi się, w oczach Boskich równe kozi sierci.
W tę dziś Kościół, choć się mu zda, że barzo drogo,
Jego stroi, w tę nowe Jeruzalem, kto go
Złoci, maluje i co ludzkie oczy wabi,
Szpalerami barwistych kolorów jedwabi.
Tym najbogatszy Boga raczą chrześcijanie,
Czym najuboższy żydzi na jego mieszkanie,
Bo nie mieszka w przybytku; próżno go człek zdoła,
Który śmiertelna ręka na świecie mu robi.
Ten złoć, zdób, w drogo tkane obijaj kobierce,
Który sobie zbudował: twoje, człeczce, serce.
Wewnątrz, nie z wierzchu. Sami ludzie się tym chlubią,
Siebie chwala, nie Boga, na co patrzeć lubią.
Miła mu, że wzgardzona, oczom ludzkim skryta
Cnota. Nieprzyjacielem Bóg swym świat poczyta.
Nie chce z nim nic spólnego, i kto go po świecie
Chwali, nie mężowi go, ale równa dziecku.
Rozumnej sobie służby po nas się domaga,
Cielesnymi fraszkami żaden go nie błaga,
Prócz postu, ale postu nie w potrawach braku,
Jałmużny i modlitwy, niwczym nie ma smaku.
I z tym się kryć przed ludźmi, i z tym chować każe;
Już się ten sam, nie jego chwali, kto pokaże.
Od żydów złota, które w ziemi się głęboko
Chowa, od nas chce cnoty, której ludzkie oko
Nie widzi. I sierć kozią, jeśli prostak z chuci
Szczyrym sercem przyniesie z wiarą, nie odrzuci.
Milej przyjął od babki, że je dała szczerze,

Niż od książąt dukaty, one dwa halerze.
Precz biskup z kozią siercią, gdyż na kościół Boży
Złota trzeba. Niema go? Kupić, by najdroży,
Jako Laodyckiemu w swym przez Jana liście
Z nieba samże Chrystus pan radzi oczywiście.
Dla Boga, niż o złoto, więcej naszych czasów
O kozią w chrześcijaństwie sierć robią hałasów.

Tygrys na grzbiecie, zając w namiocie.

Nie skórą, niechaj żywym, z pyskiem się otwartem
Tygrem tehórz, abo strasznym odzieje lampartem,
Niech nawet jednorożca przywiezie z zamorza.
Abo srogięgo słonia, nie będzie lwem z tehorza.
W baraniam, jeśli z pola nie uciecze szpetnie,
Kozuchu go Tatarzyn zajechawszy zetnie.
Piersiami, czołem, ręką, pewnym handoletem,
Sercem, odwagą, męstwem; nie ustraszysz grzbietem.
Nie straszy, ale wabi poganina w pole,
Kto się czuje, że sercem, że i siłą zdole.
Wrony ploszą od brogu skórą z pierzem zdjętą,
A kuropatwy wabią myśliwi ponętą.
Nie mogło nic prawdziwie lepiej przypaść na nich,
Że za tygrysy jęli burek się baranich.

Taż to Helena?

Taż mi sprawa Heleną ma być, co się dla niej
Dziesięć lat bili Grecy i głupi Trojani,
Dziesięć lat gotowawszy na wojnę tak szpetną
O niewiastę przy twarzy nadobnej zaletną?
Umre, czy skończę pierwej? wygram ją, abo nie?
Trudno wiedzieć: czy mięso, czy płoný wiatr gonię.

Nu do kata, dla rzeczy niepewnej z kłopotem
Śmielsza, niż rycerz w polu, baba za swym płotem.
Mnie o zysk, a tamtemu gra chodzi o szkodę:
Małe oboje. Aboż pódźmy z sobą w zgodę.

Kozła doić.

Przed bogatym lecz skąpym, zdjąwszy czapkę, stoisz?
Pochlebiasz? nadskakujesz? próżno kozła doisz!
Chybać wina kieliszek, abo da gorzałki,
I toć będzie rachował przez gardło michałki.
Także u ciebie honor i twój pokłon staniał?
Jabym się i za heczkę żydowi nie kłaniał.
Drugi żyd bez ukłonu, nawet bez pieniędzy,
Trafil się polityk, poczęstuje prędy.

Na toż.

Dwu błaznów, choć o sobie każdy trzymał wiele,
Oba sąsiedzi, oba moi przyjaciele,
Zjechawszy w dom, że słuchać nie było ich zdrowo,
Prawili, dysputując się, ni to, ni owo.
Jeśli głupie pytania, głupsze odpowiedzi.
Prześciancie bredzić; lepiej napić się, sąsiedzi.
Wiechcia i gówna stoi dysputa się taka:
Ten kozła doi, drugi nadstawia przetaka.

Dym dysputacya.

Ledwie zsiędę do swojej w Krakowie gospody,
Aż mi kartkę pisaną mnich przynosi młody.
Pytam: Co? Theses — rzecz — dla Mościego Pana,
I prosi na dysputę wraz od gwardyana.

Siedzę. Mniszy się swarzą, ba, ledaco pletą,
Łacinać, prawda, z sobą mówią, ale nie tą,
Coćem też nie za szkołą uczył się jej młodo.
Zrazu cicho do siebie: Wstydz się — rzekę — brodo.
Aż zrozumiałwszy, że się kawy czwarzą o dym
Słowy swego wymysłu, nazad do gospodym
Obrócił, co lepszego chcąc zrobić. Tym czasem
Krzykną trąby okrutnym na chórze hałasem.
Pytam: Na co? Bo racyi stronie jednej nie stać.
Dawno było zatrabić, i tej brednie przestać.
Gdyby o pobożności, siedziałbym do świtu.
Aniby tego trzeba trąh wojskowych zgrzytu.
Czy nie tu — myślę — wróżka ściaga się Piotrowa,
Że wami kupeczyć hędą przez obłudne słowa?
Czy nie o tych to gadkach Paweł drugi pisze,
Że nikomu, prócz jednej przydadzą się pysze?
Zwykle się w próżnujących głowach dymy rodzą,
A kopeąc ludzkie uszy, językiem wychodzą.
Jako więc w pustych ulach mrówki, osy, myszy
Gnieżdżą się. pycha to jest, moi drodzy mniszy,
Nie zwyczajnymi słowy chcieć, jako na probie,
Opinią mądrości w ludziach sprawić sobie.
Filozofskie to dzieło. Dosyć jest na księżą,
Że i grzech i świat słowy bożymi zwyciężą.

Przyrodzoną gładkość wymyślna ozdoba szpeci.

Uważając dzisiejsze płci niewieściej bryże,
Jako pięchrzy, maluje, tylko się nie liże,
Choć jeśli z przyrodzenia szpetna będzie plucha,
Nie ozdobi na czele włos, na gębie mucha.

Tylkoć to psu na białem czarne cynki deku
Mogą przydać piękności, ale nie człowieku.
Darmo włos kudli, darmo kole uszy — rzekę —
Darmo u nich do ramion z pereł wiesza tekę.
Która z natury piękna, przez takie rupieci
Miasto ozdoby gładkość przyrodzoną szpeci.
Której czego natura umknęła w urodzie,
Posag przy obyczajach hędą jej w nagrodzie.
Jeśli która pięknego składem ciała krasi,
Marnymi postępkami niechaj jej nie gasi.
Świnia w pysku ma pierścień, w złotym wół czoddarzo
Chodzi; kędy od pięknej serce różne twarze
Chee poprawić natury, chee co przydać do niej,
Milczeniem usta, wstydem niech maluje skroni.
Miasto zausznie kłódki niech przy uszach wiszą,
Nie domyślając, jeśli rzeczy marne słyszą.

Suknia grzecznemu przydatkiem, błaznowi ujmą.

Chcąc ktoś wielkiego durnia grzeczniej udać wdowie,
W soboli ferezyej, w świeżym złotogłowie
Prezentuje wieczorem i sadza u stołu,
Choć nie mógł trzech słów dobrze wymówić pospołu.
Uszło to przy wieczerzy; skoro do obiadu,
Postrzegsz, że i suknie były nie do ładu,
Jako nie nań skrojone, i ten, co pożyczyl,
Żeby ich nie popluskał, co raz się z niem ćwiczyl;
Gęby nie śmie otworzyć, chyba na kieliszki,
Nawet biednej nie umie dobrze ująć łyżki,
W tańcu wodzą jak tura, ni cery ni wzrostu,
Zgoła, w coś go tknął, wielkim błaznem był poprostu.

Więc gdy prośbę przyjaciel wniósł humorowaty,
Sobole, rysie do mnie przyjechały w swaty;
Człeka pasz — rzecz wdowa — jeśli na przedaniu.
Zapłacę, nikogo im nie mam na wydaniu.
Żeby nie zacie rodził, tego nikt nie zada;
Że szpetnie, nikt nie winien; jego własna wada.
Widząc przyjaciel, z błaznem że trudno na ryby,
Odjechał go nazajutrz, żeby liczył szyby.
Inszej konwersacyej nikt z niem nie spodziewał:
Abo ręką za kołnierz sięgał, abo ziewał.
Nażartowawszy wdowa każe na wóz wsadzić,
I żeby gdzie nie zbłądził, z domu wyprowadzić.
Nie przetworzą moskiewskie sobole, kiedy się
Błaznem rodził, w grzecznego, ani perskie rysie.

Midas ma ośle uszy.

Midas ma ośle uszy. Spowszedniała baja,
I dobrze tak na błazna, dobrze na hultaja,
Że dank przed Apollinem komuś przyznał w pieśni,
Dał mu, jakie osłowie uszy noszą leśni,
I kiedy się z kukułką słowik o głos spiera,
Oboje osła z uszu sędziem swym obiera.
Żaden zwierz większych nadeń, każdy ma do grani:
Chwali błazen kukułkę, człowieka pogani.
O! nalazłżebyś wielu terażniejszych czasów
Przysłuchawszy się ludziom, podobnych Midasów,
Którzy choć długie, ale uszy mają głupie,
Jakby na malowanym powiesił je słupie.
Nie uszy temu winny, lecz miąłki rozsądek:
Lepiej słyszą i chwałą, kiedy skrzyppa gądek,

Lepiej słyszą i chwałą sto razy psie gony.
Niżeli kaznodzieję mądrego z ambony.
Tam się cisną osłowie, gdzie kukułka kuka.
Gdzie żartów, gdzie conceptów kaznodzieja szuka,
Bawiąc, ciesząc, ha śmieszac głupiego słuchacza,
Historyjki i ludzkie wymysły przytacza.
Przyda li się z Biblięj co do jego brydzień.
Nie uprzykrzyłoby się słuchać i cały dzień.
Niechże słowik o enocie, o zbawieniu dusznym,
O piekle zgotowanym śpiewa nieposłusznym,
Że kto jest znikomego przyjacielem świata,
Kto żyje wedle ciała, z Bogiem się rozbrata,
Umrze na wieki; niechaj grzechom poczenie łajać,
W każdym je wytykając, serca w piersiach krajać:
Jako żywo nie pojmą tego osłe uszy,
Bo wołają, że kukułka do śmiechu ich ruszy,
Niżli słowik do płaczu; i ledwie godzinę
W srogiej nuży wytrwają taką dyscyplinę.
Przypatrzmyż też siedzącym sędziom na ratuszach,
Jeśli w osłich z Midasem nie spółkują uszach.
To z nim, ale nie wszystkim, przyznają niektórym,
Że złotym inkaustem, złotym piśzą piórem.
Radby drugi był Midą, co mu się obraca
Kaźda rzecz w złoto, której rękami pomaca;
Niechże do sentencyej, aż pijany winem
Wygraną winowajcy da przed Apollinem.
Słyszałem, choć się boję wykroczyć językiem,
Że ją nocne kukułki brały przed słowikiem.
Abo sprawy nie słucha, w której patron stawa:
Wziął co od strony, abo nie rozumie prawa.
Owo zgoła wszędy się znajdują uszy osłe,

Gdziekolwiek prawda ozwie, gdzie przestrozę pośle,
Zwłaszcza, jeśli je wprzód wzgląd, pochlebstwo, dar.
Jako Ulisses woskiem dla Syren, napycha. [pycha.
Jeszczeż mniejszą bez rogów uszy ośle szkoda;
Gorsza, że źle słuchawszy z osłem, z bykiem bodą.

Sincerum vas incrustare.

Kto lata cały kociel, prędko latać mu go
Przyjdzie, abo też nowy kupować niedługo.
Wolnyś? Nie baw jurystą. Zdrow? Nie baw doktorem:
Tamten cię w kłopot wprawi, ten uczyni chorem.
Częstą konwersacją przez racye swoje
Niepotrzebnie — wierze mi — wmówią w cię oboje.
Kto się w krzywym zwierciadle przegląda, sam zdziwi
Sobie, że gębą, która prostą była, krzywi.
Jeśli chcesz spokojnie żyć, nie wikl się, ani żeń
Nawet i księdza z domu skrupulata wyżeń.
Żonać głowę kłopotąc leda o co męża,
Sumnienie dyskursami pomieszają księża.
Dosyć księdzu kościoła, dosyć łoża żenie;
Niechaj głowa i twoje spokój ma sumnienie.
Jeśli tak, jako żenie kościół, księdzu łoże
Otwarte, cóż gorszego na świecie być może?

Nie o to go bito.

Tak w łacińskich, jak w polskich przypowieściach i to
Znajduje się przysłowie: nie o toć go bito.
Kiedy kto wielką słudze odpuściwszy winę,
Na przyjaciół i ludzi poważną przyczynę.

Za małą okazyą, choć o głupie słowo,
Choć tego nie wspomina, mści się jej surowo;
Abo też, nie mogąc kto swej urazy jawnie
Pomścić, choćby mógł, ale nie słusznie, nie prawnie
Inszą założy winę. Widziałem kalwina,
Że mu na jego polu krzyż Bożego Syna
Kmieć postawił, nie mogszy o to bić powrozem,
Zbił, że złym do nawozu chłop przyjechał wozem.
Kiedy szczerze przeproszał i grzechu się kajał,
Odpuścił Semejowi Dawid, że mu łajał.
Odpuścił, lecz nie z serca, choć tak cnotą świecił,
Bowiem synowi pomstę po swej śmierci zlecił
I kazał go Salamon o to zabić srodze,
Że czy przeskoczył potok, czy przebrnął na drodze.
W cóż twa, przez imię Boże, przysięga Dawidzie?
Rzadko się i dziś zgodzi serce z usty w żydzie.
Większa u pogańskiego łaskawość cesarza,
Gdy tron osiadłszy, widzi swego adwe[r]sarza,
Co mu zawsze dokuczał: *Evasisti* — rzece,
Po polsku się wyklada: przepłynąłeś człeczce.
Bo już temu, co pisze powszechnie mandaty,
Nie godzi się, choćby mógł, mścić przeszłej prywaty;
Uprowadził przepros, widząc, kiedy się on miesza,
Ochotnie go, w czym się czuł nieborak, rozgrzesza.
Nie odpuszcza, ale ten grzech grzechem popycha,
Kto, odpuściwszy usty, sercem pomstę dycha.
Dla Bogali to czyni, co myśl jego widzi,
To z niego; dla siebieli, to sam z siebie szydzi.
Bóg ci z siebie żartować, jako mówi, nie da,
Lecz takimże odpustem zdrajcom odpowiada,

Nie on, lecz sami na się, gdy w pacierzu mówią,
Odpuść nam, jako i my, ten dekret stanowią.

Kruk krukowi oka nie wykole.

Kruk krukowi, choć sobie oba stawiają pole,
Ksiądz księdzu, choć się wadzą, oka nie wykole.
Niechże się wmiecha czajka między kruki jedna,
Między tych szlachcic, zaraz na się ich pojedna:
Nie klująć go, ale klnąć dla onego snopku.
Cóż mówić o ubogim nieszczęśliwym chłopku?

Wojna ludzi nie rodzi.

Swoje zdrowie odważa, tak ta niwa rodzi,
Czy to w polu, czy w domu, kto na czyje godzi.
Bóg nieuchronnym okiem obie widzi stronie:
Kto swą napaścią, a kto umiera w obronie.
Uważajcie królowie, naprzód chrześcijanie,
Pierwej, niżli do bitwy wojsko w szyku stanie:
Jako wiele tysięcy dusz ludzkich w żelezie
Na śmierć się waszej kwoli odważa imprezie.
Nie znając, nie wadząc się, gdzieś od kraju świata,
Abo więc rodzzonego brat zabija brata.
Czytamy w historyach pamiętne przykłady;
Niemasz w drapieżnych zwierzach tej zbrodni, tej zwady.
Dziś już ten cud spowszedniał, bo się w domu z sobą
Mordują, co pod jedną leżeli wątroba.
Na wasz się to karb wszystko dzieje: wy rachubę
Dacie, żeście tyle dusz zegnali na zgubę.
Cóż pisać o kalectwie, o głodzie, o morze,
Co o gwałtach panieńskich, gdyż to wszystko w sforze

Z wojną chodzi? Co pisać o rabunku sprossem,
O spustoszeniu ziemie, wsi i miast żalosnem?
Skoro ludzi i bydeł na ziemi, gdzie goły,
Nie stało, nazywają pokojem popioły.

Równy się równym cieszy.

Stadem ptacy latają, płyną ryby stadem,
Bydła pasą. Że ludzie nie chcą ich przykładem,
Wielką część szczęśliwości tracą swjej osobie:
Papież nigdy równego nie widzący sobie,
Król rzadko, wojewoda częściej wojewodę,
Szlachcic, kiedy chce, wielką stąd mając wygodę,
Mieszczanin i chłop codzień, bo tamci na rynku,
Ci na pańskim, lub w karczmie cieszą się przy szynku.

Jeszcze się ten nie urodził, żeby wszystkim dogodził.

Znam ja takiego, który żadnym się pożytkiem
Nie uwodząc, wszystko jest zgoła ludziom wszystkim:
Z wesołymi wesoły, żartami nie tyka
Nikogo, nawet nimi rozrucha tetryka;
Kaźdej, byle bez grzechu, dopomoże rzeczy,
W sekrecie niechaj śmieje na niem ubezpieczy,
Szukaj w żalu pociechy, szukaj prawnej rady,
Znajdziesz do polityki, do enoty przykłady.
Mówi ci ustnie, abo pisze na papierze,
Nie czyń skrupułu, bowiem oboje to szczerze.
Nie znajdziesz ambicyej, a dopieroż pychy:
Między nieznanymi pokorny i cichy,
Jakby nie on, co między znajomymi wezora;
Lecz przecie nie z bojaźni idzie ta pokora.

Tak świętych jako świeckich dziei pełno w głowie:
Kto czego potrzebuje, wszystkiego się dowie.
Z rozumnym podufale, z pobożnym nabożnie,
Z głupim, pysznym zdaleka chodzi i ostrożnie.
O honory nie stara, bogactwa nie żąda,
Na świat się i na mody nowe nie ogląda.
Przeto nieprzyjaciela, choć się go nie boi,
Nie ma, ludzkiej przyjaźni, niewinności swoi
Ufając. Z nikim nie chce zachodzić w paragon.
Dosyć mu, na ojczyznej roli orząc zagon,
Szlacheicem być, z wielmożnym nie równając panem,
Jeść wedle przypowieści z pieprzem i z szafranem.
Króla zna, wojnę służył, ogień na kominie,
Jednaka fantazyja w domu i w gościnie;
W żalach go i w pociechach fortuna wywęczy,
Przeto żalów nie boi, pociech mało życzy,
Ponieważ nie ma żadnej ten świat bez bojaźni,
Nie cieszy nimi ludzi, ale raczej drażni.
Wie, jako przyjaciela w domu swym zabawić,
Wie, jako importuna uczciwie wyprawić;
Stąd swoboda umysłu, stąd zawsze wesoly,
Z ludźmi żyjąc, krom strachu czeka po się gołej.
Rzekłbym, że wszystkim wszystko jedna rzecz przeszkadza:
Że pieniędzy nie mając, ludziom nie wygadza.
A te wszystkie przymioty dziś bez soli jajem,
Jeśli nie dasz pieniędzy z świętym Mikołajem.

Człowiek miejsce, nie miejsce honoruje człeka.

Niechżeby się już ludzie wadzili o ziemię,
O gruuty, które orzą, rzucając w nie siemię,

Ale o miejsce, wyżej że kogo posadzą
Na godzinę, czy na dwie, czemuż się wzdry wadzą,
Choć go gospodarzowi, który obiad sprawia,
Każdy, szedszy do domu, na ławie zostawia?
Więc ich nie podle siebie, nie rżędem, nie cugiem:
Dla urazy niech jeden usiedzie na drugim.
Najpierwej urzędnicy nie chcą głupi wiedzieć,
Że nie miejsce człeka, gdzie trafi się mu siedzieć,
Ale człowiek czei miejsce; tanio się znać ceni,
Kto dla honoru nosi przywilej w kieszeni.
Tego wyperswadować ani może sobie,
Że przywilej, nie człeka, w jego czezą osobie.
Gdzieżby też to przybyło do głowy oleju,
Nie žalby i najdrożej płacić przywileju,
W uściech słów, w sercu enoty: dość, że król podpisze,
I da leda błaznowi okazyą pysze.
Trudno ma król wszystkich znać, ale winien chłystek,
Że o taki, niegodnym bywszy czując, stara listek.
Lepiej być błaznem doma: w ciżbie każdy minie;
Dopiero się wyznacza złodziej na drabinie.
Niejeden się kupiec Szot wyda przywilejem,
Mogszy ujść za szlacheica, podobnym złodziejem.
Nie czezę gówna, z daleka obchodząc go w drodze,
Lecz żeby nie pomazał bóta niem na nodze.
I Chrystus ci poczeiwszych gości czei prymatem,
Ale nie przywilejem: nauką i latem;
Bo u żydów, za czasów co się dzieje naszym,
Nie bywało skarbników, burgrabiów, podezaszych,
Co dziś. Gorsza, że chłopci, o czym wszyscy wiedzą,
Starą szlachtę do stołu, do głosu uprzedzą.

Do tegoż.

Na ziemi niepodobna. Nie wiem, jako w niebie
Posadzą bez urazy królów podle siebie.
Każdy chce prawej ręki i zaraz się gniewa,
Wojną odpowiadając, potka li go lewa.
Zawsze przeciwko sobie żeby czołem w czoło,
I to trzeba po słońcu obracać to koło.
Dośćby wzgardy, dość było afrontu dowodu,
Gdyby ten siadł od wschodu, tamten od zachodu.
Kiedy czterech na wozie królów Sezostryta
Ciągnęło, koniecznym rad wiedział, jeśli ta
Wstąpiła w zauzdane ambicya głowy:
Jeśli na naręcznego nie gniewał siodłowy,
A zwłaszcza kiedy stangret swyczajem woźniczem
Maca ich we złym razie po łopatkach biczem.
W piekle ten wyżej siedzie krom wszelakich sporów,
Co więcej ludzi zabił, więcej brał poborów;
Co większych skarbów, które z krzywdą ludzką zbierał,
Żeby się mógł popisać nimi, odumierał,

Po mojej śmierci nich się niebo wali.

Bestyalska przypowieść, a nie ludzka. Żle bo
Mówią: po mojej śmierci niech się wali niebo.
Jakby tylko dla nich stał świat, nie po nich dłuży,
Skoro, wygnawszy duszę, śmierć im oczy zmruży.
Nie ludziom; Bóg i ludzi, i świat stworzył sobie.
Siła na niem cnotliwszych może być po tobie.
I jemuć koniec przyjdzie, lecz przy jego zgonie
Ty żyć poczniesz, z grobowej dźwignawszy się tonie.
Byś nie wołał tak, jako o świecie się rzekło:
Niech się góry przywala, nim zapali piekło.

Za pieniędzmi wszystko.

Za cnotą wszystko idzie — twierdzi ktoś. Rozsądz mi
Tę kwestyą, bo drugi pisze: za pieniędzmi.
Niech ledaczego głupi prostacy nie plotą:
Nie cnota za pieniędzmi i same za cnotą
Pieniądze chodzą, bo choć kto pełen pieniędzy,
Nie ma li cnoty, żyje i umiera w nędzy.
Ma cnotę, ma pieniądze, drwią bogacze głupi,
Za które całą ziemię i niebo zakupi.
Nie miał Piotr złota, a wždy czego nie dokaże
Największy bogacz ziemski, chromemu wstać każe.
Miał Salamon, lecz go tak przed śmiercią zuboży,
Że zapomniał mądrości i bojaźni boży.
Piekło sobie i zębów kupuje ten zgrzyty,
Kto, zaniechawszy cnoty, skarbi depozyty.
Będzie płakał na tamtym, jako się z nich na tem
Cieszył w świecie, więc nazwać takiego bogatem?
Kaleką, chudym, nagiem umiera, hołotą.
Rzekłem, że wszystko chodzi, i złoto, za cnotą.

Nie trzeba prawdy zdobić udatnymi słowy.

Nie potrzebuje prawda, jako panna, farby,
Chcąc nią wysłać na twarzy pomarszczone karby.
Falsz uwijaj w bawełnę, zdób w wyborne słowa,
Boć inaczej nie ujdzie za sokoła sowa.
Choć ci i prawdę, jako lekarstwo do brzucha
Dzieciom słodzimy, żeby pieśczonego ucha
Nie kłóła, trzeba panom w bawełnę uwijać:
Ci jej słuchać, lekarstwa dzieci nie chcą pijać.
Krótka i prosta prawdy oracya szczery:
Kinola, pancerolę ma i trzy kozery.

Przy kim stoi niewinność, a na cóż jurysty
Po ratuszach najmować w sprawie oczywisty?
I zdobić i słowy jej nie trzeba zaprawiać,
Bo jako trupa darmo chceć na nogi stawiać,
Tak kto niesprawiedliwą racyami wspiera,
Zeby wziął płacą, darmo sędziom czas odbiera.
Tym się samym z sekretu wydaje, że chromie,
Kiedy język i głowę patron nad nią łomie.
Sama prawda patronem i jurystą sobie,
Bo jako złoto, ogień wytrzyma na probie.
Ale brózdzi reguła na ratuszach dawna:
Sprawiedliwa — przyznają — cóż, kiedy nie prawna.
Na tę jednak regułę po łacinie i ja
Odpowiadam: *Summum ius, summa iniuria.*
Gdzie się ściśle pisanych słów trzymają sędzie,
Tam dekret żadną miarą bez krzywdy nie będzie.
Toporem prawo w księdze tymże ostrzem rąbie
Drzewo i sęki w drzewie, którym miękkie głąbie.
Ale kiedy go zdrowy rozum trzyma w ręku,
Umie zelżyć na głąbiu, przyłożyć na sęku.
Zawsze statut jednaki, ani zna odmiany:
Grzechy się odmieniają, na które pisany.
Nie tylko starym żydom straszna ta siekiera:
Siłu i chrześcijanów zabija litera.
Jeśli do pisanego sprawiedliwość prawa
Pójdzie przy gramatyce, musi być dziurawa,
Zwłaszcza w takiej liczbie praw, gdzie jak w koreu maku,
Przez dziesięć lat i dłużej trzeba szukać braku;
Skąd patron wybrawszy, co do sprawy mu służy,
Na to oczy, co bronić mogło jej, zamruży.
Na dwunastu Rzym, na dwu żydzi swoje mieli

Tablicach; nie dziw, że je na pamięć umieli;
Na dwudziestu, czegoby Jordan ani Tyber
Nie dopuścił, praw polskich nie spisałby liber.
A sędzie? ludzie młodzi, których teraz żniwo,
Skąd ją począć, gdzie skończyć, nie wiedzą, jak żywo.
Przepadła sprawiedliwość, zgasła prawda przy niej:
Kto smaruje, ten jedzie, mając tłuste w skrzyni.

Za pieniędzmi wszystko.

Chwali bogaty złoto, ubogi je chydzi,
Z ową liszą łyżkoć też było, ale brydzi.
Ni na czym inszym ludzie nie trawią żywota,
Tylko żeby nzbierać pieniędzy i złota.
Na to pługi, rzemiosła obracają na to,
Mizernie żyją, żeby umierać bogato.
Na to wszelkie nauki, handle niech się kręcą,
Jako chcą, prawda prawdą, na to się i święcą,
Żeby tę, gdyż poeci pieniądze tak zową,
Posadzili w szkatułach wszechmocną królową,
Która i na szlachectwa przywileje pisze,
I w senatorskie krzesła sadza tu hołysze.
Ta głupiego rozumnym, błazna mądrym czyni,
Dla tego nie królowa, lecz ziemską bogini.
Czego największy ziemski monarcha nie sprawi,
I w rodzie i w urodzie natury poprawi.
Woli drugi, żeby go nazwano mataczem,
Złym, niepobożnym człekiem, byle i bogaczem.
Nie pyta się gospodarz, mając gościa doma,
Czy grzeczny, czy uczony, tylko o to, co ma,
Możeli mu wzajemnie ochotę zawdzięczyć.
Nie pyta ociec, córkę chcąc komu zaręczyć,

Gdzie bywał, czy polityk; choć nie zna rodziny.
Obieca, byle była wieś na przynosiny.
Nie pyta, jako nabył, byle miał w kieszeni:
Stąd go tylko, przymioty opuściwszy, ceni.
Nie świat, pieniądze tylko żywot mogą zdrożyć:
Ubogi chce prędko mrzeć, bogaty długo żyć.
Tak dalece łakomstwo rozum ludzki wspaczy,
Niż dla sławy, dla zysku woli ginąć raczy.
Żadna zgoła z pieniędzmi nie wyrówna cnota:
I miłość rodzicielska. i z dziećmi pieczęta,
Nic piękniejszego w twarzy białogłowskiej nad nie:
Każdą rzecz odsztuchują, każda z stołu spadnie.
A ja co mam napisać o nich? Ciężkie brzemie
Nie da się sprościć, nie da dźwignąć się od ziemi.
Jeśli kto nieba oraz i pieniędzy żąda,
Chce przez ucho igielne prowadzić wielbłąda.
Tak ich radzę zażywać, jako więc papierka:
Oddając dług naturze, potrzebna jest ścierka.

Zmyślone lzy.

Kiedy za wieków starych sprawiano pogrzeby,
Najmowano ówczono białogłowy, żeby
Płakały nad umarłym, gdyż to na ich woli
Jako śmiać, tak i płakać, chociaż nic nie boli.
Wron przyleciawszy stado nad zabita kracze,
Kogo inszego biją, a kto inszy płacze.
Targały włos, rzezały ciało, skórę darły
Za pieniądze, choć im był nieznany umarły.
Nie jednegoż byś syna i nie jedną żonę
Znalazł, co wdziawszy żalu na oczy zasłotę,

Ręce łomie, a w sercu swe pociechy liczy:
Syn, że długo czekaną wioskę odziedziczy,
Żona zaś, że dostanie młodszego za dziada;
Jeśli stara, że będzie wolną sobie, rada.
A na cóż takim prefik do pogrzebów szukać,
Kiedy i sami ludzi umieją oszukać?
Ba, jeszcze lepiej, bowiem czego nie umieją
Prefiki, grzebąc mężów nasze wdowy mdleją;
A potym swych panienek pytają sekretnie,
Jeśli modnie i jeśli zmyślały nie szpetnie.
Są i w dzieciach i w żonach, ale by je złotem
Pisać trzeba, przykłady, gdzie własnym żywotem
Szczyrych łez, serdecznego potwierdzając żalu,
Skakały, którym gorzał umarły, do palu.
Niech kto szuka, nie znajdzie szczyrszego dziś między
Żalami, jako zgubę kochanych pieniędzy;
Teć znowu na przyjaznej fortunie zawisły.
Dzieci dorosłych? szukasz węgorza w pół Wisły:
Pierwej, niż niewód sprawi, niż łodzi dosiędzie,
Komu się z garści wymknął węgorz, w morzu będzie.

Bliższe serca kolano, niż pięta.

Nie słusznie mię pokrewny jeden o to winieł,
Żem nie jemu, ale swym dzieciom dobrze czynieł,
Choć o cokolwiek i on, a mogło być ze mnie,
Widząc potrzebę, nigdy nie prosił daremnie.
Aż skoro mi się jego nadprzy[krzy]ła skrzęta,
Bliższe — rzekę — kolano serca, niżli pięta.
Ani tego potrzeba tłumaczyć waszeci,
Że od kolana zową pokoleniem dzieci.

I sercu też natura taki ogień wleje,
Że im bliższe, tym bardziej siebie członki grzeje;
Dalsze ziębną. Na to ów: Prawda jest widomie.
Lecz tak człek bez kolana, jak bez pięty chromie;
Przetoż je, że od serca ciepła mają trochy,
W dziane abo w skórzane odziewa pończochy.
Przyznam. Wždy przecię drożej kolano się ceni,
Bo żeby go ocalić, rzną z piętą goleni.

Każdy sobie o tej dobie.

Ktoś widząc tonącego, skoczył w wodę śmieie,
Uniał pływać, z śmiertelnej ratować kąpiele;
Ale gdy się owemu da w poły obłapić.
Przyszło jednako wody obiema się napić.
Że tamten pierwaj poczał, musi dusza wodzie
Ustąpić; opuścił go, a ten na swobodzie
Widząc, że jeden moment oka [dał] mu zdrowie,
Że nie zginął, prawdziweż — rzecze — to przysłowie:
Każdy najbliższym sobie. Niech tonie, kto lubi;
Jawne niebezpieczeństwo niech w nim żywot gubi,

Do tegoż.

Każdy sobie najbliższy, jako płomień knota,
Tak się serca trzymają każdego z nas *vota*.
Darmo to: nikt natury opak nie przedwicz;
Sobie najlepiej, choć kto wszystkim dobrze życzy.
Trzeba te w jedno złożyć sentencye obie:
Nie czyn bliźniemu, czego nie życzyłbyś sobie.
Druga: od siebie miłość porządna poczyna,
Lecz żeby inszym złego nie była przyczyna.

Kto inszych dla pożytku prywatnego szkodzi,
Pewnie, że z sobą tych dwu sentencyj nie zgodzi.
Ale czym rozum miesza, natura się strwaga,
Jeszcze większego czegoś Bóg po nas domaga:
Żebyśmy bliźnich z sobą miłowali w równi,
Nieprzyjaciół jak bliźnich, choć zli, choć nam główni.

Jako za żelaznym murem.

Mówi człek, z niebezpiecznej wypłynawszy toni:
Już się też tu śmiertelnej nie boję pogoni,
Na ziemi z wody, w domu z dalekiej podróży
Stanąwszy; niechaj inszych zła przygoda trwoży;
Na wodzie lub na ziemi, tak w drodze, jak w domu
Każdemu się stać może, co stało raz komu.
O. nader głupia mowa! o sroga ślepota!
Mur czynić ze zgniłego brzoźowego płota;
Żeby go utrzymała, chceć kręcić na linę,
Którą wiatr zmiecie, mucha starga, pajęczynę.
Nie wie, że jako skóra, tak ciało człowiecze
Żal, ból, strach, złych przypadków gunia przyoblecze.
Śmierć w odetchu w się bierze, na końcu języka
Siedzi mu i w chlebie ją i w trunku polyka.
Tonie, ginie co moment, choć go nic nie boli,
W każdym miejscu. Nie widzi tego, bo po woli
Nie członków, abo włosów, ale kropek wiele
Krwie, nieszczęśliwych przygód tylo nosi w ciele,
Ba, więcej: bo każdy włos, członek i krwi kropka
Tysiącu ich podległa, że człeku do snopka
Z przeklętej roli, która oset, rzadko zboże,
Rzadki kłos, więcej chwastu rodzi, równać może.

Morzem ten świat ludziom jest: niemasz cypla na niem,

Gdzieby znużoną zbytnim o ciało staraniem
Łódkę mogli uwiązać i rzec śmieie, że tu
Nie boimy się wścieklej fortuny impetu.
Śmierć i czyste sumnienie na jej szturmy silne
Dwa otwarte, dwa stoją porty nieomyłne:
Czyste sumnienie w ciele odpoczynkiem duszy,
Śmierć w grobie ciała. Niech się, jako chce, zajuszy,
Nie szkodzi im, choć ziemię jej zaleje fala;
Ale nie chcą z tych ludzie do żadnego pała,
Do śmierci każdy musi po długim lawirze.
Rzadki człek, co o czyste sumnienie dba szczerze:
Nie jeden, choć ta jego duszę trzyma lina,
Z kotwicą ją nadzieje żywota ucina
Ciału kwoli; a z jaką dzieje się to szkoda,
Nie uwierzą, aż w piekło oboje zawiodą.

Powietrzniki na deszcz skrzypią.

Cóż tam na dworze? pytam. Deszcza się spodziewać,
Bo skrzypią powietrzniki. Więc je pozalewać
Czym tłustym; niech nie skrzypią; i tak dosyć błota,
A jeszczeby go więcej przyczyniła ślota.
Nie powietrzniki, światu skrzypce dziś, wiole,
I co wymyślić dowcip instrumentów zdole,
Skrzypią na deszcz siarczany, którym jako słoma,
Wszeteczna za grzechy swe gorzała Sodoma.
Póki dREW, póty ognia. Tak niesie natura,
Ale deszcz dnia sądnego, na który się chmura,
Nie zagaśnie na wieki, i siarczystą plutę
Obróci zgrzytem zębów grzesznym ludziom w chutę.

A ta, skoro i niebo i ziemię roztopi,
Inszym deszczem, rzewnych łez, smutne piekło kropi.
Radzę: pierwej, nim każe Bóg chutę rozpalać,
Tym deszczem serdecznych łez powietrzniki zalać,
Kiedy je świeckle myśli i cielesna żądza
Wiatrem próżności ziemskich na grzechy zapadza.

Daleko Jowisza, daleko od strachu.

Tak poddanemu z królem, jako słudze z panem
Nie życzę towarzyszem być ani kompanem;
Bo w jednym oka mgnieniu piorunem z obłoku
Uderzony, przypłacisz konwersacyj roku.
Pełne druki przykładów, jako wielu ginie
Z tej okazyj: Polszcze dosyć na Duninie
Ufając konfidencyi, którą długoletnie
Miał do króla, dla żartu pozbył oczu szpetnie.
Więc niechaj każdy sobie to pisze na dłoni,
Żeby jako po brzytwach, jak do ognia do niej
Nie z bliska, nie z daleka i do jej ogniska
Przystępował: zdaleka zmarznie, sparzy z bliska.
Krótko z królem, a potym mówić wedle cery,
Jeśli wolen spraw trudnych, a naprzód kolery:
Wprzód ucieszyć, niż przestrzedz trzeba i napomnieć,
W kim inszym z okazyj jego wadę wspomnieć,
I to tak, żeby się jej nie zaraz domacał,
Nie zaraz ją przy tobie do siebie obracał;
Jako lekarstwo: jeśli gorąco go zada
Doktór, wprzód gębę sparza¹⁾, nim brzucha dopada;
Tak i przestroję w pańskim miarkuj animuszu,
Żeby, nim głowy dojdzie, nie zakłóła uszu.

¹⁾ Gębą sprarza.

Trefnisiowie lekkimi żartami niech śmieszają,
Dość kijowej pokuty na nich, jeśli grzeszą.
Precz pochlebstwo, którym się drudzy chcą przymilić!
Chybabyś chciał sumnienia i cnoty uchylić.
Koniec rozmowy — pańskiej całowanie ręki,
Czego że godnym sądzieł, uniżone dzięki.
Więc że każda rzecz, która lubo się języka,
Oczu, nosa lub uszu w [naszych] zmysłach tyka,
Wprzód smaczna, dalej syta długim używaniem
Powszedniej, aż brzydnie, dlatego, mym zdaniem,
Nie częstoby zażywać konwersacyi dworskiej:
Początek zwykle słodki, koniec bywa gorski.

Dwaj trzeciego prowadzą, czwarty stawia nogi.

Kto łaskaw, kto w niem kocha, kto mu życzy zdrowia,
Niechaj duszkiem wypije, niech nie rozpołowia.
I pijemy ze stratą swego do womitu,
Lejąc w się bez wszelkiego trunek apetytu.
Kogo nie stać na wino, — gorzałkę i piwo,
Choć łeb nazajutrz boli, na żołądku ckliwo.
Czymśi gorszym od bydła stawamy się bowiem,
I rozumem, nie tylko przyplacamy zdrowiem.
Choć nikt nie za to nie da, dość łaski uczyni,
Że opoiwszy równym uczynił się świni;
I ta bez apetytu, okrom samej wody
A pomyj, dadzą jej, wywarzywszy słody,
Nie pija; robi, prawda, ludziom szkodę w brogu,
Ale daleko większą człek w kościele Bogu.
To mniejsza: spadszy z konia, kto pol[am]ał ziobra,
Często kark; to zła, że zbył najwyższego dobra.

Bóg woła: jeśli mię kto kocha, nie grzesz, nie pij!
Uczyliem ci dobrze, raz uczynię lepiej,
Uczyliem cię człkiem, światam¹⁾ ci dał zażyć,
Dałem wszystko w moc; mogę z tego zaś obnażyć.
Z ziemi wezmę do nieba, w czym żebym upewnił,
Z tobą się człecze, przez krew Syna mego zkrewnił;
I tu, którego w grzesznym sercu nosisz świadkiem,
Dałem Ducha świętego łaski mej zadatkim.
Przydałem ci tych wszystkich darów moich stróżem
Anioła, żeby dyabeł nie wydarł ich. Cóżem
Więcej nad to mógł czynić? Prócz jednego chęcia
Byle z skutkiem po tobie nie chęć do zbawienia.
A ty rozum, którym się przed bydlęciami zdobisz,
Zalawszy, koniecznie się w bydlę sam przerobisz.
Cóż człek mówi? bo w jego zawisło to wolej:
Jak chce dusza, ciało grunt; po staremu dolej!
Nie dba o gospodarza, tylko o gospodę,
Żeby do śmierci mógł mieć wszelaką wygodę.
Wygnać go, albo wylać: niech w domu nie zrzędzi:
Żeby grzeszył bez świadka, precz rozum wypędzi.

Małych złodziejów wieszają, wielkim płacą.

Mały złodziej, że cudzą podkopał komorę,
Idzie z szczebla na szczebel po drabinie w górę,
Aż stanie na najwyższym, kędy księdza z katem
Pożegnawszy, zawieszon rozstaje się z światem.
To ma, imo cnotliwych, wszedwszy na drabinę,
Że wie, co tamtym skryto: śmierci swej godzinę.
Wielkich z honoru w honor złodziejów prowadzi,
Aż w krzesłach senatorskich fortuna posadzi.

¹⁾ Światem.

I siedzą. Ale kiedy śmierć uważam obu,
Więcej świętych przez kata — rzekę — szło do grobu.
Jeśli o pogrzeb chodzi, wielcy się robakom,
Mali krukowi dostaną żerem, onym ptakom,
Którzy z anioły równo niebieskie wyroki
Pełniąc, karmili w głodzie święcone proroki.
Przez anioła Daniel, gdy mu Abakuka
Z obiadem niósł, Eliasz żywion był przez kruka.
Wiemy to nawet wedle pism świętych nauki,
Że imo insze ptastwo sam Bóg pasie kruki.
Wielkich w piekle robacy będą wiecznie żarli,
Gdyż im Bóg tego nie da, żeby kiedy marli.
Druza rzecz: wszyscy wędznąć, niżeli gnić wolą;
Przetoć trupów smarują, mięso ludzie solą.
Wielcy mrą i z pamiątką, bo jej nikt nie pisze,
Mały się, jakby rozdział dopiero, kołysze;
I choć długimi ciałem z kości spadnie laty,
Wiszą przykładem grzechu szkieletanem gnaty.
Szczęśliwy, że już ciałem, doczesną katuszą
Odbił to, czego wielki w wiecznej czeka duszą.

W siedmiu posiedzenie, w dziesięciu pijatyka.

W siedmiu konwersacya i porządna sprawa,
W dziesięciu na bankietach hałas, bałuch, wrzawa.
Kiedy w siedmiu dwaj mówią, może słuchać pięci;
Na pary do gadania dzielą się w dziesięci.
Skoro napiją wina, ciche naprzód szeptu,
Dalej dysputy, dalej swarliwe koncepty,
Zrazu jakobyś w owej wieży siedział Babel;
Od słów potym do pysków, do czupryn, do szabel.

Gospodarz niewolnikiem, z stołu misy padną,
Jeśli go nie wybiją, za obiad okradną.
Cóż mówi smród ów z potu, co parne zaduchy,
Siedzą koziem parchem zapaszyste pluchy?
Skąd nie może, co dawno powiedziano, chybić:
Bodaj w małej kupie jeść, bodaj się w wielkiej bić.
Pornoże¹⁾ kata zwajcom, choć dwu tylko siędzie,
Gdy ten temu nie złoży, bez guza nie będzie.
Znam gniewliwego człeka, który to ma w zysku,
Kiedy sam sobie muchę zabije na pysku;
Sam sobie nie sfolguje, a jakoż ma komu?
Nie życzyłbym zasiadać gościem w jego domu.

Spadł ze stołu.

Spadł z stołu, gdy przegrawszy nie ma kto co stawić.
Lepiej się było, panie, księgami zabawić:
I pocziwsza zabawa, i nie bez owocu.
Grają karty woźnice i drabi na kocu.
I mieszek by pełna był, przybyło do głowy,
Teraz szkoda, i spadszy z stołu, wstyd gotowy.
Trafia się, jeśli karty, jeśli kreski kradnie,
Nie z stołu tylko, ale i z nóg taki spadnie.
Kto w kartach z stołu spada, niech się nie odrzeka
I z wioski spaść, różnica bo to niedaleka,
Prócz że się z wioski ciężej, niżli stłucze z stołu:
Zbywszy jej, gdzieby konia wiązać, niemasz kołu.

Lepszy karany.

I to liczą Polacy przypowieścią starą:
Lepszym bywa zły, słuszną napomniony karą.

¹⁾ Porwonże? miejsce zepsute.

Do natury to idzie i do przyrodzenia:

Wielu gorszych widzimy miasto polepszenia.
Łzy drugi, choć go biją, nie wypuści z oka;
Z upornym szkapa, kiedy w błocie się zacoka,
Bo w miejscu tylko drypci, nie pociągnie z góry,
Choć kawałka zdrowego niemasz na niem skóry.
Patrz na dzisiejsze, przebież myślą wieki starsze:
Rzadki z nas temu złemu nie podobien marsze.
Co czyni człeka gorszym od bydeł, od koni?
Że w nim upór i cnotę, i rozum wydzwoni.
Siecze Bóg, karze, coraz nowe kładąc plagi
O każdy grzech i swoich mandatów zniewagi;
Tam, gdzie najbardziej boli, dziatki biorąc, tyka.
Nic złemu nie pomoże: po staremu bryka,
Popłakawszy godzinę, z grzechu ani ruszy,
I owszem, co dotąd w nich stał, leże po uszy;
Aż w ostatku, bo się z nim dłużej nie hałasi,
W błocie go psom i krukowi porzuci do spasi.

Z jaja się wylęgnął.

Tak piękny, tak nadobny, jakby wyszedł z jaja.
Okazyją przysłowiu — poetycka baja,
Jakoby Jowisz, wzięwszy łabęcią maskarę,
Zgwałcił Ledę, która stąd znieśli jajec parę.
Z jednego Polluks na świat z Kastorem się klują,
Co wszystkich wieku swego głądkością celują.
Z drugiego Klitemnestra z Heleną w postaci
Panińskiej; pewnie i te nie ustąpią braci.
Stąd na gładkie niewiasty i nadobne mężę
Łacińska przypowieśćka: z jaja się wylęże.

Po polsku nie do ładu; chyba na tych przyda,
Co nie wiedzieć skąd, mogszy i z leda się żyda,
Z chłopca, z kupca i między urodzić Wołoszą,
Szlachtą czynią, może rzec: w jaju się przynoszą.
Jakoż ktokolwiek w Polsce wieś kupi szeroką,
Wszystkim staną tysiące za jajca pod kwoką.
Rzekszy prawdę, któż bowiem prawdy się rzec wstydzi?
Z tych jaj się chłopci, Szoci szlachtą legą, żydzi.
Która łabęcie jaja tam znieśli, Ledą się
Zwała. Leda kto i nam takie rodzi bąsie.
Gdybyć jeszcze łabęcie! ale owe nurki
Ani do rady, ani użyte na Turki.

Non cuivis contigit adire Corinthum.

Nim puścisz w drogę, dobrze rozmyślić się doma:
Nie każdemu otwarta do Koryntu broma.
Nie masz serca? nie kwap się na wojnę; pieniędzy?
Porzuć do cudzych krajów zamysły czymprędy.
Nie masz dowcipu? szkołom dać pokój — ma rada —
Dość, by czytać, a pisać. W urodzeniu wada?
Nie rwi się do honorów; rychlej zazdrość minie
W ciżbie i nizko, niż kto łązi po drabinie.
Wadzi natura? nie żeń, gdyż to wielu parza.
Nie masz z cnotą nauki? nie miej do ołtarza.
Poselstwa nie domagaj, kiedyś nie statysta,
Dopieroż sędztwa, jeśliś nie prawy legista.
Jako wyłem legawym przetworzyć kondysa,
Tak profesorem, który przy szkucie zrósł, flisa.
Łacno wniść, ale wyniść trudno z labiryntu:
Nie każdemu się zdarzy dojechać Koryntu.

Łacniej tych rzeczy podjąć, niżli w nich tak sprawić,
Żeby miasto pochwały wstydu nie nabawić,
Zagrodzić sobie drogę. Z młodu raz podrwiwszy,
Czemubys mógł uczynić dosyć, starszym bywszy?

A nucibus ad ficos.

Dosyć było żołędzia, dosć świnięgo zera,
Dosyć się napsowało na brydnie papieru.
Woła czas: Od orzeszków, dziecinnych igraszek,
Do pomarańcz, do rzeczy poważnych od fraszek.
Poszedł obiad, minął wiek, póki człek żył z młodu,
Za obiadem i wety pójda do wychodu.
Nie ma świat nutrymentu, nie ma ciało duszy,
Wszystko grzech, wszystko pycha próżnym wiatrem
[puszy.
Więc pierwej, nim śmierć wety po obiedzie zbierze,
Nim cię na odpoczynek weźmie od wieczerze,
Nim z ciebie odrze świata i ciała serwety,
Wetuj, czegoś omieszkał: stąd rzeczono wety.
Już śniadanie, już obiad w swego wieku dobie
Minął, i podwieczorek; wieczerza przy grobie.
Dalej spać, gdzie się na bok nie przewrócisz z boku,
Już serweta u gęby, znak blizkiego mroku.
Więc żebyś miał o czym wstać jutro do obiadu,
Dziś, zgrzybiały, posilić trzeba duszę, dziadu!
Kiń potrawy niezdrowe, kiń marne orzechy,
Kiń, co trują, nie tuczają duszę w ciele grzechy,
Daj cielesnem, daj pokój, nie bądź głupim dzieckiem,
Które, co robi, nie wie, bałamutniom świeckiem.
Czujeszli na sumnieniu swoim jakie trucie?
Wczas, nim ci słońce zajdzie, miej się ku pokucie.

Choćbyś, co świat ma złota, na doktory łozel,
Niepodobna, kto w grzechu umarł, żeby ozeł.
Żebyś, gdy na dzień sądu zapieją koguty,
Nie wstał z grobu, żałośnie na wieczną śmierć struty.
Nie ja. Bóg radzi. Nie mnie. Boga słuchaj, człeczce!
Nie chcesz? Czemuż doktora usłuchasz, coć rzeczce?

Otworzyć okna.

Nie okna ksiądz otwiera, ale grzechom wrota,
Nie potwierdzi li tego przykładem żywota,
Czego uczy w kościele. Byłżeby kto takim,
Żeby mu uwierzyć miał, na świecie prostakiem?
Ludzi w niebo, sam idąc do piekła, namawiać,
Jest to więcierz na ptaki przy straszidle stawiać.
Drugi grzechom otwiera okna i drzwi razem:
Kto je widzi przez spary, kto je karze płazem.
Bieszczad nie miasto, rozbój nie Rzeczpospolita,
Gdzie się sprawiedliwości krzywda nie dopyta,
Gdzie wszystko wszystkim wolno, prawo i lewo ma
Zły człek, Boga nie boi, ludzi się nie sroma.
Jeżeli też pokażą ratusz abo grody,
Weźm ze sobą pieniądze więcej, niż masz szkody;
Ale cię w tym upewnić nie może nikt, że tu,
Nim umrzesz, doczekasz się w swej krzywdzie dekretu.

Katowska łaska.

Siedmiu na śmierć skazanych złoczyńców kat ścinał,
Któremuż łaskę: czy co od niego poczynał,
Wyświadczył i znak dobrej przeciw niemu woli,
Czy temu, co po wszystkich na końcu go zgoli?

Pierwszego, że nie patrzył, zbawił śmierci strachu,
Kiedy inszym spadały głowy od zamachu.
A mówią, że dwa razy umiera ten, ba trzy,
Kto na umierających śmierć przed sobą patrzy,
Siódmemu się z tej miary na placu przysłuży,
Że mu jedną minutą pozwoli żyć dłuży.
Większą ten łaskę czyni, żywo paląc człeka,
Kiedy pod nos, pod gębę siarki mu nasieka,
Bo nie długo na stosie męczy się płomieniem,
Pierwszym w zawziętej siarce uduszony technieniem.
Każdy pod mieczem klęczy, każdy człowiek, co się
Na świat rodzi, związany leży na drew stosie.
Któż wolen strachu śmierci? kto bolu? kto żalu?
Kłopotów? kto sumnienia nieczystego palu,
Które gorzej od ognia katowskiego piecze?
Kat za minutę skończy; ten się sto lat wlecze.
Dla czegoż śmierć okrutną zowiemy? Z tej miary,
Że kładzie, nie czekając starości, na maryl?
Ba dziękowaćby za to trzeba jej, nie lajać.
Ale nie da — rzecze kto — czasu grzechów kajać.
Brydzi: był czas do grzechu, mógł być do pokuty.
Długo przed świtem pieją po grzędach koguty,
Krzyczy co dzień z ambony czuły kaznodzieja,
Wola Bóg: strzeżcie śmierci bardziej, niż złodzieja!
Może wrócić fortuna, co złodziej ukradnie;
Tak człowiek na sąd wstanie, jako śmierć zapadnie.
Jeśli kto wieczność z życiem stosuje człowieczem,
Punktem jest: wszyscy pod jej klęczą ludzie mieczem.
Prędzej zbieży, niż machnie kat, ścinając szyje:
Mgnieniem przeciw wieczności jest, co tu człek żyje.
A nikt nie chce widzieć, że z tego oka mgnienia

Zawisła wieczność w niebie dusznego zbawienia.
Szczęśliwy, kto mrze młodo; mniejszy ciężar niesie,
Bo się grzechów, jako ów starzec, nie obessie.
Żył cnotliwie? o trzeciej na winnicy stanie;
Ten, co o jedenastej, grosz się mu dostanie.
Już ten swe mgnienie przeżył, już jego wiek minął,
Szeroką Wisłę, Nidę czy wązką przepłynął,
Czy w setnym czy w dziesiątym, czy dzieckiem, czy
Każdy niech kontentuje swoim się zegarem. [starem.

Twymi cię odmaluję farbami.

Mogą w to pędem dobrzy potrafić malarze,
Jakby żywe, tak ludzkie abrysować twarze;
Ale mina wewnętrzna, cera w sercu skryta
Farby ani malarskiej ręki się dopyta,
Bardziej bowiem, niż miesiąc, niechaj nie rozgrzesza:
Człek, żeby ją wystawić mógł piórem, się miesza
Miesiąc przynajmniej; co dzień, człek w każdą godzinę
Inszą na serce, inszą na twarz bierze minę.
Ledwie który do końca dotrzyma początku
Nie jeden święty wedle naszego rozsądku.
Kiedy stanie na ratusz, Zeuksis z Parrazem
Swoim nas omylonych zawstydzi obrazem,
Kiedy różne daleko, niż ludzki zmysł lichy
Sądził, postawi z grobu wzięte kupersztychy
Bóg, któremu śmiertelnym oczom nie zwyczajne
I myśli i afekty nasze nie są tajne.
Od czarta, który zawsze kochał się w obłudzie,
Przejęli nieszczęśliwi tę maskarę ludzie.
Złaby próbę dowcipu ten malarz wymyślił,
Kiedyby go w węzowym podobieństwie kryślił.

Jako na rajske drzewo, błazniąc Ewę, wspina,
Gdyż pisma i Bożego malują niem Syna.

Sam się w swym domu, w cudzym chwał gospodarza.

Złym zwyczajem, czy się to przyrodzoną wadą
Dzieje w ludziach, że zaraz z swoim na plac jadą.
Cokolwiek w cudzym domu widzą, abo słyszą,
Zaraz chwają, zaraz się z swoim lepszym piszą.

Wspomni kto z okazji cudze urodzenie,
I on wywodzi herby dziadowskie po ścienie.

Chustkę za pasem, czapkę obaczy na głowie,
Abo szablę u boku: Modniejszą we Lwowie
Kupiono mi; choć o to żaden go nie pyta.

Cokolwiek dla zabawy gospodarz mu czyta?

Umiem ja też tak dobrze i wierszem i prozą,

Ba jeszcze lepiej pisać nie zwyczajną fozą.

Wspomnisz dwór, abo wojsko? Zaraz od Cecory

Wodzów, hetmanów, królów i ich senatory
Będzie liczył na palcach, znał wszystkich, był wszędzie;
W którym wieku wsiadł na koń, w którym z niego
[zsiędzie.

Nie da mówić nikomu, choć łże, aż schną ściany.

To trzeźwy; cóż rozumiesz, jeżeli pijany?

Broń Boże go poprawić, dopieroż sprzeciwić!

Milczeć trzeba i chwalić, abo mu się dziwić.

W swym domu przed pacholki, przed chłopcy, przed żoną

Wywieraj dyable dziwy z chwałą tak mierzoną,

Która śmierdzi z własnych ust i uraża uszy,

Choćby prawda; a tu nią oka nie zapruszy.

Jedz, co przed cię postawią, nie gań, pochwal raczy,

Swęj kuchni zamilez, choćby zdało się inatczy;

Nie mów gościu: Lepsze ja wino piję doma,

Boś go kupił, toć darmo da gospodarz, co ma.

Nagródź przynajmniej zwykłym ochotę ukłonem.

Mijaj, aż cię zabiją i z twym paragonem.

I ja wolę pieczenia, niż z tak wielkim łgarzem,

Zajdzieli mię noc w drodze, z twoim zjeść kaczmarzem.

Owce wilkowi.

Jeden hajduk piwnicznem, a drugi klucznikiem,

Kucharz szafarzem oraz stangret karbownikiem,

Kaczmarz sam piwo warzy, pan w swym domu gościem,

Prowentowym pisarzem ten, co podstarościem.

Ochmistrza z brody samej młodego wziął wdowca.

Anoż — rzekę — wilkowi do opieki owca.

Przed [kim] zwykle najbardzi ludzie strzegą kluczy,

Temu je na swą szkodę gospodarz poruczy;

Kiedy za jedną nogę, nie chcąc płacić myta

Wielom sługom, dwie wronie, jako mówią, chwyta,

Wszystkim, nie doświadczywszy nikogo, dowierza,

Ledwie, że mu się w garści zostanie kęs pierza.

Jeśli złym położeniem najlepszy się kazi,

A dopieroż kiedy to samo w ręce włazi,

Co mu było kraść trzeba z odwagą żywota,

Teraz brać wolno. Wielka tego pana cnota,

Że swą szkodą tak wielom złodziejskiego cechu

Umyka śmiertelnego okazyą grzechu.

Jenoż daleko większych na duszy i ciele

Bóg skarbów i na świecie człeku i w kościele

Każdemu wierzy, dawszy od wszystkiego klucze.

Lecz trafił na sumnienie u wielu hajducze.

O włosom nie rzekł, że go wszyscy kradną zgola
Miasto szafarstwa: z świata jako i z kościoła.
Sami jedzą szafarze, mrą głodem ubodzy;
Sami piwniczni piją, co mogą najłodzy,
O klucznikach nie śmiem nic rzec, nie godzi się, bo
Sami nie wchodząc, inszym zamykają niebo.
Nie wszyscyć, leczbym takich na pierścionku snadnie
Spisał, co żyją wedle nauki przykładnie.
Człowiekać łačno słudze odrwić, choć nieszczyrem
Registrem, ale się Bóg nie bawi papierem,
Tylko w sumnienie zajrzy; nie pyta, nie bada,
Tam widzi, co go doszło, co mu kto wykrada.
I przypłacą sowito swej zdrajey korzyści,
Bo to, co im obiecał, nieomylnie ziści.

Wędzidła gryzie.

Darmo gryzie wędzidła, psując w pysku zęby.
Najciężej osieść pierwszy raz koniowi kłęby.
Niech za dem jak chce wierzga, niechaj przodem wspina.
Wszystkie narowy z czasem odejmie chabina.
Lepiejby skromnie jeźdźca i ciężar tych juków,
Które włożono, dźwigać bez plag, bez kańczuków.
Kto służy, wolność traci; fortuny to biera.
Kto bardziej w sieci miece, więcej jej nabiera.
Rychlej wskórasz pokorą: gdzie trudno przeskoczyć,
Podleż radzę, nie mietać, nie wikłać, nie boczyć.
Czas rzeczy ciężkie leczy, dźwigać zwyczaj ćwiczy:
Pies, który zrazu warczy, po chwili skowyczy.

Niedźwiedziowi miód.

Chlubnego chwając, jakby niedźwiedziowi miodu,
Kotce mleka, karpiovi w sadzawce dał siodu.
Ale niechaj Chwałęcki wystrzega się zdrady,
Bo rzadko w oczy chwała bywa, krom przysady.
I długi panegiryk, długie epigramma
Często jedna oszpeci na ostatku plama,
O którą temu łačno, a error to gruby
Co do siebie nic nie chce widzieć, okrom chluby.
Zwłaszcza jawnieli chwali nieprzyjacieli kogo,
Niech będzie pewien, miodu że przypłaci drogo.
Żebyś temu nie wierzył, kredyt czyni sobie,
Że opak będzie gadał na stronie o tobie.
Dosyć ma na sumnieniu własnym enota szczera:
Czy ją chwałą, czy ganią ludzie, nie przebiera.

Rękami i nogami.

Rękami i nogami, żaglami i wiosły,
Żeby nas tam, gdzie błysnie fortuna, doniosły,
Robimy: jeśli łańdem, przycinamy koni,
Choć dosyć rąco bieżą, przycinamy do niej.
Nie wadzi gruda drodze i szarga żegludze:
Jeśli swoje ustały, zaprzagamy cudze.
Sumnienie, jako hajduk, nie wzięwszy i grosza,
Uszargawszy się, skacze na łogosz z łogosza.
Woznicami apetyt sławy i pieniędzy,
Byle stanąć, gdzie się kto zapuścił, czym prędy.
Prawda, że się w pół drogi koła często łomią,
Często konie podbite niejednemu chromią,
Często zima zapadnie z śniegiem, z wiatrem, z mrozem.
Że dalej ani łodzią, ani ruszy wozem.

Silaż przygód śmiertelnych każdy ma za pasem,
Że tam nocować musi, gdzie się kładł popasem.
To tak ciało, samemu które żyło światu,
A dusza gdzie się z tego podzieje kieratu?
Że tylko na powodzie chodziła przy ciebie,
Nic nie robiąc, kędy też nocleg sobie ściele?
Niebo nie chce, ziemia też przyjąć jej nie może,
Więc do piekła, gotowe gdzie jej stoi łożo.
Tam, skoro w kupę złożą rozdartego człeka,
I ona ciała swego wkrótce się doczeka.
Anoż korzyść fatygi i świeckich obrotów!
Choćbym sto razy, nie raz, na to przysiądz gotów,
Że nikt, choćby najdluży uwijał się na niem,
Z zupełnym w grób nie wchodzi ukontentowaniem.
Niech tysiączną część łoży na duszę z tych fatyg,
Zwłaszcza mając gotowy do nieba wiatyk,
Bez wozów, bez okrętów w wieczystej fortunie
Ciałem z duszą stanąwszy, świeckiej w oczy plunie.

Wąż pod kamieniem.

Głową, myślą uważną pierwej, jeśli kto ma
Wolą, trudnej się sprawy podjąć, niż rękoma
Sięgnąć; pomagać pierwej dokoła należy,
Wiedząc to, że pod każdym kamieniem wąż leży.
Palec mu w zęby wtyka, drażni każdy z ludzi,
Kto, chcąc ruszyć kamienia, nieuważnie budzi.
Słówko źle wyrzeczone, moment omieszkaney,
Omyłka w przyjacielu wielkie daje rany.
Węże to. Kamieniem jest każda sprawa z człkiem.
Choć jeden pospolicie cięższym, drugi lekkim.

Jakikolwiek pod każdym wąż abo padalec,
Ruszysz go nieostroźnie, ukąsi cię w palec.
Jeszczeż o palec mniejsza, ale to zła wielce,
Zawadzi li o głowę i o szyję kielce.

Osieł do lutnie.

Cóż, proszę, z lutnią, które tylko beczą?
Co głupiemu człowieku z Pospolitarzeczą?
Żadnej eksperyencyi nie miawszy, jako ma
O niej radzić, o swojej nie umiając doma?
Przecież wielu widzimy, co ich jako osły
Do lutnie, w te honory pieniądze podniosły.
O skarbie mówić, kto trzech zliczyć podle siebie
Nie umie? więc o wojnie, nietylko w potrzebie
I w obozie nie bywszy? lub o prawie, a nie
Prawa nie rozumiejąc? o zawarcie granic,
Nie wiedząc, co odpadło przez nieszczęsne bitwy,
Co przedtym należało do Polski i Litwy?
W głowie zmysłu, w języku słów nie czując, posłem
Chcieć być na sejm? Lutnie ten napiera się z osłem.
Bydlęc, będąc bydlęciem, wszystko niesie, co mu
Na grzbiet włożą, bez hańby, bez wstydu, bez sromu;
Ale kiedy człek podrwi, wzięwszy w ręce lutnią,
Aż do śmierci u wszystkich będzie bałamutnią.
Dopieroż kto na rozum, nie mając go, sadzi,
Im bardziej chciał popisać, bardziej się szkaradzi.

Świnia trąby słucha.

To ma trąba do siebie, że jak skrzypce ludzi
Do tańca, tak do wojny dzielne konie budzi.

Nie rozumie, abo się boi, gdy jej słuca,
Tąży z pola do chlewa świnia kłapoucha;
W pole z chlewa, kiedy się na baraniem rogu
Ozwie świniopas na wsi, wyłazi z barłogu.
Lecz i stamtąd odstąpi, gdzie ją skotak pędzi,
Żeby się niem wałała dla błota żołędzi.
Trąbi do okazji, krzyczy gardłem całym
Pobożny kaznodzieja, z czartem, z światem, z ciałem;
Sercem się człek duchowny podniósłszy do góry,
Uchem strzyże i tylko nie wyskoczy z skóry,
Jako Pegaz, kiedy chce bujać horyzontem,
Podnosi się od ziemi pod Bellerofontem.
Cielesny, jako świnia, jeśli ją uziąbi
Deszcz jesienny, nietylko nie wie, co ów trąbi,
Lecz na święte przestrogi posepiwszy czoła,
W gnój znowu abo w błoto ucieka z kościoła.
Nie chciał rozumieć larma, lecz pobudkę musi,
Skoro go ziemia z grobu na trąbę wykrztusi;
Pozna po czesie, jako niecotliwie czyni,
Że się równał paskudnej, będąc człkiem, świni.
Kiedy konie na stanie pod złotymi deki,
Świnie pójda w piekielne jezioro na wieki,
Tak się im stanie, jako było w Gerazenie,
Gdzie każdy dyabeł swoje w topielisko żenie.

In alienam messem ne immittas falcem.

Siałeś? Żni zdrów swój zagon, nie zapuszczaj w cudzy
Sierpa — radzę. Nie siałeś? Patrz, kiedy zną drudzy,
Daleko. Więcej kopy nażętej nie tykaj,
I którycheś nie nosił snopów, nie wymykał.

Wżdy są tacy bez Boga, bez wstydu, bez czoła,
Choć na nich ta przypowieść starodawna woła,
Którzy mają tak wiele wsi, folwarków, kmieci,
A co daleko większa: ni żony, ni dzieci,
Nie kłosa ubogiemu, ale biorąc snopy
Śmieje wożą i do swej układają szopy.
Wielki grzech. Jednak jeszcze większy od wyteczy
Przywłaszczając sobie cudzą robotę w zdobyczy,
Cudze pisma, nie będąc najmniej ich autorem,
Gorsze złodziejstwo, niżli kraść z komory worem.
Wsi, pieniądze i czego człowiek odumiera,
Wszystko dziedzicznym prawem sukcesor odbiera;
Co głową zapracował, co napisał piorem,
Nikogo okrom niego nie zna sukcesorem.
Choćby tysiąc lat w grobie, choćby dłużej leżał,
Nikt, on sam tylko będzie do tego należał.
W tym żyje, póki świata, a kto mu w papierze
I sławę i pamiątkę, ten mu żywot bierze.
Kradnąc i zabijając, czego się nie godzi,
Bóg surowo zakazał, we dwoje go szkodzi.

Penelope tela.

Pełno w każdej łacińskiej, pełno w greckiej księdze
Penelopinej, żony Ulissowej, przędze,
Która, kiedy nie może zbyć się dziewosłębów,
Nawite krosna, skrzynię pokazuje kłębów
I da słowo, nie wiedząc, czy żyje mąż, czy nie,
Skoro te kłęby zrobi na krosnach ze skrzynie,
Dłużej nie zwłóczęc, chyba że mąż wróci zdrowy,
Oczekany lat dwadzieścia, będzie żoną z wdowy.

I nadało się jej to, gdyż po długim błędzie,
Nim owo płótno utka, Ulisses przybędzie.
Mógłżebym dzisiaj takich całą liczyć kopa,
Którzy, to płótno we dnie tkając z Penelopa,
W nocy, ba nie czekając rozrabiają nocy,
Zaciągawszy bezbożnie dyabła do pomocy.
Przez godzinę roboty, i to barzo licha,
Póki w kościele pacierz mówi, klęczy, wzdycha,
Dalej noc aż do jutra, czasem i pół roka
Nie zmruży, rozrabiając płótno cnoty, oka.
Przebóg jakoż ta idzie robota opacznie!
Tysiąc łokci zepsuje, niż na palec zacznie.
Darmo anioł dziewosłab dusze ludzkiej strzeże,
Bo co godzinę robi, dyabeł przez rok rzeże.
Że wzięwszy chrześcijańskie w uwagę postęпки,
Płótna nic, tylko same końce, węzły, strzęпки.

Zna się, jako świnia na pieprzu.

Jako przywykłe młotu i żołędzi świnie
Na pieprzu się nie znają, jako psi na winie,
Tak też na wsi schowane uważywszy chłopcy:
Czytaj wiersze, czytaj mu retoryczne tropy,
Powiedaj syllogizmy, a on: tuz, król, kralka,
Po trzy piwo i wódka u kaczmarza Walka.
Czemuż księża w kościele łaciną ich bawią?
Żeby nie rozumieli, kiedy każąc kawia.

Siła przypadków między usty a między kieliszkiem.

Jak wiele między gębą a łyżką przypadków,
Na cóż starych przykładów, na co szukać świadków?

Już spowszedniał Anceus, co nalawszy strychem,
Już go do ust przytknąwszy, minął się z kielichem;
Bowiem ten, co się go wlać spodziewał do kiszek,
Z kiskami dziki wieprz mu wytrącił kieliszek.
A cóż Juliuszowi jego astrologa,
Choć wczesna o dniu śmierci pomogła przestroga?
Przyszedł — rzecze — źle się znasz na swym kalendarzu.
A ów: Ale nie przeszedł. Strzeż się go, cesarzu!
I zginął śmiercią, siedząc na ratuszu w radzie.
Daleko ją od siebie często człowiek kładzie,
Że jednym od niej krokiem, tego głupi nie wie,
Jako na oganistem ptak osiadłszy drzewie,
Dopiero błąd postrzeże i na inne mierzy,
Skoro go strzelec kulą z zasadzki uderzy.
Czemuż wiedząc o strzelcu człek, co się nań skrada,
Gorsza, co mu w przykładach zawsze odpowiada,
Tak śmiecie ubezpiecza, tak śmierć lekceważy,
Jakoby sto tysięcy stało mu na straży?
Grzeszy, jak na trzy tuzy i pokutę zwłacza;
Dopiero zszedłszy z świata, błąd w piekle obacza.
Sta lat myślami w sprawach przedsięwziętych siąga,
Choćbym nie dał za jego godzinę szeląga.
Niemasz, dla Boga, niemasz czasu ani miejsca,
Gdzieby nas śmierci dosiadł nie miały żelejca;
Dłatego na godzinę, i to jak pod strażą,
Rzekłbym na dzień, lecz siła żyć nam święci każą.

Lepiej się sprawiać z lasu, niżeli z tarasu.

Nie ufaj miłosierdziu, bo cię nie obroni,
Jeśli się winnym czujesz. Wiedząc o pogoni,

Uciekaj co najdalej z gorącego prawa:

Wiesz, że na kogo padnie złodziejska osława
W mieście czy na wsi, jeśli zginęło co komu,
Choć nie on wziął, wždy w jego trzęsą kąty domu.
Wolisz z lassa dekretu słuchać, niż z chałupy,
Każą po drabinie leżeć między dwa słupy.
Bóg do setnego razu żalu za grzech czeka,
Za pierwszym na śmierć skaże sędziego ziemski człeka;
Chyba komu się jego miłosierdzie zwięzi,
I krom tarasu w lesie wisi na gałęzi.
Choć ci on wszystkie zbrodnie śmiercią karać każe,
Samym tu miłosierdzie złodziejom pokazać,
Gdy im abo odrabiać, abo szkodę płacić,
O kradzież, jako dzisiaj, broni śmiercią tracić.
W nocy go zabić, komu komorę podbierał,
Uszło; zabielił we dnie, zabójca umierał.
Insze z pomsty, z łakomstwa, z rozpusty, z igrzyska,
Ten jeden grzech na człeku potrzeba wyciska.
Niemasz na gwałt i na głód pisanego prawa,
Chyba komu poradzi kraść zazdrość plugawa.
Opak teraz dekreta na ratuszach piszą:
Wolno okupić każdy grzech; złodzieje wiszą.
Zaraz ludzie krzywdę swą radzi karzą; Bożą,
Ze się ich mało tycze, na stronę odłożą.

Incidit in Scyllam, qui vult vitare Charybdim.

Widząc, że z tyłu naszych Tatarowie biją,
Uchodząc do taboru, wpadł ktoś na kopiją,
Która była przy wozie, i tam się z żywotem,
Rozstał, na wylot piersi uderzony grotem.

Anoż — rzekę — fortuny macie krotofilę:

Chcąc ujść Charybdy, trafi nieborak na Scylę.
Dopieroż przy łacińskiej kiedy przypowieści
Wtenczas prawie do ładu i polska się zmieści:
Bowiem twardoustego mając konia Tatar,
Bliżej taboru, niż chciał, w tej pogoni natar;
Spadł z siodła od muszkietu i tam trup położył.
Bodaj swego, kto pragnie cudzego, nie pożył.
Niewiemże, którego z nich lepsza sława czeka:
Czy co goniąc ginie, czy tego, co ucieka.
Choć ci by był przed jednym nie uciekał, tuszę,
Ale kędy przeskoczyć trudno, podleżeć muszę.

Ze dwojga złego mniejsze obierać.

Gore dom, a gospodarz smutny patrzy z żalem,
Ze onymże zgoręją zbiory jego palem.
Już wyniósł żonę, dzieci; szkatuła mu w głowie,
Więc żeby ją mógł wyrwać, odważywszy zdrowie,
Skoczy w ogień jak obsess; lecz zaraz słostramem
Porażony, dał gardło z pieniędzmi i z domem.
Stracił żywot i zdrowie dla srebra i złota,
Choć tego znowu nabyć mógł; nigdy żywota.
Nie chciał mniejszego złego przed większym obierać,
Wpadł w oboje, gdy przyszło tak marnie umierać.
Radbym go też po śmierci spytał, gdyby ożel:
Ze złotemby się bardziej, czy ze zdrowiem drożel?
Znać, że nigdy dla siebie, choć w biedzie, choć w nędzy
Nie żył, kto z tego świata schodzi dla pieniędzy.
Przed niepewnym ubóstwem wpadł w pewną śmierć,
Ogniem zgorzeć przychodzi, bojęcy się dymu. [gdy mu

Nie obzieraj z Lotową żoną, kędy gore,
Dopieroż nie wchodź, pomniąc z Sodomą Gomorre.
Onaś stanęła, nie chcąc słuchać, słupem solnem;
Strzeż się, chrześcijaninie, żebyś nie stał smolnem.
Sól ci nie gore, tylko topnieje powoli,
Zdaleka ogień chwyta, kto drewno osmoli.
Nie oglądaj się na świat, który jako słoma
Gore dzisiaj grzechami gorzej, niż Sodoma;
Dyabeł z piekła ten pożar przyniósł; aż skoro z niej
Wynidzie sprawiedliwy chociaż trochę później,
Tysiąckroć od Sodomy straszliwszym, bo wiecznem
Zemści się Bóg swej krzywdy nad światem wszetecznem.

Ubogi a pyszny — Boży nieprzyjaciel.

Wszelki grzech Boga mierzi, lecz najpierwsza pycha,
Dla której Lucypera w piekło z nieba spycha.
Wszelka pycha w kimkolwiek, dopieroż w nbogiem
Nietylko ludziom brzydnie, ale walczy z Bogiem.
Jeszczeż kogo fortuna, niemasz dziwu, że sie
Na swoje szkodę pyszni, nad równych wyniesie,
Choć wszystkich porównała jako wedle sznura,
Że jeden nad drugiego nic nie ma, natura.
Ba i fortuna rzadko czym kogo nadyma,
Nie obróci[w]szy kołem, do grobu dotrzyma.
Nie mając gdzie postawić na swym gruncie stopy,
Jakoby drugi panem całej był Europy:
Wszystkich okiem przenosi i tak hardzie gada
Na cudzej wiosce, jako ów, co księstwem włada.
Tego nauka, tego wysokie rodzenie,
Choć w pięty zimno, w wielkie wdaje rozumienie.

A dopieroż jeśli go honor, choć doroczy¹⁾,
Potka od braciej, szerzej pawa ogon toczy.
Cóż jeśli dożywotnym król go honoruje?
Nie będzie wiedział, jako stapać: w niebo pluje.
Opieka mu wysokie wstawiła napiętki,
Niespodziany początek miewa koniec prędkie.
Chyba żeby, jak począł, synowców wymorzeł?
Już nie z pawem, ale z dyjabłem będzie storzeł.
Nie wiemże co: straszny mord, czy dyabelska pycha
Żałośniej nań przed Boskiem majestatem wzdycha.

Na jednym kamieniu dwa razy się potknąć.

Nie godzien żałowania tak srogi niedbalec,
Kto dwa razy na jednym kamieniu zbił palec.
Raz urwawszy, kto wiesz na gałęzi znowu?
Z kajdan wyszedzsy, daje nogi do okowu?
Kto jedząc, sparzywszy raz, łyżki nie odmuchnie?
Zawiódszy na złej radzie, znowu jej usłuchnie?
Zostawszy wdowcem po złej i po zrzędnej żenie,
Drugi raz dobrowolnie w toż idzie więzienie,
Jakby nie mógł na gorszą trafić, niżli piersza?
Taż przyjmuje i węże, co węgorze, wiersza.
Cóż jeśli kto miał pierwszą kochającą męża,
Niech się boi wziąć w rękę za węgorza węza.
Nie od ślubu; darmo daj księdzu ten kobierzec.
Tegom się nie spodziewał, mądry nie może rzec.
Wszelakiej człek poprawić może niefortuny,
Tu do śmierci włożywszy raz szyję do kuny.
Wždy się znajdzie choć [i] kark z skóry mu obłupi,
Co do szóstego razu kładzie go w nią głupi.

¹⁾ Dorczy.

Świerz polny dosadzi spadanej strony.

Prosił pod czas córki swej gospodarz wesela,
Żeby w polu przywitał gości, przyjaciela;
Więc ledwie o ochocie pocznie gospodarski
Kawić, bo po pijanu, aż koń forytarski
Ozwie się głośnym echem tylnego oddechu,
Jakoby też u organ uchylił kto miechu.
I dotąd nie przestanie to altem to basem,
Póki ów oracyej nie skończy tymczasem.
I wygodził mu: bo gdy leda co blazgoni.
Rozumie, że nie z niego, ale śmieją z koni.
Przypomniałem jednego muzykanta sobie,
Któremu, gdy się strona na lutni przeskrobie,
A grał z drugim o zakład, nakoniec i spada,
Żeby mu przyszło przegrać, o co się zakłada,
Alić nagle świerz polny, na lutnią mu w rękę
Siadszy, spadanej strony głośno dorznie dźwięku.
Że swój tryumf rysuje na kamiennym słupie,
Któż lepszy z nich? W świerszczu ten, czy ów
[w końskiej...?]

Na tejsze stronie błędzić.

Nie zdobi wiołistę, lecz i skrzypka szpeci
Częsta na tejsze stronie myłka. Więc poeci,
Których w równej z muzyką liczymy estymie,
Niech się tego erroru wystrzegają w Rzymie,
Gdzie żeby kwadowały w sylabach cyzury,
Uprzykrzonymi słowy zatykają dziury.
Choć się, o której rzecz jest, z materyą miną,
Mchem ciosane łatają ściany, lepią gliną.

Żołnierz nie strojny lepszy do wojny.

Stara mówi przypowieść: żołnierza w żelezie
Śmiałego w każdej hetman zażyje imprezie;
Ten zaś, co nad potrzebę więcej ma pieniędzy,
Co się złoci, uciecze, niż pobije, prędy;
Gdyż różne dwa afekty ze złota pochodzą:
W żołnierzach bojaźń, pychę w domatorach rodzą.
Niech nie pieniądze ani żołnierz będzie szatny,
Dosyć, że nie odarty, nie głodny a płatny,
Przecież nie tak ubogi, nie tak goły, żeby
Grosza w trzosie przy sobie nie czuł od potrzeby.
Inaczej oślep zaraz na łupie opada,
Kiedy mu głód i nędza w obozie dohada.

Siła lis, jednę sztukę ma jeź do obrony.

Siła sztuk ma lis, żeby dla rumianej sierci
Nie zginął: jamę naprzód tak misternie wierci,
Że choć przy jednej bromie stawi łowiec wartę,
Chcąc szturmem brać fortecę, dziesięć jej otwarte.
Gdzie nogami nie zdole, tak ogonem kiwa,
Że często i najręczsze charty oszukiwa.
Często w sobie zatai duszę, potym w trokach,
Żeby zbyła myśliwca, żre konia po bokach.
Często się w śnieg dowiecipna zanurzy bestyja,
Że nie postrzeższy, z charty myśliwiec ją mija.
A wždy przecię te wszystkie nie pomogą figle:
Siła ich u kuśnierzów widzimy na igle.
Są doły, charci, paści, są na nie konopie,
Jedną obronę ma jeź, choć jamy nie kopie.
W mały kłębek lub w polu zwinąwszy lub w krzaku,
Nie boi się żadnego w tej fortecy żaku.

Zwłaszcza nie nosząc futra z lizzkami i wilki,
Coby się ludziom zdało, ostre tylko szpilki,
Które pyski, dlatego na nich się nie bawią
I mijają zdaleka, zjadłym psom krwawią.
Ba choć już jeź nie żyje przyniesiony z pola,
Skóra jego psy na dwór wygania z podstola.
Czart przeklęty na dusze ludzkie łowcem strzeże:
Jedni są jako liszki, drudzy jako jeże.
Rozmaicie się liszki przed tym kryją łowcem:
Abo inszym od świata okrywszy pokrowcem,
Jako się tamte, kiedy lato przyjdzie, lenią,
W szarzy chodzą, ani się w bławatach rumienia,
Abo więc po klasztorach jamy kopią kręte,
Abo na się rękami krzyże kładą święte,
Oganiając czartowi, jako lis ogonem,
Jeśli go już chart w polu obraca przestronem.
Jakoż przyznać, że siłu przed herapem znika,
Siłu z całym zawojkiem do grobu umyka,
Gdzie acz mało co głębiej jamy na dwie stopie,
Już ani stawia siდეł, ani dyabeł kopie.
Siłu się ich w śnieg grzebie, nosząc komże, alby,
Ale widzi, kto szczerze, kto dla próżnej chwalby
I ruszywszy go z śniegu, na każdy dzień troczy,
Stawia sieci, które człek rzadki, co przeoczy:
Świecka pycha, a druga cielesna jest żądza,
To są doły, to sieci, w które nas napądza
Postrach śmierci i nędze, żal, ból i kłopoty —
Charci, na których ludzie przychodzą obroty.
Mało pomogą krzyże i długie pacierze:
Siłu krzyżowych lisów wyprawia kuśnierze.
Ale daleko sprawa trudniejsza mu z jeżem,

Co czystego sumnienia odział się łupieżem:
Kaźda go cnota ością, kaźda igłą kole.
Zawsze mu, nie kryjąc w krzak, śmiało stawi pole;
Relikwij nawet świętych, jako pies się chroni
Jeźowej skóry, która z izby go precz goni.

Koniec biedy powróż.

Stara, poczęta jeszcze od Judasza foza:
Jeśli kto desperuje, mieć się do powroza.
Że na śmierć sprzedał Judasz Boga w ludzkim ciełe,
Sam sobie na gałęzi zawiązał gardziele.
Jako dziś psy wieszają, sam się w powróż mota,
Utraciwszy nadzieję wiecznego żywota.
Brzydnie świecki, poczciwszej Pan mu życzy płacy,
Żeby go raczej ryby, niżli zjedli ptacy.
Acz ci i ta nie mogła śmierć być bez konopi:
Trzeba kamień do szyje wiązać, kto się topi.
Uważajmyż, z Judaszem co dla małej wielce
Szkody katami sobie dzisiejsze wisielce;
I doczesny i wieczny tracąc żywot razem,
Wieszają, topią, strzelają, kołą się żelazem;
Choć póki żyli, mieli otworzone wrota
Do wiecznego poprawą ziemskiego żywota.
Ale że inszych takich desperatów minę,
Niejeden dla złej żony lezie na drabinę.
Nie wie, że zaraz z żoną szubieńcę przybiera,
Na której żywo wisi, póki nie umiera.
Stąd przypowieść, że myśleć trzeba mu nie trochę,
Kto żeniąc się obiera dożywotną sochę.
Będzie dobra? za serce; zła? za szyję wieszają.
Głupi, kto wolnym bywszy, na nią się rozgrzesza.

Lepiej się jednej a pewnej rady trzymać, niż kilku niepewnych.

Różne swoje przed kotem lis wyliczał sztuki,
Jako charty i gończe oszukiwał sztuki.
Na to kot: Miła siostró, u mnie tylko jedna.
To gdy mówią, napadnie psów kupa niezbędna:
Kot na dąb jako z proce, wzięwszy na pazury;
Lisa, że nie miał blisko do schowania dziury,
Skoro ogarzy z charty na koło oskoczą,
Uchwycą, nie dawszy mu do lassa i wtroczą.
Na to kot, patrząc z dębu, bywszy wolnem trwogi:
Bale, jak wszystkie sztuki odbiegły niebogi!
Jedna pewna obrona za dziesiątek stoi,
Bo zmysłu do której się wprzód udać, nie dwoi.
I żołnierz, który wielą okłada się broni,
Omyliwszy, porywa do tej, co nie po niej.
Może śmieie za murem spać, nietylko drzymać;
W gołym polu za szablę trzeba mu się trzymać.
Są na mury burzące działa, są drabiny,
Są bomby, granaty, są na fortece miny,
Niemasz miejsca na ziemi, chyba w ziemi, gdzieby
Człek był wolen od śmierci koniecznej potrzeby.
I kot gdyby lisem był, choć on tego nie wie,
Żeby się nie osiedził, upewniam, na drzewie.

Blizki płomień dymu.

Powszechną, widzimy to, dzieje się naturą,
Że płomień tuż za dymem, deszcz chodzi za chmurą.
Trzeszczy wprzód i chwieje się, nim upadnie ściana,
Musi być w zdrowiu ludzkim przed śmiercią odmiana.

Niechże to wszystko uczy ostrożności człeka,
Żeby ze złęgo razu umykał z daleka.
Łacniej ogniowi wprzód, niż płomieniem się imie,
Zabieżeć i łacniej go wodą zalać w dymie,
Słyszac, że ściana trzeszczy, abo o niej radzić,
Abó się nim przywali, z domu wyprowadzić.
Chory niż zdrowy rychlej niech śmierci spodziewa,
Która często z doktorów i z aptek przedzwiewa.
Jednak wszędzie przypadek niespodziany wchodzi
I na tych się przestrogach niech nikt nie zawodzi:
Mrą ludzie, nie stękawszy; bez trzasku się wałą,
Ani kurzywszy dymem, wsi i miasta pałą.
Wczas grzech porzucić, dobre uczynki zabierać,
Nim czas minie poprawy, nim każą umierać.
Zawsze piekielnym dymem śmierdzi niepobożny,
Żeby ogniem nie gorzał, niech będzie ostrożny.
I ściany trzeszczą nad niem, nie radzę mu czekać,
Ale z świata czymprędzej, nim spadnie, uciekać.
Cóż po znakach, kiedy Duch święty napomina:
Czujcie, już światu przysła ostatnia godzina.
Ostatnią Duch godzinę święty opowiada,
A drugi sobie sto lat człek wieku zakłada.

Co piękne, to i dobre.

Mylą się ci, co wszystko piękne dobrym zową:
Nie każda rzecz, co oczom piękna, gębie zdrową,
I nie wszystko, co gębie apetyt przysładza,
Czego często doznajem, z żołądkiem się zgadza.
Nie wszystko pożytecznie w ludzkim ciele duszy,
Oczom i gębie wdzięczne, choć brzucha nie puszy,

Że rzeczy w rajskim jabłku wspomnię starodawne:
Chwali Ewa, że piękne, że smaczne, że strawne,
A nie wie, kiedy jabłko tak barzo smakuje,
Że i oczy, i usta, i żołądek truje;
Gdyż nieśmiertelną bywszy, skoro owoc zjadła,
Śmierci z całym rodzajem swoim w gardło wpadła.
Przecież to wszystko ludziom dobre, na co oczy
Patrzyć lubią; samo im niebo czart ostroczy,
Że dla marnej kobiety z serca im wypadnie,
Byle się urodziła i stroiła ładnie.
Siłuz pod pięknym licem przy udatnej cerze
Szczyrą złość, szczyrą zrzędę w żonach ludzi bierze?
Choć piękności Salamon wierzchu nie dokłada,
Wżdy i tronu, i łaski Bożej dla swej strada.
Zdrowie, żywot, nietylko substancją łoży,
Leda fraszkę dla pychy płaci człek najdroży,
Aż skoro on gorący apetyt wystydnie,
Samym dosytem, jako wszystkie rzeczy zbrzydnie.
Niemasz nic, krom bogactwa na świecie a pychy,
Żeby nie spowszedniało. To dwoje pod strychy
Nie wchodzi: i po śmierci, choć już w ziemi dyszą,
Tym się ludzie obojgiem na pogrzebach piszą.

Jednym się kontentować.

Do malarza, nie umiał który inszej sztuki,
Tylko malować drzewa: dęby, jodły, buki.
Przyszedłszy rozbit, prosi, żeby mu na płótnie
Jego nieszczęścia, morskie wymalował kłótnie:
Jako straszny szturm powstał, jako nagłe fale
Stargawszy kotwy¹⁾, okręt rozbiły na skale;

¹⁾ Kotfy.

Jako już bez nadzieje żywota, jedna go
Deska w tydzień na piasek wyrzuciła nago.
Skoro wszystko szeroce opowie mu, za tę
Pracą jego sowitą obieca zapłatę.
Podejmie się obrazu malarz nowej fozy,
Nadto chce przydać drzewa: dęby, sosny, brzozy.
Kędyż na morzu — rzeczce rozbit — rosną drzewa?
Niech, kto nie umie drugiej, jedną piosnkę śpiewa.
Kogo do czego zwyczaj, zmysł, nauka skłania,
Tym niech bawi; nabożnych rzeczy się pisania
Niechaj nie podejmuje poeta, który wda
W światowe, bo inaczej tamtym będzie krzywda.
Kwitując: niech mi pulsów ten doktor nie maca,
Co proszki perfumuje, pigułki pozłaca.

Na piękne każdy waży.

Chwalił się ryś przed lisem z swą skórą, jako ma
Piekne cynki. Na to lis: Przeto i łakoma.
Każdy ją chce odzierać, każdy na nią dybie.
Jeśliż się ja z swą prostą choć w głębokim szybie
Nie osiedzę, choć więcej w głowie sztuk z natory
Mam do obrony, niż ty pstrych cynków, swej skory
Wyzuć, nie chwaliłby się z tego, rysiu głupi,
Co cię nietylko z skóry i z żywota łupi.
Wszystkie ludzkie ozdoby, nie rysie, nie lisy
Kupca mają; sam o sierć nie boi się łysy.
Jedna zazdrość, lecz za stu nieprzyjaciół stanie,
Sama się w nich pysznić chcąc, zawsze waży na nie.
Druga śmierć po zazdrości, która rysie cynki
Zdjąwszy z tamtego, odda inszemu do skrzyńki.

Człek zwierza, człowieka śmierć z jednego drze runa:
Nie patrzy, czy natura, czy dała fortuna.
Ugryzie bóbr piżmowej moszna sobie woni,
I ciska precz, nie mogąc człeczej ująć pogoni.
Nie chcąc dać dla nich garła, woli żyć walachem,
Wiedząc, że na się wabi myśliwych zapachem.
W coś tedy nieuważny człek się ubezpieczy,
Sobiąc w te, co na włosy kupca wabią, rzeczy?
Niemasz Dyogenesa tych czasów, o którym
Słychać, że ciskał złoto za złodziejmi worem.

Stultitiam patiuntur opes.

Nie natury to, ale fortuny ślepotą,
Że mądrym i pobożnym szczyptą daje złota,
Złym, głupim i bezbożnym pełne sypie wory,
Czyniąc ich źle nabytych bogactw sukcesory.
Podobno się o swoje rządy boi głupie,
Gdyżby mądry pieniędzy nie trzymał na kupie.
Pewnie między ubogich, ale nie tak, jako
Ta szalona ślepucha, dzielełby jednak.
Abo idąc na udry z naturą, że w skrzyni
Leżące złoto głupich ludzi w głowie czyni,
Ubóstwo zaś dowcipne szczęścia sobie szuka,
Zginęłyby rzemiosła, zginęła nauka,
Gdzieby wszyscy jednak mieli być bogaci.
Ubogi panoszeje tym, co pan utraci.
Co głupi a bogaty złym szafunkiem tera,
Chudy pacholek, mając czas po temu, zbiera.
Postaremu też baba, też, co były, koła,
Jako tego bogactwo do natury woła,

Ze zgłupiał, takowego, że zmędrzał, i z nędzy
Tymże kształtem domagać będzie chciał pieniędzy,
Z którymi grzech i głupstwo zwykle parą chodzą;
Rozum i bojaźń Boża rzadko się tu zgodzą.
Czemużby na nie płakać, nie weselić raczej
Kazał Duch święty w piśmie, co każdy obaczy?
O wszystko, czymkolwiek świat pyszni się otwarty,
Co ma w kramie fortuna, ludzie grają w karty.
Koniec gry śmierć, gdzie gracze spadną z stołu, a ci,
Którzy tylko patrzyli, powstaną bogaci.

Insza rzecz uczonym być, insza rozsądnym.

Że cały żywot prawie nad księgami strawił,
Wielką się stąd nauką między ludźmi wslawił
Senator jeden: jakoż człowiek był wymowny.
Gdy mu przyszło dać w sprawie sentencją głównej,
Aż mój Herkulesowe do Awernu stopnie
Rachuje i powieida dzieje przedpotopnie:
Jako Jowisza koza w kraju gdzieś dalekiem
Odeszłego w pieluchach swym karmiła mlekiem,
Jako zaś na jej skórze ogolonej z sierci
Tenże pisał wyroki żywota i śmierci;
Co było pierwszym ziemie i morza początkiem.
Z nauką się popisał, ale nie z rozsądkiem.
Słowem sprawy nie wspomniał, do której proszony.
Insza rzecz jest rozsądny, insza rzecz uczony.

Wilka trzymam za uszy.

Wilka trzymam za uszy. Cóż z nim dalej robić?
Jeśli puszcze, ukąsi; niemasz go jako bić,

Miawszy obiedwie ręce trzymaniem zabawne.

Na sługę złego, ale potrzebnego, dawne

Przysłowie: Odprawić go, wielka niewygodą;

Chować, kłopot ustawny, a czasem i szkoda.

Toż i o przyjacielu nieszczyrym się mówić,

Toż o złej żenie może kiedy postanowić

Trudna: Czy się z nią rozwieść, że głowę mozoli.

Czy trzymać, że potrzebna, i cierpieć, choć boli.

Ja radzę, żeby wilka za uszy nie trzymać:

Tego puścić, kiedy chce, inszego nie imać.

Z pomocą wygrana.

Sławny męstwem Tezeus, gdyż bez wszelkiej melki

Tryumfował, wygrawszy, komu niósł posielki.

Doznał z Amazonkami Herkules go w bitwie

I Meleagier z dzikiem, doznał go w gonitwie

Z Centaury Pirotous, kędy wielu dusza

Odleci. Stąd przypowieść: Nic bez Tezeusza,

Otrzymali nie swoim Niemcy paragonem:

Bez niego być im u psa było pod ogonem.

Już tam byli, już Turczyn, z chlebem ich powszedniem

Wsadziwszy w garło, o włos nie wsadził pod Wiedniem;

Już uciekli z domowych, gdzie pies śmielszy. śmieci,

Aż przypadszy Tezeus: król polski, Jan Trzeci,

Z odwagą zdrowia swego, choć pióra uronia,

Wziąwszy za skok, dobył psu Niemca z podogonia.

Aż on zaraz dobywszy w tylnej kiszce ducha,

Nie chce znać Tezeusza, na Polaków dmucha,

Sobie to przypisuje, choć jeszcze od strachu

Źle wywietrzył, tamtego nabrawszy zapachd.

Nie życzyłbym się, Niemcze, tak barzo wielmożyć:

Jeszcze niedługo możesz w piudry nachędożyć.

Kamień okrągły sam z góry leci.

Płaski kamień zepchnięty leży na uboczy,

Nie ruszysz li; okrągły sam się z góry toczy.

Kto do czego ma pochop z swego przyrodzenia,

Nie wielkiej trzeba prace: dość samego chcenia.

Niech kto ma chęć, nie ma li pochopu z natory,

Musisz go, jako płaski kamień ruszać z gory.

Natura pierwsza szczęścia ludzkiego załoga:

Rodzicom to należy naprzód prosić Boga,

Żeby dzieci pierwej, niż wzrok wezmą od słońca,

Raczył skłonić z łaski swej do dobrego końca;

A potem przypatrować pilno się natorze,

Do czego zmysł kieruje w synu abo w corze.

Dalej się jej we wszystkim trzymając powodu

Do tego, lecz ostrożnie, adresować z młodu:

Uważnych do nauki, śmiałych do obozu,

Nabożnych do kościoła, skrzętnych do nawozu.

Bo chociaż starość wszystkich do pługu sprowadzi,

Do sławy i do księgi trzeci chleb nie wadzi.

Na to pamiętać życzę, że często uczony

Pyszny bywa, nabożny wda się w zabobony.

Z śmiałego będzie zwajca, z gospodarza sknera,

Nie może być natura do dobrego szczera,

Żeby jej nie mógł na złe ten świat wynicować;

Więc ich uczyć zawczasu afekty miarkować,

Stawiając w oczach dawne i świeże przykłady,

Że wszędy i w sobie się człek niech strzeże zdrady.

Starzy dwa razy dzieci.

Same słowa, nie wiele mówiąc, mam za świadki,
Jako są starym dziadkom blizkie małe dziatki.
Podobno nas natura, stosując się z pismy
Świętymi, dlatego chce odmłodzić, żebyśmy,
Wyzuwszy na tym świecie starego człowieka,
Pragnęli świecką zdradą nietkniętego mleka.
Nie będzie zbawion, takie wiecznej prawdy zdanie,
Kto się małemu dziecku podobnym nie stanie.
Nie tylko się odmłodzić, lecz odrodzić każe,
A łacniej tego mały, niż wielki dokaże.
Łacniej wnieść w macierzyński żywot ludziom młodem,
Niż starem, jako głupi rozumiał Nikodem.
Kościół boży jest Matką; zginiony człek zgoła,
Co na świecie starzawszy, nie wszedł do kościoła.
Pokorą a prostotą, jakim był z początku,
Powinien się każdy stać równym niemowiętku.
Opak dziś każdy mówi, każdy zaraz gada,
Każdy pismo do swojej prywaty wyklada.
Pytasz, jako stary człek znowu dziecinieje?
Ma dziecię białe włosy, i on też siwieje,
Ba i rzadkie, że ledwie który z głowy wisi:
Dziecko wiek młody, starca zgrzybiały obłysi.
Cóż mówią próżne dźwięki? że go tylko poić
Potrzeba i na kaszę mleko od krów doić.
Darmo myśleć o chlebie, o serze, o mięsie.
Równy z dzieckiem wywróci, równy się z niem trzęsie,
Zwłaszcza jeśli mu wadzą mocne w głowie trunki,
Trzeba go wodzić, trzeba jak znowu piastunki.
Jedzą jak racy, póki ząb w gębie nie słaby;
Wypadł, albo się złamał, piją jako żaby.

Trzeba tłumacza, bowiem i język odmienia:
Dziesiąty nie zrozumie, tak znowu szeplenią.
Pojrzyż na sprawy, pojrzyż na postęпки inne,
Niemasz nic statku, wszystko płocze i dziecinne.
W obyczajach plugawy, w mowie prędkie, skrętny,
Co przed godziną robiel, mówił, nie pamiętny.
Łacno go wywieść w pole, łacno go oszukać,
I trzeba do biednego pacierza przynukać.
Nie wierzy, szczędzi, jakby miał żyć sto lat, ściska,
Zbiera na strawę, droga choć do grobu blizka.
Choć mała albo żadna do gniewu przyczyna,
Gdzie dziecko płacze, bluźni, łaje dziad, przeklina.
Ale na cóż się szerzyć? na cóż więcej pisać?
Tylko, by go powijać znowu a kołysać.
Nie dwa razy; raz tylko każdy człek dziś dzieckiem:
Gdyż począwszy od pieluch aż do śmierci świeckiem
Bredzi głupstwem, przez wszystkie lata, przez wszystkie dni
W obojej płci, tak młody, stary, jako średni.
Co ich bardziej w rozumie doskonałym szpeci,
Że gorzej drwią od dziadów i od małych dzieci.
Przez cały żywot skarbia, a nie wiedzą, na co;
Pysznia, nie wiedzieć z czego, wszyscy drwią ledaco.
Jedni tym, drudzy owym, jako dzieci w roku
Igrając, siedzą w śmieciach od rana do mroku.
Niemasz rozumu, niemasz bakałarza wstrętem,
Żeby z śmieci do książek popędził ich prętem.
Przebóg! czy małoż prętów: żalów, bied i chorób
Ćwicz nas? Nie na piekło, człecze, na niebo rób.
Tym się tylko od dzieci, od zgrzybiałych różnią
Średni, że brzuchów pod się trzeżwo nie wypróżnią.
Choć ci gorszy grzech, niż gnój: ten woda wypierze;

Z grzechem do ognia, kto go na duszę nabierze.
Jednak niż się do tego dostanie folusza,
Będzie i tu śmierdziała wonią śmieci dusza.

Złe, ale potrzebne.

Jako w prywatnych domach złych, ale potrzebnych

Ludzi, tak w pospolitych rzeczach i chwalebnych
Znajdziesz, a nie szukając dokumentów wiele,

Każdy może obaczyć i w ludzkim to ciele.

Co do prywatnych domów dość przytoczyć żonę,

W ciele zaś na wątrobie leżącą ślezionę.

Przeto strzedz, żeby żona góry nie podniosła

Nad męża, a śleziona miary nie przerosła.

Żonę ujmiesz rozumem, ślezionę doktorem.

I cię zli. Cóż z tym czynić, gdy potrzebni chorem?

Ale tym tylko, co im i ich wierzą lekam.

Lepiejby leda baba umiała, przyrzekam.

Są w Rzeczachpospolitych pyszni, są łakomi,

Nie na księżą przymówka: prawa niewiadomi.

Wždy co wydrą, wydrwią, w czym ojczyznę uszkodzą,

To znowu mądrą radą sownie nagrodzą.

I psa, jeśli pod ptaka dobry, choć nie cudny,

Chowają, choć łakomy, choć będzie paskudny;

I żydów ci trzymamy nie bez wielkiej gluzy,

Tylko, że nam pętlice, że nam robią guzy,

Wynosząc za granicę i srebro i złoto;

Gdzie mogą, oszukują; ale mniejsza o to.

Sześćdziesiątletniego z mostu.

Starodawnych pisarze podali nam wieków,

Że to kiedyś u Rzymian było, czy u Greków:

Komu sześćdziesiąt minie lat, nie myśleć o stu;

Co miejsce przywołieści dało: Zrucić z mostu.

Gdyż na mostach dla ciżby, hałasu i zwady

Odprawiano zwyczajnie pospolite rady.

Jakoby już on rozum, co się dotąd zdarzał,

Już pozbył swej rzeźwości i z laty wystarzał.

Nie wolno było dziadom, jeśli nie chciał napić

Tybrowej z mostu wody, do rady się kwapić.

Daleko u nas kształtem dzieje się to inem:

Kiedy młodszy nie wodą, lecz pijani winem,

Starych z mostu zrucają, mówić im nie dadzą;

Mówiali, nie słuchają, choć najlepiej radzą.

Porwoni żeście Bogu, moja droga młodzi,

Nie sześćdziesiąt, siedmdziesiąt lat mnie już dochodzi.

Opiekujecie się Rzeczypospolitej dobrem;

Ja już most mijam, pływać nie umiejąc z bobrem.

Przestrzegam, przypatrując waszej się opiece:

Żebyście z mostem oraz nie pływali w rzece.

Mnieć już z niego zepchnęły moje długie lata,

Zepchnie śmierć w grób, ale wy na kogóż wždy rata

Zawołacie, gdy na was zawisne narody

Jarzmo włożą? Ach, gorszaż niewola od wody!

Tą zalawszy, jeśli żył, już człek nie pamięta;

Na wieki przyjdzie dźwigać, jakie włożą, pęta.

Póki starzy o Polszcze radzą, zsiadszy z koni,

Póty stała w swej porze. Teraz resztą goni.

Przewarzana kapusta.

Jedno tylko a długo powtarzając, prawi

Szlachcie, że pół dnia czasem cały sejmik bawi.

Każdy w uszu swych, jako on wolen w języku,
Jeżeli na kazaniu, a cóż na sejmiku!
Akomoduj do ludzkich uszu swoje usta:
Już nam ta przewarzana obrzydła kapusta.
Tobie kiedy tak często powtórzona mowa
Nie zbrzydnie, i zlisiała nie zbrzydnie jałowa.
Wino gasi kapusta, trzeźwych ludzi czyni,
Mówią, ale nieprawdę, bo ja drzymię przy niej.

Na toż.

Ksiądz najczęściej kapustę przewarzaną jada,
Bo zawsze chłop jednego grzechu się spowiada.
Gorzalki tylko samej, nie wspomni kradzieży,
Nie wspomni cudzołóstwa. Wždy też kiedy świeżej
Przynies — rzecze ksiądz żartem — bo się przewarzaną
Już przyjadła kapusta. Ukradźszy barana
Powie księdzu do ucha. Pochwali ten, że się
Szczerze przyznał do grzechu. Aż ów: wołu w lesie.
A dalej: żyda zabił z pieniędzy na drodze.
Rozważa to surowo, gani mu ksiądz srodze,
Że proste na taki grzech nie idą odpusty.
Aleście świeżej nosić kazali kapusty!
Musiałem ci — rzecze chłop — na to się odważyć,
Gdyżbyście jej inaczej trudno mieli zażyć.

Siła złego dwu na jednego.

Im starsza, tym prawdziwsza, bo przykładów wiele
Utwierdzona przypowieść: kędy się nie dzielą
Dwaj na trzeciego, przegrał, z tym dokładem: jeśli
Każdy z nich pojedyńkiem siłą mu donieśli.

A choć i mniejszy trochę, kiedy się nań skupią,
Inaczej być nie może: pewnie i wylupią.
Nie po dwu, po tysiącu kładł żelazną klawą
Mężny Herkules ludzi trupem, jako ławą;
Więcej Samson, bo tego trudno mieć za bajki,
Jako orzeł jarząbki, kaczory i czajki.
Gdzieżby jeden z tych trafił na drugiego który,
Cóż na dwu, z całymiby nie szedł z placu pióry.
I Herkules i Samson: buława i szczeka
Musiałaby od siebie barzo być daleka.
Bił Turczyn Niemców, jako orzeł marne ptaki,
Aż kiedy ci na pomoc przybrali Polaki,
Paszuje, i pokoju z swoją szuka zgubą,
Bo mu dwaj, skupiwszy się orłowie, doskubą.
Na jednego człowieka Herkules z Samsonem,
Ciało z światem wojuje. Chcieli być zbawionem,
Obu trupem położyć trzeba: ma rysz tunek,
Byle szczyrce chciał wygrać, ma z nieba ratunek,
Niech dyabeł wszystkich grzechów ruszy zawieruchy.
Co orłowi komorzy, sokołowi muchy,
Co obrzymowi drobni za światem Pigmei,
Tak wiele mu dokuczają, kto w żywej nadziei,
W prawdziwej wierze trwając i w miłości bożej,
Duchowną armaturę na swe serce włoży.

Jeden — żaden.

Bóg rzekł, zmiłowawszy się w raj u Adamem,
Dając mu żonę: Żle być człowiekowi samem.
Niech to sobie reguła w rozum bierze mnisza,
Że za cyfrę nie stoi człek bez towarzysza,

Świętych bożych wyjąwszy, którzy żyjąc w ciele,
Chrystusa i przymioty oblekli aniele.
Siłuj się dziś, choć mówi Bóg, że źle, nie żeni,
Żeby wolniej i żeby grzeszyli przestrzeniej?
Siłu ludzkie, co każdy widzieć może, zdanie
Przekłada nad wyraźne Boskie rozkazanie?
Skąd dyskursy do tego przysły bezpieczeństwa,
Że się ważą odsądzać niewiast człowieczeństwa?
Jakoby już umykał tej czci białejgłowie,
Gdy samego Adama człowiekiem Bóg zowie;
Ewę, jaka powinność wszystkich żon i matek,
Pomocą i naczyniem do robienia dziełek.
Ale bredzą, czytając w tekście niedalekiem,
Że Adama i Ewę jednym stworzył człkiem;
Dopieroż kiedy je Bóg, jako i mężczyzny
W równy dział do niebieskiej przypuścił ojczyzny,
Na co upewniające świętym Duchem listy
Jako przywilej mają od Ewangelisty.
Dwie dał Bóg oczy, uszy, nozdrza, ręce, nodze,
Żeby jedno drugiemu było na załodze.
Stąd mądrzy zwierzem człeka towarzyskim zową:
Że jeśli jeden radzi, rzadko nie drwi głową.
Smaczniej się je, gdy kilku usiądzie za stołem:
W celach mniszy mieszkają, przecięż jedzą społem.
Z katem, że we krwi ludzkiej często ręce broczy,
Nikt nie chce jeść ani pić: każdego ostroczy.
Niech będzie wino dobre i kupione drogo:
Jak dębu liznął, wypić gdy niemasz do kogo.
Sknera, kutwa do siebie sam pija, sam jada,
Zawsze się pod opończę, zawsze w kąt wykrada.
Katby jadł z każdym, ale każdy się niem żądzi;

Ten z nikim nie chce, chociaż wszyscyby z niem
Precz ciżba! Tak wieczerze, jako i obiady, [radzi.
Ani dobre być mogą w konfuzyej rady.
Bić się w największej kupie bezpiecznie iść w sieki,
Byle nie w tym nierządzie, jako Kserkses z Greki,
Który na szczyptę pieprzu korzec wysuł maku:
Mak przepadł, pieprz, że większy, został na przetaku.
Z możniejszym się w nadzieję nie wadz pojedynku,
Jeśli nie chcesz i zdrowia i krwi mieć na szynku.
Zawiedzie, upewniam cię, choć w rzeczy da słowo.
Cóż za koniec? Jemu śmiech, a tobie niezdrowo.
Jakoby też nie miał, jedno dziecię kto ma;
Pomoże biedę, mnie Bóg uczyć raczył trzoma.
Dziś wszystkie oplakuję, a ten, co jedno miał,
Jedno ma, ani żalem na sereu ochromiał.
Nie dba śmierć na przysłowie: co kto ma, nie pyta,
Ale co w kojcu zdybie, oślepieć ścina, chwyta.
Grzechy, nie śmierć, i życia naszego nierządy
Ciagną na ludzi Boskie sprawiedliwe sądy.

Gbur między dworzany, wilk między brytany.

Znać swą naturę tobie należy, nie komu;
Wprzód uważać, nim wnidziesz do cudzego domu,
Jeśli podobni tobie w nim abo nie, siedzą,
Czy trzeźwi mówią o czym, czy pijani bredzą;
Długo trzeźwy, niż winem wyrówna ich głowy,
Musi cierpieć mądry li pijanych narowy.
Pijanemu nie życzę między trzeźwych wchodzić:
Skoro się im nadprzykrzy, mogą go wychłodzić.
Gdzie się upieł, tam niech śpi i sam się nie trudzi
I niech nie napastuje trzeźwych w domu ludzi.

Żartowni, czy poważni, żebyś w konfuzyi
Z przeciwnej obyczajom swym konwersacyej
Nie zostawał, maszli się o ich żarty gniewać?
Nie umieszli tej piosnki, co i oni śpiewać,
Abo co głupie między poważnymi gadać?
Żeby z ciebie nie drwiono, lepiej nie zasiadać.
Ba gdyby się drwinami złożyć, jeszczeby to
Znośniejsza. Gorzej, jeśli nadrwiwszy wybito.
Wesołym z wesołymi być, z smutnymi płakać,
Przyszedłszy między wrony, jak i ony krakać.
Kmieciowi niemasz wstydu, bo ani u dworu,
Ani w obozie bywał, że nie ma humoru;
Co samo szlachecowi wielkie czyni sorom,
Jeśli obozom, jeśli nie przypatrzył dworom.
Niech takich szuka sobie podobnych ziemianów,
Żołnierzów w posiedzeniu mija i dworzanów,
Łacniej, przyznam, o roli i o gdańskim flisie,
Piękniej o polityce mówić i kirysie.
Aleć dzisiaj byle był ze psy w polu łowiec,
Ujdzie między żołnierzów nikiemny wołowiec.

Zwycięzca płacze, zwyciężony zginął.

Weszły przez nieopatrzność gęsi do pszelnika.
Tam, kiedy jedna bliżej ula trawę syczyka,
Słyszawszy, że jej pszczoła koło głowy lata,
Trzpiotnie skrzydłem i cały rój niem z oka zmiata.
Wojna zatym bez wici: z gospodarską szkodą
Gęsi od żądał pszczoł, pszczoły giną wodą.
Blizko była sadzawka, nie mając sposobu
Ratunku, wojny koniec śmierć narodów obu;

Bo gdy świeże w posiłku pszczołom pułki leca,
Sadzawkę sobie gęsi obrały fortecą,
Ale późno: śmiertelne mając sztychy w ciele,
Utopiwszy, i sami mrą nieprzyjaciele.
Siłaż tak smutnych wojen dla prywatnej zwady
I świeże nam i dawne pokażą przykłady?
Zwadiwszy, jedna bitwy gęś była przyczyną!
Mając gdzie indziej trawę, wszystkie dla niej giną.
Dla jednego kozaka z szlachecciem łakomem
Zginęła Ukraina wojennym pogromem.
Mogłaby druga Wisła wylaną krwią płynąć,
Kiedy przyszło Polakom i kozakom ginąć.
A gospodarz nieborak za głowę się chwyta,
Widząc tak wielką stratę swą, Rzeczpospolita.
Ledwie znak pszczoł i gęsi: wszystkie śmierć pożera.
Kiedy nowa z pogaństwem wojna się otwiera,
Niemasz bitnych kozaków na wojnę posielku:
I Podole poszło w dym, szlachta już na schyłku.

Komora cedzić, wielbłąda połykać.

A czegoż język pomsty abo zysku chciwy,
Obracając i miętkę pachnącą w pokrzywy,
Nie dokaże? Ostrożność wszystkim radzę sądom,
Gdzie komorom wielbłądy, komory wielbłądom.
Za szczerą prawdę uda i tak niedościgle,
Że nie postrzeżesz, aż się zakolesz na igle.
Tak w bawelnę miękkich słów jawne kłamstwo kryje.
Bo rzemieślnik warsztatem, oracz pługiem żyje,
Kupiec handlem; żadnej z tych nie umiejąc rzeczy,
Na jeden się jurysta język ubezpieczy.

Lecz nie wszystkich do tego kładę katalogu:
Są, co ludziom, są, co się przysługują Bogu.
Dobrzy, poczciwi, kiedy niewinności bronią
I fałszu się i sprawy podejrzanej chronią.
Sędziom praw niewiadomym, jacy na ratuszu
Tych czasów zasiadają, kładą je do uszu.
Siłuż się tam wielbłądów wemknie przez kieliszki,
Abo kto posmaruje, przez gardło do kiszki?
Siłu i spowiedników, odpuszcicie ojcowie!
Którym to służy Syna bożego przysłowie.
Tych penitentów srodze, co ludzkim zakazem
Wzgardzili, karzą, a za Boskie biją płazem.
Wolen, kto z cudzą żoną mieszka; tego spalić,
Kto kopę wziął z kościoła, nie masz czego chwalić,
Chociaż księżych pieniędzy; wolen, kto się winem
Opieł, abo gorzałką, abo trunkiem inem;
Niechże w piątek skosztuje mięsa abo masła,
Heretyk; już w nim wiara katolicka zgasła,
Choć tamto ze swej woli, to uczynił z głodu;
Wolen, kto całą w karczmie noc do słońca wschodu
W niedzielę abo w inszy dzień szaleje święty,
Byle w polu roboty nie kończył rozczętej;
Choć zboże gnije abo spada, ksiądz zakaże,
Choć się po długich deszczach pogoda pokaże.
Jakoby tenże kościół, który mięsa jadać,
Nie bronił na pijaństwie zbytecznym zasiadać;
Jakby nie zakazano w jednym że kościele,
Tak w karczmie szaleć, jako i robić w niedziele.
Aleć darmo na księżą krakać i na sędzie:
Niech każdy z nas prawdziwym sędziem będzie.
Któż, jeśli się rozgniewa, na słusność ogląda?

Kto w afekcie nie czyni z komora wielbłąda,
Abo opak? Gdzie impet bezrozumny rządu,
Sam się człek równym staje naturze wielbłądzi,
Który, żeby nie widział swojej nieurody,
Wprzód z błotem mąci, niżli schyli się do wody.

W słowiech wszystko, w rzeczy nic.

Taka moda na świecie, i sam świat tej mody
Zażywa, że ryb mało, kędy sieła wody;
Słomy wóz — pszenice wór, czasem i niepełny,
Srogi baran abo skop na pozór — garśé wełny.
Znam szlacheica, blizkiego ode mnie sąsiada:
Każe trąbić do stołu, choć tylko sam jada.
Że się to w piątek działo, ma ten dobre ryby,
Wstąpię: aż grzanki w piwie, dwa śledzie i grzyby,
A dalej wiatr angielską stał przykryty cyną,
Jednak to wszystko świeżą ozdobił cytryną.
Anoż rozsławiwszy, nędza — pomyszę — bogata.
Sam się błaźni ten człowiek, a cóż nie ma świata?
Trąbą ludzi, a siebie wiatrem na półmisku;
Wiatr też będzie miał, wstawszy od wieczerze, w zysku.
W ofertach, w obietnicach, jako w wodzie Wisła,
W skutku oka zapruszyé wszystko rzecz zawisła.
Wodąż się umyć może, abo kto posilić;
Słowa uważać, żeby na nich nie omylić.
Często miasto ochłody, zawiódszy, dokuczą,
Często, co omyć miały, jeszcze gorzej bruczą.
Ukłonów na trzy misy, ale szczerości by!
Nie [na] darmo do serca ktoś napierał szyby.
Prawdziwie to powiedam, ani cię zawiodę,
Że dziś łacniej o wino, niż słów szczerych wodę.

Słowy uszy, językiem, winem gębę poi.
Tyleż dobrego: sercu nic się nie okroi.
Słowa na wiatr, za węgiel wino pójdzie, a ty,
Zostawszy w obowiązku, przyszedłeś do straty.
Nieostroźnie, jako w sieć, nagnany obojem,
Uwiązłeś: jużes cudzy, będąc dotąd swoim.
Dać mu to, o co prosi — rozinowa z ubogiem,
A druga — prosić o to, czegoś trzeba z Bogiem.
Tamtą w jałmużnie, a tą należy w modlitwie.
Z możniejszym, abo z równym stąpać, jak po brzytwie,
Ukłony uklonami, słowa płacić słowy,
A w ścisłą przyjaźń pierwszej nie wchodzić rozmowy.

Na toż.

Taż właśnie w świecie, która i w ludziach obłuda:
Cieszy się człek nadzieją, rozumie, że mu da,
Co obiecał, aż wodę mętą i to w glinę
Nalawszy, a szczerą mu podaje urynę,
Gdyż przez tysiąc i więcej brzuchów przeszła druga.
O nieszczęśliwa świata marnego wysługa!
Cóż ciało, jeśli nie trzop? garniec już stłuczony
Z przekłetej gliny, w rajy śmierci przysądzony.
Sława, honor, bogactwo, wszystko, co fortuna
Daje, wodą jest, która w kałdun się z kałduna
Przelewa i śmierdzi już, kto ma nos pojętny,
Że na tym świecie nie chce pić uryny mętnej.
Wszystko to w słowach, wszystko w opiniej próżnej
Zawisło, co człek rzeczą kładzie nieostrożny.
Woda mętą, kłopotów pełna i hałas, —
Bo wystać, z rąku do rąk chodząc, nie ma czasu,

Ustawicznie na wozie i na drodze grudnej.
Przecież ludzie szukają rzeczy tak paskudnej.
Widome na wieczną śmierć wszystkim topielisko,
Nie w kiskach, zawsze w sercach sprawując morzysko.
Zawsze z głowy przez oczy, jako z alembika,
Łzami wszelka światowa pociecha wynika.

Na toż.

Pięknie każe, przykłady foremne przytacza
Ksiądz z ambony, trzymając za uszy słuchacza.
I koncepty subtelne i dobra wymowa.
Słucham, aż bajki szczyre i bez rzeczy słowa.
Woda bez ryb, koncepty wysmienite, że są
Bez nauki, posiłku duszy nie przyniesą.
Powie li też co z pisma, jakby kota z woru
Puściel, niema li z życia księżego poporu.
Lepiej kanarka abo kosa w klatce chować,
Kto chce głosem bez skutku uszy delektować.

Stołowy przyjaciel.

Nie psów tylko jest siła, jeśli kto w ul dmuchnie;
I ludzi, którzy przyjaźń trzymają dla kuchnie,
Którzy, gęsty czy rzadki kurzy dym z komina,
Patrzą, jeśli wstawiono do piwnice wina.
Pies ledwie kość obliże, koło domu szczecka
Całą noc, gdy złodzieja czuje, nie ucieka.
Przyjaciel, opiwszy się winem po zwierzynie,
Za stołem się ubluje, uszmara w kominie.
Aleć to jeszcze mniejsza, to gorzej szkaradnie,
Że oszczeka w ochocie, na sławie okradnie.

Dmuchnie najmniej przeciwna fortuna w twe pierze,
I do garka nie zwabisz, bo nie kochał szczerze.
Jeszcze cię za twe wino na honorze grypsa.
Obierajże, kogo chcesz: czy mieć czleka, czy psa
Garkowym przyjacielem. Pies z tobą do śmierci,
Choć mu kijem przetrzepią leda o co sierci;
Ten słówkiem urażony, choć tak długo jada
Chleb twój, z łaski kwituje, przyjaźń wypowiada.
Większe tu ma świat szczęście, niż ludzie, do ludzi,
Choć ich tylko czeczym dymem, próżnym garkiem ludzi.
Každy łaknąc i pragnąc, od jego wstał stołów,
Wypiwszy tysiąc beczek, zjadszy tysiąc wołów.
Wilk uskromi apetyt, choć bestya brzydka;
Człek, póki żyw, tym więcej chce, im w się więcej tka,
Bo mu nie w tuk z próżnego isć nie może garka.
Ba i to, co zjadł, z niego wytrzęsie kucharka
Na powtórna wieczerzą, kędy miasto stołu
Na ognisku będzie żarł wagle ze psy społu;
Kędy, co schodząc z świata, przy śmierci wykrztusi,
Ale w inszej zaprawie na wieki jeść musi.
Przecież do tego trzopu ze wszystkich się boków
Cisną ludzie, choć w nim śmierć, jako u proroków
Kiedys była, i wiedzą i czują w gardzielu.
Nie pomoże, choć sam świat odpycha ich wielu;
Wielom gębę oparzy wprzód, nim dojdzie brzucha,
Wielom szkodę przyniesie, jako ona jucha,
Za którą przedał Ezaw pierworodztwo; są ci,
Którym nieobiecany kęs z gęby wytrąci.
Nic to, przez apostoły że święty Duch krzeczy:
Kto przyjacielem światu, Bogu niech nie liczy.

O rzeczy niepodobne nie kusić.

Jeden, co niepodobnych rzeczy się napiera,
Drugi błazen, który się w rząd naturze wdziera,
Sobie to chcąc przypisać; a rzecz to nie czleca,
Co mądrość od początku zrobiła przedwiecza.
Z piasku bicza nie będzie, od czegoż konopie?
Nie wyciśniesz z kamienia wody jednej kropie,
Ani ryb na powietrzu, ani ptaków pierzem
Odzianych w Wiśle łowić podobna węcierzem.
W Wiśle mówię, bo w morzu jest ryb takich wiele,
Co i pływa i lata, ma skrzydła i skrzele.
Z osła wełny, z nagiego spodziewać się szaty,
Przetakiem wodę nosić niepodobna; a ty
Czleka, który z natury trzech nie może zliczyć,
Chcesz teologii bezrozumnie ćwiczyć?
Jakbyś czytać ślepego, kaleki nie chromać
Chciał ćwiczyć; ale trudno głową muru łomąć.
Po prądzie każdy płynie, na dół jako z proce
Leci; przeciwko niemu próżno się szamoce.
Kto ma pochop z natury, choć nie pocznie z młodu,
Bez wielkiego tam dojdzie, gdzie zmierza, zawodu.
Komu przeczy, niech się pnie do siwego włosa:
Umrze, a nie doścignie owego młokosa.
Drugi syna dzieciną, na jego się minie
Omyliwszy, że w szkołach mówi po łacinie,
Że poważny, stateczny, że ma z to pamięci,
Co lata często mienia, do ołtarza święci;
Aż się ów kleryk, ów ksiądz, nie czekając plesza,
Na zbroję, rewerendę zrzuciwszy, rozgrzesza;
Aż żołnierz, aż wódz sławny pogan z pola goni,
Co miał krzyżem kościoła, szabłą krzyża broni.

Drugi swego do dworu lub do wojska znaczy,
Z młodu go ma do konia, przed czasem sajdaczy.
Aż skoro z wiekiem humor odkryje natura,
Miasto szyszaka głowę kładzie do kaptura;
Z mnichami kurs na chórze niż na koniu woli,
Że mu plesz balwierz brzytwą, niż przyłbica goli.
Ptaków latać, pływać ryb, co mają z natory,
Zajaców biegać, skakać po drzewach wiewiory,
Ryb wydrę, lisa myszy, księdza groszów zbierać,
Chłopa kraść uczyć, po cóż tego się napierać?

Farbowane lisy.

Konie wbród farbowano, kto chciał grzywę i sam
Ogon; brzuszki zajęcze — nie służy to lisom;
Wždy po staremu i koń chromie pod forysiem,
Chromal li przed tym, ani zajac będzie rysiem.
Dziś widząc, że się ludzie jeli kół malować,
Na to — rzekę — żeby ich mazią nie smarować.
Aż jedzie, kto smaruje wedle przypowieści,
Skrzypi oś niesmarowna, trzeba koni sześci,
I te będą li chude, farby nie pomogą:
Musi wysieść pomódz im w złym razie załogą.
Małoż sukien, bławatów mają starej fozy,
Że konie futra, ludzie że farbują wozy?
Nie chcąc na przyrodzonym przestawać kolorze,
Po purpury z odwagą pływają za morze.
Nie inszego, tylko to pycha robi świecka,
Że się pstrzą starzy mądry, jako głupie dziecka.
Czemuż sam Bóg — rzecze kto — na przybytek stary
Różnych farb materye, nawet do ofiary

Sierć w bydlęciu przybiera? Pewnieć to nie sobie,
Lecz żydom kwoli czyni, żeby w tej ozdobie,
Jaką cielesne w ten czas mogły pojąć oczy,
Znali go, nim duchownym światłem rozwidoczy.
Teraz się objawiwszy prawdziwą istotą,
Gardzi farbą, gardzi swych kościołów pozłotą.
A cóż od Boga ziemia przeklęta mieć może,
Czymby piękniej nad niebo mieszkanie tu Boże
Ozdobiła? Myli się: nie mieszka on na niej,
Tylko bydło a ludzie z raj u rugowani.
Podnóżkiem nóg jego jest i wszytka jej chluba.
Nic to jemu nie wdzięczno, czego czeka zguba:
Woli serce człowiecze, opuściwszy ściany,
Bo się go nie może jąć kolor malowany;
Białe tylko a czarne: grzech tylko a cnota,
Tamten piekłu, ta niebu. Nic nie waży pstrota,
Jaka dziś wewnątrz siłu chrześcijan paskudzi,
Choć się zdadza, jako śnieg białymi u ludzi.
Mylą nas powierzchowne serc skrytych abrysy;
Bóg tylko niebieski zna farbowane lisy.

Na toż.

Niechżeby farbowali sukna, konie, piasty
I futra, lecz się na to odważą niewiasty,
Chcąc prędzej na wszeteczne ciało chłopa zwabić;
Mało to: uzłocić go, upstrzyć, ujedwabić.
Nie kontentując, jaka od Boga się zdarzy,
Trzeba jeszcze poprawiać malowaniem twarzy,
Choć druga miasto krasy gorzej szpeci, brety
Abo kładąc plugawe po gębie ferety,

Aż skóro starość farbę ze skóry opłocze,
Inszych patrząc, małżonek włóczy za warkocze.
Różne muchy od pierwszych po grzbiecie jej lepi.
Inakszą bowiem poznał wprzód, nim się oczepli.
Nie pstrzy, nie czyni się wyżłem, rodziwszy kondysem,
Nie oszukuj natury z farbowaniem lisem,
Nie równaj się panience, babo długoletna,
Nie maluj, błażniąc ludziom oczy, kiedyś szpetna.
Niechżeby już niewiasty drwiły na swą szkodę,
Przebóg! mężowie od nich przejęli tę modę:
Co niewiasty na gębie, to ci gębą robią,
Kiedy obłudę słowy łagodnymi zdobią.
Kiedy na twarz tak z swoją, jako bliźnich, zdradą
Maskarę od serdecznych myśli różną kładą.
Patrząc na kilku takich do kupy zebranych,
Kiz dyabeł w błam nazszywał lisów farbowanych?
Znałem jednego, ale nie będę go mienił,
Co wargi dla wdzięczności minią rumienił.
Nie kupując miniej, wziąć w pysk pięścią raźnie,
Dawszy komu przyczynę, mógłbyś to mieć błażnie.

Przystrzygają młodzikowi czupryny.

Szumi, wyszedzszy młodo paniątko z opieki;
Rozumie, że mu będzie stawało na wieki.
Dosyć, że, co do ręku samo przyszło, styra;
Skoro tego nie stanie, kto inszy nań zbiera.
Bo co lekko przychodzi, tanio ludzie ważą,
To drożej, koło czego ręce im oblażą.
Aż skoro się ojcowskie poczną kureczyć składy,
Z worków orłowie, krucy wylecą z szuflady.

Chciałby tak żyć, jak począł, nie do ładu bowiem,
Począwszy basem, w poły kwintą urwać, zowiem.
Chciałby światu pokazać, chciałby wojnę służyć:
Intrata nie wystarczy, przyjdzie mu się dłużyć.
Daje sąsiad, co w domu, na borg, przeto droży,
I pieniędzy pożyczą, ale płat przyłoży,
Które skoro w niemały urosną kapitał,
Zrazu kmiotków, a dalej i wioski pochwytał.
Kiedy co raz na kartę świeże leżą krzyże,
Niedługo w substancyej czupryny przystrzyże;
Ale gorzej, niż balwierz: bo włos po balwierzu
Odrasta, nigdy w pierwszym nie będzie ten pierzu;
Bo jako przyszło wszystkie wypłacać zapisy,
Czuprynęć miał na głowie, z wiosek został łysy.

Białym znaczyć kamykiem.

Białym kamykiem, jeśli dzień się który zdarzy
Bez żalu, bez kłopotu, znaczyli go starzy,
Czarnym zaś, jeśli opak, przez wszystkie wieczory
Od czego stał w kącie dzban albo bęben spory.
Dopiero je na końcu brakują żywota,
Żeby wiedzieli, za co bogom czynić vota.
Nie dziw, bo wszystko szczęście w tym żywocie kładli,
Na wieczny zmysłem ani rozumem napadli.
Gdzieżby chcieli ten zwyczaj przejąć chrześcijanie,
Co rok licząc wszystkie dni w serca swego dzbanie,
Który bez grzechu, bo to szczęściem doskonałem,
Perłą, a nie kamykiem znaczyli go białem.
Ten zaś, który nie minął bez obrazu Boży,
Godzien, że każdy czarny kamyk nań przyłoży:

Gorszy jest od choroby, żalu i frasunku.

Dla Boga! gdzieżby dzisiaj przyszło do rachunku,

Nie wiem, jeśli we trzechset sześćdziesiąt pięci

Jeden znalazł, choć się kto i razu nie smęci,

Przez cały rok, tak ludziom grzechy spowszedniały,

Że je za szczęście liczą wszyscy, kamyk biały.

Lecz się wielce zawodzą, bowiem i bez dzbana

Każdy nosi skrytego w piersiach swych liczmaną,

Który wtenczas, kiedy mu ostatni zamroczy,

Wszystkie dni na rejestrze wystawi przed oczy.

Gdzie, jeśli się który znalazł biały, zezernie,

Zniknie tak, jako drobny mak w bobowym ziarnie,

Wszak też u pogan te dni znaczone i bobem,

Już nie powetuje przywalony grobem.

Z drugą stronę daleko lepsza tego biera,

Który pełen dzban białych kamyków nazbiera:

Nie może się niczego bać, nie może wstydać,

Dopieroż gdy mu nad to jeszcze jeden przydać

Bóg obiecał, jeśli by swymi nie dowożał,

Żeby i wagi doniósł i liczby przymnażał.

Gdyż mając imię Boskie napisane w sobie,

Wszystkie ten jeden kamyk przeniesie na probie,

Przy którym nie dni, ale nieprzeżyte wieki

Będzie żel, żalu, grzechu, kłopotu daleki.

Z kretką żyje.

Z kretką żyjąc, co z dziećmi sam zje, skępiec pisze,

Krupy liczy do garka, choć się trafi mysze;

Waglem, jeśli co darmo da i w imię Boże,

Napisać też to między przypowieści może.

Głupi złodziej, bo trudno nazwać go inaczy,

Samże zapłatę sobie w przyszłym sądzie znaczy.

Kiedy wagle zwyczajnie należą do pieca,

I on się tam dla skępstwa swojego obieca,

Waglem dobre uczynki, a to pisząc kretą,

Co strawił do Krakowa jeżdżący kareta.

Jak żyw w niej i w Krakowie nie był, chyba w polu,

Wożąc dla rekreacji gnój na jednokolu.

Po szkodzie Polak mądry.

Wielka w rozumie ludzkim wada, wielka gluza,

Że się cudzą przygodą nikt nie chce strzedz guza,

Dopiero przyznaje, guz odniósłszy na czole,

Że lepiej być o cudzym koszcie było w szkole,

Gdzie gdy od bakalarza jeden weźmie cięgę,

Wszyscy się żacy boją, wszyscy patrzą w księgę.

Człowiek stary, choć widzi, że drugiego boli,

Przecież spróbować raczej, niżli wierzyć woli.

Nie jeden też w tak zły czas spróbuje na sobie,

Że czasu nie będzie miał poprawić po probie.

Gdy widząc tonącego na tęgą wodę płynął,

Nie chciał wierzyć, spróbował, ale i sam zginął.

Czy nie chce, czy nie może pojąć ludzkie ciało,

Że się wszystkim stać może, co jednemu stało.

Ja rozumiem, że gdyby, czego on bogaty

Żądał od Abrahama, wrócił na te światy

Z nieba jeden, a drugi z ogniowej pieczary,

Żeby im ci nie dali po staremu wiary,

Którzy gwałtem doświadczyć Tomaszową modą

Cheą tego, co słyszeli, ale się zawiodą.

Jako włożył, tak wyjął Tomasz z Pańskiej rany
Rękę, tym z piekła powrót już niespodziewany.
Bądź ostrożnym: siłę ma w sobie żywot człeczny
I pierwszych i ostatnich na swą zgubę rzeczy.
I Polak, co dotąd raz, mówiąc bez urazy,
Przed szkodą i po szkodzie dziś głupi dwa razy.
Choć ma swoje i cudze nieszczęścia przestroga,
A przecię go rozumu nauczyć nie mogą.
Dzień dniowi i noc nocy, jako uczy prorok,
Mistrzem jest, a on ginie po staremu co rok.

Wiatr, co chmury ciągnie do siebie.

Jest wiatr jeden przeciwnej od wszystkich natury:
Bo insze rozpędzają, ten zgromadza chmury.
Po łacinie Caecias, po polsku przezwiska
Nie ma. Wszystkie wiatry swe znają stanowiska,
Każdy z swego na ten świat, jako orda z Krymu
Wypada; nabroiwszy, nazad wraca, gdy mu
Jego każe Eolus, z niemniejszym zawodem;
I ten między północą ordę ma i wschodem.
Wiatrami są afekty, które, jako w skrzyni,
W sercu ludzkim zawarła wszech rzeczy mistrzyni.
Jednak żeby nie była z wolności swywola
Wiać, kędy chceć, dała im rozum za Eola.
Gdyż kiedyby zwierzchności nad sobą nie czuły,
Piaskiemby ten mały świat, człowieka, zasłuły.
Znowuby ziemię z morzem leda zawierucha
Skłóciela, choć ci i tak nie zawsze usłucha
Afekt człeczny rozumu, bo go często miesza,
Często na zakazane rzeczy się rozgrzesza.

Między wszystkimi jednak dwa najznacniejsze są
Wiatry, co tak pożytek, jako szkodę niesą:
Pomieniony Caecias z Zefirem też mają
Naturę: oba ciągną, oba rozganiają;
Tylko że różne chmury: są, co gradem grożą,
Są, co potrzebnym ciepłym deszczem zboże mnożą.
Kto z cnotliwego serca gorliwym a szczerem
Miłości Bożej wieje do góry Zefirem,
Z chmur prawdziwej pokuty deszcz przez oczy leje,
Niech będzie pewien życia wiecznego nadzieje.
Te, które szkodę czynią na ciele i duszy,
Rozpędzi i skuteczną modlitwą rozpruszy
Grzechy, żale i wszelkie insze przeciwieństwa,
Przywodząc na ich miejsce deszcz błogosławieństwa.
Chyba jeśli kogo Bóg Jobowym przykładem,
Żeby świata pokazał, chce nawiedzić gradem.
Ale niechaj nań szkody, niech padną choroby,
Jeśli wytrwa do końca, wnidzie między Joby.
Ów zaś, który z miłością tego świata dmucha,
Ślepo idzie, gdzie afekt cielesny rozrucha.
Wszak też ten wiatr Caecias w łacińskim się słowie,
Ponieważ *caecus* ślepy, od ślepoty zowie.
Tam tęży, kędy radzi zakazana żądza:
Szkodliwe chmury ściąga, potrzebne rozpada.
I we dnie się i w nocy nigdy nie uciszy,
Łyskania widzi, grzmoty i pioruny słyszy.
Niech pokrywa, jako chce, niech cerę odmienia:
Zawsze go bije z chmury grad złego sumnienia,
Strach sądów Bożych, które samże na się zwabiał,
Żeby oraz i duszę i swe ciało zabił.
Darmożbyśmy czytali w wiecznej prawdy zdroju,

Że bezbo[ż]ni mieć nigdy nie mogą pokoju?
Bo nim im śmierć przekole złego wiatru miechy,
I w tym i w przyszłym wieku nie mają pociechy.

Niebo się obali, skowronki potłucze.

Wprzód niżli astronomi przez uczone księgi
Objawia ludziom prostym sfer niebieskich kręgi,
Tak rozumieli głupi, choć już byli starzy,
Nieoświeconym głowom leda co się marzy,
Że Atlas obrzym, człeczą wyzuwszy naturę,
Która po dziśdzień stoi, obrócił się w górę,
I niebo, kiedy stłumić ziemie się napiera,
Że mu ludzi żal było, ramiony podpiera,
Głowę w obłok wsadziwszy, jako na kolumnie
Żeby stało. Poeci drwili bezrozumnie.
Mgły i śniegi, które wierzch na tej górze boru
Wiecznie kryją, przyczyną takiego erroru,
Stąd zawsze w strachu byli o swego obrzyma,
Że niedługo na barkach ciężaru dotrzyma.
Jakoż gdyby to prawda, słusznieby się bali,
Skoro Atlas ustanie, że niebo obali.
Samych tylko głupi strach żydów się nie imie,
Bo wiedzieli o większym daleko obrzymie,
Który nie na ramieniu, ale niebo na tem
Palcu, którym go stworzył, z całym trzyma światem.
Nie na palcu: na jednym, jako święci piszą,
Niebo, ziemia i morze jego słowie wiszą.
Stąd weszła ta przypowieść i do Polski naszej,
Ale skowronki tylko, ludzi już nie straszny.
Tymże gorzej: nie masz się, przebóg, z czego chwalić,
Wiedząc pewnie, że niebu przyjdzie się obalić,

Słońcu upaść z miesiącem w ciała zmartwychwstanie,
Kędy się przy skowronkach złym ludziom dostanie.
Nie przytłuczeć ich, prawda, choć tak ciężkie brzemię,
Ale z nimi zapali wiecznym ogniem ziemię.
Będą wołać na góry: przywalcie! potłuczcie!
Przeto się dla nieba żyć, nim obali, uczcie.
Żebyście, kiedy ziemia będzie gorzeć chutą
I woda będzie wrzała, mieli go redutą.
Nie dla brzydkiego ścierwu ciała, nie dla świata,
Żeby nie przyszło wołać na góry wam: rata!
Poganin to napisał: Nie boję się, bo mie
Ubezpiecza sumnienie, choć się niebo złomie.
Nie rzeczeć tak dziś żaden chrześcijanin śmiało.
O ludzie bezrozumni! boją się o ciało,
Na które co dzień ziemie śmierć w grobach obala,
Bo straszac złe sumnienie umrzeć nie pozwala.
Przebóg! Czemuż się żaden o duszę nie boi?
Choć ta umrzeć nie może w ruinie oboi,
Ale żyć abo w piekle musi, abo w niebie
W tymże ciele, skoro go grób wyrzygnie z siebie.

Tak ciągnąć łyżka, żeby nie zerwać rzemyczka.

Bardzo na cienkiej nici, jako mądrzy piszą,
Wszystkie się ludzkie rzeczy na ziemi kołyszą.
Co idzie przyrodzeniem, na to próżna skarga,
Jak najmniej przeladujesz, do razu się starga.
Pierwszy żywot i zdrowie nasze, drugie do tej
Nici należą sprawy, kunszafty, obroty.
Przypatrzmyż się dziś ludziom, jako kwoli światu
I ciału żywot ważą, że choć od kieratu

Nie strzymałaby lina, prze niezmiernie zbytki,
Przez ciężkie prace a cóż nie ma urwać nitki?
Biega we dnie i w nocy, lata, drugi pływa,
Żeby nabył pieniędzy, żywota pozbywa.
Nabędzie, cóż mu do nich, kiedy w ziemi gnije?
Ten je weźmie, co leżał, i ten je przepije.
Rzadko spadki inaczej chodzą. Wierę drogo
Ziem-ki i wieczny żywot utracić dla kogo.
Jeszczeby, jeszcze uszła dla pożytku praca.
Żre, leje w się, choć szyją drugi nazad wraca.
Oraz i wieczny żywot gubi, i doczesny,
A cóż mówić, dla Boga, o żądzy cielesny?
Kiedy lekarstwem skłonnej do złego natury
Popychają, dość krótkie rwąc żywota sznury.
Rzadki też, kto go wlecze bez łąty, bez węzła,
Na którym i pobożność i cnota uwięzła.
Zgoła chwalić niemasz co; wszystko trzeba ganić.
To tak swój żywot króć. Pojrzymyż też na nie
Obyczajów i jednych z drugimi obchodu:
O! jakóż ludzi wielom tak się zerwie z młodu,
Że jej nigdy, choćby żył najdłużej, nie zwiąże,
Kiedy księżę jako król, szlacheć jako księżę
Żyje, szumi, niż dochód, większe ma rozchody,
Sług winem poi, szuka sam na starość wody.
Drugi importunując ustawnie sąsiada,
Mogąc mieć aż do śmierci, przyjaciela strada.
Nie da się w sobie kochać i rwie powróż szpetnie,
Zbytnią konfidencją zebrząc niedyskretnie.
Drugi, swej sprawy w domu obrawszy się sędzią,
Nie zmierzyszy uważną kosztu z prawem piędzią,
Dopiero błąd, choć mu się powiedzie z początku,

Postrzeże, nie urwawszy, gdy nie stanie wątku.
Choćby nie trzeba jawnej sprawie słów koloru,
Nie stanie li pieniędzy, spadła bez poporu.
W nabożeństwież przynajmniej nikt nie zerwie nici?
I owszem, kto się rzeczy pozwierchownych chwyci,
Opuściwszy duchowne, zwłaszcza dla prezenty,
Żeby się zdał u świata opinią święty.
Posty, dróżki i insze zbytnie ciała nuże
Pacierzami, co większa, niejeden przestruże,
Grzesząc wielomównością. Znałem zakonnika,
Co, mówiąc z ludźmi, w palcach paciorki przemyka.
W kościele — rzekę — wedle Pańskiego wyroku
Nie godzi się pacierza mówić na widoku.
Żeby tym Bożej chwały na się nie obracać.
Dopieroż je, różniąc się od poganów, skracać.
Cóż mówią dyscypliny? kędy ich tak wiele
Przestruguje, sami się katując na ciele.
Choć nikt, jako Duch święty wieczna prawda mniema,
Własnego ciała swego w nienawiści nie ma.
Jakby też Chrystusa siekł, tenże święty rzecze,
Jego bowiem jest członkiem, kto swe ciało siecze.
Ofiarą Bożą, która nim się zawrze trumną,
Powinna mu usługą być, ale rozumną.
Cóż to za rozum bić się i swe ciało krwawić?
Pogańskim by Santonom lepiej to zostawić.
Jakoby też bił trupa, kto swe ciało bije,
Bo to, przez się umarłe, duszą tylko żyje.
Mieszkaniem samym tylko, doczesnym przybytkiem
Rozumowi ciało jest i afektom wszystkim,
Azaż jeśli się trafi co źle zrobić komu,
Rąbie ścianę i grzechu swego mści na domu.

Rozum, serce, nie plecy siechy trzeba, człeku!
Tylkoć to za kowala szwiec wisiał w Osieku!
Pan zgrzeszył, sługę karzą. Tak cierpi we dwoje:
I na świecie, i w piekle za grzechy nie swoje.

Stare drzewo przesadzać.

Stare drzewo przesadzać niezawsze to szkodzi,
Bo nietylko nie uschnie, ale się odmłodzi,
I co dotąd zły, abo żadnego nie niosła,
Skoro się rozkrzewiła i szerzej rozrosła,
Stawszy jabłoń podobna oganistej lipie,
Wdzięczniejszy, słodszy owoc, niżli dotąd, sypie.
Kto ze złego nałogu, w którym się już starzał,
Tak powstał, żeby grzechu więcej nie powtarzał?
Wprzód, niż do grobu, niż mu przyjdzie do upadu,
Serce swoje do cnoty przesadziwszy sadu,
Niż uwiędnie, niż zgnije, niż go czerw zje w klocu,
Póki jeszcze podobne będzie do owocu,
Z leśnej płonki, co dotąd świnia od niej kwiczy,
Staje się równą rajskiej jabłonią w słodyczy.
Jakoż to drzewo owoc. zagon dobre zboże
Rodzić ma, co już płonek, co chwastu nie może?
Jakże ten żyć pobożnie, który lub w chorobie,
Lub wiekiem zdzieciniawszy, sam nie wie o sobie?
Który już i do grzechu, dopieroż do cnoty
Nie ma władze, u grobu stojąc przede wroty?
Są tacy z drugą stronę, co z młodu w dziardynie
Cnoty żywszy, skoro im sześćdziesiąt lat minie,
Skoro się już słońce spaść gotuje z kompasu,
Przesadzają swe serca z dziardynu do lassu,

Z bujnej i z płodnej ziemi w jałową i płoną;
Nie dziw, że też piekielnym ogniem prędzej spłoną.

Na toż.

Nigdy się, jako dawna przypowieść powiada,
Jeśli kto stare drzewo przesadza, nie nada
Bez obrazy korzenia, kiedy go chce dobyć
Z miejsca, na którym zrosło, ani może to być.
Abo mu grunt do smaku nie przypadnie, abo
Przymie li się, owoce będzie rodzić słabo.
Cierpki, czerliwy, rzadko swej pory dochodzi.
Tak kiedy się z dziewczęty dziadowie, tak młodzi
Kiedy żenią z babami, zrazu trochę błysną,
Dalej mehem porastają, gałęzie im wisną,
Korzeń kureczy. Bodajci, w którym kto wkorzenił,
W tym starzał i do śmierci gruntu nie odmienił.
Przyjdzie li też powtórzyć komu ożenieniem,
Niech korzeń z gruntem, niech grunt zgadza się
[z korzeniem.]

Chluby nagrodą szkoda.

Gdyby o to zwyczajnie prosił mię, nie załby
Darować, ale szkoda żal przypłacać chwałby.
Prezentując z oprawną w mym domu czezcugą,
Powiedam żołnierzowi, zem taką miał drugą,
Lecz kiedy ją pochwali jedno panię z toku,
Daruję — rzekę — jeśli przypadnie do boku.
Trefunkiem, czy się żołnierz osłyszał umyślnie,
Ukloniwszy się nisko, za nogi mię ściśniesz:
Dziękuję, dobrodzieju; choć nie zasłużeł,
Żeś na mię ludzkości tak niezwyczajnej użeł;

Będę głosił przed całym twoją łaskę światem.
Śmiałem, choć mi nie barzo śmieszno było zatem.
Zapłaciwszy naukę, przestrzegę pacholka:
Schowaj, jak się gość trafi, pod kobierzec z kołka.
Jam dał inszą inszemu, on dziękuje za tę;
Prawdę mówi przypowieść: chluba niesie stratę.

Prawi, co ślina do gęby przyniesie.

Gędzą gęsi w Zawarciu, świerczą wróble w lesie,
Gada człowiek, co ślina do gęby przyniesie.
Ptacy nikomu swoim nie zaszkożą głosem,
Bo się rodzi w gardzieliu, a wychodzi nosem;
Lecz kiedy usta idzie, co się w sercu łągnie,
Czemuz człowiek, jako gęś, bez uwagi gągnie?
Bierze też często nazad w gębę swoje słowa,
Czasem się nie wysiedzi w pokoju i głowa.
Lepiejby z marnym słowem na ziemię te ślinę
Wyplunąć, niż turbować niewinną czuprynę.

Obmowcy nie wygodzi.

Bożkiem starzy poganie uczynili Moma,
Który, sam próżno siedząc, nie robiąc nic doma,
Cudze, choć nieproszony gość, często nawiedzał,
Wszędzie znalazł, co zganił, wysysał, przecedzał,
Często prawdę powiedział, ale kłamał części,
Nie o całej li rzeczy, przynajmniej o części.
Wszystkie ręczne rzemiosła jego ujęć cenzurze,
Wszystkie księgi nie mogły, kiedy i naturze,
Że okna ludzkim piersiom, oczy dawszy czołom,
Nie dała, śmiał przyganiać, że nie w karkach wołom,

Ale na głowach stawia i że krzywe rogi:
Lepszeby jako grotty były i ożogi;
Że owce nie pod mostkiem, gdzieby mu daleko
Piękniej, niż pod ogonem, swoje noszą mleko.
Lecz niepodobna wszystkich plotek jego liczyć.
Niemasz czego takiego w domu gościa życzyć.
Cóż? Tam tylko jeden był, i to jeszcze bożek;
Tu każdy, choć nie godzien w kozi trzeszeć rożek,
Choć sam, jak żyw, dobrego wiersza nie napisał,
Będzie wytrząsał, będzie cudzy styl wysysał
Równie, jak wiecheć świnią. Lecz przestrzegam, Momie,
Żebyś na ono iste nie trafił z nią w słomie.
Nie Momus, człek uczony, dobry niech zdrów trzęsie,
Jakiekolwiek są, wszystkie prace me. Nie prę się,
Że najdzie co poprawić, bom się nie aniołem,
Ani, co się poprawiać nie da, apostołem,
Prostym rodził szlachcicem; ani cudzych piórek
Szukam u Helikońskich swej pochwale córek.
Słowa moje, bom Polak; rzeczym pisał cudze
Wprzód ku Boskiej, a potem ojczystej przysłudze.
Znowu mówię: niech taki me pisma przetrząsa,
Co poprawi, nie hydzi ludziom, ani kasa.

Przeplłynąwszy utonąć.

Wszędy pełno trefunków, dopieroż w żegludze:
Taż śmierć na morzu wielkim, która i na strudze.
Tak z okrętu jako nas z czołnu abo z batu
Wydziera. Nic ostrożność nie pomoże światu.
Ocaliwszy drugiego, gdy wiatr morze mać,
Choć cicho, o leda hak już [w] porcie roztrąci.

Dochowawszy się synów, dochowawszy dziewczek,
Przez tak wiele niepewnej fortuny zawiewek,
Kiedy skutkiem czekaną pociechę swą chwyta,
Aż, czegom ja przykładem, gorszy od rozbita,
Wszystko z dziećmi straciwszy, na desce się płytki
Trzymam, płynąc do grobu, cienkiej, słabej nitki.
Drugi lat kilkadziesiąt, jako żeglarz w nawie,
Tyle podjąwszy w trudnej prac i kosztów sprawie,
Kiedy pożądanego końca sercem siąga,
Alié mu konie leda przygoda wyprzaga.
Skoro tak wiele Charybd, Seyll tak wiele przebył,
Tonie, stawając w porcie, jakby nigdy nie był.
Lecz ci już w nim stanąwszy, toną najprawdziwi,
Których podeszła starość w pobożności skrzywi.
Już jedną nogą w grobie, niech to ludziom starem
W rozum idzie, leda grzech rozbije z towarem.
Obyczajnie stawiajcie dziadowie swe nawy:
Młodym być może, nie masz wam czasu poprawy.
Lecz i wy młodzi portu nie patrzcie z daleka:
Tenże was, co i starych, na każdy dzień czeka.

W progu ustryrk.

Szpetna w progu wychodząc ustryrknąć się z domu,
Ba i zły znak, ale to rzecz szpetniejsza, komu
Dopadając do kresu o zakład z zawodem
Tehu nie stanie. To starem, tamto bywa młodem.
Ustryrknąć się, ba i paść w biegu nie nowina:
Koń na cztery kowany bywszy nogi i na
Równiej drodze się potknie, czemu abo dołek,
Abo niepostrzeżony w ziemi winieu kolek;

Jednak porwawszy z miejsca, kędy wiedzie ścieżka,
Jeszcze wielu uprzedzi, nie rzkaç nie omieszka.
Człeczca rzecz w enocie upaść na szatańskiej zdradzie:
Porwie się, niech nie traci nadzieje w zakładzie;
Ale komu w piersiach tchu, w nogach nie stanie sieł,
Więcej leży, niż bieży, głowę na dół zwiesieł,
Niech ani o zakładzie, ani o zawodzie
Nie myśli: jednakóż mu spać w grzechowym chłodzie.
Zakładem żywot wieczny: kto go chce dopadać,
Nie trzeba mu w zawodzie cnót świętych posiadać.
Owszem się i rękami i nogami drapać,
Żeby mógł szczęśliwości tak wielkiej dochrapać.
Siłuz się nas, wychodząc z domu, w samym progu
Tak szpetnie na grzechowym ustryrka nałogu,
Że się porwać nie może? Rozumie, że bieży,
Aż on, jako raz upadł, tak do śmierci leży.
Raz Adam upadł, nie mógł drugi raz się dźwignąć,
Nie mógł, czego w zawodzie omieszkał, pościęgnąć.
Panie! w twoim nadzieja miłosierdziu samem,
Że się nie tak obejdiesz ze mną, jak z Adamem.

Na cie przyszło, na mycie odeszło.

Bardziej smakują rzeczy z trudnością nabyte,
Choć daleko podlejsze będą, nizeli te,
Choć droższe ceną, lepsze gatunkiem daleko,
Które bez wielkiej prace przychodzą nam lekko.
Dlategoć spowszedniało i niebo, że go tu
Z łaski ludziom bez prace dają i bez potu.
Świat że swych bez kłopotów brydzien i pieniędzy
Nie daje, przeto go też smakujemy prędy.

Choć jeśli kto rozumnie chce rzeczy uważać,
Daleko większej prace z ciałem musi zażyć,
Bo go trzeba dla nieba śmiercią zbyć zabita,
Niż miasto, niż fortecę biorąc niedobytą.
Z łaski nam niebo dają, bo pies myśliwemu
Potrzebniejszy, niżli człek Bogu. Pytasz, czemu?
Bo pies zwierza i ptaka szuka, co się zdarzy,
A człowiek do gotowej darmo idzie parzy.
Sobie łowi, nie Bogu, co w pierzu, co w sierci;
Wždy mu niebo otwiera do żywota z śmierci.
Tęgo tylko chce po swym stworzeniu koniecznie,
Żeby tak żył na na świecie, jakoby mógł wiecznie.
Możeż być większa łaska, kiedy o swym chlebie,
I o swej strawie Bóg chce człowieka mieć w niebie?
Nadto zdejmuje z niego swe pierwsze karanie
Za rajski grzech Adamów, o ciało staranie.
Stąd lekka waga nieba świeckim ludziom, bo go
Darmo każdy mieć może, nie kupując drogo.
Niebo, żywot i zdrowie, żeby świata zażęł,
Substancją niejeden i sam świat odważył.

Łacno wygrać sprawę opuszczoną.

Łacna rzecz od przeciwnej opuszczoną strony
Wygrać sprawę, łacno wziąć zamek bez obrony,
Łacno i ogon urwać u kuśnierza liszce,
W staw trafić ogórkowi, kielbasie i kiszce;
Ale póki się toczy obojętna sprawa,
Jeszcze ten, co przed sędziem skarży, nie wygrawa.
Kto się bierze do szturm, trzeba piersi kuli
Nadstawić, gdzie obrońcy strzegą miasta czuli.

Łacniej kiszkę niż ogon, choć oboje z świnię,
Krajać, bo w tamtę idzie, na tem się nóż zwinie.
Ten dekret piękna Wenus, ten Mars wydał krwawy:
Odwagi do miłości trzeba i do sławy.
Brzydkiej, wszetecznej swachy dostanie na migi,
Pięknej, wstydlivej kosztu trzeba i fatygi,
Gdzie siłę w pół imprezy z Leandrem ich ginie,
Który nago przez morze do swej Hery płynie.
Więc że sława z miłością ślepą wszędzie zgadza,
Taż trudność wszystkim do niej, toż morze przeszkadza.
Choć oboje próżnością. Czemu? pytasz li mię?
Nie po pierzu bez mięsa, bez ognia po dymie.
Kto chce prawdziwej sławy, miasta bez odwagi,
Ba korony królewskiej, niech się rzuci nagi
W morze miłości Bożej: byle chciał, a szczerze,
Dojdzie, bo jej nie bronią, owszem za kołnierze
Ciagną. Niebo królestwem, niebo jest tym miastem,
Które gwałtem przecię brać trzeba, chociaż nas tem
Bóg częstuje; nie niebu, lecz gwałt czyniąc sobie,
Gwałt ciału, żeby chciało w takiej żyć ozdobie.

Opuszczona sprawa.

Bóg się z dyabłem, z stworzeniem Stworzyciel prawoci.
O cóż? Że go do nieba, skąd zepchnął, nie wroci.
Z tym dyabłem, co po ziemi gadziną się płaza,
I sprawa, i dyabelska niesłuszna uraza,
Bo mu na to zarobił, kiedy był aniołem
I sługą: chciał niedoperz równać się z sokołem.
I tu Bożą robotę koniecznie przeszkadza,
Kiedy człeka, skąd dyabeł wypadł, w niebo sadza.

Już go raz w raju zbłąźni i tego dokaże,
Stworzywszy nieśmiertelnym, że go na śmierć skaże.
Aż zmiłowawszy na śmierć pośle z majestatu
Jedynego okupem Syna z śmierci świata.
Boli go i tu Boska nad ludźmi opieka;
Taką rzeczą nie ma czart przyjacielem człeka.
Tak ci i Bóg rozumiał, alec trafił prawie,
Sędzią go uczyniwszy w swojej z czartem sprawie.
Wszyscy przeciwko Bogu stawają przy czarcie:
Jedniż to robią skrycie, a drudzy otwarcie.
Mówiąć oni? Cóż po tym, kiedy samą rzeczą
Świadczą grzesząc i kauzie sprawiedliwej przeczą.
Wszyscy skorrumpowani: ci światem, ci ciałem.
Niemasz dziwu, że grzeszą za swym pryncypałem,
Jakoby nie wiedzieli, że do sprawy Boży
I ich się sprawa śmierci i żywota złoży.
W służę poszli z patronów i z prokuratorów
Dla pychy, dla pieniędzy, dla świeckich honorów.
Spadłaby sprawa Boska, ręczę, na tym świecie,
Lecz na ostatnim jego zawisła dekrete,
Gdyż się z tym opowieda, że nakoniec będzie
Z ich niesprawiedliwości ziemskie sądził sędzie.
Niechaj dyabeł, niech jego agenci się jeżą,
Choć usta pra, a sercem do niego należą;
Przepadną, skoro zagrzmi Bóg straszliwym głosem,
Do piekła, kędy waszym pryncypał profosem.

Staremu język odmienić trudno.

Jako młodą latorośl w starym szczepić pniaku,
Tak, co się ledwie może zdarzyć w drugim żaku,

Dziada, który już ledwie swoim własnym krzyka,
Głupstwo cudzoziemskiego chceć uczyć języka.
A dla Boga! cóż naszej ojczyźnie się dzieje,
Że kiedy od starości znowu dziecinieje?
Zaż nie pieluchy noszą za one szarłaty,
Za one karmazyny, kto pojźry na szaty?
Obcymi językami koniecznie szeplenić,
Byle swój w lat półtora tysiąca odmienić,
Woli, niż swym językiem mówić, na co szkoły
Zakłada, że już w Polsce Francuzów napoły.
Już ten nie galantomem, już nie politykiem,
Który swym przyrodzonym dziś mówi językiem.
Akomodują się też ręce językowi:
Tatar po polsku, Polak po francusku mowi.
Prócz, że ten drogo język we Francyi płaci,
Tatarzyn od magistra jeszcze się bogaci.
Ani też Polak wyńdzie po tatarsku głupi,
Skoro się tak z Paryża, jak z Krymu wykupi.
Tacy sejmem — widzimy — rządzą i sejmikiem
Wyglądać konstytucyi francuskim językiem.
Rzeczysz: Wzdyc się ci wszyscy szlachtą polską rodzą.
A na nieszczęściaż w Polsce po francusku chodzą;
Abo nas w czym chcą odrwić, i dla tej przyczyny
Wąsy gola, peruki noszą za czupryny,
Abo się nie zda moda ojczystego stroju.
Już wołoski szłyk noszą, wyglądać zawoju.
Bo dzieciniawszy w staropolskich obyczajach,
I mowy się i stroju w cudzych ucą krajach.
Od niemoty Polacy zwą Niemców, że niemi:
Pomieszawszy język swój, staliśmy się niemi,
Nie myśmy już prawdziwie, abo raczej nie ci,

Którzy byli, jakoby nie swych ojców dzieci.
Jeszczeby to mężczyznom ujść mogło leda co,
Ale niech mi powiedzą, białymgłowom na co?
Małe panienki, choćby daleko u matek
Piękniej im było, choć też nie taki dostatek,
Do Francuzek posyłać? Chybaby wyraić
Tym chciały, obyczajów i mowy zwyczajaić.
Z kimże będzie mówiła gospodynią w domu?
Czeladź jej nie zrozumie, mąż nieborak, bo mu,
Żeby nie zapomniała, czego z młodu uczy,
Przyjdzie chować dla żony Francuza do kluczy;
Choćby się drugi odrzekł takiego klucznika,
Co zamek i do pańskiej szkatuły odmyka.
Na cóż się tego — pytam — starzy uczyć mają,
Kiedy samą naturą język odmieniają?
Bo zrządzą i złorzeczą, klną i łają radzi,
Jeśli im biedna mucha na nosie zawadzi.
Zmysły w ciele i rozum już osłabiał w głowie,
Sam tylko wyuzdany został język w mowie.
Aż dziad kłapnie zębami, aż słońce kompasy
Opuści, Polska zginie. O ludzie! o czasy!

Śpiącemu szczęście niesie.

Nosić, mizerna cnoto, za fortuną rucho!
Wszystkaś w słowiech, w rzeczy nic, śpi na obie ucho
Ten, co go ani rozum, ani zdobi cnota,
A szczęście mu w sieć ptaki albo ryby mota:
Leżą oślepi bogactwa, leżą w nią honory.
Ow i we dnie i w nocy biega, cieka, który
I rozumem i cnotą między ludźmi słynie;
Oboje to przeoczy, albo mu sieć minie,

Aż przyszedłszy przed czasem śmierć obierze starga.
Ta była, kiedy w się miecz pchał, Brutowa skarga.
Bredzi. Grzech na cnotę w swej przetworzywszy głowie,
Źle honor i bogactwo jej nagrodą zowie.
Uboństwo i pokorę święta cnota lubi;
Grzech się pychą wynosi i wierzch głowy czubi.
Śpi cnotliwy z Dawidem i ma się bogatem,
Czego trzeba naturze, dosyć mając na tem.
Nigdy z siebie nie kontent, zawsze więcej szuka
Ten, kogo dyabeł zbłąźni i grzechem oszuka.
Gdzieżby tak ludzie duszy, jako ciału kwuli,
Wedle pisma świętego na tym świecie czuli!
Lecz jeśliż apostołów ledwie się dobudził,
Kiedy Pan przez całą noc po ogrodzie trudził,
A cóż my na obiedwie nie mamy spać uszy?
Niech Pan radzi o naszej z apostoły duszy.
Dosyć na nas o świecie myśleć i o ciele,
Wysłuchawszy raz w tydzień mszej świętej w kościele.

Na święte nigdy.

Uskarża mi się jeden sąsiad w wielkiej nędzy,
Że pożyczwszy lat już dwadzieścia pieniędzy,
Ani iścizny, ani płatu od nich bierze;
Prosi o radę, jako postąpić w tej mierze.
I to, co miał z dziećmi jeść, wydał na jurysty;
Prezentuje mi zatym wszystkie spraw swych listy.
Naprzód czytam wyjęty zapis w protokóle,
Gdzie mu dług obiecują oddać na Trzy króle.
Siebie, mój panie bracie, sam winuj, nie sędzie!
Bo w Polszcze nigdy oraz trzech królów nie będzie,

A w zapisie na ten czas oddać obiecano.
Z inszej miary o sobie myśl, cię tu odrwiono.
Pamiętam Kazimierza pospołu z Gustawem:
Za nich byś był podobno mógł coś wskórać prawem,
Aleć znowu rozpaczać nie radzę waszeci,
Kiedy w Polsce po tych dwu Jan króluje Trzeci.
Toć żarty. Lecz jurysta dobry znajdzie dziurę,
Wywróci zapis, jako szwiec na bocie skorę.
A takiego najlepszym dzisiaj ludzie kładą,
Który jawną nicować prawdę umie zdradą.
Jeśli kto chce sąsiada w substancyej pożyć.
Pożyczyć, nie płatując, przez to go zubożyć,
Kosztu nie masz na prawo, nędza duszę nużną
Z ciała wyżenie, dzieci odbędzie jałmużną.
Tak na tym, lecz na przyszłym jako będzie świecie,
Pytać się spowiednika. Ten informuje cię.

W ten czas to będzie, kiedy się mulica ożrebi.

W ten czas to będzie, tak rzecz niepodobną starzy
Znaczyli, gdy mulicy ożrebić się zdarzy.
Bowiem z oślic i z koni mułowie pochodzą,
Ale mulice muląt na świecie nie rodzą.
Dlatego nigdy, abo wielkim to natory
Błędem, jeśli trafiło ożrebić się ktory.
Prawdziwie nie wiem, jako Absalon na mule
Zginął, ponieważ żydom w osobnej regule
Bóg bydłęcych rodzajów zakazał mieszać:
Nie śmiałyby się na to syn Dawidów rozgrzeszać.
Nie tylko, że to kładli w barzo wielkim cudzie,
Ale za pewną wrózkę w rzeczach głównych ludzie:

Jako że miał Daryus, czemu nie mógł sprostać,
Aż mulica ożrebi, Babilonu dostać.

Złemu śpiewakowi chustka u pasa zawadzi.

Na miesiąc Acezyas swoje głupstwo składa,
Choć nie w miesiącu, ale w niem była ta wada,
Ze nie znając na morzu, niósł się za żeglarza,
Zwłóczęc, aż dobry minął wiatr, który czas zdarza.
Nikt się i dziś nie przyzna, lecz wymówki szuka,
W czym go chcą zażyć, żeby nie poznać nieuka.
Sam doktor a jurysta choć mniej czuje w głowie,
Że gra chodzi o cudze, nie o jego zdrowie,
O cudzą, nie o jego substancją, wstrętu
Nie znają: zawsze im czas wsiadać do okrętu.
W zdrowego wmówią, żeby zawczasu chorował,
Jako ci w spokojnego, żeby się prawował.
Niechby jedno jak szyper w tejże łodzi pływał,
Pewnieby i ów, i ten wymówki zdobywał.
Zda się, że od tamtego lepiej marynarza
Aspektówby niebieskich strzegli z kalendarza.

Tak uważaj każdą rzecz, żebyś nie opuścił okazji.

Wszystkie ludzkie obroty, ale wojna wprzody
Z okazji i z swojej zawisły pogody;
Jednak nie bez uwagi i rozumu wszędzie,
Bo jako ten już późno postrzega się w błędzie,
Co lepszej czeka, dobrą okazją mając,
Dopiero w ten czas zmyka, skoro w lesie zając;
Tak i ów, co porywco, nieuważnie kwapi,
Częściej z pola postraszy, niżli go herapi.

Przydaje się na rowy, trafiwszy na starki,
Że łowiec z konia łomie przed herapem karki.
I tamten, i ten kawi: tamten upośledza
I z szkodą omieszkiwa, ten rzeczy uprzedza.
Tak uważaj każdą rzecz, jako stawa czasu,
Lecz więcej okazyjej pilnuj, niż kompasu.

Probierski kamień.

Której ceny? Probierska jest od tego osła:
Złota, srebrna, miedziana; minnica doniosła.
Każdy stan, oprócz kruszców ludzkiego żywota,
Ma swój kamień probierski, ale naprzód enota:
Żal, kłopot, utrapienie, bojaźń i choroba.
Cnoty i cierpliwości, przykład w Jobie, proba.
Przeciwnie doświadczają rzeczy w ludziach statku:
Młodych wydaje wolność, cóż po innym świadku
Wiernemu w oczach ludzkich człękowi, który ma
Impet i okazją, a od grzechu wstrzyma?
Szczęście i wolność, jako napisał ktoś, psuje;
Nieszczęście, żal, ból i strach człeka informuje.
Z tego się to w pacierzu co dzień obrażenia
Wypraszamy, żeby nas nie potkał, kamienia.
Bogactwo i ubóstwo, te dwa najpierwsze są,
Które prądem do grzechu serca ludzkie niesą.
Którekolwiek z tych dwu Bóg na człowieka pošle,
Jako srebra doświadczą na probierskiej ośle.
Gdyż i czerwony złoty takim pocieraniem,
I taler bity musi obrazić się na niem.
Wždy zawsze gotowymi nam trzeba być, jeśli
Nań przyjdziemy, żebyśmy na próbie donieśli;

Kędy ledwie Job, ledwie Tobiasz donasza.
Mądry, kto Boga słucha, a z niego wyprasza.

Białym sznurem drzewo znaczy cieśla.

Na tablicy inkaustem, kretką na papierze
Pisze, czytając księgi, kto nie chce być szczerze
I grzecznym i uczonym; dość pożytku, byle
Dzień mu zbieżał, nie mając inszej krotochwile.
Taki wiatr siecią łowi, mierza sitem wodę.
Cóż temu rzec? bo każdy błazen na swą szkodę.
Jeszczeż to mniejszy; lecz ów, co nie rozumie,
Że po łacinie, ludziom chcąc pokazać, umie,
A choć dwudzieste słowo — bezpiecznie przysięgę —
Czyta, ledwie nie na wspak obróciwszy księgę,
Wielki gwałt nieszczęśliwe cierpią okulary,
Jako za mną w kościele jeden szlachcic stary.

Jakoby z garła gołębiowi wyjął.

Zobie gołąb i wykę, ale jeśli w roli
Na wiosnę osianej groch znajdzie, pewnie woli.
Czerliwego nie weźmie. Stąd przypowieść mowi,
Chcąc wyborną rzecz znaczyć: jakby gołębiowi
Z garła wyjął. Tej jeden wiersze swe Chwałęcki
Zalecając, pisze mi, jakobyś na niecki
Dobywszy gołębiowi nasuł grochu z krztonia:
Dzieło Helikońskiego Muz Parnaskich konia.
Ale kiedy żadnego pozoru i smaku
Nie widzę, do wróblego podobny pszonaku,
Odpiszę. Cny poeta, wytrwać było trochę,
Przeszedzszy przez brzuch, wiesz w co obróć się grochy?

Na warstat.

Chciejcie mię w tym, proszę was, rzemieślnicy sprawić:

Czy zrobić, czy zrobioną rzecz ładniej poprawić?

Każdemu wiara w jego należy rzemieśle;

To wiem, że sznur przebrawszy, nie nadstawią cieśle.

I piekarz, ili doma bochen wyjmie z pieca,

Tyli sprzedaje, darmo na rynku zaleca.

Krawiec w sukni, szwec w bocie, tkacz w płótnie pokawi,

Ukróci, bez szwu ani bez węzła nadstawi.

W futrze łąta nie wadzi do setnego razu,

Mogą malarze penzlem poprawić obrazu,

Ba i kowal i ślosarz jeśli gdzie zuboży,

Włożywszy w komin, znowu żelaza nadłoży.

Raz, dwa źle urobiwszy, może dobrze trzeci.

Rzemieślnika na rynku robota nie szpeci.

Tanio kto rzecz potrzebną, czyli kupił drogo,

Zapłaciwszy, idzie precz, nie pyta, u kogo.

Ten przywilej jarmarków: co kto kupi, trzyma.

Dołoży mieszkciem, jeśli nie dojrzy oczyma.

Ale kto chce rozumem, kto piórem to wydać,

Coby się do skończenia mogło światu przydać,

Żeby mu nazad jego nie wracano prace,

Niech ją raz, drugi, trzeci młotem przekołace,

Nim na rynek wynidzie, nim podniesie żagiel.

Jest i na sukno folusz, i na płótno magiel.

Nie ufa sobie? niech da inszym do cenzury,

Bo ślepa miłość do swych pism ludziom z natury.

Dwanaście lat Statius, i drugiego najdę,

Marona, ten Enejdę, tamten swą Tebajdę.

Przerabiał, póki starość rozumu nie znuży.

Wždy przyznali, że jeszcze trzeba było dłużej.

Dzisiejszy mędralkowie, gdy ich oczy bołą,

Czytając stare wiersze, nowe pisać wolą

Co miesiąc, jako drobny królik rodzi dzieci,

Odszedszy starszych kotom ledakędy w śmieci.

Liże swe lwica, ani puści ich z jaskinie,

Aż dozna, czy zdołają odyńcowi, czy nie.

Nowe drwa i ci piszą przy pszenicy plewy,

Przyrabiając cieleące przyszwę do cholewy

Safianowej, z starych ksiąg wyrznawszy łąty,

Zszywają i za nowe chcą nam udać szaty.

Ale bredzą, bo jako szarlat od siermięgi,

Tak dalekie od starych są ich nowe księgi.

Nie wszyscy w rynku, musim i w ulicach.

Taka w starym zakonie była wola Boża:

Nie siać na jednej niwie dwoistego zboża.

Co się i do każdego ma ściagać zagonu.

Nie zniósł, dopełnił Chrystus starego zakonu.

W Ewangeliej tego swym potwierdził słowem:

Co było grzechem w starym, musi być i w nowem.

Przyjadę na Podgórze do wioski dziedziczny,

Aż [tu] w żytniej stokłosy i w niwie pszeniczny,

Z wyką owsa w jęczmieniu, w owsie lnu i iny

Rozmaitej na poly widzę mieszaniny.

Zawoławszy włodarza, rzekę nie bez gniewu:

Czemuś, zły czlecze, mieszać śmiał zboża do siewu

Na mój grzech? a co było po stokłosie w życie

I w pszenicy? w jęczmieniu co po owsie? by cię

Zabito! co w jęczmieniu po owsie, w tym po lnie,

W prosie po brze? czemuś to uczynił swywołnie?

W tatarce widzę jęczmień, ba i owies, chłopie,
Same bez mieszaniny na polu konopie.
Pomszczę się ja na tobie praw Boskich zniewagi,
Kazawszy dać, na jakie zarobiłeś plagi.
Na to ów: Dobrodzieju, niech jeden pług orze,
I tu, i tam, nie będzie Zawisłem Podgorze.
Większy grzech jest nazywać grzechem wolą Bożą.
Co rok z Zawisła żyto i pszenicę wożą.
I tu będzieli czyste, kupujemy po wsi:
Oboje zestokłosi i jęczmień się zowski;
Ziemia tego przyczyna, nie my, gospodarze.
Ba i my, bo nas Pan Bóg za grzechy tym karze.
Zakazał zboża mieszać, rzucając do roli?
Owies się nie spszeniczy, pszenica skąkoli.
Nigdy na lepsze, zawsze w gorsze się obróci,
Że nam często nasienia za pracą nie wróci.
Przekłeta ziemia! Ociec z matką zgrzeszył, a my
I nędzą, i żywotem tego przypłacamy.
Wyprzataliśmy z krzaków pola, chwala Bogu,
Nie żądmyż się za żytny chlebem z matonogu.
Lepsze przecię, niż osty, ostregi i wrzosi,
W jęczmieniu wyki, lepsze w pszenicach stokłosi.
Niech na oczy z Zawisła nikt nam nie wyrzuci:
I z tych dobry chleb, dobra i na kaszę gruca.
Gdy głód przypnie popręgów, kto w rynku nie zmieści,
Musi mieszkać w ulicy wedle przypowieści.
Sprawiedliwy Bóg, darmo dziwować się, że ten,
Który mu czynią ludzie, wet oddaje wetem:
Kiedy jego pszenica na sere naszych roli,
Że i nasza na Bożej ziemi się kąkoli.

Nie za nas to powstało.

Nie za nas to powstało, nie za nas ustanie,
Kiedy przy czym niesłusznym racyej nie stanie,
Mówią ludzie, ale źle, czyniąc argumentem
Zwyczaj, niosąc obronę w nim grzechom przeklętym,
Które chociaż nie za nas na świecie nastaly,
Tego trzeba, żeby w nas i za nas ustały.
Nie czas do prawa, darmo o tym dyskurować,
Ale prawo do czasu powinno stosować.
Bo to, jak chceć, odmienić na ludzkiej jest woli,
Czego czas i natura ludziom nie pozwoli.
Na takim argumentie wszystkie święta sadzą,
Które Polskę ubożą, bo robić nie dadzą.
Kiedyżby wolno ludziom wedle czasu zbierać,
Zboże siać, nie trzebaby ołtarzów odzierać
Z ochędóstwa. Wždy kościół mamy miasto matki,
Byłyby na żołnierza od kmieciców podatki,
Któremu, jako było pisać i zakazać,
Tak wolno świąt umniejszyć, pisanych przymazać.
A miasto pijatyki i karczemnej psoty
Pozwolić gospodarzom z czeladzią roboty.
Nie kmieć, parobcy piją, sama czeladź hula,
Że mu ledwie na grzbiecie zostanie koszula.
Kupi inszą, niechaj się zdrów gospodarz dłuży,
Choć mu tylko pół roka na robocie służy.
Jeść nie ma co, dopiero na pobór zarobić,
Bo ma ręce związane; lepiej go już dobić.
Niechby księża święcili, bo im za to płacą,
Bo rękami nie robiąc, ludzką żyją pracą.
Lepiejby się mogli mieć i w Polsce i w Rzymie,
Pleńsze snopy i ospy biorący w decymie.

Wielką miłość ku sobie temu niechaj przyzna,
Co jej indult od postów wyjednał, ojezyzna;
Lecz kiedy w post wolno jeść chleb, kasze, kapusty,
Czego dziś dla świąt siełu nie je w mięsopusty,
Dalekoby godniejszy wiecznej był pamiątki,
Na święta rozgrzeszywszy ludzi, nie na piątki,
Prócz Boskich, Matki Pańskiej, Apostolskich, za tem
Niedziela, bo ją Kościół przerobił szabatem.

Do tegoż.

Ledwie gębą zgłodniały Tantalus owocu
Nie sięga, ręce mając związane do kłocu,
Że swoich bożków kusząc, tę miał karę w zysku,
Syna im warzonego dawszy na półmisku.
Użyczył Bóg po deszczach tak długich pogody:
Siano grabić, jęczmiony wiązać, pleć ogrody,
Pokładać by ugory, czas do żniwa szczupły,
I żyta, i pszenice miejscami już wklupły.
Gdybyć nie święto! Wszystkie robotę zawarło —
Odpowie mi władarz mój — byłoby jej z garło.
Deszcz powszedni dzień, święto przeszkadza pogodny:
Choć urodzaje nie złe, musi rok być głodny.
Dlaczegoż astrolodzy z księżą się nie zroczą?
Dlaczego na deszczowne dni świętych nie zwłoczą?
Wolałbym ja w oponczy na mszą isć, i chłopi
Pić i tańcować w karczmie mogą, choć deszcz kropi,
Bożych, o które codzień prosimy go, darów
Nie psując. Podobno coś do owych ciężarów,
Które kładli na ludzi, nie tknąwszy ich ani
Palcem, gotowe jedząc, żydowscy kapłani.

Dawno święta bywały, i żydzi sobotą
Sobotę mieli, żadną nie bawiąc robotą.
Nawet i manna im w nią nie spadała, jako
W insze dni: przyszło w piątek zbierać się dwójako.
Cóż? Abo chrześcijanie w nowym dziś kościele
Za żydowską sobotą nie święcą niedziele?
Chociaż ich od wszystkich świąt danych przez Mojżesza
Apostoł, sam żadnego nie dawszy, rozgrzesza.
W mleku, w miedzie pływając, w winie i w oliwie,
Nie barzo żydzi w on czas myśleli o żniwie.
Sałaty dziś i same Włoszy jedząc figi,
Co rok nowych świąt kładą na ludzi obligi.
Gdyby siódmego roku nie siać i nie zbierać,
Przyszłoby nam od głodu ósmego umierać.
Żydom na trzy wszystkiego nagotował szosty¹⁾
Przy jabłkach, gronach; nasby płonki, tarnki, osty
Nie pożywieli pewnie, ale staną za to
I powetują święta miłościwe lato.
Nie siali, nie żęli tam, a my szkodę dwójem:
Co posiali, pożęli, to na polu zgnojem.
Nie uważają ludzie, że już koniec świata:
Więcej dżdżów, niż pogody; zimy, niżli lata;
Ani tak ziemia zboża, jako dotąd, rodzi,
Za leda omieszkaniem łącno go ogłodzi.
Sto dni święciem, sto dni deszcz robocie do roku
Przeszkadza. Gdzież na trzysta sześćdziesiąt obroku
Ozłek w tej reszcie zarobi? sama jesień zbiera;
Zima, wiosna i lato wszystko to pożera.
Jeśli jeszcze wozimy, biednaż nasza dola,

¹⁾ Dam wam błogosławieństwo roku szóstego i uczyni urodzaj trzech lat. Lev. 25, 21.

Gnój na pole z obory, gnój do gumna z pola!
Nie brać, kraść swoją pracą trzeba. Gdzieżby się to,
Jako robić nie wolno, jeść nie chciało w święto!
Stąd najczęściej kradzieży: kto nie chce mrzeć marnie,
Musi z worem do cudzej pomyślić spiżarnie.
O kmieciach rzecz. Panowie, co nie robiąc jedzą,
Mając za co kupować, nie o tym nie wiedzą.
Wielki im głód na samej w piątek przestać szczone,
W niedzielę na pieczeni i na mięsa sztuce!

Tylko mi nieba nie dostaje.

Głupia, niemądra mowa, rozumowi przeczy:
Mam wszystko. Jednej tylko nie dostaje rzeczy.
Czegóż? Nieba. A błaznie! choćby na cię robiel
Cały świat, choćbyś złotem na domu dach obiel,
Choćbyś królów do wozu z Sezostrytem sprzągał,
Jedną wschodu, zachodu drugą ręką siagał,
Nie masz nieba nadzieje? Zawsze na szyldwachu
Pod milionem przygód zawsze żyjesz w strachu.
Miecz na nici nad karkiem, grób w oczach otwarty:
Pójdiesz z tronu do trumny! nie pomogą warty.
Nie jednego, wszystkiego — powiedam wyraźnie —
Boś bez nieba hołyszem, nie dostaje, błaznie.
Lepiejby rzec: Wszystkiego nie dostaje że mi,
Nadzieja nieba stanie za wszystko na ziemi;
Wszystko mam, kiedy tę mam; dosyćem bogatem;
Nie mam z niem nic, niech, kto chce, kontentuje
[światem.
Niechaj się nikt nie myli, niech sobie nie tuszy,
Że rozkoszując w ciele, będzie i na duszy.

Stultus oportuna locutus.

Jako stara podeszwa pachnąć, wrona śpiewać
Nie może, tak po głupim trudno się spodziewać
Rozumnej odpowiedzi, bowiem co ma w głowie,
Spytany o cokolwiek, to gębą odpowie.
Trafia się jednak, jako ziarno ślepej kurze,
Że prostak mądrze powie przeciwko naturze,
Jako ów, co go hetman, gdy wychodził z bromy,
Pyta: Czemu na wojnę idziesz, będąc chromy?
Bo nie myślę uciekać i w największej trwodze,
O jednej tylko bywszy — odpowiedział — nodze.
Jako ów chłopiec, com on matki w mieście prosiel,
Żeby ogon za żoną u spodnice nosiel:
Cóż panie, abo krową — rzecze — wasza żona?
Wdyć żadna białogłowa nie nosi ogona.
I krowa każda sama swój dźwiga bez chłopca,
Chyba ma li paskudzić do mleka, do szkopca.
Tych, co błaznami zową przy dworach trefnisiów,
Nie liczę tu, bo jako wyźłowię od rysiów
Podobni cynkiem, tak ci, zwiężle mając żarty,
Wydają się rozumnych ludzi być bękarty.
Bo ich jeszcze nad Moskwę kładę w odpowiedzi,
Choć też czasem leda co z morskim kotem bredzi.
Rzekszy prawdę, lepszyby jeden mądry w piątek,
Niżeli błaznów w wielką niedzielę dziesiątek.

Nie godzien mydła wozic, wody mu podać.

Wody nalać na ręce, mydła wozic za niem,
Urynała nie godzien podać, kiedy ganiem,
Abo stosujem kogo. Częstoż nasze zdania
Różne od niebieskiego są upodobania.

Siłuz podłych, wzgardzonych u pysznego świata
Nie izby, jako słudzy, lecz chlewy zamiata,
Którym, skoro wypowie związek dusza ciała,
Nie będzie godzien ten świat podać urynału.
Wiem niewolników ciałem, umysłem swobodnych,
Którzy, nie mogąc wzgardy znieść panów niegodnych,
Wolą własną swą ręką umierać statecznie,
Niż tak wzgardzenie i tak służyć im wszetecznie.
Dwa przykłady takiego Plutarch i Seneka
Humoru zostawili w pismach swoich człeka:
Będąc w niewoli chłopiec spartańskiego rodu,
Gdy mu pan każe podać naczynie z wychodu:
Nie do takiej posługi synów rodzi Sparta;
Dziś obaczysz, żeś i ty nie kupił bękarta,
Rzekszy — z dachu, który był na wysokim domie,
Skoczy na burk i szyję przy swobodzie łomie.
Fortuna niewolnikiem; śmierć mię wolnym czyni.
Stracięś. Lepiej było mieć pieniądze w skrzyni.
Drugi tak się podobną posługą urazi,
Że sobie kij do gardła na wychodzie wrazi.
Oba niż służyć, śmiercią gwałtowną mrzeć wolą.
Odtąd nie kupowano Spartanów w niewolą.

Do tegoż.

Nie dziwujecie słuchając, chrześcijanie, że wam
Starac, ale z pisma świętego wyjętą pieśń śpiewam.
Wej oni, którzycheśmy nizacz poczytali,
Jakoć się podobnymi synom Bożym stali.
To Salamon, a Paweł, podle i wzgardzone
Ludzie Bóg obrał, pyszne chcą mieć zawstydzone

Śmieci świata, i obrał te, których jakoby
Na świecie i nie było, do wiecznej ozdoby.
Samemu Bogu w ludziach należy przebierać:
Nam by szkoda tak hardzie bliźnich poniewierać.

Rozwiązana miotła.

Póki każdy z osobna leży z brzozy rznieniem
Dla złych ludzi karania, pręt zowiemy prętem,
Ale skoro ich w kupę kilkadziesiąt złoży,
Aż miotła, która z śmieci cały dom chędoży.
Jednak jeżeli znowu rozsypie się drobno,
Traci przewisko miotły każdy pręt osobno,
I ni nacz się nie godzi, tylko w piec, bo suchy,
Abo więc wszywe trzepać kuśnierzom kozuchy.
Ludzie są pręty miastom; wsi, powiaty, miasta
Pospolitej rzeczy. Z tych jedno ciało zrasta
I w jedną miotłę, która, cokolwiek ją szpeci,
Wszelkich grzechów plugawe precz wymiata śmieci.
Jeśli się też wewnętrzną rozsypie niezgodą,
I miasto, i królestwo zginie swoją szkodą.
Sprawiedliwość w zwierzchności, statutów powaga,
Posłuszeństwo w pospólstwie, bo gdzie to przemaga,
Choćby żelazne, jakie widzimy u kotła,
Stargają się obręczy i rozsypie miotła.
O, jakoż tego blisko! Kto ma oczy, przyzna,
Że się wkrótce i nasza rozsypie ojczyzna.
Przepadła sprawiedliwość, powaga urzędu,
Niemasz na prawo, niemasz i na cnotę względu.
Wolność poszła w swawolą, ani rządu, ani
Pieniędzy, bo i rządzą i sądzą pijani.

Kto mocniejszy, ten lepszy; publiczne intraty,
Nie kradzieżą, wydzierstwem idą na prywaty.
Rzekłbyś, związana miotła: kiedy się gromadą
Na sejm, na sejmik radzić o ojczyźnie zjadą,
Że z niej wymiotą śmieci i wszystko, co wadzi;
Aż skoro przy swej który prywatnie zasadzi,
I sejm i sejmik jedna rwie głowa pijana:
Rozsypie się w godzinę miotła źle związana.

Chyba żeby Boga na niebie nie było.

O, szaleństwo bezmierne, o, bezpieczeństwo sroga!
Po swojej krzywdy pomście śmieć dowodzić Boga!
Nie widzi głupi, w oczu mając przykład jasny,
Że się on nie zaraz mści nad ludźmi swej własny,
A człeczej by się miał mścić zaraz wedle woli?
Nie wiedząc, nie od Boskiej ręki li go boli,
Jeśli abo doświadcza, abo za grzech karze,
Jako rodzicy dzieci, uczniu bakałarze,
Nie mścił się wielkiej krzywdy Dawid nad Semejem,
Że nań ciska kamienie, że go zwie złodziejem;
I owszem, gdzie cierpliwość niezwykłą pokaże,
Abisajemu, gdy go zabić chce, zakaże.
Nie pomsty wołać, ale skromnie raczy znaszać,
A z większych się plag Bogu pokornie wypraszać!
Niecierpliwość przyczyną tego grzechu szczerą;
Gorzej grzeszy od dyabła, kto przez to zapiera
Boga na niebie: słusznie trzeba takich palić,
Lecz wszyscyśmy Łyszczeńscy, darmo się nam chwalić,
Że nie piórem tym tylko od niegośmy różni,
Ale całym żywotem gorzej nieostroźniej.

On co przez dzień napisał w jednym punkcie małym,
Na wiatr w dymie pospołu z jego poszło ciałem;
Lecz nasze bezbożności do wiecznego palu
Pisze dyabeł na trwałym ciał ziemskich karnalu.
Gorzej się ten zapiera Boga od szatana
I gorzej kłama, świadkiem świętego mam Jana,
Co go jak na szyderstwo wyznawając usty,
Żyje wedle cielesnej i świeckiej rozpusty.
I czarcié wierzą, że jest, i przed jego mocą,
Wspominając na piekło, od strachu dygocą,
Przerażeni, której my nie wierzymy, trwogą,
Wždy dobrze czynić nie chcą. Czemuż? Bo nie mogą.

Łacno na grzech namówić.

Łacno na grzech namówić, bo nam to z natory
Po Ewie, pierwszej matce, wszystkim idzie, której
Nie trzeba było racyj i długich dowodów,
Żeby jabłoni wśród Boskich zgwałciła ogrodów.
Dokaże każdy z góry na dół popchnąć wozu;
W górę ciągnąć, mocnego trzeba mu powrozu.
Łacniej dyabłu milion ludzi w piekło wprawić,
Niżli Bogu jednego, że tak rzekę, zbawić.
Na cóżby z znalezionej owce to wesele?
Na co w niebie tryumfy, kiedyby ich wiele?
Dość sam przez się do złego ma każdy człek chęci.
Cóż, jeśli kto poradzi, jeśli go przychęci?
Niemasz dziwu: do enoty ostro, jak po szydle,
W przykrą górę; do grzechu na dół, jak po mydle.

Pijana sprawa.

Zawiezowano sędziom dawnych wieków oczy,
Abo się w ten czas, kiedy noc światu zamroczy,
Schodzili na ratusze bez świec, bez pochodnie,
Żeby z twarzy nie miały miłosierdzia zbrodnie,
Żeby ludzi sądzili bez braku, bez względu.
Wraca dziś do naszego ten zwyczaj urzędu,
Gdy sądzą po obiedzie: ani tak noc, ani
Zasłona oczu zaćmi, bo zawsze pijani.
Ta różność od tamtego naszego ratuszu,
Że tamci oczu tylko, a nasi i uszu,
I rozumu pozbędą; nie tylko afektu
Na osoby, na prawo nie mają respektu.
Nie zawsze i nie wszyscy; niech się nikt nie żurzy:
Jedna kreska pijana dziesięć trzeźwych zburzy.
I to po polsku, choć Bóg srogo upomina:
Rano sądziecie, nie pijecie przed sądami wina.
Tym grozi narodowi, który karać będzie,
Że mu da za książęta dziecka i za sędzie,
Co najadszy się, za tym upiwszy po ranu,
Radzić i sądzić będą o nich po pijanu.
Niech to nasza ojczyzna bierze do uwagi,
Jeśli nie zarobiła na te Bogu plagi.
Pojźrawszy po ratuszach, po obu na sejmie
Izbach, komuż dla Boga strach serca nie przejmie?
Na poły ludzi młodych siada i nieuków;
Miasto sądu i rady, więcej swarów, huków.
Trafi li się bakalarz między niemi który,
Nie tylko go nie słuchać, zepchnąć na łeb z góry!
Aleć dziś i o takich trudno bakalarzy:
Piją oślep i młodzi, i dziadowie starzy.

U bednarza uczyć się garnków robić.

Do jakiego chęć z młodu zaraz kogo niosła,
W tym niech ćwiczy, do tego niech się ma rzemiosła;
Bo gdzie natura, tam się skłania i fortuna.
Krawcem chcesz? na naukę nie chodźże do zduna,
Kołodziejem do szewca, kowalem do knapa.
Próżno, kto dwie za jedną wronie nogę łapa.
Chcesz być lekarzem? dajże pokój poetyce,
Kapłanem i duchownym? — dworskiej polityce.
Choć się wszystko to w jednym zmieścić może, ale
Każde w uryweką tylko, a nie doskonale.
Stąd przypowieść: im więcej kto się rzemiosł uczy,
Temu nędza najprędzej na świecie dokuczy.
Suknu krawiec, skórze szwiec, niech kowal żelazu
Nawyka, malarz swego pilnuje obrazu,
Księgi ksiądz: jeśli chce być politykiem przy ni,
I temu, i owemu nie dosyć uczyni.
Ba politykiem ci być może doskonałem,
Ale bardziej, niż duchem, światu służy ciałem.
I ręczne, i dowcipne rzemiosła się zgodzą,
Lecz kościół i świat nigdy pospołu nie chodzą¹⁾.
Wszystkiem li chrześcijanom, że się światem mażą,
Tedyć najpierwej księżej z niego wynisć każą.

Pan Bóg do gotowego.

Wóz po szynkle, kobyły w bajorze po uszy,
Tak chude, ledwie chodzić mogłyby na suszy.
Pojźrę, aż chłop pod Bożą mówi pacierz męką;
Nu, jedno przy modlitwie rusz prostaku ręką,

¹⁾ Zgodzą.

Zuj boty, webrni w błoto, nie folgując siłom,
Ulży z wozu, a drągiem pomagaj kobyłom.
Upewniam, że Bóg twoje wysłucha pacierze,
Bo inaczej przyjdzie w tym nocować jezierce.
Usłuchnął, i po same włazł chłop błoto udy;
Jam też kazał założyć z karawana żmudy.
Dziękujże — rzekę — Bogu. A kiedyś się przyda,
Niech po pacierzu błota za buty nakida.

Nie lubię mądrego, co sam sobie głupi.

Szkoda przydawać, kiedy więcej się nie zmieści,
Co pisał Kochanowski o tej przypowieści:
Pomierzył wody, wiatry, umie radzić komu,
A błazen o tym nie wie, że ma kurwę w domu.
Mizerna mądrość, rada nieszczęśliwa, która
Nie ratuje w złym razie swojego autora.
Bądź mądrym, kiedyś dał Bóg, ale naprzód sobie:
I naukę, i przykład będziesz mieli w tobie.
Nie wolno pospolitej było się nikomu
Tykać, który swe rzeczy źle sprawował w domu.
Nic ja mądrego trzymać o takim nie mogę:
Sam klepiąc nędzę, drugim rai z nędze drogę,
Chwali naukę, a sam ledwie czytać umie,
Ba i tego nie, abo mało co rozumie.
Trzeźwość? sam na każdy dzień pijan, jako buba
Czystość? a na miesiąc mu mało jedna czuba.
Uboństwo? a setnego dosypując miechu,
Drze, kędy może, ludzi ubogich do zdechu.
Ludziom do nieba przykra, ciasną drogę radzi,
Sam się bitym gościńcem do piekła prowadzi.

Jakoby mnie też leżąc kto na brzegu pływać
Uczył, głową, rękami i nogami kiwać.
Ba wleźcie jedno sami, panie mistrzu, wprzody
Napijcie się, ucząc mię, raz i drugi wody.

Obfitość Tantalowa.

Pragnie Tantal po gardło w zimnej stojąc wodzie,
Łaknie, siągając gębą jabłek w ciężkim głodzie;
Darmo, bo kogo łańcuch do drzewa przytroczy,
Ani fruktu skosztuje, ani ust umoczy.
Ciebieś to, skępcze, bajka Tantalusem czyni,
Który pełno w śpiklerzach, pełno mając w skrzyni
I zboża, i pieniędzy, pełno wina w sklepie,
Chudyś, jak pies na wodzie i na suchej rzepie.
Myszom, złodziejom chować, marnemu następcy,
Niż sami swojej pracy zażyć wolą skępcy.
Chcesz wiedzieć, co im taką paskudę wyrządza?
Nienasycona chciwość i pieniędzy żądza.
Tym łańcuchem do tego przywiązany drzewa,
Kiedy sąsiedzi jedzą i piją, on ziewa.
Abo liczy pieniądze, choć w żołądku pusto,
Jakby się słodko napiel, jakby najadł tłusto.
Byle nie nie ubyło, co schował do skrzynki,
Stanie mu za jedzenie, choć połyka ślinki.

Głos ludzki — głos Boży.

Siła niepewnych wieści z pospólstwa wychodzi,
Częstokroć pierwej okrzyk, nim się co urodzi.
Często się myli, czasem istą prawdę wroży.
Stąd urosła przypowieść: głos ludzki — głos Boży.

Choć się nie zaraz iści, wždy przecię nie minie,
Co, nie wiedzieć skąd wzięwszy, w uszu ludzkich
Lecz i stąd takie wieści głosem zową Bożem, [słynie-
Że kiedy raz wyniada, cofnąć się nie możemy.
Nazwawszy raz wilkiem psa szarego po sierci,
Już go wilkiem zwać będą ludzie aż do śmierci;
Choć ledwie podobieństwo małej rzeczy będzie,
Noszą psią miasto wileczej skórę po kolendzie.
Aż jako się pies wilkiem, wilk słoniem napuszy,
Że i w gębę, i w ludzkie ledwie zmieści uszy.
Przeto niechaj ostrożnie każdy żyje, ktoby
Nie chciał obmowy, niechaj nie daje podoby.
Nie do każdego, prawda, stosować się zdania
Należy cnotliwemu, bo często przygania
I temu, co napisał, w swoim sam Bóg prawie.
Lecz tenże kazał dobrej stosować się sławie,
Żeby z naszych uczynków chwalono go w niebie,
Pełni zakon, kto czyni to, co może, z siebie.

Kto chce wieżę budować, trzeba koszt porachować.

Syn Boży, wieczna prawda, tę przypowieść wyda,
Która się do wszystkich spraw naszych pięknie przyda.
Wieżać nie tak potrzebna, gdyż jednym dowodem
Pychy ludzie się dzisiaj budują z Nimrodem:
Pałac drugi, ojcowskie rzuciwszy mieszkanie,
Z włoskich zacznie abrysów, aż skoro nie stanie
Kosztu, bo się wprzód swojej nie poradził skrzynki,
Nie dokończywszy, gnoi rozczęte budynki.
Lecie kapie za kołnierz we złą chwilę; ziemie
Musi w leda piekarni pokutować w dymie.

Abo nie chce li chodzić ustawnie w opończy,
Zastawi, jedną miawszy, wieś, a pałac kończy.
Sąsiedzi, ba i każdy, kto mijając widzi,
Śmiejąc, że tak szkaradnie podrzył, z niego szydzi.

Toż drugi raz.

Ktokolwiek sobie obrał stan, w którym by dożel,
Niech wie każdy, że sobie budynek założył,
Że go trzeba dokończyć, a na którym leży
Niewzruszony gruntować fundament swej wieży.
Kto ją na piasku stawia, kto Boga nie słucha,
Precz obali przypadszy leda zawierucha.
Obierze stan duchowny człowiek, niechajże wie,
Że w murze ani mieszka Stwórca świata w drzewie;
W tym tylko, który mu kto, choć w śmiertelnym ciele
Ślubiwszy pod przysięgą, zbudował kościele.
Spełna swój czterdzieści lat Salamon budował,
Choć mu nań materyej Dawid nagotował,
Wždy to mówi i pisze z serdecznym wyznaniem,
Że niegodzien być Bogu wszech bogów mieszkaniem.
Niechże patrzą ci, co mu ślubują kościoły,
Żeby grunt założywszy, nie ustali w poły.
Dosyć teraz drugiemu gruntu wziąć święcenie,
Dość, że znać węgłem drzewo naznaczone ścienie,
I to krzywo, nie wedle ciesielskiej reguły;
Rychlej się grób niż kościół doczeka kopuły.
Obierze kto stan świecki, żonaty abo nie,
Wolno mu żyć do śmierci w którym chce zakonie.
I tu się trzeba dobrze porachować z workiem,
Żeby z ścianą dach zrównał, poniedziałek z wtorkiem;

Żeby tak, jako począł, skończył swój budynek,
Żeby nie stał bez wody postawiony młynek.
Nie z workiem, ale z sercem, nim drzewa nawiezie,
Rachować, jeśli dosyć uczyni imprezie.
Siłu bowiem jest takich, co poczną ochotnie,
Skoro kosztu nie stanie, porzucą sromotnie.
Przepuści czart cielesne na nich serca żądze,
Rozsypie obiecane do nieba pieniądze
Cnoty i pobożności. Spuści wichry, pluty,
Aż on jego budynek w godzinę rozsuty,
Choćby go kilkadziesiąt i więcej lat składał.
Czemuż? bo mu na piasku fundament zakładał.
Pomiesza nieprzyjaciel duszny jego szyki,
Jako u wieże Babel Bóg ludzkie języki.
Drugi, chcąc sławy świeckiej, lecz prawem niesłusznym,
Bo to rzeczy przeciwne, przy zbawieniu dusznym,
Podejmie się żołnierskiej; jednak rzadki srodze,
Komu zdarzy dwie wronie o jednej wziąć nodze.
Abo serca nie stanie prędko, abo za tę
Skarżą go, że pozbędzie żywota, prywatę.
Cóż jeśli się będzie chciał wydzierstwem z bogacić?
Nie przyjdzie mu swej wieże krokwić ani łąć.
Nie tylko fundamentu, kosztu abo spezy,
Dobrej trzeba intencji do każdej imprezy,
Żeby nieba dosięgnąć, byle nie tą modą,
Na której się babelscy mularze zawiodą.

Jakoby go z chlewa wypuścił.

Tak świnia, jako i pies, z chlewa do koryta
Puszczony, co mu dano, łeb wraziwszy, chwytą;

Przeto zawsze po oczy paszczekę ma brudną.
Nie dziw, bo psem łakomym, świnia jest paskudną.
Rozumny, polityczny i człowiek pobożny
Powinienby od świnie i od psa być różny.
Rąk nie umywszy wprzód, Bogu dziękczynieniem
Nie poświęciwszy stołu przynajmniej westchnieniem,
Nie siadać, łyżką misy, chleba nie tknąć nożem,
Wiedząc, że to jest darem darmo danem Bożem,
Lubo w gościnie, lubo chrześcijanin doma,
Więc i z nieumytemi do niego rękoma
Szkoda chodzić, żeby zaś, oblizując z smalcu,
W gębę nie weszło to, co wprzód było na palcu.
Czytać, jakim to było wielkim grubijaństwem
Między dawnym, ba i dziś jest między pogaństwem,
Bo choć fałszywym bogom, jednak z pierwszej czary
I z pierwszej kosztowali misy dla ofiary.
Ani żydom w zakonie mięsa jadać, aże
Bóg im pobłogosławić przez Mojżesza każe;
I wina, w czym nas łącno pisma święte sprawia,
Nie piją, póki czasze z niem nie błogosławią.
Sam Syn Boży dziękował za chleb i za ryby,
Karmiąc tłumy na puszczy, nim je łomał w skiby.
Wspaczną dziś u chrześcijan wszystko idzie modą:
Nie tylko przed jedzeniem rąk nie myją wodą,
Ale się z tego śmieją, kto wprzód błogosławi.
Niemasz dziwu, że się też niejeden udawi,
Bo niejeden obżarszy, opiwszy jak bela,
Zruca nazad, co najadł, co napiel, z gardziela.
Cóż mówić o obiedzie, co i o wieczerzy?
Znajdziesz tych, którzy nigdy nie mówią pacierzy.
Dość nań, że się przeżegna, abo najmie dziada,

Mszą kupi siedząc w izbie; idzie li, przegada.
Stół błogosławić skrupuł: Czy ja księdzem? — rzecze.
Czymsi większym, niż księdzem, boś kościołem, czlecze!

Sejmikowe kreski.

Za cóż tam zdrowa rada, za co stoi cnota,
Kędy nie uważają, tylko liczą wota?
Chociaż Rzeczpospolita szwankuje widomie,
Lepszą stronę liczniejsza kreskami przełomie.
Moźniejszy groźbą, równi przez skleńce, przez miski
Zabierają od ludzi nieuważnych kryski.
Dość na rynku zatrąbić, wszyscy wiedzą zatem,
Kto posłem na sejm, na sąd będzie deputatem,
Choć do obojga z żadnej niepodobien miary.
Gwałt misy prawdzie czynią, gwałt pełne puhary.
Bo Rzeczypospolitej, ani prawa wiadom,
Wojny nigdy nie służeń; byle sława na dom.
W głowie by, w winie tylko, a w pysze nadzieja.
Cóżby też na pogrzebie prawil kaznodzieja?
Nie strąbić rozsądnego, uważnego człeka:
Wzdycha tylko na zgubę ojczyzny z daleka.
Co na sejmikach, toż się dzieje na ratuszach:
Niewinnego, że mniejszy, kreskami po uszach,
Winny wolen; bo kiedy sądzą sprawy obie,
Więcej ich on miał, niżli niewinny po sobie.
Czemuż? bo jako ryby na dół idą prądem,
Tak i kreski respektem przyjaźni przed sądem.
Czemuż przysięga tych ryb zatrzymać nie zdole?
Bo jeśli nie krew, matnię złota szwajca kole.
Nie wiedzą znać, co mędrzec duchem Bożym głosi,
Że tu niesprawiedliwość królestwa przenosi

Do inszego narodu. Czemuż nie zabieży
Tej skazie, komu na tym najwięcej należy?
Statut broni: wždy jako słońce do kompasu,
Kompas do słońca, wszystkie statuty do czasu
Stosować się powinny. Natura w obrocie
Swym się mieni, a ludzie nie mieliby w enocie?
Gdzieżby dziś, jako było przed dawnymi laty,
Przez kartki obierano na to kandydaty,
Bez małaby i trąby, jako do osypki,
Na rynku, i w gospodzie nie ucichły skrzypki.

Mądrze, ale niezrozumianie.

Jeden niepojętego mędrzek geniuszu
Na całym wiersze swoje posłał mi arkuszu,
Tak niewyrozumianem, tak głębokim stylem,
Jaki na Joście¹⁾ w bagnie rodzi się kobylem.
Hyppokreńskiego zdroju, który Pegaz kopie
Na Helikońskiej skale, żadnej nie znać kropie.
Lecz kiedy, długo myśląc, jąć się ich nie mogę,
O komentarz i proszę w górę o załogę.
Odpisuje, że i sam, choć ich jest autorem,
Nie zdole, ale mnie tym częstuje honorem.
Anoż ona kazania część niepospolita
Słuchaczom niepojęta, kaznodziei skryta.

I siłu, i dobrych.

Wprzód, niż pop rznał ofiarę u pogan w kościele,
Pytał: Kto tu? A ludzie: I dobrzy, i wiele.
Bo jeśli o zbrodniku między sobą czuli,
Żeby nie sprofanować, z kościoła wykłuli.

¹⁾ Jost — góra pod Sączem.

Nie godziło się takim patrzeć na ofiarę,
Co świeżo zarobili bogom swym na karę.
Choć dyabeł był ich bogiem, chwalili go co dzień,
Wszech grzechów od początku, wszech autor zbrodzień.
Choć mu nie tylko z żydy kozły, owce, woły
Rznąc i paląc, święcone kopcili kościoły,
Ale psy, osły, szkapy, świnię i kiernozy,
A jakoż godzien był Bóg ofiar takiej fozy,
Ludzi nawet, co gorsza, bezbożną rubieżą
Pierworodnych ojcowie synów swoich rzeżą.
Gdzieżby tak dziś przy świętej ksiądz spytał ofierze:
Niech idą precz grzesznicy, a każdy z nas szczerze
W swoje wejźrał sumnienie, barzo wątpię, jeśli
Wszyscyby się, prócz księdza, na dwór nie wynieśli;
Ba jeśliby drugi ksiądz śmiał ofiary tykać,
Żeby mu też z kościoła nie przyszło umykać.
I siła nas, i wszyscy, co się w kościół zmieści,
Dobrzy, wszyscy pobożni wedle przypowieści.
Choć nie tylko każdy swój, lecz na każdego wie
Grzech, czasem i na księdza, jakoż mu odpowie?
Nic nie uważaj, księżę, lecz ofiaruj śmiało
Synowskie na ołtarzu Bogu Ojcu ciało.
Jedz go równo z Judaszem, największy zbrodniku,
Choć w sercu nic, byleś miał pokutę w języku.

Często mówiąc, uczy się dobrze mówić.

Łacińska jest przypowieść, że kto często mawia,
Żeby i dobrze mówił, gdzie trzeba, się wprawia.
Do sroki to należy tylko i papugi
Gadać człowiecze słowa, czwarząc je czas długi.

Insza rzecz dobrze, mądrze, jeśli pytasz, błaznie,
Insza mówić, co daje natura, wyraźnie.
Więcej, niż na języku, należy na głowie,
Kto sobie życzy, żeby chwalono go w mowie.
Siłę czytać i siłę słuchać trzeba wprzody,
Chceszli na starość, mądrze mówić, panie młody,
Pamiętać i wszystko to w rozumie układać.
Inaczej każdy może z leda ptakiem gadać.
Kto siłę, jako pytle, językiem bełkoce,
A bez uwagi, rówien kawie abo sroce,
Które dlatego uczą powtarzaniem częstem
Ludzie kwoli zabawie swej gadać, że się z tem
Nie rodzą. Choć[by] człeka uczyły najdlużej,
Nie wmówią weń natury sroczy i papużej.
Przyznam się, wolę słuchać, kiedy kraczą wrony;
Tak głupi język uszom moim uprzykrzony.
Krótko, ale dołożnie, lubo na publice
Polityk, lubo mówi kapłan z kazalnice;
Niech mówi prawdę szczyrą, nie bajki, nie plotki,
Chce li do serc słuchaczom podmykać kłotki;
Wiedząc, że język tylko on w swojej mocy ma,
Ludzkich uszu, leda co kawiąc, nie utrzyma.
Chyba mądrze i dobrze mówiąc, może trzymać;
Inaczej wolno wynieść, wolno, kto chce, drzymać.
Koniecznie się, żeby go słuchano, napiera,
Rozumiejąc, że serca językiem otwiera,
A tego nie wie, że niem i głupimi usta
Niewiadomy otworzył sekret głowy pustej.

Zacnych rodziców synowie ledaco.

Prawdziwie starodawna przypowieść powiada:

Niedaleko od swego szczepu jabłko pada.

Sowa sokoła, ani gołąb orła lęże,

Nie rodzą się waleczni z niewieściuchów mężę;

Choć ci często i z chałup wiejskich podłych kmienci

Do królewskiego berła mężny ptak wyleci.

Pełne przykładów stare, ba i nowe księgi:

Kto czyta, że się rodzi kawaler z mitregi?

Jako zaś, skąd przeciwna przypowieść urosła,

Z wielkich domów do pługu abo do rzemiosła?

Z grzecznych, sławnych i głową i ręką rodziców

Domatorów i prostych widujemy hryców,

Gdzie nietylko w rozumie natura ich siełu,

Lecz na twarzy szkaradzi, abo garbi z tełu.

Wielu, kiedyby na brak przyszło, z majestatu,

Od berła i od mitry godniejszych warstatu.

Cóż, gdy fortuna, która w rzeczach ludzkich kawi,

Czego umknie natura, pieniądźmi nadstawi?

W głowie grzyb miasto mózgu, ono na wątrobie,

Niema nic, prócz człeczego, podobieństwa w sobie.

Jeszczeż swoje królowie mają opiekuny,

Co za nich rządzą, ale szyderstwu fortuny

W mniejszych przypatrzmy stanach, gdy takie kaleki

Tka Rzeczypospolitej w krzesła dla opieki.

Uragowisko obcych, a gawęda w radzie,

Szczyre głowy kapustne w ludzkiej maszkaradzie.

Tylko że się nad inszych rodzili bogaci,

Godniejszy przed mędrszymi ludźmi honoraci.

Jedna bieda nic człekowi nie uczyni.

Wał za wałem na morzu, jako kamień z proce,

Tak długo tłucze okręt, tak długo szamoce;

Lecz najgorszy dziesiąty, bo tak bywa tęgi,

Że choć zbite sztabami, nie strzymają wręgi.

Co okrętowi burza, co są morskie fale,

To kłopoty, to sercu człowieczemu żale.

Nie mogą pojedyńkiem, ale tymże tropem

Jedną się wałą na nie koleją galopem.

Pierwszy zły, gorszy drugi, a cóż po dziesiąci?

Duży być musi, kogo trzeci nie roztrąci.

Jam tym rozbitem. Mało po inszym dowodzie:

Pływając po niepewnej tego świata wodzie,

Rozbiłem, uderzywszy łódkę o wał trzeci,

Zbywszy trojga, niestetyż, wychowanych dzieci.

Gorsza, że w krótkim czesie, a najgorsza, że mie

To nieszczęście potkało, chwytając się ziemie;

Że skądem się do grobu spodziewał podpory,

Kamień wiązą do szyje mej starości chorej.

Sirotą na morzu leż tonę starzec stradny,

Nie mając, ach nie mając już pociechy żadnej.

Już nie dziesięć i nie sto, lecz więcej tysiąca

Dziesiątych wałów serce skołatane trąca.

Wspominając na synów i kochaną dziewczkę,

Nową coraz cierpię złej fortuny zawiewkę.

Czekam, rychło ostatnim śmierć rozbije wałem.

Już okręt nie okrętem, już ciało nie ciałem;

Deski tylko ochwiane, kości w skórze rzadki,

Fraszka insze kłopoty i ludzkie przypadki,

Które dzisia za wały na tym morzu mają:

Znać, że takiego, jaki mnie rozbił, nie znają.

Zle mówię: nie rozbije, choć się nią świat żądzi,
Ale mię z tego szturmu śmierć na ląd wysadzi
Do moich wdzięcznych dzieci, kędy na czas krótki
Rozbite ciało śmiertelnych odnowimy łódki;
Na śliczne morze ono z czystego kryształu,
Kędy już ani fale, ani się bać wału.

U drzwi zbłądzić.

Siełu podjąwszy trudną i daleką drogę,
Już widząc drzwi otwarte, już wstawiwszy nogę
Ledwie nie na próg, zbłądzi, abo tak zawadzi,
Że tam zamysłu, kędy chciał, nie doprowadzi.
Najmędrszy podrwi, jeśli przeciwna zazonie
Jego rzeczy fortuna: przepłynąwszy, tonie.
Niemasz dnia, żeby się człek mógł odrzekać szkody:
Wszędy i zawsze miejsce mają w nas przygody.
Już, już kresu zawodnik dopędza z zakładem,
Na ledaczym potknąwszy, omieszka upadem.
Lecz dawszy ziemskim rzeczom pokój, to po biesie,
Gdy w żywota wiecznego stawając kto kresie,
Żywszy w cnocie cały wiek, na końcu szkaradnie,
Nie dopędziwszy kresu, w grzech śmiertelny wpadnie
Umyślnie, nie trefunkiem. Sam się niechaj sądzi,
Że u drzwi, jako mówi ta przypowieść, zbłądzi.
Zawodnik ci, porwawszy, może jeszcze biec;
Jemu trudno, bo już śmierć każe w grobie leżeć.
Wszyscy w każdym żywota dni naszych szeregu
Jesteśmy, jako mówi apostoł, w tym biegu.
Jeśliż trzeba być wszystkim na ziemi podróżnym,
Daleko więcej, gdzie gra o duszę, ostrożnym,

A zwłaszcza tym, którzy już, w nużnym laty ciele
Upadszy, do porwania nie mają siłę wiele.
I duch i rozum i zmysł, że pospołu chodzi,
Słabiej z ciałem, wszystko starość wraz wychłodzi.
To dziwniejsza, w czym stary rzadko się obaczy,
Wszystko skłonne do grzechu, niż do enoty, raczy.

Ubogie stadło i mucha powadzi.

Nietylko męża z żoną, abo z mężem żonę,
Jako przypowieść, wadzi ubóstwo mierzone.
Ma to starość, frasunek, ma długa choroba,
Ze zrzedzi, i co człeku dotąd się podoba,
Wszystko mu krzywo: do sług, do żony, do dzieci.
Pozdrowi kto, lub w liście służby mu zaleci,
Sam się na się gniewając, że sam łącać sobie
Nie może, chce to, co mu wadzi na wątrobie
Wylać, kto się nawinie, chociaż nie zaczępi.
Tak go afekt przeciwny do wszystkich osłepi.
Niechże kto prosi, żeby pieniędzy pożyczęł:
Targa głowę, rychlejby skonać sobie życzeł.
Za psa konwersacya; przyjaciel i bliźni
Nie rozrucha go. Żyje, im dłuży, tym zgryźni.
Jakby kto wrzodu dotknął, a choć i nie tyka,
Na samo rozumienie wrzeszczy, łaje, syka.
Niech wie każdy, do czego natura go skłania,
Niech[że] się tego strzeże, co w inszych przygania,
Żeby ludziom nie obrzydł, bo się nie tak trupem,
Nie tak na poły zgniłym i śmierdzącym trupem,
Jako człowiekiem zrzednym, nieprzystępnym brzydzą;
Czego chorzy i starzy do siebie nie widzą.

Toż drugi raz.

Będzie drugi, co się sam, choć w niewielkiej biedzie,
Przeklina, jeśli wedle myśli mu nie wiedzie.

Dopieroż w nędzy, w głodzie: żonę mąż, ona go,

Gdy ledwie przyjdzie chodzić obojgu nie nago,

Póki Adam i Ewa nago w raj u chodzą,

We wszystkim, na ostatek i na grzech się zgodzą.

Aż skoro się odzieją, przyszło im do zwady

O jedno jabłko, choć ich pełne mieli sady.

Gdzie Adam wini Ewę, aż Bóg sędzią między

Oboje wstąpił, mówiąc: Swarcież się już w nędzy,

Macie li w tym dostatku. I dawszy odzienie

Lepsze, niż było z liścia, na świat z raj u żenie.

I bez mała nie na tym przypowieść się sady,

Że biedna mucha stadło ubogie powadzi.

Toż trzeci raz.

Wszak też i dyabła, który skórę wdział węzową,

Błażniąc najpierwsze stadło, much książęciem zową,

Bo się tak z hebrajskiego Belzebub wyklada.

Tą sztuką na nas idzie, że mu się raz nada.

Przebóg! nie ubogie dziś, lecz bogate stadła,

Jakiego, żal się Boże, pełen świat widziadła,

Nieszczęsne muchy wadzą, ba rozwodzą zgoła,

Powie to z wielkim żalem, kto spyta kościoła.

Znośniejszaby to, choć się mąż z żoną poswarzy

Nie w czymci, białogłowy lepią je po twarzy

W możnych i wielkich domach, cudzym kładąc w oczy,

Żeby z tym rozwieść, z którym ślub święty zjednoczy.

Nie słychamy w ubogich wiejskich stadłach o tem:

Ciężkim kawałek chleba oblewając potem,

Żyją z sobą do śmierci, choć o jednej krowie;

W ten czas rozwodzą, kiedy które z nich owdowie.

Jeśli się też co trafi, bez czego nie będzie

Małżeństwa, jedna drugiej wyrozumie zrzędzie.

Łacno się pojednają, łacno się przeproszą,

Abo wzajem oboje swoje wady znoszą.

Bredzi stara przypowieść, niech jej nikt nie słucha:

Nie ubogie, bogate stadło wadzi mucha.

Bo kędy dyabeł serca złą opęta żądzą,

Żeby wyprządz z małżeństwa, leda ocz się sądzą.

Żeby ciało odmienić, mucha nie przeleci,

W siece sęku szukają raz, drugi i trzeci.

Nie poradzisz, kiedy złe półgrosza.

Do śmierci się nie zejdzie z skutkiem przedsięwziętem,

Kto sprawę z głupim, abo ma człkiem zaciętem:

Lubo dobrym, lubo złym sposobem go maca,

Nie dojdzie z błaznem rządu. Próżna jego praca.

Nie kupisz za zły pieniądz, na spadanej stronie

Trudno zagrać, przełomić zlej natury w żonie:

Każesz jej do kościoła, kędy indziej zmierza;

Musi, pewnie żadnego nie zmówi pacierza.

Poślesz błazna na ryby? aż, jako rzeczono,

Żab ci przyniesie; świnię? upewniam, że ono.

Pyszny chłop, nadęty pęcherz.

Kto z domu szczury, z prosa wróble chce wystraszyć,

W nadęty pęcherz grochu garść i drugą zaszyć,

Abo kołatać, trzopu dostawszy u zduna;

Człek wie, że z tego grzmotu nie bywa pioruna.

Basem pyszny chłop gada i językiem ścina,
Straszy nasuta grochem wróble macherzyna.
Niechajże nań kto kordem przy języku trzęśnie,
Spuści kwintą i ona macherzyna skłęśnie.

Wolno mówcy.

Dicelieti się zwali u Greków, jeśli mi
Kto wierzy, łacinnikom i podziśdzien mimi,
Którzy nie, oprócz gołych słów, bawiąc słuch czleczy,
Na theatrum słuchaczom nie przynieśli rzeczy.
Mieli jednak tę wolność, mieli plac otwarty,
Prawdę mieszać krom ludzkiej urazy w swe żarty.
Przypatrując się szlachcie dzisiaj na sejmiku,
Wszyscy są dycelikty, bo wszyscy w języku:
Rzeczy mało, prawdy nie, choć drugi ochrapiał,
Nagadawszy, jadą precz, skoro im kur zapiał.
A co wina napsują, mięs i ryb nasieką!
Nie dyce, lecz piwnice łyktani im rzeką.
Aleć i kaznodziejów, co próżnymi dymy
Serca kopca, siłę dziś może nazwać mimy.
Do ewangeliej nie; prawdę li gdzie rzecze,
Głęboko ją w koncepty i w żarty oblecze.

Z rzeczy rada.

Z rzeczy najlepsza rada, bo ją sama poda
Okazywa do ręki. Wszystkich na to zgoda.
Mianowicie na wojnach, kędy oka mgnienie
Odmienia pierwszą radę i postanowienie:
Bo nie z swego domysłu, ale jako każe
Nieprzyjaciel, kiedy co nowego pokaże.

Abo ze złego razu umykać się wprzody,
Abo zażyć podanej, gdzie się da, pogody
Jego nieostrożnością. Wszystka rzecz należy
Na wodzu: nie wstydzi się pocziwej kradzieży,
Nie wzdryga się nadstawić i trochy odzalić,
Żeby wygrać potrzebę i wszystkich ocalić.
Kto w polu pilen rady w ratuszu zawarty,
Przegra, bo tam fortuną chodzi jako w karty.
Dopiero gracz na gracza następuje szczerze,
Mając w garści przy tuzach dwie stare kozerze.
Dopiero każe, jakby stawkę już miał w skrzynce,
Grając krępą, trzy tuzy obaczywszy w trynce.
Naprzód, jeśli się zwadzić, potym, z kim ta zwada,
Doma uważać. Dalej z okazyjej rada.
Nigdy, wedle hetmanów najpierwszych nauki,
Nie dawać bez fortelu i bez skrytej sztuki
Bitwy nieprzyjaciółom; miejsca, wiatru, słońca
Upatrować, kto chce dojść szczęśliwego końca,
I inszych rzeczy, które dopiero się oku
Pokażą, kiedy drzewa kłaseć przyjdzie do toku.
O przyszłych a niepewnych rzeczach jakoż kto ma,
Co nie jest w jego mocy, postanawiać doma?
Nie wojny, ale wszystkie ludzkie propozyty,
Gdzie się tylko trefunek zmieścić może skryty,
I pomieszać je może, potrzebują, żeby
Pełną głowę różnych rad nosić od potrzeby.
Jako naukler, skąd wiatr wionie, żagleń chwyta,
Różnych form ma wytrychy stolarz, szwiec kopyta.
Nie przyda li się jedno, mierza aż do kopy,
Aż tamten do zamku, ten przybierze do stopy.
Niechaj Eufrat wojskiem osusza niezmiernem,

Jako Kserkses, Daryusz przepadł z Holofernem
Od jednej niedoleżnej w Betuliej wdowy,
Nie ma li hetman głowy, w głowie rady zdrowy.
Nie wspominam ojezyźnie Pilawieckiej rany,
Bo choć ma głowę, a cóż po głowie pijanej?
Choćby i trzeźwa, jeszcze barzi go to szpeci,
Kiedy tchórz nieszczęśliwy serce mu obleci.

Zna się, jako świnia na pieprzu.

Tak się zna, o głupcach to mówią i nieukach,
Jako świnia na pieprzu, na wojennych sztukach,
Na Rzeczypospolitej, na koronnym prawie.
Wždy się przecię intruzem w każdej miesza sprawie:
Ujrzyś go posłem na sejm, na trybunał sędzią,
Choć świni kontentować dosyćby żołędzią.
Nie wdając się o pieprzu w dyskurs i szafranie,
Wszystkim błaznom bogactwo za korzenie stanie.
Wszak też nie bywa zdrowe bez wina, bez pieprzu,
Na oboje pieniędzy trzeba, mięso w wieprzu.
Kontentuj się pieniędzmi swymi błaznie tłusty,
A nie szukaj honorów, kiedy łeb masz pusty.

Zły to ptak, co swoje gniazdo maże.

Złych ptaków, a dopieroż takich zową ludzi,
Co swe gniazdo, w którym się urodził, paskudzi.
Dom, krewnych, parentelę, nawet i ojezyznę,
Wlokąc nową, lub starą odnawiając bliźnę.
Choć ci niemasz, przejrzawszy wszech stanów szeregi,
Zeby miał być bez jakiej dom szlachecki piegi.
Stąd przypowieść urosła, całym głośna światem:
Ani mi kurwa siostrą, ani złodziej bratem.

Co do ojezyny, nikt jej nie lży, jak ten, który
Wyzuwszy się z jej stroju, chce wyzuć z natory.
Jawnie to okazuje, jako jej nie kocha,
I że w niej z musu mieszka, przetworzywszy w Włocha.
Krawca niema, żeby mu wyprawił tę sztukę,
Gdyż łacniejsza z czupryny urobić perukę,
Z portek pludry, choćby je wywrócił na nice,
Niż wioski z polskiej wynieść za cudze granice.
Chcącemu nic trudnego: wolno je zostawić,
A od nas się tam, kędy podoba, wyprawić.

Mów, żeby cię widziano.

Starodawne, lecz wielce prawdziwe przysłowie:
Nie pozna lepiej człeka człek, jako po mowie,
Bo jeśli, że go z twarzy i z miny zna, rzecze,
Nie zna człowieka, tylko podobieństwo człeczce.
Zwierzechna to jest zasłona, którą w ten czas zdziera,
Kiedy usta o rzeczach domowych otwiera.
Nie kupi pleban dzwonu, chłop dzbanu, kucharka,
Póki nie trąci, póki nie usłyszy, garka.
Jako święte pobożny, tak świeckie światowy,
Wesoły żarty, brednie; kto ma rozum zdrowy,
Poważne rzeczy, których pełne stare druki,
Dla pożytku i ludzkiej powieida nauki;
Łakomy, żeby co wziął, żeby co wyskrobał;
Chlubny, żeby się z swoich dyskursów podobał;
Głupi nieuk, co ślina przyniesie do gęby,
Sypie, jako by z pytla we młynie otręby,
Byle jako najdłużej trawił czas; i tu go
Poznać, że choć nie grzechy, byle prawil długo.
Nie darmo się niewiasty trzymają w milczeniu:
Trudny to dzban w poznaniu, obłudny w kupieniu;

Bo że się wprzódzy palcem weń trącić nie godzi,
Nim kupi, nim zapłaci, wielu ich zawodzi.
Aleć by druga palec wołała przed kupnem,
Niżli po kiju plastrem okładać się żupnem.

**Milcząc pokryjesz, mówiąc wydasz wadę w języku,
ba i w głowie.**

Trzy córki jeden ociec miał. Wszystkie jękoty.
Więc kiedy miano do nich przyjechać w zaloty,
Zadziesiąta surowo, chcą li za mąż, aby
Milczały, bo pannami starzeją się w baby.
Siedzą dzień, siedzą drugi, milcząc, damy nasze,
Aż kawaler, nakładszy na talerzu kasze,
Poda pierwszej z dokładem, że zacna kapusta.
Tu już nie mogszy wytrwać, otworzyła usta:
A wzdyc to tasa dupce! Kasza, głupcze, chciała
Wymówić złym językiem, ale nie dośpiała.
Druga, kiedy kawaler chce całować rączkę,
Ujźrawszy na niej świeżo zjątrzoną świerzbiaszkę:
Tak śliczne — rzecze — ręce skrostawiały srodze.
I tej nie przyszło trzymać milczanej niebodze;
Chciała rękę ochronić, gdy ją tak zaczepił:
Jęceć jak jęce; udy, jak ciastem oblepiel.
Słyszac młodszą, że z starszych ta i owa kawi,
Że się sama popisze i owe poprawi:
A ja będę miała mąż, bom milcała — rzecze.
Rozgniewawszy się ociec od stołu uciecze.
Młodzieńcy też nazajutrz, oddawszy usługi,
Jadą precz, bo żadnemu nie trzeba papugi.
Ta do wszystkich szepioliów i niemotów wada:
Że żaden nie chce wierzyć temu, że źle gada.

Z czego, gdy się chce wywieść, choć go nikt nie pyta,
Za każdym słowem ślini, abo zębem zgrzyta.

Swymi pióry ranny.

Odpozywającego w południe na buku
Trafił niepostrzeżony strzelec orła z łuku,
Który z swych piór przy strzale poznawszy opuchę:
Na cóż — rzecze — zwać głupią przeto jemioluchę,
Że sama sobie na śmierć po drzewach lep ścięle,
Kiedy i orła morzą jegoż pióra w strzale?
Siłuz dzisiaj i ludzi, nie rachując ptaków,
Znajdziesz tak nieostrożnych, tak wielkich prostaków,
Co koszt i radę, jako ta przypowieść mowi,
Sami na się podają nieprzyjacielowi?
I późno, wyciągając strzałę z rany, rzecze:
Moje mnie rażą pióra, moje sieką miecze.
Znajdziesz tak nieszczęśliwych i rodziców, ktorem
Wygryzają się z boku ich dzieci jaszczorem.
Gorzej, niż zbójcy i niż bieszczedni opravce,
Biorą żywot, żywota zabijając dawce.
Znajdziesz sług, wychowanców, równać ich złodziejom,
Co tak bezbożnie swoim płacą dobrodziejom.

Zdarz Boże.

Każdąby chrześcijanom od tej przypo[wie]ści
Sprawę zaczynać trzeba, bo się w każdej zmieści
Jako i „pomagabóg“, tak też i „zdarz Boże“,
Bo czego ten nie zdarzy, czego nie pomoże,
Darmo każdy, bo pewnie nie skończy, poczyną;
Jako zaś niechaj Boga sto razy wspomina,

Jeśli co począł, jego przeciwi się woli,
Na wiatr gada, bo pewnie zostanie na goli.
Toż i złodziej i zbójca, gdy komu na zdradzie
Zasiada, zawsze mówi i krzyż na się kładzie;
Wždy postaremu idzie do katowskich kleszczy,
Postaremu nań oczy z szubieńce wytrzeszczy.
Staropolska przypowieść: Niechaj ci Bóg zdarza;
Nie usłyszysz takich słów dzisiaj od kwestarza,
Choć u kmiecia nieuka kiedy stanie w progu,
Coś mówi po łacinie, ale nie o Bogu;
Żeby się, jako i sam o sobie rozumie,
Pokazał, że coś więcej, niżli ów kmieć, umie,
A całego pacierza łacińskim językiem
Nie zmówi, wczora od cep zostawszy laikiem.

Do tegoż.

Kilkanaście lat chował skępiec beczkę wina;
Na Narodzenie tylko raz Bożego Syna,
Drugi na Zmartwychwstanie, że to sam Bóg syci,
Uwiązaniem kosztował napaństwem po nici.
Jeśli kapka upadła, ledwo nie ogryzał,
Lecz od wierzchu do spodu beczkę z pleśni lizał.
Aż skoro też poczęła dużo octem grozić,
Każe kilkakroć na targ do Krakowa wozić.
Jednak do wielkiej przyszła beczka ona wzgardy,
Gdyż tylko zażywają octu do musztardy.
W tym na krzciny w dom jego zjechali się kumi:
Już też — rzekę — ten skępiec koniecznie zasumi!
Dadzą flaszkę kwartową dopiero z pocenty,
Aż ów rzekszy: Boże zdarz, zacnie komplementy:

Za zdrowie naprzód pańskie tak dobrem, tak starem
Do mnie półkwatrowem obieca puhaem.
Wypiwszy, nie nie marszczy, i wąs zawieśsiasty
Osysa, choćby tylko dzieciom pić na glisty.
Wezmę w usta, szczyry kwas; w uszu mi zadzwoni,
Świerzki w oczach, ledwie krew nie wysiknie z skroni.
Postawię, aż gospodarz: Pewnie żołądkowe.
Przyznaję, ale oraz i wielkopiątkowe:
Przypominać od żydów Pańskie dyscypliny
Jednak się żadną miarą nie godzi na krzciny.
Że gęś stała na zimno przyniesiona z dworu,
Należę tego wina w nią miasto soporu.

Tylko ptaszego niedostaje mleka.

Malo ludziom, co ziemia, powietrze i wody
Rodzą do rozpustnego języka wygody,
Że, czego im natura umknęła, nie sytem,
Choć dostać niepodobna, pragną apetytem.
Niech ze dna najgłębszego będą ryby morza,
Ptacy, którym pod słońcem gniazdo ściele zorza,
Niesłychane zwierzyzny gdzieś od świata kraju,
Zapachy, cukry, frukty i cymenty z raję,
Nektar, nie wino, jaki bogom w usta ścieka,
Że im jeszcze ptaszego niedostaje mleka.
Nie delikacki bankiet, choć się już nie zmieści
Maku ziarna w pełen brzuch wedle przypowieści;
Koniecznie chcą na świecie tego ludzkie głupi,
Czego, choćby kto cały świat łożył, nie kupi.
A o onym bankiecie, o onej wieczery,
Co wszystkich wiernych w niebie czeka, nikt nie wierzy.

Choć Bóg i przez proroków, i przez apostołów
Bankietów się i świeckich każe chronić stołów.
Chciejcie słuchać pojętnym, chrześcijanie, uchem:
Że trudno iść na dwoje gody z jednym brzuchem.
Wystrugać go postami na tym świecie musi,
Bo inaczej na tamtym daremnie się kusi.
Kto chce ptaszego mleka, słuchaj rady moi:
Orle ze wszech najlepsze; orła niechaj doi.
Jan apostoł niem święty tym nas mlekiem raczy,
Jako drugi apostoł, Paweł, nam tłumaczy.
Więc sercem szczyrym za pierś tego orła chwycić,
Żeby się mleka jego reguły nasycić.
Niech nie miłuje świata i co jest na świecie,
Kto z świętymi Bożymi chce być na bankiecie.
Chłuba żywota, miłość świata, ciała żądza
Wszystkich ludzi tamtego bankietu odsądza.
Ba i Piotr mleka tego wszystkim pragnąć radzi,
Co nie puszy, nie morzy i niwczym nie wadzi.

Nietykane rzeczy ruszasz.

Boga wprzód, potym króla, ani żadnej rzeczy,
Które do nich należą, bo je ubezpieczy
Powaga majestatu, niech żaden nie tyka
Nie ręką tylko, ale i końcem języka.
Tu sędziowie, tu starcy, którzy dzisiaj za nic,
Tu należy warunek starodawnych granic.
I wszystko, co lub ślubem, lub długiem wiekiem
Utwierdzono, niech będzie od gwałtu dalekiem.
O! jestże bezpieczników takich dzisiaj wiele,
Którzy nietylko Bożych mandatów w kościele,

Ale jego samego nie bojąc pioronu,
Psim piórem i językiem śmieją tykać tronu.
Poganim mówi: Jest Bóg, który wszystkim włada;
Chrześcijanin: Niemasz go. Leda co powiada.
Bo się w mej głowie zmieścić nie może ta baja:
I zwierz, co z matki, i ptak, co się łagnie z jaja,
I co na świecie, wszystko natury szafunkiem,
A potym niewiadomym dzieje się trefunkiem?
Czegośmy świeży przykład widzieli na sejmie.
Przebóg! komuż tu słuszny strach serca nie przejmie?
Są, którzy pomazańców Bożych niepobożnie
Tykają, ale pomsty bojąc się, ostrożnie,
Brzydkie pisząc paskwile skrycie i z daleka.
Tedy więcej, niż Boga, boją się człowieka?
Przysięgę zgwałcić — żarty; ślub w małżeństwie złomac,
Fraszka sumnienię; byle na mieszku nie chromać.
Stąd ono z głębokiego echo Acherontu:
Farbą cnota, złoto grunt: trzymajcie się grontu!

Rychlej sąsiedzi wiedzą, niż gospodarz, co się w jego domu dzieje.

Pospolita a wielka w ludziach wielu wada,
Że pragną wiedzieć, co się dzieje u sąsiada,
A w swoim domu, choćby daleko to lepiej,
Na obie oczy, lub źle, lubo dobrze, ślepi.
Dobremu pomódz, złego mogliby poprawić,
Tam dobrego zazdrościć, we złym chcą osławić,
Nie w domach, w grzechach cudzych, na swe niepamiętni.
Takeśmy gospodarni, takeśmy są skrzętni,
Że w swym oku tram¹⁾ za nic, w cudzym leda piórko

¹⁾ Trom.

I leda nam, niestocie, zawadzi paździoroko;
Choćby każdemu trzeba od siebie poczynąć,
Złym się karać, a dobre na przykład wspominać.

Do tegoż.

Miałem sąsiada, niktby takiego nie życzył,
Co zawsze cudze kopy wprzód, niż swoje liczył;
I nie tak dalece go, choć nad zwyczaj mało,
Jako to, że kto inszy więcej miał, bolało.
Powieda mi, przyszedszy, ale skłamał srodze,
Że coś sąsiedzkiej córce przyda się niebodze,
Ano, że sam szpetną miał zazdrość, w oczy bodła,
Ta, że panną szła za mąż, z udania wywiodła.
Żałuję ojca, matki, jako mi należy,
Aż jego w sześć szpetulka niedziel połów leży.
Lepiej było, mój panie, niż o cudzej gadać,
Swojej się nie dać, czego doznałeś, przekradać.

Leniu, nęci jaje. Oblupże mi je.

Chcesz kasze? idź po wodę, Rusinie! Ne pudu,
I twej kaszy ne hoczu, i jesty ne budu.
Nęci jaje; zleż z pieca, odleżały leniu!
Oblupże mi go pierwej — rzece — ku jedzeniu.
Odrzekłby się i miodu kosztować na wieki,
Niżli iść, bojąc się pozół, drugi do pasieki.
Żeby nie gryźć orzecha: — Niema smaku w jądrze.
W rybie — żeby nie brodzić. Choć natura mądrze
Swe prawo napisała, stosując Bożemu,
Że nie jeść na tym świecie chleba leniwemu.
Pocić nań czoło, a zaś trzeba się odważyć,
Kto chce czego lepszego, niż prosty chleb, zażyć.

Trudno oczom folgować, trudno w miękkim becie
Dosypiać, kto pragnie być uczonym na świecie.
Głód i głupstwo z lenistwem jednym chodzi krokiem;
Kto nie chce ciała gwałtu czynić, piekło bokiem.
Gryźć orzechy, choć bywa robactwa w nich wiele,
Brodzić dla ryb, dla miodu wytrwać żądło pezele;
A cóż mówić o niebie, gdzie kto sobie życzy
Wiecznej zażyć z świętymi Bożymi słodyczy?
Nie orzechy, sęki gryźć szatańskiego dębu,
Nie pezelego, lecz lwiego wytrwać boleść zębu
W tej śmiertelności musi. Piszą mądrzy zgodnie,
Że, co łąco przychodzi, nie tak ludziom słodnie,
Jako to, co im przyszło z trudnością, i na co
Wielką pracą łożyli, choć będzie ledaco.
Gdzieżby w tej dusza była, co ciało, estymie,
Wolałby pod kańczukiem pokutować w Krymie,
Wolałby przykowany robić na galerze,
Niż zawołanej w niebie omieszkać wieczlerce.
Palić, rzezać dla ciała, choć kliwo, choć boli,
Żeby go przy żywocie zachować, pozwoli,
Choć dobrze wie, że darmo rzeże, darmo piecze:
Krótko, i to nie zawsze, żywota przewlecze.
Żeby mógł duszę z ciałem na wieki ocalić,
W enocie żyć, grzechu się strzedz, nie rzezać, nie palić,
(Bierze chłop kijem w karczmie, wždy lezie na piwo),
Nie chce człek: tak lubi grzech, tak go w enocie kliwo.
Nie je, łaknąć, nie pije, choć mu wnątrze gore,
Bo doktor broní, żeby wrócił zdrowie chore,
Tu mu wolno jeść i pić przy zbawieniu dusznem!
Więc doktorowi więcej, niż Bogu, posłusznem.

Kaszel za pierdel.

Trafia się ludziom, czego i waszeć sam świadkiem.
Co chcą kaszlem zagłuszyć, ozwawszy się zadkiem.
Któżby z każdym dobiegał wiatrem do wychodu?
Ludziom tylko śmiech z tego, barzo mało smrodu.
Drugi, jeśli się mocniej na kaszel napuszy,
Niżli trzeba, powtórzy znowu, nie zagłuszy.
Gorszy, co w pludrach szepce: nie tylko nie śmieszcy,
Ale się zapierając i śmierdzi, i grzeszy.
Częstokroć, co miał lochtu uchylać po trosze,
Puści lagrem omyłką z beczki po pończosze.
Podobni są tym wszyscy, którzy swoje winę
Chcą ogrodzić, inszą jej znajdując przyczynę:
Złodziej mówi, że znalazł; ów, bywszy w zantuzie,
Przysięga, że kupował płótno na smatruzie;
Chorobą żak i żołnierz: tamten składa szkole,
Ten zaś, jeśli mu serce tehorz obleci, — w pole.
O, jakóż sładzy kaszłów rozmaitą modę
Wymyślają, zrobioną ogradzając szkodę!
Nie chcąc przyjacielowi oddać, co powinni,
Tak kaszłą nieużyci, tak i nieuczynni.

Nie odgrzebaj się, kiedy cię nie ugara.

Najdują się tak głupi i ludzie tak skrzętni,
Na stan i kondycją, na się nie pamiętni,
Że chociaż się ich z żadnej miary co nie tycze,
Mieszając w to, przynoszą sami na się bicze.
Chociaż w czesie nie długiem srodze będą żalić,
Byle z rezolucją przed ludźmi pochwalić.
Nie darmo ich przypowieść napomina stara:
Szkodaby się odgrzebać, kiedy nie ugara.

Szkoda do cudzej zwady, abo rady mieszać,
Kiedy dwaj karty grają, nad nimi się wieszać.
Choćby słowa nie przerzekł, ten, co resztą ściga,
Rozumie, że nań palcem abo okiem miga.
Jeśli kto możniejszego na sławie obmawia,
Jeśli rzeczy już dawno zapomniane wznawia,
Jeśli szerzyć granice, prawo chce poczynać,
Na swoim nie przestając, cudzego dopinać,
Abo mszcząc cudzej krzywdy, na się pomstę ściągając
Od hołysza, abo mu w nieszczęściu urągając;
Sam na się plakać będzie, że się tam odgrzebał,
Kędy ognia nie było, a tego nic nie bał,
Czego ani spodziewał. Sparzywszy, obaczy,
Że miasto odgrzebania przygrzebał się raczy.

Najwięcej lekarzów na świecie.

Tak zwyczajnie w nieszczęściu, jako i w chorobie
Łacniej radzić inszemu, niż samemu sobie.
Natura temu winna: Że nam nie na nice,
Nie w głowę, ale z głowy obróci źrenice.
Najtrudniejsza na świecie rzecz swoje znać wady,
Najłacniejsza — inszemu umieć dodać rady.
Strofował nadętego łakomy człek z pychy,
Ów go z skępstwa. Wzajemne odbijając sztychy,
Jeden w drugim grzech widzi i słusznie go gani;
Za cóż stoi, gdy w sobie swego ani, ani?
Obmówca pijanicę, wszetecznik złodzieja,
Grzmi na wszystkie te grzechy mowny kaznodzieja,
Jakie wiodą za sobą w przyszłym wieku lichy;
Choćby się znaleźć mogły w plebaniej — cicho.

Wół siodła, koń jarzma.

Komuż na świecie padła tak szczęśliwie biera,
Ze się z stanu, w którym jest, w inszy nie wydziera?
Kto, dzisiem kontentując, o jutrze nie myśli?
Niemasz go. Każdy w sobie nowego co kryśli.
Serce żąda, głowa zaś koło tego chodzi
Wszelkim sposobem, że mu w tej żądzy dogodzi.
Z tegoż stara przypowieść wyszła na świat źródła:
Koł przeciwno naturze jarzma chce, wół siodła.
Domator do honorów, choć go z nich wypycha
Niegodność; z Marsowego pola żołnierz wzdycha
Na domowe, żeby już gospodarskiem potem
Omył blizny i długi niewczas pod namiotem.
Ksiądz się sędztwa napiera; mało być kapłanem;
Kupiec chce być szlacheicem, chłop z młocka
Stan ci mogą odmienić, ale nie natory: [plebanem.
Z sierci się tylko czaban, nie wyleni z skory.
Nie ze stanu samego ludzie nie kontenci,
Lecz i z natury, czego przykładem są święci:
Kiedy Dawid, mąż Boży, tego sobie życzy,
Żeby się mógł w postaci widzieć gołębiczy.
Tak długo tej reformy, aż śmierć, świata ksieni,
I naturę każdego, i stan w proch odmieni.
O tej reformie żaden nie pomyśli w ciebie,
Żeby się w przyrodzenie odmienił aniele.

Przed zazdrością w niebie nie być.

Wielka w żywocie ludzkim, wielka w cnotach plama
Zazdrość: choć nic nikomu, sobie szkodzi samą;

Na swe własne przeze mgłę i jako przez spary,
Na cudze dobro patrzy już przez okulary
Nie bez ciężkiego bolu, bo wszystko, niż u niej,
Lepsze, większe się widzi, kogo Bóg fortuni.
A tym szkodliwsza w sercu ludzkim jest jej władza.
Ze się jej trudno odjąć, bo z natury władza.
Chołby drugi żadnego grzechu nie miał w sobie,
Zazdrości rzadko, abo nigdy nie wyskrobie,
Chołby chciał, nie przybierze rozum jej poboczu,
Chyba kto uszu, abo nie będzie miał oczu.
Może człowiek zazdrosny w dostatku i w chlebie
Szczęśliwym być u ludzi, ale nie u siebie;
Bo kiedy się z szczęśliwszym, niżli sam, stosuje,
Swego szczęścia do siebie nie widzi, nie czuje.
Czym kto nadeń bogatszy, tym większym chudziną,
Na cudzy chleb wytrzeszcza, na swój oczy płyną.
Aż obu śmierć porówna, aż płynące oczy
Nastąpiwszy ostatnia godzina zamroczy.

Do tegoż drugi raz.

I ciała, i wszystkiego, co tylko jest w ciebie,
Krewni sobie i dobrzy zajrzą przyjaciele:
Jako wzrostu, gładkości, rozumu, nauki,
Jeśli kto grzeczne, piękne dzieci ma i wnuki;
Wszystkich darów natury, dopieroż fortuny:
Abo owce większymi porastają runy,
Pczoły roją, ryby trą, stada lepiej wiodą,
Sady rodzą, że z lepszą żyć może wygodą.
Cóż, kiedy kto wieś dobrą i więcej ma pługów,
Żyje w poczciwej sławie bez kłótni, bez długów?

Na co kolwiek pomyślisz od mała do wiela,
Choć najlepszego w oczy kole przyjaciela.
Acz tego nie pokaże i cieszy się usta,
Pokrywa, póki może, serdeczne dyzgusty.
Niechże nieszczęście, abo szkoda nań przyspieszy,
Wspak obraca, żałuje usta, sercem cieszy.
Przez zazdrość, potargawszy przyrodzenia sznury,
Krwia bratnią rzymskie naprzód rumienieją mury,
Na teźże krwi Salamon, tak mu była tania,
Zakłada grunt w żydostwie swego panowania.
Cóż nie ma szaleć zazdrość na świecie nie syta?
W żywocie macierzyńskim brat za stopę chwytą
Brata, chcąc go uprzędzić; do tego przynuka,
Że bezbożnie własny syn krwi ojcowskiej szuka.
Opuściwszy pogańskie, którzy tak łakomie
Pragnęli sławy, mamy przykład w Absalonie.
Chyba jeśli kto z orłem tej sfery doniesie,
Gdzie podaje pioruny Jowiszowi, gdzie sie
Inszy ptak nie wybije ani oto kusi,
Tam go zazdrość nie mogąc dosiądz, ustać musi.
Mizernerż ludzkie szczęście na świecie w tej mierze:
Przyjaciół zajrzy, gwałtem nieprzyjaciół bierze.
Spadną królom korony, gdy czterech pod biczem
Musi ciągnąć piątego w orczyku woźniczem.
Czemuż, czego najbardzi zazdrościłoby trzeba,
Ludzie ludziom na ziemi nie zazdroszą nieba,
Cnoty, świątobliwości, pobożności, co jej
Najpotężniejszy w siele nieprzyjaciół swojej
I cały świat nie wydrze? W sercu ściele łoże,
W sercu fortecę, bo ją, kto chce, tu mieć może.
Nikt nie zazdrości i nikt na oczy nie boli,

Co mieć i nie mieć doma na jego jest woli.
Nie tylko nie zazdroszą, ale że nie widzą
Oczyma, i nie wierzą; owszem z nieba szydzą.
Szydzą z cnoty, z Boga chcą. Ale z siebie nie da.
Jako przez apostoła Duch święty powie da.

Nam inszych, nasze inszym podobają się rzeczy.
Więc i w niebie nie mogło być bez tego licha,
Gdzie zazdrość, pierworodną córkę, rodzi pycha.
Boguż anioł, stworzenie stwórcy, sługa panu
Zazdrościć, równać kroplę śmie do oceanu!
Musiała też z połogu przed czasem na krzciny
Z nieba na wiatr i na świat czynić przenosiny,
Gdzie całą familią srogim ściagnie rumem;
Tenże dyabeł, co ojcem, oraz został kumem.
Nie wody; smoły z siarką z pod światowej wiechy
Nabrawszy, znaczy wszystkie ich przezwiski grzechy.
Każdy osobną własność, każdy osobny ma
Przymiot swój, którym piekło człowieku poddyma.
Zazdrość powszechna ludzkiej natury choroba:
Bardziej się nasze komu, nam cudze podoba.
Cóż dyabeł ma za korzyść, że ludziom przeszkadza
Do nieba, skąd go pycha, skąd zazdrość wysadza?
Wie, że do tej nie wróci, w której był ozdobie;
Sama złość, bo ani mnie — mówi — ani tobie.
Bogu jego zazdrościł, człeku miejsca swego;
Kompanią do piekła chce mieć; nie inszego.
Jeśli się skazanemu złoceńcy śmierć zwlecze,
Choć go z turmy wypuszczą, wie, że nie uciecze.
Radby wszystkich namówił, żeby też z niem kradli.
Żeby za wyścieniem czasu szubieńcy podpadli.

Każdą biedę, że i śmierć, jeśli się to zgodzi
Z rozumem zdrowym, miła kompania słodzi.
Głupiemu gdzieś Niemcowi żywot był tak tani,
Mówi przypowieść, że się dał obieścić dla ni.
Nie dyabeł ludzi; ludzie, którzy w grzechach żyją,
Zapraszają do piekła dyabła w kompanią.

Kto pije drożdże, ten piwa dożdże.

Miło pić wino z wierzchu, miło i ze środka;
Szkodaby się też krzywić na lagier ku spodku.
Tak zaś kto z razu pije mętne z beczki drożdże,
Poczekawszy, trunku się klarownego dożdże.
Jakożkolwiek czy wino w tej beczce było, czy
Piwo, skoro dni nasze późna starość stoczy,
Tenże lagier, też drożdże na spodku ustoi,
Tymi świat małe dzieci, tymi dziadów poi.
Tą koleją na ziemi wszystkie rzeczy chodzą,
W tej się ludzie śmiertelni od początku rodzą.
Wprzód biedy, bólu, żalu, wprzód się potu napić,
Wprzód, niżli rozweselić, trzeba się utrapić.
Wyklaruje się trunek za trzy dni w ahtelu;
Człek nie może trzech godzin upewniać w weselu.
Rzadko kiedy szczyrego napije się trunku,
Częściej chociaż w pół beczki gorzkiego piolunku.
Drugi przez cały żywot od czopu do szpuntu
Drożdże pije od wierzchu do samego gruntu.
I bodaj nie szczęśliwszy, gdyż nie znając wina,
Nie nudzi go, na inszych patrząc, oskomina.
W naturę — mówią — zwyczaj obraca się długi:
Jako zaś co dzień winu przywykłąwszy drugi,

Jeśli się drożdży, abo mętu napić musi,
Czego nikt ująć nie może, dawi się i krztusi.
Wielu, jako widzimy, że niespodziewana
Na duszy ta i ciele zabija odmiana.
Niecierpliwość przyczyną, że i nie żyć woli,
Niż pić, od czego serce, nie żołądek, boli.
Wszystko, co światu, wszystko, co tu miło ciału,
Względem nieba wierny człek do mętnego kału
Przyrówna, bo cóż mu to za dobra myśl, co mu
Za bankiet we dnie, kiedy na noc z tego domu,
Wziąwszy śmierć, nie czekając nocy, i w południe
Z wina świeckiego wrzuci do piekielnej studnie,
Kędy dyabeł, podczaszy przy nieszczęsnym stole,
Gwałtem w gardło będzie lał wrzącą siarkę w smole?
Miło było na świecie słodkie wina chwytać?
Czemuż wam tu zębami ma być przykro zgrzytać?
Wypiliście tam z wierzchu, pijcież tu, co na dnie,
Żeby się w was przypowieść spełniła, opadnie.
Ci zaś, co z płaczem w ciele świeckie pili fusy,
Nie przemogły ich żądze doczesnej pokusy,
Dopili się słodkiego i będą na wieki
Pić u jego z Chrystusem stołu kanarseki.
Kto płacze przy obiedzie, przy wieczerzy śmieje;
Tylko niech będzie pełen przy wierze nadzieje.
Kto ma obiad wesoly, siłę w barszcz dwa grzyby,
Pewnie mu przy wieczerzy bies potłucze szyby.
Przecież ludzie z jałowej wolą piwo sieczki,
Niż z onej nieśmiertelną ambrozyą beczki,
Która, sadzając do swych w Jeruzalem stołów,
Upewnił Zbawiciel nasz świętych apostołów.

Znaj sam siebie.

Tak znaj swoje obeście, jako znasz paznokcie,
Każdy dzień patrząc na nie. Inaczej za rok cię,
Albo prędzej tak bardzo fortuna odmieni,
Niedostatkiem ochudzi, wstydem zarumieni,
Że się i sam nie poznasz, i ci, co cię znali,
Będą o cię samego siebie się pytali:
Tys to, co cię niedawno eug woził poszosny?
Na jednej się dziś włóczęysz hetce środoposnej!
W bławacie pokojowi, gdzież hajducy w srebrze?
Kto żyje nad intratę, na ostatku żebrze.
Żle mówię — na ostatku: w pół wieku i prędy,
Zdarszy gunię za szarłat, umrze drugi w nędzy.

Do tegoż drugi raz.

W swojej się skórze, szewcze, w swej trzymaj, kuśmierzu,
Nie szerz w cudzym, niż gniazdo twego ojca, pierzu.
Fortuna cię upstrzyła, fortuna wypierzy.
Zawsze się bardziej kurczy, im kto dalek szerzy.
Nie nadała się kiedyś lwia osłowi skóra,
Ani wronie kradzione inszym ptakom pióra:
Swą przypłacił dzień bywszy we lwiej osiel szubie,
Wrona goła, skoro z niej każdy swe oskubie.
Niechaj głupia, jako chce, rozpuka się pycha,
Mądrego w jego skórę kondycya wpycha,
I wychylić mu się z niej nie pozwoli. Dla niej
Musiał Adam i Ewa iść z raj w baraniej,
A i z tej go śmierć odrze, skoro wyńdą lata.
Swoją się kontentować było, miły tata!
Dosyć mając na raj, nie czynić się Bogiem,
A widzisz, żeś się zaraz nie poznał za progień.

Poznałeś, skoro, w której znać nie chciał, skorę
I nieśmiertelną na śmierć skazano naturę,
Skoroć ręce od prace oblaży przy pługu.
Karz swym przykładem dzieci, jako cię bez ługu
Zmyto. Podobnej wszyscy niech czekają łaźni,
Których większej fortuny opinia błażni.

**Znaj się sam. Żeby nic nazbyt.
Tak ręcz, żebyś mógł zapłacić.**

Sławne te sentencye trzy w charakter złoty
Nad Apollinowymi napisane wroty,
Gdzie baby odpowiedzi dawały z trypodu,
Jakoby z niebieskiego uniwersał grodu.
U świata pod szatańskim jeszcze zabobonem
W cenie były, i dziś są pod nowym zakonem:
Znać wprzód samego siebie, znać ludzi, znać Boga,
Bo się nie zaraz dał znać. To pierwsza przestroga.
Znać siebie: nie w zwierciedle, ani z malowania:
Oboje nie należy do tego poznania;
Afekty swe i jeśli chce się który dźwigać,
Żeby mu zbytich bujów rozumem przystrzygać.
Znać ludzi, żebyś wiedzieć mógł, z kim towarzyszyć,
Z kogo w enotach brać przykład, a kogo się liszyć.
Żle towarzystwo dobre obyczaje kazi:
By najbielszy pomaże, tykając się mazi.
Znać Boga, najprawdziwsze dobro tego świata,
W którego ręku cnoty i grzechu zapłata.
Dla tego człeka stworzył i tchnął usty w glinę,
Żeby dobroczynności swojej miał przyczynę,
Żeby miał miłosierdzie pokazywać nad kiem,
Widząc, że mu grzech idzie po rodzicach spadkiem.

W niebie dobroczynności miejsca niemasz, ani
Miłosierdziu, czego nam przykładem szatani.
Zupełna tam szczęśliwość na jego oblicze
Samym tylko patrzeniem aniołów się tycze,
Chwaląc go bez przestanku i śpiewając pieśni.
Ta chwała, którą ludzie czynią mu cieleśni,
Że w niej grzechu, bo w niej swej szukają, na poły,
Lub grają, lub śpiewają, nie zgodzi z anioły.
I toć to jest znać Boga, znać na jego chwale,
Nie w skrzypkach po żydowsku i nie na cymbale,
Po jakim chłopstwo w karczmach szaleje bałuchu,
Ale mu usty śpiewać, na sercu grać w duchu,
Byle serce i usta bez grzechu przywary.
To chwały, to są jego najczystsze ofiary.
Niech gra na sercu, niech kto duchem usty śpiewa,
Jeżeli przykazania jego zaniedbawa,
Jednakoli go z ludźmi chwali nieboszczyki.
Kwituje i z śpiewania, kwituje z muzyki.
Nie znać, zaprzeć samego siebie, wynieść z świata
I z ciała, zaprzeć ojca, matki, siostry, brata,
Nie znać ludzi, lecz wszystkich oślepi i jednako
Miłować, błogosławić, tak przyjaciół, jako
I nieprzyjaciół jawnych, choć naturę boli,
Rozum przeczy, do jego stosując się woli;
Co dusze, serca zmysłów i co ma w sobie siłę,
Żeby człowiek miłował, czecił, chwalił i głosił,
Toć jest człeku Boga znać. Każdy jawnie kłama,
Kto powie, że Bogiem zna go w niebie, a ma
Z ciałem i z światem przyjaźń. Wielce się tu mylą,
Którzy rozum w poznaniu jego prawdy siłą,
Penzlem na płótnie, piórem chcąc go na papierze

Wyrazić, jako ludzi, ptaki abo zwierze;
Choć się z tym oświadcza, że nie chce być tak znany,
Bo nie może być okiem śmiertelnem widziany.
W niebie choć śmiertelnego nie może być oka,
Kryją skrzydły anieli twarz jego z wysoka.
W wierze znajomość Boża — nie pojną jej zmysły
Ani rozum — i jego własności zawisły;
Ale w żywej — dokładam — bo z umarłej wiary
Pożytku, co ślepemu na nos okulary.

Żeby nic nazbyt.

Druga, żeby nic nazbyt, sentencya, a ta
Do nieba tak należy, jako i do świata:
Wszystkie rzeczy pod słońcem zawisnęły w mierze;
Kto miarę w jadle, w picciu, w strojeniu przebierze,
I zdrowie, i fortunę gubi nie bez grzechu,
Dawszy ludziom głupstwem swym okazją śmiechu.
Miarą świat, miarą stoją sfer niebieskich kręgi,
I morze opasane swoje zna popręgi.
Każda rzecz: zwierz, ptak, ryba z powszechnej natury
Ma na ziemi i w wodzie wymierzone sznury.
Każda rzecz ich przestrzega. Jeden gwałci człowiek.
Przeto, że krócej żyje, niemasz dziwu: co wiek
Zbytek we wszystkich stanach morzy, zbytek ludzi
Po pierwszej na wtórą śmierć grzechami paskudzi.
Anoż człowiek rozumny, anoż obraz Boży,
Którego on nad wszelkim stworzeniem przełoży,
Głupszym się stał od wołu, bo ten nie będzie pił,
Nie będzie jadł nad miarę. Czart go tak zaślepił,
Żeby i tu krótko żył, ustawicznie chorzał,
I po śmierci na wieczne wieki w piekle gorzał.

Na co tylko pomyślisz, ledwie i nie w cnotach
Znajdziesz zbytek: i w sprawach, i w ludzkich obrotach.
Ten zbytnią pracą rączną, tamten chodzą zdrowie
Traci, ten, siła myśląc, swojej szkodzi głowie;
Zbytni wstyd głupstwem pachnie, jako w małej rzeczy
Niepotrzebna odwaga wielu ich kaleczy
Na duszy i na ciele. Jest zbytek w karaniu,
Jest i w szeszodroblności, abo w szafowaniu.
Zbytnią nawet ostrożność, gdzie gospodarz skory
Pokazuje złodziejom drogę do komory;
I w umartwieniu ciała niejednen przestruże,
Przywodząc zdrowie postem w chorobę nie duże.
Nie w czym Tymoteusza Paweł upomina:
Żeby nie wody, ale napijał się wina
Dla słabego żołądka. Wspaczną dzisiaj modą
Chłodzą z wina żołądek po przepieciu wodą.
W jednej miłości Bożej, żyjąc przed niem szecerze,
W brzydzeniu grzechem żaden miary nie przebierze;
Bo w miłości bliźniego niejednen się zbłaźni,
Uchylwszy sumnienia dla ludzkiej przyjaźni.

Tak rącz za drugiego, żebyś mógł i zapłacić.

Słuchajmyż sentencyej trzeciej i ostatni:
Wolnyś? nie rączże, nie leż za kogo do matni,
Gdyż niejednemu nędza niespodziana dojmie,
Często, jako czytamy, i śmierć dla rączkowie.
Wyjąć czyję, a swoje szyję w gąsior włożyć,
Cudze dzieci spanoszyć, a swoje zubożyć —
Wielka miłość, przyznać jej, ale nie porządna.
Od siebie ta poczynać zwykła; chyba względ na

Kościół Boży kłaść gardło za takiego, na kiem
Należy mu niezwykłym pobożności znakiem.
Jeden tylko na świecie ludzi nad się droży
Szacował, dawszy za nich duszę swą: Syn Boży.
Jeszcze za nieprzyjaciół, bo za przyjaciela,
Są przykłady, że się człek umierać ośmiela.
Kiedy gniewem i żalem spłonawszy, Bóg rzecze:
Nie wnidzie mój na wieki duch w ciało człowiecze,
Gdyż mi się nie nadała koło niego praca,
Do stu wprzód od tysiąca lat żywota skraca.
Dalej, zrównawszy morze z gór największych stropem,
Dla niego wszelką duszę zagubi potopem.
Oschła ziemia; nowe z niem zawiera traktaty,
Skoro Noe jął orać, zostawiwszy baty:
Że ziemie i wszzech rzeczy, które żyją na niej,
Dla grzechów ludzkich, bo już swą śmiercią skarani,
Więcej topić nie będzie. Dosyć łaski człeku
Rość, mnożyć się, aż przyjdzie pora jego wieku.
Wiosny, zimy, jesieni zażywać i lata,
Potym w grób: jedni prędzej, drudzy później z świata,
Bo różne do tej pory przymieszał przygody,
Jednak ich wielu ginie i dzisiaj od wody.
Lecz też baba, też koła: choć się żydzi rzeżą,
Nie pomoże; choć w rzeczy do niego należą,
Rwą przymierze, rwą traktat z Abramem zawarty,
Chwaląc nieme z pogaństwem po ołtarzach czarty.
Już się znowu siarczyste podnosiło morze
Boskiej sprawiedliwości, żeby, co Gomorze
Z Sodomą, toż się stało upornemu światu,
Kiedy jednorodzony z swego majestatu
Wstawszy, Syn jego czleczą oblecze naturę,

Żeby zatrzymał gniewu ojcowskiego chmurę.
On Ojcu ręczy za nas, a widząc hołysze,
Zaraz i płaci, kartę jednak krwią swą pisze
I śmiercią na krzyżowym pieczętuje stole,
Na którym wprzód odliczył dług naszej swywole:
Że kto się na karb jego bez wstydu zadłuży,
Temu ani rękojmia, ani karta służy,
Lecz do piekła od sądu pójdzie dyabłu w łyka,
Póki do ostatniego nie wróci kwartnika.
Tych zaś królmi na niebie z hołyszów posadzi,
Którym czart rzeczonoego słowa nie rozradzi.
Wszystkim ciało w pokarmie, krew swoją dał w trunku,
Żeby nie zapomnieli o swoim warunku,
Co go czynią, święconą myci na krzcie wodą,
Że rękojmie swojego w słowie nie zawiodą.
Przebóg! nie zawódmymyż go, i jednej krwi kropie
Droższej nad wszystko złoto, co go ziemia kopie,
Nie poważajmy lekce, nie krzyżujmy znowu
Dobrodzieja, co śmierci wydarł nas z okowu.
Ile razy swowolnie kto Boskie zakazy
Przestąpi, krzyżuje go każdy tyle razy.
Depce krew testamentu, przy którym umiera.
Zelżył Ducha świętego, pieczęci oddziera.

Kto pijane rzeczy wspomina, oko mu palcem wierca.
Nietylko nie powieść i nie bajać komu,
Co wczora po pijanu w przyjacielskim domu
Mówiono, co robiono, ale zapominać
Obietnic się godziło, a cóż upominać!
Bankiet u starodawnych pogan był sekretny,
Kędy zawsze siedział dziad u drzwi długoletny,

Który wszystkich wchodzących gości w dom upraszał,
Żeby rzeczy pijanych na dwór nie wynaszał.
Niechaj to w nich zostaje, co te ściany słyszą;
Inaczej grubijanem pewnie go napiszą.
Jakichżeby dziś trzeba chrześcijanom kłetek?
Gdzie pełno pojedynków, pełno zaraz plotek;
Bo choć czego nie było, nazajutrz przydadzą:
Ci się upominają obietnic, ci wadzą.
Nie miłość i nie szczyrość, któraby od wina
Podufalszą być miała, wszystkiego przyczyna.
Drwiono w Rzymie z Procella: gdy go po pijanu
Wieczór prosił gospodarz, stawił się po ranu.
I stąd Porcellem, abo wieprzkiem go nazwano,
Że szedł trzeźwy tam, gdzie go pijano proszono.
Będziec dziś nieproszony cały tydzień siedział,
Choćby mu tę gospodarz łaskę wypowiedział;
Choć też czasem przymawia i czoło nań zmarszcza,
Nie rozumie; co gorsza, że jeszcze przebarszcza.
Na ostatek ogada, nie tylko obiera,
Jeśli tego odmówi, czego się napiera.
Szlachecka polityka, wierę, jakiej ani
Zydzi, nie tylko biedni nie mają cygani.
Byle odrwić, oszukać. byle najeść, napić,
Zwłaszcza jeśli do domu niemasz po co kwapić.
Lepiejby nie upijać podobno, niż wstydzic,
Wysumiawszy, że wczora przyszło winem brydzic.
Co nazajutrz potkało, nie nie wątpię, Lota:
Żółcią mu córek jego stanęła ochota.

Niebezpieczno na dwu stołkach siadać.

Srodze siełu zostawszy panem August światu,
Że też Laberyusza przybrał do senatu,
Który kęs opóźniwszy, miejsca na teatrze
Nie miał, na Cyncerona skoro potym natrze:
Umknąłbym się — rzecze mu — ale widzisz, i my
Jak ciasno, Augustowi tyr dając, siedzimy.
Że do senatu przybrał niepotrzebnych wielu.
Oddał wet Laberius wetem: Przyjacielu.
Nie dawność na dwu stołkach, nie bywszy tak tłustem.
W jednym siedział z Antonim, w drugim z Augustem.
Bo Cyncero obiema przyświecał im szczerze,
Nie wiedząc jeszcze, czyjej być na wierzchu bierze.
Aż skoro za Augustem Mars potoczy koła,
Porzuciwszy Antona, zdarł maskarę z czoła.
Znalazłbyś obojętków i dziś takich wiele,
Których, gdy się możniejszy zwadzą przyjaciele,
Wiara stoi z fortuną: po kim dekret wyda!
Dopiero się tamtego porzucić nie wstyda.
Wtenczas ze dwu na jeden przesiada się stołek.
Niech wie, że mu się i tu uszarga nadolek.

Nescis, quid serus vesper vehat.

Nie już tryumf, panowie! nie już to wygrana,
Jeśli komu fortuna w czym pochlebi z rana;
Nie już desperacya, czego bywa częściej,
Jeżeli się impreza z razu nie poszczęści.
W tej nie rozpaczaj, w tamtej nie hardziej imprezie:
Nikt nie wie prócz Boga, co późny wieczór wiezie.
Jako wodę na wino, tak zruciwszy wiechę,
Wino mieni na wodę, na smutek pociechę.

Częstokroć, co rok człeku i drugi odkłada,
Choć już straci nadzieję, jedna godzina da.

Nie każdy zagra, co nadyma dudy.

Nie zaraz ten cnotliwy i pobożny, który
Często wdychając, oczy podnosi do góry;
Nie zaraz ten katolik, co sznurem z konopi
Opasze, abo wodą święconą się kropi,
Co mu gęba zwyczajna lata od pacierza,
Co we dnie ani w nocy nie zdejmie szkaplerza;
Nie już ten mnichem, że się kapicą zaczubi,
Nie już panna, że wieńcem, że warkoczem chlubi;
Nie każdy poeta pił źródło w Helikonie,
Ani każdy teolog, że czapkę na skronie
Rogatą włożył, ani każdy ksiądz pod pleszem.
Siłu orzby nie umie, chodząc za lemieszem.
Nie każdy duch aniołem, ani w brodzie statek
Zawisł, nie zaraz ojcem, że się zna do dziełek,
A zwłaszcza jeśli stary dziad przy młodej żenie;
Nie każdy szlachcic, co herb maluje na ścienie;
Nie wszędy ryba, gdzie staw, nie wszystko, co świeci,
Złotem jest, piękny kłosek nie znaczej się śnieci;
Nie czyni dym półmisków, gumno urodzaju,
Sajdak strzelca, nie w każdym łągnie kureczę jaję,
Ul miodu, beczka piwa; nie czyni naczynie
Rzemieślnika, widzieć go, jeśli umie, czy nie.
Siłu nosi perukę, choć słówka — przysięgę —
Nie rzecze po francusku, siłu błaznów — księgę.
Wszystko to cienie, wszystko pozwierzehowne znaki.
Zginą te, w ten czas się da widzieć, kto był jaki.

Tam tehórzów, nie żołnierzów, z pod lamparciej skory
Kondysów we pstrej sierci obaczyć z natory.
To sądzą, co po wierzchu ludzkie widzą oczy,
Ale śmierć te maskary wszystkie pozewłoczy.
Siłaż rzeczy w powszechne ciała zmartwych wstanie
Inaczej się nad ludzkie pokaże mniemanie?

Dwie wronie za jedną nogę.

Mieć oraz przyjaciółmi dwie przeciwne stronie,
Jakbyś za jedną nogę chciał chwytąć dwie wronie.
Jedną się kontentować. Bowiem trudno dzielić,
Trudno dwu ścian domowych jednym wapnem bielić.
Żadnej tak, jako trzeba, wapno się nie chwyci.
Trudno być na dwu godach razem jednej rzyci.
Łakomy tego skępiec doznaje na sobie,
I zysk mieć i kapitał chcąc te rzeczy obie.
Jeśli wedle potrzeby kosztu nie dokłada,
I wydanych pieniędzy i zysku postrada.
Webrnąłeś po kolana: chociaż woda ziębi,
Trzeba webrnąć do pasa, a czasem i głębi.
Kto ryb szuka, choć się mu do gęby dobywa,
Odważny, nie spuszczać na sak, nurkiem pływa.
Trudno kto ma i Bogu oraz i światu żyć,
Trudno przeciwnym sobie dwoma panom służyć.
Nie możesz być gorącym, bądźże zimnym raczy;
Wszak wiesz, czym grozi i co letniemu Bóg znaczy.
Masz li złym katolikiem być i leda jakim,
Lepiej już poganinem, lepiej być nijakiem.
Usty Boga wyznawać, sercem go zapierać
Szyderstwo: dziecku jabłko dać, złoto odbierać.

Kto na obie kolana — mówi pismo — chromie,
Poczółgawszy do czasu, dalej szyję łomie.

Groch na ścianę.

Nie groch, ale każda rzecz z daleka, czy z bliska
Leci z ściany na ziemię, choć ją często ciska;
Dopiero się jej trzyma, przybije li ćwiekiem.
Coś bywa podobnego z nieposłusznym czelkiem:
Wołasz nań, prosisz, abo grozisz na przemiany,
Tak się go wszystko imię, jako i groch ściany.
Lepiej złego, choć rzadko, kańczukiem zacinać,
Niż bez przestanku wołać, niż go upominać.
Ciebie gęba wołając, jego najmniej uszy
Nie bolą. Niechże mu raz kańczuk skóry ruszy,
Poprawi się, drugiego nie czekając — tuszę.
Cały dzień moczy brudną kucharka łoktuszę:
Trzyma brud, choćby mokła i dłużej w jezierce;
Puścić, gdy jej na ławce kijanką dopierze.
Chyba że wolisz gębą cały dzień bałuszyć,
Cały dzień się kłopotać, niż raz ręką ruszyć.

Kto pragnie na cudze dobro, swego nie pożyje.

Radby, ale nie widzi nic po swoich plecach,
Domator urzędowi; więc że nic na piecu
Nie wyleży, do dworu zajechawszy, słucho:
Kto umrze, już pańskiego zadał bliższym ucho,
Ostatek trzyma. Ale gdy nikt nie umiera,
Rok minie, więcej straci, niż ze wsi nazbiera.
Choć też kto umrze, ale wielkie by nań meszty;
Że mu przyszło na koniec do ostatniej reszty.

Wszystko, od wsi począwszy, co do dworu sprawiel,
Jedno podarł, pobrukał, a drugie zastawiel.
Aż choroba, aż po niej śmierć z desperacyej.
Tak ci zbył swego, pragnąc po kiem sukcesyjej.

Ira tardissime omnium senescit.

Krótko dobre, złe stokroć pamięta się dłużej;
Dobre na ledzie, złe człek na marmorze druży,
Co było miłe, prędko wychodzi z pamięci,
Długo się złe pamięta, aż do śmierci smęci.
Żeby przykład dobroci Bóg w sobie pokazał,
Gniewać się do zachodu słońca nam zakazał;
A my przykładem dyabła, póki nam zegary
Życia nie wyńdą, z gniewem idziemy na mary.
Odpuszczamyć, kiedy już zachodzą nam zarze,
Lecz nie z serca. I gdyby wrócić na zegarze,
Roku abo drugiego gotowiśmy ciału
Pozwolić, i znowu się wrócić do zakału.
Póki Kain Ablowi na gardle nie siędzie,
Póty gniewu, z rodziców mamy to, nie zbędzie.

Jeśliś sęp, czekaj ścierwu.

Nie odważą na czleka żywego się sępi,
Aż umrze. Nie jedenże dziś zbierając skępi,
Wabiąc na swe łakomszych sukcesorów zdrowie,
Niż sępi, na jakich to łacińskie przysłowie:
Bo nie czekając trupa z pomienionym sępem,
Jeszcze dychającego opadną ostępem,
I nie tylko z pieniędzy skrzynie i szufady,
Dusze z ciała wytrzęsą, czego są przykłady.

Straszniejsza, kiedy gorzej od bieszczednich zbojców.
Wnukowie dziadów, dzieci zabijają ojców.
Do czegoż, przebóg, ludzi — że z Wirgiliusza
Słów tych zażyję — żądza złota nie przymusza?

Kiedy przyjdiesz między wrony, kracz jako i ony.

Z wesołymi weselić, z płaczącymi płakać
Przypowieść uczy: wszedszy między wrony krakać.
Lecz cóż po przypowieści, gdzie czego Duch Boży
Przez świętych apostołów w piśmiech swych dołoży?
Choć ci Salamon, który nie da wprzód nikomu,
Życzy, niż do wesela, wnieść do płaczu domu;
Dopieroż kiedy się z niem sam Pan Jezus zgadza,
Gdy nam płacz, po kilkakroć śmiech ganiąc, przysładza?
Lecz rozumnie naukę jego trzeba dzielić,
Bo ciałem tylko płakać, duchem się weselić.
Dziś wszyscy wedle ciała, rzadki kto go słucha:
Z światem się cieszą, niemasz z czego wedle ducha.
Wszyscy kraczą z wronami, gdzieby łzy wylewać,
Patrzeć na świat i smutnie ze słowikiem śpiewać,
Płacząc czystości, w ludzkim utraconej ciele.
Przebóg! więcej tracimy od tej Filoméle:
Onej gwałtem — wierzyć li poetom — wydarta,
My sami przez gwałt leziem do świata, do czarta,
Który nam, wzięwszy czystość, język z nią urzyna,
Że niemo przed Bożego sąd staniemy Syna.

Na toż drugi raz.

Zajechawszy do cudzych z ojczyzny swej krajów,
Do tamtych się stosować trzeba obyczajów:

Jako zaś, powróciwszy do swoich szczęśliwie,
Niech będzie wół po rogach, koń znaczny po grzywie.
Niech się Polak po polsku, Włoch po włosku stroi:
Głupi, kto postponuje strój ojczyzny swej.
Jeszczeż tym ujdzie, choć drwią, nie chodząc po swojsku,
Co w polskim cudzoziemską modą służą wojsku.
Ale ów jałat czemu opasał się szpadą.
Idąc w pole z korzeniem byczym za gromadą?
Przejechałem Francuzy, Niemce, Angie, Włochy:
Botów nikt; wszyscy noszą trzewiki, pończochy.
Czemuż Polacy, od nich wróciwszy z nauki,
Odęte na czupryny wdziewają peruki?
Dośby przez rok prezenty, że przyjechał z Pragi,
Dalej, zruciwszy pludry, wdziać stare nadragi.
Bo tak drugi ojcowską szkatułkę wyzobie,
Że całe nie ma za co nowych kupić sobie.
Przybyłóż mu rozumu w głowie? Nie. O to mniej:
Doś gadać po niemiecku, póki nie zapomni.

Dziecię a pijany najprędzej prawdę powie.

Dziecię a człek pijany — twierdzi to przysłowie —
Najprędzej, nie umiając zmyślać, prawdę powie:
Bo nietylko na kogo, lecz sam na się baje;
Co dziecku głupstwo, jemu do gęby podaje
Wino, które, co trzeźwy człek w sercu krył poty.
Po pijanu wyrzuca za kościane płoty.
Choć często słowa, co je człowiek marnie trwoni,
Przez kark mieczem katowskim wracają się do niej.
Cęsto rozpacz ohydę z wstydem, z żalem, z szkodą
Nie nagrodzoną w sławie pocziwej nań wiodą.

I dzieci, i szaleni często prawdą grzeszą,
Lecz, że wiary nie mają, ludzi tylko śmieszają.
Mogą złego oskarżyć, dobrych przestrzedz w szkodzie,
Jako papuga, ale ustana w dowodzie.
Pijany choćby chciał słów wczorajszych zapierać,
Musi ich po niewoli po trzeźwu popierać.
Tać, żeby tajemnice trzymali, przyczyna:
Królom pić stary zakon zakazował wina.
Doś, że sam podrwiwszy człek pospolity wstyda,
Król całe państwo słowem nieostrożnem wyda.

Do tegoż drugi raz.

Co ma za wagę, złota ogniem i kominem;
W czleku skrytych afektów doświadczają winem.
Bo skoro te wynidą rozumowi z władze,
Łacno się da każdy z nich po swojej znać wadze.
Język serca tłumaczem: i cnoty i wady,
Jako towary kramarz wykłada z szuflady.
Nie winem, każdym trunkiem zdarzy li się upić,
Co chcesz, możesz u niego bez pieniędzy kupić.
Jest i rutka, i miętka, śpilki i rzemyki,
Wstęgi na głowę jedne, drugie na trzewiki.
Uczony stare dzieje i księgi wspomina,
Mężny językiem Turki i Tatary ścina,
Gach dziewczki i zaloty, pyszny a bogaty,
Choć nikt o to nie pyta, liczy swe intraty;
Chytry, gdzie odrwił kogo; łowiec o psich gonach,
Flis o Wiśle, gospodarz kawi o zagonach;
Zwajca daje przyczynę, każdą rzecz rozbiera,
Każdą uważa; żebrak każdej się napiera.

O czym by milczał trzeźwy, drwi, jako na mękach,
Ani mu się zawadzi siekiera na sękach.
Choć jedną rzecz powtarza, a co raz inaczy,
Że się w niem ta przypowieść staropolska wspaczy:
Nie tylko sam o sobie, ale bez nagany
O ludziach żyjących łąe z zazdrości pijany.

Koń mię nosi, król karmi.

Namawiano jednego: mogąc żyć przystojnie,
Żeby dał, kilkadziesiąt służąc ją lat, wojnie;
Żeby żonę dla wczasu i wygody pojął,
Gospodarstwa przykładem ojca się swego jał.
Krótko ten: Koń mię nosi, król mię żywi — rzecze —
Na cudzych nogach chodzę, chleb kto inszy piecze.
Czemuż odmiany, czemu polepszenia szuka,
Kiedy kto weześnie siedzi? Siłu się oszuka,
Co, z cudzych zsiadszy, na swych nogach w ziemi gmerze,
Robiąc na chleb. Słyszałem, że ktoś, na galerze
Przez trzydzieści lat słoń wiośłem tłukąc wodę,
Nie chciał z niej uwolniony wyniść na swobodę.
Wolał w tej kondycyjej jeść chleb u Neptuna,
Niż niepewnego szukać, jaki da fortuna.
Nie rzekąc tak dziś naszy żołnierze znużoni:
Niesą pieszo na plecach siodła, zbywszy koni.
Pół wojska głodem co rok w obozie umiera:
Tych dobija, tych orda, jako grzyby, zbiera.

Gęś między łabędzie.

Bocian między zórawie, gęś między łabędzie
Wmieszawszy, tamten trzeszczy nosem, a ta gędzie.

Nie trudno o belkota z srogim bólem uszu,
Gdzie mądrzy zasiadają i dziś na ratuszu.
Siłu widzimy gorzałką chrapliwych gąsiorów,
Zagłuszając łabędzich zgromadzenie zborów;
Przecież ich słuchać muszą i cały dzień ziewać,
Kiedy nie mogą pieśni zdrowej rady śpiewać.

Złoty pierścień u świnię w pysku.

Plugawa złoty pierścień świnię w pysku trzyma:
Choć piękna, jeśli głupia niewiasta, jeśli ma
Szpetne wady, które się nie stosują twarzy.
Żydzki to w przypowieściach napisali starzy,
Na młode przymawiając. Mym zdaniem do baby
Ta żydowska przypowieść lepiej przypadłaby,
Która, choć ma pieniądze, że już długoletna,
Podobniejsza do świnię: i śmierdzi, i szpetna.
Młodej, choć głupia, może poradzić rozumem.
Przynajmniej patrzeć uiło. Karm babę perfumem,
Kup w winie, magluj zmarski, postaremu dudki.
Mogło bywać coś z młodu; dziś, podsiawszy rutki,
Starzawszy się, zgłupiała i musi mieć wady,
Bo się trzymają wszystkich starych ludzi rady.

W złotej pochwie ołowiana szabla.

Złotem pochwa oprawna, świecą się rubiny;
Jeśli szabla z ołowiu, abo lana z cyny,
Nie dobywaj, dla Boga, i nie wadź się z nikiem.
Owszem ją mocnym przywiąż do pochew rzemykiem.
Chłop nadobny, dorodny i w tuszy i w cerze,
Rzekłbyś, przed Kupidynem i Marssem dank bierze,

A przytym, czego gładkość przy urodzie godna,
Czapka na głowie dobra, suknia w kroju modna;
Aż ani fantazyjej, ani zmysłu w głowie:
Gęby nie śmie otworzyć, prócz: Boże daj zdrowie;
Abo jeśli wyjedzie [w] pole ze psy heco,
Rad ci by też i mówiel, ale sam nie wie co.
Kto chce, może bezpiecznie zagrać mu na gębie:
Równe serce żołędzi na wspaniałym dębie.
Słyszac, że urząd kupił, na cóż dziwy dyable?
Dosyć do ołowianej strojne pochwy szable.

Złota szabla w ołowianych pochwach.

Bywa też znowu rówien Wulkanowej szynie
W mizernym pałasz ciemcu i w podłej meszynie.
Rzekłbyś, że w Lemnie kuty, tak bystry, tak stalny,
Że paszuje, że przed niem nic nie umie chwalny.
W każdym, ale szlachecki stan tu kładę wprzody,
Obaczysz, co ni miny, ni mają urody:
Obojga in natura, której nikt poprawić
Nie może, że obojga niemasz czym nadstawić,
Fortuna umknie, choć nań zmówiły się obie.
Co Bóg dał w głowie, w sercu — w ręku nie wyskrobie.
Ze wszystkimi się gotów, choć od nich i laty
Mniejszy będzie, tym trojgiem potrzec personaty.
Nie natury człowieka, nie fortuny dary
Człkiem czynią: cielesne tylko to przywary.
Leda błazna w to stroją, jako na puery;
Cnota, wspaniała umysł czyni kawalery,
Wzgarda ciała i świata, której delikaci
Natury i fortuny, piękni i bogaci

Mieć nie mogą, choć widzą, jaka ludzka biera:
Że, co dały, każda z nich nazad swe odbiera.
Leda padnie trefunek, nie czekając śmierci,
Aż i ten i ów z swojej wyleni się sierci.
Piękny będzie straszycłem, fortunat w pół nagi,
Psy drażniac, włoczy po wsiach na grzbiecie biesagi.
Pieniędzy i urody nie ganię, broń Boże;
Lecz krom tego przy enocie człek grzecznym być może.
Wielki Saul, mały był Dawid. Uważ obu
Dziela: z jaką który z nich sławą szedł do grobu.
Gładkością Parys, opak Ulisses się wslawił;
Patrzyż, jaką który z nich pamiątkę zostawił.
Bogaty był Perseus, Emilius chudy,
Wždy go wiedzie w tryumfie. Znak świeckiej obłudy.
Ale na cóż się przyda wyliczac te pary,
Czego dziś nowy, czego pełen świat był stary?
Jednego Masynissy przepomnieć nie mogą:
Wszystko, co człek mieć może, straciwszy na nogę,
Dusza tyko, nadzieja druga się oparła
Nie na ziemi, lecz w wodzie; i ta sięga garła.
A potym w młodym wieku przez ognie, przez miecze,
Siadszy na tron, królewską purpurę oblecze.
W dziewięćdziesiąt lat, rzadka na świecie nowina,
Tak był czerstwty i tak był zdrowy, spłodziel syna.
Próżno się oń fortuna i natura kusi,
Bo czego nie mógł na nich wyprosić, wymusi.

Wóz wołu ciągnie.

Wół wóz naładowany ciągnie w górę z dołu,
Ale to opak, jeśli z góry: wóz w dół wołu.

Trafia się, kiedy forze to bydłę nie zdole,
Że i wół i wóz leży połomany w dole.
Mąż wołem, żona wozem. Nie równa li waga,
Że fora swoją sprzężą w tym jarzmie przemaga.
Tam naprzód rząd domowy, po niem wszystko snadnie:
I mąż, i żona, oraz i wszystko upadnie.
Abo kędy syn ojcem rządzi, matką cora,
Słudzy panem, już opak tamta chodzi fora.
Cnota forą do nieba, którą nie obciąży
Swej, choćby wszystkie zabrał chrześcijanin, sprzęży.
Jeden grzech największą cnotę przeladuje forę:
Choćby pod wierchem była, zruci ją pod gorę,
Gdzie i wóz, i woźnica z towarem pospołu
Przepadł, bo się na wieki nie dobędzie z dołu.

Olej w migdałowej polewce.

Piękna, domu dobrego i posażna dziewczka —
Migdałowa z konopnem olejem polewka,
Jeśli jej wadzi: ale. Syp cukry, syp ryże,
Niech czuby stawia, niechaj po głowie strzmi bryże,
Niech do kościoła chodzi na każdy dzień w kolej,
Postaremu w polewce czuć konopny olej.
Taka jego natura: gdy co niem zatłuści,
Rychlej się garnek stłucze, nim z siebie smród puści.
Nigdy nie wywietrzeje, czym raz ludzkie uszy,
Choć się też myślą czasem, zła sława napuszy.
Przeto trzeba, żeby się podobieństwa strzegły
Tak panny, jako wdowy, bo jej te podległy.
Z komora ludzie chrząszcza, z chrząszcza czynią wróbla,
Z wróbla wronę; trudno ich gębie przybrać skobla,

Zwłaszcza w stanie szlacheckim na wsi: czy niewiasta,
Czy dziewczka, byle była do żuru omasta.

Na toż.

Rozum jest, nauka jest, kto człeka uważa;
Wymowa, jako ma być; mała rzecz odraża:
Tak mu serce łakomstwo nieszczęśliwe przejmie,
Że wszędy zysku szuka, czego się podejmie.
Idzie li do obozu, lubo radzi doma,
W pierwszym u niego względzie prywata łakoma.
Poślą go na trybunał, ma znać z kinsi sprawę;
Poślą na sejm, ba jeszcze wyprosi na strawę,
Żeby sobie samemu co przyniósł, nie braci.
Był w wojsku, do śmierci mu skarb się nie wypłaci.
Anoż jego nauka, rozum i wymowa
Przy łakomstwie — z olejem jucha migdałowa.
Aleć to wszystko, co się o łakomstwie pisze,
O każdym się grzechu rzec może: toż o pysze,
Pijaństwie i obłudzie, która w żółé kanary
Obraca, przyrodzone psując w ludziach dary.
I pychę i obłudę, gdzie łakomstwo lęże,
Przydawszy zazdrość, dyabeł w jedną sforę sprzęże.

Co było ciężko począć, nie chce się pokinać.

Więc po barszczu kapłona zjadzły i kielbasę,
Tokajskiem winem głowy zagrzejemy w krasę.
Proszę, która z sąsiadą gościła panienki,
Wiedząc, że w tym ćwiczona, że miała głos cienki,
Żeby nam zaśpiewała, oraz piję do niej.
Ale ta nie, tylko się wypiwszy ukloni.

Proszę znowu, oddawszy drugi jej kieliszek.
Powie, że dla śpiewania nie była u mniszek.
Nie przestanę ja prosić, rozkazywać pani:
Pije tylko chudziątko, śpiewać ani ani.
Dopiero ją krząkać, spluwać, stroić fochy,
Skoro kupić jedwabne obiecuję pończochy.
I pocznie o człowieka grzesznego upadku.
Już — rzekę — adwent minął, mięsopust w ostatku,
Post za pasem. Gdyby co o Maćku z Dorotą,
Co się dziś w mojej karczynie przy gorzałce gniotą.
Dopieroż moja panna gardziołek rozpasze:
Czego dotąd i karczmy nie słycały nasze,
Co jej ślina przyniesie o swej ciotce z swakiem,
Jako ją ten zaciął w tańcu pasternakiem,
Jako gząc się za piecem Magorzata z Frykiem
Cztery zęby trzonowe wybiła mu cykiem,
Aż naostatek z Prychną zaśpiewa nam Bienia.
Już — rzekę — mościa panno, dosyć tego pienia;
Dość łaski; czas by sobie, czas gardłu odpocząć.
Aleć jej trudniej przestać, niżli było począć,
Tak barzo rozkomosi, tak barzo rozrucha,
Że ani perswazyjej mojej, ani słuca
Swej rozka[za]nia paniej. Nie przestanie kawieć,
Aż do pończoch obiecuję sznurówkę jej sprawić.
Bieś dla jednej roboty dwakroć widział tracić:
Drogo początek, jeszcze drożej koniec płacić.

Nauka ucieczką ubóstwa.

Jaki taki urzędzik, niżli służba prosta,
Lepszy, niż szlachcic z dębu, olszowy starosta.

Kto ma w ręku rzemiosło, abo w głowie olej,
Choć fortuna z ojczystej wyżenie go rolęj,
Czego się i monarchom zarzekać nie trzeba,
Może nie żebrać, kędy obróci się, chleba.
Spadszy z sycylijskiego Dyonizy tronu,
Nie mając czym innym żyć na świecie do skonu,
Jął się szkoły w Koryncie, kędy dzieci uczy,
Kędy ani głód, ani nędza mu dokuczy.
Skoro się z astronomów Nero odpowiedzi
Dopyta, że na Rzymskim państwie nie osiedzi,
Że go ruszy fortuna wprzód, niżli się starze,
Długo myśliwszy, na czym? jął grać na cytarze:
Miła — rzeksz — bogatem, ubogim potrzebna
Muzyka; na wygodzie i koszula zgrzebna,
Kogo odrą ze lnianej, kogo wypchną z krzesła,
I na dudach, inszego nie znając rzemiosła.
Więc kiedy swą umierał ręką, bojąc kata:
O, jak dobry muzykant — rzecze — zchodzi z świata!
Lecz że łacniej, niż sceptrum, cytrę w rękę trzymać
Nie umiałeś, rżni gardło, nim cię przydą imać.
Do berła Perseus król macedoński syna
Zrodził, nie do kowadła, młotu i komina.
Wždy mu przyszło do tego. Czemuż? bo niewola
Nauczy ciosać wedle przypowieści koła.
O wszelakiej nauce ma się to rozumieć,
Że każdemu lepiej co, niżli nic nie umieć.
Często ludzi fortuna lekkomyślna zdradza,
Poderwawszy ten stołek, na którym ich sadza;
Zepchnąwszy ich z okrętu, napije się wody,
Kto nie wiąże do niego deski od przygody.
Brzytwy się chwytac musi oślepi, choć postrzeże,

Że po staremu tonie, ale wprzód porzeże.
Tonie ciałem do czasu, nikt w niem nie dziedziczy:
Kto się rodzi, umiera. Duszę wprzód skaliczy,
Jeśli kradnie, wydziera, oszukuje ludzi,
Jeśli się wszeteczeństwem niewiasta paskudzi,
Chcąc ten doczesny żywot zachować, choćby jej
Lepiej tonąc śród morza z kamieniem u szyjej.
Najdują się i księża, a zwłaszcza plebani,
Którzy ani rzemiosła w rękę miawszy, ani
W głowie nauki, ani w sercu enoty, przecie
Żywią się odpuszczaniem grzechów na tym świecie.
Żłem rzekł: żywią się; żyją tak pańsko, tak szumno,
Pełne złota szkatuły, pełne zboża gumno.
Stąd lutrom do takiego przyszło bezceństwa,
Rzemiosłem zowiąc naszych księży nabożeństwa.
Kiedy rękami więcej, ciałem je bez ducha,
I których nie rozumie, słowy, choć człek słucha,
Odprawują. Samy go tylko znaczą krzyże.
Patrzeć drugi na krawca, a nie wie, co strzyże.
Nie w słowach nabożeństwo, dopieroż nie w jestach
Zawisło. Bredzą lutrzy na swoich suggiestach.
Gdzież krzest? gdzież komunია przy inszym obrzędzie
Bez ręki, które Kościół postanowił, będzie?
Krzyże ich to jednak z żydy kołą w oczy:
Do razu kucharz kijem psu kuchnią ostroczy.
Że swoje w przeznaczeniu Bożym wiarę kładą,
Wielką im w niej krzyż Syna Bożego zawadą.

Psia pomsta.

Gryzie kamień, nie mogąc pies człeka, kiedy sie
Rozje. Siłu narowy ma ludzi kondysie.

Nad kiem pomścić nie mogą, nie czując się w sile,
Przez paskudne na sławie głodzą go paskwile.
Prawda, że gorzej, niż pies, sto razy dokuczy,
Bo człeku dawszy pokój, nad kamieniem mrczy.
Lecz tym psi, tym wydają podły humor w sobie,
Kiedy się i umarli nie wysiedzą w grobie.
Że z to serca nie czuli upomnieć się żywym
Krzywdy, choć domniemanej, wołą niecnotliwym
Projektem zimny kamień nad umarłym ciałem
Gryźć, czego pies nie czyni, będzie li wspaniałem.
Często pies, gryząc jeden, czuje drugi w boku;
I taki nie dobrego niech się ma na oku.

Toż inaczej.

Jadąc drogą, król Pirrus widzi psa z daleka,
A on ziemią chce przygrześć zabitego człeka.
Jednak, że był zgłodniały, trzy dni i trzy noce
Nie jadszy, nie miał siły, nie miał tyła mocy.
Tedy kazawszy trupa pogrześć krom zawodu,
Dawszy jeść, każe psa wziąć, bo nie mógł iść z głodu.
W kilka dni, siedząc w krześle, popisował w polu
Pieszy pułk swych żołnierców. Pies leżał przy krolu.
Więc kiedy go, w szeregu idąc, każdy mija,
Mileczy pies; aż skoro się zabójca nawija,
Pod tąż służąc chorągwią, jak na oko zwierza
Pognał, tak na owego rzucił się żołnierza.
To go ciągnie za połę, to nań szczeka silnie,
A co raz na Pirrusa ogląda się pilnie.
Wielkie stąd podobieństwo zabójstwa nań padło.
Dopieroż gdy na twarzy i samemu zbladło,

Zmiesza się wprzód, a potem i do grzechu przyzna,
Że to jego, powie z kim, była robocizna.
Ani też pies odstąpił, dokąd nad umarłym
Wszyscy trzej nie przyplacą swojej zbrodni garłem.
Tegoż psa historycy z drugiej rzeczy chwalą:
Że kiedy zmarłe ciało Pirrusowe palą
Pogańskim obyczajem, zamrużywszy oczy,
W ogień za niem odważnie, gdzie i zgorzał, skoczy.

Monarchom i we trzy miesiące dzieci się rodzą.

We trzech miesiącach — twierdzi łacińskie przysłowie —
Cześni wielmożnym panom rodzą się synowie.
W dziewięciu, w siedmiu czasem ludziom pospolitem.
Wielą rzeczą fortuna różni, że też i tem,
Bogatszych od ubogich: sama w ich rodzaju
Musi swego natura ustąpić zwyczajowi.
Augustus rzymski cesarz wprzód, niż się z nią żeni,
Córkę pierwszej żony swej Liwią brzemieni.
Uszło to pasierbicy na on czas z ojczymem,
Bo Rzym nad światem, August panował nad Rzymem,
Czego dzisiaj w najbrzydszym nie słyhać burdelu;
We trzy miesiące syna rodzi po weselu.
Imię mu Tyberyusz, i siedział na tronie
Lat dwadzieścia z okładem po ojcowskim zgonie.
Stąd ludziom tamtych wieków przypowieść się uda,
Aleć nam nie trzeba dziś Rzymu na te cuda:
Już terazniejszych czasów spowszedniały między
Ludźmi, zwłaszcza wiejskimi: choć w biedzie, choć
Nie w miesiące, lecz we trzy, wyżywszy wesele, [w nędzy.
Zostanie dziewczka matką, chłop ojcem niedziele.

Jeszcze chleba z swojego brogu nie napiękli,
Jakoż by się radzi tej fortuny odrzekli!
Połowica by złego, gdyby własne swoje,
Ale cudze bękarty chować źle we dwoje.

Gorączka, siarka.

Iskrą, siarką, gorączką, piorunem i osą
Pospolicie tych ludzi nazywają, co są
Do gniewu i kolery skorzy, jakbyś minę
Zapalił, choć oploną prędzej, niż w godzinę.
Za kutasz stoi, kiedy, wyrzuciwszy mury,
Otworzy do sekretów swego serca dziury;
Kiedy tego, co wściekszy, za kwadrans pokawi,
Choćby żył i najdłużej, już nie poprawi.
Tak straszliwe pioruny w tej się rodzą kuźni,
Że i Boga, który go zdmuchnąć może, bluźni,
Szczekając z oszalałym Niemcem owym, który
Rzeźnikiem wyzdychałej śmiał go zwać obory.
I żarł też sam, we psią się obróciwszy minę
Okrom głowy, zgłodniałą paszczką marszynę;
Z Włochem, co na kucharza rozjadłszy o pawia,
O rajskie jabłko z człkiem sąd Bogu wymawia,
A cóż nie ma bliźniego? nie może li ręką,
Szarpie ostrą bystrego języka osęką.
Biorąc mu dobrą sławę, rzuca z gęby race.
Sam się kąsa i często zdycha w kordyace.
Sam się oraz na ciele zabija i duszy,
Kiedy go impet gniewu oslepi, ogłuszy.
Z głowy rozum wyżenie, że krom twarzy więcej
Nie zostanie przy strasznej dzikości zwierzęcej.

I twarz do psiej, kiedy się na łańcuchu miece,
Kiedy warczy, podobna: oczy, jako świece,
Drży wargę pogryziona, palce łomie w dłoni,
Zębem zgrzyta, włos targa, drze wybledłe skroni.
Niemasz nie w niem człeczego; jak przede lwem z boru
Żona, dzieci, słudzy precz uciekli ze dworu.
Nie nawijaj się: trafisz na dobrą myśl. gościu!
Woliż słuchać psich gonów za zającem w chrościeu.

Stulticia est invitos venatum ducere canes.

Widząc, kiedy parobków w dyby i w kajdany
Kuli, na wojnę wiodąc, nasze kapitany
Upewniam, że, jako psi, z pola nie ochoczy
Ucieką, nie zajźrawszy Turezynowi w oczy.
Bo jeśli psu gończemu nie do myśli knieja,
Abo szczekać na śmieciach woli na złodzieja,
Abo wzięwszy za ścianą kość głodać w barłogu,
Tak i parobek wiejski snopki młócić z brogu,
Abo skiby rachować wyorane w roli,
Niż rany w okazałej odniesione woli.
Cóż, wspomniawszy gorzałkę i karczemną wiechę,
I onę co niedzielną z dziewczkami uciechę?
Przyrodzona ochota, potym dobra wola
Żołnierzom do wojny, psom należy do pola.
Musem nie, bo na konie może biczem trzaskać;
Żołnierzom płacić trzeba, psy karmić i głaskać.
Chłop robi pod korbaczem, i żak nie wesoły
Musi czytać pod różgą: temu trudno z szkoły,
Chłopu uciec z pańskiego. Póki chart na smyczy,
Idzie. choć się ociąga, z łowcem do wytyczy.

Tak żołdat, zwłaszcza jeśli nie dawno zaciężny,
Jeśli nie płatny, abo z natury nie mężny,
Póki dybków, póty go. Zemknie charta łowiec,
Aż chart miasto zająca do bydła, do owiec
I z obrozą uciecze. Żołdat w świeżej barwie
I drugiego, niewolą nagradzając, zarwie.
Miejeie, panie rotmistrzu, ode mnie to żartem:
Że nie będzie, choćby chciał, nigdy kondyś chartem,
Ani wyżłem. Nie nie da skóra cynkowata.
Nie płaszcz, lecz serce czyni z parobka żołdata.
I na tych by nie trzeba kajdan, dybków, pęta,
Kiedyby głodem co rok nie marli chudzięta.
Szabli się złoży, kula często się omela,
Ręce, nogi ucina głód, bo w sam brzuch strzela.
Stać nie mogąc, ma się bić nędzą, biedą zbity?
Nie wyrozumie nigdy łaknącemu syty.
Jak sobie chce, niech zdycha, niech zdrów i ucieka,
Kiedy w skarbie jego żołd kapitana czeka.

Miła jest różność w rzeczach.

Cóż nad to jawniejszego, że jako w potrawach,
Tak we wszystkich odmiany ludzie swych zabawach
Szukają, choć ledaco, tylko że nowina.
Nie co miesiąc, nie co dzień, ale co godzina,
Ba i częściej radziby we wszystkim odmianie.
Stąd ono kilkorakie stołów zastawianie:
Choć już drugi dosięgnie palcem w gardle żeru,
Czeka konfitur, czeka chińskiego imbieru
Dla zawarcia żołądka; a zawrzed go kata,
Kiedy przez dzień i przez noc nie stanie vivata.

Jakie u równej szlachty, gdzie za ojców kasze
Stawiano, piramidy widzą oczy nasze!
Nie do kwadry odmiana: miasto kapust, grochów,
Cukry stawiać na końcu obiadu od Włochów.
Wskórają też tak, jako Zabłocki na mydle.
Wynicowawszy modę staropolską w zydle,
Rządki pół wieku swego dopędzi pradziada.
Jedną zwierz, jedną bydło i ptak strawę jada:
Kaźde też z nich dożyje naznaczonej pory,
Nie stękają, nie ważą z ludźmi na doktory.
Przy ciężkiej pracy, jedząc pokrzywy i osty,
Jako pan od rozkoszy, chłop umiera prosty.
Bankietem by u niego było i przysmakiem
Choć raz w rok, co u pana na każdy dzień brakiem.
Pódmżyż do konwersacyj, gier, tańców, rozkoszy,
Którymi zasmrodzili Francuzi i Włoszy
Polskę naszą: jakie tam kawy! jakie brydnie!
I żywot poczeiwemu, patrząc na to, brzydnie,
Wspomniawszy staropolską przystojność i statek.
Więc synowie od ojców, córki się od matek
Uczą, że [za] lat kilka, gdyby z grobu wstali,
Dziadowieby i baby wnuków nie poznali.
Cóż mówią mody w strojach, braki w materyach?
I tych, i krawców szukać gdzie po Wenecyach.
Tak wszystkie rzeczy stare zginęły do szczytu:
Nie dostanie świętego kupić testamentu,
Nawet i politecznej starszkołnej księgi.
Do takiej dla odmiany częstej niedołęgi
Przyszedł wiek nasz, choć tylko, co od starych słyszą,
Inszymi słowy nowi mędralkowie piszą.
Chociaż dla szezirej chluby w cudze się pstrząpiora,

Chwali ich, kto pierwszego nie czytał autora.
Rozumie, że nowego co pisał, aż ono
Taż, co była, kapusta; tylko przewarzone,
Wody przyławszy, smaku ujawszy jej raczy.
Kto prawdzie przyjacielem, każdy mi wybaczy.
Tak wiele złego świata dzieje się nowiną,
A tym czasem daleko lepsze rzeczy miną.
Gorszych się chwytą, żeby smak tylko odmienić,
Stąd i prawdzie, i enocie przychodzi szeptenie.
Zgodzi się koniec świata w złości z swym początkiem:
Kaźdy się stary i on stawa niemowiętkiem,
Prócz że tamten do zimnej, bo też dREW tak wiele
Nie miał, ten do siarczystej odesła kąpiele.
Wszak też odmianę lubi: zimna od ukropu
Daleko różna woda, piekło od potopu.
Aleć to kaznodziejom, żeby kto satyrem
Nie nazwał mię, należy, co afektem szczyrem
Piszę ku mej ojczyźnie nie bez serca żalu,
Gdyżby na to leż trzeba, nie rosy z Kasztalu.

Alternata wszystkich rzeczy.

Na koło świat i wszystko z światem się obraca,
Chcć, co minęło bywszy, znowu nazad wraca:
Koleją rok za starem następuje nowy,
Dzień noey, noe zaś puszcza eug światłości dniowej;
Śnieg trawie, zima latu. Słychałem od Greka,
Że mikrokosmos, małym światem zowie czleka.
Jakoż do podobieństwa jedna rzecz przeszkadza:
Wielki się co rok, mały nigdy nie odmładza.
Żaden mu słońcem, żaden maj wiatrem nie spłoszy
Białej, kiedy raz padnie na głowę, poroszy.

Znowu porasta, znowu trawą świat zieleni;
Człek nigdy, bo i z barwy, i z włosu się leni.
Aleć mniejsza o włosy, bo te jedną razą,
Choćby najkosmatszy był, w grobie mu oblazą.
Gorsza, czym się nie tylko z wielkim światem różni,
Lecz ze wszelkim stworzeniem, że skoro wypróżni
Serce z cnoty, choć młodo, a wszystkich się nas ta
Trzyma wada, miasto cnót grzechami porasta.
Choć wiemy, że do nieba w tak plugawej sierci
Nikogo z ziemi z grobu nie puszcza po śmierci.
Anielskim trzeba obrócić, kto tam chce wnieść, puchem:
Nie ciałem, bo tam miejsca nie ma, ale duchem.
W czymże człecze do świata wždy przypodobanie?
W kształcie naprzód, a potym w codziennej odmianie.
Okrągły świat, okrągły i człek. Kto nie wierzy,
Niech na krzyż ręce, nogi od pępka go zmierzy.
Cztery części świat każdą z swego ma żywiołu;
Też cztery w człeku z światem widzimy pospółu:
Głowa sferą niebieską, gdzie rozumu słońce¹⁾
Wszystkie światła mniejszego ma oświecać końce,
Kędy, jako planety, trzy wewnętrzne zmysły,
Dowcip i fantazya, i pamięć zawisły.
Tam się ogień nauki doskonały leże,
Który, skrażywszy cały świat, nieba dosięże.
W sercu²⁾ wiatry afektów: jeśli je rozrucha
Impet zmysłów cielesnych, w swą każdy z nich dmucha.
Wzrokiem, lub słuchem, smakiem, dotknięciem lub wonią
Polubią co, świat burzą, jeśli nie dogonią.

¹⁾ Na marginesie: Ogień.

²⁾ Na marginesie: Powietrze.

Ziemią¹⁾ brzuch: wszystko bowiem, co się w ziemi rodzi,
Jako z niej w brzuch, tak nazad z brzucha do niej
[wchodzi;
Toż w brzuch znowu: na gnoju trawa się i zboże
Rodzi, bez których żadne ciało żyć nie może.
Nogi do wody²⁾ słusznie się przypodobywa,
Bo człek na nogach chodzi, świat na wodzie pływa.
Aleć i to racją może być, że się w nie
Wszystkie z ciała ściekają wilgotności pewnie:
Bo naprzód puchną, naprzód wodą nogi brzmieją
Tym, którzy w się, niż trzeba, więcej trunków leją.
To kształt. A odmienność w czym, którą człek ma
Jednym się obracając oboje kieratem, [z światem?
Co temu śnieg, deszcz, grom, grad, wichry, mrozy, chmury,
Bo dziś będzie pogodny, nazajutrz ponury,
To człeku, śmiech, płacz, radość, żal, zysk, abo szkoda,
Zdrowie abo choroba, i cokolwiek poda
Niepewnej niestateczna godzina godzinie,
Wszystkim gra, co się tycze ciała, na farynie.
Jak pod młotem bojaźni siedząc i nadzieje,
Więcej płacze, nigdy się szczyrze nie rozśmieje,
Chyba zapomni mola, co go w sercu tai,
Jeżeli grzech przystąpi do trosk świeckich zgrai.
Tym wszystkie podmiesięczne rzeczy chodzą trybem.
Kto nadzieją nad miesiąc od ziemi się szybem
Wybije, a nadzieja nie będzie bez cnoty,
Spi bezpiecznie, żadne go nie budzą obroty:
Niech się inszy za światem mieszają i ciałem,
Świat i ciało umysłem przeniesie wspaniałem.

¹⁾ Na marginesie: Ziemia.

²⁾ Na marginesie: Woda.

Tym szczęśliwszy, niż miesiąc: choć nań padnie
[w zdrowiu]
Odmiana, nie zua w pełni wiotchu, nie zna nowiu.
Nigdy mu słonecznego światła nie zasłoni
Ziemia: tak z niej wynidzie, jako deptał po niej.

Czekajmy chromego.

Wierzyć mu, ktokolwiek złą nowinę przyniesie,
Bo nigdy, abo rzadko barzo bywa, że się
Odmieni. Dobra — często. Pyta kto przyczyny?
Bo chcąc najpierwszym posłem dobrej być nowiny,
Nie doczekawszy końca, który się nie zgadza
Często z początkiem, z posła prorok ludzi zdradza.
Zła zaś, że nie tak checiwa, że nie tak łakoma,
Czekają mądrzy, aż z nią chromy stanie doma.
Chcąc pierwszym posłem dobrej nowiny być, pieszy
Żołnierz jeden tak nagle dwadzieścia mil śpieszy
Nie spełna dzień do Aten, że ci, którzy koniem,
W kilka godzin z wygraną przyjechali po niem.
Aleć ledwie stanąwszy w ratuszowym progu,
Rzekł: Wygraliśmy! duszę swema oddał Bogu.
Omylił się nieborak: dokazał ci sztuki;
Cóż, gdy mu się obróca w pogrzeb munsztułuki.

Czas płaci, czas traci.

Do targów i jarmarków miejskich należy ta
Przypowieść, gdzie sprzedają towary i żyta.
I już w tym wywężeni gospodarze starzy,
Wiedzą, że na przednówku najlepiej się darzy.
Nie tylko do przedaży na towar, na zboże:
Do każdej się zejść rzeczy ta przypowieść może.

Miastem świat, targiem żywot każdego jest człeka.
Kupcami Bóg, czart, ludzie. Każdy swego czeka.
Bóg enotę i pobożność czystym płaci złotem
Na ziemi, a po śmierci wiecznym żywotem.
Dyabeł szkłem grzech na ziemi, a po ześciu z świata
Wiecznym ogniem, gdy z kupca obróci się w kata.
Jest zawsze czas do grzechu, jest zawsze do enoty:
Ludzie kupcami na te obadwa żywoty.
Cóż, choć Bóg ustawicznie karze, prosi, grozi,
Ledwie setny do tego miasta enotę wozi.
Bogdaj się nie wróciły znowu lata ony,
Gdzie jeden, coby ją miał, nie był znaleziony.
Bezbożne, choć staniały u czarta, uczynki,
Pełne ulice, pełne w tym ich mieście rynki.
Wolą piekło, niż niebo. O, sroga ślepoto!
Wolą zużel, wolą szkło, niż wyborne złoto.
Aleć i do potocznych przyda się to rzeczy:
Czas płaci, czas i traci w mowie, w sprawie człeczy,
Siła pożytku słowo wyrzeczone w czesie,
Siła nie wedle czasu szkody z sobą niesie.
Także omieszka li kto dziś co dobrze zrobić,
Trudno się okazyje doprosić i dobić:
Nazajutrz, ba w godzinę tak daleko skoczy;
Dla tego po niej trzeba mieć z daleka oczy,
Mianowicie na wojnie, i chwytąć ją z czoła,
Kędy jest ją za co jąć, z tyłu bowiem goła.
Wczas podczas interregnum, jeśli król umiera,
Czuły około siebie szlachcie kreski zbiera,
Bo choćby kandydatów dziesięć było w kupie,
Wszystkich oszuka, wiedząc o pewnym pokupie.
Wziąwszy ją za kieliszek wina, albo taniej,

Zarobi sto i drugie, czasem więcej na niej.
Z gębą się drugi poseł tak na sejm wyprawia,
Jako z głową na jarmak żyd do Jarosławia.
Bo póki kontradykeyi ten mu nie osoli,
Komu na niej należy, ninacz nie pozwoli.
Cóż rzec, jeśli się jaka trafi dystrybuta?
Nadstawia grzanki, póki na różnie koguta.
Lecą księża ze mszami, gdzie się odpust zjawi,
Choć ich drugi, i sto lat żywszy, nie odprawi.
Na nieszczęśliwą duszę zaciągając długi,
Bierze za intencją gotowiznę drugi.
Bo czas płaci, czas traci, skoro po jarmarku,
Jakby też rumacya wyszła mu z folwarku.

Co miał ozdobić, oszpecił. Co miał ratować, popchnął.
Masz li dobrze uczynić, wedle czasu trzeba,
Bo się w kamień obraca twój kawałek chleba.
Kto cnoty, żadnej w sobie nie mając, wysławia,
Grzechy swe przez to ludziom na oczy wystawia.
Niewczesnie kogo chwając, nienawiść u ludzi
Czyni, albo źle chwając, jeszcze go paskudzi,
Jako niepewny malarz pięknego oszpeci
Rychlej złym malowaniem często, nim zaleci.
Kto stosuje z możniejszym ubogiego w enocie,
Pomstę nań ściąga i mieć życzy go w kłopotcie.
Jeśli inszą z gładkości przy żenie pochwalisz,
Wieczny gniew na nią, wieczną nieprzyjaźń obalisz.
Nie tylko białogłowy, ale kto uważa,
I rzemieślnik, i człek się uczony uraża
I na cię, i na tego, kturegoś tak mile
Wspominał, bo równego w swoim nie ma dzile.

I pieniędzy, co wielkiem dobrodziejstwem młodzi
Ludzie liczą, nie zawsze pożyczac się godzi.
Jakbyś cukru, abo dał dziecku nóż kończysty:
Tym oko wykłóć może, tamten mnoży glisty.
Najmniej nie uważają, że, skoro przebiorą,
Będą mieszkać z dziedziców we wsi swej komorą.
A gdyby tak łacono przyść nie mógł do pieniędzy,
Nie umierał na starość, robiąc na nie w nędzy.
Najlepsze dobrodziejstwo bez wszelkiej przysady,
Lecz rzadki, kto go wdzięcznie bierze, zdrowej rady.

Wóz naładowany.

Pelen karawan, raczej pelen wóz furmański
Odebrałem obietnic z twojej łaski pański.
Ale kiedy tak długo nie widać zgoła,
Musi być, że się pod niem połamały koła,
Abo konie ustały. A przypowieść uczy,
Że goła obietnica nikogo nie tuczy.
Więc że już starość moja daje śmierci znaki,
Nim umrę, każ to włożyć z tej fory na taki,
Abo nawrócić pierwej, nim do grobu zbliżę,
Bo czego się nie najem, tego nie naliżę.

Znam cię ziółko, żeś pokrzywka.

O kłamcy i nieszczyrem toż się przyjacielu
Rzec może, co ta mówi przypowieść o zielu.
Kto się raz, dwa pokrzywą sparzy, trzeci mija,
Abo rękę, siągając po nią, w co uwija.
Zawiódszy kilka razy na słowie, na radzie,
Chyba głupi, kto w takim człeku ufność kładzie.

Niech mu ufa, kto nie zna. Ty żyj samym sobą,
Ani się — radzę — więcej jego zawódź próbą.
W kogo zazdrość, w kogo się obłudą wkorzeni,
Chyba umrze, dopiero naturę odmieni.
Jako świerk szyszki, jako dąb rodzi żołędzie,
Tak pokrzywa pokrzywą; szalwią nie będzie.
Łgarz jeden licowany, szlachcic, żołnierz stary
To klątwa, to przysięgą swęj popierał wiary;
Ale gdy co raz jednę rzecz inaczej prawi,
W nikim tego, żeby mu chciał wierzyć, nie sprawi.
Zawsze przyda, abo co inaczej wykręci.
Najwięcej — rzekę — panie, łgarzom na pamięci
Należy; niech ci wierzy, kto nie zna; lecz we mnie
Wiary nie znajdziesz, ani, przysięgaj daremnie,
Żadnej korzyści inszej. Jako chce, niech klnie się
Łgarz: że choć prawdę powie, wiary nie odniesie.

Do tegoż drugi raz.

Tak dobrze się na Wiśle student jeden wprawił,
Że ją wierzchem lub nurkiem kilkakroć przepławił.
Miał ten zwyczaj, ale zły, że choć dobrze zdołał,
Drwiąc z ludzi, na największej głębiej gwałtu wołał.
I kiedy poń czym prędzej zajechano w łódce,
Gdzie indziej zanurzywszy, pokazał się wkrótce.
Ale kiedy częściej tę igraszkę powtarza,
To na wierzech, trudząc ludzi, to się na spód narza,
Trafiło się w pól Wisły na głębinie srogi,
Kiedy najlepiej pływać, kurez mu ściągnął nogi.
Woła rata na owych, co po brzegach siedzą,
Nie żartując. Aleć mu na to odpowiedzą:

Dość próby wiary naszej kwoli twej uciesze;
Igrajcie sami sobie, mój panie Wojciecze!
Niech ratuje, kto nie wie. A ów też tym czasem
Opiwszy wody, rybkom szedł na dno opasem.
Patrzą, gdzie się pokaże, lecz kiedy nie mogą
Doczekać, już niewczesną jadą poń załogą.
I to epitaphium na piasku mu drużą:
Do czasu wszystkie rzeczy, lecz i żarty służą.
Raz tylko, dwa najwięcej uchodzi ta sztuka:
Kto chce ludzi, na koniec sam siebie szuka.
Uda li się raz, dwa, trzy, nie doświadczej czwarti:
Upewniam, że w przestroję obróćą twe żarty.

We złym nabyciu nie dziedziczy czwarti.

Nie mogą dobrze wynieść rzeczy źle nabyte,
Czego nie przysłowie nas tylko pospolite.
Ale i doświadczenie oczywiste ćwiczy,
Że rzadko syn po ojcu w takiej wsi dziedziczy,
Dopieroż wnuk po dziadu, z lichwy, jeżeli jej
Z kauzydyki, z opieki lubo dostał czyjej.
Mniejsza o wieś, choć cudza: krzywda z niej potomstwo,
Gorzej, że wydziedziczy z nieba ich łakomstwo.
Jeśliż darmo do niego, chociaż z własnej prace,
Że nie rozdał ubogim, bogaty kołace,
Jakoż ten śmie do nieba pretendować prawo,
Kto niesprawiedliwością spanoszał plugawo?

Sam nie swój.

Skoro się Ateńczycy zwyciężcy poddadzą,
Proszą, żeby miasto Szaum pod ich mógł być władzą.

Samiście już nie swoi, już pod cudzym czynszem
Będąc — rzecze ów — chcecie rozkazywać inszem?
Sam sobą rządzić ani swym umiejąc domem,
Pragnie na kilkudziesiąt wsi być ekonomem.
Samymby się opiekąć, bo wszystko swe stera.
Trzeba, aż on synowców przez gwałt się napiera.
Podobniej dzieciom własnem ojcem, niżli czyjem,
Dotrzymać substancyej, panie, bywszy stryjem.
Sześcią koni chce wozić, a nie zdole parze;
A cóż pocznie na ludnej drugi pleban farze?
Sam się brzydkim, żyjąc w nich, grzechom nie odejmie,
A odczyt ich ludzi tak wiela podejmie.
Jabym życzył samemu wprzód spróbować siebie,
Czytając, co Faeton porobił na niebie,
Niżli tysiąca ludzi, gdzie już trzeba ćwika,
Brać lece; a dopieroż kiedy każdy bryka.
Nie już do styru ten, co wiosłem umie w łodzi.
I ksiądz na plebanią nie każdy się godzi,
Że mszą przeczytać może u ołtarza z księgi.
Nie dziw, gdy całe topią na Wiśle komięgi.
I ty bierz, panie sędzia, sobie to do uszu,
Podjąwszy się trudnych spraw sądzić na ratuszu,
Nie znając sam na sobie. Cóż za dekret będzie,
Gdzie cnoty pasz, i prawa nie umieją sędzie?

Nie sobieśmy się rodzili.

Nie jest swoim żaden człek. Szczera prawda, bo go
Bóg sobie naprzód stworzył, potym kupił drogo.
Nie słychałem zwyczaj, nie słychałem prawa,
Żeby swą garncearz płacił robotę, przedawa.

Bogu do tego przyszło, że swą własną glinę,
Co większa, już stłuczoną przez dyabelską winę,
Który do swej piekarnie wykrada ją z raj, u
Odkupuje, choć wedle prawa i zwyczaj, u
Ani morska złodzieja może bronić tonia,
I tam każdy z cudzego musi zsiadać konia.
Nie dyabel; sam człek winien: daremnie nań składa,
Sam się bowiem do niego od Boga wykrada
Do pomyj, do piekarnie; jego trzopem wolał,
Niżli być czaszą, w którą Bóg będzie wino lał.
Tu ciało kładzie, leje krew, gdy zań umiera,
Synowską weń. Czemuż się ten garnek wydziera
Od tego, co go sobie stworzy i odkupi,
Prosi go, żeby się z niem pojednał? Bo głupi.
Nie chce Bożym naczyniem, lecz wszetecznym cielskiem
I świeckim szkłem oblany, woli być dyabelskim.
Nie chce być swym, żeby żył, lecz cudzym być woli,
Choć go ten na wieczną śmierć do piekła osmoli.
Co świat poszkłnił, pójdzie precz: ciało w proch pokruszy
Doczesna śmierć. Maż sama zostanie na duszy.

Muzyka cicha, nauka skryta.

Przysięgłby komor, że ma przed trębaczem wiele,
Abo przed organami, brzęcząc w trawie, ćmiele.
Sami się tylko, z ludzi nie cieszą nikogo:
Zapłaciliby karczemny gądek dzisiaj drogo,
Żeby, co sobie, wszystkim podobał się tyle.
Lecz insza pomarańcza, insza coś kobyle.
Chwałą człeka z nauki, że się w szkołach ćwiczył.
Że czyta, ma ksiąg, których za dzień by nie zliczył;

Lecz kiedy nie nie mówi, nie pisze uczenie,
Może mądry czeladzi i swojej być żenie.
Twoje umienie, choćbyś wszystkie pojadł druki,
Brydnia, nie widzi li nikt w tobie twej nauki.
Sobie gędzie, sam wesół. Czyta, sam mądr sobie;
Ludziom nie, jakby też kto żywo leżał w grobie.
Jeszczeż fraszką muzyka, bo cnoty nie zdobi;
Talent grzebie, kto na nią nauką nie robi.
Znać pijanicę z trądu, znać obżercę z sadła,
Ale cóż się okroi komu z jego jadła?
Sobie je, sobie tyje, sobie dobrze czyni;
Nikomu — z odpuszczeniem rzekszysy — chyba świni.
Bogaczem zową skępcę, lecz się mylą na tem:
Trudno tego, kto nie ma co jeść, zwać bogatem.
Lecie suknie na grzbiecie, futra nie ma zimie,
Że musi przy dziurawym piecu płakać w dymie;
Za szyję z dachu kapie. Pełne, prawda, brogi,
Skrzynie jego bogate, ale sam ubogi.

Wilk zazionął.

Szlachcie, który podle mnie na sejmiku siadał,
Siła wczora przeciwko wojewodzie gadał,
Nie widząc go w kościele. Nazajutrz, jak makiem
Zasnął, skoro na sejmik przyjechał z orszakem.
Wszystko się — rzekę — dzieje na świecie inaczy:
Przed tym głos tracił, kogo wilk pierwej obaczy,
Niż on go. Dziś mój sąsiad, obaczywszy wilka,
Gadając siła o nim, tak nagle umilkła.
Szkoda było tak siła wczora mówić, panie,
Dziś mileżeć, wywołałszy z lasa niespodzianie.

Ze lwem dział.

Lew, lis i osieł trzeci wedle wspólnej zmowy,
Że się zdobyczą będą dzielić, poszli w łowy.
Skoro każdy, co dostał lub w polu, lub w lesie,
Na miejsce naznaczone i na czas przyniesie,
Rozkaże lew osłowi, nie chce li wziąć plagi,
Żeby zdobycz wedle swej podzielił uwagi.
Ale nie uważając prosty osieł, kto by
Godniejszy był, bez wszego względu na osoby,
Żeby żaden z nich krzywdy nie miał, na trzy kupy,
Na trzy jednakie części dzieli owe łupy.
Aż miasto obierania gniew się we lwie wzmaga:
Skoczywszy, zabił osła. Taką to uwaga?
Dziel ty, siostrze! za będziesz mędrsza — rzecze liszce.
Ta, przy jednej zajęcej zostawszy się kiszce,
Wszystkiego lwu ustąpi. Ten zarazem pyta:
Kto dał rozum? Odpowie: Osła śmierć zabita.
Wiem i dobrze uważam, jako orzeł ptaszem,
Że najjaśniejszym i ty jesteś królem naszym.
Uśmiechnąwszy, rzecze lew: Na drugi zarobek
Przydam skórkcę do kiszki i zajęczy bobek.
Ale ta. stopy liżąc z owego opału:
Bodaj ci — rzecze — w jamie z równymi do działu!
Niechaj się nikt cnotliwy, gdzie prawem potęga,
Mym przykładem z moźniejszym w kunszafcie nie
[zaprzęga.

Ex tripode.

Z trynogu, czy z tryfusu baba, czy z trypodu,
Skoro ją z dziory podwiał wieszczęć duch od spodu,

Nad którą gołym zadem śród kościoła siedzi,
Apolłowe dawała ludziom odpowiedzi;
O czym staropogańska baje nam fabuła.
Jaki Bóg, taki prorok, ołtarz i ampuła.
Mógłby i w naszej Polsce dziś kto znaleźć — kładę —
Taką, co echo z stolca wydaje, Tebadę.
A nieborak małżonek, ma li niewieściucha,
Co mu Febus rozkaże, i wacha i słucha,
Pierwszy licząc artykuł, żonę w swojej wierze,
I dane orakula, zwłaszcza po klisterze.

Z bratem na lwa, z szwagrem na zajęc.

Mogło to kiedyś bywać przed stworzeniem świata,
Że brat dla rodzonego duszę ważył brata.
Co dziś mówi przypowieść, z prawdą się mijając:
Bezpiecznie z bratem na lwa, z szwagrem idź na zajęc.
Ale skoro świat stanął, wszystko trybem inem:
Nie na lwa, nie na zajęc w pole szedł z Kainem
Snadź na przechadzkę Abel; ni z mięsa, ni z pierza,
Bo nie dla sukcesyjej zabił miasto zwierza.
Pierwszy przykład zaboju w dwu rodzonych braci.
Co wiek bardziej wrodzona miłość farbę traci.

Krew nie woda.

Krew nie woda, mówiono, patrząc na niezgodę.
Obróć wspank tę przypowieść, odmień krew na wodę:
Bo nie w bracie ku bratu, ku ojcu w dziecięciu
Ziębnie miłość; rychlej ją w szwagrze, rychlej w zięciu
Znajdziesz, zwłaszcza gdzie miejsca niema: twoje, moje;
Gdyż to najściślejszej krwi targa związki dwoje.

Chewość wadzi łakoma i żądza niesyta,
Że miłość przyrodzoną przynosi nabyta.
Rychlej sąsiad, rychlej ci przyjaciel w złej toni
Rękę poda, niż krewni, niż synowie oni,
Którym chcąc substancją bogatszą zostawić,
Wadziłeś się z bracią swą, mógł skrzywdzić, mógł
[skrwawić.
Cóż za to? Śmiercić prędziej, że ją odziedzicza,
Choć o nią sami z sobą będą wadzić, życzą.
Wszystko się z światem kazi, i natura sama.
Często prawdę przypowieść powie, często kłama.

Ne temere Abydum.

Sławne miasto Abydon, we wszystkie pieszczoty,
We wszystkie obfitując dostatki, krom enoty;
Że ktokolwiek tam wodą płynął, łodem jechał,
I cnót, i obyczajów ojczystych zaniechał.
Stąd po całej Grecyjej zakazano, żeby
Prócz wielkiej nikt nie ważył w nim gościć potrzeby,
Zwłaszcza młodym, co taką radzi bawią szkołą,
Pisząc na gołych jeszcze sercach grzechy smołą.
A na cóż dziś pod wschodnim szukać go Tryonem,
Kiedy naszym Polakom Paryż Abidonem?
Druga niem Wenecya, ba i całe Włochy,
Skąd w staropolskiej enocie wychodzą przepłochy,
Szkolą wszelkiej swej woli. Nie tylko odmienia
Obyczaje, ale też same przyrodzenia.
Darma strata pieniędzy, co rzecz gorsza, że ci
Nie chcą wierzyć, że wielu ta wędrownka szpeci.
Nim znowu ojczystego nawyknie humoru,
Nadrwią w obozie, nadrwią z niego i u dworu.

Za grzeczniejszych się mają, fechtując floretem,
Abo kilka lat bawiąc w tańszulu baletem,
Niżli ci, którzy w piersiach twardej równi stali,
Ze lwy się, broniąc miłej ojczyzny, łomali,
Tysiąc ordyńskich w polu strzał w Marsowym tańcu,
Tysiąc kul bissurmańskich wytrzymałszy w szańcu.
Nie floretowe brydnie, ale nieśmiertelne
Męstwa dowodem blizny przynoszą szabelne.
Nie o tych mówię, którzy jako pezoły z ulu,
Dla sławy, nie dla miodu ani dla tańszulu
Peregrynują: żeby nie tylko ich doma,
Ale w ich enocie światu całemu wiadoma
Sława i enota była polskiego narodu,
Takiego do ojczyzny znoszą plastry miodu.
I do innych się rzeczy ta przypowieść zgodzi:
Kto lekkomyślnie w przyjaźń z możniejszymi wchodzi,
Nie przyjmuje każdego każda ziemia ziela,
Niech wie, że prędko sługą będzie z przyjaciele;
Bo choć się z razu przyjmie, choć się zazieleni,
Ushnie potym, abo się na gorsze odmieni.
Nie za leda przyczyną do prawa się kwapić,
Trzeba kaczkę za pas wziąć, kto chce gęs ułapić.
A kto się nieuważnie na ratusz porywa,
Nie doszedszy gąsiora, kaczora pozbywa.

Prima tabula ex naufragio.

Pierwszą deską z rozbitej na półmorza łodzie
Mały pożytek ludzie po wielkiej zwał szkodzie.
Przegrawszy we dnie tysiąc, wygrał wieczór złoty:
Pierwsza — rzecz — z rozbitej deska mojej floty.

Będiesz li przez tysiąc dni, coś w jeden utyrał,
Wątpię, żebyś, nim umrzesz, deski swe pozbiarał.
Ze zgubił ferezyą, łajalem woźnicę,
Aż ów mi: Na to miejsce znalazłem maźnicę;
Wylała się maź, ale jest przy niej i wieko.
Jeszcze do ferezyej, złodzieju, daleko!
Jakożkolwiek wszytkiego, co nieszczęście niesie
W krótkim, w długim może człek powetować czesie,
Zdrowie, cnotę straciwszy, póki mu stać świata,
Już tak, jako było nowe, nie załata.
Jest ci pokuta w grzechu, lekarstwo w chorobie:
Mogą się, lecz łatane, wrócić rzeczy obie.
Możę i owcę wydrzeć wilkowi kto z garła:
Coż po niej? kiedy ją już bestya pożarła.
Czego nie powetuje, ani znajdzie, ani
Odkupi, gdy staremu ojeu wychowani
Pomrą synowie; a cóż, jeśli bezpotomnie,
Abo mało pociechy zostawia, jako mnie!

Jedna jaskółka nie czyni wiosny.

Jedna po uprzykrzonej i po zimie sprosny
Jaskółka, jako mówią, nie uczyni wiosny.
Choć lata, choć świegoce przed innymi wprzody,
Trzeba, żeby ich więcej wyleciało z wody.
Nie już ten dobry żołnierz, kto raz dobrze sprawi,
Ani jednym trafieniem w cel strzelec się wsławi:
Bo częstokroć na większą konfuzją potem
Raz i drugi fortuna poszczęści wymiotem.
Nie już ten mądrym, że kto raz co dobrze powie:
Zawsze trzeba. W ten czas go niech każdy niem zowie.

Nie już, kto się grzechowi raz odjął, pobożny:
Bywa drugi i trzeci od pierwszego różny.
Częstokroć, co okrasiał jeden, drugi, trzeci,
Czwarty, piąty, tysięczny aż do grobu szpeci.
Nikogo jedna enota enotliwym nie czyni:
Wszystkich, jako z rejestru, wszystkich trzeba przy ni.
Choćby i wszystkie były, przy grzechu i drugim
Nie może pięciu koni żaden nazwać Eugiem.
Jako też złym dla jednej wady czelkiem całe,
Bo się jeszcze nie rodził, żeby nie miał ale.

Do tegoż drugi raz.

Jeśli się w kim pokaże z młodu jaka enota,
Znacząc wiosnę, jaskółka wyleciała z błota.
Jaskółkaż się zwyczajnie i drugich doczeka:
Widzimy w grzechach ginąc niejednego czelka.
Nie mogąc towarzyszek, choć już wiosna minie,
Ba i lato, doczekać, znowu w błocie ginie.
Toż się o wszystkich ludzkich obrotach może rzec:
Nie do razu się imuj przyjaciela; korzec
Z nim zjeść soli wprzód trzeba, niż mu ufać szczerze,
Niż wehodzić w dożywotnej miłości przymierze.
Nie jeden starą piosnkę, sparzywszy się, śpiewał:
Któż rozumiał? kto po niem tego się spodziewał?

Cygan swymi dziećmi świadczy.

Ukradźszy konia, cygan, nie mając kim inem,
Że nie on, jako żywo, swoim świadczy synem.
Trafia się też, że świadek, jakoż mu należy,
Ze złodziejem szubienicą przyplaca kradzieży.

Tak sługami panowie, tak żonami męże
Świadczą, lecz nikt nie wierzy, choć na krzyż przysięże.

Pies psa iszcze.

Nie katolik, later to niecnotliwy bredzi,
Że gdy się księża wzajem słuchają spowiedzi,
Łacno rozgrzeszą, wspólne kładąc na się krzyże.
Pies psa iszcze i cielę jedno drugie liże.
Tamten, kłapiąc zęboma, nie pchle nie uczyni,
To daremnie po wierzchu sierć ozorem ślini.
Kiedyby do żywego ksiądz księdzu dogryzał,
Ręczę, żeby go i on po wierzchu nie lizał.
Wiedzą dobrze obadwaj, co świerzbi, co boli:
Insza podrapać, insza we wrzód nasuć soli.
Wyrozumieją sobie enotliwi kapłani:
W czym się sam winnym czuje, drugiemu nie zgani,
Gdyżby usłyszał: Wyjmcie, pater reverende,
Trzaskę mi z oka, a ja tramu wam dobędę.
Czemuż do Reformatów z grzechami nie śpieszą?
Do Jezuitów rzadko, bo ich grzeblęm czeszą.
Jako się sami wzajem, tak swoje kucharki
Rozgrzeszają plebani, że im tłuką garki.
Nie tak ostrym na księżę naszę, lutrze, sztychem!
Cóż? Aboś kiedy księdzem, abo sam był mnichem?
Przecież pies, psa iskając, ile tyle zyszcze.
A was kto? Chyba dyabeł po śmierci wyiszcze.

Żelazo żelazem ostrzą.

Dwie rzeczy się przeciwne sobie dzieją razem:
I ostrzy się i tępi żelazo żelazem.

Wiedzieć, jako obrócić, jak musatu zażyć!
Kto nie wie, lepiej by koszt na kowala ważyć.
I nóż ostrzą na nożu; jeśli nazbyt cienki,
W żelaznych zwinie, porznie skórzane nożenki.
Najlepsze — mówią — które z miękkiej noszą lipy.
Nożami są nauki i ludzkie dowcipy,
Które, jako się ostrzą na podobnych sobie,
Tak zaś prędko na częstej zwiną ostrze probie,
Abo wyrzną z nożenek; i do podobieństwa,
Kiedy bystre dowcipy nie są bez szaleństwa.
Rozum w głowie, w rozumie zawisł dowcip człeczny:
Jeśli zbystrzał nad miarę, pewnie go skaleczy,
Abo w grób, abo w głupstwo zniesie, zwłaszcza z młodu.
Że to w oczach, nie trzeba długiego dowodu.
Złe żelazne mieczowi pochwy, złe ze skóry;
Więc patrzeć dowcipowi materyj, w której
Mógłby krom swej zostawać i w rozumie szkody:
Nie wysoko, nie nisko nazbyt; do wygody.

Do tegoż drugi raz.

Nie noże; tak dziś ludzie dowcipów swych brzytwy
Przez codzienne dysputy, ledwie że nie bitwy,
Bo do nich trąbią, bębnią w kościołach na chorze,
Wyostrzą, że chcą niemi, jako drewno w borze,
Osłę rznąć z Nawiušem, co stary wiek bajął,
Że ja, kto wierzy bajkom, brzytwą w Rzymie krajał.
Mało wierzyć; wiedzieć chcą, abo widzieć okiem
Dowcipu śmiertelnego na niebie wysokiem
Majestat, twarz, naturę, sprawy nawet Boże,
Czego ten pojąć, który był w niebie, nie może.

Zaż tacy osły brzytwą, w glinianej skorupie
Ciał śmiertelnych ją noszą, nie chcą rzezać głupie?
Nie uważają, że Bóg w jedną błota sztukę
Rozum, dowcip i świecką osadził naukę.
Czemuż nieba przez świeckie szukają ćwiczenia,
Które nie nie pomogą do dusze zbawienia?
Które żeby zawstydział, zhańbił i znieważył,
Rybitwów do swej świętej ewangelii zażel.
Głupstwem, nieprzyjacielem, kto świętych pism pyta,
Bożym jest mądrość świecka, łącno się doczyta.
W pobożności utopić wszystkie trzeba zmysły:
Z tej rozumu i wszystkie nauki zawisły.
Tej kto nie ma, niech wszystkie filozofy świata,
Niech Arystotelesa, niech przejdzie Sokrata,
Pychę ma nad prostaków, w której się odyma,
Że coś więcej o sobie, niż o nim kto trzyma.
Duch święty profesorem chrześcijańskiej szkoły,
Który z rybitwów, z krawców robił apostoły.
Że się z świecką nauką, niechaj kto dowodzi,
Bożą nieprzyjaciółką, będę mędrszy, zgodzi;
Chybaby kto z żywotem śmierć, wojnę z pokojem,
Rzeczy przeciwne złączyć chciał w rozumie swoim.

I włos ma swój cień.

Najuboższego lekce ważyć się nie godzi:
I za niem cień, nie ma li sługi, jego chodzi.
Jednę asystencyą król ma z gnojkiem lichem,
Jednym wszytkich natura pomierzyła strychem.
I największy potentat skoro w grobie lęże,
Więcej ciałem, niż żebrak, miejsca nie zasięże.

Wszyscy z tegoż przeklętej ziemi idą płodu.

Fortuna żywych różni; mniej też będzie smrodu

Z gnojka, niżeli z pana, mniej robactwu paszy,

Gdy nad tamtym zmiłuje, tego śmierć postraszy.

Gnojek, póki żył, śmierdział i robaki pasał,

A pan dopiero pocznie, skoro brzuch rozpasał.

Sam i gnojek, sam i pan wstępuje do grobu:

Nie tylko ludzie, cienie opuściły obu.

Tamten nie dba, bo nie miał nikogo, krom cienia;

Jakoż się pańska pompa daleko odmienia!

Ciałać w grobie jednako prochem się rozkrusza,

Lecz jeśli się to będzie z pańską działo duszą,

Co się tu działo z ciałem biednego nędzarza?

Tamta do bogacza, ta pójdzie do Łazarza.

Przepadł pan, gnojek tryumf na wieki odniesie,

Bo co się działo z ciałą, minie, jak cień, w czesie.

Piekła tylko a nieba, gdzie sobie kto znaczy,

Żaden czas nie odmieni ani przeinaczy.

Drapią się konie wzajem.

Rzadko bez przypowiestek, bez bajek tam będzie,

Gdzie kilku starych dziadów przy winie zasiędzie:

Ten wojny, ten traktaty, gdzie bywali młodzi,

Ten dwory, drugi herby szlacheckie wywodzi;

Ten trefunki rozliczne. A w flaszcze ubywa,

I ten pije, co milezy, co im potakiwa.

Stąd urosła przypowieść, że skoro zarydzą,

Drapią, abo się czochrzą, gdy dziadowie brydzą.

Jako więc widzujemy konie abo muły,

Choć mętą wodę w stawie, nie piją rywuły.

Do tegoż drugi raz.

Widząc Adryan cesarz już starego w rzece

Żołnierza, co się z młodu bijał, brał fortece,

A on, w ubóstwie chłopca nie mając, sam sobie

Plecy z brudu kamieniem chropowatym skrobie,

Uzaliwszy, dał wioskę, dał pieniądze, żeby

Sługi chował do śmierci od takiej potrzeby.

Widząc to, zasługami równi mu i laty

Bieżą hurmem do Tybru, zruciwszy z ciał szaty,

Dra skórę kamieniami. Skoro ich obaczy,

Posyła, i jednemu drugiego naznaczy,

Żeby wzajem skrobali: gdy do tej posługi

Niemasz chłopców, jednego niechaj ściera drugi.

Śpi na obie uszy.

Niech ziemię chmury zaćmia, niech pioruny gradem

Z strasznych grzmotów trzaskają, niech światu upadem

Niebo grozi, niech wichry mostem bory wała,

Żywe ognie rzygając obłoki wsi palą,

Niech rzeki szumią, z brzegu wylewają wody,

Niech na krew okoliczne burzą się narody;

Kto ma czyste sumnienie, żyjąc bez kłopotu,

Nie boi się piorunu, ognia, wichru, grzmotu,

Choć ziemia trzęsie, góry jak barani bodą,

Śpi na obiedwie uszy. Ani potop wodą,

Ani wojna krwią straszna: enota mu kirysem,

Cnota łodzią; gotów być żołnierzem i flisem.

Ale komu ból w głowie, bojaźń w sercu siedzi,

Jeśli z Bogiem dla grzechu, jeśli w odpowiedzi

Z możliwym a ze złym człkiem, abo prawny na niem

Stanął przewód; abo się uwikłał staraniem

Trudnym, że choć nadzieja grzeje, strach go ziąbi,
Zawsze mol gryzie, komor za uszyna trąbi;
Nie zwabi snu na oczy choć łabęcin puchem.
Wstawaj! zawsze i drzymiąc słyszy ten głos uchem.
Choć je, pije, bawi się, nigdy myślą szczerą,
Zawsze będąc na cienkiej nici pod siekierą.
Cóż po grzmotach, piorunach, co po wodnym szumie?
Skrobnie mysz, aż mój ledwie został przy rozumie.
Nie żeby się bał śmierci, bo o niej pewnie wie,
Ale że mu umierać w Boskim przyjdzie gniewie.
Wszystko fraszka: póki człek żyje, póty boli;
Umrze, że wszystkich go śmierć kłopotów wyzwoli.
Bodajże pobożnie żyć, światem się nie plątać,
Spać do wolej, brydniami głowy nie zaprzętać.

Za nos go żona wodzi.

Za nos się żenie wodzić dasz, jako niedźwiedzie
Wodzą! żałuję wielce, mój miły sąsiedzie.
Jeszczeż niedźwiedziom zwykli do tańcu więc grywać,
A ty jej bez muzyki musisz nadskakiwać.
Aż ów: Niecnotliwie to mówią — rzecze z basem:
Nigdy za nos nie wodzi, za czuprynę czasem.
I to mi w sama łaje, pierwej zagra dzioki;
Wždy ja całą mam głowę, a jej puchną boki.
Głować całą, pomyszę, ale wie czupryna,
Żeby w bokach u żony bywała puchlina.

Dziorawy świadek.

Na niewiasty przypowieść tą przymawia dziorą,
Choć nikomu nie wadzi, co idzie natorą,

O ciało nie, kiedy w nim enota cała będzie;
I wiola dziorawa, wždy człek na niej gędzie.
Ani dzwonek bez dziory u krogulca dzwoni,
Jeśli się zbuja na las, jeśli nie ugoni.
Na dudach przy dziurawym trudno ma grać miechu,
Bo się z uiego piszczałce nie dostanie dechu.
Nie jeden że mężczyzna, dziorawe który ma
Sumnienie, takie dudy, świadcząc fałsz, nadyma.
Ściska pod pachą kozła, a tajemną sparą
Cnotę puszcza, grzech bierze w się z kłamiwą parą.
Aleć wkrótce zgubiwszy, co bezbożnie zyskał,
Zabeczy i sam, gdy go będzie kozieł ściskał.
Nie to, co wie, lecz co chce, za wino, ba piwo,
Za kwaterkę gorzałki poprzysięga krzywo.
A co i u poganów rzeczą niezwycajną,
Jako na szynku z duszą siadają przedajną.
Wždy na takiego świadka, byle był otrokiem,
Niewinnego zły sędzia potępi wyrokiem.

Na toż drugi raz.

Dziorawy świadek, mówią, nie popiera sprawy.
A jakoż ty chcesz świadczyć, miawszy pysk dziorawy?
Wolęć ja z tą, z którą go urodziła matka,
Niż z dziorą źle nabytą mieć na ratusz świadka.
Wolę, niż z kilką, z jedną, co ją noszą skrycie;
Twoje na wierzchu świeca, a kto wie, jeśli cie
Nie przeto piątowano, jako więc na uszu
Złodzieja, żeby znano kłameę na ratuszu?
Żeby, widząc po gębie wedle spary sparę,
Na dziorawe sumnienie brano z gęby miarę.

Twe szramy świadczą na cię, jako ty na kogo,
Żeś gotów swoją duszę sprzedać i nie drogo.
Mało pomogą łaty, kto gębę ma chorą:
Niż całe sukno zedrze, prędzej się rozporą.

Mógłby z niem o północy karty grać.

Pierwej tego nie było. Teraz zwyczaj nowy,
Że siędą z mężczyznami do kart białęglowy.
Kądział, krosienka, to ich była krotochwila:
Nie znały pancerole, kinola, pamfila.
Patrzac na jedną damę, że dosyć gra szecerze,
Nie folgując tak maści, jako i kozerze,
Co kto zadał, dodaje; przegra li, nie gniewa,
Wygra, z tego, co przegrał, zwykle nie przedrzwiewa;
Grałbym — rzekę — z waszecią i bez świece śmiało:
Aż ona: Tak ja w nocy, by najwięcej stało,
Jako i we dnie dodać, co nie każda wdowa,
Nie każda panna czyni, do wtenu gotowa.
Więc że dość spora stała na talerzu płatka,
Nie czekając, idę pręcz od stołu, ostatka.

Grecka, abo ruska wiara.

Grecką wiarą zowiemy, kiedy nas kto brzydkiem
Uwiedziony przysiąwszy oszuka pożytkiem.
Ale że od Polaków są teraz dalecy,
Ruś u nas, abo Moskwa, co tam byli Grecy.
Któż, żeby nie widział ich bezbożności, takim,
Doznawszy w nietrzymaniu przymierza, symplakiem?
Przecię jako Rzymianie, nim Kartagę zgladzą,
Na jej przysiędze wiarę z swoją szkodą sadzą,
Że kiedy ostatni raz podobno i szecerze

Chcą wiele kroć zgwałcone poprzysiądz przymierze,
Pytano ich w ratuszu: Przez które wżdy Bogi,
Pierwszym nie dotrzymawszy przysięgi tak srogiej?
Przez tych, którzy, jako są — rzekli owi — ciężcy,
Doznawają na sobie dziś krzywoprzysięzcy.
I jeśli jeszcze zdradzą tą ostatnią biera,
Wieczną zgubą zapłacą przysięgę nie szczerą.
Jakoż nie długo potym, tak częstą zniewagę
Cierpiawszy Rzym, swowolną wywróci Kartagę.
Potkał ją, który samaż ferowała na sie,
Nie utrzymanego miru dekret w krótkim czasie.
Dali tu w sobie świata przykład Paeni stuczni:
Że choć nie rychli w pomście, lecz bogowie łuczni;
Żeby nikt w tę nadzieję nie grzeszył, gdy wskoki
Nie karzą, bo dołożą surowością zwłoki.
Tak i Moskwa Polaków sto razy zdradzonych,
Sto razy nie trzymając pakt poprzysiężonych,
Choć i przykłady i ta przypowieść rozradza,
Żeby jej nie wierzyli, aż do tych czas zdradza.
Inszy zaś z różnej biorą tę przypowieść miary:
Że nie znając kredytu Grecy ani wiary,
Gdy sobie nie ufają, czując niewolniczą
Naturę swą, nie słowa, lecz pieniądze liczą.
I dla tego na on czas wiarą grecką zwano,
Kiedy co gotowymi pieniędzmi płacono.
Na borg nic: jaka była i u nas kupiecka.
Dziś, gdy się i ta zepśni, została szlachecka,
Gdzie już ani obliżu, ani słowa między
Ludźmi niemasz w przysiędze, dopieroż pieniędzy.
Przepadł, kto się na kredyt z swoim ubezpieczył:
Wszystek się świat wedle tej przypowieści zgreczył.

Do koła wszystko chodzi.

W koło świat, bo okrągły, obraca się z rokiem.
Tym wszystkie pospolite i prywatne tokiem
Świeckie i ludzkie chodzą, i rzeczy doroczne
Od początku do końca. Stąd zową — potoczne.
Każda do swego miejsca, jako zając płochy,
Skąd wyszła, wraca znowu, pobiegawszy trochy.
Nago człek na świat wyszedł; na czas fortuna go
Odziewa, i zaś w ziemię idzie z świata nago.
Do koła krew zaskórnia chodzi w każdym ciele,
Do koła i pieniądze, choć przez ręk tak wiele,
Dziesięć razy wracają, ceny ani dźwięku
Nie straciwszy, do skrzynki i wiadomych ręk.
Wsi w Polsce spustoszone, miasta z gruntu spadły
Dla tak długiej z Turczyńcem i wojny tak zjadłej,
Który, wzięwszy Podole i większą część Rusi,
Za gardło nas znużonych obarczywszy dusi.
Ludzi ani [z] Korony, ani mamy z Litwy,
Żeby radzili, żeby popierali bitwy.
Garść żołnierzy niepłatnych, nędznych: ni rynsztunku,
Ni koni mają. Z nieba tylko nam ratunku
Wyglądać w tej niedoli. Gdzież nasze pobory
Podziały się? bo kmieci odarliśmy z skóry!
Wzdyć się tym trybem koło wszech rzeczy obraca,
Że skąd rzeka wychodzi, tam się znowu wraca.
I pieniędzmi, które skarb na żołnierza łoży,
Porządna pospolita rzecz się nie uboży:
Żeby zawsze gotowym, zawsze służył płatnem,
Jej się dostać powinny, nie ludziom prywatnem.
Ten że, co je brał, żołnierz jeśli się zbogacił.
Jeśli kupił wieś, będzie z niej żołnierzom płacił.

Nie ma za co wsi kupić? za chleb rolnikowi,
Za rynsztunek je znowu da rzemieślnikowi.
A ci, jako dodaje rzece wody morze.
Znowu je żołnierzowi oddają w poborze.
Inaczej dziś z pieniędzmi, niż się dzieje z wodą,
Kędy ją na swe koła prywatni rozwiodą.
Tak żołnierz wojnie, Wisła jak szkucie nie zdole,
Kmieć chałupy i pustką musi odbiedz role.
Postrzeżcie się Polacy! mówię po sto razy:
Pozrucajcie prywatne na swej rzece jazy!
Nim wyschnie, nim odejdzie waszej łodzie na dnie,
Niech każdy swoim żyje, publiki nie kradnie.
Wprzód, niż na co się siła udała pogańska,
Do swej Porty obróci Wisłę miasto Gdańska.
Wolno gardzić starego szlachcica przestrogą,
Który, nie mając dzieci, jedną w grobie nogą.

W jednej ręce kij, w drugiej chleb.

Domyślam się, skąd łaska, skąd takie ofary:
W lewej ręce chleb wedle przypowieści starej
Pokazujesz, w prawej kij kryjesz, żebyś zwabił,
Jako psa, bliżej siebie, a potem oszwabił.
Chcesz wygodzić pieniędzmi, widząc mię w złej toni,
Żebyś, wygnawszy z wioski, sam wprowadził do niej.
Za uczynność a oraz dziękuję za radę:
Wyżej fortunę swoją, niż twą przyjaźń kładę.
Jeszcze nie tak głęboko zabrnął, żeby mi twy
Trzeba było chwycić się tonącemu brzytwy.
Ledwie się po kawałku piesz chleba obliże,
Do śmierci kaliczeje, wzięwszy kijem w krzyże.

Eodem ore calidum et frigidum.

Widząc, między leśnymi Satyr zrosszy dęby,
Że ktoś chucha, w mróz ręce przytknąwszy do gęby,
Tenże zaraz na łyżkę, że gorąca jucha.
Wprzód, nim włoży do gęby, chcąc ochłodzić, dmucha,
Srodze mu się i słusznie w ludziach zdały dziwne:
Zimno i ciepło z tychże ust rzeczy przeciwne.
Jam nie Satyr, ale twe uważając brydnie,
Co raz ciepło z ust wyszło, to drugi ostydnie,
Dziwuję się z niem w tobie tak prędkiej odmianie:
Insza dmuchać i chuchać, insza kłamać, panie!
Taż, która usty weszła, z ust wychodzi para:
Może ją nazad cofnąć, ale słowa — wara!
Gorąca li, każdemu wolno na swą warzą
Dmuchać; rzeczono słowa cudzy uszy parzą.
Już trudno: rzekszy, lepiej w gębie je wystudzić,
Żeby kto, sparzywszy się, nie chciał gęby trudzić.

Oczy w ręku.

Obiecujesz mi siłę językiem i słowy.
Za wszystkim ci, skoro dasz, dziękować gotowy.
Teraz, kiedy ode mnie za słowa chcesz rzeczy,
Nie kształt, i rozumowi samemu to przeczy.
Oczy tylko, lecz uszu nie mają me dłoni:
Co widzą, wierzą; to nie, co z ust komu dzwoni.
Ty najmniej obietnicą, ja podobno tracę
Dziękę, bo gotowizną rzecz nie pewną płacę.
Tobie wolno dać i nie; jam już podziękował.
Jeśli dasz, nie będziesz się pierwszą kontentował:
Trzebać znowu dziękować; nie dasz, moje dzięki,
Jako węgorz w pół morza upuszczony z ręki.

Jeśli i ten, co bierze, i ten oczu nie ma
W dłoni, co daje, wielce źle bez nich obiema.
Trzeba wiedzieć, komu dać, wiedzieć, brać od kogo.
Tanio cnotę chcą ludzie, grzech kupują drogo:
Dosyć szeląg jałmużną na niebo dziadowi;
Małpie sto złotych, a cóż inszy zbytek mowi?
Nie ma ten oka w ręku, który, choć obieca,
Zółd wzięwszy, żołnierzem być, kryje się do pieca.
Co miało być na służbę, a znam takich wiele,
Wprzód na fochy obróci, potym na wesele.
Nie ma ten kapłan w ręce oka, który się po
Odpustach włócząc, bierze na msze święte ślepo,
Zawodząc dusze ludzkie, jakby je miał w skrzyni,
Czemu dość, choćby dziesięć lat żył, nie uczyni.
O tysiąc skontraktował, a nie wie, jeśli mu
Jedną przyjdzie odprawić przywilejem z Rzymu.
Nie ma ten oka w ręku, kto wiekiem nie nużny,
Zdrowy, mogąc zarobić chleb, żebrze jałmużny.
Nie na mnichy przymówka, nie na ludzi chore,
Chyba, że zwykle czapka na złodzieju gore.
Szpitalny zdycha głodem dziad ślepy i chromy,
Ci pożerają wdowie, nic nie robiąc, domy.
Nie wierzą, że, przyszedszy grzechów ludzkich macać,
Każe Bóg próżną strawę do kwartnika wracać.
Każdy taki niech swoją rzecz, jako chce, zdołi;
Kradnie, kto żebrze chleba, mogąc nań, nie robi.
I ci, co takim dają, na ten czas się stropią,
Że dar Boży, nie miałszy oka w ręce, kopią.
Któż dziś, prócz rzemieślników a mizerych kmiotków,
Czoło poci dla chleba, czym Bóg naszych przodków
W raju skarał? Nikt. Wszysecy cudzą pracą jedzą,

O żadnej, krom żołnierzów, robocie nie wiedzą;
Bo ci, póki im lata i siły nastarczą,
Stawając przy ojczyźnie, krew za pot frymarczą.
Robota się w zabawę, w krotocwilę praca,
Jeszcze jej tak siłę świąt przeszkodzi, obraca.

Ślepy targ. W rączkę z rączki, nie będzie mierzączki.

Na borg do czwartego dnia sąsiad u sąsiada
Wziął konia za sto złotych; że tym szczęście włada,
Sam zaś tysiąc nazajtrrz. Gdy przyszedł dzień czwarty,
Odsyła mu sto złotych wedle danej karty.
Nie chce ten brać, aż się z niem zarobkiem podzieli;
Ów też więcej nie chce dać. Aż we dwie niedzieli,
Bo tak sobie wymówił, czego bywa siela,
Trzeci kupiec drugiemu kalekę odesła.
Ów pierwszemu, ale ten przyjąć się go zbrania,
Że przy targu nie było wzmianki wymawiania:
Mógł ten, abo ów konia tym czasem skaliczyć;
Sto złotych, którym gardził, każe sobie liczyć.
A ów na to: Brać było, kiedym ci je dawał.
Ty przy karcie, je przy twym liście będę stawał,
Ześ je nazad odesłał; pięciu set napierał,
Choć tylko na sto kartę ode mnieś odbierał.
Trzeci tysiąca swego nazad upomina.
Szkapą stoi przy płocie. Sroga mieszanina
Z małej rzeczy. Tak bywa, kto co ślepo chwyta:
Słodko liże początek, koniec zębem chwyta.
Kto nie chce okiem, stara przypowieść powiada,
Wprzód kłótnią, potem mieszkciem kontraktu dokłada.

Ślepy ślepego wiedzie: w dół obadwa wpadną.

Kto chce syna młodego w cudze posłać kraje,
Niech że mu wędrownego człowieka przydaje.
Komu się chce na ratusz, nie umiając prawa,
Niech dobrego legisty szuka za przystawa.
Kto nie wie drogi w niebo, a tam się zapędza,
Nie chce li w piekło trafić, niech patrzy na księdza.
Ksiądz księgą, ksiądz obrazem, ksiądz i przewodnikiem,
Pasterz trzodzie przykładem, wzorem. Niech za nikim
Inszym się nie udaje, bo się na to święci,
Że swym żywotem owce do nieba przynęci.
Niech dziesięć przewodników gębą drogę radzi,
Daleko lepszy jeden, co mnie sam prowadzi
I sam idzie w nią ze mną. Choćby ją najlepiej
Pokazował i uczył, tym każdy zaślepi,
Kiedy, choć tamże, kędy i ja, się obieca,
Sam bitą idzie drogą, mnie ostrą zaleca.
Nie plesz, abo korona, co ją goli brzytwa:
Cnota, pobożność w księdzu, jałmużna, modlitwa,
Świątobliwość żywota świecą i latarnią.
W tej niechaj pasterz chodzi przed swoją owczarnią.
Już ten owce wilkowi wydaje do spasi,
Który w swojej nauce to światło zagasi.
Ślepemu mówi pismo: Ślepy nie przywójcą
W drodze zbawiennej, ale gotowym zabójcą.
Za rok tego, niech go kto na naukach strawi,
Co przykładem w człowieku za jeden dzień sprawi.

Nie tak, jako chcemy, ale jako możemy.

Jedna z głupią fortuną, druga z ciałem bieda,
Że nam tak, jako chcemy, żyć oboje nie da.

Fortuna wedle ciała, ciało wedle ducha,
Aż na oboje trzeba przybierać łańcucha;
Oboje trzeba duchem związać i zwyciężyć,
Kto ciałem i fortuną do rozumu chce żyć.
Fortuna ciało, a to człowieka przymusza,
Żeby w niem wiecznej śmierci żerem żyła dusza.
Na fortunę jest sposób. Jeśli pytasz, który?
Nie żyć do opiniej, tylko do natory.
Z ciałem kłopot, bo trudno z niego się wycielić:
W grzechu poczęte, ciężko od grzechu go dzielić.
O żaloszna niewola! O szatańskie pęta!
Dla Boga! Czemuż na nie rzadki kto pamięta?
Gdy stanąwszy przy ciebie niedosyt fortuny
Wiąże on rozum wolny i sadza do kuny.
Nie w czym ludzkie, choć tego bronią apostołi,
Ludzkiej się dobrowolnie poddają niewoli.
Nie ufając, choć lepszy mogą mieć, niż owi,
Którym go zniewolili, swemu rozumowi.
Choć Bóg samemu tylko zostawił to sobie,
Nie wiem, przy kim się tacy ostoją na probie,
Którzy ludzkie nad Boskie wyżej prawa kładą.
Świadeżą apostołowie przed żydowską radą:
Dosyć ciała na świecie mieć co jeść, mieć co pić,
Czym okryć, a dla czegoż po morzach się topić?
Dla czego łądem trudzić, jeśli nie dla pychy,
Co duszę z ciałem wyda na piekielne sztychy?
Jak chce, tak człek żyć może: niech nie będzie drwalem;
Każdy swego żywota na świecie kowalem.

Jednym palcem się w głowę drapie.

Galantom jeden ze Włoch, skoro gotowizny,
Więś przedawszy, nie stało, wrócił do ojczyzny,
Srodze się za grzecznego między szlachtą mieni,
Nie stąpi bez grzebienia, bez pudru w kieszeni,
Z daleka czuć od niego piżma i perfumy,
Że jednym palcem głowę, w czym wszystkie rozumy
Założył, umie drapać, i swoje nauki,
Bojąc się na niej dwoma pokudlić peruki,
Na której tak wysoki czub w górę wyczesze,
Żeby mogli bociani ślać dzieciom pielesze.
Trafiło się, że bankiet senator w Krakowie
Sprawował, na który też galantoma wzwowie.
Ale kiedy sadzają nie wedle humoru,
Tylko jako kto godzien respektem honoru,
Uraził się, że w Polsce, jako w cudzych krajach,
Niemasz na politykę względu w obyczajach:
Honor leda kto kupi, grzeczność się nam wradza,
I ten znać nie wędrował, kto gości tak sadza.
Aż siedząc wedle niego ktoś humorowaty:
Kędyż taka błazeńska — rzecz — moda? A ty
Po coś wracał do Polskiej, czując się nad bracią
Grzeczniejszym, którzy jedną siedzimy połącią?
Toż go w pysk, usłyszawszy słówko urażliwe,
A potym w pudrowaną wszystkie palce grzywę
Zawiedzie. Lecz się w szturmie pierwszy raz oszuka.
Aż skoro z głowy spadła pod ławę peruka,
Skoro pod nią namaca przyrodzoną wiechę,
Jako wichher gwałtowny odarł z snopków strzechę.
A galantom, co dotąd jednym palcem drapał,
Rad, że się z gołą pałką drzwi z izby dochrapał.

Lepiej płynąć przy leda desce.

Trzymając się tarcice, gdzie tylko kęs kiwał
Rękami, przez długi czas miejski synek pływał.
Nakoniec skoro sobie w tym dziele pobraży,
Że umie, i bez niej się na głębią odważy.
Późno postrzegł, że łacniej, gdy mu przyszło ginać,
Trzymając leda trzaskę choć i w zębach, płynąć.
Przykład: póki na bystrej tego świata rzece
Płyną, niech biorą młodzi, w swych starszych opiece
Że daleko bezpieczniej, bo jeśli ich puszcza,
Rzadko abo się nigdy brzegu nie dopluszcza.
Z laty przeto rozumu czekać ani kwapić:
Raz deskę upuściwszy, jużż nie ułapić.
Nabrawszy w gardło złego towarzystwa wody,
Nie wyrzgniesz bez znacznej niecofnionej szkody
W sławie i w substancyej, choć obie przed cnotą
Nie nie są. Cnota ezleka każdego jest flotą.
Jeśli się w młodych lecicach człowiek grzechu opiel,
Jakby też młyński kamień w morzu kto utopiel.
Długo na wodzie miałkiej, gdzie dna może dostać,
Wprzód, niż puści na głębią, trzeba mu się chrostać.
Jeden drugiego zwykle ratuje na rzece;
Tu szydzą, że tak młody wziął do ręku lece.

Nie mądrze, ale szczęśliwie.

Trafia się, ale regiestr tych rzeczy malutki,
Że złe rady na dobre mogą wyniść skutki.
Trafia się też i opak, a daleko części,
Że dobrym i uważnym radom się nieszczęści.
Dawno obrotów ludzkich doświadczona moda:
Wziąwszy mądrym, fortuna głupim w ręce poda.

Wielom, którymby ledwie przed misami chodzić
Przystało, daje wojska i szczęśliwie wodzić.
Jako zaś wielu wodzów i grzecznych rotmistrzów
Obraca, szydząc z świata, do pań za ochmistrzów.
Wolno, kiedy ją głupi ludzie zwą boginią,
Jakowych ja prosięty, onę zowę świnią.
Bóg, który hardych tłumi, uniżonych zdoła,
Co się ludziom trefunkiem zda, umyślnie robi:
Wyniosłych depee, skrzydeł bujawym przystrzyga,
Orla z tronu wypycha, a gołębia dźwiga.
Igra jego wszechmoćność, godzi li się to rzec,
W rzeczach ludzkich: tych na stół, z tamtymi pod korzec

Nie możesz li być, czymeś był, lepiej niczym nie być.

Pogańska to przypowieść, desperackie zdanie.
Niech człowiek chrześcijański nie pamięta na nie.
Nie masz li być, czymeś był, raz to morze przebyć,
Woliż się w ziemię zagrześć, woliż niczym nie być:
Kogo wyniósszy w górę tak fortuna zwinnie,
Ze nadzieje widzieć się na pierwszej drabinie
Nie zostawi, lepiej ją takiemu dołomać,
Lepiej umrzeć, niż płakać, niżli słońca sromać.
Niech się w tym chrześcijanin pogaństwu nie dziwi,
Bo tylko wedle ciała ci byli szczęśliwi,
O dusznej szczęśliwości, o zmartwych powstaniu
Szydzą, kiedy im Paweł prawi na kazaniu.
Lecz się i na chrześcijan ta przypowieść przyda:
Kto z młodu na owoce cnoty kwiecie wyda,
A potym miasto jabłek płonki rodzi leśne,
Nie ma li tym, czym miał być, lepsze mary weźne.
Lepiej, jaki padł w Boskim dekret konsystorzu,

Z młyńskiem u szyje tonać kamieniem na morzu.
Inaczej, Cyceronie! inaczej, Homerze!
Niż w waszych zabobonach, w Chrystusowej wierze
O sławę, o fortunę nie dbamy, bo nie [jej]
Żyjemy, lecz dusznego zbawienia nadziei.
A kto nadzieją przyszej szczęśliwości żyje,
Świat i świeckie poczyta rzeczy za pomyje.
Bogu żyjemy, ludzie nędzni, nadzy, goli,
I zabić, i ożywić na jego to woli;
I dać i wziąć. Nie znamy żadnego w tym sromu,
Jeśli dawszy, kiedy chce, znowu weźmie komu.
Kto oczy w niebo wlepi, choć w dół padnie ciałem,
Nie to. Byle nie duchem, byle duch był całym.
Kto w ziemię tylko patrzy, w ziemi tylko grzebie,
Jako o niem nie myśli, tak nie będzie w niebie.
Ten się niechaj zabija, topi, kole, wieszka,
Kogo nadzieja świeckiej straty nie pociesza.
Byłem dwu grzecznych synów, pięknej ojcem córki,
Zginęli. Starzałem się, trudno na powtórki.
Czy już że z tak żalostnej rozpaczać ruiny?
Broń Boże! ale chwytać nadzieje się liny,
Która największe żale w sercach ludzkich króci,
Że, jako Bóg dał, tak wziął, tak mi znowu wróci.
Popłakawszy na chwilę, pobłażywszy ciału,
Czym prędzej się z trosk ziemskich wynosić opału,
Żeby w czystym sumnieniu tam się widzieć rychło,
Gdzie ślepe śmierci prawo na wieki ucichło.
Co nam przez apostołów Duch święty tłumaczy,
Że czymkolwiek czas cieszy, czas człeka zapłaczy.
Tak, jakoby nie miał, wszystko trzeba tu mieć:
Opak zysk, opak szkodę cielesną rozumieć.

Bez wstydu, bez czoła.

Za Boga wstyd poganie w swobodnym go czele
Z oczyma spuszczoneymi stawiali w kościele;
Bo je skryją zwyczajnie, abo więc zasłonią,
Kiedy się czego wstydzą prości ludzie, dłonią.
Siłuz dziś polityków bez wstydu, bez czoła
Śmieie patrzy na Boga, wszedszy do kościoła?
Śmieie mówi do niego, jakby żadną winą
Serca nie zmazał, oczy zasłoniwszy psiną.
Z onym faryzeuszem, co swoje wylicza
Cnoty, grzechu nie wspomni; lecz jawno grzesznicza
Przeważyla pokora faryzajską butę,
Gdy, skrywszy oczy, tłucze piersi za pokutę.
Zasłaniają anieli swoje przed niem skrzydły;
Bezpiecznie w niebo grzesznik śmie patrzyć obrzydły.
Cóż o krzywoprzysięzcy mówić? kiedy klęknie,
Nie tylko się nie wezdrzgnie, lecz ani zajęknie,
Chociaż na fałsz, na kłamstwo wierutne przysięga,
I śmieie Boga z nieba na świadectwo ściega.
Cić to wedle prorockiej dawnej opowiedzi
Żelazne szyje, na nich czoła noszą z miedzi.

Palec do gęby.

Milczenie znaczy palec przytkniony do gęby;
Do nosa — pomstę, abo kto go włoży w zęby.
Kto kiwa, zakazuje, abo grozę znaczy,
Przydając zwykłe: wara! nie czynże inaczy.
Migaj niem, jak chcesz, choć ja sekretu nie wydam,
Wiedzą wszyscy, żeś błazen. Gniewu się nie wzdrygam.
Nie w zęby: włóż i w zadek; dosyć na waszei,
Ścisnąwszy pięść, między dwa włożył palec trzeci.

Na cóż się rozmaitych form przydadzą mi,
Kiedy je zgasi jedno pokazanie figi?

Brwi powieścić.

Spytać go niemasz jako, bo nie mówi z nikim:
Brwi zwieścił; pysznym, abo musi być tetrykiem.
Zawsze się gniewa, kozli, sepi, pod ponurą,
Jako Bieszczad na plute, kryjąc oczy chmurą.
Nie wynidzie na słońce, w jednej siedząc kuczy,
Nie gada, jako ludzie. Jako niedźwiedz mruczy,
Jako płonka w głębokim borze zimostadna.
Cóż z odludkiem za sprawa, za uciecha? Żadna.

Przez spary patrzy.

Dwojakie: jedne w palcach, drugie spary w ścianie:
Przez te, ma li kto o kim jakie podejrzenie,
Patrzy, co robi w izbie sługa abo żona;
Jeśli jej nie dowierza, izba założona.
Jeśli nie, to w zamknięciu, co jej nie przystoi,
Sama bywszy, ani się wstydzi, ani boi.
Choćby lepiej nie patrzeć i od tego stronić,
Większy bowiem żal widzieć, a nie mózdz zabronić.
Przez palce zaś patrzymy, kiedy dziecię brydzi,
Nie nie myśląc, że ociec postrzeżga, że widzi:
Abo w karty przegrawa, abo też podpija.
Przez spary patrzy. Nie są godne grzechy kija.
Chyba w złej kompaniję ze sobie pozwala,
Czym urodzenie, sławę, czym enotę pokala.
Nie skróci napomnieniem zuchwałego auzu,
Nie pomoże karanie, pośle do cychthauzu.

Już to zbrodnie, nie brydnie: ani już przez spary,
Lecz na nie ociec patrzeć ma przez okulary.
Znam wielu, którzy z młodu w wielkiej bywszy grozie,
Doszedszy lat, godni być u kata w powrozie.
Znam i mężów tak głupich, którzy w rzeczy chrapia,
Podpiwszy, że im żony tym czasem obłapia.
Fraszka wstyd i osława, i enota w ostatku,
Skądkolwiek okazya pokaże się datku.
Gdzieżby to i duchowni ojcowie uważać
Chcieli, a ludziom świeckim w grzechach nie pobłażać!
Ziemijskim wolno swe dzieciom odpuszczać urazy,
Ale ci nie na swoje, na Boskie zakazy
Rozgrzeszają, bo choć je na kazaniu gromią,
Złym przykładem i spowiedź, i kazanie łomią.
Muszą przez spary patrzeć radzi i nie radzi,
Gdy co im do którego, wszystkim do nich wadzi.
Jakby też kruk przyganiał gawronowi, że ma
Czarne pierze, gdyż łabędź najsluszniej obiema.

Czarną kurę mu rozedrzeć na głowę.

Szalonym z mózgu ludziom na defekt natury
Rozdarszy czarne w oczu przykładają kury;
Stąd przypowieść: jeśli kto rzeczą podrwi marną,
Żeby wskok głowę kurą obwinać mu czarną.
Łacinnicy, że drożej kury sobie waży,
Ciemiężycę pię w swojej przypowieści każy.
Że mózdz, gdzie mieszka rozum, przykryty ciemieniem,
Przeto takim ziele to nazwano imieniem.
Dziś ludzie tak są w sprawach głupi, w mowach płoszy,
I białych, i czarnych by nie stało kokoszy,

Gdyby na wszystkie, którzy kawia, bałamuty
Przyszło, żeby nie drwili, rozdzierać koguty.
Nie ciemierzyce: wina piją i gorzałki,
Co im aż do szaleństwa zagrzewają pałki.

Mizernie żyje, kto wedle doktora żyje.

Krótko i mizernie, kto żyje po doktorsku;
Daleko i mizerniej, i krócej po dworsku.
Do cudzego śpiąc, jedząc, pijąc apetytu,
Jeden z głodu, drugi z nich umiera ze zbytu.
Żyć sobie do natury, skromnie, po ziemiańsku,
Nie szukając przysmaków i trunków we Gdańsku,
Jednym ze zdrowiem zyszczesz dostatek zawodem:
Zdechną, co inszych morzą doktorowie głodem.
Co ma dom, niech je gęba, niech żołądek trawi;
Wielu zbytnia ostrożność ludzi zdrowia zbawi.
Żyliby kmiecie na wsi po stu lat i dłuży
Bez doktorów, ale ich ciężka praca nuży;
Choć ich leśne pokarmy: płonki, chwasty, szyszki,
Upewniam, żeby na śmierć pańskie truły kiszki.
Trują się lekarstwami, trują zbytkiem gorzy,
Bo tamto ciało tylko, ten i duszę morzy.

Porcum immola.

Jeśli kto do rozumu z szaleństwa przychodził,
Świnie bogom ofiarą do kościoła wodził
U starodawnych pogan. Dziwnie dobra foza:
Ofiarować, przestawszy świnia być, kiernoza.
Którzy się wczora z ludzi obrócili w świnie,
Pozbywszy na gorzałce rozumu i winie,

Nadrwiwszy, nabredziwszy, abo też na miedzie,
Niech dzisia każdy wieprza do ołtarza wiedzie.
Darmo, księżę, ostrzycie zęby na kielbasy:
U poganów to było. Minęły te czasy.
Zakazał Bóg świni jeść, uczy Zakon stary,
Dopieroż do kościoła wodzić na ofiary!
Wspaczną dziś niż u pogan, niż u żydów modą
Sami się chrześcijanie, stawszy nimi, wiodą.
Bo znowu trunkiem głowę zaemiwszy pijaną,
Jako byli świniami, po ofierze staną.
Gdyby do pogańskiego wrócili zwyczaju,
Dawnoby wieprzowego nie stało rodzaju.
Nie wiemże, jaka będzie ich ofiary waga,
Kiedy świnia za swój grzech świnia świętych błaga.
Jeśli i kapłan takż przy ofierze śpiewa,
Lepiej miasto kościoła iść wszystkim do chlewa.
Pierwej, niż z szczeci skubą, żeby wieprz był golem,
Niż ukropem oparzą, sypą go popiołem,
Widząc, gdy po szalonym mięsopustnym wtorku
Ludzi niem ksiądz we środę posypował z worku.
Żeby nie do ukropu w onym, rzekę, żłobie,
Gdzie dyabeł ukalone świnie z błota skrobie.
Zwłaszcza która omyta znowu się paskudzi,
Bo, jako czytam, w wieprze napiera się, w ludzi.

Ustawicznie się ucząc, przyszedłem do starości.

Znak niedoskonałości czleczy w tym położył
Stwórca jego, że choćby tysiąca lat dożył,
I choćby równo z światem mógł swe lata liczyć,
Miałby się w czym, gdyby chciał, na każdy dzień
[ćwiczyć.]

Dla czegoż ludzi starych mądrymi zowiemy,
Choć, że się mieli jeszcze czego uczyć, wiemy?
Drugi w mniejszej dość wieku krótkiego połowie
Nosi na pysznej mitrę filozofską głowie,
Że coś mądrości świeckiej, jako mucha miodu,
Liżnie z dawnych ksiąg, abo w szkołach słyszy
Nie może głupi mędrak małej umieć rzeczy, [z młodu.
Że świecka, że cielesna mądrość Boskiej przeczy.
Tak się sobie podoba w swojej mitrze z czola,
A ono doświadczenie wszystkich nauk szkoła.
Dzień wczorajszy magistrem jest dzisiejszemu dniu.
Często człek, niż był rano, mędrszy o południu;
Często, bo mu godzina może być doktorem;
Mędrszym, niż był w południe, staje się wieczorem.
Nie księgi, lecz przypadki i własne, i cudze,
Jako szypra na morskiej uczą nas żegludze:
Znać na gwiazdach, na wiatrach, wiedzieć, kędy płynąć,
Kędy żagle rozpostrzeć, kędy ich przywinać.
Znać ludzkie, znać szatańskie Seyle, wiry, haki,
Znać naprzód serce swoje. To mądrości znaki.
Chwalmy się, jako chcemy; głupiśmy poprostu,
Mając czego tysiąc lat uczyć, aż my do stu
Nie żyjemy. Kto świętą, dawszy pokój świecki,
Ma naukę, ten mądry, jaką między dziecki
Syn Boży pokazuje. Nic po stu lat do niej,
Którą mu kolwiek zegar godzinę zadzwoni,
Byle zostawał w żywej a w prawdziwej wierze,
Każdy mitrę do nieba profesorską bierze.
Na cóż poczynać świeckie cielesne ćwiczenia,
Wiedząc, że nie doczeka żaden ich skończenia?

Ledwie że drugi z kwinty postąpi do kwarty,
Aż mu każą do grobu nowe czytać karty.
Piękna w tej promocyi szkole na łeb z pieca:
Wielce błądzi, kto się w niej do prymy obieca.

Beczkowy żywot.

Pod beczką, zawieśsiwszy na powrozie z żerdzi
W Atenach, jako o tym historyja twierdzi,
Diogenes filozof, od deszcza, od słońca,
Od wiatru nachylając jej, żył aż do końca.
Od żółwiów i ślimaków zasiągnawszy mody,
Nie mając domu i czym płacić od gospody,
Gdzie wodę, i to garścią, o marchwi, o rzepce,
Nie znając chleba ani warzy, ze psy łepce.
Stąd cynikiem nazwany, co psa Grekom znaczy,
Że daleko od wszystkich ludzi żył inaczy.
Od niego ten początek przypowieści nowy:
Że kto żywot mizerny, ten żyje beczkowy.
Po polsku to nie barzo stosuje się ładem,
Lecz że sieła Polaków jego dziś przykładem
Nie pod beczką, przy beczce trawi żywot winny,
Choć ci by drugi, tuszę, nie odrzucił rynny,
I do nich ta przypowieść przypaść może cudnie:
Nie pali słońce, bo śpią pijani w południe.
Podobno nie widzieli ani wschodu, ani
Zachodu słońca nigdy, bo zawsze pijani.
Prawda, że zawsze mokną, nim beczkę wypróżnią.
Tą się od filozofa jedną rzeczą różnią.
Siłą też, jako w starym czytamy potopie,
Z duszą i z substancją tonie ich przy czopie.

Beczkowa śmierć.

Z okazji żywota, że równo z nim chodzi,
Wspomnieć i śmierć beczkową w tym miejscu się
Gdzie jako inszy wino, tak nago do beczki [godzi,
Wsadzony Attylius w gęste tknionej ówieczki
Pił cały dzień własną krew i usta i nosem,
Dokąd w niej pod okrutnym nie tonie profosem,
Jako Cyrus, kiedy go Tomirys nią poi.
Prócz, że ten w cudzej tonął, Attylius w swojej,
Bo utrapiona dusza nie wiedziała, którą
Z tak wielu ran otwartych wynisć z ciała dziorą.
To pierwsza i doczesna. Przypatrzmyż się wtórej
Beczkowej, wiecznej śmierci, choć ci nie wiem, który
Z pogańskich pisorymów, i co go tam zwlekło,
Katuszą mąk wieczystych inwentował piekło.
Gdzie czytam, rozlicznych bied wartując rejestry,
Że pięćdziesiąt siostr okrom jednej Hipermnestry
Mężów pozabijało; ta się tylko jedna
Swego użali; przeto beczkę im beze dna
Postawiwszy, nalać ją Pluto każe, we dnie
I w nocy wodę nosząc. Ale dziora we dnie:
Jedna drugiej nie może doczekać nalewki.
To za śmierć liczą w piekle Danaowe dziewczki.
Stosując z niepobożnym Attylego człkiem,
Beczka jest ciału sercu: każdy grzech mu ówiekiem.
Gdzie się kolwiek obróci, gorzej, niżli w prętach
Brzozowych, tysiąc razy zawsze na praszcętach.
Tak w domu, jako w drodze, na łożu, przy stole,
Wszędzie go nieczystego sumnienia góżdź kole.
I ci wszyscy w dziorawą beczkę wodę leją,
Choć wargi od ustawnych pacierzy się chwieją,

Msza co dzień, suszą piątki, soboty i środy,
Spowiedź co święto. Darmo: nie nastarczą wody,
Jeśli czopu nie zatka, jeśli dna nie wprawi,
Które w sercu śmiertelny grzech jego dziorawi.
Dopiero to zrobiwszy, nie wodę, ale w nie
Niechaj z Piotrem lży leje. Ostoją się pewnie.

Póki w sercu, póty sekret.

Sąsiad się na sąsiada uskarżał przede mną,
Że wydał powierzoną sobie rzecz tajemną,
Przez co wstydu i wielkiej nabawił go szkody.
Mój panie bracie — rzekę — człেকেście nie młody,
A tegoście się dotąd nie mogli nauczyć,
Że sobie ładniej było mileczenie poruczyć,
Niżli komu. Nie mogszy sam sobie dotrzymać,
Tego, co raz puściwszy, już trudno poimać.
Choć własne twoje było cenione tak drogo,
Wierę, nie słuszna jest rzecz uskarżać na kogo.

Na dzień żyć.

Dzisiaj nasze, sąsiadzi, wedle Epikura;
Jutro, co wiedzieć, czyje? Co każe natura,
Jedźmy, pijmy, igrajmy, zażyjmy rozkoszy,
Jako dym, wiatr, przyszedszy śmierć wszystko to spłoszy.
A kiedy tak dzień za dzień, a śmierci nie widać,
Wątku nie stanie, przyjdzie zebrać się odwstydać,
Prosząc kawałka chleba; cudze drażnić suki
Wedle Epikurowej drugiemu nauki.
Nuż po śmierci rachunek, skoro mięsopusty
Miną, każe Pan czynić światowej rozpusty.

I tam na dzień będą żyć, gdzie kogo obrocą,
Ale długi, bo żadną nie przejęty nocą
Na wszystkie wieki wieków. Cóż jeżeli z delat
Instygatorskich w piekło? jakoż długie te lat
Niespełna sześć tysięcy od stworzenia świata,
Momenty, oka mgnienia obróca się w lata,
Kropła przeciwko morzu; jeszcze daleko mni,
Kto je z wiecznością złoży. Czemuż człek zapomni,
Że woli kilka godzin grzechu w cieple zażyć,
Stradawszy nieba, w piekle na wieki się smażyć?
A cóż na to rzeczenie z Epikurem Lutrze?
Pewnie, że się nie kazał Pan starać o jutrze:
Dziś zjeść, dziś wypić wszystko, na dzień żyć. Jakoście
Mądrzy! przetoć też wiedzieć nie chcecie o poście.
Wdzyć tenże kazał chleba szukać w pocie czoła?
Więc wam już wół, pług, ani potrzebna stodoła?
Czekajcież manny z żydy, z Eliaszem kruka,
Aż wam w zęby gotowa wleci chleba sztuka.
Że tu Lutra, a przy niem wspominam Kalwina,
Ich przeznaczenia tego dowodna przyczyna:
Gdy wierzą, że choćby tu najrozpustniej żyli,
Szczęśliwość ich na niebie wieczna nie omyli;
Choćby też najpobożniej, jeśli przeznaczeni
Do piekła, Bóg dekretu swego nie odmieni.
W tak sprosny błąd tak wielu chrześcijan zawiedli:
Nie jedzą, żeby żyli; żyją, żeby jedli.

Do tegoż drugi raz.

O cóż na odszczepieńców sarkać z Epikurem?
Na poły i dziś takich między nami, którem

Cieżko robić na jutro; w cudze drzwi kołaca,
Na dzień jałmużną, raczej cudzą żyją pracą,
Choć jawnie zabronił Bóg ludziom próżnowania,
A nie o ciało, byle bez grzechu, starania.
Nie pójdzie do śpiklerza, nie sięgnie do skrzynki!
Przepadły miłosierne bez prace uczynki.
Łacno się tacy Bogu na sądny dzień sprawią,
Których na lewej ręce anieli postawią:
Czymżem karmić ubogich miał, czym ich odziewać?
Musiałem, żeby co jeść, sam na chórze śpiewać,
Miałem dźwigać w błocie wóz, włócząc się po kweście,
Abo przez dzień w celbratem stać na rogu w mieście.
Ales miał wieś ojczystą? Zostawiłem bratu,
Chcąc w nim wystawić swoją familią światu.
To pycha; lepiejbys był ubogim zostawił,
Przedawszy ją, jakom cię w ewangelii sprawił.
Miałeś rzemiosło w ręku, miał rozum, miał zdrowie,
Robić się to nie chciało. Tak Sędzia odpowie.
Miałeś czas do roboty, miał i do śpiewania,
Miałeś do odpoczynku noc i próżnowania.
Miałeś niedzielę, Boga chcąc chwalić na chorze,
Choć by rychlej w zamkniętej słyszał cię komorze.
Żyjże dziś pracą rąk swych: coś na ubogie dał,
To twoje. Wszakem dawno z tym się powiedał.

Do tegoż trzeci raz.

Jeden dzień od początku aż do końca świata
Słońce świeci; cień ziemie nocą go przeplata.
Przetoć Bogu jednym dniem wieki są, że cienia
Żadnego niemasz w niebie i ziemie zaćmienia.

Jednym dniem żywot człeczy. Na cóż liczyć roki?
Cień śmierci, grobowe go urywają mroki.
Skoro świecić przestanie słońce, człek żyć pocznie,
Czas tylko w ziemi, Bogu wiadomy, odpocznie.
Słońce już nigdy na swą sferę nie powróci,
Żadna wieczność żywota człeczego nie skróci.
Gdzie mu wznidzie dwojakie, ale słońce różne:
Jedno bez światła będzie palić niepobożne,
Drugie ludziom cnotliwym i świeci i chłodzi;
Żadne nigdy nie zajdzie, jakie komu wschodzi.
Jedno Dziś wszyscy żyją, drugie Jutro będą,
Niechaj sobie trzeciego dnia w głowie nie przęda.
Dziś krótkie, Jutro wieczne jedna noc rozdziela;
Kto dziś płacze, jutro się spodziewa wesela.
Kto dziś na świecie wesół, kto skacze, kto śpiewa,
Niechaj na tamtym płakać jutro się spodziewa.
Na dzień wszyscy żyjemy: skądże ta ślepotą,
Że sobie na tysiąc lat kładziemy żywota,
Wsi skupując, murując? A ono by trzeba
I te sprzedać, kto je ma, dla jutra, dla nieba.
Na dzień wszyscy żyjemy, choćby na słoneczny;
Cóż jest lat sześć tysięcy do wieczności wiecznej?
A dopiero siedmdziesiąt, jeśli ich kto dożeł,
Bo ten kres Bóg żywota człeczego założył.
Lecz w tych lat siedmiudziesiąt w każde oka mgnienie
Mogą przerwać dzień jego czarnej śmierci cienie.
Cóż tedy żywot człeczy? Nic. Mniej, niż pół nica.
Jako na deszcz z nabranej chmury łyskawica
Źle się pokaże, zniknie, a teźże minnty
Gradu, abo gwałtownej czekaj po niej pluty:
Trefunków, żalów, bólów, choroby, kłopotu,

Na ostatek pioruna częstokroć bez grzmotu.
Często, im na pogodę piękniej dzień rozjaśnie,
Nagroziwszy się długo, i krom chmury trzaśnie.

Ipsa dies, quandoque mater, quandoque noverca est.
Tenże dzień, co matką był, macochą się mieni.
Dwie beczce stoi — mówią — u Jowisza w sieni:
Jedna pełna piołunu, druga kanarseku,
Z których toczy ludzkiego dni i lata wieku.
Raz tym, drugi raz owym napawając trunkiem,
Czasem kanarsek miesza w też czarę z piołunkiem,
Że nie tylko dzień cały, nie tylko rok długi,
Lecz jedna będzie różna godzina od drugiej.
A co gorsza daleko, że szydłem kanary,
Sforniołem świdrem wierceł piołun do tej czary,
Gdzie z wierzechu spiwszy wino, choć jeszcze obrusów
Nie zdjęto z stołu, przyjdzie dopijać nam fusów.
Wielu przez wiek ich gorskim poiwszy piołynem,
Na śmiertelnej pościeli rozweseli winem;
Wielom, częstując przez czas muszkatełą długi,
Leje na koniec w gardziel pomyje i ługi.
Szczęśliwy, kto na wodzie, choć też czasem mętnej,
Przestaje, a poczesnej; nie zna obojętnej.

Więcej kłopotu, niż pożytku.

Ma to każde lekarstwo purgujące w sobie,
Że często womit, zawsze morzysko w chorobie
Czyni, żeby się odrzekł człek purgansu czasem,
Niż z takim flegmy z kiszek pozbywać hałasem.
Piękna żona mężowi tym lekarstwem i zła:
Choć brzuchowi dogodzi, głowę będzie gryzła.

Dopieroż jeśli, jaką wiem od siebie blisko,
Inszych purgując, czyni mężowi morzysko!
Porwonaby apteka moim zdaniem biesu.
Lepiejby mu maślonkę pić bez aloesu,
Byle z starej patoki wychędożyć kiszki:
Pojąc dobrą, enotliwą, nie patrząc gładyzki,
Kto chce być sercem wesół, a głowę mieć zdrową.
Rzadko enota i dobroć z piękną białogłową:
Z wierzchu łaeno, lecz trudno poznać jej ze spodu:
Zawsze ma aloesu więcej, niżli miodu.
Prędko miód do żołądka z garła się wysłiznie;
Długo zgagą aloes piecze, kto go liźnie.

Chleb ma rogi.

Jeśli ma do obrony koń kopyta chudy,
Zapomniał chyba, że je odcisnął od grudy.
Wół o rogach, owśianą jeśli słomą żyje;
Jeśli pies wiatrem, ogon między nogi kryje:
Niechże, dopadszy polcia, wyprostuje skórę,
Dźwignieć go trzeciego dnia, jako ożóg, w górę.
I wół poczuje rogi, i koń, owsa syty,
Kark jeży, uszy stawia, ciskając kopyty.
Toż się dzieje na świecie między ludźmi pewnie:
Przyjmiesz chłopca, choć nie masz co wziąć we dwie
[drewnie,
Wyćwiczysz, odziejesz go, aż wysławszysz boki,
Odąwszy pysk, będzie swej służby liczył roki.
Nie uważa psi bękart, że ma odslugować,
Bo go nikt darmo ćwiczyc nie winien i chować,
Będzie co raz większego domagał się myta.
Nie dziw, bo kiedy świniom odrosta kopyta,

Najmniej o tym nie myśląc, że im zaś oblaza,
Po płotach i po drzewach za kosami laza,
Stąd się wzięła przypowieść stara: chleb rogi ma,
Kiedy chudy, nabrawszy ciała, pysk odyna.
Do chłopstwa to należy: kto się czuje w rodzie
Szlacheckiem, ani chudy, ani tłusty bodzie.

Czubić głowę.

Lew grzywę, dzik szceć jeży, grzebienie koguci
Stawiają, koń kark łomie wprzód, niżli się rzuci.
Widząc nieprzyjaciela, czemuż ty pod kita
Głowę nosisz, mając pierś tehórzami podszytą?
Wasy ciągniesz. I zając zwyczajnie je puszy,
Nogi w drogę gotując, nim go z miejsca ruszy,
Żeby go miasto skrzydeł ulżywały z boku,
Kiedy mu chart ogona, abo siąga skoku.
Ja wiem, że nie ustraszysz nikogo, mój drogi.
Błyśnie szabla, aż kita z głowy spadnie w nogi.
Darmo ten czoło koźli i gębą belkoce,
Komu na przyszłą drogę kolano dygoce.
Długo zając dosiada, choć mu trabią heco,
Żeby ręcej uciekał. I tyś zając, nie co.

Dwaj za łeb, trzeci do kalety.

Wadzą się, kto z nich lepiej wytrząsa gardzielem,
Kto głośniej trabi: osa z pezołą, komor z émielem.
Więc kiedy sobie każde przypisuje gorę,
Za sędziego tej sprawy obiorą sikorę.
A ta jedno po drugim sadzając do brzucha:
Nie mam tak pojętnego — mówi do nich — ucha;

Tam wyraźniej zrozumieć sztuki wasze mogę,
A tymczasem ode mnie tę miejcie przestrozę:
Gdzie się dwu równych wadzi, niechaj doma zgodzą,
Niechaj do możniejszego sędziego nie chodzą.
W was się dziś ta przypowieść iści starożyta:
Dwaj za łeb, trzeci z boku za kaletę chwyta.

Sroka słowika zagłusza.

Rozumny i poważny dobrych szlacheć fortun
Dał wotum na sejmiku. Aż jeden importun,
Wpadłszy mu w głos, pijany leda co belkoce.
Tylkoć to, myślę sobie, głupiej wolno sroce,
Która, siadłszy na tejże, co i słowik trześni,
Rzegoce, wdzięczne jego zagłuszając pieśni.
Jeśli ją kto chce spłoszyć, spłoszy i słowiki:
Takie nam, żal się Boże, sroki rwą sejmiki.

Inaczej szczenięta, inaczej pachną świnię.

Pies wiatrem, kozieł parchem, kiernoz gnojem kadzi,
Jeśli które do izby człek z dworu wprowadzi.
Aptekę maść, karczmę szynk, jatkę znaczą flaki.
Ma i człowiek z osobna każdy swoje znaki:
Może, kto się na tym zna, z miny, z czoła, z twarzy
Zgadnąć, w którym się komu stanie rodzić zdarzy.
Gdyż nie tylko fortuna, ale i natura
Szlachećca od zamsika różni i od gbura.
Nie wielkim: trzy słowa go wydadzą zawodem
W szlacheckim posiedzeniu, kto jest i skąd rodem:
Chłop krewnych będzie w Rusi liczył i w Mazoszu,
Obozy, choć w nich ledwie służył na łogoszu;

Czując nie w karmazynie wełnę, z tego względu
Jakiego takiego się domaga urzędu.
Zamsik na plac z handlami, z intratami jedzie,
Prawi, jako się komu, jako jemu wiedzie.
Szlacheć Rzeczypospolitą, prawa, stare dzieje,
Co nierządem weszło, co wypadło z koleje.
Choć ci dziś szlachta więcej, niżli o statucie,
I na sejmikach gada o flisie, o szkncie,
Chłopi zaś tak przy kuflu, jako i przy pługu,
Ni o czym, prócz o Rzeczypospolitej długi,
Że dla złego szafunku przez ludzi prywatne
Zniszczało, opieszało wojsko, bo nie płatne.
Choćby z nich skórę zdarto nie tylko do sierci
Bydlęcia, borgowych mu nie wypłacą ówierci.

Równi łąco się zgodzą.

Podczas wojny kozackiej, gdzie nam ani wojska,
Ani stało pieniędzy, chłopów ruszyć z boiska
Od cepów i od pługów z całej Polskiej na nie
W ten sens było jednego senatora zdanie,
Wotum swoje racją twierdząc barzo słabą:
Nie przed czarną dowojcy biała nie ma chabą.
Aż mędrszy: Fraszka barwa! Po sercu żołnierza,
Konia, charta po nogach, ptaka poznać z pierza.
Niech i koń, i chart rączy, niech ptak będzie lotny,
Darmo z nim łowiec w pole, jeżeli nie ochotny.
Czy tarantowaty koń, czy kary, czy siwy,
Byle nóg podufałych, byle natarczywy.
Zubra chce łomąć z jarzma wyprężonym bykiem,
Kto radzi na kozaków kmieci wywieść szykiem.

O wolność się kozacy z pany swymi biją:
Nuż się tąż zapowietrzą kmiecie fantazyą,
W cięższej stokroć niewolej zostając, niżli ci?
Suchego drewna płomień i z dymu się chwyci.
Pamiętna przypowieści starej to nauka,
Że kruk, choć się powadzą, nie osłepi kruka.
I kawki, choć nie znają, ledwie się dosłyszają,
Przeciwko jastrzębowi zaraz stowarzyszają.

Szydła na motowidła.

Poimawszy złodzieja, który dawno kradł,
Rozkaże sędzia, żeby na śmierć się spowiadał.
Kalwińskiem go jurysta argumentem broni,
Że się nikt przeznaczeniu Boskiemu nie schroni:
Kto do czego urodził, jako Bóg naznaczy,
Choćby najbardziej chciał żyć, nie może inaczy.
Przedwiecznym człek natury i ten przywilejem
Koniecznie kraść, koniecznie musiał być złodziejem.
Nie może świnia zowceć, nie może pies zrysieć.
Więc mu też — rzecze sędzia — naznaczono wisieć.
Już nie moim dekretem, wiecznych wrogów losem
Na szubienicę z ratusza niech idzie z profosem.

Wójt z panem pije.

Sporą czasą senator jeden do mnie pije
W domu swym, ale tylko dno winem przykryje.
Potym z inszej już fiasze nalaną mi strychem
Oddawszy, prosi, żebym tym spełnił kielichem.
Krzywda i wzgarda oraz, mości dobrodzieju,
Lepiej wedle starego — rzekę — przywileju:

Co w mię. to w cię. Żeś waszmość wyższy nad mię
[stołkiem,

Przecież łogoszowym niech nie będę pacholkiem.
I wina mogę tyle do piwnice kupić,
Choćby się z przyjacielem w domu co dzień upić.
Kaź tyle z tejsze fiasze nalać, co i sobie:
Kto mocniejszą ma głowę, doświadczym na probie.
Czymes waszmość dziś, jutro ja być mogę — powiem.
Wymawia się z grymasem słabiuseńkiem zdrowiem.
Szlacheckie zdrowie — rzekę — pańska jest choroba;
I mnieć też zbytek wadzi, pijmyż piwo oba.

Żółw z jeleniem.

W jeden zawód o zakład, ale różnie bieżem:
Ci jeleniem, ci żółwiem, ci rakiem, ci jeżem.
Nie dziw, że siłu żółwiów, jeżów, siłu raków
Wyścignie do niebieskich jeleń zodyaków,
Bo go Bóg słowem swoim, jako Dawid śpiewa,
Nagrodam wiecznych pociech do biegu zagrzewa,
Czyniąc apetyt w żywej krynicy ochłody,
A gadzina pozdycha na drodze bez wody.
Niech rak, żółw ze skorupy, z ości tego świata,
I ciała jeż wylezie, niech sokołem lata,
Wylekczyć i wylenić z jeleniem się musi,
Kto o tak drogi zakład, żywot wieczny, kusi.

Z ziemię wyszedł.

Ziemia powszechna matka wszystkich świeckich rzeczy:
Z niej Adam, a z Adama idzie rodzaj człeczny.
Rzeczeli kto, że Ewa? Niechaj gębę zatka,
Bo Adam Ewie ociec i mąż był i matka.

Dla tego dziś bękartą przypowieścią nową,
Synów niepewnych ojców, synmi ziemię zową.
Co się nie niebu z Boga, ziemi z świata rodzą,
Bękartami są wszyscy i w ich komput wchodzą.
Któż tedy będzie ojca synów Bożych żoną?
Duch święty, słowo jego, lecz niewysłowioną
Mądrością: bo w czyje to serce padnie siemię,
Jego dziecięciem bez krwi, bez ciała, bez ziemi.
Lecz trzeba świętym, czystym, trzeźwym, nie obżartem,
Kto chce być tego ojca synem, nie bękartem.
Jakoż się ich wielu krzci w jego imię: kto by
Wierzył temu? aż skoro przychodzi do próby,
Kto ojcowskiego wytrwać karania nie może,
Wydaje nieuczciwe ciała z światem łoże:
Dyabła ojcem, śmierć matką, która piekła syny
Rodzi smutnych dziedziców na żalodne krzyciny.

Kto ochotnie daje, dwa razy daje.

Stargowawszy wieś między Donajcem a między
Wisłą, nie dostało mi do kupna pieniędzy,
Więc proszę przyjaciela, co był w nie bogatem,
Żeby mi chciał do roku pożyczyć za płatem.
Obieca. Posyłam raz, drugi, trzeci, czwarty,
Dają zapis grodowy, dają ręczne karty.
Zwłóczy ode dnia do dnia: to się tym, to owem
Wymawiając. Rzeczą nic, gołym karmi słowem.
Aż skoro czas mojego upłynął zawodu,
Wieś kto inszy zapłacił, każe mi do grodu
Dla zapisu. Dziękuję, mój panie łaskawy!
Bóg a mieszek przyjaciel — powiedają — prawy.

Próżna pomoc po wojnie, po obiedzie łyżka.
Mam bez ciebie przyjaciół dosyć do kieliszka.
Czas uczynność zaleca; we dwoje mam szkodę:
Gdzie indzیم się nie starał, na tobie zawiodę.
Ale nie wyrównają te obiedwie z trzecią,
Żem prosił, żem ze wstydem kłaniał przed waszecią.
Tamtych poścignę, jeśli drugi raz się przyda;
Tego do śmierci, żem tak honorował żyda.

Poszanowanie ludzkie naukę pomnaża.

Sama była nauka, sama cnota sobie
Nagroda. Dziś do takiej hańby przyszły obie:
Nie dasz tyki, po jakiej pną się w górę chmiele,
I cnota się po ziemi, i nauka ściela.
Nie chce nikt być enotliwym darmo i uczonym,
Choć się cnota oplaca życiem nieskończonym;
Ale że aż po śmierci, wolimy doczesne,
Wolimy krótkie w grzechu, byle ciała wczesne.
Choć nie wiedząc o wiecznym poganie żywocie,
Najwyższe swoje szczęście pokładali w cnotcie.
Gdzieby nie miała względu, nie miała poporu,
Abo dobrego mienia, abo więc honoru,
Przyszłoby ojcom, jako papugi i kruki,
Głodem pewnie przymuszać synów do nauki.
Jeszczeż nauce trzeba pieniędzy, bo to ma,
Że się ani bez księgi, ani rodzi doma;
Ale cnotcie co po nich? Bez pieniędzy zdoła
Wszystkiemu: serce księga, serce mu i szkoła.
Choć ci sama pamiątka, bo trwa równo z światem,
I cnotcie by mogła być, i nauce płatem.

Bo jej żadna odmiana czasu z nas nie złupi
I przyjaciela nie ma, kto go dziś nie kupi:
Tak dalece plugawe łakomstwo świat błazni,
Ze wszystko, ale nawet sprzedajne przyjaźni.
Przyznaję, że nie drogo, o czym wszyscy wiedzą,
Ale mówią, że tanie mięso i psi jedzą.
Kupić go przy obiedzie za kieliszek wina,
Za tenże przy wieczerzy pozbyć — nie nowina.
Prawda, że to przed laty w swoim było świetle:
Dziś cnota i nauka i przyjaźń w pomietle,
Pośmiewisko odnoszą za poszanowanie:
Raz tysiąc złotych, drugi trzy grosze w liczmanie.
Do palca w tym rachunku stosuje się kwota,
Do potrzeby nauka, przyjaciel i cnota.
Odprawiwszy rachunek, skończywszy swą sprawę,
Z liczmanami przyjaciel w kącie, albo pod ławę.
Niemasz Horacyusów, Maronów, Seneków,
Bo niemasz Mecenatów, Augustów tych wieków.

Długo trzeba stary dąb rąbać.

Latorośl nożem urzniesz; co i tehu, i pary,
Cały dzień trzeba rąbać, kto chce dąb ściąć stary.
Świeżą ranę uleczysz; jeśli ją zagnoi,
Nie rychło, albo nigdy balwierz nie zagoi.
Wždy się prace nie wzdrygać, żebyś miał czym palić,
Dąb ściąwszy; ani kosztu, zdrowie chcąc ocalić.
Nie wzdrygaj najtrudniejszej sprawy podjąć, gdzie się
Nagrodzi i pożytek sowity przyniesie.
Zawiła sprawa? nic to, jeśli sprawiedliwa:
Idź w Boży czas na ratusz, będzie i szczęśliwa.

Tylko trzeba twardego do siekiery głazu,
Czoło pocić, bo dębu nie zetniesz do razu.
Bo każda rzecz na dobrym rozmyśle należy;
Inaczej nie jeden jej w połowie odbieży.
Długo słuchać, nim mówić, siła czytać musi
Pierwej, niż się kto o czym księgę pisać kusi.
Łacno grzech wykorzenie z młodego dziecięcia,
Ale jako dorosły dąb trudny do ścięcia,
Tak młodzieniec; dopieroż mąż, dopieroż stary,
Skoro wierzchem i spodem zawile konary,
Grzechom przez długi wiek swój nawykszy, rozpostrze!
Rychlej na sęku zwinie u siekiery ostrze.

Choćby osieł psa ukąsił, do prawa.

Uchwycieł pies za ogon konia pod sąsiadem,
Ogłuszeł psa na miejscu koń, rzuciwszy zadem.
Pozywa ten, co jego pies był, do ratusza
Sąsiada, że jego koń psa jemu ogłusza.
Skarży, że choć narowu złego szkapy wiadom,
Jeździ na niem i stróżów zabija sąsiadom.
Więc sędzia dekret na to napisawszy, czyta:
Winniejszy pies, co konie za ogony chwyta;
Niechaj na złego człeka szczeka, niech go kasa,
A ogonów pod ludźmi koniom nie wytrząsa.
Nużby szlachezca zrucieł, zabił, okaliczeł?
Żeby czternaście grzywien aktor za psa liczeł
Pozwanemu. Ten kiedy z płaczem daje grzywiny:
Któż się spodział, żeby miał dekret paść przeciwny?
Dobrze tak na piniaczów, co się kłóć radzi,
Co im na nosie mucha do sąsiada wadzi.

Nie zawsze, nie o małą zwłaszcza rzecz do grodu!

Lepszego nad ten przykład nie trzeba dowodu.

Uchwyciwszy za ogon, wziął pies w łeb kopytem;

Nie wygrałeś, pozwawszy, i sam będziesz przy tem.

Taki li dekret, jakiś w swej napisał głowie,

Potka cię od sędziego na ratuszu? Kto wie?

Jeśli cię, jako psa koń na obiedwie uszy,

Na mieszk i honorze oraz nie ogłuszy?

Mała li szkoda, ani twej się sławy tyka?

Puść imo się! Tak cnota chce i polityka.

Pokój odniesiesz w zysku, chyba, żebyć staniał.

Nie będziesz prawnym płacił ani sędziom kłaniał.

Gdzie się tycze honoru, abo znacznej szkody,

Nie zatrzymuję: puszczaż szczęśliwie w zawody.

Na to życzę pamiętać: jeżeliś nie ty dał

Okazy, żebyś się przed sądem nie wstydał,

Żeby cię twoim własnym, bo się trafia i to,

Widzieliśmy przykłady, kijem nie wybito.

Grzesznego choć mysz ukąsi.

Zły człek, co go sumnienie skrycie w sercu nudzi,

Za pomstę kładzie sobie, że go mysz obudzi.

O leda brydnią gniewa, hałasuje, kłóci,

Tylko sług nie rozżenie, domu nie wywróci.

Cnotliwy zaś, choć go pies wściekły okaliczy,

Cieszy się, że do swojej woli go Bóg ćwiczy.

Wie, że bestya głupia; wie, że jako wodzie

Deszczowej ziemia, tak człek podległy przygodzie.

Nie mają zli pokoju, choć w największym wczasie;

Śpią dobrzy w burzących dział trzasku i hałasie.

Po jednym włosu wyrwiesz ogon koniowi.

Po jednej strzele biorąc, cały tuzin złomie;

Lecz jeśli je kto oraz chce złamać łakomie,

Żadnej, czego dokument wzięwszy od Sylura,

Daje nam Holenderskiej minnice figura.

Baba linę, po jednej wyjmując z niej przędzy,

Niż rycerz, chociaż cienki stryczek, starga przędzy.

Ani ogona szkapie, ani w grzywie kosy

Nikt w kupie, chyba skubąc po jednym włosy.

Chee li nieprzyjaciela większego w potędze

Słabszy ponękać, przykład z babiej niechaj przędzie

I z końskiej bierze grzywę: wprzód, niż się z niem

Niech rozdwoi, niech sieły jego rozprowadzi. [zwadzi,

Przybrawszy z inszej strony sobie mu podobnych,

Jako może najwięcej nieprzyjaciół drobnych.

Jednemu psu leda dziad opędzi się snadnie,

Byle miał kij; niechże go kilku ich opadnie,

Odrzekłby się szeląga, ba i półtoraka,

Kiedy wezmą obracać w koło nieboraka.

Kwicz swinia w pół boru w paszczęce u wilka:

Niechże się jej na pomoc w kupę zbieży kilka,

Już nie kwicza, ale szczeć najeżywszy, rzeką,

Jeśli wczas nie uskrobie, i wilka wyłęką.

Gniewa się, żeby nie dał.

Zwątpiwszy w niebezpiecznej o sobie malignie,

Posyła po doktora wprzód, nim duszą rzygnie,

Bogacz jeden, lecz skapy, i przysięga z płaczem,

Ozdrowiawszy, że mu da tysiąc złotych. Zaczem

Zakrzątnie się Włoch pilno, po aptekach biega,
Że pacjent niedługo chorobę wylega.
Gdy przyszło do tysiąca, tym złoży terminem,
Że pieniądze w szkatule za kluczem żeninem;
Nie bez wielkiego sumnę liczyć by hałasu,
Ale mu pewnie odda wolniejszego czasu.
Potkawszy go w Krakowie w pół roka, abo mniej:
Daj, panie, coś obiecał — doktor się upomni —
Wszak wiesz, jakom się szczerze o tve starał zdrowie.
Aleć już zapłaciła pani — ów odpowie.
Przysięga Włoch, że od niej nie wzięł i kwartnika,
A ten z gniewem: Jakci Włoch szlacheicowi tyka,
Kiedyby też waszmościać szlacheie polskiej, Włochu!
Każyć miasto pieniędzy w oczy nasuń prochu.
Nie swego tak mów, by cię zabito, profosa,
Nie do mnie! Z tym poszedł precz, grożąc mu od nosa:
Nauczę ja cię mores! Doktor mu się sprawia,
Że, w Polszcze gościem bywszy, źle język wymawia.
Ale gdy się ów co raz za obuch pomaca,
Ruszywszy ramionami: Anoż moja praca!
Z tej się dziś każdy doktor okazyj zgorzsy,
Że nie poradzi na borg, choćby człek najchorszy.
Dopiero, kiedy mu w garść złota włoży, jedzie,
I dla tego też często łyżka po obiedzie.
Abó widząc, że większa nie potka go płaca,
Pokwapi nazad, ledwie że pulsów pomaca.
Bo też więcej nie umie. Dość, gdy po klisterze
Krew każe puścić. Kto wprzód, nim robotę bierze,
Płaci rzemieślnikowi? Każdy wielce głupi:
Bo i drogo, i nie to, co stargował, kupi.

Wojna z wojny. Swar ze swaru.

Długo tam trwa żaloba, pogrzeb po pogrzebie,
W którym domu zagoszczą raz kiery i zgrzebie.
Tak i wojna, i prawo: najciężej je począć;
Nie zaraz się spodziewaj w pokoju odpocząć.
Choćby ten rad, co wygrał, ale mu ów nie da,
Który przegrał, bo zawsze pomstą odpowiada.
I choć nigdy, czego chce, tego nie dokáže,
Byle klóćciel, w tym tylko liczy awantaże.
Trafia się, że fortuna kością opak rzuci:
Smutnego uweseli, wesołego smuci.
Tak z grabią, jako z babą barzo łacna zwada:
Kto moeniejszy nad grabię? Kto babę przegada?
Inaczej ja bym życzył: dać pokój obiema;
Zwadę każdy w swej gębie, ale zgody nie ma.

Jaki pan, taki kram.

Więcej na przewodniku i w drodze, i w boju —
Mówię — dobrym należy, niżli na konwoju.
Jeśli głupi przewodnik na zły raz wprowadzi,
Mądra głowa i mężna ręka nie poradzi,
Zwłaszcza tam, kędy grzeszyć dwa razy się nie da.
Tak przyjęta od wszystkich przypowieść powie.
Chce li pan, żeby żyli poddani wedle praw,
Niech sam prawa przestrzega, niech nie będzie niepraw.
Chce li urząd spółmieszczan w posłuszeństwie trzymać,
Nie ma się sam wyższemu urzędowi wyimać.
I cokolwiek królowi zdało się uchwalić,
Płacić równo z inszymi, na chudszych nie walić.
Do naprawy plebanów sposób barzo snadny:
Kara wprzód, potym biskup pobożny, przykładny.

Za biskupami księży, pospólstwo za księży,
Jako za jasną świecą, pójdą w niebo sprzęży.
Hetmanem wojsko stoi, preceptorem szkoła,
Dom gospodarzem: już tam krzywo chodzą koła,
Kędy woźnica głupi; i szkuty zawisły
Na rotmanie, mądry li, abo wiadom Wisły;
Inaczej, jeśli dotąd straszyl ryby tłukiem,
Lepiej było pilnować łogosza hajdukiem.
Tę każdy przełożony niechaj ma przestrożę,
Że rychlej swą natura może zmylić drogę,
Niż poddani od króla, żołnierz od hetmana,
Niż mniszy od opata, abo gwardyana.

Milczenie zgubiło miasto.

Ma swą pochwałę mowa, ma swe zalecenie,
Będzie li wedle czasu oboje, milczenie.
Jako zaś z drugą stroną jeżeli nie w czesie,
Często szkodę oboje, często zgubę niesie.
Milczanyć powetuje, lecz co się raz rzecze,
Stem cugów człek do gęby nazad nie wewlecze.
Sławne przed laty miasto u Greków Amikle,
Które z sąsiadów miawszy nieprzyjaciół zwykle,
Często, ale niepewne dochodzą go słuchy,
Że już ciągną; stąd w mieście ustawne rozruchy.
Aż się im to uprzykrzy, aż prawo napiszą
Gardłem karać, od kogo taką wieść usłyszą.
Dowiedziawszy się tego nieprzyjaciół czuły,
Że nikt nie będzie ważył przestąpić reguły,
Przyszedłszy, wziął Amykle. Nie rychło postrzegą,
Skoro ich niegotowych niespodzianie zbiegą,

Że się było sto razy lepiej darmo trwożyć,
Niżeli niewolnicze jarzmo na kark włożyć.
Wołajcie, kaznodzieje, bo to wam należy:
Dyabeł świat chrześcijański, nie miasto, ubieży!
Mieście się do oręża, gotujcie do bitwy,
Do enoty, do pokuty, do świętej modlitwy.
Porwiecie się z grzechowych betów, stójcie w wierze.
Dyabeł szturmem fortecę dusze naszej bierze.
Wołają, przestrzegają, ale ich przestroga
Na wiatr; tak spowszedniała w sercach ludzkich
Że nieprzyjacielowi nie tylko ich bromy, [trwoga,
Ale prywatne stoją na ościeżą domy.
Bo ciż, co sobie dusz ich przywłaszczyli pieczę,
Złym przykładem, co trwożyć mieli, ubezpieczą.
Osiadłszy po kościołach pysznych ambon wieżą,
Nam każą stać w paracie, sami w grzechach leżą.

Do starego żłobu.

Chudy pacholek, w rękę nie miawszy rzemiosła,
Włóczel towary, biorąc ze Śląska na osła.
Zrazu wstążki, forbotki, szkot, włóczki, kramrasy,
Dalej kitajki, mory, potym i hatłasy.
Przyszedłszy do tysięcy, przybyło mu buty:
Skupował, jako frochtarz, pszenicę na szkuty.
Dał potym na arendę ostatkiem, co zbywa:
Aksamity sobolem i rysiem podszywa,
Fryzy sprząga do karoc, w karawanach żmudy.
Kto nie znał, nie był nigdy ten pacholek chudy,
Bo gotowych pieniędzy ma gdzieś w sklepie kadzią,
A on ledwie arendą wyżywi z czeladzią.

Toż skoro z cudzej wioski przyszło czynić rugi,
Co gorsza, niemasz za co arendować drugiej,
Ba jeszcze dłużen ludziom, bo te aksamity
I te splendece więcej bierał na kredyty,
Aż śnieg za przesileniem pocznie tajać mrozu:
Nie do karoce, niemasz co zaprządz do wozu.
Frezów połowa zdechło, połowa, jak haki,
Ledwieby szor uniosły, uciągnęły taki.
Poszły dyamentowe do Hebreów spinki,
Z nóg portki aksamitne, z grzbietu rysie cynki.
I one *pon di veni*, one *pon di pary*
Poszły z żony do żydów kamienice szary.
Aż mój znowu do frochtu, ale kiedy i tu
Niemasz pierwszego szczęścia, we Gdańsku odbytu,
Powraca, wiadomego jąwszy się sposobu,
Z osłem swoim na Śląsko do starego żłobu.
Już był począł drugi raz wyścielać kieszenie,
Spadszy śmierć, uczyniła koniec jego scenie.

Poślesz świnie, przyniesieć ono.

Młodzian jeden, do damy idąc w komplementy,
Żeby kupiwszy bukiet kwiatkami opięty
Przyniesie sobie od damy drugiej, chłopcu każe;
Za mu ta z zelozyej większą cześć pokaże.
Przyniósł chłopiec, pyta pan, co dając go rzekła.
Nie. Schowawszy grosz, bukiet z kosza mi wywlekła.
Łacno o takie damy, co leżąc przy koszu,
Fawory kawalerom swoim ślą po groszu —
Rzecz owa, śmiejąc się — przynajmniejby taler
Mógł być zań, jeśli grzeczna, posłać jej kawaler.

Dość przypowieść dzisiejszą utwierdzi się próbą:
Podobni sobie łącno w targu zgodzą z sobą.

Za fortuną życie.

Ta, co go od młodości, jest się czemu dziwić,
Wieś na starość człowieka nie może pożywić.
W jednej skórze wół, w jednej aż do śmierci szubie
Bydło chodzi, jednaką co dzień trawę skubie.
A człek, jako fortuna rozpuści, lub ścięśni
Popręgów, raz ubożej, drugi żyje wcześni.
Za szczęściem, nie za zdrowiem żywot swój obraca,
Nie nie myśląc, że go tą alternatą skraca.
Nie co rok, co dzień by rad szacie inszej mody,
Inszej farby dla pychy, nie dla swej wygody;
Tak trzy lata kolasą parą jeździł koni,
Dziś mu trzeba karoce, sześci frezów do niej;
Dość było sztuki mięsa na obiad z ogorkiem,
Nie siedzie bez cymentu dziś za podwieczorkiem,
Bez zwierzyn, bez konfitur, choćby z świata kraju;
Przestało się na piwku, dziś wina z Tokaju;
Więcej jedna kolejna, jedna go wiwata
Wyszynkuje, niż piwa wyszło za trzy lata;
Przedtem się jadło ledwie że nie pod opończą,
Dziś kapela poczyna, gdzie trębacz skończą.
Tego przy senatorskim sława chce dostatku.
Prawda, że się to czasem mieni na ostatku:
Jeśli śmierć nie uprzędzi tej odmiany cicha,
Nie jeden, w pół ustawszy, na fortunę wzdycha.
Ktoś spadnie blisko kresu, nie tak ludzi śmieszny;
Kto daleko, wędrować długo musi pieszy.

**Aniś ty sfinksem, ani ja Edypem.
Do jednego poety.**

Czytam, nie czytam, składam twych wierszów sylaby
Tak trudne, tak zawile, prawdziwie trzebaby
Samego Apollina z Delfu gdzieś sprowadzić;
Bo nie ja tylko, lecz nikt nie może im radzić.
W jednej z owym kazaniem tve rymy kolei,
Co go słuchacz nie pojął, skryte kaznodziei.
Poszły na pismo mego coś manualisty:
Musiał sam dla czytania swoje nosić listy.
Kiedybyś też przyjechał i ty do mnie raczył,
Żebyś niezrozumiane wiersze wytłumaczył!
Szkodaby się nad ludzi wysadzać dowcipem,
Bo jakoś ty nie sfinksem, tak ja nie Edypem.

Przyjaciół stołowy.

Tego w liczbie bogatych ludzie kładli starzy,
Komu szczęście przyjaciół podufałych zdarzy.
Stąd przypowieść: tam honor, tam zawsze wesele,
Tam wszelaki dostatek, kędy przyjaciele.
I prawda, dzisiaj opak napisały trzeba:
Tam przyjaciół, gdzie siła wina, mięsa, chleba.
Nie wierz, bo tylko póty, choć kłęcząc przysięże,
Póki tuczy w gardzieliu palcem nie dosięże.
Poszło wino za węgiel, gotowy cię jutro
Komu inszemu za nie sprzedać świnie futro.

Mędrsze jaja, niż kury.

Kiedy idzie po radę do starego młody,
Jakby chciał próżną konwią w stawie nabrać wody.

Należyta rzecz robi; to postępek szpetny,
Gdy jej człek u młodego szuka długoletny.
Jakby pełnym, abo też naczyniem dziorawem
Na suchej wierzchowinie czerpał ją przed stawem.
Już mógł być bakalarzem i komu, i sobie,
Jurystą na ratuszu, lekarzem w chorobie.
Dość szkoły lat sześćdziesiąt. Najdziesz jednak dziada,
Co dopiero litery w obiecedle składa:
Dopiero się poczyna uczyć Bożej woli,
Kiedy widzi, że go śmierć z nauki wyzwoli.
Pługiem nie orał ani rzemiosłem się bawieł,
Zwłaszcza bywszy szlachcicem. Na czymże je strawieł?
Dworem, wojskiem, ratuszem? Tamci to i szkoła
Doświadczenia, tam pole, skąd miód bierze pszoła.
Księgami? Czemuż głupi? Gdzież jego nauka,
Kiedy jej krom sromoty u młodszego szuka?
Żył, żeby jadł, żeby pił; nie jadł, nie pił, żeby
I sobie żył, i ludziom dobrym od potrzeby.
Abo też na tym lata skłopotane styrał,
Żeby jako największych bogactw odumierał.
Znowu nie żył, tylko był rówien dzikiej świni,
Która miasto pożytku ludziom szkodę czyni.

Żołnierzem człowiek na ziemi.

W szyku zawsze stoimy, przeciwko nam strzela
I rzadko swoimi się razami omyła
Tysiąc tysięcy przygód fortuna. Nawiasem,
Choćby najlepszy strzelec, chybi celu czasem;
Ta nigdy: choć nie patrzy, z blizka czy z daleka,
Bo ją ślepo malują, zawsze trafi człeka.

Bywa i to, że często, w kogo mierzy, minie,
A ten ranę odnosi, co się jej nawinie.
Ma i działa, kiedy chce kogo skarać z grzmiotem:
Nie umkniesz; rychlej się swym narazisz obrotem.
Im się kto bardziej chroni, bardziej ubezpieczy,
Tym go prędzej, tym gorzej z zasadzki kaleczy.
Więc zawsze, póki żyjesz, trzeba stać w paracie,
Żeby nie niespodzianie nie przypadło na cię.
Czyste sumnienie, wzgarda śmierci, wzgarda świata,
To puklerz, to rynsztunek, to na nią armata.
Bądź gotów na drugi raz, kogo pierwszym sparza:
Trafiwszy w słabe miejsce, rzadko nie powtarza.
Kto serdecznie sztych pierwszy wytrzyma tej paniej,
Widząc, że nie po plecu, zaraz spuści taniej.
Kto się na pierwszy skrzywi, i drugi, i trzeci,
Dawszy jej wrąb w serce swe, pewnie go doleci.

Ploratur lachrimis amissa pecunia veris.

Pytam, kto: czy ubogi bardziej, czy bogaty,
Jeśli go szkoda potka, żałuje swej straty?
Ja twierdzę, że jednak, bo choć, różni wzrosty,
Ten ból cierpi chłop wielki, co chłopiec, od chłosty.
Tak właśnie kosmatego, jak łysego boli,
Kiedy go abo skubie, abo sucho goli.
Mniejszy tego frasunek i mniejszy żal ubieł,
Co nie miał, niżli tego, który miewszy, zgubieł.
Ma apetyt pieniędzy, ale nie ma żalu,
Bo ich nie miewszy, nie mógł dziad zgubić w szpitalu.
Cały żywot narzeka, nie może być żadną
Miarą uspokojony, komu je ukradną.

Jednego Dyogenes miał sługę ubogi:
Skoro mu uciekł, bo chleb zwyczajnie ma rogi,
Nie chciał go nazad przyjąć, dokładając tego:
Może on żyć beze mnie, i ja też bez niego.
Szczęśliwy, co nie więcej nie winien nikomu,
Tylko czego odmówić sobie może w domu.

Wedle stawu grobla. Wedle wzrostu armatura.

Wielki chłop, wielkiej mu też trzeba armatory,
Żeby mógł okryć członki ogromnej postory;
Bo jeśli dla ciężaru skryć wszystkich nie zdole,
Łacno ugodzi w miejsce nieprzyjaciel gołę.
Mały zaś, dziedzierzysty odzieje się mniejszą,
Nie obciążywszy ciała, bo daleko lżejszą.
Kroczy obrzym szkarady, ba, jako rak, lezie
Wszytek od wierzchu głowy do stopy w żelazie.
Czy nie mógł, czy zapomniał, obwarować czoła.
Skoczy do niego Dawid ręcej od sokoła,
Pięć krzemyków, a proca to jego armata,
Choć nań Saul chciał kirys wdziać, na Goliata
I tak dobrze go pierwszym między oczy chlusnął,
Że padł jako dzwonnica, jako mucha usnął.
Niczego się tu ludzie nad nędzę nie boją:
Na tę w pieniądze, na tę w dobre mienie zbroją.
Cóż po nich więcej nad to, kiedyć ich dostanie,
Żebyś nędze do śmierci w swoim nie znał stanie?
Od przygody, powiedasz? W tym cię nie zawiodę:
Prędzej daleko zwabisz, mając je, przygodę.
Więcej ich na pieniądze, niż na zdrowie twoje:
Żywota nikt, te każdy radby miał za swoje.

I tak żebyś je komu inszemu zostawił,
Oraześ się pieniędzy i żywota zbawił,
Choćbyś nie tego tylko, co chowasz w szkatule,
Widząc śmierć, odżałował ostatniej koszule.
Dość grosza; nad potrzebę kto ich więcej zbiera,
Żywszy tu w strachu, często żałośnie umiera.
Niechaj się człek opatrzy, jak chce, dobrym mieniem,
Trafi w gołe nieszczęsna przygoda kamieniem.
Siłuż, komu inszemu odbiegszy pieniędzy,
I żyje, i umiera w oplakanej nędzy?
Nieba nie wspomnie, kędy wielbłąd uchem wprzody
Igielnem przejdzie; piekła, gdzie jako do wody
Jeleń spragniony tąży, tak ze złota worem:
Do piekła — jak po mydle, do nieba — oporem.

Boska krzywda Bogu należy.

Każdy to świętokradzca, co ukradł rzecz Bożą —
Twierdzi ksiądz. Odpowiem: Więc niech w ogień
Wszystkich oraz złodziejów, bo żaden nie może [włożyć
Nie ukraść, żeby mógł rzecz: ludzkie to, nie Boże.
Cały świat jest kościołem: niemasz kąta, gdzieby
Boga nad wysokimi nie chwalono nieby.
Na to ksiądz: O poświętnych jemu rzeczach, panie,
Mówię; bo choć wszystkie dał ludziom w używanie,
Jego są, do kościoła ale co należą,
Świętokradztwem, nie prostą zowiemy kradzieżą.
Wždy nie wchodzą pieniądze w kościelne obrzędy,
Choć je tam pleban schowa, ba są drugie, kędy
Kłaść się ich na ołtarzu, ani tykać godzi
Kapłanowi, jakoż zwać świętokradztwem zgodzi?

Wyjąwszy pleban, może na grzech je utyrać,
Chłopu, nie kradszy, głodem przyszłoby umierać.
Gdzież ksiądz na to pracował, gdzie zapociał czoła?
Młynarzowi do młyńca, jemu do kościoła.
Wždy młynarz kamień kuje, wodę na jaz chwyta,
Ten ledwie co zaśpiewa, ledwie co przeczyta.
Więc się — rzekę — zgodzimy bez wójta, bez rajce:
Niemasz nad swowolnego księdza świętokrajce,
Co na ślub, na przysięgę swoją niepamiętny,
Do dyabła, świata żywot wykrada poświętny.
Nie podobniźby takich słusznym prawem palić?
Ojcowie, pasterzeście, chciejcie się uzalić!
Gdzież ociec syna, pytam, owcę pasterz Boży
W ogień o szkodę, żeby żywo spalił, włoży?
Przynajmniej wprzód, żeby miał na wieczerzą, zarznie,
Nim ją na rożen, nim ją odeśle do warznie.
Dopierom się domyślił, skąd poszło to lichó:
Że księża jawnie, a ci niebożęta cicho.
Mają tu pokój dobrzy, pobożni kapłani,
Którzy dość temu czynią, na co powołani;
Prawdziwi zbawienia dusz chrześcijańskich sprawcy,
Nie kradzey, jako inszy, ale świętodawcy.
Tego nie prę, że gdyby w nich przyszło do braku,
Ledwiebyś dziesięć pereł znalazł w korcu maku.

Każdy czas ma swój czas.

Każda rzecz ma czas, każdej rzeczy swój czas czeka,
Każdej rzeczy tak, jako woda, czas ucieka.
Nie zrobisz li czego w swym, gospodarzu, czesie,
Omieszkanie we wszystkim pierwsza zwłoka niesie.

Opoźdiesz siewem, pewnieć potym będzie ekliwo,
Kwiat widząc na swym życie, u sąsiada żniwo.
Był czas grzeszyć, radzielbym, póki pora latu,
W pokutę: dać czas w ziarno zawiązać się kwiatu.
Już to nie rychło, kiedyć ostatni raz łoże
Choroba na śmierć ściele, wstać z grzechu, nieboże.
Już tam żyto na wiosnę nieomylnie chybi,
Gdzie się abo w jesieni zmarzła rola skibi,
Abo pierwej, niż będzie nasieniem osuta,
Deszczową, śnieżną w błoto obróci się pluta.
Ziarnem dobre uczynki, rolą ciało czleeze:
Szczęśliwy, kto wczas wsieje, kto go w niej zawlecze.
Dziś ciepło, dziś czas siewu; odkładać go szkoda.
Siać w Boży czas! Niepewna na jutro pogoda.
Każdą w ten czas godzinę, kiedyć oczy mrokiem
Zajdą, zbiegłego wieku okupiłbyś rokiem.
Przeżyłeś lat ośmdziesiąt, wiek to nie pośledni;
Porachuj wszystkie nocy, porachuj wszystkie dni:
Trzydzieściś ich tysięcy przeżył, a nie minie
Zaden, żebyś nie zgrzeszył bodaj nie w godzinie.
Jakoż na jedną wszystkich grzechów swych minutę,
Gdzie cię rozum odbieży, odkładasz pokutę,
Gdzieć już i grzeszyć trudno, nie rzkąc dobrze czynić?
A sumnienie z długich lat tve cię będzie winić.
Próżny żal, bo nie wierzę, żeby kto poprawieł
W tak małym punkcie, co przez ośmdziesiąt lat kawieł.
Spadła z tablice, jeśli była która enota;
Samych grzechów została niezliczona kwota.
Miłosierny Bóg — rzeczesz? Prawda, ale i to,
Że sprawiedliwy, odda każdemu swe myto.
Dość miłosierdzia, że swym stworzeniem nie gardzi,

Że kto się chce nawrócić, w grzechu nie zatwardzi.
Dosyć to miłosierdzia i jego dobroci,
Że kiedykolwiek grzeszny do cnoty się wroci,
Już nie umrze, będzie li odtąd żył enotliwie,
Gotów przeszłe odpuścić winy miłościwie.
Jakoż się ma poprawieć ten, co żywszy biesu
Cały wiek swój, enocie żyć chce u śmierci kresu?
Nie dosyć grzechów przestać, ale począć enotę
Od najpierwszej pokuty należy mu, kto tę
Chce wierzyć obietnicę, gdyż się to przeciwi
Sprawiedliwości, żeby z grzesznymi enotliwi,
Tamci żyjąc rozkoszy, ci umarszy ciała,
Do równego mieli być przypuszczeni działu.
Nie słusznym się ten prawem spodziewa nagrody,
Że przestał na winnicy Pańskiej czynić szkody;
Jakby też złodziejowi za to co trzeba dać,
Że skoro go obieszszą, przestanie już kraść.
Niech, w czym kogo uszkodził, odrabia za winę.
Dość łaski, że nie pójdzie z katem na drabinę,
Jeśli sędzia pozwoli do roboty czasu.
Jeśli nie, na szubieńcę złodzieju z tarasu!
Grzeszniku w piekło! Dosyć łaskawiem się z tobą
Obchodzieł, przestrzegając śmiertelną chorobą,
Z której dźwigałem, patrząc na śluby, na wota.
Wiek i upór twój zamknął miłosierdziu wrota.

O czym wątpisz, nie czyń.

Wątpisz, czy wolno, czy nie, nie czyń tego zgoła.
Święty Boży napisał, słuchaj apostoła:
Grzechem jest wszystko to, co nie pochodzi z wiary.
Siłaż dziś grzechów bierze wolności maskary?

Choć jawne w pismach świętych stoi zakazanie,

Przecież się sami ludzie rozgrzeszają na nie.

Po trosze wina pijać każe, zbytku broni,

Dla żołądka, nie głowy apostoł; aż oni:

Może się upić śmieie i gorzałką, bo tu

Żadnego grzechu niemasz, byle bez wymiotu.

Bóg zakazał niewiasty pożądać oczema.

Wolno, jeśli ty żony, ona męża nie ma,

Sięgnąć nietylko okiem dla ciała wygody;

Wszak nie kupić w kościele poświęconej wody.

Tenże broni przysięgać, a dopieroż krzywo,

I grozi srogą pomstą; a my, jako żywo:

Byle się usta z sercem nie zgadzały, śmieie

Dla respektu przysięgaj; rozgrzeszą w kościele.

Księża, chociaż nie ujdzie grzech ten nie karany,

Kładą palec na krzyżu w Chrystusowe rany

Jeszcze o cudze grunty i o cudze kopy,

Choć Bóg ziemie kapłanom swoim nie dał stopy.

Sobotę Bóg, niedzielę Kościół do święcenia

Naznaczył, a my wedle swego rozumienia

Jawnie grzeszymy i to czynimy w święte dni,

Czego pod gardłem prawo zabrania w powszedni.

Poprawiamy też Boskich ustaw z inszej miary,

Podnosząc i zniżając wedle zdania kary:

Wolno zabić umyślnie, byle, jako ceni

Polski statut, miał tyle zabójca w kieszeni.

Złodzieja, choć czworako swą kradzież oddawa,

Jako Bóg oszacował, wieścić i bez prawa.

Prawda, że stare prawo nowego nie zmoże;

Nie wiemże, które lepsze: czy ludzkie, czy Boże.

Z osła spadł.

Nie dziw, kto z konia spadnie, gdy się pod niem wspina;

Z osła, co ledwie lezie, spaść — szpetna ruina.

Wygrał sprawę, choć się był z wojewodą zwadził,

Alić go równy szlachcic prawem z siebie zsadził.

Nie spadł z konia, dziękował; dziś łaje fortunie,

Że spadł z osła: bo tam miał sprawiedliwą, tu nie.

Na toż drugi raz.

Koniem duch, osłem ciało: siłuż ludzi spada

Z konia tego? na osłe do piekła dosiada

Na wieczną śmierć, gdzie znowu do jednego żłobu,

Złączywszy konia z osłem, zaprowadzą obu?

Kto przez świeckie na koniu dosiedział wertęby,

Szczęśliwy, bo żyć będzie nad wszystkimi nieby.

Nie spadaj! zsiadaj z osła, chcesz li być szczęśliwy;

Trzymaj się końskiej choćby i zęboma grzyw.

Baby jeżdżą na osłach, żydzi noszą pierza,

Abo skóry po targach, koń czeka żołnierza.

Wełny czeka po koźle.

Jako wełny po koźle, tak i ty, po stryju

Czekając spadku, będziesz wprzód chodził o kiju.

Nim kozieł sierci, drąc się po głogach, on prędy

Na winie, na zalotach pozbędzie pieniędzy.

Strzyż swą owcę, stryjowej nie czekając śmierci:

Daleko wełna sporsza na sukno od sierci,

Swoja praca od spadku prócz z ojca na syna.

Niejeden swoje traci, gdy cudzej dopina.

Od koni do osłów.

Postąpił z pieca na łeb: do osłów od koni.
Klecha został z kleryka; tu śpiewał, tam dzwoni.
Jeśli jeszcze grubarzem zostanie z dzwonnika,
Na ostatek do piekła nie źle się pomyka.
Z towarzysza chorążym, dalej porucznikiem,
Aż został i rotmistrzem, aż i pułkownikiem.
Pewnie go, myślę sobie, buława nie minie,
Pójdzie li po tej w górę tak sporo drabinie.
Lecz skoro wszystko przepieł w fortuny faworze,
Aż on, wdziawszy kapięć, drwa rąbie w klasztorze.
Złomał się pod niem szczebel, znać musiał być słaby.
Nie tak prędko w kominie twarde miękną sztaby,
Jako ubóstwo, byle szczyre, serce człeczce,
Rybę wędą, ze świata do nieba wywlecze.
Póki łoju w kaganku, póty jasno gore;
Nie stało go, aż gaśnie światło w niem niespore.
Komu sławę pieniądze dały, nie natura,
Prędko wysilić musi, jako z deszcza chmura.
Póki stron, póty skrzypka; to różni, że prędy
Ten ich, niż utracys dostanie pieniędzy.

Milczaną, jako chcesz, obróć.

Nie wiem, jak cię rozumieć: w dobrym posiadzeniu
Jeśliś głupi, mądrym się udajesz w milczeniu.
Jeśliś mądry, czemuż się milcząc czynisz głupiem?
Mów, daj się widzieć, w worze bo kota nie kupiem.

Tuta est puppis, modico quum flumine fertur.

Wielki gust, kto nad bystrą rzeką się przechodzi,
Większy ma ten, co blisko ładu pływa w łodzi.

Kto śmiałkując nazbyt się od brzegu oddala,
Znać, że nie wie, co może niespodziana fala.
Nie radzi umiejętność, bo tak nagle spadnie,
Że pierwej, niż u brzegu, twoja łódka na dnie.
Nie daleko myszkuje stary lis od lassa,
Jeśliby mu przed charty przyszło w dutepasa;
Młodzik, że niewiadomy, ale go to zdradza,
Bo rzadko z futrem ujdzie, w pole się wysadza.
Patrzyć z ładu na świeckich rzeczy radzę wiry,
Jako się ludziom sprysy, jako łomią styry.
Dziwić z góry umysłu wspaniałego świata,
Lecz karząc przykładami, nie wsiadać do batu.
Jeśli wsiedzisz, nie zawódź głębiej swego wiosła,
Żebyś wyskoczył, skoro fala się podniosła,
A im bardziej ucichnie, tym ludzi, żeby cie
O niepowetowane przywiodła rozbiecie.

Broda jak u proroka, cnota jak u draba.

Widząc tak osobisto zapuszczoną brodę,
Imaginuję sobie w tobie wojewodę.
Gdzieżby, co w niej włosów jest, to rozumu w głowie!
Zgasł grecki Areopag, rzymsey Katonowie.
I kozioł ci się z brodą rodzi, mój kochany;
Wždy nań dosyć rozumu przytknąć rzyć do ściany.
Chcąc piskorza poimać, co biega w zawody,
Leda kurwa to robi, choć nie nosi brody.

Niebo odmienia nie umysł peregrynacya.

Abo się ten ojezyźnie, abo mu ojezyzna
Nie podoba, abo go mierzi gotowizna,

Kto postronnych, ojczyznę zostawiwszy chłopcem,
Obyczajów pod niebem chce nawykać obcem.
Niech zjeździ antypody, Indye i Scyty:
Kto się błaznem urodził, będzie niem, jak i ty;
A kto grzecznym, tylko że w substancyej mniejszy,
Ale pewnie do domu nie wróci grzeczniejszy.
Bo jeśli nazbyt Paryż posmakuje komu,
Bywa to, nie ma po co wracać się do domu.
O naukach nie mówię, ale na *videre*,
Na tańce wioski tracić właśnie terebzdere.
Nie jednegoż dziś (mają pokój tu duchowni)
Którzy do Rzymu jeżdżą, odrwią niewędrowni.
Ostracyzmem u Greków karę taką zwano,
Kiedy kogo na dziesięć lat z miasta wygnano.
Godzien, że wedle tego stanie mu się słówka,
Komu ta dobrowolnie smakuje wędrówka.

Chowane się przyda.

Gość jedzie po obiedzie, a dawno południe
Minęło, naspluwa się, jeśli nie ochudnie,
Nim kucharz ogień złoży i nim co uwarzy.
Dla czego nie od rzeczy zwyczaj mieli starzy:
Co się zejdzie na zimno, od takiej przygody
Chować; i bigos dobry, nie grzejąc nań wody.
Sam dziś nic nie je drugi skępiec, nie tylko by
Miał co schować, prócz zgniłej dla gościa wątroby.
Ale niechaj się z niej swym bigosem udawi
Pierwej, niż nie dojadszy dla mnie go zostawi.

Z człowiekiem mądrze, z bydłkiem ostrożnie.

Pochlebiają królom swym ludzie ich poddani;
Nie mogą konie, gdyż im, że królmi, nie znani.
Tak zruć mastalerza, jako i monarchę,
Jeśli zewrze ostrogą nieostroźnie marchę.
Więc ostrożnie na konie, żeby z nich nie spadać;
Rozumnie trzeba królom poddanych osiadać.

Przypowieści część wtóra.

Pośledniejsze sprawy doskonalsze.

Każdy początek ciężki, każda rzecz oporem
Zrazu idzie; przeto dziś ma siła przed wzorem.
Łacniej wczora zrobionej ręką, abo głową
Rzeczy dzisiaj poprawić, niż urobić nową.
Stąd piśmienni swe księgi, malarze obrazy
Kształtują i do kilku reformują razy.
Boskim obrazem człowiek ulepiony z gliny:
Niechże, do Boskiej co dzień regulując miny,
Poprawia wczorajszego w życiu swym erroru,
Chce li się niebieskiego z ziemie dopiąć choru.
Poprawiamy, niestetyż, tym gorzej, im dali,
Mażąc dziś, cośmy wczora nieźle napisali,
W grzech z cnoty, a nie w cnotę postępując iną,
Jaką nas Piotr opatrzył do nieba drabiną;
Bóg swój obraz na człeka w rajskim włożył sadzie,
Człowiek na się szatański, Boski zdarszy, kładzie.
Nie do pałacu go też, do kutarnie wysłał!
Gdzie, czego trzeba, kopeiem pokusy dokryślą.
Radbyś, swej się przy śmierci przypatrzysz minie,
Nie dniu, żeby poprawić, lecz krótkiej godzinie.

Minął czas, farby niemasz. Jużże nie poprawisz.
Przebóg, na czymże teraz długie lata trawisz?
Czemużby nie z Dawidem królem i prorokiem
Poprawić, co się we dnie opuściło, mrokiem?

Patrz końca.

Jako strzelec do celu, choć będzie daleki,
Przymrużając prostuje rucznicę powieki,
Ani wprzód ruszy cyngla, aż się ubezpieczy,
Że trafi, tak i człowiek, jakie kolwiek rzeczy
Przed się bierze, niech końca, niechaj patrzy celu,
Żeby się w przedsięwziętym nie zawiódł fortelu.
Toć nam to starodawna przypowieść wspomina,
Że mądry sprawy swoje od końca poczyna.
Tego i Solon uczy, że póki człek żywym,
Nie słusznie, kto przed śmiercią zowie go szczęśliwym.
Wstyd mię, że z ust pogańskich nauka tak święta
Wyszła; żal, że ledwie kto dziś na nią pamięta.
Wszyscy szczęśliwość kładą w ciele za żywota,
Zapomniawszy o niebie; stąd wygnana cnota.
Nikt nie uważa dni swych z Epikurem końca.
Nawiasem wszyscy żyją do zachodu słońca.
Dopiero kiedy doktor nie może wydolać,
Dla wiecznej szczęśliwości księdza każą wołać.
Wołał Solona Krezus na stos drew włożony,
I to go ratowało, że nie był spalony.
Boże daj, żeby im toż księża mogli sprawić,
Dusze od piekielnego ogniska wybawić.
Za kwadransby był Krezus zgorzał abo pędzy;
Niemasz końca piekielnej męce, niemasz nędzy.

Wždy by się znalazł, żeby tu kilka lat pożył,
Choćby piekielną męką po śmierci dolożył.
Od końca poczynajmy żywot, chrześcijanie!
Końcem śmierć: tam szczęśliwość, kto zarobi na nie.

Co się stało, rozstać się nie może.

Mówimy z łacinniki przypowieścią starą:
Co się stało, nie może nie stać żadną miarą.
Straconego panieństwa, dnia przeszłego, rzeki
Zbiegłej, wyrzeczonych słów nie cofniesz na wieki.
Sto cnót do nieba dosyć. Jeden grzech do piekła
Zawiedzie, sto cnót niszcząc, wieczna prawda rzekła.
Stem cnót jednego grzechu, a dopieroż cnotą
Jedną sto grzechów zniszczyć daremną robotą.
Umarł człowiek. Stało się. O straszny momencie,
Z którego wieczność wiśni! Czy w szatańskim pęcie,
Czy na drodze zbawiennej umrzeć go potkało?
Niemasz miejsca poprawie. Umarł. Już się stało.
Już się nie stać nie może. Przebóg, chrześcijanie!
Żyćcie w pewnym sumnieniu, radzę, nim się stanie.

Szkoda z ogniem igrać. Początkom zabiegaj.

Ledwie iskra tknie siarki, siarka świece w dymie,
Aż zaraz gore, zaraz płomieniem się imie.
Ledwie dopadnie świeca zapalona słomy,
Słoma ściany w budynku, aż nie tylko domy,
Ale stołeczne miasta, zamki i pałace,
Wszystkie dowcipu, wszystkie ręką ludzkich prace,
Które z wiekami rosły światu dziwowiskiem,
W kilku godzin żalosnym stanęły ogniskiem.

Kropłą wody zagasisz iskrę krom ciężaru;
Sto tysięcy ją nosząc, nie może pożaru,
Owszem, kiedy się bawią rzeczy swych obroną
Natarczywiej, niż trzeba, równo ze drwy płoną.
Marną się rzeczą słówko zda płocho rzeczone,
Jednak jeżeli padnie na ucho pieszczone,
Iskra w siarkę, strzechy się naprzód, potym ściany,
Czupryny chwyci, dalej ciała daje rany.
Jako z ogniem jeśli kto chce zajrzeć do stajnie,
Tak z językiem przy ludziach radzę obyczajnie,
A zwłaszcza z kimeś jeszcze nie zjadł korca soli:
Niż ogień słomy, słowo rychlej go zaboli.
Dwu ludzi z razu, dla nich wsi, a dalej miasta,
Aż wojna i na całe królestwo wyrasta.
Stem tysięcy krew ludzi na każdy dzień znasza,
Ale tym więcej szerzy, nie rzkać, nie zagasza.

Do tegoż inaczej.

Zrazu mgli, potym rosi, radzę mieć opończą:
Zwykle takie początki długie deszcze kończą.
Czego dziś z kozakami, ale to już pozna
Przestroga, skoro Turków zwabia, Polska dozna.
Już blisko [lat] pięćdziesiąt we krwi swojej moknie.
Szkoda poturać, panie, chłopu o tołoknie.
Ba jeszcze tak żalosnej końca niemasz lici.
Zachowaj Boże tonąc nam po gradobici.

Toż sukno w inszej farbie.

Uważając ludzkiego skutek apetytu,
Wszyscy na ciało robią od mroku do świtu;

Wszyscy wygodę ciała głową i rękoma,
Lądem i wodą patrzą i w drodze, i doma.
Wszyscy więcej szukają, mało mając na tem,
Z czego czyni każdego natura bogatem.
Bo ta, czego i Boska potwierdza nauka,
Odzienia tylko ciała z pożywieniem szuka.
Wszyscy, rzekę, szaleni, wszyscy opętani,
Wiedząc, że na śmierć z raju rozkoszy wygnani,
Gwałtem jej chcą wetować i tę trochę życia
Na świecie niepewnego tracą dla nabycia
Żalu i strachu, który zbliżka, czy zdaleka,
Kiedy umierać przyjdzie, każdego z nich czeka.
Ba za leda chorobą i śmierci wspomnieniem
Żal i strach z ciężkiem serca cierpieć muszą drżeniem.
Żal honorów, żal bogactw, których tu nabierał,
Żal pieścizot i rozkoszy, gdy będzie umierał.
Jakby nie dosyć żalów za nami szło chmurą
We wszystkich rzeczach, które dzieją się naturą.
Jako są żony, krewni, szkody i przypadki
Rozliczne, lecz najpierwej wychowane dziatki.
Strach, że to wszystko na sąd i wieczne karanie,
Co bez grzechu nie było, przeciw niemu stanie.
Dyabeł w oczach z rejestrem, grób ciała, a duszy
Piekło srogą paszczekę rozedrze po uszy.
Anoż o świat i ciało pieczy ludzkiej skutek:
Pychy na jeden moment, wiekuisty smutek.

Do tegoż drugi raz.

Żadna w żywocie człeczym nie jest rzeczą nową:
Świat warstą, pycha mu i zazdrość osnową.

Każdy sukno choć w różnym poczyna kolorze,
Żaden nie skończy, bo śmierć przed czasem wyporze.
Dlatego niech się krajać nie spodziewa dusza
Z tego sukna cielesnej roboty kontusza;
Chyba na tamtym świecie, gdzie jeśli nie duchem
Robiona, stanie czarnym purpura szyptuchem.
Przecież na to nie dbając bawią wszyscy światem,
Rękami i nogami bawią za warstątem:
Ciało przędzie i mota, czart nawija cewki,
Aż na kogo inszego śmierć uczyni wlewiki.
Bo już tysiąc tysięcy jednych krosien tkaczem,
A żaden, żeby palec obwinąć, nie ma czym.
Skądże onej weselnej, chce li między swaty
U stołu królewskiego siedzieć, weźmie szaty,
Nikt nie myśli. O sroga ludzka nieuwago!
Niech się tu ciało świeci, dusza chodzi nago.
Rzecz niepodobna, żyjąc na ziemi, się dwoić:
Trudno ciało i duszę, jedno musi stroić.
Ano opak, bo kto chce jedno z tych przybierać,
Drugie trzeba obnażyć, trzeba z szat odzierać.
Po śmierci coś nam to tam kurka na kościele
I księża obiecują królewskie wesele.
Gdyby to prawda była, sami by się wprzody,
Inaczej od nas żyjąc, brali na te gody.
Ale kiedy w jednakiej z nami barwie chodzą,
Czymże swej obietnice księża nam dowodzą?

Proscænum vitæ humanæ.

Ci chcą zrównać bogatszych, ci przewyższyć w pysze,
Bracia rodzeni zgodzić, a cóż towarzysze

W tej sforze się nie mogą? bo to rzecz cudowna,
Że zaraz chce wyprzedzić, kto z pierwszym wyrowna.
Każdyby rad, na świecie żyjąc, miał świat cały;
Morzem był, żeby wszystkie rzeki weń ściekały.
Żadnego w swym zawodzie nie mając zakładu,
Wszyscy ślepo nawiasem bieżą do upadu,
Który może człowieka w każdym potkać kroku.
Minuty wolnej nie ma, daleko mniej roku.
Przecież, rzeczesz, nie wszyscy na ten zawrót chorzy.
Jakie tu komu jego nadzieja otworzy,
Takiem go polem żenie: kto nadzieję zgubi,
Siedzi w kącie i głowę kapturem zacubi.
Gdyby fortuna z chęcią chodziła we sforze,
Mniejby i mnichów było, upewniam, w klasztorze.
Aż i tam pod konopnym znajdzie pycha pasem,
Choć skrycie, choć nieznacznie, swe przesmyki czasem.
To w nich samo, inaczej że od ludzi żyją,
Przystąpi li nauka, budzi ambicyą:
Jedną, jako Sokrates Platonowe łoże,
Drugą pychą chcą deptać, jeśli to być może.

Piękna oracya, ale wiary niema.

Trudna, i owszem jedno drugiemu to przeczy,
Mówić pięknie i długo, i potrzebnych rzeczy.
Bo choć wszystkie potrzebne, ale im ta wada,
Że z chlubnego języka wiary niema, rada.
Mówiąc, stosuj do czasu: insza rzecz kazanie,
Insza wotum szlacheckie na sejmiku, panie.
Pragniesz z wielomówności i z conceptów pychy
Wziąć kędy na dysputę theses między mnichy?

Ba i tam, jeśli który nadprzykrzy słuchaczom,
Zaraz go z chóru każą zagłuszyć trębaczom.

Co miał uporem, ten głupstwem grzeszy.

Często, co miał uporny, to odnosi głupi,
Dopieroż kiedy się w kim oboje to skupi.
Nie należy (choćby też inaczej co zdało,
A zwłaszcza, jeśli się to wielom podobało)
Przytym się upoczywie mądryemu zacinać:
Łomie drzewo, co wiatrom nie da się naginać;
Tonie okręt, jeśli go upornie kto trzyma
Na kotwach, kiedy wieher ocean rozdyma.
Może się zdać inaczej, niż jest w samej rzeczy;
Nie jeden zdania wstydem i szkodą przybeczy:
Co go dotąd upornym, to swą zyszcze zrzęda,
Że go oraz i głupim człowiekiem zwać będą.

Szczodry obietnicami.

Wszystko mi obiecuje, a nigdy nic nie da;
Wždy, że mi dobrze czyni, przed ludźmi powie da.
Kłaniam się mu. Niech cię Bóg błogosławi — rzeczce.
Tyleż łaski, a datek do śmierci odwlecze.
Więcyć mi dziad za szeląg słów dobrych dołoży,
Ja, niż czerwony złoty, cenię ukłon droży.
Tylkoć to tak skrzypkowie uszy ludzkie cieszą.
Takiego dobrodzieja, nie dbam, choć obieszają.
Obiecek obiecuje, raduje się radek.
Nie da? Niech z obietnicą całuje psa w zadek.

Opuściwszy źródło, szuka potoku.

Szuka prostak strumyka, mając źródło blisko;
Toż z siebie szlachta polska czyni śmiechowisko,
Kiedy włócząc po cudzych ziemiach z kosztem szuka,
Jakby nie taż w Krakowie, co w Pradze, nauka.
Radziby z nich ojcowie wykurzyli Czechy,
Skoro podwiki, skoro w nich nawykłą wiechy.
Chyba że od chodzenia i darcia trzewików
Z greckiego, jako czytam, zwą akademików.
I w Krakowie nikomu nie kładą trynogu:
Nabiega się leda gdzie mikusia na rogu.

Szkołą pachnie.

Siłuż dziś ludzi tak jest na umyśle wolnych,
Którzy, niż świętych, wolą nauk słuchać szkolnych?
Nigdyby ewangelii nie wierzyli zgoła,
Tylko, że ma powagę swoją od Kościoła.
Jakoby nie tenże Duch, co Kościołem włada,
Pisze ewangelią i nam opowiada.
Ewangelia gruntem, domem Kościół Boży,
Który on sobie z ludzi Duchem świętym złoży.
Niewiemże, czy budynek w tego świata rynku
Ma powagę od gruntu, czy grunt od budynku.
Dwanaście murów w miasta nowego strukturze,
Dwanaście fundamentów, a na każdym murze,
Na każdym fundamencie apostołskie imię;
Trzynastego nie widzę, co dziś każe w Rzymie.
Niechaj zdrów każe, niechaj dom Boży odnawia
W cnoty, z grzechów zamiata, ale nie poprawia
Starego, nie przydaje. Boskich to rąk czyny.
Inaczej zgniłe kładzie drwa między rubiny.

Sam Syn Boży założył grunty temu miastu,
Skończył przez apostołów Duch święty dwunastu.
Przy wielkiej szkodzie wiecznie ten się musi wstydać,
Ktoby co ująć, abo śmiać do niego przydać.
Dla ludzi zbudowane. Dosyć mają, że w nie
Wolno się im przenosić: na ziemi derewnie
Ciało stawiać mieszkaniem należy na czleka;
Z duszą niechaj po śmierci gotowego czeka.
Są, prawda, i duchowne na sercach budynki,
Które sam sobie każdy przez dobre uczynki
Stawiać ma w tym żywocie przy prawdziwej wierze,
Żeby miasta nie szpecił, gdzie się z świata bierze.

Ja w szyku, waszeć w kuchni.

Ty z kuchni, ja z obozu. Wierę nie do kwadry:
Kiedym ja się bił w szyku, tyś parzył cynadry,
Żeś mię za stół uprzedził bez wszelkiego względu,
Dostawszy za pieniądze od króla urzędu.
Znam siłą, co tak znacznej nie liczywszy kwoty,
I okrom przywileju błaznami, jako ty.

Wierutny łgarz.

Wždy też aby raz prawdę mówcie. miły panie!
Gębać wam przez cały dzień kłamając nie stanie:
Bo jako prawda oczy zasypuje solą,
Tak też i od wielkiego kłamstwa uszy bolą.
Abo już lży całą noc, kiedyś począł we dnie;
Wszak najgorsza rzecz długim zwyczajem spowszednie.
Choćbyś i prawdę mówił, kłamstwo uszy zatka,
Że niepodobna wierzyć łgarzowi bez świadka.

Komin w izbie.

Piękna, wesola izba, niemasz jej przygany,
Okna w cyrkiel, wodaby nie ciekła przez ściany,
Drzwi dyktowne, posadzka i sufit we flader,
Wszystko net, jako mówią, wszystko dobrze nader.
Ale mała rzecz takie ozdoby jej ścina:
Że nie może mieć ognia, nie mając komina.
Choćby go też postawił, kat że po niem: strop ci,
Bo więcej będzie dymu, niż widoku, kopci.
Piękna dorodna dziewczka, abo więc mężczyzna,
Kto ich pierwszy raz widzi, łaeno każdy przyzna.
Niemasz w izbie komina, rozumu by w głowie:
Podrwi zaraz, lubo co pocznie, lubo powie.
Aż miasto widoku dym, miasto węgla sadza
Mylną o sobie ludzi opinią zdradza.
Co ogień każdej izbie, czy piękna, czy szpetna,
To rozum człeku, zwłaszcza kogo długoletna
Starość pocziwą włosów siwizną okraśi.
Aleć nie jeden w ten czas swój komin wygasi,
Gdzieby najlepiej świecić i na świeckie szwanki
Ludziom od siebie młodszym zapalać kaganki.
Nie dziw: prędko zgoreją, kto drew ma niewiele;
Ledwie się iskry w zimnym dogrzebiesz popiele.

Na toż drugi raz.

Co komin w każdej izbie, co ogień w kominie,
To ksiądz w kościele, który pobożnością słynie:
Nie tylko grzeje, świeci swej przykładem cnoty,
Ale grzechami w sercach pogaszone knoty,
Kiedy prostaków uczy, mędrzejszych przestrzega,
Wszystkich karze, strofuje, jak znowu zażega.

Inaczej, jakoby też zimny, pełen smrodu,
Pełen sadzy, podobien więcej do wychodu,
Stał komin podle pieca w izbie malowanej,
Kopcać dymem obite szpalerami ściany.
Co miał zdrowiu szkodliwe wyciągać wilgoci.
Cały dom brzydkich grzechów katarami psoci.
Aż i spali, skoro się ogniem zajmą sadze.
Niech święcać księżą mają biskupi w uwadze,
Gdyż się im Bóg upomni, a bogdaj nie skarze,
Jakie w kościołach jego stawiają lichtarze.

Złota wolność.

Złota wolność, i słusznie, tak drogo się ceni,
Tylko że złoto nigdy cnoty nie odmieni:
Im starsze, tym i lepsze, niżli było nowem.
Wolność polska, starzawszy, stała się ołowem.
Odmieniwszy w swąwołą. Nie złoto, lecz zła to,
Rzec się może, litery pociągawszy na to.

Toż drugi raz.

W niewolej się wolnością głupi ludzie szczycą,
Jako ów, co go w cudzej komorze uchwycą,
Co na śmierć pod katowskiem kluczem w turmie siedzi,
Słuchając rychło spadnie poń bez opowiedzi.
Mógł się nią szczycić, póki pies nie ruszył sadła,
Póki Ewa z Adamem cudzego nie jadła;
Ale skoro ich śmierci z raję na świat ruszą,
Z onej złotej wolności, zasiędzie katuszą
Bólów, żalów, kłopotów, gdzie jak na praszcętach,
Biega człowiek przez różgi, a co gorsza, w pętach.

Dokąd ich, rozłączywszy śmierć ledwo się mignie,
Duszę, nie wiem, ciało w grób rydlem, nie rozstrzygnie.
To cielesna, w którą tu cudzą winą wpadnie.
Przypatrzmyż się duchownej, gdzie, że i sam kradnie,
Każdy też dobrowolnie, gorzej, niż w żelazie,
W niewolą na drugą śmierć okrutniejszą lezie.
Nieszczęśliwy grzech w ludzkim ciele tą katownią,
W popiół złego sumnienia pałac serca głównią,
Póki z duszą i z ciałem na wieczne tortory
Dyabłu nie odda, śmierci, profosowi, wtory.
Niewolnik przed robotą, złoczyńca ucieka
Przed śmiercią, choć wie, że go postaremu czeka.
Człek, bywszy na swobodzie, rzecz ledwie pojęta,
Sam się na męki, sam się na wieczną śmierć pęta.

Miłe doma.

Miłe doma, kto go ma, a choć nie ma domu,
Stanie za dom swoboda, kiedy wolno komu
Żyć na ziemi, jako chce, żyć do swojej woli.
Owszem wcześniej, niż w pełnym mieszka domu moli,
Kto wesół, kto nie dłużeń ludziom ani Bogu,
Choćby z Dyogenesem pod beczką, choć w brogu.
I Cyrus w pałacu swym, który siódmym dziwem
Świata liczą, nie mógł żyć, jak on, tak szczęśliwem,
Nie mógł mieszkać tak wcześniej. Czyste jeśli kto ma
Sumnienie, i wśród morza rzecze: miłe doma.
Kłama człowiek światowy, że nikt nadeń wcześniej
Nie żyje; nikt mizerniej i nikt w większej cieśniej:
W najpiękniejszą pogodę za kołnierz mu kapie,
Bo zawsze, jako zając, myśli o herapie,

Bo jako groch na bębnie, mysz na pudle siedzi,
Wzmianki śmierci lękając, z Bogiem w odpowiedzi.

Na toż drugi raz.

Miłe doma — wczasownych przypowiadka ludzi,
Jeśli daleka, jeśli zła droga ich strudzi.
A tego nie chcą wierzyć, że ich ziemskie domy
Karczmą są i dziorawą strzechą zgnilej słomy.
Ani domu, jako z pism czytamy, ani tu
Trwałego mamy miasta świeckiego pobytu.
Bo jeśli dusza w ciele, jakby też pod płótem,
W kościach mieszka mizernym oblepionych błótem,
Choć ją daleko drożej, gdyż poczęta w niebie,
Każdy rozumny człowiek szacuje u siebie,
Czemuż ciało, które żyć nie może bez plastrów,
Bez lekarstw, na pałace szuka alabastrów?
Choć dusza nigdy nie mrze, ciało dotąd skrzypie,
Dokąd w ziemi na drobny popiół nie rozsypie.
Dopiero zalegszy grób, pobożny człek rzecze:
Miłe doma. Bo się tu co dzień w drogę wlecze
Ustawicznym pielgrzymem i we dnie, i w nocy,
Czasem na takach, czasem pojeżdża w karocy,
Jako zdarzy fortuna, czasem też i pieszy
W błoto czy w sucho, boso czy obuty, śpieszy.
Hołota z Bożym Synem być mu trzeba w ciele,
Kto chce w miasta świętego wniść obywatele.

Na toż trzeci raz.

Miłe doma, ludzie więc mawiają cielesni.
Wždy ich ptacy i zwierze nie budują leśni,

Przecież dłużej, niż oni, żyją i wygodniej,
Lub słońce piecze lecie, lub wiatr wieje chłodniej.
Nie okradnie ich złodziej, ogień, jako ludzi,
Ani żadna przygoda ze snu nie obudzi.
Śmierci, jako człek w domu, tak zwierz i ptak w leśsie,
Chociażby i pod ziemię skrył, nie ustrzeże sie.
Tych po dwu, po trzech wielkim myśliwych zawodem,
Ludzie tysiącami, jakby swoim brzydząc rodem,
Sami się zabijają. I domy, i mury
Nie pomogą, gdzie zewrą dwie gradowe chmury.
Szczęśliwszy tu mym zdaniem i ptacy, i zwierze,
Każdy ród między sobą trzymając przymierze.
Ludzie zaś jedni z gniewu, a drudzy z łakomstwa
Choćby do ostatniego gubią się potomstwa.

Na toż czwarty raz.

Miłe doma — powiedasz, mój drogi sąsiedze?
Wždy nie wiem, częściej li kto nad cię z domu jedzie.
Dość się obesła z tobą fortuna łaskawo,
Że nie masz swego, cudze zakupujesz prawo.
Jako cygan z sadnistą po jarmarkach kłaczą,
Tak i ty, choć już twoje ledwie nie zapłaczą,
Gdyżby na każdej ognia skrzesał, tak jest chuda,
Jako ksiądz po odpnstach, po kiermaszach duda,
Włóczysz po trybunałach, jako po kolendzie
Z wilezą skórą, bo żaden bez ciebie nie będzie.
Zwartowałeś po grodach wszystkie stare księgi,
Sam przysięgasz i ludzi musisz do przysięgi,
Zwłaszcza dzieci nie mając. O cheiwość łakoma!
Żyjąc prawie na dyszlu, mówić: miłe doma.

Na toż piąty raz.

Swar, dym, deszcz, te o jednej sylabie trzy rzeczy
Nie miłe doma czynią: komu żona skrzeczy,
Komin kurzy, dach kapie. Wolałby na wozie
Pod opończę, albo żyć pod szopą w obozie.
Jest na dach gont, na komin jest glina dziorawy;
Ze swarliwą niewiastą nikt nie dojdzie sprawy.
Mularz jej nie zalepi, cieśla nie załata:
Kurzy i kapie. Chyba grobowa łopata.

Ptacy bez nóg.

Są też ptacy apodes, jako o nich piszą,
Bez nóg: latają tylko, leżą, albo wiszą.
Mając nogi, ale się nie nimi nie krzepią,
Nie chodzą ani stoją, gniazda tylko lepia,
Jako ludzie wszelaką robotę rękami;
Jaskółczy rodzaj; w Polsce zową irzykami.
Uważam Boską mądrość i szukam przyczyny,
Która by też tej była stworzenia ptaszyny:
Ludziom przykładem, ludziom wizerunkiem, żeby
Ziemie się nie tykali. Tylko od potrzeby
Niech ją człek depce, orze, niech ją na chleb kopie;
Nie kocha: niech przy wyższym gniazdo lepi stropie,
Ani tak, choć ma nogi, jako człowiek chodzi,
Duchem lata z anioły, jako ci apodzi.

Ma strach oczy.

Że niemasz rzeczy nad śmierć na świecie straszniejszej,
Pisali starzy mędrzy, ale terazniejszy
I bez mała nie lepiej większym kładą strachem
Mizerny żywot ludzki pod śmierci zamachem.

Bo znośniejsza raz umrzeć, raz ten dług, komu go
Winien człek, oddać, upaść raz, niż wiśsieć długo.
Na każdy dzień umiera, kto się śmierci boi,
Na każdy dzień pod katem i na placu stoi.
Bogu jej strach, kiedy się po ogroju trudzi,
Jako czytamy, a cóż nie ma przejąć ludzi?
Nie śmierci, wiedział bowiem Bóg, że ją zwycięży,
Ale sposobu śmierci, krzyża się bał cięży.
Niesłusznie odtąd ludzi chrześcijańskich trwoży,
Bo jej złamał oręż w swym ciełe Syn Boży.
Jeśli śmierć najstraszniejsza, jeśli strach ma oczy,
Czemuż ludzie tak ślepi, choć ich co dzień troczy,
Że o niej nikt nie myśli, na nią nie pamięta?
W ten czas by chciał, lecz późno, kiedy kładzie pęta.
W ten czas oczy otwiera, żeby mógł żyć dłuży,
Żeby jej jako zniknąć, kiedy mu je mruży.
Jeszczeż doczesna, bo jej nikt minąć nie może,
Ponieważ pod jej wszyscy rodzimy się noże,
Ale wieczna, czemu nam, choć męczy, nie morzy,
Póki w mocy każdego, oczu nie otworzy?

Atoż tobie bysiu mazy.

Przedawszy parę wołów chłopak na Kleparzu:
Przynies co najlepszego trunku, gospodarzu!
Postrzeższy frant gospodarz u błazna pieniędzy,
Skosztować małmazey poda mu czym prędzy.
Rozumiał ów, że piwo, jakie pijał doma;
Że słodsze, będzie groszem, abo droższe dwoma.
Ani będzie od mazi droższa małmazya,
Dobyszy z torby kukłę, gryzie a popija.

Aż skoro trzeci garniec zawróci mu głowę,
Nie wie, że już pieniędzy zostawił połowę.
Poszedł ze psy na barłóg. Nazajutrz kukiolki
Zażywszy, każe znowu na swe nosić wolki.
Pije po wczorajszemu, aż skoro dzień trzeci,
Pyta: co za ten trunek przychodzi waszeci?
Jakby chłopą koprową gomółką w pół przeszył,
Tak się, słysząc, że wszystko zostawi, ucieszył.
A szynkarz kiedy z niego drwiąc pieniądze chowa:
Mędrszy pójdiesz do domu, niżli do Krakowa;
Napiwszy i potrzebnej nauczywszy sztuki,
Jedeneś koszt za trunek dał, i od nauki.
Nie do smaku, do targu, abo do szacunku;
Nie do gęby; każ dawać do kalety trunku.
A chłop, idąc do domu, w czuprynę się skrobie:
Atoż, bysiu, mazy; atoż Kraków tobie!
Dość chłopu łba gorzałka, dość piwo zarazi,
Dość nań kupić, żeby wóz nasmarował, mazi.
Nie chłopów; siłu dziś tak szlachty głupiej ginie:
Przedawszy wieś, pieniądze przepiją na winie.

Abo daj, aboć wydrę.

Abo daj, abo pożycz. Nie dam, nie pożyczę.
To wydrę. Nie takim się jeszcze tchórzem liczę.
Musisz okupić, bo cię będę pieniał prawnie,
I snadno mi to przyjdzie, bawiac niem ustawnie.
Zedrwiąłem, rzekszy prawdę. Wolę w jedno tracić:
Trzeba, choć sprawiedliwa, kauzydykom płacić.
Czegoż waszmość ode mnie chcesz, panie jurysta?
Aż ów, poźrawszy z kozłem: Daj złotych czterysta.

Weźm trzysta; więcej nie mam, a kwituj w ostatku,
Byle w dobrej monecie, byle bez naddatku.
Choć nasza Polska nie jest Paryżem bezbożnym,
Kędy kto nie chce w bok wziąć rozpalonym rożnem,
Okupić się wśród miasta i wśród białego dnia
Musi. O srogi rozbój! o szkarada zbrodnia!

Przed wygraną trąbi.

Mądry, jeśli spodziewa, czego sobie życzy,
Cicho, jako szczwacz, charty trzymając na smyczy,
W miejscu stoi, i jeśli szczęście zdarzy, troczy.
Głupi, nie mogąc wytrwać, zmyka swoje w oczy.
Choć już zając za trzecią górą liże łapy,
Wrzeszczy, bieży jakoby na pewne herapy.
Toż mu się w każdej sprawie, co i w łowach przyda,
Kiedy sekret przed czasem nieuważnie wyda:
Chwali się przed każdym, choć zając jeszcze w kniei,
Jeszcze w trawie i w słabej snop jego nadziei,
Że częstokroć, kto za niem cicho jadąc śledzi,
Do herapu takiego chwalka upośledzi.
Łomie Jaś młode źrebię, mówi o niem siłę,
Choć jeszcze ociec grosza nie ma na kobyłę.

Próżną beczkę palcem obrócisz.

Dmuchniesz na gałkę, trącisz prózną beczkę jednym
Palcem, łącno oboje do góry stanie dnem,
Jeśli na suchej ziemi; dopieroż na wodzie,
Że co było na wierzchu, to będzie na spodzie.
Jedno słówko płochego z miejsca ruszy człeka:
Zaraz się klnie, rozpacza, niestota, narzeka.

Ledwie dmuchnie fortuna, tak się bardzo zmiesza,
Zaraz się strzela, kole, topi, zaraz wiesza.
Ale umysł stateczny w kwadrat ułożony:
Z którejkolwiek nieszczęście pomaca go strony,
Nie ruszy, bo odmiany nie traci nadzieje,
Nie mięknie z woskiem, drzewem od słońca twardnieje.
Murem, nie powietrznikiem; nie żaglem, filarem
Stoi, w górę się z palmą siłac pod ciężarem.
Aż jako topór palmie, śmierć mu, gospodyni
Świata, koniec żywota i statku uczyni.

Spólne rozbicie pociechą w żalu.

Słaba w ostatnim życia pociecha terminie,
Że nie sam jeden człowiek, że ich siłu ginie.
Radby złodziej, mając już postronek na szyjej,
Żeby wszyscy pomogli tej mu kompaniej.
Słaba i nie bez grzechu w szkodzie to nagroda,
Że wszystkich, abo wielu też potkała szkoda.
Zostanie kilka domów, kiedy miasto zgorę,
Patrzą oczy zazdrością pogorzalców chore.
Temu nikt nie zazdrości — wszyscy piją na dnie —
Kto z rozbitej galery śmierci się wykradnie,
Że przy jednym, zgubiwszy wszystko, został życiu;
Chyba ci, co stradali przyjaciół w rozbiciu.
Znam siłu tak prywatnej krzywdy niecierpliwych,
Dlatego jeszcze gorzej od Samsona mściwych:
Nie chcą inszej na rannym sercu widzieć blizny,
Tylko powszechną całej ruiną ojczyzny.

Po ludziach znać ziemię.

Do rolej się wszelkich zbóż stosują nasienia,
Ludzie do różnych krajów świata położenia:
Żyto się w piasku rodzi, pszenica w rędzinie,
Ryż w ile, na jałowej chudy owies psinie.
Nie ma Polska pomorańcz oprócz jabłek trochy,
Nie ma pieprzu, oliwy; żadnych wiśni Włochy.
Choć byśmy za oliwę, kiedy post przyciśnie,
Dawszy jabłka w przydatku, frymarezyli wiśnie.
W przykrym i w ostrym kraju, gdzie dłuższy czas zimie,
Rodzą się, jako w Moskwie widzimy i w Krymie,
Ludzie trwali, robotni pod siódmym tryonem,
Niemcom, Włochom i Turkom nierówni pieszczonem
I inszym, którzy ciepła nawykawszy z młodu,
Choć serce mają, zimna nie zniosą i głodu.
Rozmaitość podniebnych, krótcie mówiąc, krajów
Przyczyną odmienności ludzkich obyczajów.
Zbójcy góry, które śnieg ustawiczny ziąbi,
Osiedli, gdzie się kanie lęga i jastrząbi,
Nie człek tylko, lecz i ptak, i zwierz gdzie dziedziczy
Jako rochmannie, tak się swoim niebem dzieczy.
O czym kiedy szeroco pisali uczeni,
Krótko przysłowiu kwoli rzecz się ta namieni.

Patrz sam siebie.

Szkoda ludziom zadawać, szkoda o kim gadać
Tego, co tobie słuszniej każdy może zadać.
Lepiejby sobą i swym opiekąć się domem.
Zwykle się kończy takie obmowisko sromem:
Często wilka wywoła, często z lassa ruszy.
Nie darmo Rusin mówi: Mouczanka ne puszy.

Póki dzwonu nie chwiejesz, póty się zda głuchem;
Ozwie się potym, a wiedz, serce ma pod uchem.
Najciężej rozkołysać: nie zaraz mu zbroni,
Nie zaraz usp[ok]oi; i bije, i dzwoni.
Ty o kim słowo rzeczesz, choć piórem napiszesz,
Nic nie myśląc, nie chcąc że dzwon rozkołyszysz,
Gdyż on pewnie o tobie tyle dziesięcioro
Nuż o gębę otrzepie, co się trafia, pioro.

Próżny korzec strychować.

Nie nie widzę godnego, śmieie mogę to rzec
W tym człeku. Na cóż prózny strychujecie korzec?
Nie dokładając wierzchu, choć niemasz co zgoła,
Chwalicie, między święte niosąc do kościoła.
Nie żołnierz, nie dworzanin, nie mówi, nie pisze.
Ze mnichom daje siła, że pacierze mnisze
Co dzień szepce; ale się co dzień jako bela
Upije. Tak trzeba czcić w domu przyjaciela.
Bale ubogim ludziom często krzywdę czyni.
Uproszą to u Boga wszystko Bernardyni:
Niech on żyje, jako chce, byle dawał wina
Do chleba, ważna będzie za niem ich przyczyna.
A wzdyc Kościół z takimi jadać, ani pijać
Zakazuje; i owszem. z daleka ich mijać.
Którzy się upijają, wszyscy taką rzeczą,
Mając wino, chleb. w niebie niech się ubezpieczą.

Grzeczny mój pan, ale doma.

Chwali pana przede mną sługa, że wszystko ma,
Co grzecznemu należy: mądry, mówny doma.

A czemuż między ludźmi nic nie umie? — rzekę —
Ledwie żeby za grzecznym godzien nosić tekę.
Tak też moja charcica: doma gęsi goni,
Kazałem też obieścić, bo w polu nic po niej.

Na błazna wszędy kapie.

Suknieś nie dał załatać, cóż mówić o dachu?
Na błazna wszędy kapie, mój kochany Stachu.
Niech w domu, niech w gościnie kładzie na się kapę,
Postaremu ten zmoknie, kogo nazwą: K. P.
Nie trzeba nam i deszcza; w tym sukno celuje,
Że w wełnie farbowane nigdy nie zblakuje.

Ślepy na umyśle.

Ślepym cię, choć masz zdrowe oczy, każdy zowie,
Większa bowiem ślepotą, niżli w oczu, w głowie.
Leda dziecko ślepego na oczy prowadzi,
A ty nie chcesz usłuchać, kiedy mędrszy radzi.
Choć często z wielką szkodą w dół na łeb przemierzysz,
Nikommu, okrom siebie samego, nie wierzysz.
Stąd ci przyszło na sławie i fortunie chramać:
Nie odrzekaj na wszystkim wkrótce szyje łomać.

Nie dbam o konie, gdzie mogę pieszo dojść.

Niech kto mosiężne szory, złocone karety
Sprawia, niech sprzaga frezy, forysie, stangrety
Karmi, stroi, pachółkom srebrne kuje pasy,
Mnie w półszorek zaprzęże parę do kolasy
Rażny Maciek w siermiężce; drugiego Bartosza,
Żeby, gdzie źle, zatrzymał, cbowam od łogosza.

W ostatku, kościół blisko, dojdę i o lasce.
Daj pokój Maćku klaczom, daj Bartku kolasce,
Na cóż psować półszorek? Niechaj są żrebięta.
Lepiej chować oboje od większego święta,
Na kiermasz, do sąsiada. Słuchywałem ja to,
Że wielki on żałował umierając Kato,
Gdzie mógł wozem zajechać, że na łodzi pływał,
Gdzie na nogach zajść, wozu i koni zażywał.

Nabrał twardych pieniędzy, jako lodu.

Chwalił się na jarmarku szlachcic jeden między
Chłopy, że wziął za woły jak lodu pieniędzy.
Na to chłop znać nie głupi: Dobrodzieju — rzecz —
Do ciepłaście z niem weszli, a lód wodą ciecie.
Zjadszy potym pieczenia, każe przynieść wina,
Czego skoro przewącha rynkowa drużyna,
W kilku godzin, bo z sobą i skrzypka przywiada,
Zgadł chłop, że lód stajawszy ściekł za ścianę wodą.
Ma to wino z natury: kto do niego trąbi,
Głowy ludziom zagrzewa, ale mieszki ziabi.
Dopieroż szlachcicowi pod wiechę nie moda,
Gdzie dwojga: i w pieniądzech, i ucziwym szkoda.

Nie co godniejszy, ale kto więcej ma kresek.

Nie ten, kto godzien, ale kto kresek więcej ma,
Zwycięży na sejmiku i honor otrzyma.
Bo większa część przemaga lepszą dla faworu,
Aleć nie jeden wstydem przyplaci honoru,
Kiedy, czego się podjął, obejść z tym nie umie:
Zdał się nam coś przy winie, — błazen, gdy wyszumie.

Całego województwa w jednym konfuzya,
Prawdziwiec to, daleko zdrowy rozum mija.
Rzekę, bom wolny szlacheć, że dla pijatyki
Większa nas połowica jeździ na sejmiki.
I co przedtym pieniądzom, do tego terminu
Przyszło, dziś ludzie mądrzy przypisują winu.
Kto trąbi, karmi, poi, tak mizerna postać
Wolności, że nie posłem, królem może zostać.
Szczęśliwsza wojenna, niż sejmikowa biera,
Gdzie lepsza większej stronie zwycięstwo wydziera.
Niejednego wygranej presumpcyja zdradza,
Kiedy, ufając liezbie, nazbyt się wysadza.

Niewola doma.

Poddało się, przegrawszy: wiązać ani ścinać
Wojska nie zwyczaj, tylko pod jarzmo go zginać,
Które z dwu kopij trzecią w przek wetknawszy w ziemię
Stawiano, jako robią szubienicę i ślemię.
Przez tę sobie przegrana, tamtej stronie gorę
Musiał każdy ze wstydem przyznawać figurę.
Wyszedszy, już był wolen i znowu się sprościł.
Gorzejś ty na wojnie z swą Wenerą gościel:
Przegrałeś, gdyś na pięknej twarzy się omylił,
Bo jakoś raz pod jarzmo kark zlej żenie schylił,
Już ci się nie da sprościć. Najciężej raz wrazić
Głowę: musi do śmierci mąż w jej ślemię łązić.
Gorsze u nas niewiasty, niż tam byli męże:
Kto im kwoli miłości z początku podlegze,
Nie zwycięży dobrocią; niechaj mąż wygadza,
Jak wrzodowi; owszem ją na barzego wsadza,

Nie dba na komplementy, nie uważa datku.
Pieść, strój, postaremu się wrzód jątrzy na zadku,
I nie pierwej przepuknie, aż go śmierć wygniecie,
Jeśli wprzód nie uskwierknie mąż bólem na świecie.
Ale zaś, kto w tym jarzmie małżonkom się dziwi,
Boskim oraz i prawom natury przeciwi.
Gładkość wabi natura, Bóg do swego chcenia
Adresuje tu i żon i mężów złączenia.
Znam wielu, choć nie głupi i ludzie są nie zli,
Co pod podobne jarzmo, żon nie miawszy, wleźli:
Dla marnego respektu, że kto karmi, poi,
Tracą droższą nad żywot wolność, bywszy swoi.
Lub jakiej promocyje grzeje go nadzieja.
Śpi i gada do zdania swego dobrodzieja.
Ma w czym chodzić, ma co jeść więzień u Turczyzna,
Wždy jako z klatki wzdycha na wolność ptaszyna.
Ci, mając wszelką doma wedle ciał wygodę,
I serca, i języka przedają swobodę.

Wino koń poetycki.

Wodęście pili, pisząc te wiersze, mój panie,
Bo i uszu i oczu szkoda psować na nie.
Wino — rzecz — i dobre. Jedną to przyczyna
Złych wierszów: jako wodę, tak nazbyt pić wina.
Słuchania i czytania rymy te niegodny,
Co pijany, co pisał poeta je głodny.
Winoć koń poetycki, a nieszczęście po niem,
Kiedy spadszy poeta pisze je pod koniem.
Wodę mieszać do niego. wodą marchę poić,
Tak nie będzie mógł zrucać, nie będzie mógł broić.

Albo pić dla umysłu wesołego w miarę,
Nie mieszając napoju bydłęcego w czarę.

Pierwej rozsądku, potem nauki.

U Jezuitów bywszy w kolégium wczora,
W lat dziesięciu nie więcej obaczę retora.
Szlacheckie dziecię, chłopiec niesie za niem tekę.
Barzo to jeszcze młody retor, księżę — rzekę —
Ledwem ja gramatykę w takim wieku ów ćwiczył,
A ów: Prawda, cóż kiedy ociec tego życzył.
Wielkie głupstwo, pomysle, i nie masz co chwalić:
Przez krupy jagiel siagać, przez pień kłodę walić.
Pierwej ma rozum chodzić, dopiero nauka,
Jakby też uczył gadać kawę abo kruka,
Nie czekając rozsądku; taką idzie modą,
Ucząc dziecinę, czego nie rozumie, młodą.
I wątpię, żeby się to miało dobrze darzyć.
Wprzód ogień złożyć trzeba, niż piec, abo warzyć.
Lat — rozsądek, nauka niech rozsądku czeka;
Nie pójdzie szkuta na dół, aż przybierze rzeka.
Kładą przykrywszy próżne półmiski na stole:
Wszystko dla ostentacyi, że i żacy w szkole.

Nie każdemu siekiera pływa.

Przepiwszy utracyus wioskę, Boga żądał,
Obiecując szanować, żeby znowu ją dał,
Jako prorok siekierę, gdy ją ktoś w Jordanie
Utopi. Już ustały — rzekę — cuda, panie.
Dawno ten prorok umarł. Bale nie umiera —
Odpowie — łaska Boska. W wodzie tam siekiera

Utonęła — mówię mu — twoja wioska w winie.
Jeśli masz co, dopijaj; zać znowu wypłynie.

Jeśliż szkło w tej cenie, w jakiz będą perły?

W takiej li szkło u ludzi cenie, co go chłopi
Robią? W jakiejże perły, które morze topi?
I trzeba się z odwagą życia narzać po nie
Na samo dno, gdzie ledwie dziesiąty nie tonie.
Szkłem ciało ludzkie: każdy wie, jako się łagnie;
Perłą dusza w tym morzu, co go nie dosiągnie
Żaden zmysł; urodzoną nie narzać, lecz musi
Wspinać się, kto o klejnot tak bogaty kusi.
Prawda, że bez odwagi nie może być i tu,
Gdyż lepiej w morzu tonąć, niż spaść z tego szczytu.
Przeto choć się ta niż świat perła ceni droży,
Rzadki, kto do niej szczerze umysłu przyłoży.
Każdyby jej chciał dostać, a choć też i wspina,
Wszystkim na różnych szczeblach łomie się drabina:
Tym z początku, tym w środku, tym pod samym stropem,
Że wszyscy miasto perły karki tłuką trzopem.
Rzadki, ale szczęśliwy, komu nie nie cięży:
Dojdzie wierzchu i wszelkie zawady zwycięży.
Nie drabina przyczyna, ale że nikt nagi,
Każdyby rad z łomokiem szedł do tej odwagi.

Drugi raz do tegoż.

Cheesz wiedzieć, które matką takich perel morze?
Na niebie w kryształowym płynące polorze.
W tych, co je w ziemskich morzach biorą, wielka mełka:
Dętki są, ba i wszystkie rzeczy świeckie — szkielka.

Czemuż ciała, niż dusze, drożej ludzie kładą?

Miał bogaty człek córkę, ale z pewną wadą:
Nie tylko szpetna, ale była i garbata,
Zaczym nie mógł, choć pragnął, doczekać się swata.
Aż skoro weselnego wieku mija pora,

Wepchnął ją z wielkim żalem mniszką do klasztoru.
Nie mogłaś perłą z mojej substancyej stratą
Świecić na świecie ojcu, świećże szkłem za kratą.

Perłą ciało, szkłem duszę poczytał szalenięc.
Lepszy mu, niż niebieski, ziemski oblubieniec.

Aleć za takie słowa miał pociechę prędką,
Kiedy została, kratę uprzedziwszy, dętka.

Ani perły, ani szkła. Dobrze tak na dziada:
Niechaj świata nad niebo głupie nie przekłada.

Jeśli, jako poczęła, będzie się przetwarzać,
Może w morzu siarczanym na ostatek narząd.

Staremu wino mlekiem, młodemu miodem.

Że mlekiem starym ludziom wino jest, że miodem,

Czytałem tę u mądrych sentencją, miodem.
Opak dziś, jako widzę, ta przypowieść chodzi:

Wolą, niżli miód lizać, co inszego miodzi;
Skoro napiją wina, oszaleją starzy,

Miasto posiłku się im leda brednia marzy.
Póki trzeźwy, trzech kroków nie stąpi bez kija;

Podpiwszy, jeśli grają, mikusia wywija.
Co miało, jako mleko, w żołądku mu zdrowie

Naprawić, to w truciznę obróciło głowie.
Nie miodem wino miodem, dopieroż nie mlekiem:

Matonogiem obiema i podeszłym wiekiem.

Drwił stary Lot, a cóż mi po przykładzie inem?

Drwił młody Holofernes i dał gardło winem.
Lepsza rzecz było mleka obiema się napić,
Niż tak szpetnie na ciele i duszy poszkapić.
Choć i od mleka, nad kim Boża wisi kara,
Piwszy go od Jahele, umiera Sisara.

Wszędy ma miejsce przygoda.

Wszędy nieszczęście wedle przypowieści, wszędy
Zła przygoda u ludzi powinna mieć względy.

Na ziemi i na morzu próżno się wystrzega,
Cokolwiek na świat rodzi, wszystko jej podlega.

Sama ziemia i woda, i cały świat spodni,
Kręgi nawet niebieskie nie są wolne od niej.

Gdzież się w mizernym ciele człek podzieje? i z tem,
Co do ciała należy, czeka z polnym listem,

Ze go abo deszcz moczy, abo słońce suszy,
Wiatr szamoce, grad otnie i gdzie zawieruszy.

Więc uważając, że świat nie niebem, nie rajem,
Wyrozumiewać sobie ludzie winni wzajem.

Nie wskok mścić krzywdy, nie wskok swej wetować
[szkody,

Gdy tyle mogą w rzeczach doczesnych przygody.
Siłą, prawda, niedbalstwo i złość na nią składa,

Zgubą zwąc i rozbojem, co sam złodziej krada.
Choć ci, im kto ostrożniej w swoich sprawach chodzi,

Rychlej weń, zaniechawszy prostaka, ugodzi.

Uwiązł na prądzie.

Długo wszystko pomyślnie, wszystko mu szło w rządzie,
Aż jednym razem szkuta uwiązła na prądzie.

Czemuz? Bo skoro Wisła w brzegach swych opadnie,
Choćby najlepszy statek, musi osieść na dnie.
Podobno przeładował, że nie stało wody,
Większe mając rozchody, niżeli dochody.
Bywa to flisom, przeto mędrszy upatrują
I bojąc się na bród paść, zawczasu lichtują;
W jednej mierze dopędzić swojej chcąc żeglugi,
Uskramiają w rozehodzie, odprawują sługi.
Radzielbym, żeby się z niej wczas przesiadł do łodzi.
Już ten u mnie rozbitem, kto do pasa brodzi.
Wyprządz frezy z karoce, z karawanu żmudy,
Parą jeździć w kolassie, nim błoto po udy,
Deptać pieszko, nie świecić w sobolach i w rysiach,
Nim przyjdzie dodzierać mu portek po forsyach.

Lepszy karany.

Grzeszyłem, śpiewa Dawid, dziś lepszy karany.
Gdzieżbym i ja, odniósłszy takie w sercu rany,
Na jakie twarz do śmierci przyjdzie łzami zlewać,
Mógł z Dawidem tak śmiało, tak bezpiecznie śpiewać!
Zapomniawszy karania, o sroga niecnota!
Pies do womitu, świnia wraca się do błota.
Często i pies i świnia bita się poprawi;
Popłakawszy, rozumny człowiek znowu kawi.
Jeszcze się słusznie z pierwszej plagi nie wygoił,
Ba jeszcze płacze, a już na drugą co zbroił.

Ścierń orze.

Żyto pożąwszy, hreczką osiewa żytnisko;
Pożąwszy hreczkę, znowu żytem tatarczysko.

Łakomy gospodarzu, lepiejby powoli:
Spłonieje, nie dasz li się przeugorzyć roli.
Znajdzie się tak przyjaciel gruby, niedyskretny,
Najmniej nie uważając, że to przymiot szpetny,
Co, nie podziękowawszy za jedno mi słusznie,
O drugie trzeciego dnia uprzykrza się dusznie.
Toż o trzecią, o czwartą, a choć o rzecz małą.
Wyploni ustawiczność przyjaźń poufałą.
Trzeba li ją kupować? Dosyć czynię z siebie:
Wedle starego targu: czapka, sól przy chlebie.
Za importuna tego samsiada rachować,
Co mu dawać, pożyczać, co dzień odpisować,
Co niedziela nakarmić i omoczyć w winie,
Choć, jadąc kędy imo, nigdy wrót nie minie.
Nie natkasz, nie należesz po dziory gardziela,
Aż dmucha i obmowcą staje z przyjaciela.

Zajęczy żywot.

Wszystkie bestye mają swoje armatury:
Rogi żubr, kły dzik, niedźwiedź, ryś, tygrys pazury,
Którymi nie tylko się przed wszelaką trwogą
Sami bronić, lecz inszych napastować mogą.
Ma jamę lis, tchórz, jaźwiec w ziemi, wydra w jazie,
Jeśli się nie obronią, kryją we złym razie;
W tęż i królik przede psy i przed koty grzebie.
Mają po drzewach duple kuna, wiewiór, zdebie.
Mają ptacy drapieźni skrzydła, haki, szpony
I do inszych zaboju i do swej obrony;
Mają pławy na rzeki i jeziora wodni,
Gdzie tak od wilka, jako od orła swobodni.

Mizernego zajęczka natura obnaży

Ze wszystkiego, że zawsze siedzi, jak na straży:

Oczu i śpiąc nie mruży tak w polu, jak w kniei,

W nogach wszystka, lecz myli często się w nadziei,
Bo go ze zwierzów ryś, lis, chart, wilk, z ptaków kania,

Orzeł, raróg, jastrząb, kruk i sowa ugania.

Co ich w sieci, co w sidłach, co ginie od kule,

Nie mu to nie pomoże, choć żyje tak czule,

Jeśli strach ustawiczny może zwać żywotem.

Zawsze jak pod siekierą, wszędzie jak pod młotem.

Gorsza tu wedle ciała kondycya czleczka:

Zadne miejsce, żaden go czas nie ubezpiecza

Od śmierci; nie ma w gębie kłów, uciec nie zdoła,

Czoło bez rogów, palce bez pazurów gołe,

Wszystkim drapieżnym zwierzom, wszystkim ptakom

[łupem;

Jeśli nie jeden, dwu, trzech kłaść go mogą trupem.

A przed którym się zajęć i gołąb wysiedzi,

Ma dyabła na się, co z niem chodzi w odpowiedzi.

Zwierzka widząc z daleka, uchronić się może;

Niewidziane ten stawia na człeka poroże.

Zwierzowi dość na ciebie, ale dyabłu mało,

Bo i na duszę oraz strzeże, i na ciało.

Zwierz krótką barzo kończy życie męką; czleczka

Dyabeł i śmierć, i mękę na wieki przewlecze.

Aleć jest i na dyabła rozum, wiara, cnota,

Byle chciał, żaden w jego sidłach się nie mota.

O jakoż dziś oszuka na rozumie wielu!

Gdy mu z duszą i z ciałem leżą do gardzieli.

Wiele kto ma, tyle też waży u ludzi.

Jako cię widzą, tak cię piszą.

Czym się kto sobie widzi z rozumu, z nauki,

Niech sam u siebie ceni tym; choć poda w druki,

Nikt go za to nie kupi; niech targ w domu trzyma:

Nie co w głowie, lecz patrzają ludzie, co w skrzyni ma.

Tego, który nie ma nic w skrzyni, choć ma w głowie,

Za cyfrę nie szacują. Każdy niechaj to wie.

Inaczej przedtym było, u starego świata:

Nie wezmą dziś od rydla w krzesło Cyncynata.

Nie ma ceny u ludzi, ale ma u Boga,

Jeśli godność i cnota na świecie uboga.

Nie dziw, że jako feniks, przykładem to rzadkiem:

W jednej sforze nauka i cnota z dostatkiem.

Każdy się o ten towar stara, choćby praca

Największa była, który u ludzi popłaca.

Olej w głowie.

Chwaląc mi pijanicę; jeden szlachciec powie,

Że mądry, że uczony, że ma olej w głowie.

Ma — odpowiem żartując — kiedy skąpo maku,

Do kapusty przy piątku, abo do pęcaku,

Rychlejbyś z niej, potłuczszy w stępie na kawalki,

Niż oleju, natłoczył piwa i gorzałki.

Rozumu nie może mieć, nie tylko nauki,

Komu się często głowa trunkiem ómi z hajduki.

Nie zawsze będzie lato. Znoście gniazda ptacy.

Nie zawsze będzie lato. Mrówki nas i pezoły

Uczą zboże na zimę wozić do stodoły,

Bo kto lecie śpi, zwykle przymiera w niegłodu;
Kto głowy nie nawiezie, nie uczy się z młodu,
Przyjdzie mu nie bez wstydu na starość dla rady,
Kiedy zły raz przyciśnie, objeżdżać sąsiady.
Stara mówi, a wszystkim przypowieść wiadoma,
Że to nie rychło uwre, czego niemasz doma.
Całe lato o zimie świercz nie myśląc polny,
Śpiewał sobie a skakał po trawie swowolny.
Przyszły mrozy, okrywszy śniegiem trawy sporem,
Aż ów żebrać do mrówki zapuści się z worem.
Cóżś przez całe lato — pyta go ta — robiel,
Żeś żywności na zimę, świerczu, nie sposobiel?
Skakałem i śpiewałem. Skacz teraz i śpiewaj,
Ode mnie się pomocy żadnej nie spodziewaj.
Niechaj każdy na stare pamięta przysłowie:
Sam każdy myśl o sobie — rzekła sowa sowie.
Jako nie spać, kiedy jeść, tak, nie chcesz li płakać,
Kiedy czas robić, żebyś miał co jeść, nie skakać.
Nie spuszczaś się na krewnych żaden, moja rada;
Po ogień tylko do nich, jak i do sąsiada.
Muszą wszystkie respekty przyjaźni ustawać:
Brać nigdy, ale prędko uprzykrzy się dawać.
Szczęśliwa młodość — napisz to na dłoni sobie —
Co starości gotuje miejsce i chorobie.
Siłuz takich nie tylko że nie myślą o niej,
Ojcowską drugi pracą w młodym wieku trwoni
Miasto przyrobku dzieciom? A cóż będzie potem?
I dzieci głodem, i on mrze pod cudzym płotem.
Nie godni zmiłowania, na świeckiej zabawce
Miasto roboty młodość gubiąc, marnotrawce.
Co dzień żołnierz dla krwawej umiera wysługi,

Robi lat kilkadziesiąt na galerze drugi,
Sól w szybie kuje, abo kamień w skale twardy
Łomie, choć ręce z skóry leżą od oszkardy,
Żeby, skoro go z prace wiek wypręże nużny,
Miał gdzie głowę przytulić, nie prosząc jałmużny.
Włóczy się od komina do komina gądek,
Gdzieby głowę opoił, obetkał żołądek;
Ni sługa, ni przyjaciel; aż skoro mu smyczek
Wytrąci starość z garści, smrodek polityczek,
Kędy papu, tam kaku, pod kocem wykrzy,
Narybiwszy za stołem, aż się i uprzykrzy.
Niechaj taka muzyka wrota moje mija,
Kędy droższe kadzidło, niż kolofonia.
Chyba kogo nieszczęście, zły człek, ogień, woda
Zuboży, takiemu niech każdy rękę poda.

Na toż drugi raz.

Róbcie gniazda: nie zawsze, ptacy, będzie lato.
Niechaj bierą i ludzie z ptaków przykład na to.
Dziś ich wiosna, dziś lato; niechaj wiedząc wiedzą:
Jako pościelą sobie, na wieki wysiedzą.
Założywszy grunt wiary w prawdziwym Kościele,
Niech nikt z wróblem słomy, drew ze sroką nie ścielę,
Ani gliny z jaskółką i z renizem sierci.
Wszystko ogniowi, wszystko podlega to śmierci.
Z czegoż tedy wić gniazdo na prawdziwej wierze?
Ze mchu onego ptaka, który, kiedy pierze
W Jordanie święte ciało odkupiciel świata,
Nad głową mu w gołęhim podobieństwie lata.
Kto chce w grobowej zimie doczekać się wiosny,
Ani przysć po tym lecie na koniec żaloszny,

Owoc świętego Ducha, pobożne uczynki,
Nie świeckie, nie cielesne kłaść na te budynki.
Ale dziś niepewnego nie czekając mroku,
Punkt nam zamyka wszystkie cztery części roku.
Jako wszystkie dzieli bieg słonecznych promieni,
Zna ptak czas wiosny, lata, zimy, zna jesieni.
Wszystko to dzisiem, wszystko, póki żyje na tem
Świecie, jednym do wicia gniazda człeku latom.
Nie patrząc miesiący, każdej śmierć minuty
Maj w listopad obrócić, kwiecień może w luty.
Opak nigdy. Dopiero z oną wielką wiosną
Wróćą do gniazd ożywszy, którzy zimie posną,
Jako jaskółka, która w błocie łagnie dzieci,
W błocie zimuje, z błota na słońce wyleci.
Tylko że ta na zimę znowu kryje w błoto;
Człeku grób w raj i ziemia obróci się w złoto.
Chyba że kto nie wierzy, abo tego nie wie,
Zgore, położywszy się we drwach, w sienie, w plewie.

Już to zmazać, a insze napisać.

Co bywało, a teraz, przyjacielu, niemasz,
Insze napisz, przypowieść każe, a to przemaż.
I żyd nie na to nie da: leda srebro woli,
Bo już pierwsze wziął w lichwie, wziął kontusz soboli.
Na siedmiu wsiach, na ósmym mieście murowanem
Pisałeś się dziedzicem, pisałeś i panem;
Dziś na jednej niecałej też chcesz mieć u ludzi
Estymę, którą przedtym? Próżno cię chęć ludzi.
Jeżeli dla urzędu, nie wiele ten przyda:
Zdobieł przedtym, a teraz tej odmiany wstyda.

Wojny nie znasz, za szkołą w naukaches ćwiczył,
Któż cię, proszę, z ojcowskich włości wydziedziczył?
Jako się trudno zbiegłej nazad wrócić rzece,
I bez ognia zapalić trudno zimnej świece.
Tak i tobie być, czymes był, bywszy młokosem,
Nie podobna, a zwłaszcza pod siwem już włosom.

Nikt nie jest ubogi, tylko stosowany.

Wszędzie miał dom, gdzie człek siadł; spał, gdzie się
O dachu, sukni, kuchni nie pomyślał, bo żel [położył;
Wedle natury. Ledwie że dyabła usłuchnie,
Zjadłszy jabłko, trzeba mu domu, suknie, kuchnie.
Bez niegoby od pluty, bez suknie od chłodu,
Bez kuchni musiał dzisiaj umierać od głodu.
Bogaty był bez tego, dziś, choć wszystko to ma,
Ubogim się poczyta w sukni, z kuchnią, doma.
Gdy chce do opiniej żyć, nie do natury,
Pałacu mu, nie domu; na suknią purpury,
Nie kuchnie, lecz kuchmistrza, zwierzyny, nie chleba,
Kontusza, nie kożucha, wina mu potrzeba,
Nie wody, którą pije zwierz, ptak, naprzód ryba;
Do umywania ciała zażywa jej chyba;
Choćby mógł żyć bez tego i dłużej, i wcześni,
Jako muszą w niewolej jego ludzie wieśni.
Z tej miary się poczyta nędznym, ale brydzi,
Że z inszymi stosuje, że u inszych widzi,
Czego nie ma, a radby; więc dla paragonu
Cieka, robi, garłuje do samego skonu,
Klnie i łaje fortunę, że nie wszystkim jedna:
Szczyptą jemu, drugiemu tka w beczkę bezedna;

Choć zdrowszy, choć jako pan także warzy z wodą,
Nie idzie spać nie jadszy, że nie wojewoda,
Nie szumi i nie trąbi; nie uważa pycha,
Że wielu nań uboższych patrząc także wzdycha.
Z tej ci żadnego widzieć nie mogę przyczyny,
Żeby się kontentował szczeblem swej drabiny,
Choć z niej, czego jest każda godzina przykładem,
Jednako wszyscy lecą głębiej ziemie gradem.
A żaden nie zazdrości, żaden nie dba o tę
Drabinę, żeby z enoty postępować w enotę,
Aż się nieba uchwyci, gdzie na wieki szumieć,
Z grobu dźwignawszy, będzie. Jest się czemu zdumieć.

Nie zaraz jeść, kiedy rzeką: gęś.

Nie wskok noża dobywaj, słysząc, że gęś rzeką.
Trzeba, aż ją oskuba, czekać, aż upieką;
Trzeba do niej cebule, sliw, pieprzu i soli.
Wszystko to koszt, wszystko to robimy powoli.
Może kto rzec: Jadbym gęś. Ale ją wprzód w mieście
Kupić trzeba i w domu ukarmić na cieście.
Gość spluwa, skwarnę zruca, tylko toż ma w zysku,
Bo się jej nie doczeka, ręczę, na półmisku.
Nie wskok rzekszy: Pojadę, na kolassę wsiadać:
Wprzód osi nasmarować, wprzód na niej układać,
Konie ubrać, nakarmić, do szkatuły siagać,
Zwłaszcza w daleką drogę, dopiero zaprzagać.
Kto nagle w drogę kwapi, pośpieszyć trudno ma,
Rzeczy najpotrzebniejszych zapomniawszy doma.
Kwap się, ale nie nagli, bo co bywa nagle,
Choć ci zła kadencya, to zawsze po dyable.

Wiersz w głowie ułożywszy, pisz, a nie odwłaczaj:
Przecież, nim go ułożysz, pióra wprzód nie maczaj,
Bo jeśli nie uważny, musi być jałowy:
Łacniej w pióro inkaust, niż koncept do głowy.

Fora drew.

Fora drew. Krótkie słowo, i lekce się waży:
Prosić i dać ją łącno każdemu zabazy.
Lecz przyzna, kto na niej drwa zliczy, że daleko
Inaczej, bo każde z nich nie przychodzi lekko.
Mała rzecz, kto o dziesięć for sąsiada prosi:
Kładzie, byle pod wozem nie połamał osi;
Nie myśli, czego czekać trzeba długoletnie,
Że mu kilka kóp drzewa w boru ze pnia zetnie.
Takiej wszyscy proszący zażywają mody:
Wycieńczają, że to rzecz marna, że bez szkody,
Żeby im oblig, co go biorą na się z darem,
Do odrodzenia łaski mniejszym był ciężarem.
Jeszcze się będzie chwalił, że mnie odrwił, gadał:
Nie zna się ten na rzeczach, nie wiedział co, a dał.
Nie prosz, możesz li obejść, ni o co nikogo;
Padnie na cię potrzeba? Woliż kupić drogo.
Choć małą rzecz, wolno mu, jako chce, szacować:
Coś miał płacić pieniędzmi, musisz odslugować.
Nie darmo, na borges wziął. Jeśli też u ciebie
Kto czego żąda, słuszną dogodzić w potrzebie.
Ale patrz, niewdzięczności żebyś przy swej szkodzie
I komu, i co dajesz, nie odniósł w nagrodzie.
A w ostatku daj ślepo: nie uważaj człeka;
Tak Bóg każe, od Boga nagroda cię czeka.

Qui se importu[n]je excusat, oportune accusat.

Wprzód prawo, potym wina; toż sąd, kara za niem.
Szkoda się przed chorobą moim leczyć zdaniem.
Pierwsze miejsce ma skarga, niż sprawota w czesie;
Kto przed skargą sprawuje, sam na się bicz niesie.

Jeszcze słońce chodzi.

Jeśli to kogo, czego spodziewał się, minie,
Niech nie rzuca nadzieje: w jednej to godzinie
Fortuna zrobi, co mu cały rok odwłacza;
Jeszcze się słońce co noc w oceanie macza,
Jeszcze nie dziś jego dzień ostateczny biegu,
W pełnym, jako z początku, Wisła płynie brzegu.
Zawsze niech węda wissi, póki człowiek dycha,
Niech spodziewa, w nadziejej swej niech nie osycha.
Komu, jako mnie, pomrą synowie dorosli,
Próżno się ten spodziewa drzewa z latorośli:
Już mu tak słońce w morzu głęboko zasiędzie,
Że nigdy nie zaświeci. Już mu nic po wędzie.

Każdy błazen swoim strojem.

Wpół Wołoszyn, wpół Węgrzyn, piechotą z pod Wiednia
Bobruje. I to sztuka — rzekę — niepoślednia,
Urodziwszy szlachcicem polskim, wychowańcem
Bywszy Matki swej, postrzydz na starość mieszańcem.
Aż ów: Moja to zdobycz. Nie masz się czym chlubić:
Znaleźć w drodze maźnicę, ferezyą zgubić.
Głupstwo — za poczet chwalić frymarkiem się takim:
Wziąć węgierską z wołoskiem kurtę kopieniakiem.
Dobrać kurta na błoto, kopieniak na słotę.
Ale koń, coś go stracił, lepszy na piechotę.

Od starego wołu uczy się orać młody.

Spowiedał się pijaństwa Minor, stary żołnierz,
Przed księdzem Ciołkiem, co też nie wylał za kołnierz.
Wylicza mu ksiądz Boskie rozkazy surowe:
A majori arare discit minor bove.
Rzeczce ów: Ja też cielę nie dawno od kołka,
Uczę się od waszeci pić, starego Ciołka.
Insza pług, insza kufel — ksiądz na niego fuka.
A Minor: Dobrodzieju, od kogóż nauka
Ma być nam, świeckim ludziom, jeśli nie od księży?
Darmo nas, gdy sam pije, pokutą ciemieży.
I to Minor wyznawał, że do swojej szopy
Kazał z pola w obozie cudze wozić kopy.
Straszna kradzież — ksiądz rzeczce. Aż ów: Jać w obozie;
U waszecim je widział w stodole na wozie.
Tylko że ich nie kradnie ksiądz Ciołek, jako ty.
Tenże grzech kraść, co cudze wydzierać roboty.
Ja w decymie — znowu ksiądz. Ja biore w potrzebie —
Rzeczce żołnierz — dla koni, czeladzi, dla siebie;
Nie pošlęć ich do targu, jako księża czynią,
Na wino, na gorzałkę i na gospodynią.
Bodaj nie pójda, czego obawiam się wielce,
Ciołkowie na sądny dzień do jatki za cielce.
A ksiądz, skoro do serca przystąpi mu skrzęta,
Dopieroż rzeczce: Mniejsze, jakoś ty, cielęta.

Jał się rzemienia gryźć.

Wziąłem chłopca prostego ze wsi do ćwiczenia:
Zrazu był nie zły, dalej jał się gryźć rzemienia.
Gorsza, że kradnie, chociaż rzemienia nie gryzie:
Każda rzecz, jako goły, leżała na zyzie.

Toż ociąwszy rzemieniem kilka razy udy,
Wyżenę, nie chcąc w domu chować tej paskudy.
Żeby, co wszyscy mają z przyrodzenia chlopi,
Jak psu, o rzemień gryźć mu nie przyszło konopi.

Pierwej chartom, potym ogarom.

Miałem gośćmi usarzów; aż też szarapatka,
Jeden sąsiad mój widząc, że się trafia gratka,
W rzeczy mając potrzebę, jedzie po mszej, żeby
Najadł, napil się wina, bo nie miał potrzeby.
Jakby go z chlewa wywarł, żre, kieliszki zcedza,
Do każdego półmiska wszystkich nas uprzedza.
Markotno zrazu, potym i dziwno było mi,
Że tak ludzie mogą być grubi, tak łakomi,
Szlachta zwłaszcza, gdzie małe w polityce dzieci
Ćwiczą, choć ją u drugich widujemy kmieci.
Karczmy, jarmaczki winny, gdzie zasiadzą z gbury
Na gorzałce, zapomnią szlacheckiej natury.
Tym czasem sługa parę kuropatw postawi;
Aż on z jedną na talerz, właśnie ją zaprawi.
Myślę: aleby pierwszej tak głupiemu chłopu
Na ręce, niż na ptaki, trzeba wlać ukropu.
Szkoda się — rzekę — tłuszczyć; młodszy to kto zrobi.
Lecz gdy ją ten do gęby, nie do masła, drobi:
Stąd znać nie myśliwego, bo — rzekę — myśliwi
Nie tak są na zwierzyne, jak waszeć, łapczywi.
A towarzysz: Ba i stąd: nie dawno psom parzy;
Wždy nie wie, że wprzód charci jedzą, niż ogarzy.

Kędy papu, tam i kaku.

Jakoż każdy na starość człek od siebie różny!
To ten z młodu tak grzeczny, tak był ochędźny,
Że ledwie u drugiego w izbie obyczajniej,
Niż u niego bywało w chlewie, abo w stajniej:
Suknia, czapka, bot modny, co dzień się mył, czesał,
Co tydzień golił, teraz rzekłbyś, że świnię ssał.
Niemasz w nim najmniejszego ochędźstwa znaku,
Bo kędy, jako mówią, papu, tam i kaku.
W tej izbie wieprze karmi, w której jada i sam;
Dziesięć razy na szkucie piękniej dają flisam.
Ledwo pan wstanie, leżą w łóżko psi z komina;
Siekierą by nie przeciął, tak brudna pierzyna.
Chustki nigdy, choć zawsze z nosa wiszą kapki:
Są od tego nadolki, są szustwałem łapki.
W głowę i w brodę palca, nie tylko grzebienia
Nie wetkniesz; wołłokiem się spiliśnią do siedzenia.
Tylko trzeba wprzód, niż je na wołłok obrócić,
Z gnid, ze wszy, z pluskiew dobrze cepami wymłócić.
Pazury, jak łopaty; rok od roku oczu
Ani rękę umywa, nie zatrzyma moczu.
Więcej pisać niemasz co o paskudnym dziadu:
Nosa mu ciężko utrzedć, tyle troje zadu.

Nie karmazyn.

Chłopeś; znałem i ojca, i twojego dziada.
Na cóż mać, że mój ojciec był szlachcicem, gada?
Siła kurew bękartów [— rzekę —] z szlachtą rodzi.
Jać tego nie pamiętam, lecz szlachectwo chodzi
Po ojcu, nie po matce; choćby i tak było,
Wieleż się dzisiaj szlachty w chłopcy obróciło?

Czemużbym i ja nie miał szlachcicem być z chłopą?

Wždy gotują kucharze miasto sarna skopa.
Czemuż chłopci nie kraczą, gdy się do ich cechu
Szlachcie wpisze? A szlachta bij zabij do zdechu,
Wdzieje li chłop karmazyn, lub ski do przewiska
Przyda, ptacy na sowę z daleka i z blizka.
Tak bywało przed laty. Aksamitna dzisiaj
Sobola będzie, abo ferezya rysia
Na chłopku, choćby mu też dobra i barania,
Nikt nań nie kracze, owszem, z daleka się kłania.
Nikt nie mógł w karmazynie chodzić okrom szlachty;
Inszym gunie, siermięgi, derry, zgrzebne płachty.
Stąd kiedy kto wątpliwym herbu swego synem,
Po dziś dzień go Polacy zwą nie karmazynem.
Już go dziś nie ma Kraków, zły znak, nie ma Wilno,
Żeby w szlachcie nie zginął, trzeba czuć, a pilno.

Bot, który się na każdą nogę przyda.

Znam doktora sławnego, który głupim chłopem
Bywszy, jednym wszelakie choroby ilopem,
Jednym leczył purgansem, choć sobie przeciwne.
Że też wielu umorzył, nie są rzeczy dziwne,
Przeto go słusznie botem, co na każdą nogę
Przyda się, lecz po kacie, i ja nazwać mogę.
Wiem i trzewik u jednej paniej, co nie ciśnie,
Choć ktokolwiek przyzuję, jakoby umyślnie
Nań zrobiony, nikogo, nawet choć i księża;
Prócz jednego, który go sobie obrał, męża.
I nie noga od niego, ale głowa boli,
Kiedy mu ją i we dnie, i w nocy mozoli.

Nadzieja w utrapieniu portem.

Nie to, choć tego roku siane zginie zboże;
Siej przecię, gospodarzu, na drugi nieboże.
Choć w drugim grad potłucze, pszenica się zśnieci,
Bez czego się obejdiesz, sprzedaj, kup na trzeci.
Kto z szczęściem na wytrwaną mężnym sercem chodzi,
W trzecim, co przez dwie wzięło, roku mu nagrodzi.
Kto, opuściwszy ręce, w kącie głową kiwa,
Niechaj się i [w] dziesiątym nie spodziewa żniwa.
Żaden gospodarz jeszcze tego nie żałował,
Jeśli co na wieczera od obiadu schował.
Dla drogiego przednówka i ty nigdy z gołą —
Doznawszy, radzę — żniwa nie czekaj stodołą.
Nie z kłosa, ale z garści, taka nasza biera,
Z gęby kawałek chleba przygoda wydziera.

W jednej ręce ogień, w drugiej woda.

Nie tak dobrze, jak długo, bo kości w języku
Nie ma, ten szlachcie zawsze gada na sejmiku:
Zrazu się chwali, potym radzi, na ostatek
Za miłość ku ojczyźnie uprasza o datek.
W jednej ręce nam ogień, w drugiej niesie wodę:
Rzeczy sobie przeciwne, pożytek i szkodę.
Dość ma z ust swych pochwały, że kocha ojczyznę,
I my go wolim chwalić, niż dać gotowiznę.
Samibyśmy się kochać w niej pewnie przestali,
Gdybyśmy żołd żołnierski kochankom rozdali.
Nu jedno, kochankowie, nie gębą w kościele,
Ręką w polu odnosząc postrzały na ciele,
Świadczeć miłość ojczyźnie; nikt nam was nie zgani,
I u niej i u wszystkich będziecie kochani.

Ale za gołe słowa napierać się wziętku?
Nam w mieszk, niż wam w gębie, nie stałoby wątku.

Godna obróż charta.

Jańczy cygan, kobzista króla Władysława,
Że mu, siedząc w kominie, na kobzie przygrawa,
Nie dosyć, że talerze lizał, miawszy na tem,
Prosi, żeby mógł jakim zostać honoratem.
Jakoż doznał i widział szczodrośliwość pańską,
Gdy mu włożył na skroni koronę cygańską.
Choć i Saul po arfie Dawidowej tańczy,
Wždy go z sobą nie równa, czego doszedł Jańczy.
Widzieć w kupie dwu królów, wielka to nowina,
Przecież jeden do krzesła, drugi do komina.
Godna obróż, przywilej obaczywszy, charta
I wysługi zasługa twoja takiej warta.

Nie uwolni bot od podagry.

Niechaj drogim cholewy złotem kto oszywa,
Darmo: podagry przez to najmniej nie ulżywa.
Nie uleczą bogactwa, ozdoby, splendory,
Kto w malignie upornej leży na śmierć chory;
Ani pierścień chiragry, choć dyamentowy,
Ani złota korona bólu pańskiej głowy;
Do pychy to należy: ciała, ani zdrowiu
Nie pomoże; duchowi — ręczę — pogotowiu.
Ba jeszcze chorszym czleka na ciele i duszy
Czynią, bo gorzej puchnie, który się w tym puszy.
Dopieroż rozumowi, gdzie się sobie zdadzą
Coś więcej ludzie, niż są, te prezenty wadzą.

Ani rogaty bierlet, jeśli pusta, głowie
Nauki przyda: mają czuby i dudkowie,
Przecież nie, tylko du du; mają czaple kity,
Wždy skrzeczą tylko, jako na ambonie i ty.
Choć barana, nie bierlet, choć włoży ksiądz bobry,
Byle uczył do cnoty, a żywot wiódł dobry.

Na toż drugi raz.

Ani mądrym sobola senatora jupa,
Ani czułym pasterzem infuła biskupa,
Ani tygrys żołnierza, jeśli sercem techórzy,
Niech i lwa na grzbiet wdzieje, w męznego przetworzy.
Ani w królu korona, choć perlami świeci;
Nie ma li jej, miłości do poddanych wzniesi.
Rozumie owa, że ją wieniec czyni panną,
Doktór, że niemasz nadeń, pod długą sutanną.
Jednak wielce oboje myli się więc na tem:
Tamtą kurwą, ten rzadko, że nie będzie katem.
Który ksiądz nie ma cnoty i nauki przy ni,
Czapka jej, choć skrojona w Rzymie, nie uczyni;
Nie jednę; niechaj włoży na głowę ich ze trzy.
I owszem: było li co, to pycha wywietrzy.

Co byśmy radzi widzieli, prędko wierzymy.

Przy świecy pod młot każdy swoją szynę grzeje,
Kto w niepewnej nowinie zakłada nadzieje
I zaczyna imprezę: pierwej w łożu knota
Nie stanie, niż ta szyna doczeka się młota.
Aż wstyd, aż żal, aż kłopot często z wielkim strachem,
Nie szynę, serce ciężkiem tłucze mu zamachem.

Czego sobie człek życzeł, zawsze łaeno wierzeł;
Czego nie, jakoby teź dzwon palcem uderzeł.
Dopiero się ozowie, dopiero zadzwoni,
Skoro trącisz, wzięwszy co twardego do dłoni.
Im dłużej nie dał wiary, tym smutniej zakuka,
Że nadzieja porywezo chwycona szuka.

Na toż drugi raz.

Zwykle to rado kredyt w ludzkim sercu miewa,
Czego kto życzy sobie, czego się spodziewa;
Ale wielu wiara tak oszukuje skora,
Bo się często rana wieść mieni od wieczora.
Często opak zda, czego w samej niemasz rzeczy:
Nie jeden myłki szkoda i hańbą przybeczy.
Kupił sobie chłop w targu gęś za cztery grosze:
Widząc go żona oknem w zlej, brudnej ciasnosze,
Tylko tę jedną miawszy, uwierzy nadziejej,
Gdy się mężowi bieli gęś pod pachą, że jej
Nową kupił; więc z tą w piec, aż włazszy nań naga,
Widzi z blizka gęś miasto koszule nieplaga.

Obiad nikogo nie obliguje.

Za wczorajszą ochotę wielmożnemu panu
Listem przez umyślnego dziękuję poranu.
Odpisuje, wdzięczność mi przyznając w tej mierze:
Rzadki dziś dobrodziejstwo widzi, kto go bierze;
Za co łaskę i dalszą w swym ochotę domu
Obieca. Ba nie wiem, kto — rzekę — większą komu
Wyświadczył: czy ja, miawszy co jeść, co pić w swoim,
Bywszy gościem proszonym, żem jadł i pił w twojem,

Czy ty, żeś dał oboje, chociem nie był głodny?
Tak gość, jako gospodarz odwzięczania godny.
Wzajemna to kukielka, żebyś, panie, wiedział:
Twa łaska, żeś posadził, a moja, żem siedział;
Twoja, żeś dał jeść i pić, moja, żem oboje
Czynieł, chwając potrawy, chwając twe napoje.
Obiad li dobrodziejstwem? choć mniej u mnie kmieci,
Nie chcę mieć dobrodziejca: proszę nań waszeci.
Dziadowie, że nie mogą wzajem odczęstować,
Odwzięczać i za obiad powinni dziękować.

Leniwo miałą Boskie młyny.

Leniwo na tym świecie młyny chodzą Boże:
Długo, nim się na mąkę zetrze, krupi zboże.
Nie w lot grzesznego człeka pomsta za grzech goni,
Lecz skoro mu na koszu reszta dni zadzwoni,
Drobno, czego tu żadne nie dokaze mliwo,
Starszy, odda na żywe dyabłu go pieczywo.
Nagrodzi męką zwłokę; komu nie odwlecze,
Szczęśliwy, komu zmiele, komu tu upiecez,
A po śmierci na gody swe w obłoku jasnym
Z zimnego pieca bochnem przeniesie go przasnym.

Wolę, że mi zazdrozczą, niż żałują ludzie.

Przez cnotę żyje, przez grzech człek wiecznie umiera.
Zgadnicież, kto grzech raczej, niż cnotę, obiera?
Każdy mądry, niech się stąd skrupuły nie roszeza,
Woli: niż go żałują, że ludzie zazdrozczą.
Z nędzą pożałowanie i z nieszczęściem chodzi;
Zazdrość z cnotą, i gdzie się komu dobrze wodzi.

Daj Boże krom zazdrości, krom pożałowania
Ludzkiego na tym świecie dożyć mi skonania.

Łacno szyprem być na spokojnej drodze.

Każdy na morzu cichem i na miąłkiej wodzie
Tam okrętu podejmie, tu kierować łodzie;
Ale kiedy się morze wzburzy, rzeka wspięni,
Ledwie radzą żeglarze w tym dziele ćwiczeni.
Nieuk abo paszuje, abo podjąwszy się,
I sam ginie, i wszystko na złym gubi flisie.
Morzem świat: nigdy na niem bez burze, bez błędu.
Okrętu kto wielkiego podjął się urzędu,
Jakiegoż trzeba do tej rozumu żegluga!
Rozbije na spokojnej wodzie okręt drugi,
Jeśli fryc nie ćwiczony w takowym urzędzie,
Zgubi całe królestwo, za kompasem siedzie.
Coż mówić, kiedy szturmem wicher wodę zmącił
O leda hak, skąd mądry mógł wywieść, roztrąci.

Na toż drugi raz.

Na królach państwow, królom na wodzach wojskowych
Należy, a co pierwsza rzecz, na radach zdrowych.
Bóg, niech się w jego rzady człek żaden nie wdziera,
Podług swej woli głowy do koron obiera.
Za królewskim buławy tych, co wojska wodzą,
Obozy na krew toczą, przywilejem chodzą.
Ci królewskie, ci zdrowie, by w najgorszej toni,
I rzeczypospolitej trzymają na dłoni.
I dlatego królowie: nie wskok do papieru
Na przywilej się kwapić! tak trudnego styru

Niech pilno uważają, niech uważnie mierzą,
Komu swego i zdrowia swej korony wierzą.
Zwłaszcza kiedy, chybiwszy starych wieków grani,
Dożywociem buławy trzymają hetmani.

Na toż trzeci raz.

Rzekami wszystkie ludzkie sprawy prywatne są,
Które w to morze statki różnej formy niesą.
Ci większe, drudzy mniejsze; ci szkuty, ci czajki;
Ci na środek, drudzy się biorą na okrajki.
Do każdego nauki trzeba i zwyczajaju,
Gdyż tak pewnie na środku, jak tonąć na kraju.
Tak z szkuty i z dubasa sternik zły, nie czuły,
Jako z czołnu i z drobnej utonie gonduły.
Na każdym wiatr, na każdym znać potrzeba wiosło.
Lub gospodarstwo, lub kto w ręku ma rzemiosło,
Jeśli czym inszym jego roztargnione zmysły,
Jeśli nie wie, co z tym rzec, utonie w pół Wisły.
Prawda, że i na ziemi, i w wodzie, choć miąłka,
Wszystkich nieszczęście znajdzie, lecz wprzód niedo-
[śpiąłka.

Po czym ci mało, choć tanie, na cóż kupować.

Takiej rzeczy, która się może przydać na co,
Abo całe nie kupuj, abo za ladaco,
Żebyś jako na drodze podniósł, gdy się wala.
Nie miawszy konia, na cóż płacić u kowala
Podkowę, choć się i ta na co przydać może?
Na co kupować w targu, mając doma zboże?
Tego, po czym całe nic, jako chłopu wstęgi,
Jako niepiśmiennemu szlachcicowi księgi,

Jako łyseму grzebień, wieniec babie stary,
Pannie czepec, ślepemu szklane okulary,
Nie kupować, choć się to abo w upominki,
Abo więc od przygody zejść może do skrzynki.
Lepsze, niż wóz za szóstak, za sześć złotych sanie
W ten czas, kiedy śnieg z mrozem do jazdy nastanie.

Moje żelazo w ogniu.

Niech cieślów drzewo bawi, niech garniarzów glina,
Moja się sprawa toczy, moja w ogniu szyna,
Mówi kowal. Wszystko to na świecie nie spore:
Żelazo trwa, choć drzewo, choć i glina zgorze.
Każdy swej szyny i swej fortuny kowalem.
Oziębnie? nie będzie miał podkowy z ufnalem.
Kuć, póki ogniem pała, nie żalować młota,
Kto się w twardym żelazie chce dorobić złota.
Kto na zimno, nie prosto z komina ją tłucze,
Darmo psuje żelazo, darmo się sam brucze.
Sztabą każdy człek, który jest chrześcijaninem;
Żalę, choroby węgłem; cierpliwość kominem;
Miłość ku Bogu ogniem. W kim ją świat wystudzi,
Próżno postami, próżno dróżkami się trudzi.
Choćby ciało dał ziemskiem w popiół ogniem spalić,
Nie będzie się mógł z swoją robotą pochwalić;
Owszem w stokroć gorętszy, gdzie pod ciężkim młotem
Na wieczysty zgrzyt zębów odesła go potem.
Więc póki w piersiach miech ma nadymają płuca,
Niech człek Ducha świętego w sobie nie zasmuca;
Niechaj z ognia miłości Boskiej, złotem aby
Stała, nie wyjmuje serca swego sztaby.

Glina, drwy, płowa, sianem, które ogień trawi,
O świat zbyt nim staraniem niechaj się nie bawi.
Wszystko pożre i ogień na popiół podrobi
Oprócz suknie, a chleba, co człek ciałem robi;
Kto duchem to, co kazał Bóg w śmiertelnem ciełe,
W wiecznej u niego chwale będzie, nie w popiele.

Przyjaciół pewny w rzeczy niepewnej.

Dobry to jest przyjaciel, z którym podufale
Ciesz się, konwersować człowiek może; ale
Lepszym, coć dobrze radzi, daleko się liczy,
Jedzie w drogę bez płatu, pieniędzy pożyczczy;
Najlepszym, który do tych obudwu przymiotów
Zdrowie przy mnie odważyć we złym razie gotów.

Łakomy nic dobrego nie czyni, aż kiedy umiera.

Dziesiątą skórę jarzmo wołom z karku łupi,
W dziesięćnasób się krowa nabiąłem okupi;
Nic im to nie pomoże: przecież na ostatek
Bez względu na zasługi wiodą ich do jatek.
Choć krom siana, plew, słomy nie skosztują kęsa,
Łoju na świec, skóry na bot ani mięsa
Nie kupuje gospodarz. Samym ziarnem żyją
Wieprz i świnia, nie robiąc nic, trawniki ryją;
Przecież ich nic gorszego od tamtych nie czeka.
Komuż z tych dwu przyrównać łakomego czleka?
Nie doi z krową, ani z wołem jarzma nosi.
Do świnie: dwa razy się w rok świnia oprosi.
Leży skępiec na skarbie, jako wieprz na sadle,
Wszystka jego w pieniądzech myśl, w picu a w jadle

Z ludzką szkodą, której wieprz nie czyni w zamknięciu,
Gdyżby tym, co on przyległ, pożywił dziesięciu.
Nie jeden chleba zebrze, skoro wieś utraci;
Cudzą się szkodą wszyscy panoszą bogaci.
Choćby się to bez krzywdy, co rzadka rzecz, działo,
Przecież jeden skupuje, co ich dziesięć miało.
Więc i od świni gorszy skępiec, bo skoro się
Ta oprosi, urodzi i nie jedno prosię.
Potym ją ludzie zjedzą; niech prosi, niech klęka,
Zawsze jego zawarta przed potrzebnym ręka.
Dopiero jako umrze, ludziom dobrze czyni:
Ciało robacy, ci szczeć skuba, jako z świni.
Dopiero się oprosi, dopiero ci koła,
Drudzy ludzie przysadzać jej prosięta wola.
Jeden zaraz przepije, co już swoje przepił,
Mędrszy, by się przepiwszy rad znowu pokrzepił,
Żeby i on, tegoż się trzymając gościńca,
Nie zostawił próżnego ludziom prosięćca.

Nie jest szczęśliwy, kto być niem nie umie.

Znać szczęście swoje szczęściem najpierwszym to kładę;
Ale kiedy wszyscy tę ludzie mają wadę,
Że nikt nie kontent z szczęścia swego, póki żywy,
Chcąc być szczęśliwszym, samym tym jest nieszczęśliwy.
Szczęśliwszego, niż sam jest, każdy życzy sobie
Wyrównać — tej cały świat podlega chorobie —
Ale mu się umyka, bo za tamym jedzie,
Chcąc koniecznie doścignąć, którego ma w przedzie.
W tym od początku świata ludzie do upadu
Bieżą zawodzie. Dotąd nikt nie wziął zakładu.

Szeregiem lecą gęsi o jednakiej strawie;
I z cieplic i do cieplic szeregiem zórawie.
Nie do cieplic; do zimnie ludzie śmierci strawą,
Szydłem się uprzedzając, nie chcą lecieć ławą.
Żaden nie kontent, póki pierwszego nie minie;
Nikt nie chodzi po ziemi, wszyscy po drabinie
Pną się w górę, choć widzą, że się szczeble łomią
Pod niemi, tak upornie na świat rozłakomią,
Żeby ciężej spadali, bo widzą na oczy,
Że, co z ziemi powstało, pod ziemię się toczy.
Że, choćby kto tysiąc lat żył i dłużej na niej,
Wierzchu dopiąć nie może tej drabiny, ani
Rzec, że już wyżej nie chcą prócz jednego nieba,
Do którego duchownej drabinyby trzeba.
Duchem się piąć do góry, ciało, jako brzemie
Ma li ciężyć duchowi, lepiej wdeptać w ziemię.
Siłuz ta ludzi zdradza drabina w imprezie!
Rozumie, że do nieba, aż on w piekło lezie.

Na toż drugi raz.

Niemasz nic szczęśliwszego nad wolność z natury.
Wždy znajdziesz, tak niekzemne między szlachtą
Którzy, żeby polewkę cudzą mogli chlipać, [gbury,
Wiercieć piętą i wola komu drzwiami skrzypać.
Choć biedny czyż, dostatek mając w klatece zobi,
Dobrywa się, choć tylko śpiewa, nie nie robi,
Tylko skacze, wszystko mu wolno, co i w lesie.
Owszem tam na każdy dzień szukać musi, gdzie sie
Najeść i napić. Ptaków drapieźnych nie boi,
Wždy się, szukając wyścia, ani uspokoi.

Odrzekłby ciepłej izby, odrzekłby się maku,
Wolałby śniegiem latać od krzaku do krzaku.

Na toż trzeci raz.

Niech kto będzie całe zdrow, jeśli ma o sobie
Opinią, że jakiej podlega chorobie,
Wiecznemu śmieie możesz równać go kalece,
Tak swojej szczęśliwości zapomniał dalece.
To ci tak; o! jakoż są nieszczęśliwi owi,
Którzy się sobie zdadzą na duchu być zdrowi,
I z swej się szczęśliwości, której nie masz, cieszą,
Skoro na wszelkie grzechy sumnienie rozgrzeszą.
Oplakany, kogo ta opinia ślepi:
Nie chorzeć, ale stokroć ciałem umrzeć lepiej.

Na toż czwarty raz.

Największej szczęśliwości ludzie tu nie znają
Do siebie. Spytasz, czemu? Bo jej też nie mają.
Ledwie jeden z tysiąca; nie znanego mienia
Nikt nie pragnie. Któregoż? czystego sumnienia.
Sto razy nieszczęśliwszy, stokroć gorzej brydzi,
Kto powie, że czuje, że go w sobie widzi.
Kłama i każdy taki Bożym przeciwnikiem:
Co inszego ma w sercu, niż mówi językiem,
Gdyż nie tylko uczynek, słowo, ale ehcenie,
Ale samo obwinia człeka pomyślenie.
Nie wiem, jako tak straszną regułę rozwiąże,
Którą świata napisał apostołskie książę:
Gdzież się nieszczęsny grzesznik pokaże przed sędzię,
Jeżeli sprawiedliwy ledwie zbawion będzie?

Świętym być trzeba, kto tej szczęśliwości żąda.
Nikt bez niej — drugi pisze — Boga nie ogląda.
Kto do tej szczęśliwości [się] zna, oraz się tem
Niech szczyeci: pospołu to chodzi, że jest świętem.
Boga nie zna; trzeci Jan to napisał lemna;
Człek umyślnie grzeszący, pytam, jakoż się ma
Tą cieszyć szczęśliwością? Na to odpowiada,
Że sprawiedliwy siedmkroć w każdy dzień upada.
Insza rzecz paść, insza ledz: kto padnie, wskok wstanie
Z miejsca i uwalwszy długo pomni na nie;
Jeśli się jeszcze stłucze, z daleka go mija.
Głupi o jeden kamień dwakroć palec zbija.
A cóż sto? a cóż tysiąc? Już ten nie w upadzie
Szwankuje, ale w grzechu umyślnie się kładzie.
Nie darmo tenże wątpiac pyta oczywiście,
Jeśli znajdzie na ziemi wiarę w swoje przyście.
Jeśliż ten wątpi, który od świata stworzenia
Sprawy, mowy i ludzkie widzi pomyślenia,
A któż się sam upewni? kto tak jest szczęśliwy,
Że go w wierze przyszedszy Bóg zostanie żywej?
Nie znamy, bo nie mamy szczęśliwości naszej,
Ale nas to daleko niechaj bardziej straszy,
Że tej nieszczęśliwości, która we drzwiach stoi,
Choć ją ma, żaden nie zna, żaden się nie boi.
Wielka szczęśliwość, że kto świętym się krztem narza,
W wielką się nieszczęśliwość wszystkim tym przetwarza,
Którzy, daru świętego skosztowawszy Ducha,
Grzesząc, depcą go; takim żadna już otucha,
Żadna za grzech ofiara, bo Chrystusa znowu
Krzyżują, nie zostaje: pójdą do okowu

Dyabłu na wieczne męki. O zguba żalosna!
Po szczęśliwości wielkiej nieszczęśliwość sprosna.

Za głową ciało, za rozumem głowa.

Czy serce głowy słuchać ma, czy serca głowa?
Była o tym przy stole w posiedzeniu mowa,
Aleć wszyscy na jeden sentyment się zdadzą:
Wszyscy głowie nad sercem przypisują władzę.
Panem człek, zamkiem głowa, gdzie rozum, który ma
Trzech mniejszych substytutów, gubernium trzyma:
Pamięć wprzód, drugi dowcip, fantazyja trzeci
Posłuszni rozumowi muszą być; także ci
Pięciu zmysłom cielesnym ordynansy dają,
Którzy ich, jak i oni rozumu, słuchają.
Nie ruszy się wzrok, słuch, smak, wonia, dotykanie,
Aż wezmą od starszego swego rozkazanie.
Miastem jest pod tym zamkiem ciało tegoż pana,
Serce gubernatorem, któremu też dana
Władza nad afektami wewnętrznymi, jaką ma
Rozum w zamku nad swymi. Jest żądza łakoma,
Bojaźń słaba, ognista miłość, żalność smutna,
Ból niecierpliwy, po niem nienawiść okrutna
I inne, na któreby trzeba inwentarza.
Każdy ma sekundanta, każdy adwersarza;
I tak są pomieszane, jako ogień z wodą,
Przeto zawsze spór, zawsze wojnę z sobą wiodą.
Jedne czleka do śmierci, drugie do żywota
Przez gwałt ciągną; jednym grzech, drugim miła
Serce raz to, drugi raz tamto im przymila. [enota;
Darmo, stojąc przy enocie, rozum z zamku strzela;

Bo tego na ostatek w mieście swym dokaże,
Że musi rozum czynić to, co serce każe.
Biednyż to zamek, który nie ma w mocy miasta;
Mizerny mąż, nad którym przewodzi niewiasta:
Czego się kolwiek naprze, czego jej zabaży,
Choć wprzód nic, czy dobre to, czy złe, nie uważy,
Musi mąż kupić, musi na wszystko pozwolić
Rad nie rad; nie przestanie głowy mu mozolić.
Pan winien, człowiek winien, bo sobie źle radzieli:
Błazna gubernatorem na zamku osadzieli;
Co miał fortecę Bogu, swojemu królowi,
Poddał ją dyabłu, jego nieprzyjacielowi,
Poddał światu drugiemu; tym hołduje dwoma,
Aleć się tego wkrótce, że podrzył, zasroma.
Przyjdzie król i jednego słowa swego miną
Zamek z miastem i z światem, żalosną ruiną,
Wyrzuci, gdzie z panem wraz pójdą w ogień franci:
Tak rozum, jako serce, jego komendanci.
Mądryby temu zabiegł, nie dopuścił buntu,
Zniszczywszy, ogłodziwszy mieście do gruntu.
Zapomni koń narowu: nie igra, nie bryka,
Jeśli ujmiesz obroku, wprzędiesz do orczyka.
Pracą zuchwałę ciało przydawszy do postu
Uskromisz, żeby wyżej nie dźwigało chwostu.
I pies, mówi przypowieść, chudy się nie wściecze.
Próżno mnich wierzchnią skórę dyscypliną siecze,
Czego ani natura, ani Bóg pozwoli,
Tłusto li, nie nie robiąc, rad jada, słodko li
Rad pija, nie poradzi. Serce niechaj karze:
Cóż ściany winny, że w nich grzeszą gospodarze?
Dom oprawić, żebyś miał gdzie mieszkać, przed mrozem;

A gospodarza, jeśli występny, powrozem.
Ba odwarzelby drugi powrozowi udy,
Żeby nie przestał grzechu brzydkiego paskudy.
Gorsze, niż od powroza i niż od obucha,
Plagi, że go żaden zły afekt nie usłucha;
Gdyż rozum, w posłuszeństwo wzięwszy je, sam będzie
Każdemu rozkazywał, sam trzymał w komendzie.

**Niemasz nikomu tak szczęśliwej godziny, żeby komu
nieszczęśliwą być nie miała.**

Niemasz nikomu żadnej tak dobrej godziny,
Żeby się zafrasować nie miał w nią kto iny.
Tak fortuna między nas swoje rzeczy dzieli,
Że co jednego smuci, drugiego weseli;
Co zysk jednemu, zaraz szkodę w tymże czesie
Drugiemu, pana sobie odmieniwszy, niesie.
Żaden się nie bogaci, żaden nie wielmoży,
Aż dziesiątego, ze wsi wyzuwszy, zuboży.
Nie wprzód woły egipskie obciążą ściery sady,
Aż równą sobie liczbę chudych wołów zjadły.
Nie może wdowy pojąć nikt, póki ma męża;
Nie może być smokiem wąż, póki nie zje węża.
Tę na wojnie, tę w prawie, tę mają i gracze
Bierkę, że tryumfuje jeden, drugi płacze.
Nie mogą oba wygrać, oba tryumfować:
Tylko jeden drugiemu przychodzi paszować.
Prawda, że często koło to fortuna wspaczy:
Tego, co płakał, śmieszny; co się śmiał, zapłaczy.
Taż będzie, skoro blizki koniec przydzie świata,
I żywych i umarłych ludzi alternata:

Będą smucić ci, którzy na niem się weselą,
Skoro enotliwych od złych anieli rozdziela;
Będą płakać, którzy dziś tryumfują w ciele,
Owych się zaś obróci smutek na wesele,
Skoro Bóg, bo na niebie on to koło toczy,
Otrze im z łez śmiertelnych zapła[ka]jne oczy.

Mierzał go pokój.

Nie miawszy baba biedy, prosię sobie kupi;
I mój sąsiad kłopotu, ożenił się głupi.
Babie prosię ustawnie za uszyma kwiczy,
Temu dzieci, bo co rok jednym więcej liczy:
Jednemu trzeba mamki, drugiemu piastunki,
Trzeciemu bakałarza. Jeszczeż to frasunki
Mniejsze, choć i panience szwaczkę trzeba chować,
Chłopcom książki, tej wstążki ustawnie kupować.
Lecz kiedy hałasuje zrzędna gospodyni,
Nie dzieci ani prosiąt, stu by starych świni
Słuchać wolał przez trzy dni, niż tej trzy godziny.
Ale trudno na kogo inszego tej winy
Walić, tylko sam na się: na twojej to woli
Było zenie się i nie. Cierpże, kiedy boli.
Tak dzieci chować, jako księgi pisać; i ja
Z mędrszymi zgadzam, że to jednaż molestya:
Tam się na bakałarza może spuścić, a tu
Gluzując, przepisując, nie wyndziesz z kieratu.
Któż zaprzagał? masz li tak pracą swoją cenić
Wysoce, jako było tamtemu nie zenieć,
Tak i tobie nie pisać wolno i spać raczy.
Czy dopiero webrnąwszy, głębią człek obaczy?

Toż drugi raz.

Trudno zwać głupstwem, co nam idzie z przyrodzenia:

Choćby kto żył najwcześniej, każdy polepszenia
Życzy sobie na świecie i puści się ładu,

Gdzie, choćby zaś chciał wrócić, już mu trudno, z prądu
Widząc, że nie tam płynie, gdzie się puścił, że się

Nie po szwie porze, że go od celu prąd niesie.
Tym ci to sidłem dyabeł, jako pismo mowi,

Łakomych na bogactwa świeckie ludzi łowi.
Komu wcześniej na ławie, nie szukaj poprawy:

I krzesła nie dostaniesz, i pozbędziesz ławy.
Przedał wioskę sąsiad mój nikomu nie winny,

Że mu się raz z Węgrami powiódł handel winny.
Aż skoro się nie wiedzie, straci raz i drugi:

Przepadają za wino zborgowane długi.
Do wioski nazad trudno, zgubiwszy na winie;

Przyszło w swoimże miarki wybierać mu młynie.
Nie po stopniach z szlacheica kupcem i winiarzem,

Z kupca zostać, widząc go pomysle, młynarzem.
Ostatni tej drabiny szczebel nie bez żalu

Żony i kupy dzieci zakończył w szpitalu.

Krótkość wszystko zaleca.

Każda rzecz krótka piękna, gdy właśnie do ładu,
Prócz siedzie li kto głodny za stół do obiadu.

Dobre było kazanie, prawdziwa nauka,
A że krótkie, najpierwsza ta do niego sztuka.

Zbrzydziałby, przedłużywszy jednym go momentem,
Choć nie księdzem, ale był apostołem świętem.

Nie dziw, że na kazaniach długich uszy bolą,
Bo je tak prawdą, jako oczy ludzkie solą

Zasypują; jakoby na praszcętach siedzą,

Kiedy to, co do wszystkich słyszą, na się wiedzą.
Krótkość wszystko zaleca, zbytek wszystko brzydzi,

Co i z modlitwy Pańskiej każdy snadno widzi;
Przeto się człeku szerzyć, kiedy klęknie do niej,

Jako ewangelia uczy, Chrystus broni.
Skąd siłę przestrugując, nie rzkać, nie rozszerza,

Lecz Bogu nie chcąc przykrzyć, nie mówią pacierza.
Drugi zaś, począwszy je, kiedy przestać, nie wie:

Lata gęba, jako list od wiatru na drzewie.
Z krótkości zalecamy i pismo, i mowę:

Choć piękne, tracą wdzięku długością połowę.
Językiem się, co Boskiem, co i ludzkim wadzi

Uzom, dla chluby ludzie popisują radzi.
Wolno go słuchać, wolno i nie słuchać Boskiem;

Ludzkie muszą, bo trudno zalepić ich woskiem.
Jeszczeż pół biedy, jeśli co baje do rzeczy,

Choć i długo; ale ten człeka wskroś kaleczy,
Kiedy drwi, a jedno się drugiego nie trzyma,

Sto razy powtarzając; bliwać się chce uszyna.
Rozumie, ale barzo został oszukanem,

Że jako swej gębie, tak cudzych uszu panem.

Na toż drugi raz.

Im karzeł, piesek, księga, im zegarek mniejszy,

Tym droższy w oczach ludzkich, tym bywa piękniejszy.
Karlam widział w pasztecie i księgę w kieszeni,

Pieska w rękawie, nie w czym. Sąsiad się mój żeni
Z małą wzrostem, lecz kiedy z sobą się rozpieszcza,

W całym gmachu, dopieroż w rękawie, nie zmieszczą.

Wolałby na ramieniu brytanicę dźwigać:
Nie ona mu, ale on musi jej podrygać.

Lew na powrózku.

Lwem się zwał uwiązany na nici konopnej
Człowiek może rozumny, uczony, roztropny,
Którego leda respekt cielesnej fortuny,
Zgasiwszy grzeczność, wiąże i sadza do kuny.
Mógszy robić na sławę nauką i enotą,
Znikczemniał, marną w domu zasłnawszy ślepotą.
Mógszy na wojnie, abo znacznym być w kościele,
Filistynom z Samsonem ślepym w żarnach miele.
Kosztów ojeowskich, trudów swych zabywszy tyła
W naukach, włosy leda strzyże mu Dalila.
Siłuż grzecznych do cudzych od nas jedzie krajów?
Powróca, gorszych szukać nie trzeba łabajów.
Lwaśmy czekali! Czegóż z kosztem jeżdżąc szuka?
Kot morski kudłatego wdział na się borsuka.

Jeśli wiatry ustana, róbże wiosłem.

Jeśli komu zaczęta rzecz idzie oporem,
Niech popiera wspaniałym imprezy humorem.
Ucichnął wiatr i żagle rozdęte obwisły,
Nie żałuj rąk: wypychaj wiosłem szkutę z Wisły.
Wiedząc, kiedy się na co z mieszkciem rozum zgodzi,
I po suchym pływają piasku wodne łodzi.

Śmierć a ubóstwo najpewniejsze rzeczy.

Trudno zgadnąć, któraby z tych dwu gorsza jędza.
Obie pewne ze wszystkich rzeczy: śmierć a nędza.

Śmierci nikt nie uchroni, chyba ją odwlecze;
Przed ubóstwem, kto się go wczas boi, uciecze.
A niemasz przed nim uciec inszego sposobu:
Młodemu do roboty, staremu do grobu.
Kto na chleb nie chce robić, bywszy zdrowem, młodem,
Pewnie przyjdzie na starość umierać mu głodem.
Tenże, co: Procheś i w proch obrócisz się, człecze,
Bóg: Będiesz pożywienia z pracą szukał, rzecze.
Siłuż dziś po klasztorach cudzą żyje pracą,
A ci, co na nich robia, żywot głodem tracą!

Na toż drugi raz.

Słusznie mądry poczyta szaleństwem to srogiem,
Kiedy kto nie bogatym, liczyć go ubogiem:
Choć ma co jeść, gdzie mieszkać, ma, czym się okrywa,
Lecz że mu nad to, co ma, sto razy nie zbywa,
Już ten u siebie nędzę klepie i u ludzi,
Nie chcą bowiem z chudszyimi stosować się chudzi.
Nie chcą na dół, gdzie milej; tam, gdzie oczy bolą
Od zazdrości, do góry wszysey patrzeć wolą.
Mało im do natury brzuch doma napychać;
Trzeba, żeby to było jak najdalej słycać.
Z czymby się przed zazdrością tał? Kto uważa,
Sama jej pycha szuka, sama jej naraża.

W pokoju lew, w niepokoju liszka.

W radzie trąbi na wojnę, choć mała przyczyna;
W sądzie tyran, jako lew, bez litości ścina;
Aż kiedy ani radzić, ani sądzić czasu,
Tylko się bić, lew lisem: umyka do lasu.

Łacniej, prawda, mysz w pudle zabić, ba i kilka,
Łacniej więźnia z tarasu, niżli w polu wilka,
Niż Tatarzyna, co go już Rzeczpospolita
Osądzi, bo nie owce, ale ludzi chwytą.
Niech skaże dobry sędzia złoczyńcę na katy,
Byle swojej do sądu nie mieszał prywaty.

Lepsze jedno stajanie uprawione, niż dziesięć jałowych.

Poskupowałeś ze wsi dziesiątka sąsiady,
A cóż ci po nich, jednej nie mogszy dać rady?
Swój chleb na nich sąsiedzi bez twej szkody jedli,
Dziś kradną sładzy: nie ty, oni je osiedli.
Nie jesz, nie pijesz, nie śpisz, niż przedtym, wygodniej;
A to jeździsz po pańsku i stroisz się modniej.
Więcej też masz kłopotu, więcej mając ludzi:
Często obiad przeszkodzi, często cię obudzi.
Niechże się pycha gruntów szerokością sławi,
Lepszy jeden łąn roli, kto go dobrze sprawi.

Pan połyka, chudzina spluwa.

Co pan włoży do gęby, na to patrzac splunie,
Co połknie, obliźnie się chudzina, fortune
Łajac, że choć jednako na świat wyszedł z panem,
Nie chciała z nim w świecie mieć go porównanem.
Różnią się wzrostem ptacy, różni bydło, zwierze,
Wždy równą paszą, równą sierę mają i pierze.
Na to zaś, co chudzina je, pan patrzac pluje;
Że on sto razy lepiej, fortune dziękuje.
Do gęby brak w pokarmach; skoro wyńdą z brzucha,
Nie znać, co kuropatwa, a co rzepa sucha;

Nie znać, gdzie żur owsiany, gdzie polewka w winie:
Jednaki smak w obojgu mają głodne świnie.
Przecież więcej ubogich o wodzie, o bobie
Żyje; panowie gniją z pasztetami w grobie.

Więc żniwa odstąpię?

Żyj sobie na swej wiosce, nie wierę piętą dłuży;
Nikt, abo rzadki kto dziś u dworu wysłuży.
Jednego z podufałych przestrzegam przyjaciół,
Który służąc większą część substancyej straciół.
Do ostatniej niewolnik opłaca się reszty,
Żeby żył na swobodzie w ojczyźnie; gdzieżeś ty
Rozum podział? oczy mię na to patrzac bola,
Że tak drogo sam sobie kupujesz niewola.
Odpisuje: Nie ze wszem twa rada życzliwa,
Kiedy mi gotowego każesz odbiedz żniwa.
Siawszy lat kilkanaście, gdy czas przyszedł zbioru,
Większy by był nierozum jechać ode dworu.
Więc bym darmo tak długo z kosztem mu przyświecał?
Pan mi też już coś, kiedyś i kędyś obiecał.
Prócz tego sama, którą z grzecznymi tu wiodę,
Konwersacya stanie za wielką nagrodę.
Aż mój, straciwszy całą substancją wkrótce,
Na jednej do zastawnej wsi wraca podwódce.
Pytam, jako na żniwie i na plonie wskorał?
Gdzieżbym cię był usłuchał, a swą rolą orał!
Radby się, ale że nikt, i żyd nie da na to,
Co było, teraz niemasz, ożenił bogato.
Nie wedleż stanu, wedle posagu się żeni,
Służbę dworską w niewola domową odmieni.

Z służby odstać, z niewolej wykupić się może,
Wyrobić abo uciec; ale kogo w łoże
Małżeńskie księża wsadzą, żadnego sposobu
Wyścia niemasz: śmierć tylko wyzwoli do grobu.

Dosones vel Dabones.

Daj. Nie mogę. Obiecuję, kto cię o co prosi:
Kiedy w rzeczy samej nie, słowa niech odnosi.
Tamtego nie zasmucisz, siebie nie zubożysz.
Co cię nie kosztuje, czemuż się z tym drożysz?
Kto obieca, tego dać nie mogszy, nie kłama;
Chyba ten oszukuje, kto nie chce dać, a ma.
A nuż mi się upomni? Ja takiego zbędę:
Uczynię obietnicy dość, kiedy mieć będę.

Trudno z tłomokiem pływać.

Jeśli zdrow kto wypłynął z niebezpiecznej toni,
Mniejsza szkoda, choć wszystko to, co niósł, uroni;
Nie tak dalece go żal w smutne serce bodzie,
Widząc z brzegu rzeczy swe płynące po wodzie.
Gorszą daleko tonią świat, bo na śmierć wieczną
Ludziom jest, w którą wpadli przez pychę wszeteczną.
Wszyscy się dobywamy z niej, ale nikt szczerze.
Bo nikt nie chce tłomoków opuścić w tym wirze.
Radby je przez grzechowe każdy na ład fale,
Co rzecz jest niepodobna, z sobą wyniósł całe.
Jedno człek niech obiera, bowiem trudno ma go
Oboje potkać: abo zdrowo choć i nago
Wypłynąć, abo w morzu pospołu z tłomokiem
Rzeczy marnych, znikomych pić na dnie głębokiem.

Toną wszyscy, bo gardzą dla grzechów zbawieniem.
Świat tłomokiem, a ciało ludziom jest kamieniem;
Na świecie, jak na wiszu, abo macherzynie,
Kamień mając u szyje, do nieba człek płynie.
Puknęła macherzyna, bo wiatrem nadęta,
Idzie wciąż piekielnemu Neptunowi w pęta.
Korab dla tego niechaj każdy sobie sprawi,
Co nie tonie, choć Noe cały świat w niem pławi.
Czyste, mówię, sumnienie, czyste serce; jeśli
Kto go ma, niech nie szuka drzewa ani cieśli.
W tym i żywot, i zdrowie, i wszystkie swe rzeczy,
Ale tylko nabyte duchem, ubezpieczy.
Te, których ciałem nabył, z ciałem tonąć muszą:
Trudno ich z tego morza wysadzić na suszą.

Zamek z wychodka.

Nie widząc w nim żadnego wymowy dowodu,
Chwalisz człeka. jakbyś chciał zamek mieć z wychodu;
Ale darmo, omyłką zawiodłeś mię grubą,
Bo [w] zamkach z dział strzelają, a ten tylną szrubą.
Usiadłem blisko niego, chcąc czemu przysłuchać,
Jednak mi częściej przyszło na trociczkę dmuchać.
Nie słyszałem uszyna, bo nie mówił głosem,
Oratora musiałem bździocha wachać nosem.

Od domu do wrót mila.

Mila z izby do bromy, druga do Kaźmierza,
Choć ich cztery rachują, zmierz, kto nie dowierza.
Nim się z domu namyśli, wybierz, nim wsiedzie
Do wozu choć najraniej, tym południe będzie.

Wyjechawszy za wrota, za godzinę, za trzy,
Trafunku nie rachując, na Kazimierz patrzy.

Pieniądze bez mieszkania.

Jako ptaszka bez klatki, jeśli się poimać
Zdarzyło komu, zawsze musiał w garści trzymać,
Tak pieniędzy, kto przy nich nie ma wioski swojej,
Zawsze pilnować musi, bo się o nie boi.
I dla tej ci podobno z dawności nauki
Orły na nich bujawe, płocze znaczą kruki.
Zgore, spustoszeje wieś, ale grunt nie może;
Łacno inszą zbudować, kiedy rodzi zboże,
Prędsza zaś za pieniądze, niż zguba, odmiana:
Nie giną, tylko sobie odmieniają pana.
A kiedy raz ucieka, niech najbardziej szuka,
Rychlej orła dostanie, rychlej w leśsie kruka.
Moja rada, kto je ma, kupić wioskę za nie:
Nie może być pewniejsze na ziemi schowanie.
I wieś, prawda, podlega tysiącu przygodom,
Ale rola, kto ją ma dobrym prawem, to dom.
Ogień nie spali, złodziej żaden nie podkopie;
Nie blisko Wisły, kto się boi być w zatopie.
Jako Ewangelia święta nas przestrzega,
Wszystkiemu temu złoto i srebro podlega.

W zimny piec chleb sadzać.

Ludzi śmiesz i sam się oraz błazen zdradza,
Kto do zimnego pieca chleb zrobiwszy sadza.
Siłuz takich piekarzów znajdzie się dziś między
Nami, którzy pojawiwszy babę dla pieniędzy,

Chcą je, nie mając w sercu Abramowej wiary,
Żeby syny rodziły, przetrworzyć na pary?
Stroją, pstrzą, chcąc koniecznie z listopada maja,
Choćby jej bardziej kożuch przystał i kuczbaja.
W zimne długimi piece wystudzonełaty
Kładą i ciasto oraz psując, i łopaty.

Na toż drugi raz.

Kto swe na niewdzięcznika dobrodziejstwa miece,
Każdy ciasto pszeniczne w zimne kładzie piece;
Wolałby psem, wolałby w kojcu skarmić swinią,
Gdyż mu oboje większy pożytek uczynią:
Strzeże pies, tyje swinia; ten może nałajać.
Niech się nikt nie spodziewa z tej rzy chleba krajać.
I ów swoje w zimny piec sadza bochny z dzieże,
Z trzosa pieniądze chłopeu na szkoły, choć wie, że
Nie ma zmysłu do nauk, chce go księdzem upiec,
Choć mógł lepszy z chłopka kmieć, z zamsika być
Chce, gdzie mu założyła natura wrzeciądze, [kupiec.
U szalonej fortuny dostać za pieniądze.

Na toż trzeci raz.

I ten bogdaj w zimny piec nie kładł chleba, który
Nie gładkie, nie posażne mając w domu córy,
Stroi z ujmą gębie swej, na publikę wlecze,
Kędy się trafi, bo go nie pewnie upiecze.
Jakby też z wilczą skórą chodził po kołędzie;
Ognia trzeba piecowi, a bez drew nie będzie:
Ogniem gładkość, drwy posag, jeśli nie posażna,
Jako ogień bez drew, tak piękność małoważna.

Jeśli nie ma pieniędzy miłość na podniecie,
Darmo wala, darmo chleb kładzie na łopate.
Wypalić piec: dać posag, panie ojcze, trzeba,
Chcesz li mieć w domu swoim krajczego do chleba.
Trafia się przy samych drwach, choć ognia, jak żywo,
Ani iskiereki będzie, że dojdzie pieczywo,
Choć rozumu nie wiele, choć nie cała cnota,
Urody by; rzęsiśta okryje to kwota.
Leda szewlucha, byle w bogatym czapragu,
Ujdzie na powód: wszystko zawisło w posagu.

Uprządeś nić, igły trzeba.

Mało, że igłę kupi, że nici naprzędzie,
Jeśli krawiec niedbały do szycia nie siędzie.
Kupił kto pustą wioskę, trzeba wołów, koni,
Trzeba gospodarować; inaczej nic po niej.
Krawiec przyjdzie do nędze, jeśli nie będzie szel;
I szlachcic się nie długo swą wsią będzie cieszył.
Podejmie kto urzędu i sprawy się chwyci,
Ma sukno przed oczyma, ma igłę, ma nici.
Jeśli czym inszym bawi, dosypia, zapija,
Nie może przyść do skutku jego intencya.
Owszem, miasto pochwały i miasto zarobku
Wstyd weźmie za żywota, hańbę na nagrobku.
Masz naukę, mów mądrze; nie możesz, pisz ładnie,
Bo rzadko język z piórem do sfory przypadnie;
Żyj cnotliwie, jakoć twa nauka przepiszę,
Ani daj, która do niej ciągnie, miejsca pysze.
Bo choćbyś Salamona zrównał i Senekę,
Za cnotliwym prostakiem nosić tobie tekę.

Kiedys łysy, nie wadz się z rogatym.

Szkodaby gołej skórze, łysemu dowierzać;
Lepiejby się z tym, który ma rogi, nie zderzać.
Nigdy prawo z możniejszym, z mędrszym się dysputa
Nie nada; kluje mocny słabszego koguta.
Widzimy i barany, widzimy i woły,
Że zawsze przegra bitwę z rogatym gomoły.
Chyba przyprawne, jako u mego sąsiada:
Z takim rogaczem łaćna gomołemu zwada.

Czego się zachce, wszystko to święte.

Nie to, co pismo Boże, ale co nam radzi
Nasza wola, do nieba z świata nas prowadzi.
O! wielka doskonałość swe upodobanie
Kłaść za wewnętrzne świętego Ducha rozkazanie,
A co usta przykazał, zaniechbywać śmiało,
Gdyż mu się to odmienić we mnie podobało.
Dosyć na zakonnik, choć po karczmach hasze,
Że się w poły konopnym powrozem opasze.
I księdzu plebanowi dość na wierzchu plesza,
Choć się pod nim na wszelką rozpustę rozgrzesza.
Suchot, odpustów, drózek dość na polityka,
Wolno przytym z cudzego napić się trzewika,
Ba i upić; przy świętych ujdą świeckie rzeczy:
Mnich stryczkiem, pleban pleszem, on tym ubezpieczy.

Na toż drugi raz.

Niech i Boskie mandaty, gdzie się z sobą zgodzą,
I kościelne ustawy w jednej sforze chodzą.
Ale pod pozwierzehówną kościelnych zasłoną
Niechaj Boskie nie gina, wewnętrzne nie płoną.

Tylko li święte będą do upodobania
Naszego, w niwecz Boskie pójdą rozkazania.
Jako żydom zadał Pan, broniąc apostołów,
Że rąk wedle ich ustaw nie myli do stołów,
Jakoby oraz ręku nie mogli umywać,
Choćby mydłem, i Boskie prawa zachowywać.
Nie w powrozie, w powróśle niech mnich chodzi tłusty,
Byle się strzegł z zgorzeniem światowej rozpusty;
Niech nie tylko soboty, wtorki suszy, środy,
Niech cudowne obrazy obiega w zawody,
Nie[ch] dyscypliną siecze, niech się rzeże nożem,
Byle dał pierwsze miejsce przykazaniom Bożem.
Tamto każdemu człeku wolno robić i nie;
Z tych opuściwszy jedno, wieczną śmiercią zginie.
Ani tamte pomogą, i owszem zaszkodzą,
Kto tak wierzy, że Bogu za grzechy nagrodzą.

Lepiej psa rozdrażnić, niż babę.

Woliż psa, niż zajadłą niewiastę rozgniewać:
Pies, póki widzi, szczeka; nie przestanie śpiewać
Baba, choć zginiesz z oczu za sto mil, o tobie,
Pókiś żyw; umrzesz, będzie szczekała i w grobie.
Pies tak na gościu, jako na złodzieja szczeka;
Babie, co ślina niesie, to gada paszczeka.
Nie uważa na kogo, kto tylko rozdrażni,
Zły czy dobry; do skonu nie dojdiesz przyjaźni.
Psoci, sromoci, grozi, o czym ci się nie śni:
Potwarzy, złorzeczenia w jej nasłuchasz pieśni.
Pies już nie może kąsać, bo szczekając, człeka,
Żeby się miał do kija, przestrzega z daleka.

Gorzej baba językiem ukąsi, niż psie kły:
Ma gusła, czary; w pomście ma truciznę wścieklej.
W rzeczy łąsi, pochlebia; obaczywszy wita,
Aż za serce, pogodę miawszy, mleczkiem chwytą.
Na niewiasty składają, co by uszło słabej
I niedołężnej ich płci gniewliszy nad baby
Mężowie, i językiem, i ręką, i żwawem,
Mszcząc się, kto ich rozdrażni, do upaści prawem,
Póki żyw, i nie pierwej drugi żyć przestanie,
Aż jako osa żądło zostawiwszy w ranie.

Długa przedmowa odejmie chęć do słuchania.

Najlepszy obiad leda zepsuje śniadanie
Tak właśnie, jako długa przedmowa kazanie.
Śniadanie obiadowi miejsce bierze w brzuchu,
Kazaniu zaś przedmowa długa w ludzkim uchu.
Niech się z obojgiem, proszę, mój ksiądz pleban schowa,
Ma li takie kazanie być, jako przedmowa.
Ze trzech części złożona każda oracya:
Początek, drugi środek, trzecia konkluzya.
Niech, kto co chce, obiera, wzięwszy na egzamen,
W moich uszu ze wszystkich trzech najmilsze Amen.
Długa przedmowa świerzbi, narracya boli,
Czekana konkluzya z obojga wyzwoli.

Wprzód pczoły odegnąć.

Wprzód trzeba pczoły w ulu wykurzyć ze spodu,
Żeby nie pokąsały, dopiero do miodu.
Głupie w ul, jeśli dymu nie przyniesie. dmuchnie,
Bo, nie liznąwszy miodu, od żądła opuchnie.

Zajechałeś, jeszcze wsi nie wygrawszy prawem,
Mając sprawę z możniejszym i człowiekiem żwawem;
Wygnano, wybito cię; jeszcze koniec nie tu:
Czekasz trybunalskiego pod strachem dekretu.
Jeślić każą do wieże, nie wiem, kto szczęśliwszy,
I coby z tego dwojga obrać: pezoły, czy wszy;
Raz ukąsiwszy pezoła, drugi raz nie szkodzi,
Wesz się trzyma; zabijesz jedną, tysiąc rodzi.

Łyczana pomoc.

Darmo furman w złym razie, jeśli mu się spada
Konopny, łyczany w szłą postronek zakłada;
Dopieroż się ten zerwie, i niechybnie dłużej
Stać, abo swój porzucić wóz musi w kałuży.
Miłość Boska złotym jest do nieba powrozem,
Wiara i enota końmi, grzech błotem, człek wozem.
Kto złoty w grzechu urwał, na cóż — pytam — bawi?
Złotego szukać trzeba; łykiem nie nadstawi.
Wszystkie wymysły ludzkie, pozwierzchowne fochy
Łykiem, mizernym łykiem są z lipowej sochy:
Niech się dyscyplinuje, niech trudzi, niech suszy,
Niechaj od stopy złoci obrazy po uszy,
Niech dźwiga relikwie worem, niech je liże,
Świec stem tysięcy stawia, czci drewniane krzyże;
Jeśli w grzechowym błocie wóz uwiązał i konie,
Łyka to; serdecznejby liny trzeba po nie.
Może tym wiązać, żeby co z wozu nie spadło;
Ciało skracać, żeby się nad ducha nie kładło;
Ale żebyś tym forę wywindował z błota,
Daremny, wierz mi, zawód, daremna robota.

Niech nikt nie ubezpiecza takim się powrozem,
Bo czym dalej, tym gorzej z swoim grążnie wozem.
Dokąd tam na ostatek i z niem nie zasiędzie,
Skąd żadna lina, żaden łańcuch nie dobędzie.

Najlepsza woda.

Obszedł się człek bez ognia, póki, żyjąc w raj, u
Surowe abo świeże frukty jadał z gaju;
Nie piekł chleba, nie warzył piwa, nie miał zboża,
Ani do drew siekiery, nawet ani noża.
Przecież póki go stamtąd grzech na świat nie spłoszy,
Nie tylko wcześniej, ale żył jeszcze w rozkoszy.
Ani Noe w korabiu, gdzie o jednym oknie
Pływa, kiedy potopem świat cały rok moknie,
Mógł kuchnie dla warzenia zakładać, gdyżby mu
Miasto trunku napijać przychodziło dymu.
W jakiejże by dziś biedzie i w jakiej nędzy żył,
Gdyby tego żywiołu Bóg człeku ubliżył.
Gdyby mu ogień zgasił, z którego wymysły
Wszystkich przysmaków, wszystkich rozkoszy zawisły!
Jednejby, kiedy mroźny wiatr śniegiem zadyma,
Jako potopem, ludzi wygubiła zima.
Że bez ognia żyje zwierz, mając swe pielesze,
Gniazda ptak, dla samego Bóg człeka go skrzesze.
Przecież są takie miejsca, kędy ludzie nadzy
Okrom słońca nie znają ognia, dymu, sadzy.
Żeby co żyć bez wody z jakiego rodzaju
Miało, niemasz na ziemi miejsca, niemasz kraju.
Jeżeli drzewo, ziele, lassy i ogrody,
Cóż zwierz? cóż ptak? wszystko śnie, jak ryba bez wody.

I ziemia nawet sama, jeśli jej nie moczy,
W drobny piasek się wiatrom igrzyskiem roztoczy.
Mógł się bez ognia, nie mógł raj bez niej obchodzić;
Dla tego go kazał Bóg wielkiej rzece chłodzić,
Którą potym na cztery odnogi rozporze,
A te z raju na ziemię, z ziemię padną w morze.
Człeku zaś po tamecznych fruktach dla napoju
Dobyl w miejscu rozkoszy słodkiej wody zdroju.
O wodzie, o jabłku tam przeciw Bogu bryka,
Że się do zakazanej jabłoni pomyka;
Jakoż dziś nie ma brykać na mięsie, na winie,
Gdzie [i] rozum, i pamięć, i wszelki wzgląd ginie?
Nie czeka, rychło mu wąż, rychło dyabeł poda:
Sam drze, do Pańskiego się zakradzszy ogroda.

Nic prędej nad łzę nie osycha.

Żadna rosa, żadna tak prędko kropla wody,
Jako łza, bo wprzód, nim ją otrze, oschnie wprzody.
Zwłaszcza u sukcesorów. Nigdy nie osycha,
Kto dzieci płacze, kto po dobrodzieju wzdycha;
Cóż, gdy komu pieniądze nzbierane giną,
Nie osychając, z oczu do śmierci łzy płyną.
I choć czas wszystkie rzeczy pędzi w zapomnienie,
Po dzieciach i pieniądzech żalu nie wyżenie,
Bo jeśli na godzinę zapomnieć pozwoli,
Znowu płacz w oczy wraca, znowu serce boli.
Może czas do ostatniej zdartemu koszuli
Wrócić zgubę; po dzieciach nigdy nie utuli,
A zwłaszcza komu giną dorosłe, jako mnie:
I sam z nimi umieram, kiedy je przypomnie.

O, szkarade szaleństwo płakać na karanie,
A zarabiać po wziętej chłości zaraz na nie!
Oplakiwać tak rzewnie synowskie pogrzeby,
A grzechów nie żałować i nie starać, żeby
Widziałeś ich po śmierci, bo na twój płacz szczery
Patrzy i w złotogłowy Bóg obraca kiery;
Patrzy i anielskimi pióry ich odziewa,
Gdy ociec łzami głupstwa młodości oblewa.

Rachunek jest, ale pieniędzy nie masz.

Wielkie daje racye w sejmikowym liście
Król, pan nasz, że pieniędzy trzeba oczywiście,
Gdyż się i wojsko z Turki bić nie chce nie płatne,
Nuż Rzeczypospolitej ekspensa prywatne,
Rezydenci, posłowie jak siła wyniesą,
Nuż armata koronna. Prawda, racye są,
Ale pieniędzy nie masz. Cała owca, syty
Bylby wilk racyami, gdyby pospolitej
Rzeczy potrzeby chciały na racyach przestać.
Lecz i Bóg nie wyciąga, kogo na co nie stać.

Na toż drugi raz.

Niech wszyscy filozofi, co byli i co są,
Twierdzą, niechaj rogate sylogizmy zniosą;
Krótkim ich słówkiem baba ze szpitalu zetnie,
Rzekszy: Niemasz. Przegrali filozofi szpetnie.
Twardą jest kulą: Trzeba. Dwie tylko sylaby,
Ale twardsza tarcz: Niemasz. Bo jako się sztaby
Kula, groch ściany imie, choćby i z muszkietu,
Tak wiele ma Potrzeba na Niemasz impetu.

Miłość miłość rodzi.

Chcesz być kochanym, kochać ze wszech miar usiłuj;
Żeby cię miłowali bliźni, wprzód ich miłuj.
W przypowieść się obróci sentencya stara:
Jaką kto mierzy, taka potka go też miara.
Skąd niemiłości w ludziach ku Bogu przyczyna,
Choć dla nich jedynego wydał na śmierć Syna,
Czegoby żaden z ludzi, tak ich cenią drogo,
Nie uczynił, żeby niem okupował kogo?
A cóż nieprzyjaciela, który mu zaskorzeł,
I owszem w łyżec wody radby go ponorzeł.
Tak Bóg ludzi miłował. Czemuż grzesząc jawnie
Złem za tak wielkie dobro oddają ustawnie?
Nie miłość samych siebie i swego narodu
Ludziom winna; inszego nie widzę dowodu:
Że za wszystkich umierał Chrystus, nie osobno
Za każdego, stąd w ludziach niewdzięczność podobno,
Że i swych nieprzyjaciół, których nienawidzą,
Mordem na nich dychając, w tym rejestrze widzą.
Znalazłby się nie jeden doś między niewielem,
Żeby duszę, jak Samson, kładł z nieprzyjacielem.
Dając Bogu w pacierzu z siebie przykład usty,
Nie odpuszczając, czynią sobie nieodpusty.

Doktora i księdza wstydzić się nie potrzeba.

Wstydząc france, doktora radziel się ktoś, coby
Na strupy, które wyszły, czynić miał, z wątroby.
Na to doktor: Do france bardziej są podobne,
Bo na czoło i szyję nie leżą wątrobnie.
Drobniejszy trąd z wątroby, ba [i] nie tak prędki,
A te się na was przez noc wysypały cętki.

Toż skoro go zakropi i w gorąco wsadzi,
Jako złodziej na szrobach przyzna, co mu wadzi.
Kradzieży, cudzołóstwa, choć sumnieniu cięża,
Zataiwszy, o kuflu prawimy przed księżą.
Z czego się i sam drugi chwali, i rad słucha,
Kiedy go chwala, księdzu to szepce do ucha,
Że się z nim wezora upieł. Na cóż takie rzeczcy
Szeptać, co widział, na co i sam ksiądz dziś beczy?
O tym eicho, czego ksiądz nie widział, choć to wie,
Czegoby trzeba wstydzić, bo od ludzi dowie.
Ja nie widzę inszego pokuty sposobu:
Popiliśmy wezora, dziś boli głowa obu;
A penitent żalсны; więcby tymże winem,
Któreśmy wezora pili, dziś klin wybić klinem.
Ale skoro go dyabeł w łaźni zębów zgrzytu
Zakropi, siarczystego zadawszy turbitu,
Wyzna głośno, lecz późno. Do wiecznego czasu
Nie przestanie upijać w piekle sasafrasu.

Zwyczaj drugie przyrodzenie.

W naturę. mówią, długi zwyczaj się obraca:
Abo rochmannych dziczy, abo dzikich skraca.
Ktoby rzekł, że człek, między niedźwiedziami w borze
Schowany, rozum z głowy wrodzony wyporze,
Ścierw, obrósszy kudłami, będzie żarł surowy,
Czego był za Kaźmierza w Grodnie przykład nowy?
Że niedźwiedzie u ludzi kiedy na łogoszach
Stawać, abo tańcować będą po szyposzach?
Przez rok się ustawicznie ptaszek w klatce kręci,
Szukając wyjścia na świat, a potem tak wnęci,

Że jeśli mu człek wyście na wolność otwiera,
Polatawszy, znowu się do klatki napiera.
Większy kur i gołębi cud jastrząb zaboja,
Który éwikiem do boru wyleciawszy z kojca,
Wraca znowu do niego i nabyte w lesie
Usławszy gniazdo, dzieci leże, jajca niesie,
Dalej tak obrochmanniał, że tylko na grzędzie
Z kurami, z gołębiami na dachu nie siedzie,
I póki go nie odda, rok od roku prawie
W Chorzelowie wsi o swej panu służy strawie¹⁾.
Owszem nosząc mu pardwy i jarząbki żywcem,
Ćwiczenie nagradzając, dzieli się z myśliwcem.
Człek zwierza za kilka lat i ptaka ochrosta,
A Bóg nie może człeka rozumnego do sta,
Chociaż go na swój obraz stworzył, tak się zliszy,
Bo z światem zawsze, rzadko z Bogiem towarzyszy.
Zwyczajem grzech, zwyczajem cnota się korzeni,
Długi zwyczaj w naturę człowieka odmieni;
Niechże patrzy oczyma i w to się zwyczai,
Co mu niebo, nie piekło, nie śmierć, żywot rai.
Z galer ktoś nie chciał, długiem przywykszy nałogiem;
Piekłu nikt nie przywyknie dyabłu pod ożogiem,
Choćby tysiąc tysiączną spalił na niem skorę,
Nie obróci się nigdy zwyczaj mu w naturę.
Gdzieżby wolno ptaszкови w lat tysiąc tysięcy
Raz wyniść z klatki, ręcę, nie najzralby więcej.

Okopciałe obrazy.

Przykopczone obrazy starożytnych²⁾ znaczą
Przodków twoich. Cóż, kiedy ledwie nie zapłaczą

¹⁾ U kasztelana Czerskiego.

²⁾ W rękop.: starożytni.

W tak wielkiej, jaką widzą, w tym domu odmianie:
Bo nie tylko ze złego dachu kapie na nie;
Błazna po grzecznym ojeu, dziadu zawołanem,
Który ich, marnie żyjąc, szpeci, widząc panem.
Wstyd obrazom, wstyd herbom, które krwią i gardły
Przodków twych zarobione, u ciebie prześmiardły
Tak dymem z dziorawego pieca i komina,
Jako tehorzem, którego zapach z strachu bździna.
Kto wojny nie służywszy, na obrazy każe,
Miasto poprawy sławy pamiątkę ich maże;
Nie dawszy znaku swego szlacheckiego rodu,
Jakby je też z pokoju wyniósł do wychodu.
Niech się sam w aksamity, niech w sobole stroi,
Chwalebnych dziadów swoich kopci, smrodzi, gnoi.
Słaby dowód szlactwa obraz: leda chłop ci,
Dawszy go wymalować, w piekarni przykopci,
I jako widzujemy w starożytych domach,
Powieśsi nade drzwiami w malowanych romach,
Choć jego dziad, jeśli kradł, w nich bez malowania
Wiəsi i na granicy gdzie proso ogania.
Situż dziś podobniejszych do takiego prosa
Maćków ze wsi odyma paszczekę dla trzosa?

Złego początku zły koniec.

Każdej rzeczy uważnie, każdej się jać z lekka;
Kto źle począł, dobrego niech końca nie czeka.
Na gruncie budynkowi, ale naprzód wieży,
Żeby jako najlepiej, założyć należy.
Jeśli będzie fundament wazki, krzywy, miałki,
Darmo wieża na wierzchu spodziewa się gałki:

Wprzód, niż swej proporcej w strukturze dosięże,
Ze strachem budowniczych obalona leże.
Jakikolwiek przyszedłszy człowiek do rozsądku
Stan życia przed się bierze, niech patrzy początku,
Żeby mógł koniec widzieć; choć mądry w tej mierze
Od końca początek swej intencyj bierze:
Mianowicie budynkiem kto rad bawi, gdzieby
Do wygody, nie tylko mieszkał od potrzeby,
Miejsca wprzód, potym czasu patrzy swej robocie,
Bo jeśli miejsce cudze, jeśli grunt na błocie,
Musi, nie mając swego, choć za uproszeniem
Pod dziedzicowym na czas przytulać się cieniem;
Wieżą ani głowy swej zaprzęta pałacem.
Takim świat, takim cała ziemia człeku placem:
I cudze, i doczesne, i na trzęsawicy,
Przecież się ludzie na nich, jakoby dziedzicy,
Tak dalece gruntują bezrozumni, gdzieby
Lepionki tylko ciała stawiać dla potrzeby.
Któż o czym myśleć może? któż jest tak szalony,
Siedząc, jak więzień w turmie na śmierć osądzony,
Prócz żeby, jeśli uciec śmierci nie ma sto siel,
Nim kat stanie, okupił, abo się wyprosił?
Wszystkich okrył ten dekret: ktokolwiek się rodzi,
Do tej turmy z żywota matczynego wchodzi,
Wyglądając, rychło kat we drzwi zakolace;
Wždy nam zamki, wždy w głowach cwałają pałace,
Które w droższe od złota zdobimy szpalery,
Chcąc przetworzyć turmy ciał naszych w belwedery,
Najmniej o tym nie myśląc, że z pompy tak szumnej
Z turmą oraz leda w dzień wrzucą nas do trumny.
Cokolwiek kto na ziemi, buduje na lodzie,

Bo wszystko koźdodiennej podlega przygodzie.
Inszegoby wedle słów Chrystusowych sznuru,
Inszej wieże na jego gruncie jąć się muru,
Po którym byśmy z bagna i z cielesnej turmy
Mogli dać niebu, jako z wieże Babel, szturmy.
Lecz że ciało przeszkadza, nie pomaga do tej,
Duchemby przypilnować potrzeba roboty,
Póki dziedzie pozwala na swym gruncie kątu,
Póki zdrowia użycza na niem. Ale ją tu
Prędko kończyć należy i dziś zaraz począć,
Bo nie wiesz, kiedy każe od niej ci odpocząć.
A w jakiejkolwiek mierze śmierć zaskoczy pewna,
Kamienie się ostoja, pogoreją drewna.
Miejsce ma, bo w niej zgnije człek ziemią przysuty,
Czasu nie prócz godziny i prócz tej minuty.
Dziś założyć, dziś zawrzeć. Tak się pilno krzepić,
Żeby dziś na swej wieży kopułę zasklepić.
Kto począwszy przestanie, niemasz rzemieślnika,
Żeby jednego po niem poprawił kamyka:
I to za niem upadnie, co zbudował z pracą.
Bredzą, którzy mularzom po śmierci swej płacą.
Każdy, żeby w nim mieszkał, na ziemi i w niebie,
Póki tehnie piersiami, dom buduje dla siebie.
Z ziemskiego w grób; jaki w niem na niebie zbudował,
W takim będzie lub we złym, lub w dobrym wiekował.
Bogdaj i tym mularzom oraz cudze wracać,
I swoim tej śmiałości nie przyszło dopłacać.

Pieniądzem wziął, wolność sprzedał.

Sługa się musi z swoją wolnością nie drożyć,
Jeśli nie ma co na grzbiet, co do gęby włożyć.

I żołnierz, choć nie każdy, na szanie zdrowie niesie,
W większym sławę, niż płacą, kładąc interesie.
Służy młódź na panięcych dla ćwiczenia dworach,
Żeby wzrost w obyczajach brali i w humorach,
Choć drugi miasto myta, przecięż nie żal sereu,
Gdy grzeczniejszym odjedzie, weźmie na kobiercu.
Ale ten ani chleba, ani godzien wody,
Który nie dla pieniężnej wolność swą nagrody,
Mając w domu szlacheckie obeście, już stary,
Za kieliszki i winne sprzedaje puhary.
Już nie to na sejmiku Nalewajko mówi,
Co się mu, lecz co jego zda dobrodziejowi.
Okupuje niewolą złotem u Turczyzna
Więzień; czemuż ten błazen lezie w nię dla wina?
Posagu i wielkiego z żoną szukał rodu,
Aż mu z nią, rok nie minął, przyszło do rozwodu.
Pytam, co za przyczyna? Bo mię lekce waży:
Jeśli zaraz nie kupię, czego jej zabaży,
Czei na mnie nie zostawi, sapi, dmucha, boczy,
Posag i urodzenie wyrzuca na oczy,
Grozi bracią, szwagrami, niwczym nie usłuchnie;
Kiedy się uprze, jeśé mi nie każe dać z kuchnie.
Niech żaden dla posagu i dla pięknej twarzy
Niewiasty nie pojmuje, niech każdy mną karze.
Wziął srebro, sprzedał złotą wolność za twarz piękną;
Dzwoni w uszu do śmierci, raz pieniądze brzękną.

Pochwały szuka. Laureolam quaerit.

Niech kto sławy językiem, niech jej piórem szuka,
Rodzi ją i wymowa, rodzi i nauka,

Piękniejszej, nieśmiertelnej nauki snop naźnie,
Kto ręką w polu broni ojczyzny odważnie.
Dopieroż gdzie do ręki język, serce, głowa,
Przystąpi męstwo, rozum, nauka, wymowa!
Daleko to mniej, co kto w ciepłej izbie robi,
Niż co w zimnym odwaga i krwią polu zdołi.
Wielce by ten i sam się, i drugich zawodził,
Twierdząc, że więcej do ksiąg rozumu, niż do dzieł
Marsowych trzeba; próżno z wymową na sejmie
Chłubi się, komu inszy chwałę w wojsku przejmie.
Wolno wszystko poprawić, kędy kto pokawi;
Raz na wojnie podrwiwszy, jużé nie poprawi.
Bo choć mu na drugi raz lepiej padnie biera,
Trudno wskrzesić, kto w pierwszym errorze umiera.
Bo lepsza jest jednego szlacheica ocalić,
Dawno mówią, niż dziesięć nieprzyjaciół zwalić.
Księgę, kiedykolwiek chce, i pisze, i czyta;
Na wojnie każdy moment mądry hetman chwytą.
Dosyć jest umieć czytać do szkolnej nauki;
Wojenne doświadczeniem samym idą sztuki.
Wszystko łącno w pokoju, bo nic nie przeszkodzi,
Nie nadeń kochańskiego. Wojna pokój rodzi.

Na toż drugi raz. Aure ollam quaerit.

I tak się nieźle przyda taż przypowieśé wierę,
Przełożywszy we środek L z czoła literę:
Aure ollam quaerit; nie widać hajduka,
Kędy trąbią do stołu, uchem garnka szuka.
Już tam wiśsi na kołku; niepotrzebna trąba,
Gdzie kuchnia w Proszowicach bez garnków wyziąba.

Cóż, jeśli dohosz kury bijąc w kotły płasza?
Szuka wina, bo musi przy garnku być fiasza.

Kupić trzeba, komu rozkazywać.

Chcesz poddanych? Wiesz kupić, sług, płacić im, żywić
Przyjaciół chlebem, solą, czapką ich przycheiwić.
Żony? Pojać ją. To mieć jednak przed oczyma:
Że zbędziesz sług, przyjaciół; ta do grobu trzyma.
Kupić, chceszli rozkazać komu poufale,
Abo pieniędzmi. abo dobrą wolą; ale
Sługom tylko i kmieciom. Przyjacieli i żona
Nie usłuchnie, choć każesz, jeśli nie proszona.
Przeto panią, przetoć ją jejmością dziś zową.
Co mąż miał być jej, ona mężowi jest głową.
Lecz i słudzy, i chłopci tak się rozkomoszą,
Że nie dobrze nie zrobią, jeśli ich nie proszą.
Skarzesz? Woliż odprawić, niż wypuścić węża.
Wiecież, kto, nie kupiwszy, panuje nam? Księża.
Ba jeszcze za to płacić, i drogo, im trzeba,
Że nam drogę, sami nią nie idąc, do nieba
Ukazują; podobno gdyby szli tą drogą,
Bo ich tyle, co i nas, zacieśnić ją mogą.
Wielka łaska pasterska, nie żal im nagrodzić,
Owce wiodąc po suchu, samym w błocie brodzić.
Nie mogąc pojać bydłę, co czynią pastuszy,
Ich się toru nie puści, choćby brnąć po uszy.
Nie dziw, bo ze wszech zwierząt, lubo żyją dzicza,
Lubo domem, głupszego nad owcę nie liczą.

Nie potykaj się z głodnym.

W sąsiedzkiej do sąsiada potrzebie przyjadę,
Który, kiedy mu się jeść chciało, miał tę wadę,
Że zrzędził, że się gniewał; a gdy nie przestanie,
Każ waszeć sobie — rzekę — dać z kuchni śniadanie;
Ja sprawiwszy, po com tu zjechał, na wóz wsiędę;
Czekać, bo jeszcze rano, obiadu nie będę.
Na to ów: I waszeci długo czekać — rzecze —
Rozmówmy pierwej, niż się pieczenia dopieczę.
Jużci wolę poczekać, skoro zjemy oba,
Żebym co sprawił, kiedy zółć zruci wątroba.
I zgadłem: jakby nie on, co głodny, był syty:
Nie zrzędził, nie gniewał się. uważny, użyty.
Bez gotowej drugi raz nie wsiędę pieczenie,
Kiedy tak z apetytem gniew z żołądka żenie.
To i pies, myślę sobie, nie szczeka, nie mruczy,
Leży cicho, póki głód kiszce nie dokuczy;
Aż skoro wyłącznie, nie tylko na człeka,
Choć mu będzie wiadomy, ale na wiatr szczeka.
Tylko się to jednemu Jakóbowi nada,
Że polewką głodnego Ezawa okrada.
Różne ludzie w tym razie afekcye mają:
Jedni głodem głupieją, drudzy się gniewają.

To rób.

To jedz, to pij, co zdrowo, jeśli chcesz ująć chorób;
Coś począł, coś przedsięwziął, czegoś ćwiczył, to rób.
Bo jako różność potraw żołądkowi szkodzi,
Tak umysł roztargniony skutku nie dowodzi.
Podjąłeś księgi, to rób; dworskiej lub wojenny
Podjąłeś służby, to rób; pracę każdodzienny

Językiem na ratuszu, ręką na warstacie,
To rób. We dwoje robić siłaby to na cie.
Podjąłeś się ołtarza, pilnujże go, księżu,
Od wszystkiego inszego niech cię myśl wyprzęże.
Niechaj roli gospodarz, handlu kupiec patrzy;
Jednym się kontentować. Siłaby to na trzy
Obiady z jedną gębą, dopieroż na czworo!
Doktór ciało, ksiądz duszę, jeśli się ma choro,
Niechaj leczy; już mało ten rzemieślnik zrobi,
Co się na wiele różnych warstatów sposobi.
Jako rzeka, jeśli się na odnogi kole,
Szukacie. tak i zmysł człeczny niczemu nie zdole,
Co zamysła, jeżeli chwyta rzeczy siłu;
To niech robi, co w oczach; porzuci, co z tyłu.
Bo się niejeden taką zawiedzie mutetą:
Zostawszy złym z dobrego malarza poetą.
To rób, do czego sama natura cię dźwiga:
Niechaj szyć znosi z wody, chart zwierza pościga.

Patrzeć z brzegu na rozbitcie czyje.

Patrząc z ładu na morze fortuny obłudny,
Okrety, galeony widziałem i sudny,
Tysiącem form zrobione, zgoła mówiąc krótee,
Każdy człek szczęścia szukał na inakszej łódce.
Ci się boją od brzegu, ci na bystre fale,
Na wichry, wiry, nurty płyną poufale.
Widziałem też rozbitów sam krom trwogi siełu,
Stojąc na suchym brzegu; aż też i mnie z tełu
Taż fala ogarnęła, taż obesła woda.
Ach, gdzież na ziemi nie ma miejsca zła przygoda!

Nie mogąc dostać łódki, przegniłą tarcieę,
Pijąc morze słonych łez, zębami uchwycę,
Którą zbiwszy na trumnę, o żalosna flota!
Płynę do grobu nagi bez dzieci sirota.
Starzec, o trojgu drobnych wnęczęt, po dorosłem
I drugim synu, trzeciej dziewce, tłukę wiosłem,
Póki na oplakanie grzechów Bóg pozwala.
Ach, możeż być na świecie żałośniejsza fala?

Zbrojna prośba.

Prosi li cię ten o co, coć rozkazać może?
Radzę, uczyni; choć nie rad, uprzedź mus, nieboże.
Uczynisz li ochotnie, choć z szkoda, krom sporu,
Przy dziękczynieniu jego dostąpisz faworu,
A może i nagrodzić. że za twoje stanie;
Nie uczynisz? po prośbie przydzie rozkazanie,
Dalej mus, gwałt, uraza. Nie tylko swe traci
Ubogi, ale często zdrowiem go dopłaci.
Na cóż tego przykładów popierać mam wielą?
Dość Nabota przypomniać ze złą Jezabelą.
Bóg tylko stworzenie swe przyjąwszy za dzieci,
Prosi, gdy rozkazania służyć nie chcą śmieci.
O cóż prosi? spyta kto. Nie żeby mu dali,
Ale żeby od niego żywot wieczny brali,
Żeby wdzięcznie przyjęli grzechów odpuszczanie,
Bo jedynego Syna wydał na śmierć za nie.
Nikogo nie przymusza, lecz cierpliwie czeka,
A za smak nieba piekła strach zniewoli człeka.

Czego nie możesz skończyć, lepiej nie poczynać.
Czego skończyć nie możesz, na cóż i poczynać?
Chcąc Kserkses morza łączyć, jał góry rozcinać;
Widząc, że darmo łomie skały. ziemię grzebie,
Przestał, śmiech tylko światu uczyniwszy z siebie.
Znajdziesz i bez Kserksesa błaznów takich wiele.
Widząc mój sąsiad, że mu rzadko młynek miele,
Koniecznie chce gwałt czynić przyrodzenia prawu,
Żeby mu się też woda wracała do stawu.
Radzę, żeby się tego nigdy nie spodziewał,
Chybaby ją przez groblą konwiami nalewał.
Próżna szkoda ogrodów, próżny koszt i praca,
Bo wyrównawszy woda, nazad się nie wraca.

Placze na macoszynym pogrzebie.

Czemu placze? Czemu tak, jako baba, słocha?
Pytam jednego. Bo mi umarła macocha.
Jam rozumiał, że będziesz na pogrzebie skakał,
Widząc nie raz, żeś na nią za żywota płakał.
Aż on mnie przypowieścią odpowiedza starą:
Tam był szczyry, a tu płacz pod śmiechu maskarą.
Wszak też, kiedy pociechę wielką serce znaczy,
Tak, jako w żalu, łzami źrenice zapłaczy,

Od umarłego dań.

Brzydka rzecz zysk z umarłych, ale cóż jest brzydkiem
U ludzi tego świata, byleby z pożytkiem?
Jeśliż rzymscy cesarze nie mieli w tym wstydu
Brać trybut od uryny, smrodliwego brzydu,
Choć podobno pijaństwo tym chcieli poskromić,
Jakoż się na umarłych nie mieli łakomić?

Umarła ziemia wszystkich oraczów swych żywi;
Wždy żaden stan nie może od nich żyć poczciwi;
Przecież to Bóg w zakon swój przez Mojżesza włożył,
Żeby jej nie odzierał człek ani ubożył,
Nie przy samej żnąc ziemi, żeby, ją ugorząc,
Dał odpocząć, nie co rok siejąc, radłac, orząc.
Zdawna, póki łakomstwo nie podniosło głowy,
Wolne rzeki i morza, wolne były łowy
Tak wodne, jako leśne, wolne i gościńce
Każdemu, nie było cel; aż pieniądze mińce
Nastąpiły: nie wolno i wodą i ładem
Darmo jechać, łakomstwo nazywając rżadem.
I do tego niesyte przyszły ludzkie żądze,
Że już oddech kupować trzeba za pieniądze.
Kładzie li człek ubogi ogień w czasy zimne,
Musi wprzód panu swemu odliczyć podymne.
Nie mając ziemie ledwie na plac małej chatki,
Co rok musi opłacać siebie, żonę, dziatki.
Nie raz, dziesięć razy w rok żeby dał pobory,
Nieszczęśliwy poddany wyciera gąsiory.
Jeszczeż to rzecz znośniejsza w świeckich, lecz nierówniej
Gorzej tu grzeszą ludzie łakomstwem duchowni,
Coby mieli pieniądze potępić i z światem,
Jakby na nie święcili, jakby byli na tem,
Żeby ich co najwięcej w skrzyniach odumierać,
I z żywych, i z umarłych gwałtem je chcą zdzierać.
Co mieli darmo dawać, to wiernym pieniąż.
Jednak łakomą tylko poczytam tu księżą:
Mają pokój pobożni, co się tak uskromią,
Że ubogim, jeśli im zbywa, chleba łomią.
Wiosek za cudze snopki nie kupują krewnem,

Co stary Kościół liczył świętokradztwem pewnem.
Trudno chrześcijaninem z poganina zostać:
Nie dadzą mu w kościele, aż zapłaci, postać;
Ani ślubu małżonkom stwierdzą mocą Bożą,
Ba i nie zapowiedzą, póki w garść nie włożą.
Jeśli co na wywodzie z rytuarza czyta,
Abo spowiedzi słucha, to w nadzieję myta.
Msza święta już ma takse, albo pewną kwotę:
Jako ręczną zapłacić trzeba ją robotę.
Cóż mówią świętopietrza? co mówią kolędy?
Choć by się bez niej obszedł chłopiec, biorą wszędy.
Na ofiarę trzeba iść w święta i w niedziele;
Prócz tego dziad z celbratem brząka po kościele.
Dziesięcina swym trybem, petycyja klesza,
Że dzwoni, kiedy chmura nade wsią się wieszca,
Choć to pomoże biedę, bo i same dzwony,
Nie tylko zboża, tłuką grady i piorony.
Umrze li człek ubogi, w chałupie o to mniej,
Dziesięćkroć rzewniej płacze, skoro pogrzeb wspomni.
Samże ksiądz na śmiertelnej pościeli przy chorem
Pisarzem testamentu, sam egzekutorem:
Choć więcej nie zostało, tylko jedna krowa,
Niech dzieci głodem pomrą, na kościół połowa.
Trzeba naprzód zapłacić temu, co zadzwoni,
Ziemie kupić na grób, choć ksiądz nie ma do niej:
Drożej, jeśli w kościele, abo przy ołtarzu,
Taniej, jeśli pod niebem będzie na cmentarzu.
Od kropidła, kadzidła, co czytał, co śpiewał.
Umarły leży; jakby żywego przewiewał,
Widząc, że umarłemu za one wysługi
Pozbędzie krowy swojej, połowice drugiej.

A Bóg w starym zakonie zakazuje, żeby
Nie chodzili kapłani jego na pogrzeby.
Cóż, jeśli duszę z czyśćca, że mu się pokaże,
Przez ofiarę mszej świętej wykupować każe?
Woli już człek ubogi, nim umierać głodem
Przyjdzie, i swoją tymże wykupić zawodem.
Cóż mówić, tak łakomą uważywszy księżą?
To ci czynszem chrześcijan umarłych nie ciężą,
Wyciągając od synów za ojcowskie dusze
Różne *pia legata*, burkany, fundusze?
Rzeczysz: Godzien robotnik swojej jest zapłaty.
Prawda; żołnierz i kopacz, ręką robiąc, a ty
Sam na swą duszę robisz, pilnując kościołu;
Dla czegoż z nimi równej płacy chcesz pospołu?
Koniecznie tego widzieć nie chcecie, że wasza
Służba największe państwa na świecie przenasza.
Nie cielesna dla brania myta, lecz duchowna,
Gdzie każdy kapłan króla ziemskiego wyrowna.
Choć ci, prócz księży, wszyscy do nieba wezwani,
Czyniąc Bogu ofiarę, chwały są kapłani
Wszyscy królmi, ba większy, nie tylko pieniądzom,
Depcąc je, lecz cielesnym rozkazując żądom.

Bąk.

Huczy okryty trzcina tubalnym bąk basem.
Rzekłbyś: Co głosu, tyle mięsa ma. Tym czasem,
Jeśli go myśliwy kto wegnał do więcierza,
Z głosu łabędź, a z mięsa wróbel w korce pierza.
Jest że dziś takich siła między ludźmi bąków,
Którzy, mało co wzrostu mając od pajaków,

Serca mniej, w samym pierzu swej fortuny huczą,
I kto ich nie zrozumie, postrachem dokuczą.
Spuści kwińta, zajrzy li w oczy mu, i skrusze:
Ledwieby się po pulsie domacał w niem dusze.
Miły bąku, szkodaby darmo ludzi straszyc,
Bo i w tym pierzu strzelec może cię optaszyc.

Do tegoż drugi raz.

Całą gębą senator ubrany bogato,
Pan z panów, godzien krzesła, drugi rzymski Kato;
Dosyc urody w twarzy, dosyc w ciełe wzrostu,
Aż skoro przyszło mówic, jakby też srał z mostu:
Nie trzymają się słowa, bo za każdym krzaka.
Anoż — rzekę — bąk w trzcinie; tylko że u bąka
Głosu dosć, pierza nazbyt, mięsa barzo mało,
A ten otyłe puszy sobolami ciało,
Głosu nie, w głowie pusto, serce przy pacholkach.
Królu, nie sadzaj takich w senatorskich stołkach.
Mało pierza na sobie, mało mięsa ma czyż,
Wżdy między kanarkami w klatce go obaczysz.
Bo jako pióro białe u czarnego kruka,
Tak w pysznym a bogatym rzadka rzecz nauka,
A zwłaszcza w jedynaku, bo w domu i w szkole
Bez strachu różgi żyjąc, nawyknie swej wole.
Wyńdzie z szkoły, obaczysz skrzypka abo gacha;
Łaciny by, a to coś po francusku szpracha.
Aż małżonkiem gołowas w tym zostaje względzie,
Radzi rzeczpospolitą w senatorskim rządzie.
Tak szkodliwa pieniądze nieszczęśliwych władza,
Że w niebo wniść, mądrym być na świecie prześzkadza.

Równy szlachcic, choć miłość rodziców jednaka,
Tak w domu, jako w szkołach w grozie chowa żaka.
Nie pieści, doda różgą ochoty do księgi,
Potym na wojnę konia dawszy i łuk tęgi,
Żeby, co w szkołach czytał, nim siedzie przy krolu
Do rady o ojczyźnie, praktykował w polu.
Ale cóż, jedna tylko wadzi mu chudoba,
Że się więcej, choć błazen, bogaty podoba.
Grzeczny zaś, myśląc żenie i dzieciom o chlebie,
Co miał z szkoły, co z wojny, orząc w ziemi grzebie.
Zgubił, czego się uczył, ziemianin z żołnierza,
Słuszniej go bąkiem nazwę, bo ma dosyc pierza.
Miałby i głos przy pierzu swej grzeczności, ale
Mięsa, którym świat stoi, pieniędzy, o male.
Zje czerw mięso bez soli; choć błazen, bogatem.
I enota, i nauka żyje równo z światem:
Nigdy się nie wypierzą, pójdą w komput szlachty,
Ba królów; a bogacze do dyabła z usnacty.

Złote góry.

Złote góry, niechaj to pewnym będzie znakiem,
Obiecuje, kiedy kto co chce wydrwić na kiem,
Zwłaszcza niebezpieczeństwo swemu widząc zdrowiu.
Wyszedszy z niego, nie da i funta ołowiu.
Przetoć się dziś nie ruszy z domu doktor, aże
Nie w górach mu, lecz w garści pieniądze pokaże.

Na toż drugi raz.

Kiedy wieher na morzu z piaskiem wody miesza,
Jakież tam obietnice, jakie wota wiesza!

Skoro brzegu ze złego uchwyci się razu,
Dość, że do cudownego idzie kto obrazu,
Miasto powstania z grzechu, poprawy żywota;
Jakie i dziś w chorobach czynią ludzie wota,
Choćby lepiej samym być podobnym obrazem
Bogu i jego srogiem karać się zakazem.
Lepiejby nie ze złotej ani srebrnej spiże
Po drewnianych ołtarzach serca abo krzyże,
Gdyż to więcej dla własnej ludzie czynią chluby;
W swym sercu swój krzyż wieszać, iszcząc Bogu śluby.
Bo czym go kolwiek człowiek pozwierchownie błaga,
Zawodzi się, kiedy nic ciało nie pomaga.
Na cóż ciebie żydowskie, i sam rozum przeczy,
W duchowne mieszać mamy chrześcijanie rzeczy?

Świercza za skrzydło.

Świercza polnego bierze za skrzydło, psa budzi
Na śmieciach ten, co drażni urażliwych ludzi.
Począć zwadę w każdego zawisło to mocy,
Ale skończyć ją, abo żeby trwała krocy,
W tego, z kimeś ją zaczął. Świercz piszczy, pies szczeka,
Kto go obudził, goni, choć przed niem ucieka.
Szkoda poetów, szkoda zaczepiać jurystów,
Jeśli nie chcesz mierzionych często czytać listów.
Uzom ci tylko piskiem świercz dokuczy polny,
Ale pies, naszczekawszy, ukąsi swowolny.

Skarb nasz węgłe były.

Węglami ludzie zwykli swoją znaczyć miedzą,
Doświadczywszy, że w kopcu żelazo przesiedzą.

Stąd z poruszanej ziemi łakoma ochota,
Wziąwszy impet, znajduje węgłe miasto złota.
Niejednego dziś taka nadzieja oszuka,
Kiedy rzeczy niepewnych z kosztem wielkiem szuka:
I Teofrastowego chcąc kamienia dostać,
Przyjdzie mu się z wioskami ojczystymi rozstać.
Prawieć nad inszych ludzi swym dowcipem zyskał:
Zebrząc na starość, za psy kamieniami ciskał.

Na toż drugi raz.

A któż nie widzi, że to dyabelska ponęta,
Który łakomą żądzą sereca ludzkie pęta,
Kiedy we śnie pieniędzmi zdrajca zbałamuci,
Przywiódszy go do kosztu, węgla mu podrzuci?
Podaje na śmiech światu, że teu skarbu szukał,
Aż serce grzechem, ręce węglami zabrukał.
Widząc przez sen górnika szlachcie na swej roli,
Choć nie potemu był czas, jął się kopać soli;
Zastawił wieś, przy jednej zostawszy chałupie,
Nadzieję wykupna jej w przyszłej mając żupie,
Aż miasto soli skała, aż woda zalewa;
Miasto bogactwa szlachcie o biedaszku śpiewa,
Umiera, i w tej ziemi, którą kopał, prochnie.
Synowie za kopaczów muszą iść do Bochnie.

Złotą wędą ryby łowić.

W tenże komput niech wszyscy policzeni będą,
Którzy omylne zyski złotą łowią wędą,
Na handle i na prawo substancją łożą,
Potym, ostatnią wędę straciwszy, zubożą.

Ale na cóż wyliezać? Wszyscy tym przysłowiem
Wągla szukamy, wszyscy złotą wędą łowiem.
I nie wiem, jeśli ją kto tak szczęśliwie rzucił,
Żeby i w tym, i w przyszłym wieku nie zasmucił.
Aleć to łaćno stracić, co fortuna niesie:
Zgubiwszy pas, możesz trzos w tymże znaleźć leśsie;
Zdrowie drudzy i żywot, ba i duszę łożą,
Że z bogacą na świecie, że się uwielmożą.
Mniejsza żywot i zdrowie, bo krótko, długo li
Żyć, nie w ludzkiej, w Boskiej to zawisnęło woli.
Lecz kto zbawienie duszne dla pieniędzy stracił,
Wieczna szkoda, choćby go cały świat z bogacieł.
Wiara święta, a przy niej złotą wędą cnota;
Przebóg, na cóż ją rzucać w rzeczy ziemskich błota,
Gdzie już nie znaleziona, urwawszy się, ginie,
Człowieka zostawiwszy przy gołej chabinie,
Z której żalosnym węglem o łowy nie spore
Gorzeć będzie w Awernie, a nigdy nie zgorze?
Wąglami wszystkie zbiory ziemskich bogactw, zaczem
Každy ich, wedle pisma, człek przybeczy płaczem.
Który z grzechem, z uszczerbkiem czystego sumnienia,
Z utratą dusze szuka obludnego mienia.
Aleć i ten niebarzo będzie się weselił,
Co je miawszy od Boga, ubogim nie dzielił,
Ile, jeśli rozumie, lecz się myli na tym,
Że został swym staraniem, nie z Boga, bogatym.

Im dalej w las, więcej drew.

Lepsza rzecz wrócić nazad, wczas postrzegszы błędu,
Niż darmo zaczętego chcieć kończyć zapędu,

Zwłaszcza końca długiego dobiegając lasu,
Skąd tam wrócić, gdzieś zbłądził, dziś nie będzie czasu.
Dobry krok, dobre i dwa, obróć się czym chyżej,
Żeć oblądzonej drogi na jutro ubliży.
Im dalej w las, więcej drew. Z razu pięty moczy,
Dosięgnieć uszu Wisła, skoro na prąd stoczy.
Wrodzona wszystkich ludzi ślepi niedołęga
W ten czas błąd widzieć, kiedy już, już końca sięga.
Jeszczeż znośniejsza w ziemskich obrotach stąd szkoda:
Często nieć Aryadna z labiryntu poda;
Lecz na drodze zbawiennej kto raz chybi toru,
Niemasz tych nici, niemasz fortuny faworu.
Raz ją podał Syn Boży, więcej ich nie przedzie:
Kto się jej puści, przepadł na wieki w swym błędzie.
Dla tego, jeśli człeku z garści się wymyka,
Nie stać, szukać jej, z płaczem prosić przewodnika,
A zwłaszcza komu się dzień ku wieczoru schyleł,
Żeby tam znowu trafił, kędy drogę zmyleł.

Na toż drugi raz.

Widząc krzyż na rozdrożu postawiony z drewna,
Postaremu kto nie wie, droga mu nie pewna;
Na coby? Inszej znaleźć przyczyny nie mogę:
Westchnąć do Boga, żeby pokazał mu drogę.
Nie w ziemi, w sercu każdy niech krzyż Pański stawi,
Że w pielgrzymce światowej do nieba go sprawi,
Żeby się nie omylił, żeby w niej nie zbłądził
Na lewicę, kiedy Bóg będzie ziemię sądził.
Do wszystkich rzeczy ludzkich stosować to może:
Wszędy znajdziesz tak w prawo, jak w lewo rozdroże;

Do ostatniej starości, choć kto pocznie z młodu,
Żaden nie może pewien swego być zawodu.
Często, czego się boi, co mijają z daleka,
Na toż samo ostrożność zbytnia znosi człeka.
Jednemu tylko Bogu skutki rad człowieczych
Wiadome, i dla tego aniołów przedwiecznych
Przydał dożywotnymi każdemu przystawy;
Chyba kto przez bezbożne odegnał go sprawy,
A czart na jego miejsce, jako rzeźnik ciele,
Grzech miasto psa pogania, bierze w kuratelę.
Temu się każdy baczny niech zadziwi srodze.
Ze na jawnej, na jasnej bez rozdroża drodze
Tak wielu świętych Bożych krwią i cudu bitej
Swych wynalazków ścieżki chwytają się skrytej.
Puściwszy Kościół w stronę, nie chcą iść ich torem,
Wolą nowym, dzikimi manowcami, zbozem.
Znowu ledwie nie gorszą tacy się drą dziecżą,
Co Kościół katolicki za prawdziwy liczą,
Wżdy jako koza z woza, jako kot na drzewo,
Grzesząc, nie słuchając go, uciekają w lewo.
Prawda, że i tam wiedzie gościniec utarty,
Ale nie w niebo, w piekło, przez przekłete czarty,
Bo [co] dzień duszami tych, którzy Bogu wiare
Złomali, ładowną tam prowadzą zacharę.
Pełno świeckiej ponęty i cielesnych bryzów;
Niemasz w sercach dość świętych przy gościńcach
A ledwo jeden ze sta, ba z tysiąca będzie, [krzyżów.
Co się wróci, w tak strasznym obaczywszy błędzie.
Choć się też kto obaczy, cóż, gdy samym mrokiem,
Już nad grobem, skąd wrócić nie podobna krokiem,
Po próżnicy o milę, abo dwie się kusi.

Bo gdzie kogo śmierć zajdzie, tam nocować musi.
Aż skoro go ze słońcem obudzą przed sędzie,
Da rachunek, dlaczego umierał w tym błędzie,
Czemu nie szedł za wodzem, który go prowadził.
Broń Boże, żeby miał rzec: Ten ci mię i zdradził,
Bo choć o ciasnej drodze do nieba z ambony
Powiedał, a przecię się sam trzymał przestronej;
Szła owca za pasterzem, a nie za kazaniem.
Na to sędzia: Niechże też w piekło idzie za niem.

Ten zakład bierze, kto wygrał zawodem.

Nie zwyciężywszy, któż się tryumfu napiera?
Kto do zakładu, w zawód nie biegszy, pobiera?
Ten bierze, temu prawie oboje należy,
Co abo bitwę wygra, abo met ubieży.
Starych wieków przysłowie; starego przysłowia
Apostoł święty Paweł w piśmie swym ponowia,
Ba i sam się w obojgu upewnia przy wierze,
Że i zakład wygrany, i tryumf odbierze.
Cóż chrześcijan dzisiejszych — pytam — ubezpiecza,
Gdy nie miawszy, dopieroż nie dobywszy miecza,
Nie zwyciężywszy grzechu ani świata z ciałem,
Nie wstąpiwszy z czartem ich w szranki pryncypałem,
Wszędzie się im poddając, kędykolwiek zdarzy
Okazy, wżdy się im o tryumfie marzy?
Wojujemy. Spytam ich: Czymże? Jeśli rzeką:
Żegnając piersi krzyżem, daremnie wiatr sieką,
Ani dyabła, ani to grzechu z światem boli,
Ani też tym cielesnej ukróca swęj woli.
Kiedyby do żegnania żywa była wiara,
Mógłby rzec dyabłu z jego adherenty: Wara!

Postu, żeby nie nie jeść, ani pić, modlitwy,
Ale usilnej, trzeba do takowej bitwy.
To Mars bez krwi, bez potu, co większa, bez zwady.
Przypatrzmyż się, o jakie biegają zakłady:
O pychę, o pieniądze, o pompy, o stroje;
Kto sług, eug, wóz, kto świetniej ozdobi pokoje,
I kto więcej wypiwszy wina do północy,
Wstanie z betów o swojej do obiadu mocy;
Kto ładniej, po francusku przygoliwszy wąsa,
Z panną lub z cudzą żoną galardy wytrząsa.
Ten wziął zakład, o który pijani, jak kłody,
Śpiąc w cudzołożnym łożu, puszczają w zawody.
Godzien goniec zakładu, godzien rycerz chwalny
Korony od hetmana swego tryumfalnej,
Którą go dyabeł, takich munsztu[uk]ów dzieła,
Uczci, pierwszy wszetecznik i pierwszy opieca.

Czuj! stary pies szczeka.

Stary pies, gospodarzu, czuj o sobie! szczeka,
Dosypiasz li? Szkoda cię, ba zginienie czeka:
Podkopują złodzieje, zbójcy na przemiany
Do komór, domu twego rozbierają ściany.
Porwi się biały orle! Radź o sobie Lachu!
Cnotę wprzód, męstwo za nią postaw na szyldwachu.
Domowi, co rzecz gorsza, żeby cicho kradli,
Złodzieje i postronni zbójcy cię opadli.
Trudno ustrzedz domowych, snadniej ich odprawić;
Gwałtownikom odważnie żelazem się stawić.
Jużeś pozbył pieniędzy, stróżów pogotowiu,
Nie mając im czym płacić, przynamniej o zdłowiu

I o swej czuj wolności, którać była chluba,
Pierwej, nim pierze z ciebie do końca oskuba.
Chłopskiej przed laty kradzież natury przywarą,
Dla tego im szubieńcę naznaczono karą,
Żeby wisząc drugich swym straszili widokiem,
Jako źle do komory cudzej chodzić mrokiem;
Panowie urzędnicy dla dobrego mienia
Gorzej chłopów jeli się gryźć tego rzemienia,
Z pijawkami krwi, którą na ciężkie podatki
Kmiotek da, wysysając bezbożnie ostatki.
Chłop z głodu, ci na zbytki; chłop wisi za wołu,
Tym jeszcze kradzież płacą i grają do stołu,
Wynoszą ich, dziękując za chwalebne czyny,
Aż czart, choć nie kat, zepchnie do grobu z drabiny,
Skąd urwawszy, tysiąc lat wołałby tu kruki
Na szubieńcy, niż tam dzień paść piekielne suki.
Nie mają li przy sobie obwencyej spory,
Za psa urzędy, za psa największe honory.
Nie miele młynarz maki ani żyta na kosz
Nasypie, póki miarki nie weźmie. O! jakoż
Nikt rzeczypospolitej usługi nie tyka,
Nikt województwa, póki miarki nie wytyka!
Kiedyć by jeszcze miarkę wprzód brali, niż zmiela,
Ale się na większą z niem połowicą dziela.
Odpuście, że i na was patrząc, jak przez spary,
Pies, ojcowie duchowni, musi szczekać stary.
Przeszło mu lat siedmdziesiąt, zjadł zęby, osiwił,
Nie żeby się stanowi świętemu sprzeciwiał:
I wyście młynarzami! niech nikt nie potwarza:
Sami niosą mu ludzie, żeby kradł, młynarza.
A cóż wam po pieniądzech? co po wsiach tak siłu?

Nie tylko przed się; patrzcie, co się dzieje z tyłu:
Niszcząc ubogich ludzi: i szlachtę, i chłopcy,
Wkrótce wam rzeka, wkrótce wyschną wam przykopy,
Że, coście miarką, weźnie to poganin worem,
Młyn spadnie. Tenże waszym ma być sukcesorem?
A bogdaj jeszcze nie ktoś gorszy na me zdanie
Strzeże na wasze zbiory, niżeli poganie.
Przecież nie wszysej świeccy, nie wszysej duchowni,
Tak chciwym na pieniądze, o jakich rzecz, równi.
Kopią się do komory i na to odważą,
Kiedy im drzwi zamknięto, oknem chłopci włożą:
Ze wsi od cep, od pługu, z miasta od warsztatu
Piszą szlachcie: mnie wielce mościwemu bratu,
I daleko ich więcej, niż przez sejmy, do tej .
Wchodzi prerogatywy starej szlachty kwoty.
Któremu do baranów dobry był tuzinek.
Dziś sam wdzieje aksamit, a jego maczuga
Rysiami podszywaną jupe, koral sługa.
Szlachcie ubogi, że się przed niem nie dokupi,
I sam się baranami, i żonę ujupi.
I żydzi z kupcami tę kopią i ubożą
Komorę, kiedy srebrną monetę wywożą
Za granicę; stąd droższe we dwoje towary;
Gorsza, gdy nie donoszą gatunku i miary.
I wojskowa starszyna, cudzoziemcy zwłaszcza,
Do tej kopie komory: kapelusza, płaszcza
Więcej Niemiec nie miawszy, za rok się spanoszy:
Jednych wymorzy, drugich żołdatów rozpłoszy,
Bierze za nich pieniądze, i znowu w rekrudy
Włócząc po naszych wioskach, bierze ciało chudy;

Wyszedszy knechtem, wróci do Prus kawalerem,
Choć się z swym w pół, co wydarł, dzieli oberszterem.
Kopią też naszy własni, gdy z tych impet biorę.
Na borg służąc, żołnierze ciągnieniem komorę.
Jakoż — pytam — w tak strasznym zniszczeniu ojezyczny
Mogą się upominać tacy gotowizny?
Jedną tylko od ordy rzeczą różni: że ci
Wołów, krów, koni, ludzi nie bierą od kmieci,
Lecz co tylko zastanie, mówić przyjdzie z żalem,
Zagrabi i chałupę zostawi szpitalem.
Czego zapomniał pierwszy, drugi i dziesiąty
Poprawi, że piec tylko w niej a cztery kąty.
Byłoby jeszcze o czym psu staremu szczeakać,
Ale podobno i z tym przyjdzie mu uciekać.
Jednak żeby młodszy w swej przykład brali straży,
Szczeknąć: kto tę komorę kopie, raz odważy.
Sądy niesprawiedliwe i krzywoprzysięgi,
Kiedy wszelakiej enoty stargawszy popręgi,
Na Boga i na prawo obie oczy mrużą,
Same tylko respekty, same grzywny płużą:
Jeśli człowiek ubogi, chociaż w krzywdzie jawnej
Ma w sądzie sprawiedliwą, ale nie ma prawnej:
Nie masz li co z niego wziąć, nie ma sędziem brata,
Zepchną na koniec, abo wymażą do kata,
Że ratusza cały rok pilnując o głodzie,
Musi na poniewolnej z szkodą przestać zgodzie.
Nie pamiętają sędzie, od narodu że sie
Dla niesprawiedliwości królestwo przeniesie
Do inszego narodu wedle Salamona,
A zaś sprawiedliwością mocni się korona.
Wydawszy, którzy cicho i nie opowiednie,

Na tych, co gwałcą, szczeka pies, komorę we dnie,
Widząc, że się gospodarz domowym nie zbroni,
Że przed kim trzeba było kryć, dał klucze do niej,
Rozbierają ze wszech stron ściany źli sąsiedzi:
Słasko i Prusy Niemcy, Inflanty mu Szwedzi,
Moskwa Kijów z Zadnieprzem krom zwady, krom bitwy
Wydarszy, jeszcze głębiej zamysła do Litwy;
Turczyu wziąwszy do swego Wołochy sekwestru,
W Podolu się z tej strony rozpościera Dniestr.
Orda co rok zuchwale zagląda do Lwowa,
Niemiec na Spisz; ledwie nam zostanie połowa
Spustoszona. Nie ma się kędy orzeł łagnać,
Nie ma po co gospodarz do komory sięgnąć.
Z kiemkolwiek wchodzi w ligę, trzcina się podciera,
Kiedy mu ściany każdy koligat rozbiera.
Tego złodziej i zbójca żaden nie uważa,
Że im też do komory śmierć węgly podważa,
Wybierając po drzewie, co dzień kopie do niej.
Kędy, skoro ostatnia godzina zadzwoni,
Już kat gotowy czeka; gdy czas minie krótki,
Każdy nagrodę swojej odniesie robótki.
Darmo szczeka stary pies, to będzie miał zyskiem,
Że mu się wręcz, abo też dostanie pociskiem.
Śpią wszyscy na obiedwie uszy, jako w lesie;
Nikt nie wyńdzie, nie wyjrzy; pies szczeka, wiatr niesie.
Darmo skomlą szezenięta po sejmikach młodsze:
Spowszednie to i w uszu gospodarskich zwiotsze.

Po ujęciu broni znać szermierza.

Z pazura, nie widząc lwa, dobry malarz mierza;
Znać po ujęciu broni do razu szermierza.

Mądry się jednym aktem, słowem wyda mowca,
Z wsiądzenia na koń jeźdźca znać, z poszczwania łowca.

Na toż drugi raz.

Ucho konia, wołu kark, nożyk w locie ptaka,
Złoto waga, dźwięk spiżę, głos wyda śpiewaka;
Dobry to znać gospodarz, dobra gospodyni,
Kędy w domu porządek, a pieniądze w skrzyni.
Niemasz tych? Nie sam orze, sama w nocy przedzie,
Partaczem u mnie, niech go inszy chwałą, będzie.
Parobka z tańca, dziewczkę, która biało chodzi,
Poznasz, jeśli robocie oboje dogodzi.
Ręce na krzyżach nosi, kto się robić leni,
Pyszny za pasem, złodziej zwyczajnie w kieszeni;
Brew gniewliwego, oko nabożnego wyda;
Już ten coś na się czuje, kto prędko zawstyda;
Gach się zawsze umiezza, obłudnik uśmiecha,
Łgarzom przysięga z twarzy trędowatym wiecha.
Obmówca siłę gada, uważny powoli,
Zwajca prędko, pochlebca i strzyże, i goli;
Chlubny sam chwali siebie, techórz dobywa basu,
Mężny mało i skromnie; dość szable u pasu.
Gnuśny, abo też nazbyt pracowity drzymie.
Jako pałac po dachu, kuchnie znać po dymie,
Deszcz przyszły, nim na ziemię upadnie, po chmurze,
Tak afekty wewnętrzne po zwierzęniej posturze.
O czym kto często mówi, rad czyta, rad pisze,
Jakie przybiera sobie w życiu towarzysze,
Tak go maluj, tak i pisz: dobrego lub franta,
Lepszego nie szukając anatomizanta.

I dla tej, żebyś na hak nie trafił, przyczyny,
Stosuj konwersacją swą do jego miny.

W nocy tańcować bez świece.

Zgasić świecę do tańca najpewniejsza sztuka,
Kto się niem czuje, żeby nie śmiano z nieuka.
Jeden szlachcic przede mną swoje chwali wiersze,
Że dopiero tak piękne na świat wyszły pierwsze,
Lecz je tylko sam sobie będzie czytał w domu;
Nie pokaże, bojąc się zazdrości, nikomu.
Tak i ja — rzekę — niżli Apelles, sto razy
Piękniejsze, nie ucząc się, maluję obrazy;
Ale za trzecim kluczem chowam je tajemnie.
Czemuż? — rzecze. Żeby kto nie przejął ode mnie.
Podobno, panie bracie, żeby z nich nie drwiono,
I wiersze, i obrazy tak dobrze schowano.
Czego ludzie nie widzą, po tym nie na świecie;
Nikt nie da malarzowi, nikt wiary poecie.
Jednego tylko chwałą, ale wielce brydzą:
Choć łabędzia nie słyszą, feniksa nie widzą.
Nie strzeżmy się i mówmy prawdę sobie oba:
Nie wszystko, co nam samym, wszystkim się podoba.
Bojąc, że się jastrząbom nie tak, jak jej, sowa,
Podobają sowieta, w ciasnym duplu chowa.
A na cóż i nam chwalić? Żeby ludzi śmieszyć?
Lepiej z swoją robotą w zanadrzu się cieszyć.
Jeśli ufamy, że nam nie uczyni sromu,
Nie kryjąc jej, na widok wyprowadzić z domu.

Kto uczynił to, co mógł, zakon wypełnił.

Spalić Mojżesz ostatek każe, wszyscy wiedzą,
Baranka, jeśli żydzi całego nie zjedzą,
Odprawując Wielką noc, bo się nie godziło
Do jutra chować, mało, czy go wiele zbyło.
Spełnił zakon pocziwy sąsiad mój w tej mierze:
Zjadłszy, spiwszy, co ociec substancyej zbierze,
Dwór tylko sam, bez kmieci, bez pola ocałił,
Którego nie mógł zjeść, w tym[że] roku spałił.
Prawdziwy Izraelczyk. W tym tylko pobrydzi,
Że ich nie ma, pieniądze zwykli miewać żydzi;
Znowu, że oni mleko jedli, pili miody,
Ten szlachcic nie zawsze chleb może mieć do wody.

Na toż drugi raz.

Ochotnie lutrzy na tę przypowieść pozwolą,
Twierdząc, że na nich włożył Bóg, czemu nie zdolą,
I chcą mu się wykręcić, jako mówią, sianem,
Czyniąc dobrego ojca tak śmiało tyranem;
Chcą złość nieudolnością zasłonić zuchwale,
Że, kto czyni, co może, pełni zakon całe.
Zna niedolegę swego Bóg, lutrze, stworzenia!
Szkodaby niemożnością nazywać niechcenia.
Może człowiek tak, jako Balaam osłowi,
Krzywdę czynić, ale Bóg nie może człekowi.
Szczyrą bywszy dobrocią, na to z gliny robi,
Że za anioła, że go za syna sposobi.
Chcesz pełnić zakon Boży? Chciej tylko, a szczerze:
Ten, co dał chcieć, da i módz. Mów często pacierze.

Zawszeć węda niech moknie.

Sto razy wędą rybitw wodę w rzece zatnie,
A nic nie weźmie; często darmo ciągnie matnie,
Przecież nigdy do domu próżny nie odchodzi,
Bo mu jedna godzina cały dzień nagrodzi.
Chociaż nas różnie i dni, i godziny dziela,
Raz ledwie w garść, da pełną drugi raz kobielą.
Wczora jesiotr abo wyz, dzisiaj drobna płotka,
Postaremu to wszystko ryby, czleka potka.
Sto razy gracz po stole darmo kością ciska,
Aż abo do ostatka przegra, abo zyska.
Nie rozpaczaj, nie wskok łaj fortunę igraną,
Że raz, drugi omyli. Póź z nią na wytrwaną.
Niech zawsze więcierz w strzesze, w wodzie wiśsi węda,
A doznasz, że się w łaskę jej obróci zrzęda.
I kość, która tak długo a darmo się taeza,
Ostatni raz rzucona rozweseli gracza.
Gdzie się najmniej spodziewasz, tam zastaniesz rybę;
I ptak ci sam w garść wpadnie przez dziorawą szybę,
Któryć umknął z pod sieci; wąpić o tym szkoda,
Że czego szczęście nie da, przyniesie przygoda.
Kto, straciwszy nadzieję, w desperacyi drzymie,
Pewne ubóstwo, prędką nędza się go imie.
Niech mu w dobroci Boskiej zawsze węda wisi:
Czyję duszę tu żalem serdecznym zakisi,
Niechaj mu iści śluby, mając przykład w Jeftem,
Opłakując swe grzechy, pewnie, jeśli nie w tem,
Gdzie prawdziwa pociecha nie ma miejsca w czleku,
Nagrodzi go stokrotnie w onym przyszłym wieku.

**Bogaty abo sam niesprawiedliwy, abo sukcesor
niesprawiedliwego.**

Niesprawiedliwym, abo jego sukcesorem
Musi być ten, co nagłym bogacieje zbiorem:
Pewnie co komu wydarł, abo skarb wywróżył.
Tak prędko nie dorobił nikt, ani dosłużył.
Ukradł, abo oszukał; enoty i sumnienia
Uchylił z duszną szkodą dla dobrego mienia.
Mająż siła sposobów, siła inszych kształtów
Uczciwych krom kradzieży ludzie i krom gwałtów
Do spanoszenia ciała, boć wydzierstwa jawne,
Opieki, po nich lichwy i wykręty prawne,
Nie doszedszy czwartego ręku sukcesora,
Jako przy orlim w pudle gęsie giną piora.
Niejeden tak nieszczyrze prostakowi radziel,
Żeby go z substancyej swą radą wysadziel.
Żeby, nagnawszy, jako wróbla do więcierza,
W trudne prawne terminy, w cieśni oskubł z pierza.
Gorszy od rozbójnika i złodzieja. Coż tu
Rzeką, którzy młokosów przywodzą do kosztu,
Pożyczając ryczałtem, borgując ruchome
W trójnasób rzeczy drożej? Kradziestwo widome.
Ślepi, że śmierć już we drzwiach, ledwie odziedziczą
Cudze dobro, stawi ich na sąd ze zdobyczą,
Jako złodziejów z licem, nie szukając świadka;
I gdzie do ostatniego nie oddadzą płatka,
Nie wyńdą; z tych piór naprzód, którymi się puszą,
Odarszy, lichą w turmie okryje łoktuszą.

Na toż drugi raz.

Nie prawda to, żeby człek miał pieniądze zbierać:
Na cóż mu się przydadzą, gdy przyjdzie umierać?
Jedna, i to podlejsza człowiecza połowa,
Ciało śmiertelne, ziemia w skrzyniach ziemię chowa.
Dusza o nich nie myśli, choć mieszka w tym ciele,
Bo gdzie indziej depozyt swoim zbiorom ściele.
Opak świat. Onyćby to zbierać należało,
Czymby mogła żyć, w grobie zostawiwszy ciało.
Na cóż, kiedy ani je, ani pije dusza,
Ani koszule, ani trzeba jej kontusza?
I ciałuć, skoro wyńdzie z niego, już nie po tem.
Czemuż tak siłę z grzechem skarbi i z kłopotem,
Że choćby żyło tysiąc lat niepewno jutra,
Miało by co jeść, co pić, dosć sukna i futra,
Choćby najdrożej kupne, niechaj się tak pisze,
Żeby nie rzkać potrzebie, ale nazbyt pysze?
Nie poradzisz, bo i to pycha liczy między
Swe ozdoby: im więcej nabiera pieniędzy.
Czy nie podobniejżby ich, byle wcześniej dożyć,
Na duszne i zbawienie swoje ciału łożyć?
Co mu zbywa, przedawszy, naprzód gotowiznę
Rozdać ubogim, zwłaszcza już czując siwiznę.
Toć to skarb, to depozyt, śmiercią ani żadną
Nie dotknięty przygodą: tego ani kradną
Złodzieje, ani ogień, ani woda szkodzi.
Także dalece żona nad mężem przewodzi?
Choćby rozumna dusza miała być nad ciałem
Według Boga i według ludzi pryncypałem.
Więćby dzieci przy kiju i torbie zostawiał,

Wszytko dawszy ubogim? Nie zlecby się sprawiał.
Abraham, co się Bożym przyjacielem liczy,
Dziesięcinę tylko dał kapłanom zdobyczy
Raz tylko, gdyż póki żył, póki go nie zgarbił
I długi wiek nie skrzywił, Izakowi skarbił.
Także Job i Tobiasz, i Raguel trzeci,
Kochankowie u Boga, skarbili dla dzieci.
Jest od tego rozum, kto dobrze go zażywa:
Każe dać ubogiemu Bóg, co komu zbywa;
Każe i dzieciom jeszcze, niż ubogim, wprzody,
Żeby im nie przyszło kraść i paść potym trzody.
Dzieciom skarbić, a tym zaś udzielać po trosze;
Nie mogą być tysiące, niech biorą i grosze.
Ani się tak dla obcych żebraków ubożyć,
Żeby dzieciom nie było na ćwiczenie łożyć;
Nie żeby ich bogacieł, zagradzając drogę
Do nieba miasto tego, co dać miał załogę
Pobożnym wychowaniem; ale po swym ześciu
Zostawił je [na ziemi] w przystojnym obejściu.
Już temu nic nie zbywa, już ten nie bogaty,
Co mu grosz nad potrzebę zbywa od intraty.
Chyba kto jest bez dzieci, abo jedynakiem
Cieszy się, powinien mieć litość nad żebrakiem.
Choć ci i ten, co syny, córki ma i wnęki,
Nigdy przed niem nie kurczy w imię Boże ręki.
Jeśliż duchowni, choć to świętokradztwo pewne,
Obracają kościelne dochody na krewne,
Dzieci nie mając, dziada szelągami odprawia
Drudzy, abo też inszym na zbytki zostawia,
Nadto, pisząc testament chłopu, abo wdowie,
Ubogim się sam, żeby wziął też co, nazowie;

Czemużby ociec syna przeciw przyrodzeniu,
A zwłaszcza cnotliwego, miał mieć w zapomnieniu?

Na toż trzeci raz.

Póki nie zje wąż węża, nie może być smokiem;
Nie będzie tłustym chudy, aż cudzym obrokiem,
Bo swoim tylko żyjąc, w jednej stoi mierze:
Ciało ma, sadła na się by najmniej nie bierze.
I z ubogiego żaden bogatym nie będzie,
Aż cudze dobro jakim sposobem osiędzie.
Bogacieją tyrani, niszczejają poddani,
Różne kontrybucye, różne płacąc dani;
Drze drugi szlachcic kmiecica ledwie nie ze skóry,
Jeśli czuje u niego w kalecie grosz który;
Bogacieje na handlu kupiec zyskiem, skoro
Drożej komu, niż kupić, przeda w dziesięciuro,
Choćby dosyć za trudy, za odwagi swoje,
I że dał gotowiznę, zarobku we dwoje,
Nie fałszując towaru wagą ani miarą.
To pan, kto kogo odrwi, przypowieścią starą.
Żydz się lichwą zwykle nieznośną bogacą,
Kiedy co miesiąc ludzie, nie co rok, ją płacą.
Bogacą księża tymi wszystkimi sposoby,
Mając górą nad inszych ludzi zyskiem groby:
Więcej cmentarz drugiemu bez pługu, bez brony,
Niż czyni szlachcicowi dwa albo trzy łony.
Miasto nawozu łzami sprawiona ich rola.
Suszy swe ciało, kto różć śledzienie pozwoła.
Ale któż wedle ciała temu różć zabroni,
Co duszę mając w mocy, po śmierci jej dzwoni?

Nie dziw, że i Zacheusz z bogaciął na mycie,
Bo zwyczajnie poborey chodzą w aksamicie.
Dziś, gdyby chcieli krzywdy czworako nagrodzić,
Przyszłoby im w koszulach, ba i bez tych chodzić.
Najszczęśliwsze w spoconym z bogacenie czele:
Skóra obłazi, rosta na ręku sadzele,
Stąd płaci dług rodzicom, swe z młodu chowanie,
Dziatkom pożyczca tenże, kładąc obług na nie.
Sam się żywi na ciełe, żywi i na duszy.
Kiedy chleba ubogim, co możność, ukruszy.

Twardy sęk, zawity węzeł.

Twardym sękiem. zawilem węzłem z żoną męża,
Bo go z nieba Syn Boży przyniósł. wiązą księża,
Stulą ręce, stalnymi serca zjawszy słowy.
Stanie za niestargane ślub święty okowy.
Dwie dusze w jednym ciełe nie lakiem, nie woskiem,
Do wieku przywilejem utwierdzone Boskiem.
Sama śmierć, jako Wielki Aleksander mieczem,
Miała moc nad statutem pastwić się przedwieczem:
Nie serca od serc, które ogniwo to spina,
Dusze od ciał i ciała od siebie rozcina.
Patrzajmyż, do czego dziś te węzły przychodzą:
Ciż, co stadła wiązali, kapłani rozwodzą.
I znowu dożywotnią w insze pary wstęgą,
Jako woły do jarzma gospodarze, sprzęgą.
Lepiejby przytrzeć rogów, żeby się nie bodły,
A za leda przyczyną z jarzma nie rozwiodły.
Niech w tej, w którą wstąpiły dobrowolnie, sforze
Aż do zaścia ostatniej zostawają zorze.

W Boskiej jest błogosławić, w Boskiej mocy skarać,
A tego, co on złączył, szkodaby rozparać.

I myśmy czymś byli.

Byliśmy też kiedysi, byliśmy tym i my,
Czym nie bez bólu serca inszych dziś widzimy.
Było coś, kiedys, stara przypowieść powieść.
Na to nic, czego nie masz, choć było, żyd nie da.
Ten, zostawszy sirotą, przypomina dziatki;
Ten, wszystkę substancją straciwszy, dostatki,
Wioski, pieniądze, srebra; dziś ledwie nie nagi;
Ten starzawszy, jako grzyb, lat młodych odwagi.
Przyznawał to w ostatnim rozhowerze onem
Przed potrzebą Hannibal, mówiąc z Scipionem:
Czujesz ty dziś w Afryce, w ojczyźnie jest mojej,
Tym ja też był we Włoszech, pod Kannami, w twojej;
I znowu może szczęście wspak obrócić kołem:
Ciebie poniżyć, a mnie wywyższyć z sokołem.
Mógł tak mówić Hannibal, ufając swej sile;
Darmo, komu fortuna zwiąże ręce w tyle,
Kogo lata i wszystkie odbiegą sposoby,
Zadnej nie ma nadzieje prócz samej żałoby.
Mierzona złej, pamiątka rzeczy miłej słodka;
Może ta inszych ludzi, mnie już nie potka,
Bo kiedykolwiek wspomnę wychowane dzieci,
Choćby też co mogło mię pocieszyć, odleci.
Martwieję, nie tylko stąd pociechy nie biere,
Obaczywszy najmniejszą ręki ich literę.
Trudno duszą wesołość zmyślać, trudno ciałem;
Niemasz gorszego nad to słowa: nie mam, miałem.

Nie cieszy grzesznik z dobrej rzeczy przypomnia
Z inszymi, kiedy się tak na starość odmienia:
Bywszy z młodu pobożnym, wiernym, Bogu miłem.
Dziś na grzech rozpasawszy, nie chce mówić: Byłem.
Wstyd jest, a żalu nie masz. Porzuć grzech do kata,
Żałuj zań. Żadna ludziom nie wraca się strata
Z pożytkiem, żadna nie jest straszniejsza, jako ta
Jedna powetowana człowiekowi cnota.
Są tacy, co nie tylko grzechem się nie żalą,
Straciwszy cnotę, ale cieszą niem i chwałą;
Owszem, jeszcze żalują, gdy im na myśl padnie,
Że kiedy, okazują mając grzeszyć, snadnie
Opuszczają. Nie ich cnota tego jest przyczyną,
Ale niepostrzeżenie jakie, że grzech miną.

Robak, co w ogniu, drugi, co się w starym śniegu łągnie.

O dwu czytam robakach: przeciw przyrodzeniu
Jeden w śniegu, a drugi rodzi się w płomieniu;
Które ledwie wylecą, bo i skrzydła mają.
Stamtąd, kędy się legły, zarazem zdychają.
Nie racz urażać, proszę; ale ta nikomu,
Jako tobie przypowieść nie należy: w domu
Siedzisz, urodziwszy w niem, ani cię u dworu,
Ani widzieć w obozie. Znać boisz się moru.
Tak lecie, jako zimie z podobnym robakiem,
Chociesz zacnym szlacheicem, ale ledajakiem.
Wždy umrzeć postaremu wyleż na świat, trupie!
Piękniejsza między ludźmi, niżli śmierć w chałupie.

Na toż drugi raz.

Wszyscy ludzie w grzechowym rodzimy się śniegu,
Ledwie bowiem, że drugi wyńdzie człek z nocegu,
Znowu w tenże śnieg wpadszy, trochę w niem powierci,
Aż go dekret, aż zajdzie godzina go śmierci.
Przebóg, wylecieć z niego i dobyć się z grzechu
Na powietrze cnót, kędy wolnego oddechu
Dopadszy, jako orzeł, abo sokół lekki,
Pójdzie w niebo, gdzie każdy będzie żył na wieki.
Śniegiem ziemia, bo zimna; świat, bo na niem taje
Wszystko i w ziemię siąknie, co tu z ziemie wstaje.
Czemuż ludzie, choć im to każdy moment gani,
Fundament szczęścia swego zakładają na niej?
I okrom słońca zimie śnieg leda wiatr zdyma:
Nie budynku, i szlaku ziemia nie dotrzyma.
Nie znać monarchów, królów, potentatów świata:
Wszystko ginie, jak w śniegu, wszystko czas z niej
[zmiata.
Ziemia śniegiem, czas wichrem, śmierć człowieka tropi
I troczy, aż nakoniec spędzi wiatr śnieg, stopi.

Na toż trzeci raz.

W ogniu się, piszą mądrzy, taki robak lęże,
Który umiera, ledwie że go wiatr dosięże.
W ogniu ojcowskiej rosta miłości me dzieci,
Aż ledwie które z trojga na ten świat wyleci,
Ginie, jako Pirausta, i w proch się obraca.
Miłość, choć bez drew, gore, ani jej śmierć skraca,
Gore płomieniem, choć ją oczy pełne żalu
Rzewnymi kropią łzani; nie ugaszą palu,

Którym płoną na popiół dzieci moje starą
Za grzechy, ach za grzechy ojcowskie ofiarą.
Nie w Jeftego, w mój znoście pełne lez nalewki
Smutny dom na każdy rok, izraelskie dziewczki!
Jedną córkę on, iszcząc to, co Bogu ślubieł;
Jam i córkę jedyną, i dwu synów zgubieł.

Nie ranoś wstał, nie będziesz miał.

Dzwonią, czas do kościoła; trąbią, — do obiadu.
Porwi się z grzechow — woła kaznodzieja — dziadu!
Dziś czas, dziś dzień zbawienny. Przetrzy ze snu czoła!
Nie odkładaj do jutra; po mszej do kościoła,
Na bankiet po obiedzie darmo się pobierać!
A kto wie, jeśli wieczór nie każą umierać.
Rano do manny żydzi wstawali na puszczy:
Kto omieszkał, nie jadł, bo słońcem się rozpluszczy.
Czuj się, czyn, co masz czynić. Zawsze, kto odkłada
Nawrócenie do Boga, już po czasie biada.
W potocznych tego sprawach doznawają ludzie,
Dziś idąc, jak po mydle, jutro, jak po grudzie;
Trzeciego dnia, choćby wprzął wiatry miasto koni,
Co, mając w rękę, puścił, nigdy nie dogoni.
Im dalej w las, więcej drew; im się głębiej krzewią,
Trudniej się wykorzenia, trudniej grzechy plewią.
Nie jedną intencją dobrą śmierć z uboczy,
Jeśli ją kto zuchwale odkłada, zaskoczy.
I nie wiem, jeśli prawda, że daleko więcej,
Niż grzechów, w piekle dobrych wieszają intencyj.

Tanie mięso i psi jedzą.

Chroń się towaru, któryć ochotnie i taniej
Puszcza kupiec, bo gorszy chwali, lepszy gani:
Żeby mu go nie przyszło rzucać bez pieniędzy,
Nim do końca zwiotszeje, odbywa czym prędy.
Darujed kto, prośbę oń nprzedziwszy, charta?
To znać, że sam miał kazać obieścić legarta.
Chceć pożyczyć pieniędzy? Zaraz pomyśl sobie.
Że ma jaką prywatę wydrwić co na tobie.
Sam potrzebując, sługę wygodnego rai?
Musi wiedzieć do niego wadę, ale tai.
Nie tak ludzie [te rzeczv]. co im same leżą,
Jako, których tu trudną dostają imprezą,
Szacują, choć ledaco, lecz że kupią drożej,
Że się kosztu, że trudu więcej na nie łoży.
I złotych pozbyło swojej ceny razem,
Gdyby się leda kędy brać mogło z żelazem;
Żelazo, gdyby go tak, jako złota, mało,
Tysiąckroćby. niż złoto, droższe być musiało:
Tego do jednej pychy. abo polityki;
I złota kopać trzeba żelaznej motyki.

Com kupił, to sprzedaję.

Słyszac nowinę, kędy obróci się, baje.
Jako mówi przypowieść: co kupił, sprzedaje.
Żadnego niemasz kupna, sama rzecz mi świadkiem:
Lepszą wagą i miarą, bo zawsze z przydatkiem.
Gdyby tak wina, abo piwa chciał nalewać,
Pewnie, żeby się szynkarz mógł nieba spodziewać.
Każdej rzeczy ubywa przyniesionej z miasta;
Samej tylko nowiny w języku przyrasta.

Co gorsza i co niechaj człek stateczny wie, że
Rzadko pewna. Dla tego rynkowych się strzeże,
Ani pyta, ani sam powie da ieh komu,
Chyba jaki pędziwiatr przyniesie do domu.

Chodzić, nóg nie umywszy.

Chwałą stąd zakonników inszy, ja nie mogę,
Że i lecie, i zimie boso chodzą w drogę,
Boso i do kościoła, by największe mrozy.
Od Mojżesza, pomyśle, przejęli tej fozy,
Któremu. gdy przystąpić miał do ziemie święty,
Kazał Bóg zdziać obuwie i obnażyć pięty.
Jużby to musiała być powszechna reguła
I wszystkich do kościoła księży z botów zuła.
Profanowali by go wszyscy księża poty,
Póki ci nie nastaną, co zrucają boty.
Pewnie nie od Chrystusa, świętym świadczę Janem,
Że był obuty, stojąc do krztu nad Jordanem.
Na cóż było trzewiki, brnąć w rzekę, zdejmować,
Których się Jan niegodnym sądził rozwiązać?
Podobniej ci by przejąć od niego tę modę,
I od Mojżesza wasy zapuścić i brodę.
Ani apostołowie męczyli ciał zimie:
Żaden z nich w śnieg, żaden w mróz obuwia nie
Z przystojnością i z samą spór wiodąc natorą. [zdejmie,
Ale je futrem, nogi ogrzewają skórą.
Dosyć szpetnie, że bosc, w oczach; a nuż i te,
Brudne i uszargane, nie będą umyte?
Nie wiedzieć, co pierwej myć, co pierwej ucierać:
Twarz, czy ręce, czy nogi? Czas darmo zabierać.

Na toż drugi raz.

Nie boso, lecz zruciwszy zdeptane baczmagi,
W samych mesztach dla swoich meczetów powagi
Bez broni na znak skruchy Turcy do nich kroczą,
Choć we krwi ludzkiej ręce po łokcie ubroczą.
Opak by przypowieści chrześcijanom zażyć:
Boty obuć na nogi, a serce obnażyć,
Żeby nie było na niem żadnej zmaży zgoła;
Ręce nie wodą tylko, idąc do kościoła,
Ale myć niewinnością: precz gniewy, precz swary!
Kto chce, żeby przyjęte jego były dary.
Inaczej weźm je nazad. O, jakóż ich wiele
Płócze i za kościołem ręce, i w kościele,
Dopiero bić, dopiero przestawszy się swarzyć,
Łajając, swarzyć, przysięgać! Chcą Boga obdarzyć
Temiż rękoma, co je i ukrwawi drugi.
Kwituje ich z ofiary, kwituje z przysługi.

Orla starość.

Ktoby rzekł, że od wschodu słońca do zachodu,
Bujając mężny orzeł, miał umierać z głodu?
Odmładzając starością naruszone pierze,
Nie tylko ptaki, ale łowiąc ryby, zwierze,
Zdycha głodem, skoro hak, co go dotąd żywił,
Wierzchni przerósł i długim wiekiem się mu skrzywił.
Choć skrzydłami doleci, pazurem zabije,
Mięsa uskuść nie mogąc, trochę krwi napije.
Mniejszym go ptakom na żer zostawiwszy, leci,
Ani łagnie, bo czymże chował by je, dzieci.
I twój wiek już, tatusiu, niedługi z tym ptakiem:
Jadałeś obiad, jadał i wieczera z smakiem;

Teraz mało, abo nie, bo drży w garści łyżka:
Raz do misy, pięć razy sięgniesz do kieliszka.
Błżeństwo o nas z każdej, panie ojcze, strony:
Nie zawadzi krzywy hak, choć co wezmą spony.

Odwolować co.

Skoro przeciwko Bogu skrypt doszedł ratusza,
Skazano na katowskie ręce ateusza.
Prosi, palinodyą żeby dano śpiewać
I swoje głupie pisma nazad odwolewać.
Ale próżno: dobrą mu intencją chwala,
Bez palinodyej go ściawszy, z pismem spala,
Do czego to cielesne przywodzą nauki!
Kędy, mędrak nad inszych chcąc dokazać sztuki,
W koncepty jego pycha sforcuje się szczerą,
Że i Boga samego na niebie zapiera,
Którego, w śmierci cieniu siedząc, choć nie znali,
Jak po iskrach poganie rozumem szukali,
I podali to przyszłym wiekom na papierze,
Że jest, że i w najwyższym Bóg mieszka empierze,
Odmianie żadnej ani podlega czasowi,
Widzi, co robi, słyszy wszystko, co kto mówi.
Nie palinodyą by, ateuszu, śpiewać,
Choć byś, jako pod ławą pies, chciał odsz[cz]ekiewać.
Okrzczony, wyzwolony w jezuickich szkołach,
Aza lepszych konceptów w swych dojdiesz popiołach?
Bogdajęś na sądny dzień pod egzekutorem
Okrutniejszym od kata nie śpiewał tenorem!

Pierwsza wina odpuszczona.

Że chybi celu, spłoszy kto pierwszy raz ptaki,
Nie naprawi, zepsuje co w robocie jakiej,
Jeśli, zwłaszcza nie wiedząc, dopuści się grzechu,
Nie kładą go do wielkich winowajców cechu.
Długo się musi mylić, choć często powtarza,
Nim żak dojdzie nauki swego bakałarza.
Ten przywilej i słudzy, i uczniowie mają
Nowotni, że im pierwsze winy odpuszczają.
Ale ten, co raz po raz dziesięćkroć przewini,
Już to z niedbalstwa, abo z szczerej złości czyni,
I prawo lekce ważąc, i napominanie,
Nie ma żadnej wymówki: zarobiel karanie.

Na toż drugi raz.

Więc, rzeczesz, złodzieja, raz pierwszy na kradzieży
Złapawszy, już się karać przeto nie należy?
Ze jeszcze kraść nie umie, poczekać mu trochę?
Skoro ćwikiem zostanie, dopiero na sochę?
Toż o wszystkich podobnych zbrodniach mówić może!
Insza rzemiosło, insza zakazanie Boże:
Nie śmiercią złodziejowi; chłostą mu dokuczyć,
Żeby się na dalszy czas nie ważył kraść uczyć.
Uczuiowi, żeby ćwiczył w tym, co mu przystoi:
Złodziej szubieńce, a ten niech się kija boi.
Choć ci każdy przestępca Bożego zakazu
Nie mógł się polepszyć, bo umierał do razu,
Lecz i w tym wolej Bożej ludzie się przeciwia:
O swą szkodę mordują, a o jego żywią.
Zabójców Bóg zabijać, wyjąwszy przygody,
Złodziejów puszczać każe za nagrodą szkody.

W Polsce opak oboje, bo złodziejów wieszają,
Zabójcy człeka płacą, że go już nie wskrzeszą.

Na toż trzeci raz.

Nie o pierwszy, o setny grzech chrześcijan gdyby,
Jako żydów, chciał karać Bóg bez wszelkiej chyby,
Poganomby, co go znać, żydom, co mu wierzyć
Nie chcą, świat chrześcijański przyszło z sobą mierzyć.
Bo co pisze apostoł o żydach z pogany,
Że jednego przed Bogiem niemasz bez nagany,
To dziś o chrześcijanach bezpiecznie rzecz może,
Że w sercu ich do szczytu zgasło prawo Boże.
Niemasz, ktoby go szukał, ktoby nie obrażał,
Ktoby w niem sprawiedliwość i dobroć uważał.
Zglupieli, ba ześleli wszyscy tak dalece,
Ciału na wszelką psotę wyrzuciwszy lece.
Grobowi gardło, język ich równy truciznie
I serpentynie, którym zabijają bliźnie.
Przeklinając wszeteczne, fałszywą przysięgą
Lżą i samego Boga na niebie dosięgą.
Gore głowa pijaństwem, jako ogień z kuchni,
Serce mordem, obłudą, zdradą, pychą puchnie.
Drżą ręce do wydzierstwa, drżą do pomsty nogi,
Bo niemasz nad pieniądze, a nad krew ostrogi.
Nie pojźrą w niebo śmiełe eudzolożne oczy,
Póki ich śmierć ostatnią nocą nie zamroczy.
Czemuż śmiercią chrześcijan, żyjących plugawie,
Jako żydów, nie karze na gorącym prawie?
Bo z pod zabijającej litery człowieka
Do łaski przyjąć raczył; dla tego mu czeka.

Żydzi zaś i poganie odrzuceni leżą;
Do niego nic, do świata i ciała należą.
Z nimi też, skoro wieki zamierzone miną,
Nieugaszonym ogniem na wieki zaginą.
Śmierć jego Syna trzyma, że nie mści, nie gniewa,
Choć ci nam inszą piosnkę Paweł święty śpiewa:
Że ktoby raz, chcąc, wiedząc, pogwałcił statuty
Boskie, precz miłosierdzie, precz miejsce pokuty!
Niemasz go już offerze. To nad żydy gorą
Ma, że z grzechem swym jedną nie umiera forą.
Choćby najcięższej śmierci nikt by tu nie wzdrygał,
Byle na śmierć powtórną z grobu się nie dźwigał.
Cieleśna śmierć nic nie jest, bo równo z żywotem
Na świat wchodzi, czy teraz, czy nam umrzeć potem.
Dusznej — broń Boże! prochem gdyż lepiej zgnieć

[w ziemi.

Niż w piekle węgłem czasy iskrzyć się wiecznemi.
Tym tylko grzechom naszym nie grożą karaniem,
Któreśmy popełnili przed prawdy poznaniem.
Inaczej w sprawiedliwość łaska się przetwarza,
Kto gardzi, że tak rzekę, kto ją chcąc przegarza,
Ja nie mogę, bom prostak, bom nieuk, inaczy;
Niech apostołskie słowa teolog tłumaczy,
Gdyżby żaden, i ja sam, krom wszego wątpienia
Nie był pewien po śmierci dusznego zbawienia,
Nie raz przez wszytek żywot, ale i sto razy
Przez jeden dzień grzechowe czując na się zmayı.
Nie odpuszczą i razu grzechu świętokrajcy:
Dadzą [go] zaraz katu żywo palić rajcy.
Czemużby Bóg, który świat sądzi wolnowładnie,
Nie miał też śmiercią skarac, kto go raz okradnie?

Cóż tysiąc, abo dziesięć kto tysięcy razy
Gwałci skarb, gwałci jego surowe zakazy,
Lżąc krew testamentową, lżąc świętego Ducha,
Gdzie żadna nie zostaje odpustu otucha,
Znowu krzyżując sobie sam Bożego Syna,
Jakoż ma ujść tak ciężka bez karania wina?
A cóż rzeką ci, którzy poprawę żywota
Odwłóczą, póki staje w kaganku im knota?
Raz tylko ukradł Judasz, i to z wielkim zalem
Wracał nazad pieniądze żydom w Jeruzalem;
Wždy mu to nie pomogło: szedł, gdzie się obiecał,
Żeby dyabłu w piekielnej męczarni przyswiecał.
Pierwszym po dokończeniu starego Zakonu
Judasz do przeklętego wodzem Babilonu;
Pierwszym do Jeruzalem Pan Jezus, Syn Boży.
Kto się kędy obiecał, niech ma do podróży.
Lecz niemal wszyscy wolą za Judaszem snadną,
Niż ostrą za Jezusem, kiedy go tu kradną.

Kto nigdy źle, nigdy dobrze.

Nigdy dobrze, kto wprzód źle do celu nie strzela:
Pierwsza to cnota, że się na pośmiech ośmiela.
Nikt się strzelcem nie rodził; poczekawszy dalej,
Będzie też i on śmiał z tych, co dziś z niego śmiali.
Wprzód, nim się w bezpieczeństwo, nim w koncepty
Niejeden kaznodzieja młody z razu kawi; [wprawi,
Za czasem, jeśli zechce w naukach statkować,
Wszyscy go będą chwalić, będą mu dziwować.
Toż widzimy w poetach, bo co z młodu chwałą
I podobało się im, to na starość pałą.

I w enocie, jeśli kto chce niebo odziedziczyć,
Trzeba mu się, przyszedszy do rozumu, ćwiczyć,
Łomąć z naturą, szukać do niej apetytu;
Lecz że ani pożytku, ani pochwały tu
Przynosi, abo ledwie komu się to przyda,
Że ani się językiem, ani piórem wyda,
Wolimy świeckie, z większą choć daleko pracą,
Bałamutnie, które nam gotowizną płacą.
Każdy początek ciężki, a dopiero który
Nie ma do czego w człeku skłonienia z natory;
Bo się z nią naprzód każdy długo musi łomąć,
Długo, nim pocznie prosto stawiać nogi, chromać.
Niech kto w świeckich naukach najwyżej się wspina,
Które grzechu nie mają, co wielka nowina,
Bo jeśli kędy, jako Duch święty powiada,
Z umiejętności pycha w serca się zakrada,
Nie żyje li cnotliwie, pobożnie, przykładnie,
I sam głupi, bo jego nauka przypadnie,
I nikogo nie uczy, bo każdy, że zdradza,
Rozumie, kiedy żywot z mową się nie zgadza,
Abo z jego pismami. Próżno głowę łomie:
Nie będzie prosto chodził, bo do śmierci chromie.

Rany siew często omyła, późny — zawsze.

Często rany, bo się też rad czasem wysiła,
Lecz późny gospodarza siew zawsze omyła.
Uprzedzać przeto lepiej, nim czas siewu minie,
Chować kozuch jarzynie, fartuch oziminnie.
Do wszystkich spraw, nie tylko ta do gospodarstwa
Przypowieść ma należeć: wczas zażyj lekarstwa,

Wczas krwie upuść, kto słaby, gdyż to już po czasie,
Skoro choroba wzmoże, skoro się w cię wpasie.
Wczas się gódź, mając jaką sprawę, z człkiem żwawem
Pierwej, niż lewem, abo ponęka cię prawem.
Czegobyś wcześniej złotych stem zbył abo dwiema,
Po czesie i tysiącem nie zbędziesz, bo cię ma
W saku; jeszcze upadać musisz mu i kłaniać.
Wczas począć proso wróblom, niż zjedzą, oganiać;
Wczas w rozchodzie uskromić, bo kto nie uprzedzi,
Nie rychło czop zabija, skoro beczkę zcedzi.
Wczas się żenić, dorosłe kto chce widzieć wnuki,
A póki kaszę, mięsa nie jadają sztuki,
Sposobiać się w pieniądzu na przyszłe ćwiczenie;
Późno, gdy z tobą za stół siędą do pieczenie,
Poradzisz biedę. Z śmiercią niech kto szczęścia szuka:
Żeniąc się w dwudziestu lat, ni syna, ni wnuka
Widzieć nie da, a choć też popieścić się z dzieckiem
Pozwoli na większy żal, kiedy go zbojeckiem
Kształtem z ręką wydarszy, za śmiech płacz zostawi.
Nie wie otec, we śnie li, czy go miał na jawi.
Wczas i dziecię, nim nawre z młodych lat swej wole,
Niech pod prętem nawyka posłuszeństwa w szkole.
Łomie się, zrosły konar kto gwałtem nagina.
Schyli, na którąkolwiek stronę chcesz, chabina.
Wczas poczni żyć pobożnie i dnia nie odkładaj,
Bo nie wiesz, kiedy na cię śmierć zawoła: Wsiadaj!
Ten ci to siew, z którego wszystkie czlecze zmysły,
Wszystkie sprawy i świeckie obroty zawisły.
Wczas lecie wychodź w drogę, żebyś nużnym ciałem
Długie miał przed słonecznym południe upałem;
Wczas zimie, bo dzień krótki przyrodzonym biegiem,

Nie chcesz li w polu, abo w leśsie być noclegiem.
Jednoć jeszcze za tymże, co idzie, zegarem
Napiszę: chcesz li długo, wczas poczni być starem.
Ale cóż, nieszczęśliwi ludzie w tym terminie,
Że się im wtedy wcześniej zda, skoro czas minie.

**Ciężka boleść, gdy się chce jeść.
Cóż, gdy jedzą, a nie dadzą.**

Jest wiele bied na ludzi; ta największa z wielu,
Kiedy w głodzie niemasz co włożyć do gardziela.
Cóż, gdy połyka, widząc jedzącego, śliny!
Jadły matki ze drżeniem serca własne syny;
Okrutnym zwyciężywszy naturę zabojem,
Dwukroć je rodzą: czelkiem raz, a drugi gnojem.
Głód do wypróżnionego brzucha jutro wróci;
Drżenia serca żaden czas do śmierci nie skróci.
U starych pogan śmiechu czytałem rzecz godną,
Że z domów Inedyą wyganiaли głodną,
Siekąc ściany biczami; jeśli ich usłucha,
Nie wiem; to tylko rzekę: kiedy by tak z brzucha,
Znaleźlibyśmy w Polsce i kije, i bicze,
Żeby wygnać plugastwo gdzie za pogranicze.
I brzuch by pewnie wolał plagi wytrwać bity,
Ażebym zawsze pełny i zawsze był syty.
Gdziebyśmy głód wygnali, pytasz? Do Kamieńca;
Niechby zajrzał Turkom w lat dwadzieścia do księcia;
Nie swoje brzuchy, zdrajcy nas w podeszwy biją,
Prowadząc z prowiantem co rok zacharyą,
Choć daleka przejażdżka do nich z Carogrodu.
Naszy leżą pomarli, jako psi od głodu.

Na toż drugi raz.

Chustka zwykle u pasa, u szable rękojeść;
Sztuka na głód: wytrwać go, kiedy nie masz co jeść
Kto nie wytrwa, drugiego nie najdzie sposobu:
Umrzeć, nie może li mieć wilkom strawą grobu.
I rozumowi się to zdrowemu przeciwi:
Sam głodem padszy, inszych człek po śmierci żywi.
Czemuż nie wilk mu, ale on wilkowi paszą?
Więc nie płakać nad biedną kondycją naszą?
Zwłaszcza co mizernego dziś potka dragana,
To jutro potkać może samego hetmana.
I największy monarcha świata nie może się,
Jako czytam, odrzekać tego, w Kambizesie.
Cóż to sprawuje? Nierząd, którym jako stoi,
Tak się też niem i zginąć niechaj Polska boi.

Na cienkiej nici rzeczy ludzkie wiszą.

Słyszac ktoś, kiedy kupca i z bogatych sprzętów,
I z stojących przy porcie chwalono okrętów,
Niech się — rzecze — błaznowie z takich bogactw cieszą
Które nad morską tonią z powrozów zawieszają.
Bo skoro się za leda szargą powróż spada,
Aż bogacz za godzinę na ubóstwo biada.
Kto na spokojnej wiosce w rędzinie dziedziczy,
Mając dostatek, ten się niech bogatem liczy.
Bo choć śmierci podlega najmocniejsza lina
Życia ludzkiego, wdy ją zostawi na syna.
Aleć próżno czymkolwiek na świecie kto szczyci:
Morzem jest, wszystko na niem z cienkiej wisi nici.
Nie trzeba wielkiej szargi: raz tylko wiatr dmuchnie,
Do razu pycha skłębnie, co tak długo puchnie.

Tonie tym głębiej, wyżej im ode dna kto sie
Wyniósł, gdyż nie na nici, lecz na jednym włosie,
Zawsze grożąc upadem i w największą ciszą.
Jako mizerni ludzie, tak ich rzeczy wiszą.
Niemasz gruntu i portu, gdziebyś je mógł przybić;
Cokolwiek szczęście niesie, wszystko może chybić.
Fortel na to: nie wieszsząć nad niepewną wodą,
Nizko siedzieć, jeśli kto nie chce być za szkodą;
Nie bać ani upadu, ani żeby się nieć
Urwała, ni zacz wszystkie rzeczy ziemskie cenić.
To prawdziwe bogactwo, to fortuna człeczca,
Kto się czystym sumnieniem w sercu ubezpiecza.
To lina niestargana: kto co wiąże na niej,
Aż do nieba z śmiertelnej wyniesie otchłaniej.

Stoń myszy nie chwytą.

Biega li mysz przed słoniem, patrzy tylko na nią,
Ale z miejsca, żeby ją chwytąć miał, nie wstanie.
Nie dba orzeł o muchę, mając dropia w borze,
Z małym pożytkiem łowy puściwszy sikorze.
Ani łązi za płochą wiewiórką po dębie
Niedźwiedź, wiedząc, żeby jej nie poczuł na zębie.
Nie uchyli na śliżę główna pysku szczuka;
Karpia, abo kęs mniejszej szczuki sobie szuka.
Tak wielki pan, co leżą pieniądze mu w sklepie,
Nie pyta się o młócie i o suchej rzepie.
I kupiec, co jedwabne ze złotem szpalery,
Lamę, szarłat, aksamit, nie sprzedaje derry.
Nie wstydzic się pan dzisiaj pytać ekonomą
O płonki, żołędź, ledwie nie o szyszki, co ma

Ubogim komornicom i dziadom bogalnym,
Żeby głodem nie marli, należeć szpitalnym;
Choćby, nie pytając się, tyle mieli szkody,
Co pełen ceber kroplą, Wisła cebrem wody.

Nie stanie się na wielką, mszcząc się małych krzywd.

Ktoby rzekł, że lwa, który złomie słonia, tygra,
Z żubrem, jako z myszą kot, i z niedźwiedziem igra,
Lgnąc mu komor w płynące, dokąd krwią nie zboczy,
Bo je sam wytnie sobie, miał zabijać oczy?
Ślepi się sam, komorom oganiając w gniewie,
I zdycha głodem, bo gdzie udać się ma, nie wie.
Niech z tego lwa człek pyszny, podległy cholerze,
Co nie wytrwać nie może, na się miarę bierze.
Często zalsnąwszy gniewem, wiąźnie w takim błędzie,
Z którego się do samej śmierci nie dobędzie,
Często i w śmierci samej, jako w samolówce
Komorowi, abo się opądzając mrówce.
Wspanialszy niedźwiedź, niż lew, bo gdzie widzi blisko,
Sam dobrowolnie lezie w największe mrowisko.
Jeszcze ma za uciechę, że łeką pod brzuchem.
Kto rozumu, kto cnoty odział się kozuchem,
Jak pod jeżową ością, bynajmniej nie wzdryga,
Że nań zły człek przed ludźmi szczyre kłamstwo
Nie miesza, nie turbuje, nie zaraz rozpacza, [rzyga.
Że w poczciwej psi język jego sławie macza,
Która, że pod obłoki w swym sumnieniu buja,
Polityk jej, dopieroż nie uszczerbi szuja.
I owszem okazyom podobnym nie znika,
Żeby świat z wierzchu widział, co wewnątrz zamyka.

Też wydają człowieka uczonego znaki:

Jeśli paskwil na jego pisma mędrak jaki
Podrzucił, w czym zawisła wspaniałości proba,
Nie zaraz mu się gniewem przewraca wątrobą,
Nie przed każdym uskarża, włosów sobie nie rwie.
Że świnia wlała w marchew, pomyśli, Minerwie.
Chce li odpisać? Może; żeby poszło w pięty,
Kto psim kłębem cudze z kąta śnie szarpać komenty.
Mógł się jawnie sprzeciwić należyty stylem,
Poprawić przyjacielsko, nie szczypiąc paskwilem.

Śród morza — wody.

Ba i tej nie mogą mieć żeglarze wygody,
Gdy, pływając po wodzie, nie mogą mieć wody.
Nie da się morską słoną pić, nie bez odwagi
Szukają słodkiej, żeby nalać jej w bukłagi.
Żegluga żywot ludzki, morzem świat przestrony,
Świadcami są łzy z potem, że prócz wody słonej
Niema słodkiej, do której mógłby się człek schylić,
W żalach, w kłopotach duszę spragnioną posilić.
Niechaj nie żyje światu, niechaj nie żyje ciałem,
Niechaj szczyre, proste serce wystawi antałem,
Niechaj czerpa z krynicy, która stoi blizka,
Słodką i zdrową, insze nie są bez morzyska,
Wodę Ewangeliej. Ta sama zagasza
Spragnienia świeckie, zwłaszcza gdy do niej zaprasza
Syn Boży, do mnie, mówiąc, kto na świecie pragnie,
Nie pijąc świnia kału śmiertelnego w bagnie.
Próżno inszej szukając, próżno ludzkie klóć:
Soli w cukier, goryczy w słodycz nie obróć.

Jękot jękota najprędzej zrozumie.

Jękot jękota wedle przypowieści między
Tymi, co dobrze mówią, zrozumie najprędzy.
Każda rzecz: i zwierz, i ptak podobnym się cieszy;
Frant do franta i błazen do drugiego śpieszy.
Nie mogąc się zgoła jąc wydanego nowo,
Starego, choć przez trzecie rozumiał coś słowo,
Nie puścił przez cały dzień z rąku kalendarza;
Sąsiada i dobrego znałem gospodarza;
I kiedy z śmiechem, żeby porzucił go, proszę,
Jużem mu przywykł — rzece; — miałbym trzy
Co rok tracić i co rok nowego się uczyć? [grosze
Musiałbym ci nie sypiać, a kramarzów tuczyć.

Włeniec oddając pannie.

Akomodując dzisiaj starodawnej modzie,
Kędy ten, co opóździł o zakład w zawodzie,
Urwawszy garścią trawy, jaka mu się zdarzy,
Żeby przyznał wygraną, zwyciężcę obdarzy,
W powinności nadobna poczuwa się, dziewko,
Kawaler twój: z dziardynu Erycyny drzewko
Dajeć na znak wygranej. Już masz niewolnika,
Który, jakoć dał serce, da i duszę w lyka,
Boś mu cnotą przy ślicznej dała met urodzie,
Że swego przedsięwzięcia dobiega w zawodzie.
W nowy zawód miłości z tobą dożywotnej,
Kędy niebo zakładem, bierze się ochotny.
To smakuje, dzisiejsze to smakuje pęta,
Że będzie miał do kresu z ciebie konkurenta.

Uczył się, jak pies pije w Nilu.

Z jednym, co miał o sobie opinią wielką
Nauki z czytania ksiąg, mówiłem mędralką,
Zwłaszcza po filozofsku że się nosił zdrajca.
Aż pies kęs z Wisły, z Raby, kęs wody z Donajca,
To z tego, to z owego autora co chłystnie:
Nie doskonale i nie nie czytał umyślnie.
Sentencyami, choć wbrew pierwsza drugiej przeczy,
Jednej popiera, kulą w płót strzelając, rzeczy.
Czytam, że psi w Egipcie, bojąc krokodyla,
Nie stojąc, ale bieżąc, lepcą wodę z Nila.
Czemuż ten dureń — rzekę — choć go nikt nie chwytą,
Słusznie żadnej, jak trzeba, księgi nie przeczyta?
Z początku coś, we środku nic, od końca mało.
Podobnem też w Kijowie temu widział ciało,
Któremu Ruś, twierdząc, że obrzym był srogi,
Od głowy, brzuch przykrywszy, precz odwlecze nogi.
I kiedy chcę obaczyć wszystkie jego członki,
Nie pozwolą dla grzechu uchylać zaslonki.

Cisnąć tarcz.

Wielkim wstydem u Greków starych było, gdzieby
Tarczy kto choć z przegranej nie wyniósł potrzeby.
Mniejsza miecz, choć i tego nie było co chwalić:
Lepiej, niż kogo zabić, wprzód siebie ocalić.
Każdy żołnierz mieć w myśli powinien to dwoje:
Wziąć nieprzyjacielowi zdrowie, unieść swoje.
Dziś tarcze niepotrzebny ciężar starodawne;
Pewniejsze we złym razie nogi są wyprawne.
Wiara tarcz chrześcijanom. Przypatrzmyż się, jeśli
Tak strzegą, z okazyj żeby ją wynieśli,

Którą z światem i z własnym ciałem każdy toczy;
Jeśli jej nieprzyjaciół z serca nie wytroczy.
Ledwie ją tysiączny ma, a choć ma, cóż po niej?
W gębie tylko: nikomu serca nie obroni.
Przymamniż uciekają? Nie! Wolą kwartyrem
Poddawszy dać się na śmierć wiązać im jasyrem.
Gdzież miecz słowa Bożego podział się od boku?
Tak słyhać, że go mają. Cóż, kiedy w tłumoku.
Sami się ulecezywszy, bo żelazo cięży,
Równi żołnierze wodzom oddali go księży.
A czemuż nieprzyjaciół wodzowie nie płoszą,
Choć ich tak siła? Dość, że z daleka broń noszą
Za swymi żołnierzami; mogąc być odsieczą,
Dosyć, że rannych miasto cyrulików leczą.
Jakoż ten ranę komu cyrulik zagoi,
Który nie może, i sam rannym bywszy, swoi?
Mizerne leki, w wojsku kiedy niemasz całem
I jednego zdrowego duszą, choć nie ciałem:
Leżą wszyscy, począwszy od wodzów, śmiertelnie,
Aż do biednego ciury, co pilnuje kielnie.
Nie poradzi największa w cyrulikach piecza,
Gdzie się żołnierze chcą bić bez tarczy, bez miecza.

Na też drugi raz.

Znać, że ten w nogi ufa: objął mu strach płuca.
Zwątpił o sobie, kiedy broń z rąku odrzuca.
Grozi i odpowiada, na ostatek łaje
Do furyj, komu racyj w dyspucie nie staje.
Nie rogami by, panie, racyami racy,
Jakoś począł, dokończyć. Przegrana to znaczy.

Znajdziesz takie upłochy, którzy zrazu basem,
Na ostatek z ratusza umkną dutepasem:
Z mieczem do pochew, widząc, że kto stalniejszy ma,
I tarcz na stronę ciśnię, kiedy nie wytrzyma.
I skargi, i obrony, żeby i sam w więzy
Z swym nie był pryncypałem, jurysta odbieży.

Z wiatrem wojna.

Cheąc to w ludzi mój pleban wmówić, że uczony,
Zwykł dysputować miasto kazania z ambony.
I zawsze tryumfuje, zawsze na śmierć ścina,
Że mu nie odpowiada, Lutra i Kalwina.
Wiedząc ja, że tylko ma z Fabra swą naukę,
Proszę z sobą przy święcie na mięsa go sztukę.
A skoro po obiedzie na jego kwestye
Luterskie i kalwińskie przynoszę racye,
Pytam, coby w kościele odpowiedział na nie.
W łeb księgą — rzecze — że mi przerywa kazanie.
Więc się o tych rozmówmy rzeczach w izbie z sobą:
Będę ja na godzinę Lutrową osobą.
A dzień się trafił dżdżysty. Jam nie na dysputę —
Prawi — ale na obiad w taką przyszedł plutę.
Niemasz tu o co gniewać, bo się zaindyczy;
Odprawiwszy żołądek, niech się dowcip ćwiczy.
Będąc dobrze luterskich argumentów wiadom,
Na pierwszą mu kwestyą krótko odpowiadom.
Wraz wypiwszy oddaję sporą wina szkleńcę.
Porwałby się, ale żal. Niechaj na szubieńcę
Oba idą złodzieje! zdrajca i ten, i ów;
Stokroć godniejszy oba, niż wspomnienia, kijów.

Pewnie tak; lecz ich lepiej przy kieliszkach ścinać,
Niżli — rzekę — na miejscu świętym przypominać.
Chłopi tego nie pojmą, więc miasto dysputy,
Lepiej by oduczać kraść, kazać do pokuty.
Na wiatr szermować, bić się z tym, co czleka maże,
Pismo święte i zdrowy rozum nam nie każe.
Nikt wojny, kędy niemasz z kim się bić, nie wzdryga
Tryumf też bez wygranej wiecie, co jest? Figa.
Wygram, czy przegram z głównem, wždy jedno mię
[potka:
Że muszę iść ręce myć do wody z wychodka.

Znam czleka z twarzy.

Da się znać po imieniu, da człek i po twarzy;
Więcej nie, póki mi się mówić z niem nie zdarzy.
I z imienia, i z twarzy, i z krótkiej rozmowy
Nie poznasz, co za cnoty, co ma za narowy.
Częsta konwersacya, abo soli korzec
Do poznania należy, każdy może to rzec.
O, jakoż ich dziś wielu, podpiwszy z kim sobie,
Ledwie jutro po sukni pozna i osobie!
I przysiągłby, po trzeźwu mówiąc z nim, że nie on,
Jako nie był poznany psom swoim Akteon.
Aleć i krom pijaństwa może bez wątpienia
Každy afekt przetworzyć czleka na jelenia;
Gorzej: na psa, na świnię, w oborze na byka,
Że nie będzie czleczeżo nic miał prócz języka.
Przedtym przyjaźń za zyskiem, dziś za winem chodzi;
Tenże dyabeł, co związał, ludzi też rozwodzi.
Na cle przyszło, na mycie poszło, mówi stara
Przypowieść; wino łączy, wino ich rozpara.

Darmo winować wino, kiedy święte ligi
Małżeńskie, choć bez niego, puszczają fastrzygi.

Ucz się w domu, jakim chcesz być u ludzi.

Wybieram się na sejmik, aż i Karmelita
Trzoma końmi na wozie do mnie się przypyta,
Prosząc, żeby mógł ze mną w kompaniej jechać,
I rzeczy mniej potrzebnych w mym domu odjechać.
Nie mogłem się wymówić, choć bez kapelana
Obejdę; aż mnich ówiertnią owsa, kupę siana,
Zruciwszy skrzynię, na wóz wali. Markotno mi.
Qualis foris debeas esse, disce domi;
Niechaj się — rzecz — doma, dobrodzieju, ćwicz,
Jeśli kto być u ludzi grzecznym sobie życzy.
To tego, to owego potym się napiera:
Kur, grochu, szperki, kasze, masła, chleba, sera.
Bartek nosi stacya, ja myślę po cichu:
W swym, nie w cudzym domu się ucz grzeczności,

[mnichu:

Z swego się tak wybierać, jadąc w drogę, domu!
I to grzeczność, żeby się nie przykrzyé nikomu.

Na toż drugi raz.

Bez małaby nie lepiej nawykać u ludzi,
Jakim kto chce być w domu. Stąd się wielu trzodzi
Po szkołach, dworach obcych i dalekich krajach,
Żeby się, jako w kramie, w rzeczach, w obyczajach
Przejrzeć i kupić to, co przypadnie do smaku.
Choć ci się wielu dzisia myli na tym braku:
Wyzuwszy orli humor, jeszcze na to dłużą,
W brednie i w cudzoziemskie fochy się papużą.

Przecież nikt z domu grzecznym: trzeba mu być w szkole;
Wiedz mię do ludzi — mówi człek. Gnój — wież mię
Krótki żywot na świecie, lecz długa nauka; [w pole.

Nie jeden jej daremnie aż do śmierci szuka.
Nie jeden, z macierzyńskim wysawszy ją mlekiem,
Kędy drugi dzieciną, on dojzrałym człekiem.
Darmo to: dom jest domem, gością gościna.
W domu żyjąc, niech każdy sobie przypomina,
Czego z młodu w gościnie nawykł, i tym, co ma
Z wędrówki, działki ćwicz i sam żyje doma.

Chyba żeby na dyszlu i starem i młodem
Chciał siedzieć, gniazda z ptakiem nie mając apodem,
Który tylko (nu, z takim żywotem do kata)

Nie mając władzy w nogach, leży abo lata.
A toż widzicie, że się wedle rady mojej
Daleko piękniej na wspak przypowieść ostoi:
Serce i głowa człeku, nie dach i nie ściany

Domem. Świat jest wędrówką; żeby krom przygany
Żył przed Bogiem; jeśli kto żyé sobie z niem życzy,
Niech się cnoty w swym sercu, nie na świecie ćwicz
I to, co ma dobrego w sobie z przyrodzenia.

Jeszcze gorzej świat psuje, miasto polepszenia,
Błądzi szkaradzie, błądzi i wiatru się chwyta,
Kto go mieszkaniem, kto go domem swym poczyta.
Dopieroć to po śmierci, jaki tu budynek
Postawi, taki będzie miał w nim odpoczynek.

Staryś a głupiś.

Kogoś cesarz Klaudyus nie tak, jako sobie
Obiecował, osądziel, bo na stronie obie

Podobać się sędziemu trudno. Więc gdy słyszy
Dekret ów, trzebać było przed cesarzem ciszej,
Staryś — rzece — a głupiś. Nie tak się sprzeciwił,
Nie tak rozgniewał, jako Klaudyus zadziwił
Wielkiemu bezpieczeństwu i nie karać wolał,
Pogroziwszy, żeby się długo bał i bolał,
Zyjąc jak pod siekierą; bo kto śmierci boi,
Za śmierć mu, co godzina umierając, stoi.
Siłuz dziś, co przed Bogiem i ludźmi ich szpeci,
Starych jest barzo głupich, jako małe dzieci!
Za luty rozum, enota i nauka chodzi.
Chyba kto zdziecinieje i tak się odmłodzi,
Że już człowieka, długiem znużonego wiekiem,
Nie starem, ale nazwać ledwo może człkiem,
Skoro w niem rozum, enota, nauka wystydła,
Co samo ludzi różni od niemego bydła.
Zaż to nie wielkie głupstwo, już do grobu skrzywić,
A nie chceć się w sumnieniu swym usprawiedliwić?
Umierać bez nadzieje szczęśliwości wiecznej
I krom strachu godziny czekać ostatecznej?
Straciwszy to, dla czego ośmdziesiąt lat tu żel,
Nie wie, że musi wracać, że się ich zadłużeń,
Oplakany ryczałtem za każdą minutę
Przez tysiąc lat zasiadysz zębów zgrzytu hutę.
Małom powiedział, bo kto z czasem wieczność mierza?
Nie ma końca żadnego, tak wielka jej szerza.
Inszych wad nie wspominam, które, jak z ponurą
Pluta, z starością zwykły na świat chodzić, chmura.
O cóż płakać, dla Boga, że póki nie stary,
Póki ma rozum pełna, idzie kto na mary?

Znam cię ja; oszukuj tym, kto nie zna.

Wzdychaj, wywracaj oczy, przemykaj pacierze,
Żegnaj szkleńce, kieliszki, łyżki u wieczerze,
Nim je przytkniesz do gęby, żegnaj u obiadu,
Żebyś nie wydał pychy i pijaństwa szladu,
Żebyś w ludziach mniemanie pobożności sprawiał,
W czym Pan faryzeuszów na przykład wystawiał.
Uśmiechaj się miluchuo, wypogadzaj czołko,
Nie oszukasz mię. Znam cię, żeś pokrzywka, ziółko.
Chcesz tym pokryć nieszczyrość, żeby kogo zdradzić;
Chcesz w sidła, których pełne serce masz, wprowadzić
Chwalisz kogo, patrząc mi w oczy, jako w tęczę:
Jeśli się zgadzam, żebyś z niem powadził, ręczę.
Radzisz nie bez prywaty, szkoda o tym mowić,
Żebyś się mógł czym z mego rozbicia obłowić.
Chwalisz mię: jest li z czego, to z zazdrością w poly;
Niemasz, to urąganie nad nieprzyjacioly
Jawne sto razy gorsze i szyderstwo z człeka.
Kaźde słowo tve trzeba uważyc z daleka,
Nim odpowiedzieć na nie; wszystko pod pokrwyką.
Znam cię, jakom powiedział, ziółko, żeś pokrzywka,
Która choć jako insze zielenieje ziola,
Nie może jej bez szwanku ręka dotknąć gola.

Na toż drugi raz.

Przed pospółstwem sobole i te aksamity
Prezentuj, konie, siodła, forgi, rzędy, kity:
Niech po karczmach tve pompy, tve splendory śpiewa.
Ja cię znam w twojej skórze, wiem, co się w cię
[wlewa.

Chcesz okryć z wierzchu, czegoś wewnątrz nie dostaje,
Głupstwo i ledajakie swoje obyczaje.
Ale choćbyś uzłocił, choćbyś perły po niem
Sadził, nigdy nie będzie gnuśny osieł koniem,
Ani kobuz w krogulca odmieni się, ani
W jastrząba, choć przyprawisz dzwonki srebrne kani.
Wszystko to pożyczane abo zadłużone,
Żebyś zwabił bogatą, jako na lep, żone.
Odrwisz kogo? twe szczęście; acz nietrwale i to:
Długo koń chromie, nim mu odroście kopyto;
Aż z teściem kłopot, zwada, z żoną do rozwodu,
Zwłaszcza, jeśli w nagrodę z czym nie masz do
Bo skoro po weselu będzie i po ślubie, [grodu,
Każdy, coś winien komu, swe piórko wyskubie.
Nie dojdzie li wesele, aż we dwoje żalu:
Nie masz okrom żywego gdzie zawiesić ufnalu.

Czemu dyabeł mądry? Bo stary.

Nie przeto dyabeł mądry — źle mówią — że stary.
Kiedybyśmy nań z ludzi przybierali miary,
Nie tylko by nauki w sobie nie przyczyniał,
Ale przez sześć tysięcy latby i zdziecinał,
Zgłupiałby, jako ludzie. Niebieska mu szkoła
Da mądrość pierwej, niż się dyablem stał z anioła.
Nie może nikt być starym, który się z macierze
Nie rodził, młodym nie był. Zaraz rozum bierze,
Bo dyabła z niem Bóg stworzył; nigdy nie umiera,
Kiedy się, duchem bywszy, ciałem nie zawiera.
Nie ma się co rozłączać: tak duchy bezcielne,
Jako też i ciała są od duchów rozdzielne.

Duchy rozumne, ciała z przyrodzenia głupie,
Choć bez nich, choć na świecie żyją z nimi w kupie.
Bo z ziemie poszły, która, choć złoto, choć zboże
Rodzi, bez człowieka nic nie umie, nie może.
Czemuż ludzie, tak dobrze znając się na rolej,
Umiejąc ją do swojej uprawować wolej,
Jednej skiby nie mogą ciała swego sprawić,
Żeby nie z perzu, ale z grzechu ją wyprawić,
Żeby czystą pszenicę, Bogu miłą cnotę
Rodziła na zbawienną, póki żyją, flotę?
Na kogo wielka skiba, niech się imie brełki
Serca swego: przyjdą mu i z nieba posiłki,
Bo kędy zdoleć siły śmiertelne nie mogą,
W tysiącu wołów stanie Duch święty załogą.
Chcieć tylko, potym prosić; wszystko pójdzie z mydłem.
Zaschła rola? Rozmoczyć szczyrych łez kropidłem.
Rozmokła pieczętami, że się nie chce kruszyć?
Przestać pieścić; robotą, postem ją wysuszyć.
Tak nie zawadzi mokro, nie zawadzi parno,
Że przyniesie stokrotne swemu siewcy ziarno.

Jedno kowadło tłuc.

Długo miechem dmie kowal, długo młotem tłucze,
Długo kowadło i sam w kominie się brucze
Wprzód, niż rozgrzeje szyne, wprzód, niż zmiękczy
Niż łańcuch, abo zrobi do kotła antabę. [sztabę,
Długo się trzeba uczyć, siłę ksiąg zwartować,
Siłę papieru, pisząc, siłę świec zepsować,
Jeśli kto co chce umieć, długo w szkołach bawić,
Często kowadła z młodu mistrzowi nadstawić.

Bo choć rozum wysysa w macierzyńskim mleku,
Nauki z wielką pracą trzeba szukać człeku.
I rzemiosło nie samo w ręce ludziom lezie:
Dziesiąta skóra pewnie pierwej z nich oblezie,
Sto wprzód zepsować musi, niż raz dobrze zrobić;
Trudno się go doprosić, trudno komu dobić.
Z czasem ręczne rzemiosła i szkolne nauki
Przychodzą, z czasem giną; na syny, na wnuki
Nie spadną, ale kto się w pobożności ćwiczy;
I sam wiecznie, i jego rodzaj w niej dziedziczy.
Siłę złym dobrych ojców synom błogosławi,
Ale tylko na świecie, Bóg. Nie wszystkich zbawi;
Chyba tych, co ojcowskiej pobożności strzegą,
Owych po śmierci skarże, którzy jej odbiegają.
Czemuż ludzie na świeckich, choć im z czasem giną,
Naukach żywot trawia, a cnotę pokiną,
Która i w tym i w przyszłym wieku się im przyda?
Czemuż się w niej nie ćwiczą przykładem Dawida?
Czemuż, na każdy wieczór kładąc na swe łożo,
Nie myślą z niem, w czym chybią przykazanie Boże?
Tuć to serce kowadłem, tu ma być warstątem:
Nie będzie nikt. śpiąc, w niebie, kto się bawi światem.

Miłość miłość rodzi.

Wszystko, cokolwiek ludzie choć orzą, choć sieją,
Choć budują, choć szczepią, robią pod nadzieją.
Samych tylko rodziców natura uszkadza,
Bo się im rzadko dzieci chowanie nagradza.
Co matki bolu nosząc, rodząc, co niewczasu
Karmiąc, piastując, krzyku, co cierpią hałasu,

Co prace w chowaniu ich, co kosztu ojcowie
W ćwiczeniu, najlepiej ten, kto dzieci miał, powie:
Co frasunku w chorobach, co przy śmierciach żalu.
Wolałby drugi żebrać z dziady we szpitalu,
Odrzec pociech, na nici które wiszą cienki.
Cóż strach o synów, abo podrosłe panienki!
Bo nie wie, jeśli węgla za złoto nie chowa:
Może syn śmierć katowską zasłużyć, a owa
Może, co gorsza, niż śmierć, a wielkim nieszczęściem
Trafia się, powie wnuka ojcu przed zamężciem.
Aleć wszystkie te jeden przewyższa niesmaki:
Jakiej czekał miłości, jeśli nie zna takiej.
Póty ojców kochają, póki bez ich łaski
Żyć nie mogą; a dalej nie podadzą łaski,
Zwłaszcza, jeśli ich przyjdzie starości dochować.
Słyszałem wielu. Nie chce pan Bóg się zmiłować.
Łatwiej dziesiątku synów, niech się każdy dziwi,
Jedną matką, niż matkę dziesięć ich pożywi.
Samego świat z tych liczby wyjął Eneasza,
Który ojca Anchizę na barkach wynasza,
Kiedy palili Grecy rozgniewani Troję.
Drugą Pietę, sławną u świata dziewoję,
Co ojca, żeby w turmie nie umierał głodem,
Piersią karmi przez kratę, miłości dowodem.
I w zwierzętach, i w ptakach, wyjąwszy bociana,
Bo ten rodziców starych bierze na ramiona,
Nosi, żywi, niewdzięczność taką ludzie gania,
Bo tak jastrząb, jako wilk, zjedzą swoich, a nią
Sami grzeszą i gwałcą natury przymierze,
Mając rozum nad ptastwo i nad głupie zwierze.
Wždyby się znowu od nich mogli rzerzy wielu

Nauczyć: jako nie tkąć, nie lać do gardzielu
Nad to, co trzeba ciała. Tam rozumu sznury,
A tu gorzej od bydła targają natury.
Niechżeby to rodziców ziemskich potykało,
Z których nie, idąc na świat, tylko bierą ciała.
Acz i to mówią drudzy synowie bezbożni:
Musiałać, choć nie rada, że brzuch swój wypróżni,
Rodzić mnie matka moja; nie było by męża,
Nie byłoby dziecięcia. Co gorszy od węża:
Ani czekiem go nazwać, ani może synem,
Bo się bokiem z jaszczurką, łasicą matczynem
Gardłem na świat wygryza, bluźni przeciw Bogu.
Sam niegodnym człeczego czyni się połogu.

Na toż drugi raz.

Komuż tytuł ojcowski krom jednego Boga
Sprawiedliwej należy? Stąd ona przestroga,
Kędy nam Chrystus ojcem, żebyśmy nikogo
Nie zwali na tym świecie, zakazuje srogo.
Stworzywszy ciałem z ziemię, duchem rodzi z siebie;
Chowa, żywi, odziewa, ratuje w potrzebie;
Jego słońce nam świeci, grzeje; deszcz oblewa;
Jego ziemię człek depce, jego parą ziewa.
On wprzód świat umiłował, żeby alternata,
Wzajemna dochodziła miłość go od świata.
Największe i najpierwsze przeto rozkazanie
Podaje mu Bóg: w jednym sobie zakochanie.
Wszystko wielkiej przechodzi dobroci to miarę,
Ze nas tak umiłował, tu ciężko na wiarę,
Której tym kształtem szukał w Abrahamie swoim,
Gdy jednorodzonego okrutnym zabojem

Wydał Syna, żeby świat śmiercią jego zbawiał,
I tym ku sobie miłość na ostatek sprawiał.
Myli się, kiedy tego przypowieść dowodzi,
Że zwyczajnie na świecie miłość miłość rodzi.
Już tego ku rodzicom w dzieciach się dowiodło,
Dlaczegoż Boga, łaski i dobroci źródło,
Sami dla siebie ludzie tak nie chcą miłować,
Jego prawa z miłości, nie z bojaźni chować?
O straszne omamienie, o ciężka ślepotą!
Tedy wolą do piekła, niż do nieba, wrota?
Więc go niesprawiedliwym, kiedy na sąd siędzie,
Nazwać, że się takiej mścił niewdzięczności będzie
Na stworzeniu, na glinie i na swojej śmieci,
Kiedy je przysposobił za własne chciał dzieci?
A oni, do szatańskiej udawszy się szkoły,
Staną dobrodziejowi wbrew nieprzyjacioly,
I koniecznie go tu chcą oszukać, szaleni,
Kiedy gęba daleko od ich serca mieni.
Jednym się nam Duch święty każe kantentować:
Abo świat, abo Boga obojgiem miłować.

Na ostatek lagier.

Niespodziani mię kupą zbiegli przyjaciele.
Nie stało, bo przyznam się, było też nie wiele
Wina w beczce, aż na stół przyniesiono lagier.
Bawiąc żona, rozlicznych mody wymyśla gier.
Piliby ci, bo czoła powieśaili smętne.
Wypiliście klarowne, pijcież — rzekę — mętne.
W miasteczku wina niemasz, z beczki wypadło dno.
Zagrzać się gorzałeczką, jeśli komu chłodno.

I piweczko nie puszy, gdzie ochota szczera.
Niech szklanki chłopiec stawia, niech kieliszki zbiera.
Mosiądz, abo niepewnej srebro tylko próby
Złocenia potrzebuje; marnotrawcą, ktoby
Fansylber chciał malować. Daj chleba, daj sera,
Nie sadząc na potazie, gdzie ochota szczera,
Przyjaźń niefarbowana. I bez wina może
Rzec jeden do drugiego: Daj ci zdrowie, Boże!
Nie miedz, nie mosiądz, często ołów, abo cyna
Oszuka ludzi prostych pod pozłotą wina.
Dopiero skoro zleżą malowane szmelce,
Postrzeże fałszu, widząc, że się odrwił wielce.
Lecz mu się to, co z serca wydał, już nie wroci,
Zwłaszcza, gdy swą robotę co raz cygan złoci.

Na toż drugi raz.

Piliśmy z pełnej beczki, pijmyż teraz ze dna.
Nie została po ojcu, tylko wioska jedna.
Rozumiałeś, że jako szlacheckiem rodzeniem,
Tak i dobrym wyrównasz wojewodzie mieniem.
On, że szumi intratą, z pełnej pije beczki;
Tobie, wypiwszy wino, przychodzi do brzezki.
Ba i ta już na schyłku, wieś, pókiś był młody,
Przedawszy; wina zawsze dość u wojewody.

Na toż trzeci raz.

Póki człeku wiek płuży, póki zdrowiu dufa,
Jakby stała w kominie pełna wina kufa.
Liej, rozlej, kto się trafi, i ledwie nie drabi.
Dyabeł toczy ochotnie, kompaników wabi.

Bajką niebo i piekło, i enoty, i grzechy,
Aż skoro starość zbliża, poczną bieleć wiechy,
Kufa dzwoni, a inszej nie kupić na rynku,
Widząc, że źle, ba wierę czasby przestać szynku.
Precz szatanie! czas by też pomyśleć o duszy,
Czas Boga poczęstować, póki śmierć nie ruszy,
Póki beczki na ziemię nie zruć z kamina.
Już późno: lagier czopem idzie miasto wina.
Pij, panie, jakieś zastał; memu zdrowiu wadzi,
Goście nie chcą, przyszloby wydać to czeladzi.
Wszyscy takim, co się aż w starości obaczą,
Pana, co z wody wino tworzy, mętem raczą.
Ale ma być klarowna i z krynice czystej,
Nie błotna, nie śmierdząca z kałuże bagnistej.
Nie wiemże, nie takim li, że z prorokiem świętem
Rzekę, po śmierci ludzkość odczęstuje mętem.

Na toż czwarty raz.

Myli się, podobieństwem kto wielce dalekiem
Wystałe wino z starem chce porównać człkiem.
Czas wina do wystania dziesiątek lat właśnie,
I to musi być barzo trwałe, że nie skwaśnie.
Człeku — dwadzieścia cztery, najwięcej trzydzieści,
Póki słuszny rozumu wzrost go nie domieści:
Żeby naprzód znał Boga, sam siebie, toż ludzi,
Bo dalej jako wino w ocet się paskudzi,
Jeśli go nie zażywa ani godzi w czary.
I człek, co z młodu ciała wyrzuci kantary,
Jeśli nie dba na rozum, co go człkiem czyni,
Powoli psując, równa na ostatek świni.

Niechże mu sześćdziesiąty rok wieku dochodzi,
Wino w bigos do kuchni, on się w piekło godzi.
Wino octem do zapraw, człek i sam bigosem,
Tamto pleśnią, ten siwym wierzch okrywszy włosem.

Kto pod kim dołek kopie, często weń sam wpada.

Wpadł mój kmieć, kiedy kaczki nieostroźnie siąga,
Obaczywszy, że wiśni, na rękach u drąga.
A ty coś w dole wilezym miał za sprawę, chłopie?
Któż tak jest głupiem, że go sam dla siebie kopie?
Bo mu zimna, głęboka nie dała stać woda,
Gdzież nieszczęście, gdzież miejsca nie znajdzie

[przygoda?

Na zwierzówem go robieł, aż ja sam dziś bobrem
Moknę — rzecze — co gorsza, że [z] złamanym zio-
Nie trzebaż dołu kopać, myślę, wszędy go ma [brem.
Pod sobą każdy człowiek i w drodze, i doma.
Cały świat mu dołem jest, cały świat na zdradzie:
Cokolwiek przed się bierze, niech wie o upadzie
Lub głową, lub rękami; na myśl mu nie padnie,
Jakiem kształtem, aż skoro obaczy się na dnie.
Chłop z dołu po drabinie wilezego wychodzi;
Po uszy w swym do śmierci nieostrożny hrodzi.
Pełne takich ratuse, pełne takich dwory,
Zwłaszcza do nieuwagi że będzie kto skory.
Niech szuka ostrożności wszelkiego sposobu
W sprawach potocznych, przecięż nie uchroni grobu.
Każdego ten dół czeka, nie pomogą mury:
Musi w niem być, choćby kto stapał z tablatury.
Tu, radzę, niechaj wszystkie swoje zmysły zbierze,
Żeby z niego w głębszym nie bobrował jezierz.

Chcesz rzeczy niepodobnych.

Pokoju sobie życzyć, a pieniądze zbierać,
Drzwi przed importunami nigdy nie zawierać,
Gdzie o czyjej sąsiedzi ludzkości się zwiedzą,
I listy do obiadu, i prośbę uprzedzą;
Pokoju, zaczynając prawo, sobie życzyć,
Abo rozczać budynki, abo z kiem graniczyć,
Abo wziąć kłopotliwe na głowę urzędy,
Abo podjąć od człeka zgryźnego arendy;
Nie tylko pokojowi, rozumowi przeczy.
Bo te wszystkie obojgu wbrew przeciwnie rzeczy.
I nie najesz, nie tylko nie wypisz się z wczasem
Przed ustawicznym w domu i w głowie hałasem.
Chcesz pokoju, słuchajże: nazbyt nie ochotuj;
Dziś komu zasmakujesz, na jutro się gotuj:
Co zje, co spije, mniejsza, bo powetowana;
Czasu nigdy, siedząc z niem od nocy, do rana.
Zwłaszcza trzeźwy z pijanym, że sobie nie dołał
Gospodarz, wadzić się chce; ledwieby nie wołał
Wieży siedzieć przez trzy dni: nie tak by go okliwo,
Niż dzień z tym gościem bawić, co mu wszystko
Bez przestanku się kłania, abo jako dziecko, [krzywo.
Co obaczy, napiera; ledwie mu przez trzecie
Które słowo zrozumie: nabredzi, napsoci,
I znowu w przeprosiny; nazajutrz się wroci.
Prawa się odrzec, choć ci krzywdę kto uczynił:
Bogu oddaj; więcej on cierpiał, nie zawinił.
Sam jej nie czyni prócz siebie samego nikomu,
Nie szukając przyjaciół, zgodzicie się w domu.
Urazisz możniejszego, jawnie i sownie,
Uboższego, pomści się swojej krzywdy skrycie.

W każdego mocy prawo, abo wojnę począć,
W cudzej zawisło skończyć i od nich odpocząć.
Jeśliś stary, do tego jeśli nie masz dzieci,
Co wiedzieć komu, nowych nie zakładaj kleci,
Jednym od wcześniejszego domu stojąc krokiem;
Byle wierzchem nie ciekło, tu nie dęło bokiem.
Wielkiego niepokoju trzeba zażyć wprzody,
Kto pokoje dla przyszłej niepewnej wygody
Rozczyna. A któż to wie, rychło cieśle skończą;
A on musi, koszt łożąc, mieszkać pod oponczą.
Starych kopców nie ruszaj: trzy łokcie i siele
Dość człeku na grobową wzdłuż i wszerez mogiele.
Dość masz roli na zboże, coć ociec zostawił,
I coś co rok przedawał, i tegoś nie strawił.
Dość i ziemie, co ciało twoje zaledz może,
Żebyś na wieczny żywot siał niebieskie zboże.
Kontraktów dla pieniędzy, urzędów dla pychy
Strzeż się, chcesz li spokojny żywot wieść i cichy.
Często łakomi stratę mają miasto zysku,
Często pyszni zostają ludziom w pośmiewisku.
Wczas starość, pókiś czerstwy, wczas śmierć, pókiś żywy,
Poczni, chcesz li tu zdrowy, w niebie żyć szczęśliwy.
O niepodobną kusi, może mu to zadać,
Kto chce ogień bez dymu we złym piecu składać.
Musi oczy upłakać i sam się ubrukać,
Kto w grzechach i w kłopotach pokoju chce szukać.

Jeden kłopot dziesięć ich rodzi.

Piszą starzy poeci, jeśli miejsce wierze,
O hydrze, wodnym smoku w Lerneńskim jezierzce:

Sto głów miał, a jeśli mu ucięto z nich którą,
Dziesięć mu ich taż z karku wyrastało forą.
Kto jednego kłopotu pozbył, hydrę sieka,
Bo jeśli nie gruntownie, niech dziesiąci czeka.
Złe Polacy kozacką uspokoją wrzawę,
Aż Moskwa, Szwedzi, Węgrzy, jako na oblawę,
Walą się, podobni tej pomienionej hydrze,
Aż każdy z nich okupem, na co czuwał, wydrze.
Moskal krzywoprzysięgły w Kijów i w Zadnieprze,
Szwed się im w Estonią i w Inflanty weprze.
Zle z wielką swoją szkodą, z wielką hańbą Szwedy,
Żle niecotliwą Moskwę uspokoją, kiedy
Nowa hydra o stu głów rogi na nim dźwiga:
Tureczyn im Ukrainę z Podolem odstrzyga.
Orda to, co od Szweda zbyło i Moskala,
Ścina co rok i wiąże, ostatka dopala.
Chcąc i tę uspokoić, radzą teraz w Grodnie;
Szczęść Boże przedsięwzięcie, ale wiem dowodnie,
Jeśli przyjdzie do mira, że z tej wojny nowa
Hydra się na Polaków urodzi stogłowa.
Niewdzięczni bowiem Niemcy, tej biedy przyczyna,
Za wzięte dobrodziejstwo staną za Tureczyna.
Póki człek dobrodziejstwo wzięte oddać zdole,
Póty wdzięczen; przeniesie możność, w oczy kole;
Miasto łaski nienawiść, że w ciężkiej potrzebie
Zabranego nie może znieść obliżu z siebie.
Ale o tym kroniki niech piszą obszernie;
To sam Bóg wie, co dalej w naszej będzie Lerne.
I Moskwieby nie ze wszem do smaku przypadła
Nasza zgoda z pogaństwem, bo pies ruszył sadła.
Wydrwiwszy Kijów, Smoleńsk, gdyśmy byli w cieśni,

Co kontraktem poprzysiągł, o tym się mu nie śni.
To rzeczy pograniczne. Przypatrzmyż się doma,
Co robi dla pieniędzy ta hydra łakoma,
Gdzie wielom z jednej wioski, jako tamtej z karków,
Sto majątności, tysiąc wyrasta folwarków.
Kiedy zewsząd powszechną nieprzyjaciel siecze,
Prywatne wstają głowy ze krwi, która ciecze,
I zda się ludziom, czego w oczy im nie rzeką,
Że umyślnie, chcąc, wojnę kwoli temu wleką.
Rzeczy li to, gdzie jedna nie mogła, podobne,
W całej swej sile żeby oprzeć miały drobne?

Ofiara bez ognia. Wesele bez wina.

Palić sobie cieleśta, woły, skopy starą
Mojżeszowym statutem kazał Bóg ofiarą,
Żeby go wonia z dymu, którą ogień z siebie
Na ołtarzu wypuszcza, dochodziła w niebie.
Teraz już kuchennego ognia ani dymu,
Ani wołów, baranów chce, ale żeby mu
Miasto woni modlitwę, miasto mięsa serce
Człek na gorącej duchem pokładał fajercie.
Niechaj go żydzi bogów fałszywych obrzędem
Z pogany karmią mięsa bydłowego swędem;
Modlitwę chrześcijanie przy jałmużnie z postem,
Byle nie zimne były; bo chociażby kto stem
Wszystko to czynił, jeśli nie prosto z komina,
Ani patrzy, ani ich Bóg sobie wspomina.
Ofiary to bez dymu; ani święci naszy
W złotej mu ich na niebie prezentują czaszy.
Próżno kto do ołtarza z nimi się zapądza,
Jeśli guiew lub cielesna serce jego żądza,

Abo grzech jakikółwiek w oczu Boskich trzyma;
I ten próżno ofierze swojej ogień wzdyma,
Co słowa usty gada, krzyże ręką kryśli,
A co wiedzieć, po świecie kędy błądzą myśli?
Już to zimna ofiara; nie zagrzeje świeca,
Gdzie kapłan duchownego płomienia nie wznieca.
Nie w słowach ani w jestach, co starzy prorocy
Mieli, królestwo Boże zawisnęło w mocy.
Moc z wiary, wiara [z] pisma świętego: kto słuca,
Kiedy ją darem Bożem zowie pewnie z Ducha,
Którym głów Apostolskich wierzy w Jeruzalem,
Niech i nasze ofiary tymże grzeje palem.

Na toż drugi raz.

Jest że dziś siłę zimnych nie tylko w kościołach
I w obłudnych, kto pojźry, ofiar przyjaciołach.
Kurzą się obietnice, przysięgi i śluby,
Ognia kupa przy winie, szczyrości dymu by.
Jest ci dym, ale z trunku; głowie tylko kurzy,
A z serca, czego taić trzebaby, wynurzy.
Głowę i ciało grzeje, lecz krótko, do jutra,
Że się czasem na mrozie obejdą bez futra;
Duszę kopci na wieki, tak wielkiej jest władze,
Aż dyabłu w piekle przyjdzie wycierać z niej sadze.
Nie wycierać: wypalać. Najgorsza, że onem
Siarczystym ogniem, przeto i nieugaszonym;
Bo w ten regiestr apostoł, święty Paweł, Boży
I pijaków kilkakroć swymi pismy włoży.

Na toż trzeci raz.

I małżeńskie bez wina możesz nazwać śmieie
W skąpym domu ofiarą bez dymu wesele.
Sam je Chrystus poświęcił, sam przywilejował,
Kiedy w Kanie na wino wodę przeformował.
I dzisiaj, kto ubogi, niech wody nanosi,
A Chrystusa na gody weselne zaprosi.
Góry może przedstawiać i cuda rozliczne
Czynić, ktoby miał wiarę, jak ziarno gorczyczne.
Wszak i dziś ludzie wodę, nie mając czym inem
Proszonych gości raczyć, ipsymują winem.
Wolą piwkciem, wolą się sensyperdą poić,
A upiwszy, ledaco po weselach broić,
Wolą dyabła zapraszać miasto Boga raczy,
Który grzechem najgorszy trunek im przysmaczy.
A jeśli też kto wina swoim gościom nalał,
To żeby i sam z nimi pospołu oszalał.
Wodę Chrystus na wino, ten, jak druga Cerce,
Ludzi w świnię, bo trzeźwych przetworzył w obżerce.

Na toż czwarty raz.

W Wielkonoconą niedzielę, gdzie, wygnawszy śledzie,
Mięsiwem wyściełamy boki przy obiedzie,
Nie warzy ani kucharz wieczery dopieka:
Bigosy zimne daje, sałaty i mleka.
Kołaczą zowiemy taki stół bez dymu;
Gdyby też bez wodnego i wino ipsymu,
Wielcebyś nam wygodzieł na zimne potrawy.
Wół tylko wodę pije, najadszy się trawy.
W wielkie tylko, mój zacny gospodarzu, piątki,
Że Chrystus żółé pił z octem, czynią dla pamiątki,

Ale skoro zmartwychwstał, i kościół [nam] broni
W niedzielę Wielkonoconą takich ceremoni.
Szczyre wino we czwartek pił on po baranku;
Ty nam nie życz po szoldrze z mieszanego szwanku.

Ples na sienie leży.

Widząc wół wiązań siana prawie na wygodzie,
Idzie, chcąc się pożywić, chcąc posilić w głodzie.
Alić pies, leżąc na niem, choć jeszcze z daleka,
Wprzód warczy, potym, żeby nie tykał się, szczeka.
Wielka krzywda — rzecz wół — bronić, czego i sam
Nie jada; nie zalegam ja kości kondysam.
Ty, najadszy się w kuchni, wyśpisz i na śmieci;
Woły, choć głodne, budzą do jarzma u kmieci.
Siłuz tym psom podobnych jest na świecie ludzi?
Leżą na sienie, wołom broniąc, sami chudzi.
Leżą, sami nie jedząc, i wolą go zgnoić,
Niż ubogiego odziać, nakarmić, napoić.
Leży bogacz, choć większa nie może być droża,
Na zasutych szpichlerzach, pełnych gumnach zboża;
Leży na wielkich, kiedy mrą inszy od nędzy,
Nie mając za co kupić, tłomokach pieniędzy;
I sam, zawiązanego żeby nie tknął woru,
Często doznaje w brzuchu z ubóstwem przemoru.
Leży prostak na księgach: i sam się nie uczy,
Nie czyta, i nikomu nie powierzy kluczy;
Leży, jako na sienie pomieniona suka:
W głowie nic, wszystka w skrzyni zamkniona nauka.
I ten leży na sienie z psem zazdrośnym, co mu
Bóg dał rozum, a nie chce poradzić nikomu,

Nie chce szczyrze nauczyć. Często dowcip bystry
Z wielkim wstydem nauką przechodzi magistry
Na wszystkim, co od Boga dobrego tu kto ma,
Jeśli, nie udzielając ludziom, kryje doma,
Choć wszelkie dobro ma być, jako woda w rzece,
Abo od gorącej wspólne światło świece,
Pies na sienie, podobien złodziejowi, leży,
I to złodziejskiej wiele zażywa kradzieży.
A skoro też psa z siana śmierć spędzi do grobu,
Czekawszy długo, woły przystąpią do żłobu.

Lepiej nie dawać, niż dawszy wydzierać.

Cóż po tym, choć da krowa pełen mleka szkopiec,
Kiedy, wierzgnawszy nogą, rozbije go o piec?
Cieszy się baba mlekiem, póki krowa stoi,
Sypie sieczkę, aż widząc, że ją darmo doi,
Szkoda miasto pożytku, co ma na dorędzi,
Wali bydłę z obu rącz i od żłobu pędzi.
Zjednałeś dobrodziejstwy przyjaciela sobie,
Żeby gotów był pewnie umierać przy tobie,
Aż za leda przyczyną z okazyj twojej
Rozbije mleko z szkopcem krowa, co nadoi.
I taby nie wierzyła na swą panią, gdyby
Nie nadprzykrzyła ciągnąć cycek bez pochyby.
Komuż się nie uprzykrzy, gdy, choć go przyznaje,
Dobrodziejstwo mu, jako owa baba jaje
Dziadowi, ustawicznie za uszyna klepie?
Aż jej go na ostatek rzuci między ślepie.
I przyjaciela, w czym sam siebie niechaj wini,
I to importun zgubi, co dla niego czyni.

Lepiej go było nie mieć, niż kto miawszy strada,
Bo głębiej w sercu krzywda, niż łaska zasiada.
Skłonniejszy człek do pomsty, niż do odwdzięczenia.
Gdyż w pomście zysk, odwdzięka nie bez uciążenia.
Jak żywo tak z obcego, jako z przyjaciela
Rozgniewanego, niemasz żwawego mściciela.
Nie tak największy złodziej, jak ten, coś mu kluczy
Od ust i serca swego powierzył, dokuczy.
Zna cię wewnątrz, zna w skórze, i wedle swej woli
Tam rani, tam uderzy, gdzie najbardziej boli.

Przynamniej drzewo obrać, na którym masz wisieć.

Trzoma sposoby, kiedy przeciw sobie grzeszą,
Sami się dobrowolnie głupi ludzie wieszają:
Pierwszy z rozpaczy, jeśli żywot zbrzydnie komu,
Leda gdzie na gałęzi, abo u słostramu.
Drugi z niewolej, kiedy dla marnej prywaty
Na żenie zlej, paskudnej, wiąże sobie światy.
Trzeci już na szubieńcy, że kradną, choć słyszą,
Choć widzą, że złodzieje przy gościńcach wiszą.
Już ci nie obierają miejsca, drzewa, czasu;
Muszą przyjąć, jakie im postawiono z lasu.
Ani ci, co się sami z rozpaczy wieszają,
Tego, bo rozum głowy odbiegł, uważają.
Siłu z głodu i z nędzy, siłu się ich z gniewu
Przysądza, czego przykład Achitofel, drzewu.
Siłu strach i sumnienie z grzechu na gałęzi,
Jakich wszystkich Judasz jest pryncypałem, więzi.
Komu każą za większą, czy za mniejszą winę,
Choć i niewinnych siłu, idzie na drabinę.

Kto się niewiastą pęta, niechaj pilno baczy,
Żeby wiśnieć na koniec nie przyszło z rozpaczy,
Gdyżby nigdy na taką nie przychodził mękę,
Uważając, komu da na kobiercu rękę,
Żeby go przenosiny z niewiasty na sośnie
Nie potkały, co ludziom trafia się żałośnie.
Wolić, żeby się długo nie mordował z światem,
Sam być egzekutorem i sam sobie katem.
Lepsza rzecz jest raz upaść, choćby i stłuc boki,
Niż wiśnieć i niż cierpieć strach, co wiedzieć, poki.
Dobrze trafił Sowiźrał, gdy na szubienicę
Każą mu drzewo obrać: prosił o bylicę,
Wiedząc, że pierwej, niż go do śmierci zadusi,
Sama się abo ugiąć, abo złamać musi.
Taż przestroga należy i do niewiast, aby
Za starych nie szły młode, za młokosów baby.
Lecz pomoże to biedę, choć się w równi rodzą,
Jeśli się ich przeciwne humory nie zgodzą.
I kogo Bóg chce skarać, niech po świecie szuka:
Obojgu się bylica przetworzy na buka.

Trudno w sieć nagnać starego lisa.

Trudno odrwić mądrego, trudno Wiśle flisa
Bywałego omylić, w sieć starego lisa
Nagnać, trudno jurystę w prawie, rzemieślnika
Wywieść w pole z warsztatu, któremu przywyka.
Choć ci w najostrożniejszym człeku, ptaku, zwierzu
Trafi nieszczęście, że im przecię być w więcierzu.
Drwią mądrej, drwią bywalcy, tym gorzej, tym szpetni,
Gdzieby młodym ujść mogło, tam drwią długoletni.

Starego, mówisz, lisa trudno wagnać w sidło?
A dziadowie leżą w nie dyabłu, jako bydło.

Nosi wilk, poniosą i wilka.

Nosi wilk rok i drugi, nosi przez lat kilka,
Wždy przyjdzie ten czas, że też poniosą i wilka.
Wodzi cudze kobelki, wodzi jałowice,
Powiedzie i złodzieja kat do szubienice.
Jako kto grzeszy, wedle przypowieści starej,
Takiej się za swe grzechy niech spodziewa kary.
Nosi dziś dyabeł, nosi, za śmiertelną kosą
Wiążąc snopki; będzie czas, że go też poniosą.
Skórę już w niebie zdarto; ścierwu, będąc duchem,
Nie ma; ale cóżby wždy wiązano łańcuchem,
Którego przez tysiąc lat bestya nie zerwie?
Musi mieć ścierw, musi mieć i kości przy ścierwie.
Nie ma tego obojga strach na wszystkie dusze,
Które stąd do piekielnej przenosi katusze.
Uchowaj, dobry Boże, wszystkich, co w cię wierzą:
Tobie się obiecali, nie tam na wieczera.
Onych ci to i nosi, bo żydzi napoły
Z pogany sami leżą do jego stodoły.
A tych, jako z pszenice, żeby w Boskim siewie
Szkody nie robił, kąkol, obyczajnie plewie.
Grabi, przebóg, nie plewie, nie wiąże, tak wozu,
Jak siano, co je słońce ususzy, wiatr zmrozi.
Na cóż? na pal. Do pieca nie tak są drwa spore,
Bo choć będzie płomieniem, na wieki nie zgorę.

Jakby go rozgrzeszel.

We trzy dzwona Ateńczyk zwyczajnie się zwinął,
Żeglując morzem; ledwie że portu dopłynął,
Aż on z głową do góry wąs obwisły ciągnie,
Który pod brodą wisiał, czupryny dosiągnie.
Wcisnie czapkę, łeb zwiesi na pochyłym karku:
Ciężki przedówek; nie ma cłop z czym do jarmarku.
Niechże brogu dołoży, na hakier z magierką,
Toż w plesy, a kwaterek leci za kwaterką.
Kędy od pobożnego parlawitę mnicha
Poznać możesz? w kościele tak żałośnie wzdycha,
Za każdym krokiem klęknie, jakby się gdzie skradał,
Tak stąpa, jakby wczora z Panem Bogiem gadał;
Widzieć go na gospodzie, zwłaszcza przy podwice,
Drab a drab: mnicha niwczym, tylko znać z kapice.
Żadnych dobry zakonnik, prócz zwyczajnych krzyżów,
Należytych pacierzy, nie zażywa bryżów.
Nie mydl mnichu zmyślonym oczu ludzkich czołem:
Widzi cię Bóg w kościele, widzi za kościołem.

Nie płaci bogaty, ale winowaty.

Winienes, a nie masz czym długów płacić, panie?
Nie tylko substancyej, włosów ci nie stanie,
Gdybyś wszystkim wracać miał kredytorom długi.
Na cóż się wstydać z pana stawać między sługi?
Więc że trudno odrabiać każdemu osobno,
Wolno im w sztuki rąbać twoje ciało drobno,
Nikt bowiem nie może mieć oraz kilku panów.
Takie prawo u starych bywało Rzymianów,
Gdzie gdy jeden z liczby tych utratnik umiera,
Kto co może z dłużników, po śmierci zabiera.

Dowiedziawszy się cesarz, każe biegać cwałem,
Żeby odkupić koldrę i poduszkę z wałem,
Na których sypiał, mając kłopotów tak wiele,
I kazał je sobie kłaść co noc do pościele.
Aza się, kiedy on mógł w takich kłótniach — prawi —
I mnie, choć nie mam żadnych, sen na nich naprawi.
Sami się w niwecz psując, lichwiarzów bogacą,
Którzy co rok nowymi stare długi płacą.
Jedną dziurę, która się co dzień większa czyni,
Zatykają, a drugą robią sobie w skrzyni.
Za każdym razem, przez co ojczyznę rozproszą,
Lichwy, żeby pierwszej zbyć, do góry podnoszą,
Aż skoro skąd i lichwy zapłacić nie będzie,
Idźże, panie, o kiju ze wsi po kolędzie.

Summum jus, summa injuria.

Rozkazano synowi matkę, że źle wierzy,
Zwiąawszy, przywieść na sąd katu do obierzy;
Inaczej sam isć musi. Użaliwszy syna,
Odmienia matka wiarę, zaprzawszy Socyna.
I to mu nie pomogło: żeby zdrowie zbawić,
Na okup, jedną miawszy, musiał wieś zastawić.
Więc kiedy o przyczynę dekretu się pyta,
Prawo na aryany sędzia mu przeczyta.
Alem ja nie arian! Ale twoja matka
Długo w Polsce nia żyła. Aktor stawia świadka:
Żył nie ze mną, z moim ojcem nieboszczykiem;
Ojcaż było i sądzić; ja, bywszy młodzikiem,
Wojnę służył. A sędzia: Kiedy nie masz ojca,
Idź że zań, panie synu, do wieże, do kojca

Na rok i na sześć niedziel prosto z trybunału.
Dawszy kilka tysięcy sędziom do podziału,
Tyleż delatorowi, który przed biskupem
Nie dawno rewokował, a nad to okupem
Na więźniów kamienieckich tyleż dać we Lwowie,
Od dekretów zapłacić, aby dał Bóg zdrowie,
Apeluję — rzecze ów. Dokądże? Do Boga,
Że gwałt mandatom jego i naturze sroga
Krzywda dzieje: czcić kazał nie bez obietnice,
Nie wiązać na katowską śmierć, dzieciom rodzice.

Zastąp złemu ode drzwi, a on oknem.

Wszędzie, ale w kontraktach wprzód należy na tem;
Dopieroż jeśli kto ma sprawę z odrwiświatem,
Dołożnie, wątpliwości żadnej nie zostawić,
Pisząc, kto się nie życzy kłopotu nabawić.
Aleć pomoże kata, skoro się do ręki
Wykrętačkih dostaną: w sicie szuka sęku.
Zastąpisz psu ode drzwi, że chodzi o skorę,
Pewnieć w oknie uczyni drugą szkodą dziorę.
Wstąpili do kilku dni Beoci w przymierze,
Wprzód sprobawawszy, z Turki; jednak ci nieszczerze,
Bo kiedy się najlepiej owi ubezpieczą,
Uderzą na nich w nocy. Jednak im odsieczą
Sama przyszła Nemezys: prócz kilku zabitych,
Ani owych więcej nie ginie, ani tych.
Więc kiedy ich strofują, że przysięgli krzywo,
Tym się Turcy wymierzyć chcą, że jako żywo,
Gdyż to *armisticium* nie do nocy, do dni
Należało, co z sobą umówili zgodni.

Silaż i dziś w zapisach i w ludzkich kontraktach
Znajdzie się, jako w tamtych, samolówek, paktach,
Kiedy jurysta, leda uchwyciwszy słowo,
Cały kontrakt nicuje, drwiąc ni to ni owo.
A kto się na potędze, kto czuje na mocy,
Śród biała dnia wydziera, nie czekając nocy.
Czynią to i dziś Turcy w nadzieję potęgi,
Swoim pożytkiem mierząc pogańskie przysięgi.
Jeśliż ludzie źli śmieją słowo Boże szpocić,
A cóż nie mają swego na nice wywrocić?

Więcej ten cicho zarobi, niż tamten hałasem.

Fabiusz przypowieści tej w Rzymie autorem:
Kiedy Hannibal szczęściem uniesiony skorem
Tryjumfuje, ten za nim postępując wszędzie,
Fałdów mu, choć powoli, na koniec przysiędzie.
Zbywszy uprzykrzonego młodzik opiekuna,
Szumi i lata wyżej, niż każe fortuna,
Roniąc złe, zasuszone pióra, zbiór ojcoski;
Siedzi w domu, zbierając mędrak po nim wioski.
We dnie i w nocy drugi, przecięż mu nie sporo,
Biega, cieka, sposobów szuka w dziesięcioro;
A ten, krom wielkiej troski cicho siedząc doma,
Rozumem a dozorem, co zamysli, to ma.
Bo ni o czym nie myśli większym, tylko żeby
Przy zdrowiu miał w szkatule kopę od potrzeby.
Nie położy wrzeczona skrętna gospodyni,
Ciągnie kłaki i palce bez przestanku ślini;
Ledwie sama tkaczowi nie zwija na cewki,
Choć próżnują, abo więc śpią po kątach dziewczki.

Nie wie, co we śpiżarni, co ma na oborze;
Anoby lepsza była, mając dom w dozorze.
Klepie miedź kotlarz, kowal całe miasto budzi,
Kiedy żelazo młotem na kowadle cudzi,
Ledwie orta zarobi; złotnik nie przeszkadza,
Kiedy cicho tysiączne kanaki nasadza.

Nierozmyślny impet.

Dla niepewnej uciechy głupstwo oraz szkodę
I pewną w izbie zrobić zimie niewygodę.
Siadła wrona przed samym oknem na parkanie;
Zdjąwszy z kołka, sąsiad mój do rucznicę na nią.
Więc że okna otworzyć trudno było, bo go
Dla mrozu papierami zalepił chędogo,
Wybił szybę we środku, jako mógł najciszy;
Wrona tym czasem pierzchnie, bo przecię dosłysz.
Kładąc nazad rucznicę, w głowę się poskrobie:
Nie wierzę, ale dyabeł we wroniej osobie.
Może być — rzekę — i ten; bo któż tłucze szyby
Bez potrzeby, bez wszelkiej uwagi? ani by
Jadł kto wronę zabiwszy; ni z mięsa, ni z pierza.
I chybić nie nowina, kiedy człek źle zmierza.

Rozrzutność nie ma dna.

Że rozrzutność nie ma dna, łacinnicy prawią;
Ja zaś opak rozumiem: ma dno. Niech nie kawią.
Woda ze stawu, skoro młynarz wyjmie czopy,
Choć najgłębsza, przez trąbę zbieży do przykopy;
Ryby, jako drwa, leżą, biorąc błoto w skrzele,
Jako zwykło, nie szumi koło, młyn nie miele.

Tak największym bogactwom, jeśli się w rozchodzie
Rozrzutny nie miarkuje, spaść, jako tej wodzie.
Prędko się dna dobierze i błota domaca,
Kto nad intratę żyje. Nie żyje; utraca.
Nie chciał żyć, w stawie z rybą pływając wesoło,
Niechby szło, co mu wody przybędzie na koło.
Wolał spuścić, wyjąwszy czop; skoro ta spadnie,
Aż się ów, jako węgorz, w błocie czołga na dnie.
Nie noszą dziś pacholcy wina za niem w cebrze,
Ledwie na gorzałeczkę, na piwko wyżebrze.
Lepiej, upiwszy z beczki, z wierzchu jej dolewać,
Czopu nie wierząc, niżli o biedaszku śpiewać.
Lepiej wronką, hewarem ssać, niż toczyć kruczkiem;
Choć oba ptacy, nie tak stanie młynek z huczkiem.
Było nazbyt, żadnego dziś niemasz młynarza,
Więc nim w beczce watory zgniją, do bednarza.
Rachować się z dochodem, choć nie będziesz zbierał,
Szafować, nie rozrucać, żebyś nie umierał
W kłopotcie, potym w głodzie. Kto roli, pieniędzy,
Rzemiesła nie ma, stary, czeka go śmierć w nędzy.

Dziurawa beczka.

Tym [w] Awernie skazano Danaego dziewczki,
Że im, dawszy dziurawe z przetaków nalewki,
Za porzezanych mężów, Hypermnestra jedna
Wolna była, kazano do beczki beze dna
Wodę nosić i póki strychem nie naleje
Kaźda swej, nie ma wyścia z Awernu nadzieje.
Przypatrzmyż się pijakom, jeśli z nich nie prawe,
Dna w sobie nie mające, beczki są dziurawe:

Leją dzień i noc w otchłań bezdennego brzucha,
Jako rzeki do morza, żeby się z botucha
Wół napiel, bo już skóra dziorawem rzeszotem;
I gdy[by] na wierch trunek nie wychodziel potem,
Abo nazad gardzielem, jako skrzela ryby,
Nie rzygał, utonąłby pijak bez pochyby.
Drugi dziorawym worem i beze dna beczką
Łakomic, co pieniędzmi, mierząc równo z sieczką,
Nie może do skonu tej wody się nasycić:
Żal mu jeść, żal pić, żeby jeszcze co uchwycić.
A dyabeł z jego skóry wór mocno uszyty
Na sąd niesprawiedliwe tłoczy depozyty,
Żeby mu nimi ogień piekielny podpałał
I w gardziel aż do serca roztopiwszy nalał.
Trzeci beczką beze dna i dziorawym worem
Ludzie nienasyceni próżnujący, ktorem
Ustawnie trzeba dawać, młodzi, zdrowi, duży;
Nie chce myśleć o sobie, nie robi, nie służy,
Siedząc w chałupie, chce jeść; niemasz co do garła,
Niemasz co na grzbiet włożyć, suknia się podarła;
Woli się ludziom przykrzyć, brzuch próżny, grzbiet goły,
Objeżdżając pokrewne, abo przyjacioly.
Pół zbójce, pół złodzieja, pół psa a pół kozy,
I kary by też na nich trzeba nowej fozy.
Sami bez wstydu prosząc, szczyrzye to powiedam,
Że drugich oduczają wstydu, mówiąc: nie dam.
Czwarta dziorawa, nad te, o których się rzekło,
Beczka, daleko większa od morza, jest piekło.
Choć w nie co dzień, dochodzi lat tysięcy sześci,
Lecą deszczem, wždy ludzi tak wiele się zmieści.
Niespełna deszcz sześć niedziel z nieba ziemię kropieł,

Kiedy dla grzechów ludzkich stary świat Bóg topieł;
Nie kropieł człek deszczową, lecz z duszą i z ciałem
Miejsca weźmie w piekielnym jezierce antalem,
A jako łyżki wody nie znać w morzu wzięty,
Tak rzadko i do nieba z świata idzie święty.

Niedźwiedzia tropi, mając go w oczu.

Mając z licem złodzieja, coć komorę kopie,
Szukać dowodu, szukać niedźwiedzia po tropie,
Mając go w oczu, nie rzecz: abo się go boi,
Abo chce, żeby uciekł, kto te figle stroi.
Złodziej, postrzeżesz li go, z komory ucieka;
Niedźwiedź mrużąc przy pczolach gospodarza czeka.
I nie jednemu, jeśli głupie nań naciera,
Ból do szkody przydając, skórę z grzbietu zdziera.
Woli uważny, niż ją łatać u balwierza,
Tropić w lesie z brytany drapieżnego zwierza.
Szkoda się na wielkiego wręcz porywać pana;
Nie kwap nazbyt: stanie mu prawo za brytana,
Choć ci mym zdaniem lepiej dziś szkody odzalić,
Żeby skórę, gdyż nie dba na prawo, ocalić.
Ma w pieniądzach pazury, którymi podrapie
I brytana, a ty sam zostaniesz w herapie.

W studni się psom oganiać.

Trzech jednego szlachcica, a co było ciężej,
Że wraz, o dziesięcinę opadło go księży.
Nie mógł tej aplikować przypowieści cudniej
W liście swym, że, jako psom, ogania się w studni.
Łacniej psom kijem, niż się księdzom mieszkkiem składać;
Psa uderzywszy, pójdzie, a księdzu trzeba dać.

Kto dzieciatą i dłużną pojął wdowę żoną,
Wziął spadkiem, abo kupił wioskę zawiedzioną,
A nie ma czym obligów znosić, i bez księdza
Psom wedle przypowieści w studni się opędza.

Czyja kobyła uwięzła najgłębiej, ten brodzi.

Próżno się na przyjaciół, próżno na samsiady
W nieszczęściu spuszczać: nie da nikt więcej, krom
I to każdy inakszą; kalety nie pytaj, [rady.
Sam swym kosztem ratunku, swą się pracą chwytaj.
Wielkim to dobrodziejstwem, wielką łaską liczy,
Jeśli z lichwą na zastaw sta złotych pożyczę.
Siła miasto ratunku jeszcze mu urąga,
Że sam na się nieszczęście dobrowolnie ściąga.
Jako zły balwierz, ranie nie umiając radzić,
Mówi pacjentowi: lepiej się nie wadzić.
Głupi doktor po czesie wylicza sposoby,
Którymi mógł pacjent ujęć takiej choroby,
Choć jeszcze nie śmiertelna, gdyby się z nią sprawiła
Umiał, lecz dyskursami głupstwa chce nadstawić.
Przyjdzie na wspomnienie prosić pogorzelec?
Strzedz było: ognia lepiej nie zgasiwszy, nie ledz,
Abo draba nie drażnić. Księdzu wydrze zbojca?
Jeszcze cieszy, że wyszli ptacy na świat z kojca.
Stara mówi przypowieść, wierzyć się jej godzi:
Czyja kobyła wiaźnie, najgłębiej ten brodzi.

Uciekającego nie zabawi muzyka.

Graj mu na lutni, graj mu na wioli pięknie,
Nie słucha, wciąż ucieka, kto się śmierci zleknieć.

Nie wykręca do koła, ani w takt podryga,
Ale wielkiego pędzi, widząc, że go ściga.
Patrzy, kędy najprości; do wody się schylić
Nie ma czasu, żeby mógł w pragnieniu posilić.
Musi biegać rad nie rad, choć go nogi bolą,
Tańcem mordować; co ma człowiek za niewolą?
Przed tańcem by uciekać, bo w nim dyabeł wierci
Ludzi, jako w donicy sapor wiecznej śmierci;
Ostentacya, zwada i która tu pęta
Serca do nieczystoty, największa ponęta.
Zawodem chrześcijanin, co tchu, co ma pary,
Bieży z świata do nieba ode krztu na mary,
Widząc z tyłu i z przodu, że śmierć co godzina
Tak dziadów, jako dzieci, bez respektu ścina,
Przykładem apostołskim, rozkazaniem Bożem,
Nad które mieć lepszego dowodu nie mogę.
Dla czegoż instrumentów, które dyabeł stroi,
Dyabeł gra, człek słuchając bawi? czemu stoi?
Wszystko, co nie jest z wiary, co się ciała tyka,
Abo świata, grzech to jest, dyabelska muzyka.
Któż woli, niż odbierać pieniądze, grać szachy,
I niż gasić nad sobą gorające dachy?
Już zgorzał wierzech z przeszłymi laty, już dom gore.
Nie gore: gnije, leci w ziemię ciało chore;
Wynos swe, gospodarzu, rzeczy: srebro z złotem
Na miejsce gdzie warowne, wiedząc pewnie o tem,
Że do ognia sto wory, dwu, trzech niesie wodę,
I w czym ci nie mógł ogień, złodziej czyni szkodę.
Wynos pieniądze, żebyś miał w niebie mieszkanie,
Gdzie ani ognia, ani bać złodzieja za nie.
To, coś oknem wyrzucił, nie schował z komory,

Już nie twoje: dyabeł tym naładował wory.
Cnota czelku złotem jest, jałmużna schowaniem:
Ta go wiecznym na niebie opatrzy mieszkaniem.
Pałac sobie buduje, kto daje, nie ciska
Na zbytki z tego świeckich dóbr pogorzeliśka.

Lekarzu, ulecz samego siebie.

Szlachcic na jednej wiosce, i to na żeninej,
Z młodu w szkołach przez trzecie chwyciwszy łaciny,
Gdy górnej opiniej dochód nie nadaży,
Wioskę naprzód wielkimi długami obciąży,
A potym ażarduje, złożywszy z humoru,
Sam się na pustkę kmiecią przeniósłszy ze dworu.
Więc kiedy na sejmiku o tym przyszło radzić,
Jakoby województwo z długu wyprowadzić,
Różne i on sposoby, ale niepodobne
Podaje, zaczynamy ktoś go na miejsce osobne
Wziąwszy: Mój panie bracie, pierwej radzić sobie
Doktorowi należy, niż komu w chorobie.
Kilkunastu tysięcy z wioski zadłużony
Znieść nie mogąc, radzicie znosić miliony.
Jakoż o pospolitej rzeczy radzić kto ma,
O własnej swej prywatnie nie umiejąc doma?
Bowiem nie przeto mówi, żeby szczyrze radzić,
Lecz żeby się z dowcipnym dyskursem wysadzić.
Ci na sejmik dla wina, z gębą ci dla wziętku,
Trzeci jada, żeby ich widziano z rozsądku.
Huczek trąby pilnuje, chlubny chce honoru,
Accipiter, żeby co ugonił do woru.
Mizernaż naszej Rzeczy pospolitej postać:
Padszy na tych opiekę, trudno jej długo stać.

Żacy na sejm posłami! Niech stary pacierze,
Siedząc przy piecu, szepce, abo skubie pierze.

Na skórze wełna, na sercu szczęć.

Miałem gościem jednego w domu swym prałata,
Czy nazbyt nabożnego, czy też skrupulata:
Wprzód przeżegna, nim siędzie, wprzód ławę odmuchi.
Więc jaki zwyczaj, nim jeść przyniesiono z kuchni,
Położy chłopiec konfekt i wódkę z hanyżem.
Oboje to, nim weźmie, świętym znaczy krzyżem.
Dano jeść, błogosławi, mszaby mógł prześpiewać;
Tym czasem, że okrzepłych, mis przyszło zagrzewać.
Żegna chleb, nóż i talerz; każdą rzecz z osobna.
Apostolem! inaczej ten ksiądz niepodobna.
Ani kawałka mięsa, ani łyżki juchy
Do gęby nie doniesie bez krzyża, bez skruchy.
Tak z piwem skleńcę, jako i z winem kieliszek,
Kryśli, żeby czart z obu nie wlał mu do kiszek.
Aż, bom więcej miał gości, kochanego szwagra
Z żoną, z syny, z pannami, i muzyka zagra.
Dobra myśl przy ochocie: podpiwszy wesoly
Zapomniał ksiądz o krzyżach; zatknie za pas poły,
Do tańca się z zastola, zruściwszy sutannę,
Mój apostoł z inszymi prowadzi po pannę.
Wywija, rączkę ściska, dalej i całuje,
Skoro lepiej pod pleszem Bachusa poczuje.
Aż przymawia, i daje żołnierzom przyczyny,
Aż usnąwszy, po ławie puści z macherzyny,
Potym szyją; zamiata chłopiec, to pies liże.
Nie mogły, myślę sobie, dyabłu radzić krzyże;

Nie mogły się w żołądku ostać, znać nie sercem
Czynione. Każę wynieść na siano z kobiercem,
Aż ksiądz do mszej nazajutrz; wczorajszego wzmianki.
Radziłbym wodą garło wypłókać z siekanki,
Pierwej serce pokutą, niż na kupę walić
Wczorajsze krzyże; mógłby w piecu niemi palić.
I złodziej się wprzód żegna, nim kopie komore,
Przecież w piekle pospołu z swoim krzyżem zgorę.

Psi obiad.

Póki nie było piwa na świecie, psim zwano
Obiadem, kiedy wina do niego nie dano.
Woli zdychać pragnieniem znużony pies wprzody,
Niżli wina skosztować, jeśli nie ma wody.
Siłuż ubogich tego obiadu zażywa,
Którzy nie tylko wina, ani mają piwa,
W ciężkiej robocie jęcząc? A ten, co nie na nie
Robić nie chce, pije go, ledwie z łóżka wstanie.

Na toż drugi raz.

Wody Bóg dla ochłody, dla zdrowia dał wina.
Prawda, że człek pijany żalu zapomina,
Ale czy długoż tego? Póki nie wyszuma.
Wyńdzie z głowy, aż znowu płacze, znowu duma.
Żal z serca na godzinę pędzi, grzech zostawi,
Który gorszym, bo wiecznym żalem serce trawi.
Są, którzy złe sumnienie zalewają w winie,
Chcąc głupi drwami ogień zagasić w kominie.
Wodą należy ogień, łzami grzechy zalać,
Kto nie ma woli domu całego zapalać.

Wodą wino wczorajsze, bo ich w grzechu nudzi,
Winem grzechy zalewać zwyczajna u ludzi.
Nie widzą oplakani, ani tego czują:
Psim trunkiem ciała lecząc, Boskim dusze trują.

Na toż trzeci raz.

Słuszniejby psim obiadem nazwać moim zdaniem,
Kiedy, nalawszy wina pełen brzuch, kto na niem
Gardłem krztusi, abo go na ścianę wylewa,
Co oboje każdy pies z natury swej miewa,
Że ścianę mokrzy, wraca do swego zmieciska.
Obie te w pismach świętych mają psi przewiska.
Lepszy ich i przenosi ludzki obiad gorą,
Bo co ludziom grzechem jest, psom idzie natorą.

Na toż czwarty raz.

Mało człeku do wody wino, mało piwo,
Że nawymyślał trunków, o których, jak żywo,
Nie słychali za pierwszych wieków ludzie starzy:
Wódkę robi, miód syci, chmielne piwo warzy
Nie dla zdrowia; dla zbytku i głowy zarazy,
Żeby, niż winem, prędzej oszalał dwa razy,
Żeby zdrowie, które mu wino miało leczyć
Miernie pite, chorobą do śmierci kaleczyć.
I co mieli na żywot rozum swój obracać,
Obróca, żeby ciału i duszy go skracać.

Uciekszy z bitwy żołnierz, może się bić znowu,
może też i uciec.

Tonący, jako mówią, chwyta się i brzytwy.
Nie potępić, z przegranej kiedy żołnierz bitwy

Ucieka; może znowu nieprzyjaciół ścigać:
Wyniósł ręce i serce, może zbroję dźwigać.
Nie w jednym ta żołnierzu, w całym wojsku wina;
Jeden sam nieprzyjaciół wszystkich nie wyścina;
Dopieroż jeśli wszyscy, a wodzowie wprzody,
Jako my z pod Pilawiec, ucieką w zawody.
Chyba sam uciekł, kiedy inszy krwawią miecze,
Pewnie, że i drugi raz taki tchórz uciecze.

Na toż drugi raz.

Raz umyślnie zgrzeszywszy, chrześcijanin z pola
Ucieka od hetmana swego, ba od krola.
Nie ucieka, bo w bitwie nie był, ale zbiegiem,
Co gorsza, wojska jego sprzedaje się szpiegiem.
Choć też wróci nazad, cóż? dzień albo trzy minie,
Znowu uciecze, ledwie że nań dyabeł skinie.
I trwa ta kilkadziesiąt lat z Bogiem igraszka,
Aż śmierć gdzie zdybie, tam też zwiąże dojutraszka.
Któżby tak długo cierpiał w obozie swym zmienieć?
Zarazby osadził pal niem, albo szubienicę.
Cierpi Bóg miłosierny, choć się i rozgniewa,
Nie zaraz na grzesznika sądów swych wylewa:
Aza się upamięta i o duszy wspomni.
Aleć się jeszcze gorszą ludzie wiarołomni
Tą Boską cierpliwością, że odwłacza karę,
Mieniać znajomość jego w pogańską niewiarę.
Gorszą: miasto poprawy jednego szatana,
Drugiego Boga oraz dwu chcąc mieć za pana.
Bóg wieczności nadzieją, którą krwią niewinną
Syna swego utwierdził; szatan dogodzinną

Płaci im gotowizną, choć i ta na woli
Bożej zawisła, póki człeku żyć pozwoli.
Choć i na świecie takich pokazałbym wiele,
Którym on przy nadziejej dobrze czyni wiele.
Szatan ani obiecać nic, sam będąc w nędzy,
Ani dać może, tylko pożyczyć pieniędzy,
Które z tysiączną lichwą, kiedy człek umiera,
Choć na sto lat pożyczył, za kilka odbiera.
Wielu grzesznych, nadzieję utraciwszy nieba,
Na dworze tego pana i tu żebrze chleba.

**Nad wszystkie straszne rzeczy śmierć jest
najstraszniejsza.**

W przypowieść poszło, mędrzec co napisał stary:
Wszystkie rzeczy straszne śmierć przenosi i mary.
Lecz i krom tego mędrca widzimy, że prawda,
Bo sama każdej duszy ten strach natura wda;
Ale najpierwej ludzie, którzy się stać bogi
Spodziewali, doznają na sobie tej trwogi.
Gdyż i ludźmi, skoro im zegar wybija
Uderzy na ratuszu, wszyscy być przestaną.
Wszystka myśl, żeby śmierci najdłużej opierać:
Ach duszkożby na świecie nigdy nie umierać!
Przeto, czy śmierć, czy sami chcąc oszukać siebie,
Żyją, jakoby nie mrzeć: bajka o pogrzebie!
Ani pomyśleć o niem chcą z bytłem koniecznie;
Nie mogą w niebie, pragnąc na ziemi żyć wiecznie.
Zbiera drugi pieniądze, wioski co rok chwyta,
Choć osiwił: Co po nich, jeśli go kto spyta,
Na starość. A już stary, chociaż jedna, do sta
I więcej lat gdyby żył, wychować go sprosta.

Więc ponieważ tak barzo człek w żywocie kocha,
Jeśli się niem zwać może ta krótkich dni trocha,
Czymże lepszym nagrodzić Bóg ma, kto mu służy?
Tylko że mu żywota na wieki przedłuży,
Co w ciele skazitelnym nie może być zgoła:
Trzeba się z człeka wyzuć, przyoblec anioła.
Toż to śmiercią upornie zwą ludzie szaleni,
Ze w nieśmiertelność skaza ciała się odmieni.
Jeden Syn Boży, w którym wstał z grobu, w tym ciele
Zyje w niebie, nad trony wyniesion aniele,
Bywszy z natury Bogiem. Druga jego matka,
Nad kościół i nad rozum nie szukając świadka.
A co się Eliasza dotyczy z Enochem,
Jabłkami w rajn żyją, nie rozsuszony prochem.
Skoro świat z wszelkim ciałem, skoro i raj zginie,
Obłok ich w niebo z ludźmi świętymi zawinie.
Niechajże sobie nieba w tej śmiertelnej studniej
Nikt nie imaginuje: nie może obłudniej,
Jako się dyabeł z ludźmi grzesznymi obchodzi,
Kiedy im nieśmiertelność w rzeczach ziemskich słodzi.
Tego tylko, choćby chciał, nie może w nich wmówić,
Ze umrzeć, że zmartwychwstać, że się im odnowić,
Ze duszom inakszymi trzeba oblec ciała,
Zeby w niebie i w piekle wieczność wytrzymały:
W nieugaszonym ogniu te, owe zaś w chwale.
Jednak zły duch wszystko to nicuje zuchwale:
Jako niebo, tak piekło w tym żywocie liczy,
Gorzkość w nędzy, w rozkoszach smakując słodyczy.
Aleć nie wmówi. Kata! Niemal wszysej zgoła
Wierzą mu, i ledwie że kto słucha Kościoła.
Mówią i słowa leca, jako z gęby ślinki,

Serce niewierne zwierzchnie wydają uczynki.
Sen to, nie śmierć, i krótka dusze z ciałem lększa;
Ale to śmierć, tysiakkroć straszniejsza i większa
Nad wszystkie straszne rzeczy, gdy to dwoje znowu
Zejdzie się w jedno do mąk piekielnych okowu,
Gdzie dusze ogień, ciała wieczny robak czeka,
Na co sam drżąc, inaczej szatan ludziom szczeka,
I będą tamtej, której tak barzo się bali,
Ale darmo, bo i ta uciecze, szukali.

Po ścierniu znać urodzaj.

Ze pnia drzewo, ze słomy — jakie było zboże,
Wilka z zębu po śmierci każdy poznać może.
W babie piękną uważać pannę z twarzy składu,
Młodziana z obyczajów, z serca, z siły w dziadu,
Co mógł, co śmiał, co umiał, w porze będąc męski;
Znać miasto po ruinach, nim przyszło do klęski.
Wszystko na świecie i świat odmienia się z czasem;
Czas tylko od początku z swym zgadza kompasem.
Nie zostawi kolei, nie zostawi znaku,
Choć jedną biega każdy rok po zodyaku.
Wiosna, po wieśnie lato, za tym jesień, po niej
Stoi zima, czekając za wiosną pogoniej.
Wszystko prócz ziemi, ognia, powietrza i morza,
Co natura z nich złoży, czas różnie przetworza:
Czas morzy, ona rodzi, materyej ani
Formy nie odmieniając, w swej każdą rzecz grani.

Tymże łokciem.

Jaką ludziom na świecie pożyczą kto miarą,
Taką mu też odmierzą przypowieścią starą,

Którą Ewangelia z ust Bożego Syna

Złym i niesprawiedliwym sędziom przypomina.

Dasz ubogiemu szczyptą, będziesz miał, to za to

Łaszem ci Bóg, a jeszcze odda wierzchowato.

Jeśli zimną w pragnieniu napoisz go wodą,

Beczką wino mieć będziesz od niego nagrodą.

Odziejesz choć starzyzną, weźmiesz pewnie za tę

Uczynność swoją drogą na wesele szatę.

Tak miłosierne ludziom uczynki nagradza

Pan Jezus: jego karmi, ogrzewa, ochładza;

Jemu daje w ubogich, on odplaci szczerze,

On łaknie, pragnie, on się w swym człowieku odrze

Jako zaś kto przeciwnym ubogiego kształtem

Krzywdzi, sowitym pewnie odda mu ryczałtem.

Nie złym za złe oddawać, ale dobrym każe,

Co w sobie, za zabójców swych modląc, pokaże.

Dość słówkiem dziś urazić usta, albo listem,

Natrzęsnionym ci odda korcem i ospistem,

I nie pierwej odpuści, choć się w rzeczy łasi,

Aż pomstę krwią, abo twą substancją zgasi.

Uczynisz złemu dobrze? miasto odwzięczenia,

Miasto łaski za swój chleb wyglądaj kamienia.

Żebyś mu nie przypomniął, zdaleka cię mija,

Czego człeku najdziczsza nie czyni bestya.

Inszej za dobrodziejstwa nie mając odwzięcki,

Liże pies, wraca z drzewa krogulec do ręki.

Nikt, jako Bóg po ludziach tego nie doznaje,

Kiedy więcej, niż trzeba, nie mierząc im daje

Na duszy i na ciele, każdy moment świadkiem;

Przecież mu rybę węzem i jaje niedźwiadkiem,

Chleb kamieniem oddają, złością bez przykładu,

W gadzinę przetworzywszy serca pełną jadu,
Która wsze[la]kich grzechów niedźwiadki i węże
Na obrazę Boskiego majestatu łęże.

Już doszedł korzec wierzchu: na piekielnej stypie
Dyabeł im tej gadziny w zanadrze nasypie.

Na toż drugi raz.

Kazał Bóg przez Mojżesza na towar wszelaki

Korzec, garniec, wagę mieć i łokieć jednaki.

Nie oszukiwali się tam ludzie. Nie u nas to,

Kędy, co województwo, co powiat, co miasto,

Insza waga i łokieć, inszy garniec, korzec.

Bezprawie, nierząd wielki, inaczej trudno rzec.

Wolno go sobie podnieść, kiedy żyto mierza,

Jeszcze się upomina do miary kolnierza.

Wolno łokcia umniejszyć; kmiotek, za swe zboże

Kupując na grzbiet gunię, pieniędzy nie może.

Nie miasto, każdy kupiec ma osobne miary,

Na które sfalszowane przedaje towary.

Nie dopiero nierządem Polska na świat słygnie;

Bodaj też prędko swoim nierządem nie zgynie.

Jedna miara, jedna się jeszcze trzyma waga,

Że szlachcica rodzeniem książę nie przemaga.

Wszyscyśmy jak pod cyrklem: zrówna wojewodzie,

Jako twierdzi przypowieść, szlachcic na zagrodzie.

Wolny głos najchudszeemu na sejmiku, zaczem

Wolno, choć to nad miarę, zerwać go ni na czem.

Nie sejniki, sejmy rwą chudzi i pijani:

Choć zgynie pospolita rzecz, nikt mu nie zgani.

Tenże łokieć od kieru, co od aksamitu,

Tenże korzec stokłosie należy, co żytu.

Zgolaśmy wszyscy równi. Niech się dumny strzeże,
Głowy nie dźwiga, zwłaszcza gdy strychulec rzeże.
Prawda: co ma nad równym kołnierz korcem żyta,
Wyższe miejsce dygnitarz przed szlacheccem chwytą;
Pierwszy głos; ale czasem niemasz czego słuchać.
Cóż temu rzec? Trudno plew z pszenice wydmuchać.
Są kołnierze, co nazbyt dźwigają się z korców,
Sami nie płacąc. jeszcze biorą od poborców.
Co ubodzy kmiotkowie biorą od żołnierza,
Nie strychulcem, nożycą trzebaby kołnierza.
I to źle, że choć czyste zboże do stodoły
Wożono, kąkolu w niem miesza się na poły.
Obaczysz dziś miejskiego i kmiecego synka
W kołnierzu. Niemasz sita, niemasz na to młynka.
Nie dziw, że też na targu szlachectwo tak tanie:
Przed laty go odwaga, dziś złotem dostanie.
Nie piął nikt do honoru, nie laźł w kołnierz, aże
Sercem w polu a w radzie głową się pokaże.

Palcem go ukazują.

Gdy kogo ludzie palcem pokazują sobie,
Może taką przypowieść brać na stronie obie.
Tenże palec, co błazna, i mądrego człeka
Znaczy, i kto niepewną żonę ma, z daleka.
Może, kto chce, bez niego pokazać się doma,
Mówić, palcami pióro omoczywszy trzoma;
Sercem sławy nabywać, nie szukając palca,
To mądrość. Głupi u mnie każdy sam swój chwaleca:
Rynkowej chce pochwały, a ci, tylko rynkiem,
Nie mądrzy, ani grzeczni, co bawią i szynkiem.
Niechaj ludzie z postępków znają go, ale ci

Słuszniej, gdy mu między dwa palec wetkną trzeci.
Nie widząc, przez to samo że w rozum obrany,
Sam do siebie, od ludzi pragnie być widziany
Cóż ma, czego by nie wziął? Takowi plugawcy,
Sobie właszcząc, ujmują chwały swemu dawcy.
Nie z twarzy: z męstwa naprzód, potym się z nauki
Dać poznać, to jest grzeczność na późne prawnuki,
To prawdziwa pochwała. W proch pójdzie osoba,
Wiecznie trwa, kto się Bogu, kto ludziom podoba:
Byle dobrym, gdyż ta rzecz fundamentu nie ma:
Ludziom złym i Bogu chcieć podobać obiema.
Niech i męstwo, niech będzie i nauka szkolna,
Bez cnót, bez pobożności rosa to jest polna.
Wionie wiatr, wznidzie słońce, jakby wytarł płatem;
Mogą trwać, póki świata, muszą ginąć z światem.
Cnoty i pobożności na ciele, na duszy
Prócz grzechu nie na wieczne wieki nie osuszy.
Żaden z nas Afrykana nie znał i Seneki;
Żyje pamięć ich, ale nie żyje na wieki.
Każdy swymi palcami świata się wyznaczy
Bez ludzkich, tak, że zazdrość dzieł ich nie zopaczy,
Dalej ziemie nie pójdą, chyba z przyrodzenia.
Zakon Boży świadectwem własnego sumnienia,
Boga nie znawszy. mając na serecach pisany,
Pełnili, choć nie im był od Boga podany.
Ba jeszcze będą sądzić tych, co zakon mieli
Na piśmie, a pełnić go upornie nie chcieli.

Tych słuchaj, którzy szczyrze radzą.

Oczyrna z twarzy człeka, uszyrna po głosie
Może poznać. Zawiódł się Izaak na nosie,

Zawiódł na dotykaniu, gdy Ezawa szuka;
Jednych uszu ojcowskich Jakób nie szuka.
Woli woniej i czego dotyka rękoma,
Woli, niżli jednemu, zmysłom wierzyć dwoma.
Cóż, kiedy do dwu zmysłów, smak przystąpi trzeci?
W potrawie opak dzieli Izak swoje dzieci.
Wziął młodszy, co starszemu należało prawem,
Boskie błogosławieństwo, Jakób przed Ezawem.
Uszom wierzyć najlepiej, gdzie nie dojdą oczy,
I tym ostrożnie: wielu od prawdy wyboczy,
Co prędko, nie uważnie uwierzą powieści;
Wielu się szkody, wstydu, ba śmierci domieści.
I ślepi, choć nie widzą, gdyż oczu nie mają,
Wždy mądrego uszyma z błaznem rozeznają.
Stąd: mów, żebym cię widział, przypowieść urosła.
Ślepym, nie wiem: człeka li, czy mam w domu osła.
Daleko serce od ust w złego człeka ciele;
Nie jeden w zimnym wagieli uchwycił popiele,
Węża wziął miasto ryby; po czesie otrząsa
Rękę, skoro się sparzy, skoro go pokąsa.
Nie na zwierzechnią postawę patrz, ale kto mówi.
Jeśliż wierzyć każdemu nie każą duchowi,
Toć daleko mniej ciała, gdyż pod jego skórą,
Jaką chcą, przetwarzają duchy się figorą.
Znajomy Adamowi był wąż on i Ewie;
Tego, że w jego kształcie dyabeł mówi, nie wie.
Uwierzywszy na swoje zło, niedźwiadka w jaję,
Śmierć w jabłku wzięwszy, idą z płaczem na świat
Tenże Achaba, ale już w ludzkiej osobie, [z raję.
Upewniwszy wygraną bitwą, kładzie w grobie.
Wszystkim, lecz naprzód królom, których tu pochlebce

Osiadają, przypowieść ta do ucha szepce:
Dyabeł to, wąż to; strzeż się, nie wierz mu, bo klama,
Chcąc ci się upodobać, usty mówi, a ma
Co inszego na sercu; trzymaj się przykładu
W Achabie: dla pochlebców przyszedł do upadu.
Jeśli nie śmiesz na swoim polegać rozsądku,
Radźże się, ale nie tych, którzy patrzają wziętku.
Radź się dobrych, pobożnych; pierwsza w królu bo ta,
Jako swych ludzi, tak znać na swych ludziach, [cnota].
O takiego się starać co sposobów, co sieł,
Żeby język nie w gębie, ale w sercu nosiel.
Inaczej dobrze radzić rzecz mu nie podobna,
W kim się język od serca znajduje z osobna:
Abo z rady swej, abo więc z upodobania
Pańskiego obojętny, prywacie nagania.
Są tacy, żeby się z swym rozumem pochwalić,
Trzeba im zdrowe rady dyskursem obalić.
Bierz na serce z języka miarę z człkiem w sprawie,
Upewniam, zawiedziesz się na zwierzechniej postawie.
Niechaj ci przyjdą na myśl Jakóbowe ręce,
Na zdradę bratu w skóry odziane kozłęce.
Lecz nad kim nieuchronna wiśni Boża plaga,
Obraca mu się zbyttnia na zgubę uwaga.
Dobrze Absalonowi Achitofel radziel:
Pewnieby był Dawida, słuchając go, zgładziel.
Na cóż tamtemu rada, gdy Bóg nie podpisze?
Na co temu ostrożność? I król się kolysze,
I rajca na gałęzi. Wziąć skutku nie może
Oboje, kędy zajdzie rozrządzenie Boże.

Abo pij, abo się bij.

Abo pij, abo idź precz. Srodze dobra rada:
Bez zwady nie, gdzie trzeźwy z pijanym zasiada,
I rzadko w posiedzeniach takich się nie sieka.
Stąd Polacy: abo pij, abo się bij, rzeka.
Lepsza rzeecz w domu zostać, kto nie ma tej cery
Bachusa i zbytując pomagać Cerery.
Skromny człowiek nie może patrzeć na biesiady;
Dopieroż dawać ludziom okazać zwady,
Gorszej uchodząc rany na duszy sto razy,
Niżli w zwadzie na ciele, przez Boskie obrazy.
Tamtę leda cyrulik uleczy powoli;
Grzech popełniony czeka i Chrystusa boli,
Ducha świętego smuci. Przeciż, jako wodę,
Pijemy w mocnych trunkach grzechy na swą szkodę.
Chociaż i o to musi najcierpliwszy gniewać,
Będą li tłuc o głowę, abo mu wylewać
Szkleńcą wino za kołnierz. Awoż świeckie trele,
Oraz dwie odnieść ranie: na duszy i ciele.
O cóż ten, który pragnie, hałas ma broić?
Ba jeszcze będzie prosił, żeby go napoić.
O to, że mu więcej pić, niżli się chce, każą,
Czego ludzie w kobyle głupiej nie dokażą,
Bo choć by ją nie bili, ale i zabili,
Napiwszy, ile trzeba, do wody nie schyli.
Sąsiedzi, dościem chory, byłbym pewnie chorszy,
Ustępuję. Nie chcę być od kobyły gorszy.
Bodaj u królewskiego stołu wino pijać:
Wolno, co chcesz; nie trzeba o to się zabijać.
A tu musisz nie do swej, lecz do cudzej wolej,
Krzyszcząc kapustną juchą, co raz pełnić w kolej

Mieszana ze smrodliwym gorzałczyskiem bzdęę.
Choć by [i] wino, palcem w garle go dosięę.
Choćby brzuch achtelem był, twardą głowa stała,
Biada tym, co się pijąc siłę, nie obalą.

Disce domi, qualis debes esse foris.

W domu się sam rachuje mądry, w domu óweczy,
Jakim sobie być, skoro z niego wyńdzie, życzy.
Na gniaździe orzeł pierwej, niż z niego wyleci,
Doświadcza, które może w słońce patrzeć, dzieci.
Trudno ma być kogutem, trudno zobać krupy
Kurezę, któremu ciężko wykluc z skorupy.
W szkołach dziecię naukom; chcesz mieć polityka?
Niech przy dworze; mężnego? niech wojsku nawyka.
Jaką mu kolwiek ociec fortunę zostawi,
Wszędzie, póki żyw, grzeczny, wszędzie dobrze sprawi.
Szkołą dwór, szkołą obóz, a praktykaż kędy?
W domu. Gdzie ludzi grzecznych czekają urzędy,
Do wojska, lub do rady fortuna zawoła,
Wszędzie na niem nauka, wszędzie znaczna szkoła.
Zawsze rozum przy enocie, zawsze dobra sława,
Miłość ludzka za szczęściem, cień za ciałem stawa.
Na cóż dziś młódź Wenecyi, na co Wiedniów szuka?
Włochom tam, Niemcom; w Polsce Polakom nauka.
W domu uczyć, kto chce być w cudzych krajach
[grzeczny,
Obróciła się krokiem ta przypowieść wsteczny:
Nabrawszy cudzoziemskich szlachcie obyczajów,
Jakby nie w Polsce rodził, do jej wraca krajów.
I psi go nie poznają: jako łątkę z wosku

Przetworzywszy, gwałtem chce w Polszcze żyć po
[włosku.
Nie wędrują Rzymianie wzdry z ojczystej szkoły;
Pamiętka ich po świecie buja dziś z sokoly.
Ani mu rydel, ani przeszkadza łopata:
Znajdzie w domu najwyższy honor Cyncynata.
Kto do wojska, szlachcicem rodząc, nie zacięga,
Niech troje pluder wdzieje, leda co mitręga:
Dosyć jedną, abo dwie przesłużyć mu ćwierci;
Abó go znać wydrwiono, abó się bał śmierci.
Woli koszt na balety łożyć i na fochy,
Niż głową szyszak, woli wytrząsać pończochy,
I wstępuje w małżeńskie nasz galantom stadło.
Wzdryć i jastrząba pierwej nie puszcza na siadło,
Aż minie, aż odprawi należyte pole.
Wieciesz w co ufa? w lamy, w aksamit, w sobole;
Odyma gębę w cudzej świnię futro skorze,
Jako paskudny osiel w mosiądzowym szorze.
Szkolą świat, kościół księgą, domem dusze ciało;
Człekaby mi się żakiem nazwać właśnie zdało.
Tu się każdy ma uczyć, zwłaszcza biorąc chłosty,
Jako żyć z aniołami w niebie, póki go z tej
Szkoly śmierć, wolnowładcy rektor, nie wyzwoli.
Śmieje się żak igrając, płacze, kiedy boli.
Przeto, gdyby mógł, radby wyleciał z niej ptakiem,
Wolałby szczwac zające, niż dłużej być żakiem;
Choć ledwie czytać umie; zda mu się, że zmędrzał,
Będzie na konia, sajdak i na psią trąbę drzał.
Daleko się w duchownej opak szkole dzieje,
Gdzie człek, żeby z niej nie iść, umyślnie głupieje,
Choć mistrz nadzieję czyni, róża mu dokucza,

Miasto nauki tego, co umiał, odcuza.
Mogłby w lat osmiudziest już dojść profesora;
Ledwie palec zaboli, biegaj po doktora.
Jednakże dłużej bawić nie podobna w szkole:
Z wielką biedą, z wielkim go płaczem z niej wykole.
Nie wiemże, taki między anioły, jako ma
Żyć, który się niczego nie chciał uczyć doma.
Darmo ociee koszt łożył; ba i sam darmo wiek
Strawił: w niebie nic po niem, w piekle taki człowiek
Drwa rąbać musi, inszej nie umie roboty,
Które, żyjąc na świecie, zapomniawszy cnoty,
Co dzień dyabłu na opał wozil grzechem brzydkiem.
Tyleż odniesie każdy niedbalec pożytkiem.

Zimnej wody przylać.

Wołam zimnej, w gorącą kąpiel wszedłszy, wody;
Że jej niemasz, wyskoczę z wanny dla ochłody.
Nie wiem, czy głupiem, czy się nazwać mam niedbalcem
Nie sprobowałszy pierwej ręką, a choć palcem.
Ach, gdzieżby tak z ukropu rzewnych łez wyskoczył!
Lecz póki żyć, póty w nich serce przyjdzie moczyć.
Wszedłem weń, kiedy mi syn najstarszy umiera,
Po niem córka jedyna; gorszy na mię zwierą,
Gdy młodszy i ostatni. Niemasz wody w studni,
Żeby do tych zesłego żywota kilku dni,
Wyskoczyć trudno, póki nie każą, z kąpiele,
Ochłodzić zalem serce uwarzone w ciele.
Samem sobie ukrop grzał, sam tę łaźnią pałęł,
Żem się wielkością grzechów z światem rozzuchwałęł.
Przestać było, pierwszy raz sprobowałszy, błaznie,
Grzeszyć. Nie sadzonoby drugi raz do łaźnie.

Dmucha na zimną wodę, kto raz warem sparza,
Więcej nieostrożności swojej nie powtarza.
Jam dwa razy sparzywszy, zarobił na trzeci,
Nie język, serce; kiedym zgubił troje dzieci,
Które już zeszyły z świata, już spadły z mej karty.
Uchowaj, miłosierny Boże, łaźnie czwartej!
Ale daj choć w gorącym rzewnych łez kalkusie,
W tym brudy przeszłych grzechów wywarzyć kalkusie,
Tu serce, które w piersiach złe sumnienie parza,
Zakrop! Darmo po śmierci wołać na Łazarza.
Panie, masz nieprzebraną miłosierdzia studnię!
Niech mi tylko uszu twych grzechy me nie trudnią.

Żle w piekle być.

Żle być w piekle, mówi kto, albo się od pieca,
Abo od świece sparzy, kiedy ją zaświeca.
Toć rzekę: źle i grzeszyć, gdyż jako bez drewna
Ogień, bez grzechu piekło nie będzie; rzecz pewna.
Od pieca ludzie bierą podobieństwo na nie,
Jakby też od sadzawki głębią w oceanie.
Lampie przypodobywa słońce ten łojowej,
Komorzą orleją, mrówczą wielkości słoniowej.
Ochłoda by tamtemu, bo go pali siarka,
Ten ogień z drewna mógł być, co tu nań człek sarka.
Kto światu, ciału, grzechom zabieży od spasi,
Boga szczyrze miłuje, ten go sobie gasi.

Szkoda staremu dobrze czynić.

Niewieście, psu cudzemu, dziecięciu, dziadowi
Coś dał, jak w błoto rzucił, przypowieść ta mówi.

Niestetyż na tę starość: nie tylko w grób wpadza,
Ale łaski i cudzej przyjaźni odsądza.
Żadnej różnicy między umarłym a starem
Nie mając, próżnym ziemie czynią go ciężarem.
Na cóż — mówią — u tego łaskę skarbić sobie,
Kiedy oddać nie może, jedną nogą w grobie?
Niech swoją przypowieścią nie bredzą poganie,
Jakoby też ta starość nie padała na nie!
Stąd syn ojca przed śmiercią obleczony kierem
Związawszy, do boru go wilkom woził zerem,
Tegoż i sam, skoro go późna starość zgina,
Skoro już robić nie mógł, czekając od syna.
Gdzie zwierz li zjadł, piekło mu; jeśli ptacy kłują,
Niebo i żywot wieczny pewnie obiecują.
Moglić po śmierci, ojców chcąc na tej mieć probie,
Nie żywych na śmierć wozić w zmyślonej żalobie.
Nie wiemże, którychby mieć za cnotliwszych: czy tych,
Czy owych, którzy kijem w starości dobitych
Sami na pogrzebowej jedli ojców stypie,
Nie zwierz, nie ptak; skoro się trup w popiół roz-
Wprzód spaliwszy, w mocnego wina suli kusze, [sypie,
Ze łzami rodzicielsko przepijając dusze.
Druga przypowieść dzieciom dobrze czynić małym
Broni, bo tego w wieku zapomni dożrałem.
Doznaje siłę i dziś niewdzięczności takiej
Ojców i preceptorów, którzy ćwiczą żaki:
Nie mogą im wywietrzeć z serca chłosty szkolne,
Wszystkim, póki rozumu nie dorostą, spolne.
Karanie pamiętają, a co za niem chodzi,
Dobrodziejstwa pamiętać nie chcą ludzie młodzi,
Którego oddać, choćby rzecz była pobożna,

Choćby i sami chcieli, na świecie nie można.
Taż i niewieście, i psu przypowieść cudzemu
Dobrze czynić nie każe. Jeśli pytasz, czemu?
Bo łaska u niewiasty zając śniegiem tropi,
Póty trwa, póki słońce śniegu nie roztopi,
Wiatr nie zadmie; skoro się i ta raz rozgniewa,
Największą twą uczynność wiatr śniegiem zalewa.
Pies cudzy ni nacz więcej, tylko na to przyda,
Że kiedy złodziej kradnie, szczekając nie wyda;
A dopieroż jeśli mu chleba z masłem, że sie
Lepiej z niem pozna, skibę w kieszeni przyniesie.
Taki niechaj u cudzych psów przyjaźni szuka.
Ja nie dbam, choć o mnie pies, choć szczeka i suka,
Bo nikogo nie kradnę, ni o kim nie gadam
Ze szkodą dobrej sławy. Z enotliwymi siadam.

Urosną wilkowi zęby.

Głupstwem zowie przypowieść, zabiwszy im ojca,
Jeśli dzieci choć małe zostawi zabojca.
Iskry w swojej stodole, w swojej odszedł słomie
Po zgorzałym sąsiedzkim w tymże mieście domie;
Bo skoro jej dopadnie wiatr, u kata ryby,
I jemu w krótkim czesie zgorzeć bez pochyby.
Leży wilk, ba wilezurę już przegryzły mole,
Ale się zęb wilezutom pozostałym kole.
Tak i dzieci, wspomniawszy o ojcowskiej śmierci,
Kiedyż tedyż zabójcy mogą naskuść sierei.
Choćby nie było dzieci, staną mu za wilka
Krewni, bracia, a zwłaszcza gdy ich będzie kilka.
Boć całej familiej niepodobna wybić:
Przypłodek zostawi, kto stawu nie chce rybić.

Porządnie mu szkatułę wytrzęsą dla spadku;
Chyba, jeśli na okup nie będzie dostatku,
Już musi garłem wedle przypo[wie]ści drugiej
Płacić nad substancją zaciągnione długi.
Aleć darmo zabijać z ojej dzisiaj synów:
Do tych wrodzona miłość przychodzi terminów.
Widzieliśmy to sami w czesiech świeżo przeszłych,
Kiedy, obu rodziców w leciech już podeszłych
Nie mogąc się doczekać śmierci, żywo pieką
Synowie i na dom swój wieczną zmażę wleką.
Ciżby rodzicielskiego mieli mścić zaboju?
Chyba, żeby na świecie przybyło im łoju.
Zeby darmo nie wyszły, wzięli co za trupy,
Gotowi pić z zabójcą pod wiechą litkupy.
Czemuż piorun nie bije, żeby się dziesiąty
Przykładem karał, na dom i przekłete kąty?

Z niczego nic nie będzie.

Już też nasz starzec fochom cielesnym i świeckiem
Da pokój. Abo umarł? Żyjeć, ale dzieckiem.
Kiedyż wżdy będzie mężem? Był, ale zdzieciniał.
Nie był nigdy, bo złości do głupstwa przyczyniał.
Przez izbę nie może przejść, nie zje kaszy trochy.
Jegoć to, a nie on je, porzuciły fochy.
W łóżku sam nie przewróci, ani z niego wstanie.
A to mu dał z łaski swej Bóg upamiętanie:
Choć pacierza nie mówi, krucyfiks obłapia.
A czymże — pytam — żyje? Wódką się zakrapia.
Rzadkoć go też i w młodszym wieku — rzekę — mawiał;
Nie krucyfiksowym się obłapem zabawiał.

Z jedną ksiądz, z drugą stronę doktor przy niem siedzi;
Na każdy dzień klisterę bierze po spowiedzi.
Czyszcząc ciało, na przyszłe czyszcząc duszę gody.
A dyabeł — rzekę — stolec gotuje na smrody.
Cegłę myje daremnie, suchy ser przetwarza;
Długo trzyma, czym się raz skorupka zaskwarza.
A ten ją chce do razu, czas grzesząc tak długi,
Gołą wymyć spowiedzią! Nie pomogą ługi.
Większa: nakłść wonnego trzeba w nią zapachu:
Kto nie chce, że ją włożą pod stolec, być w strachu,
Trzeba dobrych uczynków i cnót szpikanardy.
Nie pachnieli, nie śmierdzi? do tej przyjdzie wzgardy.
Więc kiedy kto, choć by chciał, grzeszyć już nie może,
Cnotą zwał, kiedy w mary śmierć obraca łożę?
Przehulawszy dzień, w ten czas siadać do warstata,
Kiedy słońce zasiadysz przynosi mrok światu?
W ten czas pszenicę sypać młynarzowi na kosz,
Kiedy próżno biegawszy stanie koło? Jakoż
Miarkę bierze, musi ją nazad wracać, czyja,
Jeśli nie zmełł; inaczej nie uszedby kija
Nie będzie mąki z twej rzy: już się kamień kruszy,
Inszego trudno wprawić; błazoństwo o duszy.
Co dzień, to miarka dziadu; darmo spadła woda;
Siedmdziesiąt lat biegało kółko; twoja szkoda.
Rachuj, wieleś ich darmo wziął z cudzego wora;
Zapłać, bo już minęła twego mliwa pora.
Nie zapłacisz? zapłaczesz ciężkim w on dzień żalem,
Kiedyć każą na wieki w piekle żyć stochemalem.
Jakbyś beczkę, skoro już wino z niej przez spary
Wyciekło, że nie ciecze, chwalił, gdy człek stary
Nie grzeszy; niemasz dziwu, że fochów nie stroi."

Bo już ani grzech, ani cnota w niem ostoi.
Poprawić niemasz czego, wino lać do zgnitek
Wielka szkoda; dobra mu wódka na positek.
Pókiś mógł grzeszyć, w ten czas przestać było; ale
Już późno, skoro w próżnym wiatr został antale.

Dobrze mówi, ale niedobrze czyni.

Pięknie i dobrze mówi, ale mało po tem,
Jeśli się mowa z jego nie zgadza żywotem.
Choćby obojgu w jednej przystało być sforze,
Zły duch język od serca w ludzkim ciele porze.
Od urodzenia siedząc drugi szlachciec doma,
Pięknie mówi o wojnie, choć mu niewiadoma.
Popisuje się z gębą na sejmiku ładnie,
A rękoma, gdzie się da, województwo kradnie.
Wytyka egzaktorów, a sam z tej wytyczy,
Darmożby oracyej uczył? profit liczy.
Poci się kaznodzieja, serce ludzkie kruszy,
Pobożność chwali, w grzechach sam leżąc po uszy.
Łacniejsza słowy komu, niż umysłem sobie
Radzić; to i w cielesnej widzimy chorobie:
Każdy lekarstwo rai, sam padszy na łożę,
Ani wie, skąd ją poeząć, skoro zaniemoże.

Figuli divitiae.

Krzywdą, lichwą, językiem kto zebrane liczy
Bogactwa, potomek w nich trzeci nie dziedziczy.
Pieniądzmi łacinnicy zową je u zduna:
Miałki takowym zbiorom grunt ściele fortuna.
W której żywego niemasz źródła wody studni,
Nie długo trwa: deszczowa wyschnie do kilku dni.

Abo jeśli jej z rzeki gospodarz nie wozi,
Leda zima od wierzchu do spodu wymrozi.
Widzimy spanoszonych w tych ludzi sposobach,
Którzy krowom ogony wiązali przy żłobach.
Nie wyschną, nie wymarzną, swej doszedzsy pory,
Starożytych familij sprawiedliwe zbiory;
Zawsze wierzchu sięgają i wystarczą swojem
Tysiące poić ludzi rycerskich napojem.
Bo ich sława i enota, jako rzeki morza,
Czego tamci nie mają, krynice przysporza.
Nastawia zdun różnego stosami naczyńia:
Mis, kuffi, garnków; aż pies, abo leda świnia
Włazszy potłucze wszystko tak, że z onej kupy
Miasto brania pieniędzy wyrzuca skorupy.
Lubo z nimi na jarmark wlecze się z jarmarku,
Toż będzie, wywróciwszy wóz na leda starku.

Na toż drugi raz.

Ja zaś, choćby zebrane bogactwa najlepiej,
Wszystkie równam skorupie, którą garncarz lepi.
Czy to biała, czy żółta, czy rydza, czy sina,
Taż we srebrze i w złocie, co w dunicy glina.
Że na tamtych królewskie wytłoczą abrysy?
I król człkiem: wolno nim zdunom pisać misy.
Nasyp w wory pieniędzy, nakładz z wierzchem skrzynie,
Toż cię właśnie w nich potkać może, co i w glinie:
Wpadnie w dom zła przygoda psem, czy głupią świnią,
Aż bogactwa pójdą precz od ciebie i z skrzynią.
Tonie w wodzie, w ogniu się złoto z srebrem topi;
Pływa garniec po wodzie, ogniem nie roztopi,

Zbójca go nie wydziera ani złodziej kradnie;
Stłucze się? dostaniesz go za leda co snadnie.
Jeśli o twarz królewską chodzi komu, i to
Niech wie, że ją i na psiej skórze kiedyś bito.
Glinę człek od potrzeby, złoto ma od pychy,
Złoto na sto tysięcy, na dwa glina sztychy.
Wždy kopią, choćby potem do nitki przemakać,
Choć się tu bać, po śmierci muszą za nie płakać.

Na toż trzeci raz.

Tak garncarskie bogactwa, jako i złotnicze,
Na jedną kładę wagę, w jeden komput licze.
Jeśliż Bogu trzop, co go własną ręką lepieł,
I duszę, istności swej cząstkę, w nim zasklepił,
Nie chciał powierzonego z pychy i uporu,
Dla czego też stłuczony, dotrzymać liquoru;
Dalekoż się na wszystkim tym, co ziemia rodzi,
Złym tylko używaniem gorzej człek zawodzi.
Niczego nad potrzebę swoją prócz, co zbywa
Od żądze mu cielesnej, głupi nie zażywa.
Wszystko na grzech obraca: mało, że na ciele,
Chee i na duszy zostać skorupą w popiele.

Na toż czwarty raz.

Rzeczce kto: Nakupię wsi; już do tych przygoda
Nie ma prawa. Ma ogień, powietrze, ma woda,
Ma nieprzyjaciół, nawet sama się w głąb pada
Ziemia, abo się trzęsąc wsi i miasta zjada.
Ale miej wsi, miej miasta, miej skarby, cóż po tem?
Ma śmierć prawo nad zdrowiem, ma nad twym ży-
[wotem,

Dybie zawsze przygoda na cię niespodziana;
Trąci w trzopek, aż niosą od wszystkiego pana.
Skoro ciało na glinę robacy wyzobią,
Kafle z niego garncarze, abo kuflę robią.
Może być, że w tęż, w którą wino lano glinę,
Pomyje, abo leją za czasem urynę.
Nie mylmy się: i ludzie, i ich świeckie mienia,
Jako z ziemi powstały, w ziemię śmierć odmienia.
O inszych się bogactwach pytać, chrześcijanie!
Co przygoda ani śmierć nie ma prawa na nie.

Na toż piąty raz.

Żółtą ziemią jest złoto, żółtym się wykłada
Adam, jako hebrejski język nam powiada.
Cóż się nie ma człek pysznić? Ja zaś tak wykładam:
Kiedy ze złota ocieć wszystkich ludzi, Adam,
Cóż nie ma, opadając morza, wyspy, lassy,
Z której stworzony, szukać swego ciała massy?
Żeby, czego ubliży, poprawić natury,
Ani krawiec odmiennym suknem lata dzióry.
Inaczej pewnie chodzić musiałby srokato;
Choć nie karmazyn, byle rodził się bogato,
Jako za mur lepionka pobielona tynkiem,
Tak ujdzie za karmazyn, rodziwszy tuzinkiem.
W głowie, w sereu, w urodzie złoto dziorę lata;
Na pannie ścieśni, jeśli przestronny, kabata.
Czemuż, gdzie złoto farby swojej nie utracą,
Śmierć, wzięwszy człeka z świata, w gnój w ziemi
Nie śmierć, sam winien sobie: aniby ta plama [obraca?
Dotąd, gdyby nie zgrzeszył, potkała Adama.

Wśród bezbożnym na świecie życiem duszę swoim,
Życ przestawszy, obraca człowiek ciało gnojem.

Na toż szósty raz.

Złotem człeka, co większa, nie w ziemi kopanem,
Bóg na swój stworzył obraz, uczyniwszy panem;
Gdyż jaką sam na niebie władzą ma, taką mu
Dał na ziemi: nie myślił o budynku domu,
Czymby nagie okrywał ciało swe i coby
Jadł i pił; odjął wszystkie od niego choroby,
Dał rozum, nieśmiertelność, niewinność z anioły;
Rzekłbyś, że się z nim światem rozdzielił na poły,
Czego dziś człek nie kupi, choćby wszystkę makiem
Przesiał ziemię, szukając złota w niej, przetakiem.
Ale skoro się zły duch do tego przymiesza.
Człeka na prawo Boże zuchwale rozgrzesza.
Spadł też, jak żaba z wiersze, i jego się złoto,
Wszedłszy na świat z raj, obróciło w błoto.
W górę sięgał po jabłka, musieć teraz schylić
Do ziemi po chleb, chce li ciało niem posilić.
Na koniec go tak pod nię śmierć głęboko przygnie,
Że się już więcej z grobu na ziemię nie dźwignie.

Na toż siódmy raz.

Myśli dziś człek o domu, żeby nie zmarzył zimie,
Lecie nie zmókl; leda się gadzina go imie;
Czy oganiać, czy iskać ciał skażonych ścierwy,
Nie wie; na dzieci, czy mu robić na się pierwy.
Wszystek leśny, domowy zwierz, ptak, ryby, gady,
Rokosz podniósłszy bunt, szukają z nim zwady.

I jeśli, póki żyje w glinianej skorupie,
Nie mogą w ciele pożyć, pastwią się na trupie.
Cóż żale, szkody, smutki! w tych ci zawsze pętach,
W tych strachu śmierci, chorób człek biega praszczętach.
Cóż mróz, par, sucho, mokro, wiatr, grad ze złej chmury,
Grom i piorun, powietrzne krzywdy od natury!
Ale któż wszystkie, bo ich, niż włosów na głowie,
Więcej, ludzkie przygody i biedy wypowie?
A w kim złe strachem piekła sumnienie rozpacza,
Jako w beczce ówieczkami natkniętej się tacza.

Na toż ósmy raz.

Niech wszystko ziemskie złoto jeden człowiek skupi,
Z świata się nie wykupi, raju nie dokupi.
Zapadła klamka. Darmo myśleć o powrocie,
Biedny Adamie! robiąc na chleb w czoła pocie.
Chciałeś być Bogiem; aż ty podlejszym od świnię,
Bo ta nie wie, na świecie czy ma umrzeć, czy nie.
Ty zawsze drżysz pod kijem, boć nie dano czasu
Wiedzieć, kiedy śmierć łotra wywlecze z tarasu,
Kiedy w trzop i w tę pełną smrodu niespodzianie
Na skorupy rozsypie uderzywszy banię.
Mylę się: wolno człeku raj odkupić znowu,
Wolno z świeckiej galery wykupić okowu,
Tylko mu lepszej wagi złota kupić trzeba,
Co go mniej ma, im więcej rękami wygrzeba,
Którego się, a w sobie ludzkiego rodzaju,
Pozbawił, nie słuchawszy Boga, Adam w raju:
Słuchać go i z miłości jego wolą czynić,
I bać, żeby na większą biedę nie zawinić;

Grzechu równo strzedz z wężem, gdyż cielesna żądza,
.¹⁾
Na świat, tak z świata w piekło, nie będzieli cnoty.
Cnota brant, cnota kruszec w sercu ludzkim złoty.
Kto chce, znajdzie nie kopiąc, znajdzie bez motyki;
Nie trzeba do Azyej jeździć i Afryki:
W domu każdy ma ten skarb; niech go inszy kopią,
Niech na proch filozofski w alembikach topią.
Większą moc ma, niż ten proch, przy miłości Boży
Wiara żywa, bo kto ją do serca przyłoży,
Nie z żelaza, nie z cyny, ani złoto z miedzi:
Z twardych grzechów pokutne ły i cnoty cedzi.
Przez to złoto każdemu znowu raj otwarty,
Každy wnidzie do niego przez anielskie warty.
Wrócił z nieba na ziemię klucz ten szczyrozłoty,
I powieścił Pan Jezus, jako nade wroty,
Na drzewie krzyża swego. Darmo się zawodzi:
Nikt tam, kto swego krzyża nie bierze, nie wchodzi;
Gdzie się zaś z gliny złotem przetwarza, jako był,
Kto z trzopu tego ciała przed grobem się dobył.
Aleć wolą go ludzie w sercu ziemie szperać,
Niż mu serce swe, żyjąc pobożnie, otwierać.
Kto trzopem szedł do grobu, trzopem z niego wstanie,
Trzopem pójdzie do kuchni na pomyj zlewanie.

Zając śpi.

Żadnej zając obrony, prócz nóg, od natory,
Zęby tylko trawę skuć, w pogoniej pazury,
Muchom się i komorom ogania uszema,
Na tak wielu, a głównych nieprzyjaciół, nie ma.

¹⁾ W rękopisie jeden wiersz opuszczono.

Każdy zwierz i każdy ptak, który mięsem żyje,
Począwszy od człowieka, na lichotę bije.
I człeku jeszcze mało na tym, że go zjada,
Ale w śmierci zajęcej uciechę pokłada.
Dla kawałkaby mięsa kosztu i fatygi
Niełożył, biegając z niem w polu na wyścigi,
Wojsko nań psów chowając, jako na Turczyzna,
Ba i w pogoni szyję łomąć nie nowina.
Strzela, sieci nań robi, a jeśli uszczuje,
Psy krwią jusząc, z mizernej dusze tryumfuje.
Jako nieprzyjacielską ściewszy głowę z bitwy,
Niesie ogon zajęczy do domu z gonitwy.
Choć i w najmniejszej rzeczy nie uszkodzi człeka,
To mu wina, że, jako może, tak ucieka.
A cóż nie ma przed śmiercią, będąc mdły, nieduży?
We dnie, w nocy, śpiąc nie śpiąc, oczu nie zamruży.
Pomoże mu straż kata, bo gdy w nogi wierzy,
Pod smycz, abo w sieć pod kij wpadnie do obierzy.
Już by gdzieś za dziesiątą stopy lizał górą,
Gdyby, nie wierząc nogom, zaraz pomknał z skórą.
Od zajęcia przypowieść, lecz w tej przypowieści
Siła ludzi, co patrząc, przecię śpią, się zmieści.

Na też drugi raz.

Śpi na worze pieniędzy, śpi miasto pierznika
Łakomiec, nim się młody jedynak wysmyka;
Aż skoro przyjdzie do wsi ojcowskich przedania,
Łowiąc jedną po drugiej, porywa ze spania.
Śpi urażony, krzywdę odpuściwszy w rzeczy,
Że tym nieprzyjaciela swego ubezpieczy;

Aż skoro się sposobna poda okazya,
Pomści, napędziwszy go do sieci, do kija.
Śpi zauszny pochlebca w największym hałasie,
A wszystkich i uszyma, i oczyma pasie;
Co kto robi i jako, co mówi i o kiem,
Uważa i notuje niedowartem okiem.
Śpi, choć widzi; nie słyszy, przytuliwszy ucha,
Choć mu pan koło żony abo córki grucha,
Abo samsiad, abo ksiądz; i tak długo chrapi
Dla jakiego respektu, aż ją odherapi:
Nie żal patrzeć przez spary i uchylie cnoty
Niemasz, gdzie się pożytek ukaże, sromoty.
Śpi tehórz, gdy mu na głowie równy cieszę kole,
Nie śmie krzywdy upomnieć, choć sielami zdole,
Mógszy prawem i lewem zabieżeć od spasi,
Bojaźń na sercu cnotą cierpliwości krasi.
Śpi drugi, śpi, a nowy Testament i stary
Czyta ludziom z ambony ksiądz przez okulary;
Sam usnąwszy w grzechowym błocie, z niego ludzi,
Ale darmo, bo każdy woli z niem spać, budzi.
Śpią też dlatego wszyscy, a dyabeł ich troczy:
Mrużą na niebo, na świat wytrzeszczają oczy.

Na też trzeci raz.

Śpią duszą, śpią rozumem, czują ludzie ciałem.
Niechże, co pannom owym stało się ospałem,
Tego się spodziewają: dogoreją knoty,
Drzwi zamkną do pokoju; zostały za wroty.
Dlatego Paweł święty napomina wcześniej
Uśpić ciało, a duchem nie kochać się we śnie;

Wydrzeć noey grzechowej, więcej w niej nie drzymać,
W wierze stać i gotowe lampy w ręku trzymać;
Zawsze mieć otworzone, jako zając lekki,
Na podobieństwo grzechu wszelkiego powieki.
Dyabeł szczwaczem: ma sidła, sieci i potyczy,
Ma charty, ba brytany; świat z ciałem na smyczy.
Uciekaj! nie dosiadaj, gdzie głupi dosiada:
Często też kot w pysk chartom, często w sieci wpada.
Lepiej tu bojaźliwym, sobie nie ufając,
Niżli być z Piotrem świętym w sidle, jako zając.
A dopiero do tego nie zasiadać cechu,
Gdzie ledwie rzecz podobna uchronić się grzechu.
Spać, Boskiej protekcey, jako Dawid śpiewa,
Gdzie nie boi i złego nie się nie spodziewa,
Otoczony, cuotliwy może człowiek, wałem,
Wrzuciwszy pod łóżko świat z swym zdeptany ciałem.
Niech każdy chrześcijanin, biorąc przykład w Piętrze,
Zlane gorzkimi łzami oczy ze snu przetrze.
Lecz że samego Ducha świętego to dzieło,
Rzadki dziś, aby go to dwoje nie budziło.

Nierychło Jowisz zajął w kozią skórę.

Nie mogąc Boga poznać, moc i mądrość Bożą
Widząc w stworzeniu świata, wszystkie zmysły złożyć
W to ludzkie pierwszy, żeby w niebie go posadzić,
Nie mając się do kogo uciec, kogo radzić
W swych potrzebach na ziemi, komu łzy serdeczne
W żalach, w krzywdach oddawać; widząc, że tuteczne
Wszystkie rzeczy, poczynszy od samego człeka,
Skąd wyszły, w ziemię leżą: śmierć wszystkiego czeka.

Więc sobie różnych w głowie bogów tworzą wiele.
Dyabeł też swojej gruszki nie zaści w popiele.
Jednakże ojcu wszystkich bogów świeckie rządy
I ludzkie, Jowiszowi, przypisali sądy.
A przed nim kozią skórę rozpostrą, która go
Mlekiem karmi, gdy na świat z matki wyszedł nago.
Na tej złe, dobre, iuszej nie mając zabawy,
Jak na tablicy, pisze wszystkie ludzkie sprawy.
Dobre płaci dając, kto czego sobie życzy,
Za żywota; po śmierci między gwiazdy liczy.
Do karania złych [ludzi] siłę ma sposobów;
Na koniec grzeszne dusze szle do piekła z grobów,
Gdzie abo kamień, zaraz wracającą forę,
Wypycha, jako Syzyf¹⁾, na każdy dzień w górę,
Abo z Danaidami bez wszelkiej nadzieje
Z rzeki wodę przetakiem w dziorawą kadz leje,
Abo pragnie z Tantałem w wodzie, abo wierci
Do koła Iksyonem na wieki po śmierci.
Są, jako Prometeus i Titius oba,
Którym od sępów sklwana odrasta wątroba.
Stąd przypowieść, gdy się grzech długo komu zwozi:
Dawno Jowisz do skóry nie zazierał kozi.

Na toż drugi raz.

Bierzmy na się z tych pogan chrześcijanie miarę,
Kiedy znając, ba patrząc na Boga przez wiarę,
Bo się widomie oczom śmiertelnym pokazał,
Nie chcemy znać, nie czyniąc tego, co nam kazał.
Któż go lepiej mógł widzieć — pytam — nad Adama?
Kto nad żydów z Mojżeszem? Każdy taki kłama,

¹⁾ W rp. Zyzuw.

Mówiąc, że go zna, a w czym zawisło to znanie,
Depce i przestępuje jego rozkazanie.
Dyabła chwali, dyabła ma za Boga z pogany,
Ale stokroć gorszego, skoro obiecany
Mesjasz zstąpił na świat, bo dopiero dowie,
O czym poganie ani słychali żydowie:
Że Bóg, który się Ojcem wiernych ludzi liczy,
W niebo ich weźmie, niebo każdy odziedziczy;
I tak na grzech, co go Bóg zakazał surowie,
Rozpasze człeka, że go polityką zowie,
Jakie mieczem karali u poganów kaci;
Tak dalece grzech grozę, cnota cenę traci,
Kiedy nie zaraz, ludzkiej folgując natorze,
Mści się Bóg, choć go widzi na kozłowej skorze.
Idzie czas, gdzie nie skórę, lecz serce na nice
Wywróciwszy, będzie je czytał, jak z tablice,
Wetując cierpliwości ostrością nad kozły;
Miłosierdzie, kto dobry, pozna karę, kto zły.
Nie koła, nie kamienie w górę będzie taczał;
W siarce gorzał, skoro go dyabeł w niej omaczał.
Nie będzie wody sitem ani gębą łapał:
Sam żywy mu na język ogień będzie kapał.
Zleca mu się do serca wszystkich grzechów sępi,
Odroście, choć go każdy w drobne płatki strzępi.

Abo umarł, abo bakalarzem.

Przegrawszy Ateńczycy z Sycylijezykami,
Siłu ich zginie, więcej zostało więźniami.
Kto zginął, leży, a kto wzięty do niewole,
Musiał dzieci na książkach uczyć pisma w szkole.

Do tej sławy w naukach, do tej przyszły ceny
Przed wszystkim miastami w Grecji Ateny.
Więc kiedy tych, którym ujęć żywem nie dostało,
Każdy pyta, co z jego przyjacielem stało,
Słyszając, że abo zginął, nikt nie powie trzeciej
Nowiny, abo czytać w szkole uczy dzieci.
Co Grekom za długi czas przypowieścią weszło.
Dziś by się z bitwy z ordą naszych pytać zeszło:
Gdzież one wojska piękne, gdzie żołnierze starzy?
Tych pobili, tych wzięli w niewolę Tatarzy.
Nie dzieci; sami się tam po tatarsku gadać
Uczą. A cóż po tym koszt na Włochy nakładać?
Ale ta szkoła pewnie uprzykrzy się przedy:
Ani z niej puszcza do dom ucznia bez pieniędzy;
Chłosty w komput nie idą od nahajki byczej
Przy ciężkiej ustawicznej pracy niewolniczej.

Na ogułach.

Chcesz li się czego podjąć? podejmże się szczerze.
Uczonym być? utopże wszytek zmysł w papierze.
Przestrzegam, że się i tu niejeden oszuka,
Bo choć papier jednaki, różna w niem nauka.
Kto je pomiesza, siłę będzie wiedział, ale
Mało umiał. Wiesz czemu? Bo nie doskonałe.
Jedną zdrową potrawę, mięsa obrać sztukę,
Żebyś nią brzuch założył, jedną i naukę,
Żeby głowę. Kto każdej kosztuje po łyżce,
Głodnym wstanie; wiatr tylko zostanie mu w kiszce.
Chcesz być księdzem? nauki wprzód trzeba i cnoty;
Prawda, że tym [sam] Paweł święty szył namioty,

Każę też robić księży, nie tylko pozwoli,
Bo na ten czas ani wsi, ani mieli roli:
Z ołtarza żyli. Żeby strzegli próżnowania,
Do ręcznej przykładem swym roboty nagania.
Mając potrzeby ciała, nie chce, żeby się tu
O więcej starać, kościół zostawiwszy świętu.
Dać pokój gospodarstwu, handlom, dać i lekom,
Czego dziś siłę księży jęło się. Przyrzekam,
Że już taki niewiele z pisma nakapłani,
Bo więcej, niż kościoła, pilnuje plebanii.
Rychlej Galena, abo register urodzaju
Ujrzyć na jego stole, niż Księgi Rodzaju.
Kiedyśby z Pawłem chcieli pasem, abo chustką
Leczyć ludzi, stałby świat bez doktorów pustką,
Abo gdy pełnym chorych noszono podsieniem,
Gdzie przechodził Piotrowym namiestnicy cieniem¹⁾.
Jednak czego nie mogą w ludzkim zrobić ciele,
Słowem, przykładem dusze niech leczą w kościele.
Jakoż ma ten apostoł, do gospody co go
Z błota niosą na drogach, cieniem leczyć kogo?
Ba jeszcze niejednego zdrowego zarazi
Złym przykładem: w toż błoto, skąd wylazł ksiądz,
[włazi.

Na toż drugi raz.

Każdy taki u Boga i u ludzi szpetny,
Co ni zimny, ni ciepły, ale będzie letny.
Jedną, której się rzeczy podejmie człek, do niej
Isć drogą, bowiem i to, gdzie natura skłoni,

¹⁾ Tak w rękopisie.

I to upuści, czego chciał, ale jałowo,
Że będzie na ostatek cóż? Ni to, ni owo.
Poetą i malarzem trudno być ogułem,
Uczyć szkołę magistrem, bywszy dyscypułem;
Niech gunię, bywszy knapem, płótno robi, tkaczem;
Suknie szyć i kozuchy — w obojgu partaczem.
Niech kowal wozy, ślosarz pistolety kuje;
Chce zegarek naprawić? Prędej go zepsuje.
Też ręce, toż żelazo i ogień przy miechu;
Głowa różni. Każdemu w swym zostawać cechu.
Przecież jeden teolog, filozof, astronom,
Książd [i] lekarz i włóści pisze się ekonom;
Sroga dyskrepancyja w tak długich tytułach,
A kto w samą rzecz wejźry, wszystko na ogułach.
Książd tylko z teologiem zmieści się do sfory,
Ale insze życzyłbym rozprządż profesory.

Ze złych obyczajów dobre się prawa rodzą.

Acz drzewo złe dobrego owocu nie dawa,
Przecież się dobre rodzą ze złych grzechów prawa.
Nic miałyby na ziemi sprawiedliwość miejsca,
Gdyby grzechu nie było; grzech jej wynalejzca.
Nogi ludziom kaleczy i psuje lemieszce,
Przecież krzemień potrzebny, bo nam ogień krzesze.
Utwierdza dobre serca w enocie, złe odstrasza
Od grzechu prawo, które pierwszy grzech przynasza.
Póki wedle natury stare żyły wieki,
Ani doktorów, ani znano ich apteki.
Ledwie na świat zbytki wniósł czart, walcząc z naturą,
Aż choroby, za tymi doktorowie chmurą.

Ależ pomocą biedę, bo dziesiąta kwota
Pierwszych ludzi nie dojdzie naszego żywota.
Mizerny człek, nadzieją co się ubezpieczel,
Doktorowi ufając: truje, żeby leczel.
Jarzyną, owocami przy wodzie a kaszy
Dochodzili tysiąca lat ojcowie naszy.
Po potopie dopiero mięsa im pozwolą.
Stąd, jeśli nie dowarzą, żołądki ich bolą.
Taś Noemu, wyszedzsy z korabia, przyczyna
Sadzić go, gdyż do mięsa trzeba było wina.
Dla zdrowia pierwěj pili, a dziś dla choroby,
I głowy zapalając winem, i wątroby.
Czemuż mrą nie zbytując — rzeczesz — dzieci drobne?
Skażone ciała wzięły rodzicom podobne.

Na toż drugi raz.

Adam grzechu, grzech śmierci pierwszym był autorem;
Zbytek, że nas przed czasem z świata bierze, wtorem.
Mógł by dłużej złoçynca żyć i pewnie by żel;
Zarobiwszy na kata, sam sobie ubliżel.
Choć ci nie zarobiwszy wielu takiej kary,
Idzie równo z grzesznymi enotliwych na mary,
A wždy przez to żadnego nie mają bezprawia:
I złodziej woli, że go kat rychło dodawia.
Jednym na wszystkich wesła śmierć od Boga prawem;
Niech sądzi, kto jako chce; ja go mam łaskawem,
Dobrym i miłosiernym czy z krótkiej, czy z długi
Odpoczynkiem i portem światowej żeglugi.
Kędy sroższe od morskich tysiąc razy fale
Topią nas na każdy dzień: strachy, bole, żale.

Puściwszy do zakładu w zawód, czegoż się tu
Bawić? Czemuż nie kwapić czym prędzej do metu?
Wesście na świat, nie wysście z świata moim zdaniem,
Komu ciężko umierać, niech kładzie karaniem;
Co lepiej ci, o których czytamy, tłumaczą,
Gdy na pogrzebach cieszą, na krzcinach zaś płaczą.
My jednak te rzeczy odprawujęm obie,
Na krzcinach i pogrzebach podpijając sobie.
Wszak też apostoł zawsze każe się weselić,
Frasunków na tym świecie od pociech nie dzielić.
Byli, prawda, i dziś są, nie trzeba dowodzić,
Co się im lepiej było na ten świat nie rodzić.
Strach na wszystkich Judaszów, którzy dobrowolnie
Grzesząc, Syna Bożego z niem sprzedają spolnie.
Nie kara; wielka łaska: jakoż się ich wiele
Zabija, nie mogąc znieść frasunków na ciele,
Ale grzeszą z Judaszem; ci niechaj powiedzą,
Którzy, jak w turmie, w trupie tego ścierwu siedzą,
Mając w oczach dla siebie zgotowane gody,
Od śmierci pożądanej czekają swobody.
Znać ten o żywot wieczny, o niebo nie stoi,
Znać woli w tym trupie gnić, kto się śmierci boi.

Do tegoż trzeci raz.

Cóż ludziom, żeby strzegli Boskiego mandatu,
Pomogło, że ich śmierci, pod miecz dano katu?
Zgoła nic. W uszach Boskie mieli prawo jeszcze,
A Kain się gniewliwy we krwi bratniej pleszcze.
Ociec Boże, syn prawo zgwałciwszy natury,
W tysiąc lat i sześćdziesiąt pełne wody chmury

Na świat spędza złość ludzka, potopu przyczyna;
Wszystkich śmierć prócz Noego domu oraz ścina.
Wybił w sprawiedliwości grzech ludzki dno Bożej
I wielkiej wód przepaści wrzeczadze odłoży.
Nie najgorszy; najpierwszy, bo grzechy wszelakie,
Jeśli są dobrowolne, przed Bogiem jednakie.
I u ludzi zwyczajna w kim [grzech] zacznie nowo,
Zabiegając przykładem, karać go surowo.
Cóż, kiedy przejdzie wtóry grzech pierwszego stopnie,
Jako dzisiaj przenoszą w ludziach przedpotopnie?
Dawno już trzeba było, dosyć czyniąc prawu,
Światu z potopowego napię wody stawu.
Pytany Solon, czemu, prawa pisząc, mija
Tego, co własną ręką rodziców zabija:
Bo wszystkie przeciw Bogu, bliźnim i naturze
W sercach się grzechy lęgną, jako grady w chmurze;
Nie spodziewając, prawa nie pisałem temu,
Żeby człek przeciw sercu mógł zgrzeszyć własnemu.
Nie tylko bojaźń śmierci ludzi nie zatrzyma.
Ale się zda, że na złe jeszcze ich poddyma:
Żeby świata bez grzechu, co nie można, użyć,
Chcą krótkiego żywota zbytiami przedłużyć.
Gorszy po śmierci potop na myśl im nie padnie,
Gdzie ogień pień na wieki w piekle trzeba na dnie.

Na toż czwarty raz.

Nie pomógł nic i potop, bo gdy się rozrodzą,
Też grzechy po potopie, ba i gorsze płodzą.
Przyszło Bogu na każdy, utykając spary,
Żeby nie topił świata, nowe pisać kary,

Które na dwu kamiennych żydom przez Mojżesza
Tablicach, a na sercach wszystkim ludziom wieszają.
Tak żyda, jak pohana, kto się nie przeciwieł
Jego prawu, każdego Bóg usprawiedliwieł.
Nie pomogła obrzezka żydom, nie pomoże
Chrzest chrześcijanom, jeśli depeą prawa Boże.
Siłę uczonych w piśmie, którzy drogę wiedzą,
Inszych ucząc, do nieba prostacy uprzedzą.
Groch na ścianę. Tablice obie w skrzyni leżą,
A żydów po tym tylko znać, że ścierwy rzeżą.
Ba i to w zapomnienie poszło było, aże
Drugi raz ich Bóg rzezać Jozuemu każe.
Tenże bies po zakonie, co i przed zakonem,
Aż się Boga zaprzawszy, dyabły czezą pokłonem,
Choć w trop lub pojedynkiem, lub ogulem na nie
Za każdy grzech z osobna padało karanie.
Na koniec tak wysoko upór się ich wznasza:
Krzyżują Bogu Syna, swego Mesyasza,
Który, z pokutą Jana posławszy przed sobą,
W trop za niem idzie, ludzką okryty osobą,
Grzechów im odpuszczenie niosąc po pokucie
I lekarstwo na wieczne wtórej śmierci strucie;
Nowe prawo i zakon żydom nowy każe
Łaskawszy, i przykład im w sobie sam pokaże,
I na dwu, że tym dzikie serca ukołyszę,
Drzewianych go tablicach krwią swoją podpiszę;
Łaskę i żywot wieczny przy miłości Boży,
Przy miłości bliźniego za prawo położy.
Jeszczeż to trzeba było ludziom rozkazować,
Za co Bogu, póki żyć, mieli i dziękować!
Wzdyć i zwierze, i ptacy z natury to mają,

Że ród swój, dobrodziejów i ojców kochają.
Więc gorsze od jaszczurów Abramowe dzieci.
Gdy wrodzony, pisany i ten zakon trzeci
Pogardzą; aż ich też Bóg do końca ogłuszy
I poganom kłaść każe swoje prawa w uszy,
Które, że być bez grozy na świecie nie może,
Śmierć w ciele spowszedniała, stępały jej noże,
Niech wiedzą łaski jego wszyscy wzgardziciele,
Że pomrą wtórą śmiercią na duszy i ciele.
Wielka groza! Jaki grzech, taka i pokuta;
Wielka też łaska: według stawu grobel suta.
Do grzechu się zwyczajnie stosuje karanie,
Aleć jest na to sposób: nie zarabiać na nie.
Zarobisz nieumyślnie? zaraz na grzech biadać,
Nie wracać weń, pokuty na śmierć nie odkładać.
Już spadli żydzi z deski, o łaskę nie stoją,
Ani się gniewu wedle przypowieści boją.
Grzeszą tu źli od żydów chrześcijanie gorzy:
Choć łaska Boża niebo, gniew piekło otworzy,
Przecież ledwie nie wszyscy, tak drogiem okupem
Krwie Pańskiej pogardziwszy, piekłu idą łupem.
I kiedyby prościwszy nie bali się kata,
Zginęłaby pamiątka łaski Bożej z świata.
Miłosierdzie przyczynna, a cierpliwość druga:
Bo gdzieby grzesznych zaraz dojść miała zasługa,
Gdzieby, kto miodu liznął w post, w sobotę zbierał
Trzaski, abo bluźnierca do razu umierał,
Gdzieby, jako u żydów, nie szły dziś odpusty,
Lassami by zarosła ziemia, świat stał pusty.
Choć też i skarżą kogo, na cóż się to godzi?
Wstawszy z ławki, na teźże znowu pływa łodzi.

Na toż piąty raz,

Szukał stary po świecie swemu Rzym praw miastu,
Które potym na tablic zawieścił dwunastu.
Czy nie dosyć było, z grzechów pierwszych miarę
Wziąwszy, na tych tablicach przepisować karę?
Wdyć się tego z natury każdy człowiek w domu
Uczy: czego nie życzysz sobie, nie czyn komu.
Prawda, że prawu chodzić przed grzechem należy;
Wdyć ludzie w grzechach, prawo na tablicach leży.
A zwłaszcza w naszej Polsce długo skutku czeka,
Rzadki dojdzie, bo droga do niego daleka.
Czemuż dłużnik nie płaci, złodzieje nie wiszą
Nie odkładając, kiedy prawo na to piszą?
Czemuż sprawiedliwości, a zwłaszcza u księży,
Ukrzywdzony nie dojdzie, niech cierpi najcięży?
I rychlej się w straconej śmierci substancyej
Szlachcie, zwłaszcza ubogi, doczeka, niżli jej.
Nie zgadza się z polszczyzną ta przypowieść jawnie,
Kiedy możnym uchodzą wszelkie grzechy jawnie.
Już tonie, już się wiszu, jako mówią, chwyta,
Im więcej praw pisanych ma Rzeczpospolita.
Nie na grzech, ledwie że nie na każdego z ludzi
Jest prawo. A cóż? tylko doznają go chudzi.
Wiążnie mdła w pajęczynie mucha i nie duża;
Zerwie bąk, i samego pająka napuża.

Do tegoż szósty raz.

Do prawa pospolicie sędziowie należą:
Któżby ścinał? kto karał winowajce wieżą?
Ktoby go skubił grzywami? Jurysto, wiesz, na co.
Któżby skarzał? kto bronił? bo czasem ledaco

Prawi człek ukrzywdzony, nie wie, gdzie go boli,
A jurysta językiem i strzyżę, i goli,
Sędziom prawo pisane w statucie tłumaczy.
Cóż to za sędzia, który sam prawa nie baczy?
Drugi o niem nie słycał, a bez bakałarza
Nie wiedziałby, co z tym rzec; księża brewiarza,
Szlachcie wojny pilnował z młodu, potym roli,
A czemuż król takiemu sędziem być pozwoli?
Na szlachtę bankiet sprawi, zapłaci u dworu,
Byle wyżej siadł, byle dostąpił honoru,
Choć i wojny nie służył, choć nie ma i wása,
Dobrze li na sejmiku kieliszki wytrząsa,
W głowie pustki, w języku łaciny przez trzecie.
Dalekoż większe rzeczy uchodzą na świecie!

Na toż siódmy raz.

A po księżyż w sądach co? powołanie swoje
Duchowne miawszy, sądzić nie mogą we dwoje.
Cię to są dwaj panowie, u których że różna
Fantazya, służyć im oraz rzec nie można.
Ani starozakonni prócz jednego trądu,
Bo ten był znakiem grzechu, siadali do sądu.
Ani Piotr, którego się liczą substytuty,
Ani parał świeckimi Chrystus Pan statuty;
Nawet kiedy go prosić żyd jeden ośmieleł,
Żeby z rodzonem bratem ojczyzną go dzieleł,
Któż mię — odpowiedział mu — swą się mierząc piędzią.
Znikomych ziemskich rzeczy postanowił sędzią?
Przyjdzie mój czas. Jakby rzekł: Gdy na tronie sięde,
Tamże sprawiedliwości wasze sądzić będę.

Że toż przy swym obiecał apostołom boku,
Mogli sukcesorowie poczekać obłoku.
Jako on swym następcem dwanaście, tak i ci
Swym postawią stolice, gdzie w alby okryci
Będą sądzić nie tylko żydów z apostoły,
Lecz, jako Paweł pisze, i same anioły.
Ale gdzieżby się zsiadli? Tak bowiem jest wiele,
Jako i owiec, w Bożym pasterzów Kościele.
Nie wszyscyż z apostoły osiędą stolice,
Bo tych z pod mieczów, z haków, z palów, z szubie-
[nice,
Z katowskich rąk, naszych zaś ze czci i z honorów,
Z krzesel sądowych, z pieszczot, z ręku od doktorów
Śmierć bierze na trybunał. Nie wiemże, czy oni
Kogo, czy ich kto, skoro archanioł zadzwoni,
Sądzić będzie. Lecz tylko decymę wytrąci
Judas z sobą, mniej, niżli jednego z dziesiąci.
Wszędzie dyabeł w paragon z Bogiem, wszędzie chwastu
Wmiesza. Jedno Lewitów sobie ze dwunastu
Pokolenie Bóg obrał, ósmego tysiąca
Nie doszli od jednego liczeni miesiąca.
Insze od lat dwudziestu Mojżesz w tymże czesie,
Wždy każde kilkudziesiąt tysięcy doniesie.
Jednego też z dwunastu czart obrał Judasza.
Dziś wszelką liczbę, tak się rozrodził, przenasza.
Wszyscy poszli za światem, wszyscy za pożytkiem;
Ledwie kto Boskim szczerze opieka przybytkiem.

Do tegoż ósmy raz.

Nie czytali znać tego świeccy i kapłani,
Jako święty on mędrzec sędztwo ludziom gani,

Ba i wszystkie urzędy, choć w starym zakonie
Strzedz się ich, ani każe króla prosić o nie,
Daleko mniej kupować. Niech ludzie inaczej,
Jako chcą, zową, wszelki honor pychę znaczy.
Sam się naprzód niech każdy i tych sądzi, co mu
Należą, abo we wsi ludzi, abo w domu.
Już się sprawiedliwości taki nie napiera,
Kto się w przywilejowe sędztwo gwałtem wdziera.
Bo gdyby się sam sądził, że mu dosyć na tem,
Mając żywot, wczas, pokój, choć nie honoratem,
Nie lazłby na drabinę, gdzie, im wyżej wspina,
Ciężej tłucze, bo większa do grobu ruina.
Pycha, abo łakomstwo, oboje go ślepi,
Oboje grzech, że widzieć nie może, co lepiej.
Chcąc być czymśi nad inszych, choć śmierć wszystkich
[równa
Niczym, uczciwszy uszy, tylko gównem z gówna.
Żem to wspomniał plugastwo, odpuść czytelniku;
Tak się *stercus* z łaciny w polskim zwie języku.

Błoto błotem zmywać.

Kto twarz umywa mętną wodą, abo kałem,
Pewnie pójdzie brudniejszy, niż był pierwej, ciałem.
Chce myte ręce otrzeć? ręcznik jako cula,
Którą baba z cholewy dopiero wyzuła.
Nu do kata! Znowu by trzeba się umywać.
Sieluż dziś ludzi, na co przyjdzie uboliwać,
Grzech, w którym się po uszy całe życie narza,
Grzechem chce zmyć, bezpiecznie idąc do ołtarza:
Rozumie, że go otrze, że go tym wypierze,
Kiedy w niegodne usta ciało Boże bierze,

Nie myśląc z niego powstać. Gorzej od nalepy
Brucze, żeby na sercu mógł czart nasiać rzepy.
Kapłanów tu nie tykam, którzy do ofiary
Idą, żeby splókali nowym grzechem stary.
Gorzej się każdy maże w tak świętym obchodzie,
Jeśli serca w szczyrych łez nie umyje wodzie,
Jeśli go nie utwierdzi, że póki żywota,
Nie puści w się umyślnie grzechowego błota.

Na toż drugi raz.

Gębę każdy drożdżami, nos mazią uciera,
Ogień gasi olejem, grzech grzechem podpiera,
Kto się z niem w sercu pieszcząc, klęknie do pacierza;
Potwierdza go, ilekroć pierś pięścią uderza.
Ługu pierwej na brudną chustę, toż krochmalu:
Niż prosić odpuszczenia, trzeba za grzech żalu.
Choćby cały kto siedział dzień w łaźni, darmo to:
Murzynem jutro wstanie, włazszy w noce w błoto.
O bydlęcej przewiskiem czytamy sadzawce,
Nad którą żydzi chorzy siedzieli na ławce:
Kto pierwszy na wzruszenie skoczył w nią aniele,
Zdrowo, choćby najchorszy, wychodził z kąpiele.
Ciała tylko leczyła; grzech w niej nie odmakał:
Trzymał się dusze, choćby sto razy w nią skakał.
Stąd bydlęcą nazwana, bo z każdego bydła
Opłócze woda błoto i gnój, choć bez mydła.
Nie bydlęcą sadzawkę, ale dwie cysterny,
Oczy ma w czele każdy chrześcijanin wierny.
Do tej wanny niech skoczy, kto chory na duszy;
W tej niech płócze, kiedy go złe sumnienie ruszy,

Przykładem Dawidowym, co łzami mył łóże.
Niemasz nikogo. Niechże ciałem zaniemoże,
Zewsząd każe doktorów wozić co najwięcy,
Wszystkichby do sadzawki uprzedził bydłęcy,
Z której choćby jak ryba zdrów był, umarł duszą,
Jeżeli mu z oczu łzy¹⁾ grzechów nie wysuszą.

Godna garnuszka pokryweczka.

Jaki garnuszek, takie bywa przykrywadłko;
Taką twarz każdy widzi, jakie ma zwierciadłko.
Niejedną szpetulińską nie prawdziwe zdradzi,
Niejedną piękną damę w jej oczu szkaradzi.
Zwierciadłość stłukszy, może insze kupić w kramie;
Nie polepszy, kto na czym z przyrodzenia chramie.
Ale któżby kiedy miał postąpić tak głupie:
Srebrną kłась na glinianej pokrywkę skorupie?
Glinianą trzop, srebrną niech srebrna ma ampula;
Podobnego bakalarz sobie dyscypuła:
Jeśli mu piątą krokwy nie dostaje w strzesze,
Ani Arystoteles ognia z piasku skrzese;
Potrafi, nauczywszy, czytać leda klecha,
Że choć nie dach gontowy, przecięż będzie strzecha.
Głupi mąż mądrej żony, mądrego niech szuka
Głupi pan sługi. Ta im pomoże nauka.
Gdyż bakalarza chować do śmierci nie można,
Sługa pana głupiego, mądra i ostrożna
Żona męża uczynić może grzecznym z drwała;
Choć ci samo to grzecznym być mu nie pozwala,
Że pan da sobą rządzić słudze, mąż da żenie.
Ba i to w domu tylko znać na niem ćwiczenie:

¹⁾ W rp. łez.

Wyjedzie między ludzi, nie mając tych obu,
Aż mój, jako był drwalem, tak będzie do grobu.
Podobni li mu będą i żona, i służka,
Przypadnie przykrywadłko prawie do garnuszka.

Na toż drugi raz.

Największa, do głupiego zwłaszcza, wada, że sie,
Gorszym bywszy od gliny, za srebnego niesie.
Że bogaty, ojeowskie wsi osiadłszy spadkiem,
Chce tym trzop głupstwa swego zdobić przykrywa-
O krzesło senatorskie, o honor się stara. [dkiem.
Przykryj złotem, nie będzie nigdy z kafia czara.
O błaznach pisząc i sam błazenem. To, co by
Do wszystkich ludzi, gdyż im przykrywadłem groby
Należało, bo wszystko, co abo fortuna,
Abo dała natura, jest jednego zduna
Garkiem: czego weń wleje, czym go człek zatłusci,
Lubo cnota, lub grzechem, do skonu nie puści.
Mądrość, grzeczność, bogactwo, co się komu zdarza,
Szkłem jest do malowania gliny u garncarza.
Wszystko to z ciała zlezie i robota zginie,
Nagrobek, śmierć pokrywką glinę kładzie glinie.
Nie do kuchni; pod łóżko człowiek urynałem,
Póki żyje na ziemi pełnym smrodów ciałem;
Pokrywka go rozumnej dusze czyni człkiem.
Garnek, prawda, gliniany, lecz pod srebrnym wiekiem.
Cóż, jeśli do rozumu przystąpiła cnota?
Nie srebrna, ale będzie ta pokrywka złota.
Złotem garnek w grobowej przetworzywszy toni,
Znowu się przyda, jako był na świecie, do niej.

Chyba jeśli go pierwej, nim śmierć w ciele stłucze,
Nie słuchając rozumu, grzechami zabrucze,
Pójdzie w piec z swą pokrywką, gdzie węć siarki nalał
Szatan i na wieki w niem będzie go wypalał.

Do tegoż trzeci raz.

Wiem jedną wieś, Beskidnej niedaleką dziczy,
Gdzie kościół katolicki z cerkwiami graniczy;
Więc że do swego nieba stosują się kraje,
Sami w niej zbójcy, sami mieszkają hultaje.
Aż i pleban, czemu ja wielce dziwuję się,
Żyda, faktora mego, na drodze wytrzęsie.
Przedtym człek skromny, bywał w moim domu ze trzy
Razy, że się w pół roka od nich zapowietrzył.
Przyjechawszy pijany przeproszać mię znowu,
Wybił mi okna kijem w browarze z ołowu.
Godzien garczek pokrywki, przypowieść to stara,
I plebana takiego godna — rzekę — fara:
Co miał cnotą zasalać dzikich ludzi serca
Przykładem apostolskiem, aż on sam wydzierca
Zdziczawszy. Ale aza ksiądz biskup to zgani
I zbystrzałą naturę znowu obrochmani?

Sąsiad chromy nauczy chromać sąsiada.

Często się, mówią, nałóg w naturę przeradza.
Taż jest konwersacyej, co nałogu, władza:
Kto z chromem długo chodzi, choć nigdy nie chromał,
Będzie się na tenże bok, jako i ów, łomał.
Tak natura afekty jednych w drugie wlewa:
Widząc ziewającego, choć nie chce człek, ziewa;

Patrząc na drzymiącego, zaraz go sen zejmie,
I choć oczy przeciera, przecięż i sam drzymie;
Kasze z kaszlącym, abo jąka się z jękotem,
Mokrzy kto, idzie i on w ką, choć mu nic potem;
Półka nakaszlawszy drugi i przeżuwa,
A ekliwy podle niego choć czezą ślinę spluwa;
Nie może jeść, tak mocny pochop idzie z oka,
Dla apetytu przy niem sadzają żarłoka.
Jeśliż się gwałt naturze złym dzieje przykładem
W ciele, cóż się nie ma dzieć duszy? Jako jadem
Świecka ją kompania truje: z jakim siedziesz,
Polska mówi przypowieść, takim i sam będziesz.
France, świerzbu, biegunki i choroby łożny,
I powietrza dostanie prędko nieostrożny.
Przebóg! jeden grzech gorzej, niech każdy uważa,
Wszystkie choroby ciało, ten duszę zaraża.
Więc niem zapowietrzonych ludzi się nie tykać,
A światowej, jako módz, kompaniej znikać.
Jeśliż ptak i zwierz, z dzikich przyniesiony gajów,
Zapomina swych, z ludźmi żyjąc, obyczajów,
Daleko prędzej człowiek, między złymi żywszy,
Do ich się grzechów przeda, choćby najenotliwszy.
W niedźwiedzia, jeśli ten zwierz, dzieckiem wzięwszy
[małem,

W boru wychowa, człowiek przetwarza się ciałem,
Cośmy w Litwie widzieli, tak ostrzy pazury,
Tak mrczy, tak zarasta, tak się pnie do góry.

Na toż drugi raz.

Niechaj na pilnej każdy człek to ma pamięci,
Że się sto razy prędzej serce nasze wnci

Do złego, niż dobrego, do grzechu, niż cnoty.
Przytkniesz do ognia siarką omoczone knoty,
Jednym się by w najmniejszej iskierce dotknięciem
Imą i tysiącem świec zapalą płomieniem;
Długo trzeba na drewno dąć przy węgla kupie,
Szukać ich po sąsiedzkich, nie masz li w chałupie,
Trzeba szcep na podniatę; przy surowym gaśnię.
Szczyptą kwasu trzy korce rżanej mąki skwaśnię;
Chce li ją kto osłodzić, bez wszego dowodu
Ledwie nie tyle drugie trzeba do niej miodu.
Jeden grzech na świat wyniósł człek z rajskiego sadu,
Tysiąca cnót na świecie trzeba dla przykładu.
Nie zatkasz groble palcem przekłótej zawczasu,
Gotuj sto for o jutrze do dziory tarasu.
Małym na świat ponikiem grzech przyszedł i drobny,
A dziś do utrzymania zda się nie podobny.
Głębiej ziemię, niż Egipt mętny Nil zalewa:
Tam ryżu, tu gospodarz kąkolu spodziewa.

Na toż trzeci raz.

Skaza natury winna z pierwszego Adama,
Że się jęła ludzkiego rodzaju ta plama.
Od grzesznych się grzechami, od chorych chorobą
Zarażają, bezpiecznie konwersując z sobą.
Nie mają do cnotliwych grzeszni szczęścia wzajem,
Chorzy do zdrowych, bo się chorym i hultajem
Na ciele i na duszy rychłej zdrowy stanie,
Niż choremu pomoże jego spółkowanie.
Nie umączyć we młynie, w smole nie umazać,
W sadzach nie kopeć żaden nie może dokazać.

Pierwej uważ, nim wnidzisz w dom, po co i w czyjej,
Długo czy krótko będziesz tam konwersacyj.
Godziny pełna z węzem Ewa nie zabawi,
Wždy się sama i wszytkich żywota pozbawi.
Dla Boga! trzeba by jej gdzie szukać za światem,
Tak zginęła pobożność, jako wytarł płatem.
Czymże bawią, jeśli się dzisiaj ludzie zjadą?
Już nie konwersacya, kiedy nie biesiadą.
O wiecznej szczęśliwości, o doczesnem lichu,
Chce kto mówić o enocie? do klasztoru mnichu.
Gdzie dwu, trzech, a dopiero gdzie ich więcej siędzie,
Bez węza tam, bez biesa, bez grzechu nie będzie.
Rodzicy w jabłku jedli, a ich dziś synowie
Grzech w winie, a w grzechu śmierć piją za swe
Wiwat krzyczą, a dyabeł *moriatur* szepce: [zdrowie.
Dość wina; niech też w piekle wrząca siarkę łepce.

Urząd pokazuje człowieka.

Póki nie wsiedzie na koń, nie wyjedzie w pole,
Nie może poznać jeździec, co umie, co zdole;
Aż zagrząwszy raz, drugi, dostanie języka,
Zrozumie, czy kolbaki godzien, czy orczyka.
Póki się darowany chart w izbie rozciąga,
Nie wiesz, czy wilka łomie, czy zająca siąga.
Obaczysz sprobowałszy, co się poszczwac zdarzy:
Jeśli abo gałęzi, abo godzien parzy.
Niech będzie człek rozumny, uczony, poradny,
Nie będzie li wezwany do funkcyj żadnej,
Siedząc w kącie, kiedy go bogatszy uprzęda,
Ludzie o niem, jeśli jest na świecie, nie wiedzą.

Jeden przykład z tysiąca wspomnię w Cyncynacie:

Ten, buławę w ogrodzie wzięwszy przy łopacie,
Pokaże to Rzymowi, ba całemu światu,
Że był godzien takiego dawniej magistratu.
Dziś wszystko za fortuną; kto mądry, niech to ma
Nagroda, że spokojnie może mieszkać doma,
Abo się gospodarstwem, abo bawić księgą,
Choć tych rozumem, co go pieniędzmi przesięgą.
I to się, że pieniądze głupstwo cierpią, zmieści
Rzadko kiedy inaczej między przypowieści.
Że zagrać miejsca długo u mądrych nie mogą,
Błaznowie je do piekła chowają załogą.
Aleć się i tu niemi każdy wyda głupi,
Kiedy urząd nie wedle stanu swego kupi.

Na toż drugi raz.

Póki Dawid do owiec służył za pasterza,
Dosyć nań było straszyc drapieżnego zwierza,
Choć ci, z czym sam przed królem Saulem się sławi,
Srogie lwy i niedźwiedzie przy baranach dawi.
Skoro wojska dopadnie, aż mała dziecina
Ich że mieczem giganty filistyńskie ścina;
Skoro korony, aż on wschodnim trzęsie światem
Wszystkim ziemskim monarchom strasznym potentatem.
Iglą Szawel krawiectwo między żydy robiel,
Aż ledwie apostołem Pan go przysposobieł,
Ledwie stał Pawłem z Szawłą, apostołem z krawca,
Pierwszy jego imienia u pogan wyznawca;
Już nie namioty z płótna, lecz na święte dusze
Z drogiego szył bisiuru weselne kontusze.

Jakie widział na Patmos Jan jego roboty:

Choć sam w opończy chodził dla deszczowej słoty
Ciałem tylko, jednak, co i nam każe, duchem
Z barankowej się wełny odziewał kożuchem.
I nam radzi, wdziawszy go sam, w Panu Chrystusie
Chodzić, ani pomyślać o inszym kontusie.

Na toż trzeci raz.

Każdy ksiądz, każdy kapłan w jakim kolwiek rządzie
Na jednym z Piotrem świętym przełożon urzędzie.
Wielki honor na świecie podkomorstwo, komu
Zdarzy się klucze nosić królewskiego domu:
Otworzyć, puścić kogo, chce zamknąć kogo, nie.
I dla tego u królów ziemskich trudno o nie.
Cóż, jeśli do honoru przystąpi intrata,
Sól do jaja, abo do pieczeni salata!
Wiernych, mądrych, cnotliwych przybierają do tej
Funkeyej, żeby się ich opiekali wroty,
Żeby, jako Jan święty w objawieniu pisze,
Psi i nadzy na dworze zostali hołysze.
Dopieroż komu kluczy Bóg zwierza od nieba,
Samemu naprzód pięknie, bialo chodzić trzeba,
Potym uważać gości, ktoby tam napierał,
Żeby się każdy w szaty weselne ubierał.
Nie ciało powierzechownie, ale wewnątrz ducha,
Bo go toż, co owego potka odartucha.
Jeden tylko Eliasza zamknie i otworzy
U żydów niebo, prorok oraz podkomorzy.
Wždy choć tylko od resy klucze miał i deszcza,
W jakiej czci jest u Boga, tenże Jan obieszca.

Ludziom dziś, nie deszczowi księża ani rosie
Zamkną abo otworzą drzwi do nieba, co się
Na to święcą po Pietrze pierwszym podkomorzem,
Choć nie mają tej wiary z łodzi chodzić morzem.

Do tegoż czwarty raz.

Większą moc, niż Elias, mają księża naszy.
Tego nie wiem, dla czego Pan Jezus ich straszy,
Że wzięwszy klucz do nieba, sami tam nie wchodzą
I ludziom, którzy chcą wnieść do niego, przeszkodzą.
Wždy na faryzeusz[e], nie na chrześcijańskich
Kapłanów ta należy przypowieść ust Pańskich.
Jakoż faryzeusze, nie wiedząc o niebie,
Otwierać go i klucze mieli brać do siebie?
Pewnie też apostołom nie mógł tego zadać,
Ani tym, co ich miejsca dziś mieli zasiadać.
Piekło wszystkim zamknęli: nikt nie wierzy, żeby
Miało być, uważywszy ludzi złych pogrzeby.
Byle grzechy powiedział, żaden tego czasu
Bez wolnego do nieba nie umiera passu.
Nie rzkać, nie zamykają drzwi do niego księża,
Lecz bez braku otworzą wszystkim na ościeża.
Jeśliż tym otwierają, którym prawo Boże
Zamyka, a któż wątpić o zbawieniu może?
Kto nie da dziesięciny, jaką w głowie roi,
W kościele się, dopieroż w niebie nie ostoi,
Choćby miał wszystkie cnoty. Snopki a pieniądze
Najgrzeszniejszym do niego odłożą wrzeczadze.

Na toż piąty raz.

Ale, tego mię — proszę — niechaj kto nauczy,
Na co ludzie do nieba mają szukać kluczy?
Wszak nowe Jeruzalem, tak o niem czytamy,
Co niebo figuruje, otwarte ma bramy.
Wolno zawsze każdemu jakimkolwiek kształtem:
Prócz jednego złodzieja, może wnieść i gwałtem.
Pytać: kogo złodziejem, kogo nazwać zdrajcą?
Kto żyjąc tu bezbożnie, tam się złotą szwajcą,
Kiedy drzwiami dla ciężkich grzechów wnieść nie zdole,
Przekupiwszy odźwiernych, oknem w niebo kole,
Jako chciał Symon Piotra, alec wzięł od kosza,
Gdy za świętego Ducha pieniądze przynosza.
Kto minąwszy drzwi, weścia inszego w dom szuka,
Złodzie[je]m Pańska zowie każdego nauka.
Sam Pan Jezus drzwiami jest i to, czego uczy.
Nie trzeba szukać inszych do nieba nam kluczy,
Które dziś teolodzy z wielką ludzką szkodą
Właszczą sobie; alec się i onych zawiodą.
W mądrości zawisnęły. Któż mędrszy nad Boga?
On sam drzwiami; w nim prawda, w nim żywot,
Zdaleka umiejętność i nauka człeczca [w nim droga].
Za mądrością; niech się w nią nikt nie ubezpiecza.
Tąc się to presumpcyą nauki rozgrzeszą,
Ze klucze faryzei u pasa powieszą.
Niechżeby i dziś mądrzy, ale ledwie czytać
Umiejąc, śmieją drudzy tych się kluczy chwycić.
Cóż mówić o żywocie? choćby też co miałka
Głowa miała, wypali z hanyżu gorzalka.
Tym chudzi plebani klin wybijają klinem,
Kanonicy węgierskim, i to dobrym winem.

Na tak wysoki urząd będąc powołani,
Bo królewski, niechaj się postrzegą kapłani,
Ponieważ co człek umie, urząd to pokaże;
Niech swego przywileju grzechami nie maże
Żaden. A któż tak wielu do niego powoła?
Sami się i oknami garną do kościoła,
Żeby o cudzej pracy, zwłaszcza którzy podło
Rodzą, swobodniej się im wedle ciała wiodło;
Którzy z cieśniej dopadszy przestrzenniejszego bytu,
Żadnego w cielesności nie znają dosytu.
Wielu desperacya, świeckich fortun strata
Na rekrud do ołtarza w rzeczy goni świata,
A ktoby w serce wejźrał, żeby szerzej na niem
Żyć, śmieiej grzeszyć mogli, to jest moim zdaniem.
Ani chcą wierzyć, że to rzeczą jest nie można
Wniść Duchowi mądrości w duszę niepobożną,
Która się ciałem, światem i grzechem uwikle,
Co się dzisiaj w Kościele Bożym dzieje zwykle.
Ni enoty, ni nauki; byle dopadł plesza,
Aż on najgorsze grzechy do nieba rozgrzesza.
Choć ich nie z tej Pan Jezus poznawać pieczęci,
Ale z uczynków każe, jeśli w ciele święci.
I biskupom się kwapić z kładzeniem rąk broni
Paweł święty, aż będą w cnocie doświadczeni.
O! gdzieżby ludziom podłym zamkniono te wrota,
Dalekoby przestrzenniejsze miejsce miała cnota.

Na toż szósty raz.

Nie sami tylko księża; wszyscy wierni Boży
Królewskiem są, choć ich tu fortuna zuboży,

Kapłaństwem; narodem są wybranem i świętem.
Żaden od Piotra z tego pocztu nie wyjętem.
Ołtarzem Chrystus; wszyscy, którzy Boga chwala,
Na tym kamieniu duchem ofiary mu palą,
I ktokolwiek w ten kamień żywą wiarą wierzy,
Stanie przed Bogiem jego ofiara pacierzy.
Nie samą księżą; wszystkich Piotr święty ogulem
Prawdziwych katolików tym zowie tytułem.
Do samychżeby księży, dowód oczywisty,
Pod tytułem do wszystkich pisał swoje listy?
Wszystkim dać Bóg ten honor swoim wiernym raczy,
Że sprobuje, że na nim każdego obaczy.
Ale w sercu zawisła ich urzędu władza:
Na ziemskie się urzędy leda kto wysadza.
Tak wiele podłych ludzi i prostych żołdatów
Do buław, ba do koron widzim kandydatów.
Prawdziwy chrześcijanin w tym swego urzędu
Moc najpierwszą pokaże, gdy żadnego względu
Na rzeczy ziemskie nie ma, umysłem wspaniałem
Depce wszystko, co z światem, co ma spółek z ciałem.
W onej wszystkie swe zmysły utopił koronie,
Która nigdy nie więdnie, ani śmiercią płonie.
Na żadne się znikome rzeczy nie łakomi,
Afektem rozkazuje, nieprzyjaciół gromi.
Na tym urzędzie wedle przypowieści męża
Poznać, który siebie wprzód samego zwycięża;
Wszystkie, jako od ściany groch, ludzkie przygody,
Ani ma śmierci śmiercią, ani szkodą szkody,
Od niego odpadają; w jeden komput liczy,
Tak dobre, jako i złe; obojgiem się ćwiczy.

Samego grzechu, jako złodzieja, się boi,
Przeto zawsze w paracie, zawsze chodzi w zbroi.

Na toż siódmy raz.

Wysokim Bóg człowieka stworzył urzędnikiem,
Kiedy go swoim czyni w raju namiestnikiem:
Wszelkie ciało i wszystko, co ziemia niska ma,
Co się pod słońcem rodzi, słuchało Adama.
Przecież żeby wyższego znał Pana na niebie,
Parę tylko jabłoni zostawił dla siebie.
Dziedzic, jeśli się przyda wieś komu zastawić,
Ma li tyło, woli nic sobie nie zostawić;
Bóg, stwórca świata, żeby nie ujął intraty,
Choć z łaski człeku puścił raj bez defalkaty,
W naszczepionym ręką swą sadzie drzew się parą
Kontentuje, śmiertelną warowawszy karą.
Pokazał tak wysoki urząd zaraz męża
Głupiego, kiedy żony, ta usłucha węża.
Popisał się namiestnik Boży na urzędzie,
Męski rozum poddawszy białogłowskiej zrzędzie.
Choć i tej miał panować. Idziesz na świat z płaczem,
Z namiestnika Boskiego zostawszy kopaczem.
Tąż motyką, którą tu w ziemi szuka chleba,
I samego na koniec śmierć w ziemię zagrzeba.

Na toż ósmy raz.

Niech wszyscy przykład bierą w Adamie i w Ewie.
W małej rzeczy się Bogu przeniewierzą: w drzewie,
Zaraz ich z raju na świat pędzi do motyki.
Nie w drzewie, na dzisiejsze patrząc urzędniki,

Ale gwałcąc i Boskie, i ludzkie ustawy,
Bredzą, urząd publicznej wzięwszy na się sprawy.
Na swoje kółko wodę ciągną, ich młyn miele,
Więdnie w publicznym, kwitnie w ich ogródku ziele.
Rzeczpospolitą gubią, przecież ich nie złożą
Z urzędu, aż go sami z żywotem położą,
Żeby nie nie ubyło ich krótkiej ozdobie,
Aż ojczyźnie nagrobek na swym piszą grobie.
I chociaż się w dyskursach pięknych czymśi zdadzą,
Aż skoro ich z dyskursu na urząd wysadzą.
Ani wiedzą, co mu rzec, skąd począć, i coby
Zdobiec wzajemnie, szpecą się miasto ozdoby:
Urząd czeka, on go też. Nikt o tym nie wiedział,
Że dureń, póki w domu swym prywatny siedział.
Dopiero na drabiuie złodzieja obaczą,
Nie tylko sroki rzekcą, i wrony nań kraczą.
Co dotąd w opiniej grzeczności zostawał,
Mógł dłużej, gdyby go był urząd nie wydawał.
I on go też z swym chydzi oraz dyshonorem:
Nikt po błaznie nie chce być grzeczny sukcesorem,
Który świni, jak mówią, nie uciawszy ucha,
Pieniądzmi się honoru dopina z piecucha.

Sam się chwali, złe samsiady ma.

Przyrodzona to ludziom, że jako swej twarzy
Nie widzą, chyba komu w zwierciadle się zdarzy,
Tak wielu wad na ciele, a na duszy żadnej,
Choć wszystkim grzech widomy, choć będzie szkaradny.
Naprzykład jeśli mu z ust, abo z nosa cuchnie,
Nie czuje, chociaż sąsiad ledwie że nie puchnie.

Chrapiąc, wszystkich obudzi; sam śpi, biednej myszy,
Skrob[ni]eli w kącie chleba kawałek, dosłyszcy.
Aleć gorszy smród gębą, niż wychodzi z brzucha,
Kiedy człeka chlubnego rozsądny kto słucha.
Dopieroż jeśli kłama, a choć prawdę gada,
Chwałą swą nad owego wyżej się przekłada:
Ledwie siędzie za stołem, chociaż szlachcie pewny,
Będzie liczył, kto z ojca, kto mu z matki krewny,
Jako jeździ na zgody i na defalkaty,
Jako u ludzi wzięty, dalej swe intraty,
Swe gospodarstwa baje, jako na sejmiku
Bezpiecznie mówi, ani gości ma w języku.
Obaczy co u ciebie, abo w gębę włoży:
I w moim się to znajdzie domu z łaski Boży.
Ksiądz, jakie miał i kędy, z swoim się kazaniem
Dowcipnym popisuje, i kogo miał na niem.
Szlachcie, jeśli pożyczcy, abo da co komu,
Kogo miał gościem, jako częstował go w domu,
Chwali się, a lepiejby, gdyby go samsiedzi
Chwalili; aleć ich sam do tego uprzędzi.
Nie wie, że własna chwala śmierdzi; nie uważa,
Że smrodem uszy, choć go nie czuje, zaraża.

Na toż drugi raz.

Jaka była z dawnych lat samsiedztwa powaga,
Mówię o dobrym, niż się naród ludzki wzmaga,
Niż rozrodziwszy ziemię ściśnie, pisma głośzą:
W równi z braterstwem, abo nad nie go przenoszą.
Spólnem cieszą weselem, wspólne żale cierpią
Ci, którzy z jednej studnie spólną wodę czerpią.

Więcej tam woda mogła, niż dziś krew, choć blizka,
Niż dziś przyjaźń nabyta z wina, i z półmiska.
Bo niż na przyjaciela śmielej, niż na brata,
W nieszczęściu na samsiada wołał samsiad: rata!
Tamtym się wprzód opasać, obuć, szczosać włosy
Trzeba było; do ognia biegał samsiad bosy,
Biegał bez pasa. Stąd ktoś i tego dokłada
W inwentarzu wsi, że ma dobrego samsiada.
Jeden by za drugiego dał się i umęczyć;
Dziś, żeby mógł samsiada ze wsi wymierzęczyć,
O tym myśli; nie mogąc w oku cierpieć soli,
Nie tak go choć największa własna szkoda boli,
Jako, że mu się lepiej, choć sam na się orze,
Żyto rodzi na polu, dobytek w oborze.
Chce kopców dalej pomknąć, rozprzestrzenieć międze.
Zazdrość z łakomstwem, te dwie w sercach ludzkich
Wyżarły szczyrość, miłość bliźniego. Już enoty [jędze,
Niemasz i pobożności: wszyscy ciągną koty,
Wszyscy poszli za światem, ba za dyablem raczy:
Ten wszystko, żeby piekło napelnił, zopaczy.
Mając milami gruntów, przecięż ciasno siedzą,
Choć, że im na trzy łokcie dosyć ziemie, wiedzą.
Nie samsiedzi; bracia, co pod jedną wątroba
Zmieścili, nie mogą się we wsi zmieścić z sobą.
Syn w ojcowską, jeżeli nie skoro umiera,
Metrykę, żeby rychlej dziedziczył, zaziera.

Nieme pfe.

I dziś na komedyach dla aktu ozdoby
Nieme między mówiące mieszają osoby.

Może i na bankiecie, kto z tym umie sprawić,
Wieczór próżny półmisek przykrywszy postawić.
Nie jeden trębacz, że go w kupie nikt nie słucha,
Trąbę tylko do gęby przytknie, a nie dmucha.
Dwojaki senatorów rząd w Rzymie zasiada:
Krzesłowi i drażkowi; kiedy była rada,
Sami tylko krzesłowi swe dawali zdanie;
Ci, milcząc a słuchając, pozwalali na nie.
I ta im była szkoła, ta im była książka,
Żeby mogli na krzesła przesiadać się z drażka.
Przez pięć lat trzeba było każdemu oniemieć,
Kto w szkole filozofów greckich chciał miejsce mieć.
Takaż moda do Polski z Rzymu się przeniosła:
Są, co drągi, są, którzy zasiadają krzesła,
Prócz że się od krzesłowych drażkowi nie uczą:
Pierwej, niż oni, mówią; nie mówią, lecz huczą.
Wieluby trzeba z krzesel na drażki przesadzić,
Co i mówić, nie tylko nie umieją radzić.
Nie wszyscy, mówię, ale na większe ich poły,
Bo jako z pustej sowa lub wróbel stodoły,
Takie wota z ich głowy; dość, że się odyma
W jupie, jedno się słowo drugiego nie trzyma.
Niechże kto na sejmiku szlachcie się przysłucha!
Rzekłbyś, że nieme dzwony bez serca, bez ucha;
Aż skoro gęby wino, abo palakietą
Otworzy, wszyscy krzyczą, jakby rzekł efeta.
Wszyscy oraz, a każdy inszego co gada;
Grzmi kościół i ledwie się mur w sztuki nie pada.
Gorzej, niż na Rusawie gdzieś między Deineki.
Do takiej pospolita Rzecz przyszła opieki!

Na koniec zerwawszy go, do domu rozjadą.
A cóż nie ma za taką długą stać obradą?

Głowa bez języka.

Piszą o krokodylach w Nilu, sławnej rzece,
Że, w szkaradej nie mając języka paszczęce,
Głosu żadnego ani wydać mogą pisku,
Ale same okrutne zęby noszą w pysku.
Zębami się da słyszeć, gdy bestya zgrzyta
Tymi, czego dopadnie; ludzi naprzód chwyta.
My tylko o Egipcie słychamy i Nilu,
Wżdy ani tam widują krokodyłów tyłu,
Co ich jest między nami, którzy się tym bawią:
Nie mogąc dobrze mówić, mileżkiem ludzi dawią.
Cudzą sławę paszczeką szarpia, która to ma
Pokarmem i żywiołem, gorzej, niż zęboma;
Abo więc podrzuconym z niemym krokodylem,
Żeby głębiej ukąsił, szkaluje paskwilem.

Do tegoż drugi raz.

Częstokroć widujemy w ludziach to z natory,
Że choćby najuczeńszy, przecię rzadko który
Oraz dobry i piórem będzie, i językiem,
Jako skąpy, bogaty człowiek politykiem.
Jedną bez ręki, drugą bez języka głowę,
Kto ni pisze, ni mówi, leda czym nazowę.
Są, co dobrzy obojgiem, ale jeśli cnoty
Z dobrym niemasz przykładem, pogaszone knoty.
Wszystkim to, lecz najpierwej należy duchownem:
Niech będzie ksiądz piśmiennym, niech będzie wy-

[mownem,

Jeśli serce bez cnoty, żywot bez przykładu,
Zęby ma z krokodylem tylko do obiadu.

Wiedział święty Marcin, dlaczego płaszczą urznął.

Wiedział, dla czego urznął święty Marcin płaszczą:
Żeby Chrystusa, który to sobie przywłaszcza,
Co kto ubogiemu da, odział choć nie całem,
Byle nagiem nie świecił w oczu ludzkich ciałem.
Rzeże, choć mu nie zbywa nic od stroju fozy,
Choć szpetnie będzie, byle nie czuł zimna w mrozy.
Mógł on, od czegoż krawiec? dać płaszczą nadstawić,
Mógł za płatek szarlatu żebrak gunię sprawić.
Czemuż dziś chrześcijanie przykładem Marcina,
Choć toż z niem co dzień słyszą z ust Bożego Syna,
Że go w ubogim każdy karmi i okrywa,
Nie rzeżą i nie dają tego, co im zbywa?
Z jakimi ogonami widzujemy księżą!
Które nie tylko szpeca, ale im i ciężą,
Bo wadzą do chodzenia, gdyż tak będzie długi,
Że sami nosić, abo chować muszą sługi;
O jakie, czego z świętych pism wszyscy wiadomi,
Starych faryzeuszów tenże Chrystus gromi.
Dość go odbyć szelągami, a jeszcze nań włoży
Sto pacierzy. Wszak go też nie przedano droży,
Tylko za dziewięćdziesiąt wedle polskiej kwoty,
Trzy szelągi w grosz licząc, tych trzydzieści w złoty.

Do tegoż.

Jeszcze koń Daryusza, (ktoby rzekł, że konie,
Mogą prywatnych sadzać na królewskim tronie?)

Nie obrał królem perskiem przez pierwsze zarżenie,
Kiedy mu Sylosontes, sąsiad, nie tak w cenie
Drogich, jak w kroju dobrych, bo na jego miarę
Zrobionych upominkiem szat posyła parę.
Lecz mu je wkrótce, panem zostawszy z sąsiada,
Nagrodzi, kiedy Szamską nań koronę wkłada,
Swego Polikratesa skąd fortuna płocha
Na żaloszny hak z tronu wyżenie pieszczocha.
Było więcej przykładów i przedtym, i potem,
Gdzie dary nieśli panom poddani wymiotem;
I nagradzało się im. Dziś na cienkim włosie
Złote wędy rzucają; rzadki bowiem, kto sie
Oblowi. Więcej takich, którzy oraz z wędą
Nadzieje, żeby się im wróciła, pozbędą
Ryby; i podobieństwem dość łaski pokaże,
Gdy przyjmie i kieliszek nalać wina każe.
Najlepsza z Bogiem sprawa: niech będzie z ołowu
Węda, pewien i pełen każdy z niej obłowu,
Ktokolwiek w morze jego miłosierdzia rzuci,
Byle nie na włosieniu, nikogo nie smuci.
Niechaj warowną linę, ba łańcuch wiary ma;
Włosień zerwie i wielkiej ryby nie dotrzyrna.

Grabstwo.

Kto chce mieć grabstwo ze wsi, jak bydło z korabia
Noe, niech z niej wyżenie chłopów. Będzie grabia:
Będzie miał gdzie zające, będzie miał szczuć lisy.
Skądże jeść, pić, skąd sługom płacić? Na zapisy.
Choć grabstwo długi przejdą, byle na tytule
Grabią się podpisował, grabią w protokule.

Taką rzeczą wprzód, niż go śmierć do grobu zwabi,
Niech się wideł, niech grabia nie zarzeka grabi.
Pocóż do Wiednia z kosztem jeździć, kiedy kto ma
Wolność bez przywileju grabią zostać doma?

Ciało bez piersi.

Wprzód głową, toż piersiami człek człekiem do brzucha;
Dalej z niem każde bydło, że i kłapoucha
Zrówna świnia. W głowie mu rozum, a pod władzą
Rozumu serce w piersiach kościanych osadzą
(Bo niżej kości nie masz, te im armatura)
Bóg i która nie darmo nie robi, natura.
Mać i głowę, i serce, ale bez rozsądku,
Gdyż tylko bydło myśli o samym żołądku.
Co rozumie gorszego: głowę bez języka,
Czyli piersi bez serca? pytam się fizyka,
Abo czy bez języka, czy bez mózgu głowę?
Tu całe złe, tam przecię dobrego połowę.
Że człowiek mogąc mówić, mileczy, nikogo tem
Nie urazi, lecz komu gęba kołowrotem
Głupia lata, jakoby strzelał między ludzi,
Nigdy nie chybi: rani, abo opaskudzi.
Co komu da natura, rzadko i odmieni:
Wadę czy zwyczaj wszyscy mają tę uczeni,
Że łacniej pisać piórem mogą, niżli gadać:
Trzeba im, swych conceptów ucząc, długo siadać.
Jeśliż cudze uważać, nim zrozumie, musi
W księdze, dopieroż swoje, nim wyrzeczce, dusi.
Każde w gębie słowo mu trzeba przeżuć wprzody,
Trzeba mówić powoli, nie można w zawody,

A zwłaszcza widząc, że go nie słuchają głąbie.
Siłuz dziś od początku do końca drwa rąbie!
Wždy między oratorów pospólstwo ich liczy,
Choć prócz brogu próżnych słów, nie niemasz w zdo-
[byczy.

Mądrze radzić z rozsądkiem, to sztuka, dojrzałem,
Gdzieby miejsca nie miało: a, nie rozumiałem.
Lecz niech kto dziś najlepiej, najgruntowniej radzi,
Jeśli nie pięknie, jeśli w słowa się nie sadzi,
Tak, jako i kazania, choć z świętego Ducha,
Jeśli w sobie conceptów nie ma, nikt nie słucha.

Sumnienie tysięcy świadków.

Co dusza ciału w ludziach, to sumnienie duszy.
Niechaj w ciele choroba krew gorączką suszy,
Niech stęka, niech boleje; jeśli dusza zdrowa,
Na oboje i wynisć, i zostać gotowa.
Lub ją doktor zatrzyma, lub ją śmierć wyżenie,
Ma wcześniejsze mieszkanie, lepsze odpocznienie.
Niech kat kleszczami targa, ogniem pali ciało,
Nie czuje dusza męki i zostaje cało.
Chociaż tamto na wszystkie afekcyje chore,
Ściana gospodarzowi, nie gospodarz gore.
Jako zaś z drugą stronę jeśli ściśnie ducha
Przeciwnych w sercu człeczym rzeczy zawierucha,
Rozmaite nieszczęścia, żale kładę wprzody,
W dzieciach już wychowanych kłopoty i szkody,
Ciężko to wszystko duszę nędzy, ciężko boli;
Druga się wyścium z ciała gwałtownym wyzwoli.
Jeśli sumnienie czyste, nie tego nie czuje,
I owszem, ciesząc duszę, o to nie frasuje.

Bo jako tej cielesne, tak duszne sumnienia,
Byle czyste, nie tkną się świeckie utrapienia.
Śmierć nawet zyskiem liczy, ani się jej lęka,
Na jeden grzech boleje, na jeden grzech stęka.
Ten go morzy, a zwłaszcza jeśli dusza chora,
Nie chce czuć bólu ani myśli do doktora.
Jeśli człek zdrowym będąc na ciele i duszy,
Nie chce widzieć do siebie, że w grzechu po uszy,
Nie dba o terażniejszą rozkosz, żywot, zdrowie;
Przyszłe rzeczy sumnieniu i w sercu i w głowie,
Królestwa i niebieskiej szczęśliwości strata.
Z którą złożone gaśnie państwo tego świata;
Nie dba na wszelkie nędze i ziemskie uciski,
Wiedząc, że krótkie, że ich koniec czeka blizki;
Piekło mu w głowie cwała i strach wtórej śmierci,
Skąd go żaden czas, żadna wieczność nie wywierci.

Na toż drugi raz.

Niech się kto z grzechem swoim tak skryje głęboko,
Mniemając, że go Boskie nie dosięże oko,
Choć wątpię, żeby mógł być głupi tak dalece,
Bo jako nic suchego nie może być w rzece,
Zimnego w ogniu, tak też pod słońcem, czego by
Widzieć nie miał i ziemne przeglądając groby.
Dajmy to, że nie widzi, z czym się grzesznik chroni,
Jako nie wie, co w księdze, człek, nim zajrzy do niej;
Aż skoro się otworzy, co była rzecz skryta,
Co ma w sobie, od deski do deski wyczyta.
Nie księgą, ale jedną na stole otwartą
W oczach Boskich sumnienie ludzkie leży kartą:

Wie wszystko, co się kiedy co działo z niem kędy,
Tak widzi proste ścieżki, jako jego błędy;
Widzi, gdzie padł z trefunku, gdzie w błoto z rozpusty,
Czy do cnoty większe miał, czy do grzechu gusty.
Sam się każdy osądzi, swą odmierzy piędzią,
Mając własne sumnienie świadkiem, potym sędzią,
A co gorsza i katem, bowiem serce człeczce
W tym i w przyszłym żywocie męczy, pali, siecze.
W tym ci go pospolicie na wielkiej obłudzie
Duszy i ciała swemu usypiają ludzie,
Mocnym zalawszy trunkiem. Ano gorsze rany
Kat, niż trzeźwy, daleko zadaje pijany.
Czego anioł nie może, i człek, bowiem skryto
Duchownym i cielesnym oczom, Bóg widzi to.
Myśli widzi, których ten, co je roi w sobie,
Nie może i prędko mu niepamięć wyskrobie.
Długo myśli o grzechu; skoro człek dokaże,
Jakby nigdy nie zgrzeszył, z serca grzech wymaże.
Ale to, co raz Bogu do rejestru wpadnie,
Chyba, że łzami spłócze, nie wyskrobie snadnie.
Bogu serce, ludziom twarz i pozwierzchnie znaki,
Bogu zawsze, a ludziom rzadko człeka, jaki,
Wydają. Ludzie myślą na twarzy się radzi:
Zblednie, czy zaczerwieni. Boga nikt nie zdradzi.

Żyda gdzieś rozbił. Mysorum praeda.

Mizerni znać bywali przed laty Myzowie,
Od których się to naprzód poczęło przysłowie.
Czy byli bojaźliwi, czy słabi, czy głupi,
Że ich każdy, jako dziś w Polsce żydy, łupi.

Rozbije gdzie na leśsie potkawszy kto szota,
Spodziewa się w zdobyczy srebra abo złota.
Jeśli też na śmiałego trafi zbójca, że się
Bronić będzie, kulą w bok zdobyczą odniesie.
Rozbije abo odrze mizernego żydka,
Garść pieprzu i barania skórka korzyść wszystka.
Drugi napastwiwszy się i żywot wydziera
Bezbronnemu. Gorsza ich od zajęcej biera.
Jest na świecie i teraz Myzów takich więcej,
Daleko mizerniejszych jeszcze od zajęcy,
Bo choć nie zdole bronić, wždy zajęć ucieka;
Biedny człek, cierpiąc starą, nowej krzywdy czeka,
Tym samym, jakoby chcąc, zaciąga ją na się.
Któryż jastrząb, mając ściern gotowy, nie pasie?
Wszystka w płaczu pociecha, choć i takich wielem
Widał, co przyjmowali krzywdę swą z weselem.
Szczęściem kładli zniewagi i wszelakie szkody,
Spodziewając się w niebie obfitej nagrody.
Co Chrystus obiecał, mając to w pamięci:
Kiedy się weseli świat, Kościół jego smęci.
Lecz przyjdzie czas, że się wspan obróci to koło:
Zapłacze, kto tu śmieje, zaśpiewa wesoło,
Kto dziś płacze, ufając obietnicy Boży,
Kto nań, sam się jej nie mszcząc, swoją krzywdę
[włoży.
Krótki śmiech świeckich ludzi, często i nieszczyry:
Gęba śmieje, a serce ciężkie bodą tyry.
Co się szczyrze rozśmiejają, tych wesele wieczne,
Którym Bóg w zmartwychwstanie łyzy otrze serdeczne.

Do tegoż.

Sąsiad, ale pan, lekce równego szlachcica
Ważąc, a widząc, że mu zrodziła pszenica,
Prawa z lewem nie bojąc, fantazyja dumna,
Każe jej sto kóp w nocy do swego zwieźć gumna.
Cichy tamten, spokojny, człek skromny i stary,
Tym wzgardzeńszy, że nie był katolickiej wiary.
Wstawszy rano gospodarz, chcąc też wozic kopy,
Już je widzi na wozach, że spadały snopy,
Bo z pośpiechem kradzione. Jeśli wam nie zbyte —
Zawoła na złodziejów — pozbierajcie i te;
Już, co mu należało, wziął pleban w wytyczy.
Pyta pan: co za szczęście swej mieli zdobyczy.
Bo dla gwałtu i słudzy byli, i dragoni:
Że nie było żadnego; nie tylko nie broni,
Ale sam snopy, które zwykły z wozu spadać,
Kazał gospodarz zbierać i lepiej układać.
Słowa nam złego nie rzekł; nie świadczy, nie grozi,
Ostatek do stodoły swojej dzisiaj zwozi.
Zdumiał wprzód, potym skruszał tak wielką pokorą,
Czym prędzej każe nazad wracać im z tąż forą.

Wyskakuje z pasternika.

W jakiej kogo fortuna chciała tu mieć grodzy,
Niech nikt sercu swojemu nie wyrzuca wodzy;
W tej niech trzyma afekty okrom jednej cnoty;
Tu najwyższe natury niech przesadza płoty.
Noc, gniew, miłość, toż mądrzy przypisują winu;
Żadnych granic, żadnego nie znają terminu.
Jeśliś kmieć, nie czyń że się, nie bywszy, mieszczanem;
Mieszczanin, nie mieszejże z szlacheckim się stanem;

Szlachciceś, nie szukajże grabstwa w Niemczech sobie,
Żebyć zółc nie puknęła puchą na wątrobie.
Nie szukaj krzesła, jeślić dobrze i na stołku;
W którym ocerklowała fortuna cię kolku,¹
Nie patrz dziory do wyścia, ani go przeskakuj,
Swego trzymaj, radzę [ci]; cudzego nie smakuj.
Nie jeden w dziorze uwiązł, nogę w skoku złamał,
Zawodu bez uwagi do śmierci się sromał.
Ubogis? nie chcej wielkim na świecie być panem;
Dość, że cię stanie z pieprzem jadać a z szafranem,
Piwo pić, mić na grzbiecie wedle stanu szaty,
Grosz zawsze nad potrzebę. Jeśliż też bogaty,
Dajże pysze, daj pokój z swego mienia chlubie:
Długo porasta, w moment ptaka człek oskubie.
Jabym życzył każdemu bogatemu szczerze
W tak trwale na tym świecie odziewać się pierze,
Które choć śmierć do kości odrze z skóry ciało,
Będzie się dusze jego na wieki trzymało.
Niechaj zna sługa pana, niech zna Boga wolny,
W rzemieśle i w nauce mistrza uczeń szkolny;
I gość się, i gospodarz, i sędzia się zmieści,
I każdy stan żywota do tej przypowieści.
Każdego, ale się też i żartownych tyka:
I w tańcach wyskakują ludzie z pasternika.
Każdą, na którąkolwiek rzecz człowiek pomyśli,
Prawo, przystojność, zwyczaj swą miedzą okryśli.
Grzeszy przeciwko ludziom, grzeszy przeciw Bogu,
Kto i weścia, i wyścia nie pamięta progę.

Na toż drugi raz.

Murem nie płotem, kędy zawarcie i pasze
Jego owce mają, Bóg swój Kościół opasze;
A wždy przez oblane krwią jego Syna mury
Grozy i obietnice ludzie dla natry
Przeskakując do świata, ani grozy, ani
Uważając obietnic. rzekłbyś, że wygnani.
I wilk nie zaśpi gruszki, jak mówią, w popiele;
Jastrząb, co w pierzu, dyabeł ugania, co w ciełe.
Nie mogąc sam wleźć, ani wskoczyć do Kościoła,
Ludzi z niego do świata na grzech wabi, woła,
Stawia cienie obłudne na szpary, na nici,
Dawi na duszy, jako ptasznik, co uchwyci.
Wziął Bóg miarę całego ludzkiego rodzaju
Z Adama, który nie mógł osiedzieć się w raję:
Ledwie wyskoczy, śmierć go, jako jastrząb z klatki
Ptaszka, prowadzi rzeźnik barana do jatki.
Chce wrócić do Kościoła z świata i na mur się
Wspina drugi; ale kto jego nawykł bursie,
Ciężko dźwignąć od ziemie, nikt szczerze nie żąda,
Nikt nazad nie przeskoczy; dość nań, że zagłada.
Nie ściany Kościół Boży, ani czynią mury;
Ani też ciała ludzkie: jedne do figury
Pozwierzehne instrumenty; w duchu Kościół Boży
Prawdziwy zawisł, w duchu sam go Bóg założy.
Duchownym chrześcijanin każdy jest Kościołem;
Nie w ciełe, które spólne z wieprzem ma i z wołem,
Choć do tego budynku należy i ciało
Póty, póki się z duchem swoim nie rozstało;
Skoro w ziemie rozsypie prochem i popiołem,
Człek czlekiem być przestanie, dopieroż Kościołem.

Jedni drugich członkami jesteśmy w Kościele,
A toby żadną miarą nie mogło być w ciebie.
Niechaj kto mieszka ciałem w budynku kościelnym,
Wyskoczył duchem, jeśli w grzechu jest śmiertelnym.
Trzępie pacierze, wota wiesz, wzdycha w rzeczy,
Świeczki stawia, a dusza gdzieś u dyabła beczy.
Pasterze źli, głupim nikt owcom niech nie dziwi:
Drogę im pokazując, źli pasterze krzywi.
Koniecznie chcą na świecie, jak na piasku gołem,
Choć nie wszyscy, paść trzodę Bożą za Kościołem.
Wiecież jeszcze, kto z tego, który Bóg zamyka,
Swowolni małżonkowie skaczą, pasternika:
Kiedy nie kontentując ta mężem, ten żoną,
Oboje zakazanej szuka paszy stroną.
Wszystko co końca, miawszy początek, dobiega,
W których się rodzi, swoich terminów przestrzega;
Jeden człek śmie od Boga i samej natury
Wymierzone rozumem przeskakiwać sznury.

W pogodę opończę zedrzyć.

Kto w pogodę opończę drze, nie mając iny,
Drży i moknie na deszczu. Stare to nowiny.
Drze futro lecie, z młodu kto majątność tyra;
Na zimę, na starość się przyszlą nie obziera.
Skoro zbiegły wiek ręce i głowę odymie,
Niemasz kopy w kalecie, niemasz futra zimie.
Lepiejby się w tę biedę nikomu nie wpadać:
Lecie futra, a z młodu pieniędzy oszczędzać.

Na toż drugi raz.

Powlokszy malowaniem płótnem wilki lecie,
Płótno na spód, te na wierzch obracał na grzbiecie.
Zimie wspancznej zażywał szlachcic jeden fozy:
Wilki do ciała, płótno na wiatry, na mrozy.
Pytam go o przyczynę, i tak się wywodzi:
Zimie grzeje wilczura ciało, lecie chłodzi.
A czemuż się — rzekę — wilk tej mody nie imie,
Gdy lecie ani skóry nie wywraca zimie?
Nadstawić niedostatku trzeba animuszem:
Lecie żupanem, zimie wilczura kontuszem.
Wielki błąd o wszystkich, co nie mają wilczury:
Muszą słońcu i zimnu swej nadstawić skóry.

Na toż trzeci raz.

Zdarł opończę, co często pada na młodzika:
Stracił zdrowie, niż domu, bo u cyrulika
Więcej mieszkał. Na kogo trzy rzeczy się zmovią:
Zbytek, miłość i zwada, rękę, nie uzdrowią.
Do wojska? niemasz się z czym popisować zgola:
Kapturka by do szable nie wylatał z czoła,
Język mu w gardle ugnił, nie dotrzyma broni,
Całego palca z pięciu nie mając przy dłoni.
Żeniłby, ale się go każda grzeczna liszy.
Na chór śpiewać, kogo tu swawola omniszy.
Ale naśpiewa kata: ledwie nosem kszyka,
I to w poly ze smrodem, nie mając języka.
Zdarszy opończę, kupisz; lecz straciwszy zdrowie,
Nie dostaniesz, choćbyś chciał najdrożej, w Krakowie.
Dziś chodzi, jak świnia w deszcz, bo w dziorawej kapie
W każdym kącie, kędy się obróci, nań kapie.

Na toż czwarty raz.

Ciepłe lato poczyna, wiosna bieg swój kończy,
Pogoda, sucho. Panie, szkoda drzeć opończy.
Z tym astrolog na zamku dworzanina wita.
Aż ów mu w jego własnych minucyach czyta:
Dziś pewny deszcz; darmożbym dał za nie dwa grosza?
Wziąwszy ów w kupie ludzi śmiejących od kosza,
Widząc, że dyskursami dalszymi nie wskora:
Jeszcze — rzece — daleko, panie, do wieczora.
Nie w godzinę, nie w kwadrans, lecz w jedną minutę
W najweselszy dzień może zebrać się na plutę.
Więc jej — rzece — nie zdejmę od takiej przygody;
Dalekoby posyłać po nią do gospody.

Do tegoż piąty raz.

Kto pluty, kto uważa serdecznych łez lici,
Którymi człek na świecie przemaka do nici?
Oplakane najazdy przeciwnej fortuny,
Która z jasnego nieba srogie nań pioruny,
Choć się nie chmura, nie grzmi, ani zwykle łyska,
Owszem, im się ich tu kto mniej spodziewa, ciska.
Ciska przeciw naturze, choć zima świat mrozi,
W czym się najbardziej kochasz, w tym grzmi, w tym
[ci grozi,
W tym niechaj każdy, co ma najmilszego w domu,
Spodziewa się piorunu, zawieruchy, gromu.
A skąd słońce wychodzić i gdzie zwykło wracać,
Niemasz, żeby nieszczęście nie mogło nam[ca]ać,
Żadnego, żeby nie drżał pod tej chmury strachem,
Póki go śmierć grobowym nie okryje dachem.

Im się bardziej rozpieści, bardziej z kim sprzyjaźni
Fortuna, w większej zawsze zostaje bojaźni.
Wytechnie mu pieścot, kiedy gwałtownie wydziera,
Czym się pieścić, czym cieszyć człek w starości
I dla tego siłu ich, nie mogszy doczekać [zbiera;
Śmierci, musi kryć, musi do grobu uciekać.
Niech, co ich ma, pioruny oraz wszystkie zrzuci
Żalów, bólów, kłopotów, szkód, kogo zasmuci
W syniach już wychowanych i w zamężnej córce.
Umarłe w piersiach serce trupa nosi w skórze.
Aleć Bóg, miłosierdzia którego nie skończą
Żadne wieki, dał na tę plutę nam opończy
Sumnienia wesołego nie z sukna, nie z ebaby:
Przejmie tę słota, przedmie wiatr; z żelaznej sztaby
Nadzieje zmartwychwstania puklerz w niebie kuty;
Dyabłu wytrzyma, a cóż świeckiej nie ma pluty!
Nikt nie zedrze, i owszem, im w niej chodzi części,
Tym się mocniej utwierdza, tym bardziej zagęści
Na najgorsze przeciwnej fortuny poroże.
A każdy, byle sam chciał, darmo ją mieć może,
Byle od grzechu cała, bo tam już po kacie,
I niepewnie wytrzyma, gdzie łąta na łacie.
To sztuka tak w niej chodzić, sprawiwszy raz, czule,
Żeby ledz w grobie miasto śmiertelnej koszule.
Nie boją się dziś opończ swoich ludzie płatać:
Ledwie księża nastarczą, i to darmo, latać.
Bo jako wszedł z dziorawą do kościoła strzechą,
Tak wyńdzie i dodziera ostatka pod wiechę.
Drugi, idąc na mary, zruści, chodząc w niej
Z młodu; tak źli, tak sobie sami są przeciwni.
Bo też i księżej drugim, nie o wszystkich mowie,

Dziesiąte w polu snopki zastąpiły w głowie,
Dość nań, że na chałupie swej strzechy poprawi:
Niech parafian, czym chce, summienie dziorawi.

Na toż szósty raz.

Kiedybyśmy też chcieli Pawłowym przykładem
Na dusze o opończach przed grzechowym gradem
Pomyśleć, na uciski, na cieleśne zbytki,
Którymi do ostatniej przemakamy nitki!
Trzykroć on tonął w morzu, dzień i noc był na dnie,
A wždy go jedna kropla wody nie dopadnie;
Ani zimna, ani różg, ani czuł kamienia
Na duchu pod opończą czystego summienia,
Z którego i sam chlubi, i przykładem swoim
Wszystkim radzi podobnym ducha odziać strojem.
Prawda, że i my tego na świecie zuchwałem,
Choć nie mamy opończe, nie czujemy ciała;
Ale duch nasz na gorsze, bo goły i nagi,
Choć niewidome, ciężko uboliwa plagi.
Więc domy budujemy, stawiamy namioty
Na wiatry niepogodne, na deszczowe słoty.
Któż opończe w drogę się, żeby szat nie zmoczył,
W najpiękniejszą pogodę puszczać nie troczeń,
Wiedząc, że kilka razy niebo przez dzień mieni?
Drożej suknię, niż duszę głupi człowiek ceni,
Na drogę, której żaden, póki żyw, nie skończy,
Na tak częste odmiany nie mając opończy.

Kwap, ale po woli.

Złe kwapić, złe odkładać; zaś dobre oboje,
Jeśli pomiarkowanie będzie miało swoje.

Kto odkłada, omieszka; często ptaki splasza,
Jeśli, nie dociągnąwszy rozjazdu, postrasza.
Poradzę: jeśli je kto chce szczęśliwie pobić,
Długo myśleć, a chyżo namyśliwszy robić.
Tak ci, co upuszczają, jak i owi bredzą,
Co kwapiąc okazyją do rzeczy uprzedzą.
Upuściwszy, nie zgoni i już jej nie złapa;
Upredziwszy, zębami po próżnicy kłapa.
Niejeden po korzeniu kwapiąc na koleście,
Co miał w domu nocować, musi dzisiaj w leście,
Bo oś miasto pośpiechu, abo koło złomi,
Abo konia, jedno z tych musi być, ochromi.
Kędy równo a gładko, wolno i do cwału;
Lekko w piasku, ma rada; na grudzie pomału.
Dziesięć lat się na wojnę dla zdrady kobiecey
Brali, dziesięć z Trojany wojowali Grecy.
Gdyby o niej tak długo myśleć się nie chciało
Grekom, mogła stać Troja do dzisia dnia cało
U nas opak, ani się z przypowieścią zmieści:
Nanysłu trzy dni, wojny przeszło lat czterdzieści.

Na toż drugi raz.

I taki też często Rzecz pospolitą zdradza,
Na leda wątpliwości kto się rad zasadza.
W sicie, jako przypowieść mówi, maca sęku,
Gdzieby już nie rozmysłu, ale trzeba ręku.
Mogąc się ognia w ścienie, póki tle, uchronić,
Nie rąbie, aż skoro mu przyjdzie na gwałt dzwonić.
Radzą w Rzymie, choć wojska trzeba do Saguntu,
Aż go dobył Hannibal, aż wywrócił z gruntu.

Żadnej sprawy do skutku przywieść doskonale
Nie może ten, co szuka w każdej rzeczy ale.
Co trefunkiem przychodzi, to w miejscu nie czeka:
Tymże zawodem, którym przyszło, i ucieka.
Chwytaj drzewo na rzece pierwej, niż cię minie:
Myślisz, za który koniec, tym czasem upłynie.
Tegoż i w każdej trzeba pilnować imprezie,
Gotowym być; samo nic do ręku nie wlezie.
O tym, co w miejscu znajdziesz, pomyśleć należy
Nim weźmiesz; znalezienie blizkie jest kradzieży.
Ba ma i podejrzenie, bo zły człek na zdradzie,
Jakby zgubił na drodze, rzecz szkodliwą kładzie.
Trafić się wieś po plecu, a niemasz skrupułu,
Docieraj, licz pieniądze, jedź do protokułu.
Ty zwłoczysz, a ów śpieszy, nie śpi, głową robi,
Że sobie rzeźwiejszego kupca przysposobi.
Niejeden, znałem takich, w głowę się podrapie,
Skoro wieś inszy kupił, skoro po herapie.
Wždy pokrywając, że mu na wapiu niemiło,
Łyczkoć też na kielbasę, z lizką mówi, było.
Jako i ów, co w mieście swoje składu zboże,
Ani go chce sprzedawać, czekając, że zdroże,
Że bogatym poprawią targi ceną sporszą,
Ubogim, którzy na chleb kupują, pogorszą.
Aż co dalej, to taniej, aż desperacya,
Aż łakomemu trzeszczy na gałęzi szyja.
Pierwszego się dierz targu, tak stary powiedział
Polak. Ten duszę dyabłu pierwszym targiem sprzedał:
Dłużej o zbożu blażen myślił, niżli o niej;
Zboża nie chciał za talar, tę za szóstak trwoni.

Stapa, jak po szydłach.

Obyczajnie po ledzie, moja rada, stapać,
Kto abo zębów zbierać, abo nie chce kapać.
Przecież ludzie chleb jedzą, choć niespełna zęby;
Ale komu się przez nos naleje do gęby,
Jeśli w Wiśle pod lodem czuprynę zamacza,
Omyli najlepszego nauka pływacza.
Laską wprzód macać, zwłaszcza kędy niemasz śladu,
Nim stąpisz, nie chcesz li przyść do tego upadu.
Szkoda na raz odważać, gdzie się grzeszyć nie da;
Drugi raz nie graj garłem, przypowieść powieda.
Lubo śpi, lubo czuje, lub chodzi, lub siedzi,
Niech wie, że na słabej z nas każdy gołoledzi.
Wszędy, póki na świecie żyje człowiek w siłach,
Trzeba mu się ulżywać, stapać, jak po szydłach.
Jest ostrożność od lodu: słaby? wolno po niem
Nie chodzić; nieszczęścia się nigdy nie uchroniem;
Pod nogami się tylko strzedz należy lodu,
A nieszczęścia na koło: z wierzchu i ze spodu.
Niemasz gdzie palcem wewnątrz i z wierzchu tknąć
Żeby w człeku choroba nie nalazła dziory, [skory,
Sto żalów w jedno serce, przygód w każdy członek
Zmierza; nietylko żadnych nie ma człek zasłonek,
Ale im się ich pilniej wystrzega, im chroni,
Jako zając przede psy w sieć, tak bieży do niej.
Jakakolwiek imprezę przed się kto zabiera,
Niech nie trąbi, niech oczu ludzkich nie otwiera.
Szkoda psa budzić z śmieci; i fortuny szkoda:
Nie wiesz, czyć się sprzeciwi, czyć swe skrzydła poda.
W jednej tylko imprezie: do enoty, do nieba
Niczego, ani oczu ludzkich bać nie trzeba.

Z naturą i z fortuną oraz bój zaczyna,
Kto się od ziemi sercem i umysłem wspina.
Żaden mu nie zazdrości, żaden nie przeszkadza,
Że z człeka cielesnego duchownym odradza.
Dalekoż tu ostrożniej, żeby nie opóździł,
Stapać człeku, gdzie dyabeł drogę mu zagwoździł.
Wszelkich grzechów szydłami kto nie chce szwankować,
Trzeba nogi stalnymi podkowami kować.
A co szwank, to do piekła na łeb, jako z pieca,
Idzie człowiek cielesny tam, gdzie się obieca.

Krupy do garka liczy.

Tak mała krupa przez się, tak jest jagła drobna,
Że ją na dwoje dzielić ledwie rzecz podobna.
Stąd przypowieść u Greków na skąpego żyda,
Że pierwej krupy kraje, do garka niżli da;
Polacy, że nie kraje, mówią, tylko liczy.
O biedny, o nad żywot gorszy niewolniczy,
Własnej gębie żałować, na co ręka robi,
Choć więcej mysz, więcej wróbl uszkodzi go w zobi,
Więcej ukradnie, chociaż nie liczy, nie mierza,
Ze stodoły, abo więc złodziej ze szpiklerza.
I to złodziej, i on sam kradnie na się sobie,
Wytrzeszcza, mogąc garścią krup wsuć, oczy obie,
Jeśli nań kto nie patrzy, licząc je do garka.
Nieszczęśliwy tam kucharz, mizerna kucharka.
Jeśli z łyżki na talerz gościowi co kapie,
Że lizać wstyd, w głowę się za każdą podrapie.

Co się łyso urodził, łyso ginie.

Piszą to o Mykonach w tej wyspie, w której są,
Że się rodzą i z głową umierają łyśa.
Tegoż i nasza polska przypowieść dowodzi:
Każdy łyso umiera, kto się łyso rodzi.
Choć się u nas nie rodzą łyso małe dzieci,
Dopiero im w pół wieku włos z głowy obleci,
Aleć widzę, myli się ta przypowieść w tobie:
Tak rokem cię łysego nawiedzał w chorobie,
Dziś nie tylko żeś porósł, lecz i skędzierzawiał;
Musi być mądry balwierz, coć włosy przyprawiał.
Nie słychałem, jako żyw, jeszcze o tej sztuce.
Pytam sług, aż pan chodzi w przyprawnej peruce.
Gdzieżby tak mózgu w głowie, jak na niej łyśiny
Poprawić, nie do Włochbys mógł jechać: do Hiny.
Komu włos z wierzchu zlezie, okryje peruka;
Próżno balwierza, próżno i doktorów szuka,
Niech się do antypodów przez ocean wiezie,
Komu tu mózg z rozumu naturą oblezie.

Z lekka wół, ale mocno stapa.

Nigdy czaban takiego hałasu, choć srogi,
Rogowymi kopyty mając kute nogi,
Jako mizerny szczurek bosy, mały, drobny,
Nie czyni, czabanowi niczym nie podobny.
Bo szczurek zawsze skokiem, zawsze biega cwałem,
Wół zaś, przetoć [go] wołem zową, stapa zwałem.
Ale kędy postawi nogę, choć powoli,
Wszędy go i na twardej poszlakujesz roli.
Szczurka ledwie na piasku, czego i mysz w biegu,
Ba i robak dokaże, abo znać na śniegu.

Wszystko z dobrym rozmysłem, wszystko robić z lekka
Dojrzałego rozsądku w leciech zdobi czleka.
Cóż, jeśli tego jeszcze nie przyniesą lata,
Większy to cud i większa pochwała u świata.
Cokolwiek przedsięweźmie i cokolwiek zacznie,
Wszystko statecznie kończy, a co rzecz jest, znacznie:
Ciągnie, jako wół w pługu, i nie wprzód w oborze
Odpocznie, aż powinno stajanie zaorze.
Prędko czleku lekkiemu uprzykrzy się praca,
Co rok czego inszego, ba co tydzień maca:
Pocznie co od drew, abo niestruganych głąbi,
W poły nie dorobiwszy, aż chwali, aż trąbi,
Skacze od krup do jagiel, od polcia do sadła
Z hałasem, jako szczurek, aż łapka zapadła.
Tylko też po niem szlaku z tak wielkiego trzasku,
Póki wiatr w śniegu, abo nie zadmie na piasku.

**Połowicą żywota nic się nie różnią szczęśliwi
od nieszczęśliwych.**

Darmo smucą ubodzy, szczęśliwi się szczyca,
Gdyż nie całym żywotem, tylko połowicą
Lepszy tu są bogacze nad ubogich ludzi.
Dopiero skoro ze snu ten i tamten budzi,
Mizerni swoją biedę, szczęśliwi rozkoszy
Widzą, które znowu sen w kilka godzin spłoszy.
Dosyć jest przez się krótka, dosć niepewna kwota,
A jeszcze połowicę naszego żywota
Sen bierze dobrowolnie; jeśli ich nie zwabi
Sen, jakoby poborca, wszystkie zmysły grabi:
Myśl, pamięć, wzrok, słuch, wonia, dotykanie z smakiem,
Że nie trup, że człek żywy, serce w piersiach znakiem.

Śpi żebrak na kamieniu, bogaty w łabęci
Pościeli; ani tamten z swojej nędzy smęci,
Ani ten z swego szczęścia cieszy, że śpi wcześniej;
Oba mogą przeciwne rzeczy widzieć we śnie:
Żebrak może weselić, bogacz może płakać,
Żebrak fortunę chwalić, bogacz ją kłąć. Takać
Postawa rzeczy świeckich: wszystkie marą płochą.
W którąkolwiek ta pani, co jednym macocha,
Drugim jest matką, stronę ludzi, co w nią wierzą,
Obraca i na jawi. Próżno się źli szerzą,
Próżno dobrzy ubodzy narzekają w cieśni.
Niemasz nic w rzeczy samej, bo to wszystko sie śni;
Obaczy na sądny dzień, kto na świecie marzy,
Jako mu się jego sen, wstawszy z grobu, zdarzy.
Niech bogacz nie bryka, niech nieszczęsny hołota
Nie rozpacza; połową gdyż tylko żywota
Nadeń tamten szczęśliwszy; sen dziś, jutro obu
Porówna śmierć, jednako włożywszy do grobu.
Jeśliż we śnie kto miękcej leżał z nich, nie czuli;
Daleko mniej na marach, kto w jakiej koszuli.
Ucichną pompy, działa, trąby, surmy, kotły;
Wszystko z ludzkiej pamięci krótkie dni wymiotły.
Nago wstaną, gdzie wszystko, co żebraka szpeci,
Co króla zdobi, z ciałem od kości odleci.
Lecz niech tu i żyjących do naga rozbierze,
Jeżeli ich rozezna, kto nie znał, po cerze?
Natura nic; fortuna sama wszystkich różni:
Nie poznać, skoro z niej sen, abo śmierć wypróżni.

Na toż drugi raz.

Póki koło na osi biega u woźnice,
Żadnej między dzwonami w niem niemasz różnice;
Choć jedno będzie w górze, drugie pije w błocie,
Mgnienie oka na pierwszym odmieni obrocie:
To dźwignąwszy z kolei z błota się pokaże,
Tamto zaś wpadszy w kolej tymże błotem maże.
Takim trybem z bogatem, z szczęśliwym ubogi,
Nędzny chodzi, póki swej nie odprawią drogi.
Bo jako ten ostatniej nie traci nadzieje,
Że go z błotnistej dźwignie fortuna koleje,
Tak też i ów nie może ubezpieczyć, że się
Nie dostanie, skąd tamten do góry podniesie.

Bieży czas, nikt go nie postrzega.

Szumia wody z kamieni, szumia wiatry z lassu;
Zdzierając się każda rzecz, krom jednego czasu,
Ma swój ogłos: ani zwierz, ani ptak bez wieści
Przychodzi, bo zwierz chodem, ptak lotem szeleści.
Sam jeden czas tak lekko, tak nas głucho zbiega,
Ze go dopiero, skoro minie, człek postrzega.
Nie słyszy nikt oleju płynącego z banie;
Wtedy widzi, że niemasz, skoro go nie stanie.
Kiedyby nie słońce dzień cieniem na kompasie
Znaczyło, nie wiedziałby człek o żadnym czasie.
Ciemna noc i dzień jasny te jego pomiarem,
Te lat naszych w godzinach liczymy zegarem,
Tak cichym, nie postrożnym spadają zawodem.
Nie wie, kiedy się starzał, bywszy człowiek młodem,
Skąd już, choćby kto wszystkie zakupił apteki,
Nie podobna ubiegłej cofnąć nazad rzeki.

Rzekać, wpadszy do morza, tym ponikiem znowu,
Którym wyszła, do swego powraca się rowu;
Znowu płynie i szumi, ale w ziemię kto tu
Raz padnie, żadnego z niej już nie ma powrotu.
Wždy tego nikt nie widzi, żaden nie dowierza,
Nikt na ziemi terminu sobie nie zamierza,
Choć mu dzwonią zegary, choć przykłady okiem
Widzi, że co godzina bliższy grobu krokiem,
Choć nie wie, jeśli nie ta na mary go wbada,
W którą sobie na sto lat żywota zakłada.
Sercem pożąda, głową myśli o tym, co by
Przydało mu na świecie sławy i ozdoby.
Gorzej od wody, póki ziemia go nie stłumi,
Gorzej od wiatru wodą i wiatrem człek szumi,
Jakby nie wiedział, że świat nie lepszy od człeka,
Że go z niem co godzina ten peryod czeka.
Nie z szumem lata, ale jako cichy olej,
Płyną. Żywot ludzki jest umierać powolej,
Komu się rodzić trafi; co gorsza, że między
Ludźmi śmierć braku nie ma: tym później, tym prędzy;
Nie jednako ten olej wszystkim ludziom zcedza;
Owszem, zwyczajnie młodszy starszego uprzeda.

Spadszy z dachu, ulży się, dopadając ziemię.

Nie wspinać się, nie chodzić po dachu, ma rada.
Już to późno ulżywać, kto ziemię dopada;
Już to nie w jego mocy, jeśliż, chodząc po niej,
Żeby nie stłukł, potknąwszy, człek się nie uchroni.
Daleko ten większego nabierze się strachu,
Daleko bardziej stłucze, jeśli spadnie z dachu.

Niech na się miarę bierą wszyscy, których pycha
Na wyższe co raz szczeble do góry popycha
Bogactw, pieszczot, honorów; skąd, im dalej wleżą,
Tym ciężej spadną, tym się niespodzianiej zwieżą.
W ustawicznym zostając strachu tego spadku,
Z wielkim żalem do niego przydą na ostatku.
Nizko siedząc, choć pod niem śmierć poderwie stółek,
Nie może się tak barzo stłuc chudy pacholek.
Niech na się biorą miarę, którym grzechy ciążą,
Bo ich pewnie przez ziemię do piekła pogrążą.
Straszny spadek, dla Boga! niech z sumnienia wskoki
Ulżywając grzechowe zrucają łomoki;
Aza nie dopadając tej tonie do spodka,
Utrzymają się czyscca do czasu we środku.
Nie stłuc, to nie podobna, ale lżej daleko,
Niżeli kamień, pióro upada, bo lekko.
Kamień tym głębiej w ziemię, im dłużej, ciągnie się;
Pióro z ziemi do góry leda wiatr podniesie.
Bierz i ty z przypowieści na się miarę, dziadu:
Jużes pchnięty; z drabiny lecisz do upadu.
Ulżywaj się, nieboże, nie ochraniaj skrzynki,
Przez miłosierne sobie ściel miejsce uczynki.
Ubodzy a cnotliwi ludzie, jeśli że nie
Chcesz usłuchać, nie dadząc głębiej dopaść ziemię;
Tylko skądbyś mógł trąbę w ciała zmartwychwstanie
Anielską w grobie słyszeć i porwać się na nią.
Darmo radzić staremu, bo miasto nauki
Ulżenia się, obiema garściami tka w juki.

Na jednej łódce.

Zerwałeś sejm, kiedyé to bez kary uchodzi.
Abo nie wiesz, że i sam na tej pływasz łodzi,
Którą wszystkim ojczyzna? bezecny wyrodku!
I ty zginiesz, dziorę w niej zrobiwszy ze spodka.
Będziesz się chwytal deski, ale już po czasie,
Oslep wzięwszy tyle dusz chrześcijańskich na się.
Chce li, żeby zginęła, Bóg, ojczyzna nasza?
Nie mógł niecnotliwszego znać należeć Judasza!
O mizerna, o nader opłakana dola!
O nieszczęśliwa w zbytnej wolności niewola!
A czemużby od Czechów nie przejąć tej fozy:
Zdrajców oknem, Judaszów sądzić na powrozy.
Odleciałaby, tuszę, drugiego prywata,
Gdyby łakomicz oczy wytrzeszczył na kata.

Za prośbą rozkazanie, dalej mus.

Prosi naprzód dobry pan, potym słudze każe;
Nie chce słuchać? przymusza, aż swego dokaże.
Tak stwórca, Bóg, Pan, Ociec z swym płazem poczyzna:
Prosi, każe, przymusza przez sługę i Syna,
Który za niebieskimi skoro siędzie stoły,
Prosi, każe, przymusza przez swe apostoły
Mniej, niżli niewolników, żeby z niem pospołu
Ludzie chcieli wieczerzać u jednego stołu;
Choć sług nie do wieczerzy, ale do roboty
Przymuszają, bo każdy idzie jeść z ochoty.
W ostatku kto niewdzięczny, znać, że i niegodny,
Sobie szkodzien; jak mówią, niech idzie spać głodny.
Nie chciał z prośbą i z groźbą jeść w niebie z Chrystusem,
Niechajże z dyabłem w piekle siarkę pije z musem.

**Co piękne, to i trudne.
Stodko Dorotko, ale drogo niebogo.**

A któż tego nie przyzna, biorąc przykład z enoty,
Że większej koło siebie rzecz piękna roboty
Potrzebuje: odwaga musi być w imprezie;
Leda co, jako to grzech, samo w ręce lezie.
Chyba się kto od enoty, od Boga tak zdzieczy,
Że między piękne rzeczy brzydkie grzechy liczy.
Jakoż tak świat, tak ludzie na niem się dziś skażą,
Że na cnotę ledwie kto, wszyscy na grzech ważą;
Brzydząc się nią w kiem inszym, sami przeto do niej
Nie chcą, że dobrowolnie nie lezie im w dłoni
Tak, jako grzech kochany, acz patrząc na rzeczy,
Nigdyby takiej prace, trudu, kosztu, pieczy
Dla cnoty i zbawienia dusze, które wprzody
Chodzić powinno, jaką dla ciała wygody,
Dla grzechu podejmują, choć taż ludzie pracą
Oraz cnotę i duszę, żywot z ciałem tracą.
Owszem się najtwardszego nie wzdrygają sęku,
Jeśli sam, jako Ewie nie wlezie do ręku.
Lazą poń gwałtem, choć śmierć poderznęła stopnie.
Wielu też łomi szyję pierwej, niż go dopnie.
Gorsza, że nikt na jednym chęci nie powściąga,
Ale najwyższych szczebli tej drabiny siąga.
Do cnoty dosyć chcenia; łatwa do niej droga:
W murze stopnie ciosane, drabina połoga,
Chyba jeżeli kto z niej dobrowolnie spada;
Że stłucze, ni na kogo, sam na się niech biada.
Trzy rzeczy trudni cnotę ludziom nieszczęśliwym:
To naprzód, że nikt nie chce szczyrze być cnotliwym,

Druga jest jej nienawiść na świecie przyczyna,
Czego przykład wiadomy Abła i Kaina;
Trzecie ubóstwo, z którym, jako siostra z bratem,
Cnota żyje. Rzadkiż człek cnotliwy bogatem.

Na toż drugi raz.

Ale i w świeckich rzeczach ta reguła służy.
Im co jest piękniejszego, tym ciężej, tym dłużej
Pracować trzeba: kto chce z nauki się chwalić,
Trzeba nie jedną świecę nad księgami spalić.
Nie dosypia nauka na pościeli miękkiej,
Trzeba mu długo z młodu gryźć twardych pism sęki.
Cóż mówi sława, którą nieśmiertelną na tem
Śmiertelnem świecie zową, polnym święci kwiatem?
Siła fatygi, siła kosztu chce i trudu;
Siła grzechów z nią chodzi, o niebie ni dudu.
Chce kto Wielmożnem, abo zostać Oświeconem?
Długo nie zsiada z wozu, długo potem słonem
Zlewa czoło, a zwłaszcza ten, przychodzi komu
Najpierwszy lód przychodzi swego łomać domu.
Temu już łatwy ogień przy gotowej kłodzie,
W czym świeckie honory nie nowina rodzie.
Wszelkich bied, wszelkich klótni musi cierpieć matnią,
Aż też i śmierć, co wielom trafia się, ostatnią.
Niejeden abo umrze, niż dostanie, wprzody,
Abo paszuje, darmo puściwszy w zawody.
Piękna zięciem królewskim zostać, ale trudna
Rzecz była, kiedy ona bestya paskudna
Straszy wojsko żydowskie, bo niżli poślubić
Żonę, pierwej obrzyma trzeba było ubić.

Wprzód się o obietnicę Dawid pytał drobny,
Niżli podjął u ludzi rzeczy niepodobnej.
Grzech na co komu przyda? choć wszystko, co zbytkiem
Ciała się tycze, grzechem w oczu Boskich brzydkiem.
Sława, honor, bogactwo, wszystko to wytrychy
Do piekła, wszystko córki jednej matki pychy;
Pijaństwo i obżarstwo, pomsta, wszeteczeństwo;
W tamtych koszt, w tych do kosztu i niebezpieczeń-
Siłu w potrawach ludzi, siłu w zbytнім winie [stwo.
Obżarszy, opiwszy się, jako świni[e] ginie,
Widzieliśmy, co sami wieszają się o szkody,
Skaczą z mostów za zdrowie kobiece do wody;
Nie mogąc nad kim inem, mszczą sami na sobie.
Wielka odwaga: oraz w piekło być i w grobie.

Nie ufaj, z kim wprzód nie zjesz korca soli.

Do konwersacyi tylko i do dobrej woli
Będiesz miał znajomego, z kim zjesz miarkę soli;
Z kim drugą, trzecią, możesz przyjacielem liczyć:
On tobie, abo ty mu pieniędzy pożyczysz;
Dopiero zjadłszy wedle przypowieści korzec,
Masz z niego konfidenta, możesz śmieło to rzec,
Możesz wierzyć sekretu, na inszej go probie
Doświadczać, bez omyłki nie obiecuj sobie.
Czas doskonałość rodzi, wszystko żreje w czesie:
Obrasta drewnem kamień młodo wcięty w lesie,
Drewno zaś rybią łuską, abo mechem kaczorzem,
Długo pływając z łodzi połomanej morzem.
Cóż nie ma obyczajów czas jednoczyć, który
Tak różne, tak dalekie jednoczy natory?

Co raz chwyci natura, już do skonu trzyma;
Odmienny serca ludzkie wiatr od płuc rozdyma.
W korcu soli się przyjaźń między ludźmi rodzi;
Choćby jej łaszt zjadł, często w szczypcie się rozchodzi.
Wszystko, co nam fortuna z długim czasem niesie,
Może nazad odebrać barzo w krótkim czesie.
Dopieroż ludzka przyjaźń, bo nie w korcu soli:
W cudzym, nie w twym, zawisła sercu, w cudzej woli.
Lecz w niej naznaczniej starość nużną upośledzi,
Bo kiedy się na schyłku ze złym światem biedzi,
Nie ma, o którego się cały żywot stara,
Przyjaciela; co młody wiek zszył, stary spara.
I dobrzeczynienia im, o czym było wyżej,
Że odwdzięczyć nie mogą, przypowieść ubliży.
O cóż wždy na nich krakać, gdy bez cudzej szkody
Przyczyniają się w kopę od takiej przygody?
Mizernaż to opatrność, nie będzie li Bożej.
Tym prędzej ich łakomstwo cudze w ziemię włoży.
Nie dziw, jeśliż miłości przyrodzonej ligi,
A cóż nabytej puszczać nie mają fastrzygi?
Czas łączy, czas przyjaciół i przygoda dwoi;
Cnotliwych miłość synów w jednej mierze stoi:
Nie ruszy jej z miejsca czas, czegom ja był świadkiem;
Nie odmieni najgorszym fortuna przypadkiem.
Byłem świadkiem, dziś rzewnie płacząc na ich grobie,
Miłość ich, sieroctwo me przypominam sobie.
Nie zjedli, żyjąc z ojcem, oba soli korca,
Aż mu ich śmierć, okrutny wydziera poborca.

Co kto sieje, to będzie żał.

Nie szczypta, całą garścią pełną swoje siemię
Ręką ciskaj, jeśli chcesz obficie żąć, w ziemię.
Jeśli się w przyszłym wieku chcesz ucieszyć plonem,
Ziemią jest ciało nasze, serce w niej zagonem,
Który do dzisiejszego sam Bóg urodzaju
Rozumem w pierwszym czleku sprawić raczył w raj.
Kto szczydzi, kto się kurczy, kto skąpi w jałmużnie
Za żywota, taki nic po śmierci nie uźnie.
Mizernież nasze siewy i dobre uczynki;
Palcem szeląg dziadowi, przygarśniem do skrzynki.
Bodaj nas też tam w wodzie omoczonym palcem
Nie odprawiono z onym bogatym zuchwalcem!
Najmniejszej skarbów swoich nie obaczy stopy,
Gdzie Łazarz nawalane będzie wiązał snopy.

Na toż drugi raz.

Sieje dziś drugi pełną garścią, sieje szczerze
Nie swoje, ale z czego ubogiego odrze.
Na kościoły marmory ciosze, złoci ściany,
Wota wieszsza, a głodem umiera poddany.
Wielkiego w przyszłym wieku żniwa się spodziewa,
Kiedy żywe odziera, umarłe odziewa.
Anoby lepiej opak, abo sercem czystem
Samemu kościołem być, choć nie pozłocistem.
Kto Chrystusa, kto na się przyoblecze cnotę,
Przenosi dyamenty, nie tylko pozłotę.
Upewniam, że tak lepiej chrześcijanin wskora,
Bo w tamtym pycha tylko, w tym znaczna pokora.
Sieje drugi obficie; cóż po jego siewie?
Kąkol miasto pszenice; pewnie tego nie wie,

Że pszenicę do gumna, kąkol dawną fożą
Do piekarnie na ogień nieszczęśliwej zwiożą.
Szczyre grzechy miasto cnot całym swym żywotem
Sieją ludzie szaleni. Boże! bądź z wymłotem.

Bez zazdrości się kochać.

Acz się do wszystkich grzechów ta przypowieść zmieści,
Ale najpierwej do płci należy niewieści.
Każdy pięknej, posażnej żony sobie szuka,
Każdy, jako do ścierwu kruk uprzędza kruka;
Rivales łacinnicy zwą abo *emuli*,
Choć się pod piękną skórką często zły grzech tuli.
Kto w szpetnej, chudej, głupiej, będzie li rzędziocha
Do tego, śmieie się ten bez rywała kocha.
Bo jako stara mówi przypowieść, tak i ja:
Jednemu pop, drugiemu miła popadya.
Chyba że będzie która z natury zaletna:
Nie poradzi, a zwłaszcza w pociemku, choć szpetna.

Na toż drugi raz.

Ktokolwiek się mizernej przypatrzy postaci
Rzeczy świeckich, zarazem gust do wszystkich traci.
Na włosie od początku aż do swego zgonu
Każda wiśni. Nie godne wszystkie paragonu,
Nie godne, żeby na niełożył nie tylko wiek,
Lecz jeden życia swego dzień rozumny człowiek.
Bo koniec wszystkiemu śmierć: nie dłużej się bawi
Kropla dżdża na powietrzu, kiedy ją wyprawi
Chmura na blizką ziemię; i to wiemy, że się
Z ziemi znowu do chmury też kropla przeniesie,

Skoro słońce zagrzeje. Raz człek w grób zapadnie,
 Do sądnego dnia prochem będzie leżał na dnie.
 Wždy ludzie opuściwszy, do czego by więcej
 I koniecznej, żyjąc tu, trzeba konkurencyi,
 O te paragonują, z których każda, brydnie,
 Prędzej, niż ciepła woda, na mrozie wystydnie.
 Nie ujzrysz do pełnienia Boskiego zakonu
 I do świątobliwości życia paragonu.
 Ledwie jeden z tysiąca na toby obranem,
 Ba tylko pozwierzchownie, żeby był widzianem.
 Do świętego kapłaństwa jest konkurencyja,
 Jednak rzadko z żywotem zgodna profesya.
 Daleko więcej takich, żeby żyli wcześniej,
 Nie nie robiąc rękoma, nie rzekę, cielesniej.
 Do sławy, do honorów, jako wybrał oczy,
 Bieżą, wyprzedzając się na wyścig ochoczy.
 A cóż mówią bogactwa, co wszeteczna żądzał
 Na łbie drugi utyka, a do niej rozpadza.
 Nie jeden też, widzimy, nim skończy zawody,
 Nim dostanie zakładu, złomi szyję wprzody.
 Sama nie ma na świecie paragonu enota:
 Nikt do niej, wszystkich niesie do grzechu ochota.
 Dopiero się ten świat kłut, jako kurczę w jaję,
 Nie miał paragonować z kim jeden człek w raję.
 Aż dyabeł, pokazawszy jabłka mu, czy figi,
 Namówi go, że z Bogiem śmie iść na wyścigi.
 Nie mógszy z niem sam wskórać, głupiej radzi Ewie,
 Że bóstwo zawieszzone w tamtym było drzewie.
 Jako też sam spadł z nieba, tak z raję wygania
 Ewę do krów, Adama do roli orania.

Na toż trzeci raz.

Kto jeszcze bez emula kocha? wszystkie matki,
 Choć będą szpetne, głupie i złe, swoje dziatki.
 Wolalby drugi ociec, żeby go kto ranił,
 Niż mu syna, niż córkę, choć prawda, poganił.
 Stąd omyłka na owe padła dzieci sowie:
 Zjadłszy jastrząb, dopiero, że jej były, dowie.
 I ptakom to, i zwierzom z natury pochodzi,
 Że choć sowa paskudne sowy zwykle rodzi,
 Dalaby się i zabić przy tym, że sokoly,
 Małpa, że pstre lamparty, człowiek, że anioły.
 Acz ci by ten mógł z zwierzem i z ptakiem nie kawić,
 A rozumem ku dzieciom afektu poprawić:
 Chwalić, co mądrze, ganić, co uczynią głupie.
 Ale wszystko zarówno, wszystko chwałą w kupie.

Na toż czwarty raz.

I mówcy, i poeci tenże przymiot mają,
 Bo się w swych bez emula conceptach kochają.
 Radziby wszystkich uszy obrócili na nie,
 Smakując sami, choć się ckną na ich słuchanie.
 Nie chwalisz, bo niemasz co; już nie podufałem
 Przyjaciele, ale cię swym liczy rywalem.
 To ci uszy, że muszą słuchać, choć ich boją,
 Jako zaś oczy ludzkie malarze niewolą
 I inszy rzemieślnicy, wszyscy u nich ślepi,
 Co mówią, żeby trzeba tu poprawić lepiej.
 Kto paragonizanta, mówię, nie rad widzi,
 Niechaj w tym kocha, czym świat, czym się ciało
 Inszego nic nie widzę, przez wszystkie obroty [brzydzi.
 Przeszłych wieków szukając, okrom samej enoty.

Choć wieczne i doczesne przynosi korzyści,
Sama enota w ohydzie, sama w nienawiści.
Tę jeśli w kim obaczy, niech przypyta do niej,
Niechaj z bogobojnymi ludźmi paragoni.
Wszystkim niebo otwarte, choć siedzi, choć leży,
Byle tylko chciał szczyrze, nikt go nie ubieży;
Wszyscy oraz do niego: z grobu, jako z woru,
Cnotliwi; a ci, co się szatańskiego toru
Trzymali, usłyszawszy głos Bożego tronu,
Pójdą w piekło przypłacać ciała paragonu.

Chyba mię za nogi wywleką.

Głupi tylko tak ludzie i uporni rzeką:
Nie ustąpię, aż mię stąd za nogi wywleką.
Jabym życzył: z cudzego, kiedy trudno brykać
Przeciw prawu, zawczasu na nogach umykać.
Bo tam głowa wielkiego nie może mieć wczasu,
Kogo wleką za nogi, zwłaszcza do tarasu,
Co się stało gościowi, który z gołym grzbietem
Siadł na królewskim, choć nań proszony, bankietem.
Jak ze wsi, tak się ludziom nie chce z tego świata,
Choć go nie zakupili, choć prawo mandatu
Przedwiecznego nastąpi; gwałtem się opiera,
Gwałtem nie chce iść drugi i obrony zbiera.
Ale darmo, bo skoro zegarek dociecze,
Spadszy egzekucya, za nogi wywlecze;
Zwiąże je, ba i ręce, nie patrzy w Łazarzu
Królewskiej śmierć przyjaźni ani w gospodarzu
Wzgląd na gościa, którego przypomniał, popłaca.
Cóż będzie z sługą, który pański skarb utracą?

Ustap miejsca inszemu arendarzu, a ty
Gotuj się na dniu sądnym kłaść liczbę z intraty.
Choć i ten, który jutro na twym miejscu siedzie,
I setny i tysięczny dziedziczyć nie będzie.
Już ich tysiąc przed tobą, a któż z śmiercią wskora?
Z tego, panie, za nogi wywleczone dwora;
I dwór tysięczny, jako na świecie zaczęta
Ciesiolka, ten plac i ta ziemia już pamięta.
Arendarżeśmy na niej, i nie arendarze,
Lecz ją do wiernych ręku trzymamy włodarze.
Czemuż się nam z niej nie chce? podobnośmy kradli:
Boimy się, żebyśmy rachunku nie kładli.
Co wiernego włodarza bynajmniej nie trapi;
Owszem, chcąc się uwolnić, sam do niego kwapi.
Aleć opak na świecie śmierć z ludźmi poczyna:
Chcącemu mrzeć, folguje; nie chcącego ścina.
Kędy i z dóbr doczesnych, stanawszy przed sędzie,
I z duchownych rachunek czynić trzeba będzie,
Jak ów, co źle szafował, jak ten, co się nie bał,
A powierzone sobie talenty zagrzebał
W ziemi, oba źli, obu wedle winy kara
Dojdzie bez miłosierdzia, a skłamać tam wara!
Bo tak wielka i ledwie podobna ku wierze
Cierpliwość Boska miejsce miłosierdziu bierze.

Na toż drugi raz.

Piotra, co dziś Bożego Kościoła opoka,
Za nogi Neronowi kaci na krzyż wloką,
Kędy głowa miała być, bo sam tego żądał,
Żeby dłużej do nieba, nim skona, poglądał,

Abo żeby, nie wierząc po krzyżu się ciałem,
Prosto z goździ po śmierci biegł do niego cwałem.
Prawdziwieby dziś jego sukcesorów trzeba
W górę stawiać nogami, oczyma do nieba,
Żeby na nie patrzyli, bo choć gołą ciemię
Ku niebu, wždy głęboko oczy lepią w ziemię.
I tym siełu od Piotra księży się dziś zlisi,
Bo już na głowach chodzą, on tylko nią wisi.
Przecież pasterzów świętych i pobożnych wiele
Znajdziesz; owce się wszystkie zepściły w kościele.
Bo jeśli której na świat zdarzy się wyskoczyć,
Nie wróci nazad, chyba za nogi ją włoczyć.

Za nos ciągnąć, abo wodzić.

Żelazne w nos niedźwiedziom zwykle kolca sadzą,
Za które niedźwiednicy, gdzie chcą, ich prowadzą.
I musi poniewolej, bo się bardziej kija
Boi, niż dudów słucha, płaszać w nich bestya
Mędrsza, choć bez rozumu, niż rozumni ludzie:
Choć trzeźwi, choć pijani, szaleją po dudzie.
I zuchwałym bawołom, powodować bo sie
Nie chcą, dopiero muszą, kolce czując w nosie.
I konia, strzydz li uszu, abo się kuć broni,
Dudki, abo kawecan do pokory skłoni.
Jeżeli nie ma uzdy, za nos go zwyczajnie
Chwyta w polu i wodzi mastalerz do stajnie.
Musi, rada nie rada, iść za wędą ryba,
Jako kiedyś wiódł króla Bóg Sennacheryba.
Nie człek, ale cały świat na jego obręczy
Do jego woli wiśsi na przędzy pajęczy.

Pomyślenia, dopieroż usłucha rozkazu;
Nie ciągnąć, dosyć dmuchnąć: urwie się do razu.
Siłu widzimy sędziów takich, prócz niedźwiedzi,
Co im ze złota, z srebra, na ostatek z miedzi
Zawłokszy kolca, wodzą, choć na to przysięga,
Przecież się powoduje, najmniej nie ocięga.
Powoduje się dyabłu na wieczną śmierć dusza.
Niedźwiedź idzie, bo musi; tegoż kto przymusza?

Na toż drugi raz.

Nie niedźwiedzie, nie byki, nie zuchwałę konie,
Ale mąż drugi za nos da się wodzić żonie,
Choć mu nie zawlecze weń obręczy żelazny.
Pierwszym takiego może liczyć między błazny,
Co się jej powoduje, choć się też opiera;
Choć gdzie indziej chce, musi, kiedy mu dociera
Sto razy od żelaznej uprzykrzeńska węda:
Gniew ponury, wrzask, hałas, fasoł, gomon, zrzęda.
Osiec, choćby koniecznie trzeba, nie odważy:
O dzieci gra; i żyć już trzeba, jak na straży.
Żeby pomściła, wszelkich sposobów zasięże,
Abó się na wszystko złe na złość mu wyprzęże.
Lepiej ze lwem na puszczy, abo mieszkać z smokiem.
Nie pomnia, że wyjęte mężom w raju bokiem.
Nie gorszy od nich jaszczur, żmija, wąż, padalec.
Niż złą pojęć niewiastę, lepiej grób swój zaledz.
Wierzyć li Syrachowi, który im to zada
I grzech męski nad cnotę niewieścią przekłada?

Żona go za nos wodzi.

Nie tylko zła; wodzi też męża za nos dobra
Żona, że mu Bóg na nią z boku dobył ziobra;
Wodzi go posłuszeństwem, miłością, milczeniem,
Wstydem, rzędem, stosując swoje z jego chęciem.
Radzi, a nie przymusza złością go upornie,
Tak w szczęściu, jako żyjąc w nieszczęściu z niem
Bez swaru, jeśli czemu trafi się, przygani. [sfornie.
Tą obręczą zniewoli, tą go obrochmani,
Kiedy nią serce, nie nos, łagodnie przejmuje;
Ta posłuszeństwem żona mężowi panuje.
Rodzicy skarbią synom od nich dobre mienie:
Bóg w dobrej najprawdziwsze daje szczęście żenie,
Gdyż wedle przypowieści polskiej ta mężowę
W domu pieści, w gościnie koronuje głowę.

Rzadki ptak.

Łacno gawrony w lesie, w domu widzieć kury;
Ale feniks rzadki ptak, chowaniec natury,
Jedynakiem się łągnie gdzieś na świata kraju
Bez ojca, bez maciory; co większa, nie w jaju.
Ale skoro z starością śmierć przeczuje w ciele,
Mary sobie z wonnych ziół w Arabiej ścięle.
Tam umiera i w proch się rozsypuje drobny;
Gdzie ożyje robaczek, ptaszynie podobny.
Dalej obrosszy pstrymi pióry, jedynakiem
Lata i świata pierwszym prezentuje ptakiem.
Feniksem chrześcijanin każdy w tej podobie:
Pieluchy, póki żyje, w swoim ścięle grobie;
Byle rozkosznej woniej ziola na nie zbierał,
Tam ożyje, -tam zmartwychwstanie, gdzie umierał.

Nie trzeba do Arabów za świat jeździć po nie:
Rodzą się, byle kto siał, na każdym zagonie.
Zagonami są ludzie w ich śmiertelnym ciele,
Słońcem Bożej miłości dojżrewa to ziele
Świętych enót, bo choć ziemia na proch ciało skruszy,
Wonia ich anielskimi pióry go opuszy,
Zwłaszcza jeśli Duch święty z swą przystąpi rosą.
Te go z grobu na chóry niebieskie wyniosą.
W tym tylko od feniksa, kto Bożemu słowu
Wierzy, różny człek, że gniazd nie buduje znowu.
Co sześćset lat nowego feniksowi trzeba;
Raz się, ale na wieki, człek z swego wygrzeba.
Kto sobie gniazdo w grobie wyścięla piółnym
Gorzkich, smrodliwych grzechów, abo chwastem inem,
Wylągszy w niem robakiem, nie poroście pióry.
Spadnie z niego pod ziemię, co miał iść do góry.
Tać to, o której Paweł święty pisze, wonia
Dobrym żywot otwiera, złych w śmierć wieczną
O jakoż feniks wieków terazniejszych rzadki! [wgonia.
Wszyscy pokrzywę grzechów, nie enót świętych kwiatki
Noszą na gniazda sobie; wszyscy też robakiem
W piekło spadną. Do nieba rzadko wleci ptakiem.

Na toż drugi raz.

Rzadki feniks na świecie ptak, przecięż się prędy
Wedle tej przypowieści da widzieć, niż między
Bracią, zwłaszcza rodziną, zgoda. Nigdy obcy,
Kiedy przyjdzie do działu i sypania kopcy
Wsi ojczystych, bo się dwaj w jednym worze koci
Nie osiedzą, tak sobie nie zajzrą, jako ci.

Przyznaję, że się trafia, lecz przecię widomie
Jako wszystkie, i to też podobieństwo chromie:
Że Kain Abła, brata brat zabił zazdrosny,
Jedna, mówią, jaskółka nie uczyni wiosny,
Nie widziałem feniksa, ale ani człeka,
Coby go okiem widział zblizka, lub zdaleka;
A mógłbym zgodnych braci tysiącami liczyć,
Którym dała w miłości fortuna dziedziczyć.
Nie szukając daleko, niech, proszę, nikomu
Nie wadzi, że pokażę przykład w swoim domu:
Trzech nas jednego ojca, jednej matki synów
Posiwało krom zwady, krom prawnych terminów.
Nie zgadzał nas przyjaciel, ani wsiami dzielił;
Jeden się od drugiego niwczym nie odstrzelił.
Nie miała miejsca zazdrość i chciwość łakoma,
Zgodnieśmy między ludźmi, zgodnie żyli doma.
Spólny żal smuci, wspólne wesele pociesza,
Śmierć poróżni, śmierć miłość braterską zamiesza.
Czego nie mógł dokazać i jawny, i skryty,
Śmierć dokaże, tak ściśle potargawszy nity
W ciałach śmiertelnych tylko. Bóg z dobroci swoi
Tymże duchy ogniwem w jeden łańcuch spoi.
Nalazłbym jeszcze siłu tak enotliwych braci,
Gdzie więcej, niż cielesny respekt, miłość płaci.
Niechaj z swoim poganie feniksem się sławia,
Kędy z wścieklej zazdrości bracią bracia dawia.

Choć tak, choć opak, zawsze jednako.

Czemu większe staranie każda gospodyni
Koło krowy, niż lekarz koło człeka czyni?

Bo mu wszystko za jedno: umrze, lub ozdrowie;
Gospodyni uboga boi szkody w krowie.
Doktór już wziął, co miał wziąć, od chorego wprzody,
Nim pulsów mu pomacał. Jakoż ma bać szkody?
Nie będzie na borg leczeł, wiedząc, że w garść chuchnie;
Przyrzeka zdrowie, choć już chory na śmierć puchnie.
Gdzieżby tak człeka, jako krowy na jarmarku,
Dostać nie darmo! Turcy zbierają po karku
Lekarzów, nie umiejąc że radzić w chorobie,
Tak drogo morzyć ludzi pozwalają sobie.
Osypie złotem ociec jedynego syna,
Choć ledwie duszy z ciała do wysścia godzina.
Umrze? Trudno się — rzecze ów — przeciwie niebu.
Jemu złoto, ojcu łzy rzewne do pogrzebu.
Im gorszą widzi sprawę, ceni praktyk droży;
Przegra, nie to; pieniądze do szkatuły włoży.
Choć tak, choć opak padnie ta biera, wszelako
Jurystom i doktorom pożytek jednako.
I cyrulik niejeden będzie ranę gnojeł,
Mogąc zagoić, żeby dłużej krowę dojeł.
Zegarmistrz się roboty z chęcią podejmuje,
Wždy złego nie poprawi, dobry zegar psuje,
Żeby częściej płacą brał, i łaćno oszuka.
Rzadki, komu wiadoma ich rzemiosła sztuka.

Kradzione godziny.

Nie dziw, że mądrze, pięknie że piszą i wiele,
Których od inszych robót odłączyły cele:
Nikt im w ptaki nie wpadnie, nie przeszkodzi; ani
Myśli o gospodarstwie, nie skwierczą poddani.

Z gościem nie trzeba siedzieć, nie trzeba go bawić,
Pisać listu i myśleć, kogo z nim wyprawić.
Nie zafrasuje szkoda i nierząd domowy,
Ani swowolni słudzy uturbują głowy.
Nie wnidzie mniech bezpieczny, drab i dziad nie czeka
Za drzwiami, nie wyziera, na kogo pies szczeka.
Biedna mu nie przeszkodzi, bo ją wygnał, mucha,
Prócz rychło nań zadzwonią do obiadu, słucha.
Kto przy tym wszystkim pisze, niech mądry przebaczy,
Bo głupi nie postrzeże, że to być inaczy
Nie mogło w rozerwaniu takim, jeśli gdzie sie
Omyli, nie dołoży, i pióro uniesie.
Nie może być do jednej żadną miarą sprawny
W najmędrszym czleku rzeczy zmysł wielą zabawny;
Bo musi do pisania kraść czasu godziny,
I kiedy się w południe przesypia kto iny,
On i w nocy mało co, choć już zapokojem
Śmierdzą jego papiery woskiem, abo łojem.
A zwłaszcza wierszem pisząc, rzekłbyś, że pokuta,
Bo daleko, niż rymy, łączniejsza soluta.

Ea tela textur.

O czymże pospolita Rzecz radzi na sejmie?
O pokoju, bo wszyscy pragną go uprzejmie,
Żeby go z Turki zawrzeć. Ta robota w płótnie.
Już przeszło dwadzieścia lat i cztery tej kłótnie.
Nie końca, ale ani znać dotąd początku.
Czemuż? Postawy bowiem nazbyt, mało wątku.
Sejmy radzą, żeby brać; sejmiki, skądby dać.
Tegoby się w narodzie wolnym trzeba wstydać.

Choć już ledwie dychają nieszczęśliwi kmiecie,
Co jeden rok zarobi, to drugi rozplecie.
Cóż, rzekę, Penelope zaletników zwłacza?
Co we dnie krosny zrobi, to w nocy roztacza.
Musi sekret, musi w tym być jakaś przyczyna:
Prywata, co na wojnach bywa nie nowina,
Mając w polu wygraną, zawiera przymierze
Bironi, wódz francuski, z Niemcy na papierze.
Radzi mu synu dla sławy nieśmiertelnej dźwięku
Kończyć, nieprzyjaciela mając jako w rękę.
Cóż dalej? — rzeczcie ociec — chyba na zagonie
Będziesz sadił wróciwszy kapustę w Bironie;
Bo ciężki mir zruciwszy, Niemiec w krótkim czesie
Znowu też wojnę z naszym pożytkiem podniesie.

Nieczęste widanie, gotowe nieznanie.

Częsta konwersacya ludzi w przyjaźń spaja;
Nieczęsta najściślejsze związki jej rozdzwaja.
Stąd Polakom przypowieść: nieczęste widanie,
Gotowe by najlepszych przyjaciół nieznanie.
Nie tylko się z przyjaźnią, toż dzieje z kredytem:
Wychodzi dług z pamięci ludzkiej długim cytem.
Częstą konwersacyą wzajem przyjaźń stoi,
Taż się upominaniem częstym długu dwoi.
Jakoż tu z przyjacielem, coć winien, poczynać?
Długu się, konwersując z nim, nie upominać
Nie poradzisz. Już cenę pierwsza łaska traci,
Choć bez upominania, jeśli go zapłaci,
Żeś wziął od niego, co miał rzeczą znaną.
Jeśli nie, dopieroż cię będzie mijał stroną,

Poczuwając, żeć winien. Tak za swą wygodę
Masz w przyjacielu, masz w tym, coś pożyczył, szkodę.
Najlepiej nie pożyczać, lecz i tak po kacie:
Dopieroż będzie zawsze krzywo patrzył na cie.
Nie mieć, abo pieniędzy zaprzec, jako głowy,
Zostanie spełna mieszek i przyjaciel zdrowy.
Ktoby rzekł, że do tego przyjaźń przyjdzie, żeby,
Jako dziś, ważyli ją ludzie od potrzeby?
Roście częstym widzeniem, codziennem powszednie
I wiotsze; najlepsze jest witanie obrzednie:
Lepiej raz, choć dwa pytać o zdrowie się w tydzień,
Niż powiedzieć dobrą noc zawsze i dobry dzień.

Na toż drugi raz.

Czasem giną pociechy, czasem nasze smutki,
Jeżeli co raz świeżej nie mają pobudki.
Wszystko, jako żołądek, cokolwiek wystawny
Świat ma w sobie, czas trawi, sam wiekiem nie
Zapominają ludzie żyjący o sobie; [strawny.
Cóż o tych pomnieć mają, co już zgnili w grobie?
Przecież choć śmierć tka wszystkich do tego żołądka,
Wszyscy chcą, żeby po nich została pamiątka,
Widząc, jako potrawy, co w nich usty wchodzą,
Im lepsze, im smaczniejsze, tym prędzej zasmrodzą.
Smakują nam szatańskie na świecie łakotki:
Dzieciom miód, choć od niego umierają, słodki;
Ziemska, dla której wiecznej omieszkuje sławy.
Wszystko to czas obróci w smród i w gnój plugawy,
Bo daleko inakszą, skoro z martwych wstaną,
Niż zostawili, idąc w grób, ludzie zastaną.

Kto zdrowe enót owoce z Bożego je drzewa,
Niech krwie dobrej na wieczny żywot się spodziewa;
Kto się obżarł żołądzia, bedłek, abo srodu
Sprośnych grzechów, i z nimi pójdzie do wychodu.

Do czapki wołać.

Do czapki niewolników, gdy potrzeba zyjmie,
Żołnierza się przebierze, woływano w Rzymie.
Dotąd bez czapek w kudłach, swą znając niewola,
Chodzili; czapki biorąc, kudły oraz gołą:
Stąd i dziś między ludźmi weszło to zwyczajem,
Że przed sobą zdejmują równi czapki wzajem,
Oświadczając powolność, a dopiero młodzi,
Kto ich wiekiem, kto wyższym honorem przechodzi.
Potym głowy przykryją, zwłaszcza jeśli zima;
I sługa, i poddany przed panem ją trzyma.
Nie Rzym, nie; Syn Boży nas do wolności woła,
Nie do czapek, do koron, do swego Kościoła,
Słodkie, mówiąc, wziął jarzmo, kto do mnie przystanie,
Nie służbę, ale wieczne w niebie królowanie.
Jam was z niewoli śmierci duszą, ja swym ciałem
Umarszy odkupił od waszych zmartwychwstałem,
Żeby już więcej żaden ani ludziom, ani
Światu nie służył, boście do koron wezwani.
Wprzód jednak żołnierzem, wprzód trzeba być junakiem,
Wprzód, uż koroną, głowę przyodziać szyszakiem,
Miecz ukrwawić. Darmo ten z włosów ją wystrzyga,
Kto przy mnie wojny z ciałem i z światem się wzdryga.
Inaczej trudno się nią zmartwychwstawszy zdobić:
Trzeba czoła zapocić, trzeba się jej dobić.

Od kącoku oczy płyną.

Piszą to o kącoku, że ćmi pod powieką,
Że oczy, kto go jada, płyną abo cieką.
I wielkie podobieństwo, czegom ja na sobie
Doznał, żyjąc w Podgórzu, wyplakawszy obie.
Nigdzież bowiem obficie tak, jako u nas tu
Nie rodzi tej zarazy, tego rola chwastu.
Grzechy kącokiem zowie święte pismo Boże:
Zagłuszyły w sercu mym pobożności zboże,
Z których żem warzył piwo i chleb co dzień piekał,
Słusza, żebym, co kącok robi, łzami ściekał.
Ach! gdzieżby go tak z serca, jako wypleć z skiby,
Abo przetakiem wysiać z pszenice, nigdyby
Nie padała na oczy ta rzewnych łez pluta.
Niemasz pociechy, tylko już późna pokuta.
Wziąwszy trzy ciężkie w dzieciach dorosłych korbacze,
Na nieszczęśliwy kącok człek swych grzechów płacze.
Gdzieżby już z zębów zgrzytem, z cięższym serca bolem
Nie przyszło płakać nad tym przeklętym kącokiem!

Cicha muzyka.

Bywali tak przed laty muzycy ćwiczeni,
Że jedną ręką grając, drugą miał w kieszeni.
Ale że barzo cicho, kto się chciał zabawić
Muzyką, musiał ucha czym bliżej nadstawić;
Tym czasem ów, kuglarze jako błaznów łudzą,
Z swej wyjąwszy, w kieszenią rękę sadzał cudzą.
Nieźle muzykantowi jego się kunszt nadał:
Pieknie grał jedną, piękniej drugą ręką kradł.
Kiedy ten, co go słucha, wesół bywszy, płasa,
On mu cicho kaletę z monety wytrząsa,

Potwierdzając prawdziwej sentencyej skutkiem,
Że się każda dobra myśl winna kończyć smutkiem.
Aspendius niejaki, po nim inszych wiele,
Najpierwszym był tak cudnej autorem kapele.
Pierwszy raz kotły, trąby słysząc na sejmiku,
Wojny to znak: ktoś wojsko gotuje do szyku;
Aż nazajutrz fakcye, wrzawy i hałas.
Anoż trąby, pomyszę, anoż tołombasy,
Prócz tego, żem kitajki nie widział u drağa.
Ale przecię ten wygrał, kto wezora zaciąga.
Na kogóż ta impreza, że i mięsa jatki
Nie wystarczą? Na chłopów swoich, na podatki.
Dosyć czyniąc jednego prośbie senatora,
Stawilem się mu, bo mię zaszła jeszcze wezora;
Aż skrzypce, aż wiole. Anoż, rzekę, znowu
Aspendius wstał zmartwych, szukając obłowu.
Słucham ich, nie słuchając, posiedzenia skracam,
A za każdą wiwatą kieszenie pomacam.
Radem, żem spełna wyszedł. Aż nazajutrz w kole
Muszę płacić wezorajsze skrzypce i wiole:
Kontradykować respekt przyjaźni zatyka
Usta; pozwolić — cnota. A toż ci muzyka!
W ostatku, kiedy wszyscy na kradzież pozwolą,
I ja muszę, klnąc bankiet, klnąc wino z wiołą.
Poszły w trele kościoły i nasze ratusze.
Przekrzcić Aspendiuszów tych w Suspendusze.
A że po polsku rzekę: mają li nam mieszać
Muzykanci sejmiki, lepiej ich powiesznać.

Kamienie łomąć.

Różne szczęście poeci w Helikońskich muzach
Mają. Dyonizyus tyran w Syrakuzach
Tak barzo się z swych wierszów sam sobie podobał,
Że słowa nie poprawił, litery nie skrobał,
Raz napisawszy, choć źle; każdy musiał chwalić,
Musiał pochlebiać, bojąc pomsty na się zwalić.
Mieszkał też w Syrakuzach Filoksenes w te dni,
Poeta, jako piszą o nim, niepośledni.
Posławszy poń, wiersze mu swoje tyran czyta,
A za każdym, jako się podobają, pyta.
Ale kiedy każdemu, i słusznie, przygania,
Odeśle do kamieni poetę łomania.
A sam nad swą ramotę Dyonizy siędzie,
W rzeczy, gdzie mu się nie zda, poprawiając w błę-
Płatków tylko narobi, skroiwszy raz krzywo, [dzie.
Zły krawiec; nie poprawi suknie, jako żywo.
Ba i każdy rzemieślnik, wyjąwszy garncarza,
Bo ten jednę, jako chce, glinę swą przetwarza.
Więc skoro tyran prośbie przyjacielskiej kwoli
Filoksena z łamania kamieni wyzwoli,
Niezgrabną mu ramotę owę czyta znowu
I sam każdemu niemal dziwuje się słowu,
Że będzie i poeta pierwszej hałby sromać,
Rozumie. Wolę — rzecze ten — kamienie łomąć,
Niż twych dREW słuchać. Widząc tyran, że uparty,
Daje mu do poprawy swoich wierszów karty;
Które wzięwszy do domu, bo tak pan rozkaże,
Od początku do końca wszystkie piórem zmaże.*

Niemasz dziś Filoksenów. Żaden nie przygania,
Choćby co pan najgorzej zrobił; choć łomania
Kamieni się nie boją, wszyscy sobie gałą,
Wszyscy dla jego łaski, choć niemasz co, chwałą.
Sam z siebie śmiech uczynił, nikomu nie zadał
Dyonizyus szkody, że źle wiersze składał.
Niech zdrów pisze najgorsze; nie będziem się śmiali,
Byleśmy na pobory częste nie płakali;
Nie nie będą mieć przed niem najlepszy poeci,
Prosim tylko, niechaj nam nie uboży kmieci.

Końska starość.

Póki w siele koń, póki duży, póki młody,
Do wojny panu służy, wygraże w zawody.
Ani do woza ani w pole za psy biera,
Pod jedwabną na gołym owsie stoi derrhą.
Skoro mu lata miną, o dzielnem i rosłem
Mówię, zaprzagają go do orczyka z osłem.
Tak drugi szlachcic z młodu grzeczny, sławny będzie,
Aż skoro się ożeni, skoro z konia zsiędzie,
Do jarzma się, do pługu, jako wół, zaprzęże.
Zwyczajnie dom a lata niewieściuszą męże.
Bezzennym bywszy, śmiercią najmniej się nie strwaga;
Dla żony i dla dzieci ginie w nim odwaga.
Dotąd na dobrą sławę domu swego waży,
Dzisiaj na targu zboża pilnuje przedaży,
A skoro się starzeje, przy kominie kisać,
Abo więc musi małe wnuczeta kołysać.
Choć ma co jeść, nie może; już natura słaba,
Zhywszy zębów na mięso, pije, jako żaba.

Chcesz ty mieć przyjaciela, i ja nie chcę nieprzyjaciela.

Prosił mię z arendarzem dziedzic na ugodę.

Widząc krzywdę i jawną arendarską szkodę,
Nie docieram, choć stare dwa darował fryzy,

Ale wszystko miarkuję wedle interecyzy.

Że nie słuszne, pretensyj jego nie wspominam.

Dopieroż przeczytawszy raz, ich nie dopinam.

A gdy mię nowych racyj swych conceptów uczy,

Nie będzie li mógł prawem, że lewem dokuczy,

Swego się ja sumnienia trzymam — rzekę na to:

Przy rozumie przyjaciel i Plato i Kato;

Więcej prawdę, niż przyjaźń obudwu tych ważę.

Dla twojej chęci na jego niechęć nie narażę.

Miła mi twa i jego przyjaźń nie mierziona;

Jedną drugą kupować rzeczby to szalona,

Zakłóć się w rękę cierniem, rwąc różą dla kogo,

Ciotki pozbyć dla wujka, zapłaci go drogo.

Nie spodziewaj się po mnie więcej; tylko poty

Do ołtarza przyjaciel, póki staje cnoty.

Są, co obojga chybią, na cnotę i pluną,

A swą bez względu przyjaźń ciągną za fortuną.

Chcesz ze mnie przyjaciela? masz go; ale ani

Ja chcę nieprzyjaciela. Nie szacuj mię taniej

Od siebie; choćbyś zaprzął całe frezów cugi,

Nie ruszysz z miejsca; ani z przyjaciela sługi

Takiego się spodziewaj, żeby, chcąc przymilić,

Cnoty miał i sumnienia dla ciebie uchylić.

Rychlejbym zdrowia, niżli odzalił sumnienia,

W złym razie twym, ale nie dla dobrego mienia.

Cóż tu krzywoprzysięzcy niewstydlivi rzeką,

Którzy gniew i karanie Boskie na się wleką?
Potwierdził imo insze tego przykazania:

Żaden krzywoprzysięzca nie ujdzie karania.

Kładzie palec na krzyżu i to usta gada,

Na co serce, że kłama, cicho odpowiada.

Tymi gorzej od żydów krzyżują go palcy;

Bo żydzi nie, ci wiedzą, co czynią, zuchwalecy:

Nie bojąc się straszliwych sądów Bożych kaźni,

Depeą swowolnie jego dla człeczej przyjaźni.

Kochany łokieć.

Dobry łokieć u ręki i do spania słodki,

Ten zaś zły, którym kupcy mierzą, jeśli krotki.

Zwyczajna ludziom, że choć na poduszczę miękki,

Nie mogą spać, pod głowę nie włożywszy ręki.

A cóż na twardej ziemi albo piasku suchem,

Żeby się go, co bywa, nie nasuło uchem?

Na znak, że wszystkie członki nie mogą żyć ściśli,

To bowiem ręka robi, co głowa zamysli,

Siłu ludzi bez rękę, żadnego bez głowy,

Chyba trupy i martwe widzimy tułowy;

Zawsze rękę na spodek, na wierzech głowę kładą,

Ten honor i uważną przyznając jej radą,

Często dla zadumania, często dla rozmowy

Jeden z drugim na łokciach podpieramy głowy;

Jednak że są od grzechu takie pódjeźrane,

Zwłaszcza z białą płcią, przeto pismem zakazane.

Próżnowaniem ta pachnie poduszka i może

Prędko z łokcia pokusa przewabić na łożę.

Wół u żłobu, cielę u kołka.

Nikędy okrom żłobu wychowane w chlewie
Wedle tej przypowieści głupie bydłę nie wie.
Każdy, kto ciała żyje, podobien do wołu,
W domu schowawszy, tylko od łóżka do stołu.
Pewnieby za drzwi zbłądził, kiedyby kto w worze,
Lub zawiązawszy oczy, wyniósł na podworze.
Do gromady na sejmik, w każde święto z chłopcy
Obóz wozic do gumna, zwojowane snopy.
Jak na jubileuszu, będzie li w kościele.
Jeśli też kiedy musi jechać na kwerele,
Nie straszniejszy trybunał: obumiera w grodzie.
Nie dziw: wszystko publika jego na wychodzie.
Tam jedne listy czyta godniejsze pamięci,
Drugie pisze, na trzecie przyciska pieczęci.
Nie prosi najbliższego na obiad sąsiada;
Jeśli zje kto u niego, nazajutrz odjada.
Taki, Seneka pisze, Wakcyja był w Rzymie,
Nie wyjeżdżając ze wsi lecie ani zimie;
Nikt u niego nie bywał, on też ni u kogo.
Do ostatniej starości przyszedł; rzadki kto go
I znał. Więc imo jazdą żywemu nagrobek
Taki pisze: Wakcyja, zajęczy tu bobek,
Co ni śmierdzi, ni pachnie, leży pochowany,
Nikomiu oprócz siebie samego nie znany.
Znajdziesz w Polsce, nie jeżdżąc do Rzymu, tak wiele
Starożytnej szlacheckiej ludzi parentele,
Którzy z tej, co się raz w niej rodzili, chałupy
Nie wylazszy, pleśniej równo w grobie z trupy.
Kto uważa w dzisiejszej świeckich ludzi dobie,

Sprawiedliwie rzec może: wołowic przy żłobie,
Tyją, jak na kloc karwie. Wino, jako w rzece
Wodę, pijąc, gotują łój dyabłu na świece,
W gnoju leżąc po uszy, grzechów nie chcąc wstydać;
Bo i wołowcy z nimi, co go mieli kidać,
Choć im na to łopaty, choć im danó widły,
I świeccy, i duchowni równo żyją z bydły.
Co mieli powierzone sobie iskać woły,
Jeszcze drudzy sadzają złym przykładem wszoly.

Rada rzecz święta, ale dobra.

Świętą sprawą około Rzeczy polskiej
Obradę mądrze ludzie starzy zwali i tej
Boże znaczą kościoły, z jego chwałą w równi
Kładąc, co na jej całość stanie dobrego w niej.
W radzie Rzeczpospolita, w pospolitej Rzeczy
Wszystko się, zdrową li ma radę, ubezpieczy.
W tej swój zamek prywatna, w tej ma i publika,
Póki się nie miesza, póki się nie tyka
Prywatny człek publiki, póki na swój wody
Młyn nie ciągnie. Inaczej nie będzie bez szkody.
Ani rada poradzi: kędy się rozdwoi
Rzeka, prywatne mielą, publiczny młyn stoi.
Prawda, że nie może być, jako pan bez sługi,
Jako ciało bez członków, jedna z nich bez drugi.
Tylko niechaj się sługa kontentuje mytem,
Każdy członek swym, gdzie mu dano miejsce, bytem.
Będą li słudzy pana kradli, w czesie małem
Pewnie panem nie będzie, ani ciało ciałem.
Nazbyt li da ślezione rość, abo wątrobie,
Niechaj śmierci po długiej wygląda chorobie.

Tak też musi być i Rzecz pospolita chora,
Jeśli, co ona zbierze, prywatni rozbiora.
Dwa stany ją, alebyć oba miały w równi,
U nas w Polsce składają: świeccy i duchowni.
Ratujcie się, Polacy! bo już wasza kona:
Wszystkę wzięwszy, udzielić nie chce krwi, ślezionea,
Choć do niej, i dla tego na wątrobie leży,
Tylko do złych wilgoci ciągnięcia należy;
Ba jeszcze ich przymnaża, skoro krew wysuszy,
Morząc Rzeczpospolitą na ciele i duszy.
Widziałem, co robiono na tę niemoc z bydłem:
A mianowicie w koniach, że ją kłóto sztydłem
Na krzyżach przy pacierzu. Jeśli tej swej wole
Nie ujmiecie, z Polski was ślezionea wykole.

Na toż drugi raz.

Pomogąż dziś kościoły do świętej konsulty?
Jedni jako na odpust do nich po indulty
Jada, żeby podatków resztę odpuszczono,
Drudzy, jeśli się wstydzą, żeby im co dano,
Jawnie prosić, zmykają swoich szczwaczów z boku,
Ze do domu próżnego nie przyniosą troku;
Abo usługi z kwestem podejmą się sporem,
Jeżeli nie z pieniędzmi, przynajmniej z honorem.
Karczma kościół pijanym, stół prosty ołtarze,
Wszystko w srogim rozruchu, w zgiełku, w huku,
Nie mówić, ale słyszeć, zrozumieć nie dadzą [w swarze;
Jednych drugim; do szabel, skoro się powadzą,
O co łącno pijanym, ba i do krwi bywa,
Ale gdzie indziej; u nas dość, że jej dobywa.

Któżby nie miał tak świętej obrady pochwalić?
Starszym się tylko dziwić, tylko przyjdzie żalić,
Wspomniawszy na sejmikach poważne Katony,
Stateczne Fabiusze, mowne Cyncerony.
Były książęta w mitrach, biskupi w infule;
Rzekłbyś, że rzymsey siedli na rostrach konsule,
Ateńscy w prytaneum, czy w areopagu:
Jowisz im z oczu w todze, Gradyw patrzy w sagu.
Choć też są, miłość tylko mają, powagi nie:
Tamtej nabywając, tę utracają w winie.

Cielę u kołka.

Kto cielęciem u kołka chowa syna, niech nie
Wątpi o tym, u żłobu że mu z wołem zdechnie.
Cudniej na rosie, sporzej cielę na ugorze,
Lub w pasterniku roście, niż w gnoju w oborze.
Co temu kolek, to dom człeku, jeśli młody
Zasmakuje pieszczoty i jego wygody.
Do szkoły naprzód z chłopcem, z młodzianem do dworu,
Żeby z laty polskiego nawykał humoru.
Jak zmężnieje, do wojska wypraw, do obozu,
Nie chcesz li mieć na starość wołu do nawozu.
Nie wiem, skąd dziś Polacy przejęli tę modę,
Niepotrzebną we dwoje czyniąc sobie szkodę,
Gdy synów z szkół¹⁾ do cudzych posyłają krajów
Z wielkim kosztem nawykać tamtych obyczajów.
Inszego stąd pożytku nie widzę, chybaży
Żeby między żurawmi bociana, co żaby
Jada, znać było. Jakoż każdy się wyznaczy,
Kto pierwej, niż do wojska, do żony junaczy.

¹⁾ W rękopisie: z szłok.

Z jednej wiele rzeczy robić.

Kopę goździ uklepie kowal z jednej szyny,
Kopę ulepi kafli garncarz z tejże gliny,
Kopę czapek z postawu sukna krawiec strzyże,
Kopę upiecze bochnów z jednej baba dziże;
Póki stawa materyi, i formy też poty;
Nie stanie tamtej, nie ma rzemieślnik roboty.
Jednego wołu mięsem, różnymi saporcy
Odmieniając półmiski, zastawi stół spory
Mądry kuchmistrz; najmędrszy nie może przysporzyć
Chleba w garści, i z jednej pan drugiej wsi stworzyć;
Chyba każdą z osobna wsią nazwie chałupę,
Może grabstwem, zebrawszy ich przezwiska w kupę.
Trudno z jednego dzbanka dwu ścian oraz bielić:
Nie przybędzie, choćbyś go na dwoje chciał dzielić.
Toż sprawi w jednym pełnym farby za trzy grosze,
Co we dwu do połowy, we czterech po trosze.

Na toż drugi raz.

Czemuż królowie ziemscy, tytułów tak wielą
Pisząc się, jedno państwo w drobne kęsy dziela?
Dla pychy, dla próżnego postrachu, jeśli mię
Kto spyta, żeby dłużej ich się wlekło imię
W uściech i w uszu ludzkich z owym w trzcinię bąkiem,
Który, mało co wzrostu mając nad pajakiem,
Choć mu nie jastrząb tylko, i kobuz dokuczy,
Jakby zdołał orłowi, tak pierza garść huczy.
Głos tylko, więcej też nie dano ptaszynie:
Żaby zbiera po błocie, wróble straszy w trzcinię.
Trzydziestą koron Hiszpan tytuły swe szerzy,

Przecież go francuski król o jednej opierzy.
A ilekroć się na list odpisać mu zdarza,
Do liczby jego jeden swój tytuł powtarza.
Nie król udzielnny, ale w czym większa sromota,
Niderlandzi, żaby go z swego pioszą błota.
Co dziś rzymscy cesarze przezwisk liczą nowi,
Nie oparł się Ferdynand z jednym Gustawowi;
Leopoldem Leopold prostym do dzisiejsiednia
Pisałby się, gdyby mu nie otworzył Wiednia
Jan, król polski; jużby się z Austrwej rozsuły
I wydarte korony, i próżne tytuły.
Nie ubyło cesarzom pierwszym animuszom
Przy jednym tytule, choć na swoim ratuszu
Królom prawa pisali, ba całemu światu,
Okrywszy go wielkością swego majestatu.
Dziś nie mając we Włoszech jednej ziemie skiby,
Rzymskimi się cesarzmi piszą, ale niby.

Na toż trzeci raz.

Nie w tytułach królewska zawisła potęga:
W enocie, w rozumie, w sile. Tysiąc ich niech
Jeśli się czego boi, jeśli serce żądze [sprzęga,
Cielesne lub łakome ujęły pieniądze,
Jeśli krzywdzi poddanych abo na sumnieniu,
Przymuszając do wiary, abo na ich mieniu,
Jeśli wierzy pochlebcom i, co radzą, każe;
Każdym z tych grzechów wszystkie swe tytuły zmaże.
Nie miał Teodozyus więcej ich krom cnoty,
Wždy mu sprzysięgłe wiatry zbiegały do floty.
Jedna miłość poddanych, z którą Boża chodzi
Pospołu, największe mu tytuły nagrodzi.

Ani polscy o wyższe starali królowie,
Tylko że odpoczynek swej mogli mieć głowie:
Mogli wyspać na łonie poddanego śmieie.
Nie straszni najgłówniejszy stąd nieprzyjaciele.
Trzema liter tylko Bóg, choć go nie objmie
Niebo, ziemia i morze, swoje zamknął imie.
Dobroć, mądrość, wszechmocność że ma z przyrodzenia,
Tak do chwały należą, jako do imienia.
Niechże człek, śmiecią bywszy przed Bogiem, Europe,
Niech ma sam i Azją, ledwie ziemie stopę;
I tej nie ma, bo widzieć nie może jej razem,
Chyba mu ją kto na stół przyniesie obrazem,
Choćby też i miał, czego jeszcze nie dokaże
Żaden, jako się słońce na niebie pokaże,
Dopierożby się pysznił i na swe tytuły
Ze wszystkich by języków zbierał wokabuły!
A długoż jego mienia? długoż jego pychy?
Ostatni kur zapoje, w ziemię na trzy sztychy:
Aż we cztery litery, czego i na rezie
Nie spisałby papieru, trup tu leży, wlezie.
Szaleni ludzie ziemię przywłaszczają sobie,
Choć na niej ogień, wodę, a co pług zaskrobie,
Tylko mają. A to mieć najuboższy może,
Bydło miewszy do pługu i do siewu zboże.
Jakby też, kiedy w mieście gość noclegiem stanie,
Już wieczność, już otrzymał donacyą na nie,
I niem się tytułował, choć pewnie wie, że mu
Trzeba będzie gospody ustąpić inszemu.
Że mocniejszy słabszemu panem, stąd się puszy,
I to na ciele tylko, nic nie ma do duszy.
Od czegoż, mówią, Pan Bóg? I szczęście szalone

Może i dziś obrócić na drugą to stronę.
To niech przywłaszcza sobie, co człek może schować;
I pan niech nie zarzeka inszym posługować.
Niczego ze wszystkich tych nie schowamy rzeczy,
Okrom jednego słuchu, co zmysł pojmie człeczcy,
Bo że przez uszy tylko w serce wchodzi wiara,
O wiarę się niech każdy, byle żywą, stara.
Choć ją dziś wlać przez oczy ludziom ludzie siłą,
Lecz, że tego już nie chce Bóg, wielce się mylą.
Dość było cudów we dnie, a cóż po nich w nocy,
Kiedy ich nikt nie widzi? wiara nie ma mocy
Wiarą się tytułować; cnotami ma szczyścić
I one chrześcijanin na sumnieniu liczyć.
Wiarac to jest tą rzeczą, którą kto się zdobi,
Siłę cnót, siłę rzeczy jej podobnych robi.

Na toż czwarty raz.

Niechżeby już przynajmniej te tytuły liczył,
Które choć do krótkiego czasu odziedziczył!
Cudzę na co wspomina? na co z nich odyma?
Kiedy mu je wydarto, ani ich sam trzyma,
Jako Zygmunt, Władysław i nasz Kazimierz panem
We Szwecyjej się pisał, ale malowanem.
Dajmyż już to ogromne nie królom ozdoba.
Czemuż prywatni, zwierzchność znający nad sobą,
Wielmożą swe tytuły katalogiem długiem
I do nich ubiegają jeden się przed drugim,
Zwłaszcza chudzi pacholcy ani zasłużeni?
Niż rodzenie szlacheckie, drożej tytuł ceni
Jakikolwiek, choć nie ma pożytku trzech groszy,
I niem się nad prostego szlachcica kokoszy.

Niem zasłużeńszego, niem starszego posiadzie
I głos pierwszy w nadzianym wiatrem ma urządzie,
Choć ani głowy, ani po temu języka,
Żeby poznano błazna wraz i urzędnika,
Co w ciżbie nie mogło być. Niech kaleta beczy,
On jednym przywilejem dokazał dwu rzeczy.
Stąd staniał stan szlachecki, stąd do niego weście
Wolne we wsi karczmarzom, wolne kupcom w mieście.
Choć i dziesiątek będzie cześników, podczaszych,
Nie tylko tam nie ma, ale w której stronie,
Nie bywszy, nie wie: w Litwie, czy powiat w Koronie.
Śmieszniejszą jeszcze powiem: nie ma li faworu
Uprosić, za co kupić urzędu u dworu,
Oknem trafi, ode drzwi zastąpisz li pysze:
Imion i przezwisk sobie kilkoro przypisze.
Mało nam jedno krzeczono i przezwisko z dziada?
Herbem, abo wioskami tytułu dokłada
Okrom tej, skąd się jego zowie parentela:
Że się tylko na kmieci swoich nie ośmiela.

Na toż piąty raz.

Że się z jednej rzeczy ludzie robią żywi,
Pojźrawszy na umarłych, niech się nikt nie dziwi,
Widząc nagrobki, choć się w proch trupy rozsuły,
Jakiż pychy nie znaczą pisane tytuły?
Kiedy żywszy, nie mając żadnej cnoty w sobie,
Tysiącem ich po śmierci na kamieniu skrobie,
Chcąc wsławić u późnego imię swe potomstwa.
Żyjącoby tak, wielkiego musiał wstydzicie kłomstwa;

Umarły nie dba, przeto tytułów nie skąpi.
Rzekłbyś, że niebo minie, że wyżej postąpi.
Minie, upewniam, bo ta Bogu zmierzła pycha
Dyabła z niego do piekła niżej grobów spycha.
Drudzy zaś opak, ale nie nie czynią lepiej:
Wtenczas się, skoro ich grób, pokorzą, zasklepi.
Żywszy lat kilkadziesiąt w okrucieństwie, w pysze,
Grzesznik, na swym nagrobku, grzesznik leży, pisze.
Na cóż pisać, co świat wie? jeśli dla żałoby,
Od wszelakiej pokuty uwolnione groby.
Kto w grzechach żyje, póki nie pójdzie na mary,
Nie do pokuty, ale musi wstać do kary,
Gdzie tyle milionów ludzi złych ogulem
W piekło przekleci jednym odbędą tytułem.

Ostracismus. Testulae transmutatio.

Warujże się omylić, minawszy literę
W łacińskiej przypowieści: po polsku by wierę
Śmierdziała; ale i tak, kto dobrze uważa,
Nie nosy, ale uszy cnotliwe żarzą.
Niesprawiedliwe prawo u Greków przed laty
Było, że najcnotliwszy, jeśli człek bogaty,
Jeśli przy tym był sławny i u ludzi wzięty,
Z miasta na lat dziesiątek przez zazdrość wypchnięty.
Radził i mówił mądrze na ratuszu w krześle,
Abo w księgach nauką, dowcipem w rzemieśle
Inszych przeszedł, choć nie był nie winien nikomu,
Musiał niebo odmienić i wędrować z domu.
Zazdrość równością, głupi rękawicą plecy,
We dwoje zimno cierpiąc, okrywali Grecy.

Kędy indziby by takich po świecie szukano,
Jakich tam z miast szalenie na świat wyganiano.
Aż też przyszło do tego, choć ściśniony tłumem,
Że z świecą Dyogenes człowieka z rozumem
W jasne szuka południe; lecz ją darmo spaleł,
Nie znalazzsy, kogoby w Atenach pochwałę.
Błaznów było, błaznowie, z swoich miast wypychać!
Moglibyście w tak ciężkiej niewolej nie wzdychać.
Ostracyzmem nieprawne tamte zwano prawo.
Nie mogło nic na świecie dziać się tak plugawo:
Chcąc głupiemu, jak bydło, pospółstwu dogodzić,
Wszystkim drogę do cnoty, do sławy zagrozić!

Przez sługi do pana. Przez świętych do nieba.

Że przez sługi do panów przystępować trzeba,
Polska mówi przypowieść, przez świętych do nieba.
Ale nie wiem, dla czego luter na to mruczy.
Aż on: Bo mię inaczej pismo święte uczy,
Jednego pokazawszy w niebie pośrednika,
Syna Bożego, niech się drugi w to nie wtyka:
Zły ociec, u którego synowska przyczyna
Nie ważna, póki słudzy nie podeprą syna.
Pan Jezus Bogu Ojcu przyznaje inaczy:
Że go prócz pomoeników wysłuchiwać raczy,
I żebyśmy do niego przystąpili śmieie,
Bogiem bywszy, w śmiertelnym urodził się cieie.
Nie tylko się przyczyniać, ale i zmiłować
Może, przeto nas bracią nie wstydy mianować.
A wy równo chwalicie z Synem Boże sługi,
Spisawszy katalogiem litaniej długiej,

O których się nikomu, prócz samych was, nie śni,
Tak na kazaniach, jako śpiewając im pieśni.
Bredzisz lutrze! Kto chwali świętych, kto im śpiewa,
Jako na pana ze sług, na Boga się zlewa.
Wzdyć go i Dawid każe w świętych jego chwalić,
A ty chcesz dzielić, chcesz sług od Pana oddalić¹⁾.
W miejscach — odpowie luter — słuchać li Dawida,
Choć się to chrześcijanom oboje nie przyda,
Ani sam umarłego naprzykład Mojżesza
Chwalić, choć go Bóg pogrzebł po śmierci, rozgrzesza,
Jakiego żaden nie miał człek honoru po niem.
Ani miejsce ma braku, gdziekolwiek się skłoniem:
Kędy się dwu, trzech zejdzie na modlitwę społem,
Kaźde miejsce jest święte, wszędy jest kościołem.
Czemuż się Salomona, że go nie oddał
Od królestwa całego, Bóg, rzekę, uzał
Dla Dawida, choć ten już czterdzieści lat w grobie?
Czemuż świętych przyczyna nie jest ważna tobie?
Nie tylko dla Dawida, i dla Jeruzalem —
Luter na to odpowie — Bóg się ruszył żalem.
Znać się za Salomonem i miasto przyczyni,
Kiedy z niem pomienione miłosierdzie czyni.
Żywi żywym przed Bogiem niech będą załogą;
Pomarli samą tylko pamiątką pomogą.
Grzech w trzecim, abo w czwartym; dalej w zapomnieniu;
Pobożność Bóg w tysiącnym płaci pokoleniu.
Czemuż by był uprosił Mojżesz z Samuelem —
Odpowiem — gdyby się nie za Izraelem
Zuchwałym przyczyniali? Pewnie, gdyby żyli —
Rzecz luter — komuby Boga uprosili

¹⁾ W rękopisie: oddzielić.
Biblioteka pisarzy polskich.

Inszemu; ale trzeba było im zmartwych wstać,
Trzeba, o co prosili, wedle pisma wystać.
W tymci świat chrześcijański wszystkie swe założył
Pociechy, że umarszy nasz pośrednik ozeł.
Inaczej próżna wiara, nadzieja daremna,
Gdyby go przepaść miała zatrzymać podziemna
Z waszymi przyczynkami, którzy, póki żyli,
O modlitwy za sobą chrześcijan prosili.
Więchy — rzekę — jeden mnich, jeden apostata
Miał być mędrszy, wasz Luter, od całego świata?
Ja powszechnego wolę, jak pijany kołu,
Bo to wszystko uważał, trzymać się Kościołu.
Będę chwalił, i twoje dyskursy pokinę,
Ku chwale Bożej świętych prosząc o przyczynę.
Chwał, proś, spuszczać się na nie; tylec — luter mowi —
Pomoże przed Bogiem, co w on czas Dawidowi,
Kiedy go po zabiciu Goliata chwałą,
Gdzie niewiasty żydowskie gniew Saulów nań zwałą.
Nie panu ze sług, ale sługom raczy z pana
Dobrego chwałą bywa, ze złego przygana.
Stąd przypowieść: jaki pan, taki i kram, a wy
Ludziom przypisujecie własne Boże sprawy.
Nogą chromych i okiem, jakoby na przepych
Bogu, który tym sam jest, nazywając ślepych.
Nie dla ich wiernym Chrystus, bo tego dołoży,
W światłości chodzić każe, lecz dla chwały Bożej.
Dość na sługę pochwały, dosyć stąd honoru,
Że wiarą swą pańskiego dostąpi faworu.
W czynże poznać ten pański fawor, w czym te wdzięki?
Jeśli mu, lutrze, nie da szafunku do ręki
Z owym sługą, któremu wierzył poufale

Wiele dóbr, cnoty jego doznawszy na male?
Więc tego apostołi ani będą godni,
Prorocy, bo nikt cudów nie czynił dowodni,
Żeby ich wysławiono? Dosyć mają na tym —
Rzecz luter — od Boga, że przed całym światem
Objasnieni i pełne ich spraw pisma Boże.
Ani ich większa chwała nad tę potkać może.
Samemu Bogu chwała, świętym wspomnianie
Ludziom należy i ich cnót naśladowanie.
Nie chwałą ich, lecz sławą, na którą zarobią,
Wiarą, miłością, zdrowia odwagą niech zdobią.
Aż przyszedłszy Pan Jezus, za swymi ich stoły
Posadziwszy, przed ludźmi wyzna i anioły.
Ta, którą oddajecie z ujmą chwały Boży,
By najmniej apostołów przed niem nie wielmoży.,
Bogu chwałę, nie Panu Jezusowi dali
Żydzi, bo jak dziś w niebie, tak w ciele nie znali.
Kiedy go, odpuściwszy grzechy wprzód, uzdrowi
I każe wstać na nogi paralitykowi,
Co była nie słychana od początku wieku,
Boga chwałą, nie jego, że tę moc dał człeku.
Wzdym z świętych Bożych pieśni nie słyszał ni o kiem,
Żeby go nogą chromych, ślepych zwano okiem,
Jako dziś każdy o swym zakonniku mniszy,
Czym od waszego Luter Kościoła się zliszy.
Choćby to prawda, przecięż dobrodziejstwo cudze,
Co należało Panu, przyznajecie słudze.
Pana czcą, nie szafarza ludzie, za to, co mu
Pan rozkaże, ze swojej spiżarnie da komu.
Wszysyśmy szafarzami. W tym tylko różnimy,
Że nie wszyscy wiernymi, nie wszyscy dobrymi,

Abo nic, abo skapo, abo nie tam, kędy
Kazał Pan, dając. Żle swe sprawujęm urzędy.
Choćby też i najlepiej, wždy nie użyteczni
Przed Bogiemeśmy słudzy, choć u ludzi grzeczni.
A czemuż jedni drugim śpiewacie w kościele,
Chwaląc ich, a co większa, umarłym tak śmieie?
Ani anioł od Jana chciał pokłonu, ani
Paweł ofiar, gdy mu je gotują pogani.
Większej czei po nas nie chcą, z tej będąc kontenci,
Kiedy i my będziemy ich przykładem święci.
W naśladowaniu siebie chwałę swą objawi
Paweł; Bogu tytuły i pieśni zostawi.
Niech że tak za was, rzekę, lutrzy i kalwini,
Luter z Kalwinem, jako Abraham dziś czyni
Za żydy. Ja z kościołem wszystkich świętych wzywam,
Ani się na piśmienne racye zdobywam,
Bom żołnierz, nie teolog. Znajdziesz, ktoć odpowie:
Do ojców Jezuitów idź, bywszy w Krakowie.

Jedną nogą w grobie.

Sławny przewoźnik Charon, który pełnym batem
Dusze zmarłe, skoro się z tym rozstaną światem,
Przez Acheron, Flegeton, Styks, Kocyt, niż ługi,
Czerniejsze rzeki cztery przewozi na drugi,
Gdzie pod siwym Eakus i Radamant włosem,
Sędziowie straszni, z trzeciem ponurem Minosem,
Każdy osobne swoje zasiadzą ratusze,
Dobre na wonny Eliz popisują dusze,
Żle w piekło, gdzie okrutnej pełni kaci grozy
Rozmaite mąk wiecznych wymyślają fozy.

Stąd łacińska przypowieść na podeszłe starce,
Że stoją w Charonowej jedną nogą barce.
Lepiej naszym Polacy tłumaczą to sobie:
Nie w barce, ale jedną stoją nogą w grobie
Starzy i chorowici, sama im przewozem
Śmierć w grób z łóżka, ująwszy twardym rzeki
[mrozem,
Nie w prumie, ale w trumnie. Kto się na świat rodzi,
Równy z staremi stoją jedną nogą młodzi;
A wždy na ziemi trudne i niepewne srodze
Bierzemy przed się rzeczy, choć o jednej nodze:
Już jedną stoi w czołnie tego przewoźnika,
Ktokolwiek urodziwszy ziemie nogą tyka.
Nie żyje, ale każdy w swej się wiezie łódce
Na tamten świat, choć jeden dłużej, drugi wkrótce.
Przez tysiąc, które mącą, różnych przygód wiery,
Ledwie go matka skapie, nie przez rzeki cztery
Pławić się musi równo z Mojżeszem w sitowiu,
Nie mając bezpieczeństwa żadnego dnia w zdrowiu.

Na toż drugi raz.

Wyleciałby człek ptakiem na śród Wisły z prumu,
Gdy pełna strachu, pełna szarga wstanie szumu.
Wzdycha na drugą stronę, radby deptał piasek,
Gdy łomią, gdy nie staje rozumu i lasek
Przewoźnikom. Dalekoż straszniejszy, niż Wisła,
Przewóz, na którym ludzka fortuna zawisła.
Przenoszą wszystkie burze, wszystkie morskie fale,
Że grzechów nie wspominam, kłopoty i żale.
Komu śmierć zbierze męskiej dochowanych pory
Synów, łomią się laski, starości podpory.

Przebóg! czemuż, kiedy człek do brzegu dopycha,
Tam patrzy, tam chcąc wrócić, skąd wsiadł na łódź,
Bo daleko, niż fale, groźniejszy mu sędzie, [wzdycha?
Gdzie go zaraz prowadzą, ledwo z łodzi zsiędzie;
I świadka przeciwnego, i instygatora
Widząc przy sobie, nie dziw, że drży na nim skora.
Wolałby wodę Wiślną pić na samym groncie,
Niżli duplikę smoły z siarką w Acheroncie.

Na toż trzeci raz.

Przeżywszy trzy, skoro śmierć i samemu w zęby
Zagląda, do czwartej mię żony w dziewosłęby
W piętnastu lat, dziadowi już siedmdziesiąt minie,
Prosi, czarnego włosu w brodzie i w czuprynie
Nie miawszy, już skrzywiony, ba i siwych mało,
Bo jako list z osiki zimie obłyślało.
Jać na prośbę pojadę — rzekę — ale tobie
Co po żenie tak młodej, zwłaszcza jedną w grobie
Stojąc nogą? już też ta czwarta będzie rzeka,
Przez które Charon ludzi na on świat przewleka,
Ostatnia łódź. Nierówna niwczym tobie dama,
Bo na niej popłyniecie do ojca Abrama.
Bylem — rzecz — uchował, jako i on, syna,
Trzydziestą bywszy młodszy! siłę ma dziewczyna
Przed babą, której wyszły do rodzenia lata.
Ty dziś za dziewosłęba, dalej bądź za swata.
Prawda — rzekę — że starym rodzić rzecz nie nowa;
Ale rzadki, co syna męskich lat dochowa.
Aniś ty Abrahamem, ani dziś Bóg cudów
Żydom czyni. Chybabyś wedle ich talmudów

Mesjasza urodził. Ale i on nie w te
Czasy miał przyść. Pewnikiem będzie drugi Jefte.
Bo tak młoda dziewczyna z tak starym nie para:
Do młodych się będzie śmiać; do starego Sara,
I z onego Izaka powiła mu śmiechu,
Czego twoja nie może dokazać bez grzechu.

Na toż czwarty raz.

Ludziom ani dzieciom swym dobrego przykładu
Zostawiwszy, jednąś już nogą w grobie dziadu.
Nie myślisz z grzechów powstać, żywota poprawić,
Nim ci każą i drugą za pierwszą w grób wstawić.
Nie w grobie; w piekle, dziadu, co daleko smutni,
Już jedną nogą stoisz. Czym prędzej ją utni.
Nie jedną; już cię dyabeł zaswoiwszy sobie,
W niewolą wiecznej śmierci uwiązał za obie.
Woliż w niebo o szczudle, a choć i o lewej.
Zruc, nim ci każą zwięzać, na nogach cholewy
Cielesnych świeckich grzechów. Jeśliż się zuć kazał
Bóg Mojżeszowi, kiedy w krzaku mu pokazał,
Daleko więcej z serca brzydkich grzechów skornie
Zrucić, kto chce na jego wniść pałace gornie.

Cavam Arabiam serere.

O trzech nam, jeśli [się] tam komu jechać trafi,
Arabiam bywali piszą geografi:
Jedna żyzna i płodna zowie się szczęśliwa,
Dwa kroć w rok ludzkie siewy przynosząc do żniwa;
Druga sucha, piaszczysta, nigdy się zieloną
Trawą nie barwi, żadnym drzewem, przeto płona.

W tamtej balsam i różne wdzięcznej zioła woniej,
Po które z kraju świata ludzie jeżdżą do niej.
W tej ani szwiec ma dziegiu, ani furman mazi;
Szkodliwa, jadowita gadzina wyłazi.
Trzecia górna, skalista, gdzie gniazdo zaplata
Feniks jednak, jako piszą o niem, świata.
Ta, choć ma palmy, cedry i indyjskie drzewa,
Przecież źródeł o male, bo deszcz rzadko zlewa.
Znajdzie i w Europie, choć się kto nie wietrzy
Do Azyej odległej, Arabie te trzy.
Znajdzie i w naszej Polsce na koło Krakowa,
Koło Proszowic, Gorlic, koło Biedaczowa.
W Zawisłu tłusta skiba balsamuć nie rodzi
Ani ziół wonnych, ale pszenicą nagrodzi.
Piaski koło Olkusza, kędy srebro pławia,
Zbójcy węzów, jaszczurów, padalców nadstawia.
Podgórze od Krępaku zową i Bieszczadu;
Feniksa, prawda, niemasz, ale tego gadu
Pełno, który sto razy od jaszczurów gorszy:
Truje, piekąc, nie kasząc, i bierze, i morzy.
Bywa, prawda, i feniks, ale wielkie dziwy:
Węgrzyn li, abo Rusin rodzi się enotliwy.
Jeśli kogo do kupna wsi apetyt wabi,
Niech że ją sobie z tych trzech obiera Arabij.
Musimy kontentować drudzy się przedmieściem,
Abo ulicą, kiedy w rynku nie pomieściem.

Na toż drugi raz.

Żal się Boże wymowy i twojej nauki:
Czytałeś ręczne pisma, przebiegł wszystkie druki,

Wždy jakobyś piasek siał w Arabiej pusty,
Tyle masz z swych kapłanie kazań złotousty
Pożytku: wszysey w grzechach leżymy po uszy,
Bo twe siewy w bezwodnej ziemi słońce suszy.
Odwilżyć piasek! wszak niż na niem, rychlej chybi
Żyto na bujnej roli, jeśli się poskibi.
Rzeczysz: Nie mam w swej mocy deszcza. Masz kapłanie:
Daj dobry przykład z siebie; ale ani kanie
Żadne gorąco żytu w piasku nie dokuczy,
Jako enocie, nie czyniąc kapłan, czego uczy.
Ba odwilżacieć trunkiem, lecz gorzej sechnie ziarno,
Komu w głowie od rosy gorzałczanej parno.
Insza do tej wilgoci nie zejdzie się rosa,
Jaką czytam u Pawła i u Apollosa.

Na toż trzeci raz.

Wziąwszy płony nie płodny w małżeństwo brzuch babi,
Jakbyś też w opuszczonej od ludzi Arabii
Kawalec piasku kupiel. Właśnieś tyle wskorał:
Próżno będziesz siał, próżno będziesz co noc orał.
Nie spodziewaj się kłosa, nie spodziewaj syna;
Abo rób w psinie, kiedyc zła była rędzina.
Nie płony, ale płodny grunt orzę, darmo to:
Choć nie ryż, Arabia moja rodzi złoto —
Odpowie ów — im radłem zawadzę w nią części,
Nie dwa kroć w rok; na każdy dzień mi się poszczęści.
Nie radłę, młóćę tylko; prawda, nie bez potu;
Lecz wezmę wór pieniędzy z każdego wymłotu.
Samymi talerami wezmę, jako lodu.
Musisz też wachać — rzekę — miasto ambry smrodu.

Co ma trzeźwy w umyśle, pijany w języku.

Z ziemi ziola po deszczu, z serca wschodzą słowa
Po winie, gdy zmacona językowi głowa
Puści wodza. To z serca pijany człek wydał,
Czego się wyszumiawszy jutro będzie wstydał.
Rodzi pokrzywy ziemia i chwasty nieczyste,
Rodzi też i fiołki w sadach zapaszyste.
Póki człek trzeźwy, zwłaszcza rozsądny, cnotliwy,
Nie rzece nic próżnego, choć ci za pokrzywy
Prawda stanie, bo w oczy kole, w uszy parza.
Woli pochlebce, woli każdy słuchać łgarza,
Kto się w grzechu zakocha. Lecz kogo gorzałka,
Abo wino odwilży, nie czekaj fiałka.
Nie poczciwego słyszeć nie obiecuj po niej:
Co mu do gęby ślina przyniesie, błazgoni.
Jako piwo na drożdżach z ahtela się burzy
Młodo złane, aż ze dna szpuntek się wynurzy,
Tak człek, co miał po trzeźwu na sercu w sekrecie
Kilka lat, wnet podpiwszy językiem to plecie.
Trunek w usta, sekret z ust, jako na wierzch splywa,
Jeżeli kto w nią wody naleje, oliwa.
Siełu też zań, nie chce li za rogi, jak wołu,
Uchwyciwszy prowadzą do jatek z okołu.

Po tak długiej pracy nic się nam nie polepszy.

Cóż Polacy, że Niemców na nogi postawią,
Co w niwecz obróciwszy ojczyznę swą, sprawią?
Tak wiele, jakoby nic. W tym stanie ich rzeczy,
Ba w gorszym, niż kiedy szli Wiedniowi w odsiecz.
Skoro tak długą wojną z gruntu ją spustoszą,

Jednego i drugiego, choć kilku, spanoszą.
Trudno mają fortunę winić z razu, bo ta
Podpisowała króla szczęśliwego wota,
Tryumfalny kilka kroć włożywszy nań wieniec.
Mogli byli już dotąd odiskać Kamieniec.
Na to się dziś nie mogą zdobyć żadną miarą,
Żeby ordzie zabronić do niego z zacharą.
Łacniej było tureckie straszne wojska gromić,
Niżli te lekkie dusze Polakom uskromić.
Cóż to robi? podobno nieszczęsna prywata!
Niechaj kto powie, aż się echo ozwie: Ta, ta.

KONIEC CZĘŚCI WTOREJ.

Spis rzeczy.

	Str.
1. Pijaństwo bez wina. <i>Citra vinum temulentia.</i>	1
2. Stary pies szczeka. <i>Vigila. Vetulus canis latrat</i>	2
3. Co głowa to rozum. <i>Quot capita tot sensus</i>	2
4. Ręce Chrystusowe. <i>Manus Christi. Deorum manus</i>	3
5. W duchu się cieszyć. <i>In sinu gaudere</i>	4
6. Rzadko łzy szczyre, kiedy jawne. <i>Fandit lacrimos pectore laeto</i>	5
7. Skromnie znoś nieboże, co cię minąć nie może. <i>Feras, non culpes, quod vitari non potes</i>	5
8. Opak świat. <i>Inverso ordine</i>	6
9. Miej się do mocniejszej ściany. <i>Accede diis fatisque, felices colito</i>	6
10. Dojutraszek. <i>Amicus certus in re incerta cernitur. Fides cum fortuna</i>	7
11. Chceszli wziąć, daj. <i>Munera, crede mihi, placant hominesque deosque. Do ut des</i>	7
12. Lepiej najdrożej kupić, niż wyprosić. <i>Nihil carius emitur, quam quod precibus emitur</i>	8
13. Inaczej daje ubogi, inaczej bogaty	9
14. Dymy przedajne. <i>Fumos vendere</i>	9
15. Honory i tytuły świeckie	10
16. Nabożeństwa do niektórych plebanów	11
17. Figury astronomiczne	12
18. Dymem wszystko pod słońcem	13
19. Ochota nierozmyślna wstydu przyczyną. <i>Nesciebam, me tibi esse adeo familiarem</i>	14

	Str.
20. Wół do siodła, koń do plugu. Optat ephippia bos piger, optat arare caballus	14
21. Co dwu, abo trzech wie, już to nie sekret	15
22. Na toż drugi raz	15
23. Wyuzdany język. Lingua effrenata	15
24. Rozum ojcem, myśl synem, język córką	16
25. Siła ma gotowy nad niegotowego. Hinnulus leonem vicit	16
26. Nędza nędzę pojęła	17
27. Ludzi przybywa, ziemie nie	17
28. Przepiórcze pole	18
29. Ośli cień. Maluit causam perdere, quam jocum	19
30. O sierć kozią hałas. De lana caprina	20
31. Z okazyj kozi sierci	20
32. Tygrys na grzbiecie, zając w namiocie. Lepores galeati	22
33. Taż to Helena? Haec nobis Helena?	22
34. Kozła doić. Hircum mulgere	23
35. Na toż	23
36. Dym dysputacya. Do fumo disputare	23
37. Przyrodzoną gładkość wymyślna ozdoba szpeci. Innoxia forma, cur atramento candefacere?	24
38. Suknia grzecznemu przydatkiem, błaznowi njmą. Sincerum vas incrustare	25
39. Midas ma ośle uszy	26
40. Sincerum vas incrustare	28
41. Nie o to go bito	28
42. Kruk krukowi oka nie wykole	30
43. Wojna ludzi nie rodzi	30
44. Równy się równym cieszy. Similis simili gaudet	31
45. Jeszcze się ten nie urodził, żeby wszystkim dogodził. Jupiter nec serenus, nec pluvius placet omnibus	31
46. Człowiek miejsce, nie miejsce honoruje człowieka	32
47. Do tegoż	34
48. Po mojej śmierci niech się niebo wali. Ruat coelum me mortuo	34
49. Za pieniędzmi wszystko. Pecuniae obediunt omnia, virtuti omnia parent	35
50. Nie trzeba prawdy zdobić udatnymi słowy. Veritas simplex oratio	35

	Str.
51. Za pieniędzmi wszystko. Et genus et formam regina pecunia donat	37
52. Zmyślone łyzy. Praefica	38
53. Bliższe serca kolano, niż pięta. Genu plantae propius	39
54. Każdy sobie o tej dobie. Omnes sibi melius malunt, quam alteri. Quis cui bonus, sibi nequam?	40
55. Do tegoż	40
56. Jako za żelaznym murem. Extra telorum iactum	41
57. Powietrzniki na deszcz skrzypią	42
58. Daleko Jowisza, daleko od strachu. Procul a Jove, procul a fulmine	43
59. Dwaj trzeciego prowadzą, czwarty stawia nogi	44
60. Małych złodziejów wiesz, wielkim płacą	45
61. W siedmiu posiedzenie, w dziesięciu pijatyka. Septem convivium, novem convicium abo convocium	46
62. Spadł ze stołu	47
63. Lepszy karany. Post mala prudentior	47
64. Z jaja się wylągnął. Ex ovo prodiit	48
65. Non cuivis contigit adire Corinthum	49
66. A nucibus ad ficos	50
67. Otworzyć okna. Fenestram aperire	51
68. Katowiska łaska. Cyclopis donum	51
69. Twymi cię odmaluję farbami. Tuis te pingam coloribus	53
70. Sam się w swym domu, w cudzym chwał gospodarza. Domi Milesia	54
71. Owce wilkowi. Lupo ovem commisisti	55
72. Wędzidła gryzie. Mordere frenum	56
73. Niedźwiedziowi miód	57
74. Rękami i nogami. Manibus pedibusque	57
75. Wąż pod kamieniem. Serpens sub lapide	58
76. Osieł do lutnie. Asinus ad liram	59
77. Świnia trąby słucha. Sus tubam audivit	59
78. In alienam messem ne immittas falcem	60
79. Penelope tela	61
80. Zna się, jako świnia na pieprzu	62
81. Siła przypadków między usty i między kieliszkiem. Multa cadunt inter calices supremaque labra	62

	Str.
82. Lepiej się sprawić z lassu, niżeli z tarasu	63
83. Incidit in Scyllam qui vult vitare Charybdim	64
84. Ze dwojga złego mniejsze wybierać	65
85. Ubogi a pyszny — boży nieprzyjaciół	66
86. Na jednym kamieniu dwa razy się potknąć. Ad eundem lapidem iterum offendere	67
87. Świercz polny dosadzi spadanej strony. Cicada hordam supplet	68
88. Na tejże stronie błędzić. In eadem horda errare	68
89. Żołnierz nie strojny lepszy do wojny	69
90. Siła lis, jedną sztukę ma jeź do obrony. Multa novit vulpes, nnum erynaceus	69
91. Koniec biedy powróż. Ad restim res devenit	71
92. Lepiej się jednej, a pewnej rady trzymać, niż kilku niepewnych	72
93. Bliźki płomień dymu. Flamma fumo proxima	72
94. Co piękne, to i dobre	73
95. Jednym się kontentować	74
96. Na piękne każdy waży	75
97. Stulticiam patiuntur opes	76
98. Insza rzecz nczonym być, insza rozsądnem	77
99. Wilka trzymam za uszy. Auribus lupum teneo	77
100. Z pomocą wygrana. Non sine Theseo	78
101. Kamień okrągły sam z góry leci	79
102. Starzy — dwa razy dzieci. Senes — bis pueri	80
103. Złe, ale potrzebne. Malum necessarium	82
104. Sześćdziesiątletniego z mostu. Sexagenarios de ponte	82
105. Przewarzana kapusta. Crambe recocta	83
106. Na toż	84
107. Siła złego, dwu na jednego. Nec Hercules contra duos	84
108. Jeden — żaden. Unus — nullus	85
109. Gbur między dworzany, wilk między brytany. Asinus inter simias	87
110. Zwycięzca płacze, zwyciężony zginął. Flet victor, victus perit	88
111. Komora cedzić, wielbłąda połykać. Culicem colare, camelum glutire	89

	Str.
112. W słowach wszystko, w rzeczy nic. De verbis quantum vis, de opere nihil	91
113. Na toż	92
114. Na toż	93
115. Stołowy przyjaciel. Favet olla? vivat amicitia	93
116. O rzeczy niepodobne nie kusić	95
117. Farbowane lisy	96
118. Na toż	97
119. Przyszygają młodzikowi czupryny	98
120. Białym znaczyć kamykiem. Album calculum addere	99
121. Z kretką żyje	100
122. Po szkodzie Polak mądry. Sero sapiunt Friges	101
123. Wiatr, co chmury ciągnie do siebie. Caecias	102
124. Niebo się obali, skowronki potłucze	104
125. Tak ciągnąć łyżeczka, żeby nie zerwać rzemyczka. Omnia sunt hominum tenui pendencia filo. Nimum tendendo funis rumpitur	105
126. Stare drzewo przesadzać	108
127. Na toż	109
128. Chluby nagrodą szkoda	109
129. Prawi, co ślina do gęby przyniesie	110
130. Obmowcy nie wygodzi. Momo satisfacere	110
131. Przepłynąwszy utonąć. In portu naufragium	111
132. W progu ustyrk. In limine offendere	112
133. Na cie przyszło, na mycie odeszło. Citra pulverem	113
134. Łacno wygrać sprawę opuszczoną. Deserta causa	114
135. Opuszczona sprawa	115
136. Staremu język odmienić trudno. Senis linguam mutare	116
137. Śpiącemu szczęście niesie. Dormientis rete trahit. Infelix virtus et solis provida verbis. Fortunam in rebus cur sequeris dominam	118
138. Na święte nigdy. Ad calendas Graecas	119
139. W ten czas to będzie, kiedy się mulica ożrebi. Quando mula pariet	120
140. Złemu śpiewakowi chustka u pasa zawadzi. Acesia luna	121
141. Tak uważaj każdą rzecz, żebyś nie opuścił okazji. Perpetua cunctatio omnes occasiones imperfectos reddit	121

	Str.
142. Probierski kamień. Lapis lidius	122
143. Białym sznurem drzewo znaczy cieśla. Alba amussis . .	123
144. Jakoby z gardła gołębiowi wyjął	123
145. Na warstat. Sub incudem. Artifici in suo opere credendum	124
146. Nie wszyscy w rynku, musim i w ulicach	125
147. Nie za nas to powstało	127
148. Do tegoż. Tantalus horti. Tantalus a labris fugientia flumina captat pomaque, quae nullo tempore tangat, habet	128
149. Tylko mi nieba nie dostaje	130
150. Stultus oportuna locutus	131
151. Nie godzien mydła wozić, wody mu podać. Indignus matellam porrigere	131
152. Do tegoż	132
153. Rozwiązana miotła. Scopae dissolutae	133
154. Chyba żeby Boga na niebie nie było	134
155. Łacno na grzech namówić. Rerum malarum facilis persuasio	135
156. Pijana sprawa	136
157. U bednarza uczyć się garnków robić. In dolio figulinam artem discere	137
158. Pan Bóg do gotowego. Cum Jove manum move	137
159. Nie lubię mądrego, co sam sobie głupi. Non amo sapientem, qui sibi non sapit	138
160. Obfitość Tantalowa. Tantalus talenta	139
161. Głos ludzki — głos Boży. Vox populi — vox Dei	139
162. Kto chce wieżę budować, trzeba koszt porachować	140
163. Toż drugi raz	141
164. Jakoby go z chlewa wypuścił. Cibum nondum sacrificatum ne rapias	142
165. Sejmikowe kreski	144
166. Mądrze, ale niezrozumianie. Delio natatore opus est	145
167. I siłu i dobrych. Multi bonique	145
168. Często mówiąc, uczy się dobrze mówić. Dicendo dicere discit	146
169. Zacznych rodziców synowie ledaco. Filii heroum noxae	148
170. Jedna bieda nic człękowi nie uczyni. Alio relinquire fluctu, alius excepit	149
171. U drzewi zbłądzić. Aberrare a ianua	150

	Str.
172. Ubogie stadło i mucha powadzi. Allassu rixa quaeritur	151
173. Toż drugi raz	152
174. Toż trzeci raz	152
175. Nie poradzisz, kiedy złe pół grosza. Nie zagrasz na spadanej stronie	153
176. Pyszny chłop nadęty pęcherz. Utre territas	153
177. Wolnomówcy. Dicelicti	154
178. Z rzeczy rada. Gladiator in arena consilium capit	154
179. Zna się, jako świnią na pieprzu	156
180. Zły to ptak, co swoje gniazdo maże	156
181. Mów, żeby cię widziano. Loquere, ut te videam. Qualis vir, talis oratio	157
182. Mileząc pokryjesz, mówiąc wydasz wadę w języku, ba i w głowie	158
183. Swymi pióry ranny. Nostris ipsorum alis capimur	159
184. Zdarz Boże. Cum bono genio	159
185. Do tegoż	160
186. Tylko ptaszego nie dostaje mleka	161
187. Nietykane rzeczy ruszasz. Non movenda moves	162
188. Rychlej sąsiedzi wiedzą, niż gospodarz, co się w jego domu dzieje. Aedibus in nostris quae prava, aut recta geruntur	163
189. Do tegoż	164
190. Leniu, nęćcijaje. Oblupże mi je. Dii laboribus omnia vendunt	164
191. Kaszel za pierdel. Tussis pro crepitu	166
192. Nie odgrzebaj się, kiedy cię nie ugara. Quae extra nos, nihil ad nos	166
193. Najwięcej lekarzów na świecie. Facile cum valemus, recta consilia aegrotis damus	167
194. Wół siodła, koń jarzma. Optat ephipia bos piger, optat arare caballus	168
195. Przed zazdrością w niebie nie być. Fertilior seges in alieno agro	168
196. Do tegoż drugi raz	169
197. Nam inszych, nasze inszym podobają się rzeczy. Aliena nobis, nostra plus aliis placent	171

	Str.
198. Kto pije drożdże, ten piwa dożdże. <i>Faecem bibat, qui bibit vinum</i>	172
199. Znaj sam siebie. <i>Tecum habita et noris, quam sit tibi curta suppellex</i>	174
200. Do tegoż drugi raz	174
201. Znaj się sam. Żeby nie nazbyt. Tak ręcz, żebyś mógł zapłacić. <i>Nosce te ipsum. Ne quid nimis. Sponde, noxa praesto est</i>	175
202. Żeby nie nazbyt	177
203. Tak ręcz za drugiego, żebyś mógł i zapłacić. <i>Sponde, uoxa praesto est</i>	178
204. Kto pijane rzeczy wspomina, oko mu palcem wiercą. <i>Non amo memorem comptorem</i>	180
205. Niebezpieczno na dwu stołkach siadać. <i>Diobus sedere sellis</i>	182
206. <i>Nescis, quid serus vesper vehat</i>	182
207. Nie każdy zagra, co nadyma dudy. <i>Multos thyrigeros, paucos est cernere Bacchos</i>	183
208. Dwie wronie za jedną nogę. <i>Duos parietes una fidelia dealbare</i>	184
209. Groch na ścianę	185
210. Kto pragnie na cudze dobro, swego nie pożyczę	185
211. <i>Ira tardissime omnium senescit</i>	186
212. Jeśliś sęp, czekaj ścierwu. <i>Si vultur es, cadaver expecta</i>	186
213. Kiedy przyjdiesz między wrony, kracz jako i ony. <i>Cornicari</i>	187
214. Na toż drugi raz. <i>Cum fueris Romae, Romano vivito more</i>	187
215. Dziecię a pijany najprędzej prawdę powie. <i>In vino veritas</i>	188
216. Do tegoż drugi raz	189
217. Koń mię nosi, król karmi. <i>Equus me portat, alit rex</i>	190
218. Gęś między łabędzie. <i>Graculus inter Musas. Ciconia inter grues. Anser inter olores</i>	190
219. Złoty pierścień u świni w pysku. <i>Anulus aureus in naribus suis</i>	191
220. W złotej pochwie ołowiana szabla. <i>Eburnea vagina, plumbeus gladius</i>	191
221. Złota szabla w ołowianych pochwach	192
222. Wóz wołu ciągnie. <i>Carrus bovem trahit</i>	193
223. Olej w migdałowej polewce. <i>In lente unguentum</i>	194

	Str.
224. Na toż	195
225. Co było ciężko począć, nie chce się pokinąć. <i>Quas piget inhoare, prope sequi, nec velle desistere, iuvat</i>	195
226. Nauka ucieczką ubóstwa. <i>Ars portus inopiae</i>	196
227. Psia pomsta. <i>Canis vindicta</i>	198
228. Toż inaczej	199
229. Monarchom i we trzy miesiące dzieci się rodzą. <i>Felicibus sunt et trimestres liberi</i>	200
230. Gorączka — siarka	201
231. <i>Stultitia est invitos venatum ducere canes</i>	202
232. Miła jest różność w rzeczach. <i>Varietas delectat. Incunda vicissitudo</i>	203
233. Alternata wszystkich rzeczy. <i>Vicissitudo omnium rerum est</i>	205
234. Czekajmy chromego. <i>Zła nowina rzadko się mieni, dobra rzadko ziści</i>	208
235. Czas płaci, czas traci. <i>Nosce tempus</i>	208
236. Co miał ozdobić, oszpecił, co miał ratować, popchnął	210
237. Wóz naładowany. <i>Plaustrum convitiis plenum</i>	211
238. Znam cię ziółko, żeś pokrzywka. <i>Tollet te, qui non novit</i>	211
239. Do tegoż drugi raz	212
240. We złym nabyciu nie dziedziczy czwarty. <i>Male parta male dilabuntur</i>	213
241. Sam nie swój. <i>Qui se non habet Samum habere postulat</i>	213
242. Nie sobieśmy się rodzili. <i>Non nobis nati sumus</i>	214
243. Muzyka cicha, nauka skryta. <i>Occultae musicae, nullus respectus</i>	215
244. Wilk zazonął. <i>Lupus illum prius vidit</i>	216
245. Ze lwem dział. <i>Leonina societas</i>	217
246. <i>Ex tripode</i>	217
247. Z bratem na lwa, z szwagrem na zając. <i>Frater viro adsit</i>	218
248. Krew nie woda	218
249. <i>Ne temere Abydum</i>	219
250. <i>Prima tabula ex naufragio</i>	220
251. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. <i>Una hirundo non facit ver</i>	221
252. Do tegoż drugi raz	222
253. Cygan swymi dziećmi świadczy. <i>Da mihi mutuum testimonium</i>	222

	Str.
254. Pies psa iszcze. Vitulus vitulum lambit	223
255. Żelazo żelazem ostrzą. Ferrum ferro acuitur	223
256. Do tegoż drugi raz	224
257. I włos ma swój cień. Et pilo sua umbra	225
258. Drapią się konie wzajem. Mutuum muli scabunt	226
259. Do tegoż drugi raz	227
260. Spi na obie uszy. In utramque aurem somnit	227
261. Za nos go żona wodzi. Apocrypha	228
262. Dziorawy świadek	228
263. Na toż drugi raz	229
264. Mógłby z niem o północy karty grać. Dignus, qui in te- nebris mices	230
265. Grecka abo ruska wiara. Graeca fides	230
266. Do koła wszystko chodzi	232
267. W jednej ręce kij, w drugiej chleb. Altera manu panem, altera lapidem	233
268. Eodem ore calidum et frigidum	234
269. Oczy w ręku. Oculatae manus	234
270. Ślepy targ. W rączkę z rączki, nie będzie mierziaczki	236
271. Ślepy ślepego wiedzie, w dół obadwa wpadną	237
272. Nie tak, jako chcemy, ale jako możemy. Ita, ut possu- mus, quando, ut volumus, non licet	237
273. Jednym palcem się w głowę drapie. Uno digito caput scabit	239
274. Lepiej płynąć przy leda desce. Sine cortice nabis	240
275. Nie mądrze, ale szczęśliwie	240
276. Nie możesz li być, czymś był, lepiej niczym nie być	241
277. Bez wstydu, bez czoła. Efrons	243
278. Palec do gęby. Digito compeisce labellum	243
279. Brwi powieścić. Insuaves sunt ad omnem vitae consuetu- dinem tristes ac superciliosi	244
280. Przez spary patrzy. Connivere	244
281. Czarną kurę mu rozedrzed na głowę. Bibe Elleborum	245
282. Mizernie żyje, kto wedle doktora żyje. Qui medice vivit, mendice et modice vivit	246
283. Porcum immola	246
284. Ustawicznie się ucząc, przyszedłem do starości. Assiduo addiscens, ad senium perveni	247

	Str.
285. Beczkowy żywot. Vita doliaris	249
286. Beczkowa śmierć. Mors doliaris	250
287. Póki w sercu, póty sekret	251
288. Na dzień żyć. In diem vivere. Ede, bibere, ludere, praesentibus utere bonis: post mortem nulla voluptas	251
289. Do tegoż drugi raz	252
290. Do tegoż trzeci raz	253
291. Ipsa dies quandoque mater, quandoque noverca est	255
292. Więcej kłopotu, niż pożytku. Plus aloes, quam mellis	255
293. Chleb ma rogi	256
294. Czubić głowę. Tollere cristam	257
295. Dwaj za łeb, trzeci do kalety	257
296. Sróka słowika zagłusza. Picca luscinae obstrepit	258
297. Inaczej szczenięta, inaczej pachną świnie. Aliter catuli, aliter sues olent	258
298. Równi łąco się zgodza. Similes facile conveniunt	259
299. Sztyła na motowidła	260
300. Wójt z panem pije	260
301. Zółw z jeleniem. Testudo cervo comparatur	261
302. Z ziemi wyszedł. Terrae filius	261
303. Kto ochotnie daje, dwa razy daje. Qui cito dat, bis dat, qui tardat munera, nil dat	262
304. Poszanowanie ludzkie naukę pomnaża. Honos alit artes	263
305. Długo trzeba stary dąb rąbać. Multis ictibus annosa de- icitur quercus	264
306. Choćby osieł psa ukąsił, do prawa. Si asinus canem mor- derit, litigat	265
307. Grzesznego choć mysz ukąsi. Virum malum vel mus mordeat	266
308. Po jednemu włosu wyrwiesz ogon koniowi. Caudae pilos equinae paulatim vellere	267
309. Gniewa się, żeby nie dał	267
310. Wojna z wojny, swar ze swaru. Lis ex lite	269
311. Jaki pan, taki kram. Qualis rex, talis grex. Bonus dux bonum reddit comitem	269
312. Milczenie zgubiło miasto. Amyclos perdidit silentium	270
313. Do starego żłobu. Ad pristinum praesepe	271
314. Poślesz świnie, przyniesieć ono	272

	Str.
315. Za fortuną życie. Alia vita, alia dieta	273
316. Aniś ty sfinksiem, ani ja Edypem. Davas sum, non Edypus. Do jednego poety	274
317. Przyjaciel stołowy. Ubi amici, ibi opes	274
318. Mędrsze jaja, niż kury	274
319. Żołnierzem człowiek na ziemi. Militia est vita hominis super terram	275
320. Ploratur lachrimis amissa pecunia veris	276
321. Wedle stawu grobla, wedle wzrostu armatura	377
322. Boska krzywda Bogu należy. Deorum iniuriae Diis curae	278
323. Każdy czas ma swój czas. Omne tempus habet suum tempus	279
324. O czym wątpisz, nie czyń. Quod dubitas, ne feceris	281
325. Z osła spadł. Ab asino delapsus	283
326. Na toż drugi raz	283
327. Wełny czeka po koźle. Lanam a hirco	283
328. Od koni do osłów. Ab equis ad asinos	284
329. Milczaną, jako chcesz, obrócisz. Taciturnitas scutum prudentiae adeo largum, ut etiam stulticiae tegendae sufficiat	284
330. Tuta est puppis, modico quum flumine fertur	284
331. Broda jak u proroka, cnota jak u draba. Non facit philosophum barba	285
332. Niebo odmienia, nie umyśl, peregrynacya. Coelum, non mutatur animum peregrinatio	285
333. Chowane się przyda. Servata valent	286
334. Z człowiekiem mądrze, z bydłociem ostrożnie. Cum pendente caute, cum homine sapienter	287

Przypowieści część wtóra.

1. Pośledniejsze sprawy doskonalsze. Posteriores curae accuratiores	288
2. Patrz końca. Respice finem	289
3. Co się stało, rozstać się nie może. Quod factum est, infectum fieri nequit	290
4. Szkoda z ogniem igrać. Początkom zabiegaj. Principiis obsta: sero medicina paratur	290
5. Do tegoż inaczej	291

	Str.
6. Toż sukno w inszej farbie. Idem per diversa	291
7. Do tegoż drugi raz	292
8. Prosaenium vitae humanae	293
9. Piękna oracya, ale wiary nie ma. Pulchra oratio, sed fide carens	294
10. Co miał uporem, to głupstwem grzeszy. Pervicacia stulticiae dat poenas	295
11. Szczodry obietnicami. Dives promissis	295
12. Opuściwszy źródło, szuka potoku. Omissis fontibus sectari rivulos	296
13. Szkołą pachnie. E schola cantilena	296
14. Ja w szyku, waszeć w kuchni. Ego in acie, tu in culina	297
15. Wierutny Igarz. Halopanta	297
16. Komin w izbie. Scilicet accenso domus est ornatio igni	298
17. Na toż drugi raz	298
18. Złota wolność. Aurea libertas	299
19. Toż drugi raz	299
20. Miłe doma. Quamvis sub parvo, tamen sub meo	300
21. Na toż drugi raz	301
22. Na toż trzeci raz	301
23. Na toż czwarty raz	302
24. Na toż piąty raz	303
25. Ptacy bez nóg Apodes	303
26. Ma strach oczy. Omnium terribilium rerum mors est terribilissima	303
27. A toż tobie bysiu mazya	304
28. Abo daj, aboć wydrę	305
29. Przed wygraną trąbi. Inani spe flagrat	306
30. Próżną beczkę palcem obrócisz. Volubile dolium	306
31. Spólne rozbicie pociechą w żalu. Commune naufragium omnibus solatium. Malevolum genus solatii turba miserorum luctus lacrimaeque mordent. Turba quas fetu simili frequentat	307
32. Po ludziach znać ziemię. Mores hominum regioni respondent	308
33. Patrz sam siebie. Te ipsum respice	308
34. Próżny korzec strychnowca	309
35. Grzeczny mój pan, ale doma. Domi nobilis	309

	Str.
36. Na błazna wszędy kapie	310
37. Ślepy na umyśle. Caecus mente	310
38. Nie dham o konie, gdzie mogę pieszo dojść. Asinos non curo	310
39. Nabrał twardych pieniędzy, jako lodu	311
40. Nie co godniejszy, ale kto więcej ma kresek. Maior pars vincit meliorem	311
41. Niewola doma. Homo subiugus	312
42. Wino koń poetycki. Carmina proveniunt animo deducta sereno. Nulla placere diu, neque vivere carmina possunt, quae scribuntur aquae potoribus	313
43. Pierwej rozsądku, potym nauki	314
44. Nie każdemu siekiera pływa	314
45. Jeśliż szkło w tej cenie, w jakiż będą perły? Si tanti vitrum, quanti margaritum?	315
46. Drugi raz do tegoż	315
47. Staremu wino mlekiem, młodemu miodem. Vinum lac senum, mel iuvenum	316
48. Wszędy ma miejsce przygoda. Casus ubique valet	317
49. Uwiązł na prądzie. In vado haeret	317
50. Lepszy karany	318
51. Ścierń orze. In culmo arat	318
52. Zajęczy żywot. Leporis vita	319
53. Wiele kto ma, tyle też waży u ludzi. Jako cię widzą, tak cię piszą. Quantum habet, tantum valet	321
54. Olej w głowie	321
55. Nie zawsze będzie lato, znoście gniazda, ptacy. Non semper erit aestas, compositae nidos	321
56. Na toż drugi raz	323
57. Już to zmasać, a insze napisać	324
58. Nikt nie jest ubogi, tylko stosowany. Nemo est miser, nisi comparatus	325
59. Nie zaraz jeść, kiedy rzeką gęś	326
60. Fora drew. Centum plaustris trabes	327
61. Qui se importune excusat, oportune accusat	328
62. Jeszcze słońce chodzi. Adhuc coelum volvitur	328
63. Każdy błazen swoim strojem	328

	Str.
64. Od starego wołu uczy się orać młody. A bove maiori discit arare minor	329
65. Jał się rzemienia gryźć	329
66. Pierwej chartom, potym ogarom	330
67. Kędy papu, tam i kaku	331
68. Nie karmazyn	331
69. Bot, który się na każdą nogę przyda. Eundem calceum omni aptare pedi	332
70. Nadzieja w utraپieniu portem. Spes servat afflictos	333
71. W jednej ręce ogień, w drugiej woda. Altera manu ignem, altera aquam	333
72. Godna obróż charta. Dignum patella operculum	334
73. Nie uwolni bot od podagry. Non liberat podagram calceus	334
74. Na toż drugi raz	335
75. Cobyśmy radzi widzieli, prędko wierzymy. Quod volumus, facile credimus	335
76. Na toż drugi raz	336
77. Obiad nikogo nie obliguje	336
78. Leniwo mielą Boskie młyny. Sero molunt Deorum molae	337
79. Wole, że mi zazdroszczą, niż żałują ludzie	337
80. Łacno szyprem być na spokojnej wodzie. Tranquillo quilibet gubernator	338
81. Na toż drugi raz	338
82. Na toż trzeci raz	339
83. Po czym ci mało, choć tanie, na cóż kupować? Quod non opus est, asse carum est	340
84. Moje żelazo w ogniu. Nunc meum ferrum in igni est	340
85. Przyjaciół pewny w rzeczy niepewnej. Amicus certus in re incerta	341
86. Łakomy nic dobrego nie czyni, aż kiedy umiera. Avarus, nisi cum moritur, nihil recte fecit	341
87. Nie jest szczęśliwy, kto być niem nie umie. Non est beatus, esse qui se nescit	342
88. Na toż drugi raz	343
89. Na toż trzeci raz	344
90. Na toż czwarty raz	344
91. Za głową ciało, za rozumem głowa	346

	Str.
92. Niemasz nikomu tak szczęśliwej godziny, żeby komu nie- szczęśliwą być nie miała. Bona nemini hora est, quin alicui sit mala	348
93. Mierzył go pokój. Spontanea molestia	349
94. Toż drugi raz	350
95. Krótkość wszystko zaleca. Brevitas omnia commendat	350
96. Na toż drugi raz	351
97. Lew na powrózku	352
98. Jeśli wiatry ustaną, róbże wiosłem. Destitutis ventis, re- mos adhibe	352
99. Śmierć a ubóstwo najpewniejsze rzeczy	352
100. Na toż drugi raz	353
101. W pokoju lew, w niepokoju liszka. Pace leones, bello vulpes	353
102. Lepsze jedno stajanie uprawione, niż dziesięć jałowych. Laudato ingentia rura, exigua colito. Ager non multus, sed bene cultus	354
103. Pan połyka, chudzina spluwa	354
104. Więc żniwa odstąpię? Ab ipsa messe recedam?	355
105. Dosones vel dabones	356
106. Trudno z łomokiem pływać. Difficile est cum sarcinis enatare	356
107. Zamek z wychodka. Arcem ex cloaca	357
108. Od domu do wrót mila. A domo ad portam miliare, a porta usque Tarentum	357
109. Pieniądze bez mieszkania. Pecunia absque peculio	358
110. W zimny piec chleb sadzać. In frigus furnum, mittere panes	358
111. Na toż drugi raz	359
112. Na toż trzeci raz	359
113. Uprządłeś nic, igły trzeba. Nevisti filum, acu opus est	360
114. Kiedyś łysy, nie wadź się z rogatym. Calvus cum sis, cum cornuto ne contendas	361
115. Czego się zachce, wszystko to święte. Quicquid volumus, sanctum est	361
116. Lepiej psa rozdrażnić, niż babę. Praestat canem irritare, quam anum	362

	Str.
117. Długa przedmowa odejmie. chęć do słuchania. Longum proe- mium audiendi cupidinem minuit	363
118. Wprzód pszoły odegnąć. Primum apes abigeudae	363
119. Łyczana pomoc. Coriaceum auxilium	364
120. Najlepsza, woda. Optima quidem aqua	365
121. Nic prędzej nad łzę nie osycha. Lachrima, nihil citius arescit	366
122. Rachunek jest, ale pieniędzy niemasz. Rationes sunt, pecu- nia deest	367
123. Na toż drugi raz. Necessitas durum telum	367
124. Miłość miłość rodzi. Si vis amari, ama	368
125. Doktora i księdza wstydzic się nie potrzeba	368
126. Zwyczaj drugie przyrodzenie. Consuetudo altera natura	369
127. Okopciałe obrazy. Fumosae imagines	370
128. Złego początku zły koniec. Mali principii malus finis	371
129. Pieniądzem wziął, wolność sprzedał. Argentum accepi, li- bertatem vendidi	373
130. Pochwały szuka. Laureolam quaerit	374
131. Na toż drugi raz. Aure ollam quaerit	375
132. Kupić trzeba, komu rozkazować. Emendus, cui imperes	376
133. Nie potykaj się z głodnym. Esurienti ne occurras	377
134. To rób. Hoc age	377
135. Patrzeć z brzegu na rozbiecie czyje. E terra spectare nafragium	378
136. Zbrojna prośba. Armatae preces. Merces ab eo, qui iubere potest, necessitatis vim sapient. Arma tenenti, iusta ro- ganti qui negat, omnia dat	379
137. Czego nie możesz skończyć, lepiej nie poczynać. Quod feri non potest, nec incipiendum	380
138. Płacze na macoszynym pogrzebie. Ad novercae tumulum flere	380
139. Od umarłego dań. A mortuo tributum	380
140. Bąk. Larus parturit	383
141. Do tegoż drugi raz	384
142. Złote góry. Aureos polliceri montes	385
143. Na toż drugi raz	385
144. Świerca za skrzydło. Ala cicadam corripuit	386
145. Skarb nasz wagle był. Thesaurus noster carbones erant	386

	Str.
146. Na toż drugi raz	387
147. Złotą wędą ryby łowić	387
148. Im dalej w las, więcej drew. Melius est recurrere, quam currere male	388
149. Na toż drugi raz	389
150. Ten zakład bierze, kto wygrał zawodem. Solus currens vincit	391
151. Czuj! stary pies szczeka. Vigila, vetulus canis latrat. Satyricum drugi raz	392
152. Po ujęciu broni znać szermierza. Ex ungue leonem	396
153. Na toż drugi raz	397
154. W nocy tańcować bez świece. In tenebris saltare	398
155. Kto uczynił to, co mógł, zakon wypełnił. Qui fecit, quod potuit, legem adimplevit	399
156. Na toż drugi raz	399
157. Zawszeć wędą niech moknie. Semper tibi pendeat hamus	400
158. Bogaty abo sam niesprawiedliwy, abo sukcesor niesprawiedliwego. Dives aut iniustus, aut iniusti haeres	401
159. Na toż drugi raz	402
160. Na toż trzeci raz	404
161. Twardy sęk, zawiły węzeł. Nodus Gordius	405
162. I myśmy czymś byli. Fuimus quondam Troes	406
163. Robak, co w ogniu, drugi, co się w starym śniegu łagnie. Pirausta	407
164. Na toż drugi raz	408
165. Na toż trzeci raz	408
166. Nie ranoś wstał, nie będziesz miał. Post festum venisti	409
167. Tanie mięso i psi jedzą. Merx ultronea putet. Quod venit ex facili, faciles segnesque tenemus, quod spe, quodque metu torsit, habere iuvat	410
168. Com kupił, to sprzedaje	410
169. Chodzić, nóg nie umywszy. Illotis pedibus ingredi	411
170. Na toż drugi raz	412
171. Orla starość. Aquilae senectus	412
172. Odwoływać co. Palinodiam canere	413
173. Pierwsza wina odpuszczona. Venia primum experienti	414
174. Na toż drugi raz	414

	Str.
175. Na toż trzeci raz	415
176. Kto nigdy źle, nigdy dobrze. Qui nunquam male, nunquam bene	417
177. Rany siew często omyła, późny — zawsze. Matura satio saepe decipit, sera semper mala	418
178. Ciężka boleść, gdy się chce jeść. Cóż gdy jedzą, a nie dadzą. Saguntina fames	420
179. Na toż drugi raz	421
180. Na cienkiej nici rzeczy ludzkie wiszą. Omnia sunt hominum tenui pendentia flo. Aquaticae opes	421
181. Słoń myszy nie chwytą, Elephas non capit mures	422
182. Nie stanie sieł na wielką, mszcząc się małych krzywd	423
183. Śród morza wody. In mari aquam	424
184. Jękot jękota najprędzej zrozumie. Balbus balbum	425
185. Wieniec oddając pannie. Herbam porrigere	425
186. Uczył się, jak pies pije w Nilu. Ut canis e Nilo	426
187. Cianać tarcz. Clipeum obicere	426
188. Na toż drugi raz	427
189. Z wiatrem wojna. Austrum perculi	428
190. Znam człeka z twarzy. Est facies testis, quales intrinsicus estis	429
191. Ucz się w domu, jakim chcesz być u ludzi. Disce domi, qualis esse debeas foris	430
192. Na toż drugi raz	430
193. Staryś a głupiś. Et senex est, et stultus	431
194. Znam cię ja, oszukuj tym, kto nie zna. Ad phaleras populum, ego te intus et in cute novi	433
195. Na toż drugi raz	433
196. Czemu dyabeł mądry? Bo stary	434
197. Jedno kowadło tłuc. Eandem incudem tundere	435
198. Miłość miłość rodzi. Si vis amari, ama	436
199. Na toż drugi raz	438
200. Na ostatek lagier. De fece haurire	439
201. Na toż drugi raz	440
202. Na toż trzeci raz	440
203. Na toż czwarty raz	441
204. Kto pod kim dołek kopie, często weń sam wpada. In laqueum inducere, in proprias casses	442

	Str.
205. Chcesz rzeczy niepodobnych. Impossibilia captas	443
206. Jeden kłopot dziesięć ich rodzi. Hydram secas	444
207. Ofiara bez ognia. Wesele bez wina. Sacrum sine fumo	446
208. Na toż drugi raz	447
209. Na toż trzeci raz	448
210. Na toż czwarty raz	448
211. Pies na sienie leży. Canis in praesepti	449
212. Lapij nie dawać, niż dawszy wydzierać. Capra Scyria	450
213. Przynamniej drzewo obrać, na którym masz wisieć. Suspendio arbor deligenda	451
214. Trudno w sieć nagnać starego lisa. Senex vulpes non capitur laqueo	452
215. Nosi wilk, poniosą i wilka	453
216. Jakby go rozgrzeszeł. Atticus in portum	454
217. Nie płaci bagaty, ale winowaty. Qui non potest aere, solvat corpore	454
218. Summum ius, summa iniuria	455
219. Zastąp złemu ode drzwi, a on oknem. Thracicum commentum	456
220. Więcej ten cicho zarobi, niż tamten hałasem. Romanus sedendo vincit	457
221. Nierozumny impet	458
222. Rozrzutność nie ma dna. Largitio non habet fundum	458
223. Dzierawa beczka. Pertusum dolium	459
224. Niedźwiedzia tropi, mając go w oczu. Ursus cum adsit, vestigia quaeris	461
225. W studni się psom oganiać. In puteo cum canibus pugnare	461
226. Czyja kobyła uwięzła najgłębiej, ten brodzi. Tunm ferrum in igne	462
227. Uciekającego nie zabawi muzyka. Vir fugiens non moratur lyrae strepitum	462
228. Lekarzu, ulecz samego siebie. Medice, cura te ipsum	464
229. Na skórze wełna, na sercu szczeć. Extra lana, intus seta	465
230. Psi obiad. Caninum prandium	466
231. Na toż drugi raz	466
232. Na toż trzeci raz	467
233. Na toż czwarty raz	467

	Str.
234. Uciekasz z bitwy żołnierz może się bić znowu, może też i uciec. Vir fugiens iterum pugnabit	467
235. Na toż drugi raz	468
236. Nad wszystkie straszne rzeczy śmierć jest najstraszniejsza. Omnium terribilium mors est terribilissima	469
237. Po ścierniu znać urodzaj. Ex stipula cognoscere	471
238. Tymże łokciem. Eodem cubito	471
239. Na toż drugi raz	473
240. Palcem go ukazują. Monstrari digito	474
241. Tych słuchaj, którzy szczyrze radzą. Audi, quae ex animo dicuntur	475
242. Albo pij, albo się bij. Aut bibe, aut abi	478
243. Dłacie domi, qualis debeas esse foris	479
244. Zimnej wody przyłać. Frigidam suffundere	481
245. Żle w piekle być	482
246. Szkoda staremu dobrze czynić. In senem ne collocaris beneficium	482
247. Urostać wilkowi zęby. Stultus, qui patre caeso, liberis pepercit	484
248. Z niczego nic nie będzie. Ex nihilo nihil fit	485
249. Dobrze mówi, ale niedobrze czyni. Probe loquitur, improbe facit	487
250. Figuli divitiae	487
251. Na toż drugi raz	488
252. Na toż trzeci raz	489
253. Na toż czwarty raz	489
254. Na toż piąty raz	490
255. Na toż szósty raz	491
256. Na toż siódmy raz	491
257. Na toż ósmy raz	492
258. Zając śpi. Lepus dormit	493
259. Na toż drugi raz	494
260. Na toż trzeci raz	495
261. Nie rychło Jowisz zajął w kozią skórę. Sero Jupiter diptheram inspexit	496
262. Na toż drugi raz	497
Biblioteka pisarzy polskich	40

	Str.
263. Abo umarł, abo bakalarzem. Aut mortuus est, aut docet litteras	498
264. Na ogułach	499
265. Na toż drugi raz	500
266. Ze złych obyczajów dobre się prawa rodzą. Ex corruptis moribus optima nascuntur leges	501
267. Na toż drugi raz	502
268. Na toż trzeci raz	503
269. Na toż czwarty raz	504
270. Na toż piąty raz	507
271. Na toż szósty raz	507
272. Na toż siódmy raz	508
273. Na toż ósmy raz	509
274. Błoto błotem zmywać. Lutum luto purgare	510
275. Na toż drugi raz	511
276. Godna garnuszka pokrywecka. Dignum patella operculum	512
277. Na toż drugi raz	513
278. Do tegoż trzeci raz	514
279. Sąsiad chromy nauczy chromać sąsiada. Si iuxta claudum habites, subelaudicare disces	514
280. Na toż drugi raz	515
281. Na toż trzeci raz	516
282. Urząd pokazuje człowieka. Magistratus declarat virum	517
283. Na toż drugi raz	518
284. Na toż trzeci raz	519
285. Do tegoż czwarty raz	520
286. Na toż piąty raz	521
287. Na toż szósty raz	522
288. Na toż siódmy raz	524
289. Na toż ósmy raz	524
290. Sam się chwali, złe sąsiady ma. Laus proprio ore sordet	525
291. Na toż drugi raz	526
292. Nieme pfe. Muta persona	527
293. Głowa bez języka. Caput sine lingua	529
294. Na toż drugi raz	529
295. Wiedział święty Marcin, dlaczego płaszcza urznął	530
296. Do tegoż. Silosontis chlamys	530

	Str.
297. Grabstwo. Opera Silosontis ampla regio	531
298. Ciało bez piersi. Corpus sine pectore. Pectus sine corde	532
299. Sumnienie tysiąc świadków. Consentia mille testes	533
300. Na toż drugi raz	534
301. Żyda gdzieś rozbił. Mysorum praeda	535
302. Do tegoż	537
303. Wyskakuje z pasternika. Ultra septa transillire	537
304. Na toż drugi raz	539
305. W pogodę opończą zedrzeć. Estate penulam deteries	540
306. Na toż drugi raz	541
307. Na toż trzeci raz	541
308. Na toż czwarty raz	542
309. Do tegoż piąty raz	542
310. Na toż szósty raz	544
311. Kwap, ale po woli. Festina lente	544
312. Na toż drugi raz	545
313. Stąpa, jak po szydłach. Tacito pede	547
314. Krupy do garka liczy. Cumini sector	548
315. Co się żyso urodzi, żyso ginie. Myconius caluus	549
316. Z lekka wół, ale mocno stąpa. Placide bos	549
317. Połowicą żywota nic się nie różnią. Dimidio vitae nihil differunt felices ab infelicibus	550
318. Na toż drugi raz	552
319. Bieży czas, nikt go nie postrzeżga. Tempora labuntur tacitisque senescimus annis	552
320. Spadszy z dachu, ulży się, dopadając ziemię	553
321. Na jednej łódce. In eadem navi	555
322. Za prośbą rozkazanie, dalej mus. Primo rogare, secundo iubere, tertio cogere	555
323. Co piękne, to i trudne. Słodko Dorotko, ale drogo niebogo. Difficilia, quae pulchra	556
324. Na toż drugi raz	557
325. Nie ufaj, z kim wprzód nie zjesz korca soli. Nemini fidas, nisi cum quo modium salis absumperis	558
326. Co kto sieje, to będzie żął. Plena manu	560
327. Na toż drugi raz	560
328. Bez zazdrości się kochać. Sine rivale diligere	561

	Str.
329. Na toż drugi raz	561
330. Na toż trzeci raz	563
331. Na toż czwarty raz	563
332. Chyba mię za nogi wywleką. Pedibus trahere	564
333. Na toż drugi raz	565
334. Za nos ciągnąć, abo wodzić. Naribus trahere	566
335. Na toż drugi raz	567
336. Żona go za nos wodzi. Mulier parendo imperat	568
337. Rzadki ptak. Rara avis	568
338. Na toż drugi raz. Rara fenix in mundo, rarior concordia fratrum	569
339. Choć tak, choć opak, zawsze jednako. Sive sic, sive ita	570
340. Kradzione godziny. Successivae horae	571
341. Ea tela textitur	572
342. Nieczęste widanie, gotowe nieznanie. Multas amicitias silentium diremit	573
343. Na toż drugi raz	574
344. Do czapki wołać. Ad pileum vocare	575
345. Od kąkolu oczy płyną. Lolio victitant lippi et caecutientes	576
346. Cicha muzyka. Intus canere	576
347. Kamienie łomać. In lapicidinas	578
348. Końska starość. Equi senecta	579
349. Chcesz ty mieć przyjaciela, i ja nie chcę nieprzyjaciela. Si tibi amicum, nec mihi inimicum	580
350. Kochany łokieć. Dulcis cubitus	581
351. Wół u żłobu, cielę u kołka. Bos ad praesepe	582
352. Rada rzecz święta, ale dobra. Res sacra consilium	583
353. Na toż drugi raz	584
354. Cielę u kołka	585
355. Z jednej wiele rzeczy robić. Ex una re multas facere	586
356. Na toż drugi raz	586
357. Na toż trzeci raz	587
358. Na toż czwarty raz	589
359. Na toż piąty raz	590
360. Ostracismus. Testulae transmutatio	591
361. Przez sługi do pana, przez świętych do nieba	592

	Str.
362. Jedną nogą w grobie. Alterum pedem in cymba Charontis habet	596
363. Na toż drugi raz	597
364. Na toż trzeci raz	598
365. Na toż czwarty raz	599
366. Cavam Arabiam serere	599
367. Na toż drugi raz	600
368. Na toż trzeci raz	601
369. Co ma trzeźwy w umyśle, pijany w języku. Quod sobrius in animo, ebrius in lingua	602
370. Po tak długiej pracy nie się nam nie polepszy. Cum plurimum laboraverimus, in eodem statu sumus	602

